

**ROBERT HARRIS**



**CYCERO**

# CYCERO

**ROBERT HARRIS**

Z angielskiego przełożył  
PIOTR AMSTERDAMSKI



Tytuł oryginału:  
IMPERIUM

Copyright © Robert Harris 2006  
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2008  
Copyright © for the Polish translation by Anna Amsterdamska 2008

Redakcja: Jacek Ring  
Konsultacja historyczna: prof. Aleksander Krawczuk  
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski  
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz  
Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-718-1 (oprawa twarda)

ISBN 978-83-7359-719-8 (oprawa miękka)

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.empik.com](http://www.empik.com)  
[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2008. Wydanie I/op. miękka  
Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Pamięci  
Audrey Harris  
1920–2005  
i dla  
Sama

**Tiron, M. Tulliusz**, sekretarz Cyncerona. Był nie tylko kopistą mówcy i jego pomocnikiem w literackich trudach, ale również autorem cieszącym się dobrą reputacją, wynalazcą sztuki stenografii, która umożliwiła dokładne i bez skrótów zapisywanie słów mówców występujących publicznie, niezależnie od tego, jak szybko przemawiają. Po śmierci Cyncerona Tiron nabył gospodarstwo niedaleko Puteoli, gdzie spędził późniejsze lata, a według Hieronima dożył stu lat. Askoniusz Pedianus (w komentarzu do mowy Cyncerona *Pro Milone*, 38) wspomina o czwartym tomie biografii Cyncerona pióra Tirona.

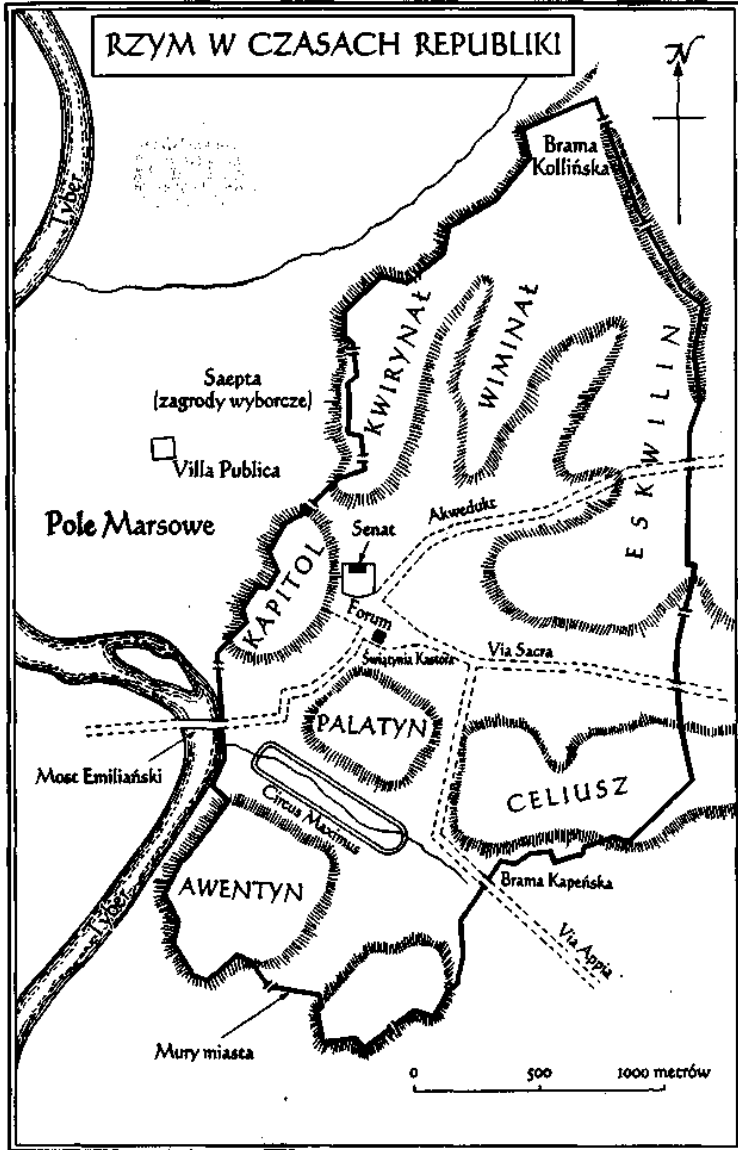
Grecko-rzymski słownik biograficzny i mitologiczny, tom III,  
red. William L. Smith, Londyn, 1851.

*Innumerabilia tua sunt in me officia, domestica, forensia urbana, provincialia, in re pñvata, in publica, in studiis, in litteris nostris...*

„Usługi, jakie mi wyświadczasz, są niezliczone – w domu i poza domem, w Rzymie i za granicą, w sprawach prywatnych i publicznych, w moich studiach i pracach literackich...”

Cyncero, list to Tirona, 7 listopada 50 r, p.n.e.

# RZYM W CZASACH REPUBLIKI



**Część pierwsza**

# **SENATOR**

**79–70 r, p.n.e.**

*Urbem, urbem, mi Rufe, cole et in ista luce vive!*

„Miasto, czcij Miasto, mój Rufusie, i żyj w tym świetle!”.

Cycero, list do Celiusza, 26 czerwca 50 r, p.n.e.

# I

Nazywam się Tiron. Przez trzydzieści sześć lat byłem zaufanym sekretarzem rzymskiego męża stanu Cycerona. Początkowo było to podniecające, później kolejno zdumiewające, żmudne i wreszcie bardzo niebezpieczne. Wierzę, że przez wszystkie te lata spędził ze mną więcej czasu niż z jakąkolwiek inną osobą, nawet ze swojej rodziny. Pisałem pod dyktando jego mowy, listy, prace literackie, nawet wiersze – była to taka fontanna słów, że aby nadażyć za ich strumieniem, musiałem wymyślić system, zwany dziś powszechnie stenografią – system nadal używany do protokolowania obrad senatu – za którego wynalezienie dostałem skromną rentę. Renta, w połączeniu z kilkoma zapisami spadkowymi i łaskawością przyjaciół, wystarcza mi do przeżycia na emeryturze. Nie potrzebuję wiele. Starzy ludzie żyją powietrzem, a ja jestem bardzo stary – podobno mam niemal sto lat.

W ciągu kilkudziesięciu lat, jakie minęły od jego śmierci, różni ludzie często mnie pytali, zwykle szeptem, jakim człowiekiem był Cycero, ale ja zawsze milczałem. Skąd miałem wiedzieć, kto jest agentem rządu, a kto nie? Bałem się, że w każdej chwili mogę zostać zabity. Teraz jednak, gdy moje życie już



niemal dobiegło końca, nie boję się już niczego – nawet tortur, gdyż w łapach oprawcy lub jego pomocników nie przetrwałbym nawet chwili – dlatego postanowiłem zaoferować tę pracę jako odpowiedź na pytanie. Piszę, polegając na pamięci i dokumentach oddanych mi na przechowanie. Czasu pozostało mi już niewiele – to nieuchronne – dlatego zamierzam pisać szybko, posługując się moim systemem stenografii, na kilkudziesięciu niewielkich zwojach papirusu – znakomitej hieratyki – które już od dawna gromadziłem właśnie w tym celu. Z góry proszę mi wybaczyć wszystkie błędy i stylistyczne niezręczności. Modłę się do bogów, bym zdołał zakończyć pracę, nim nadejdzie kres mojego życia. W ostatnich słowach, jakie skierował do mnie Cyncero, prosił, abym opowiedział o nim prawdę i to właśnie postaram się uczynić. Jeśli nie zawsze sprawi on tu wrażenie wzoru cnoty, cóż, trudno. Władza zapewnia ludziom wiele luksusów, ale rzadko są wśród nich dwie czyste ręce.

Będę tu pisać o władzy i konkretnym człowieku. Przez władzę rozumiem oficjalną, polityczną władzę – zwaną po łacinie *imperium* – władzę życia i śmierci, jaką państwo powierza jednostce. Setki ludzi dążyło do zdobycia władzy, ale Cyncero był wyjątkiem w historii republiki, ponieważ dążył do niej, nie mając żadnych środków poza własnym talentem. Nie pochodził jak Metellus lub Hortensjusz z wielkiej arystokratycznej rodziny, która od pokoleń świadczy polityczne usługi i może odwołać się do swych klientów w dniu wyborów. Nie miał jak Juliusz Cezar i Pompejusz potężnej armii, która mogłaby poprzeć jego kandydaturę. Nie posiadał jak Krassus gigantycznej fortuny, żeby smarować swoją drogę. Miał tylko głos i czystym wysiłkiem woli zmienił go w najsłynniejszy głos świata.

Gdy zaczynałem mu służyć, miałem dwadzieścia cztery lata, a on dwadzieścia siedem. Byłem domowym niewolnikiem,

urodziłem się w należącej do rodziny posiadłości wśród wzgórz niedaleko Arpinum. On był młodym adwokatem, wyczerpanym nerwowo i z trudem walczącym z niemałymi naturalnymi upośledzeniami. Mało kto gotów byłby postawić na to, że któryś z nas coś osiągnie.

Głos Cyncerona w tym czasie nie był jeszcze groźnym instrumentem, w jaki później się zmienił; mój nowy pan chrypiał i niekiedy się jąkał. Zapewne w głowie miał tyle słów, że w chwili napięcia więzły w gardle, tak jak wtedy, gdy dwie owce, popychane przez stado, próbują jednocześnie przejść przez bramkę. Poza tym słowa te często były zbyt wymyślne jak na możliwości intelektualne jego słuchaczy. „Uczony” i „Grek” – tak mówili o nim ze zniecierpliwieniem. Nie były to bynajmniej komplementy. Nikt nie wątpił w jego talent oratorski, ale Cyncero wydawał się zbyt wątpły, jak na swoje ambicje. Jako adwokat przemawiał niekiedy kilka godzin, często na otwartym powietrzu, we wszystkich porach roku, co było zbyt wielkim obciążeniem dla jego strun głosowych. Po takim wystąpieniu przez kilka dni chrypiał i nie mógł wykrztusić ani słowa. Dodatkowymi przyczynami udręki była chroniczna bezsenność i niestrawność. Mówiąc otwarcie, jeśli miał zrobić karierę polityczną, czego desperacko pragnął, musiał skorzystać z profesjonalnej pomocy. Z tego względu postanowił wyjechać na pewien czas z Rzymu i podróżując, odświeżyć umysł i skonsultować się z najwybitniejszymi nauczycielami retoryki, którzy na ogół żyli wtedy w Grecji i Azji Mniejszej.

Byłem odpowiedzialny za niewielką bibliotekę jego ojca i całkiem przyzwoicie mówiłem po grecku, dlatego Cyncero mnie wypożyczył, tak jak pożyczka się książkę z czytelnika. Zabrał mnie w podróż na wschód. Moim zadaniem było załatwianie wszystkich bieżących spraw, najmowanie transportu, opłacanie nauczycieli i tak dalej. Po roku miałem wrócić do swojego dawnego

pana, ale podobnie jak wiele pożytecznych tomów, nigdy nie zostałem zwrócony.

Spotkaliśmy się w porcie w Brundyzjum w dniu, w którym mieliśmy wypłynąć. W roku sześćset siedemdziesiątym piątym od założenia Rzymu konsulami byli Serwiliusz Watia i Klaudiusz Pulcher. Cycero wówczas zupełnie nie przypominał okazałego męża stanu, jakim stał się później, gdy był już tak sławny, że nawet w najspokojniejszej uliczce nie mógł uniknąć rozpoznania. (Ciekaw jestem, co się stało z tymi tysiącami popiersi i portretów Cyclerona, które kiedyś zdobyły tak wiele prywatnych domów i publicznych budynków? Czy rzeczywiście wszystkie zostały rozbite lub spalone?). Młody mężczyzna, który tego wiosennego dnia stał na nabrzeżu, był szczupły, miał zaokrąglone ramiona, nienaturalnie długą szyję z jabłkiem Adama wielkości dziecinnej piąstki, które poruszało się gwałtownie w górę i w dół, gdy przełykał ślinę. Z wybałuszonymi oczami, bladą cerą i wpadniętymi policzkami był przykrym obrazem złego stanu zdrowia. No, Tironie – pamiętam, co wtedy pomyślałem – lepiej dobrze wykorzystaj tę podróż, bo nie potrwa długo.

Najpierw popłynęliśmy do Aten, gdzie Cycero obiecał sobie ucztę, za jaką uważał możliwość studiowania filozofii w Akademii. Zaniósłem jego torbę do sali wykładowej i już miałem wyjść, gdy zawołał mnie i spytał, dokąd się wybieram.

– Chcę usiąść w cieniu razem z innymi niewolnikami – odparłem – chyba że ma pan jeszcze jakieś życzenia.

– Niewątpliwie tak, i to wymagające wielkiego wysiłku – powiedział. – Chcę, żebyś poszedł ze mną na wykład i nauczył się nieco filozofii, tak abym miał z kim rozmawiać podczas naszej długiej podróży.

Poszedłem zatem za nim i miałem zaszczyt posłuchać, jak sam Antiochus z Askalonu wyjaśnia trzy podstawowe zasady stoickie – cnota wystarcza do osiągnięcia szczęścia, nic poza

cnotą nie jest dobrem i nie można ufać emocjom – trzy proste reguły, które wystarczyłyby do rozwiązania wszystkich problemów świata, gdyby tylko ludzie chcieli ich przestrzegać. Później Cycero i ja często dyskutowaliśmy na takie tematy, a gdy zajmowaliśmy się sprawami intelektualnymi, dzielące nas różnice statusu zawsze traciły znaczenie. Słuchaliśmy wykładów Antiochusa przez sześć miesięcy, po czym udaliśmy się dalej, do głównego celu naszej podróży.

W tym okresie w retoryce dominowała tak zwana szkoła azjańska. Ten styl preferował mowy skomplikowane i kwieciste, pełne pompatycznych zwrotów i dźwięcznych rytmów, którym towarzyszyła żywa gestykulacja i spacerowanie po scenie. W Rzymie jej wybitnym przedstawicielem był Kwintus Hortensjusz Hortulus, powszechnie uważany za najwybitniejszego oratora swoich czasów, którego ze względu na wymyślną pracę nóg przezywano „mistrzem tańca”. Cycero, chcąc poznać jego sztuczki, specjalnie odszukał jego mentorów: Menippusa ze Stratoniki, Dionizjusza z Magnezji, Ajschylosa z Knidos i Ksenoklesa z Adrymattium – same nazwiska mówią o ich stylu. Cycero studiował kilka tygodni u każdego z nich, ucząc się ich metod, aż wreszcie uznał, że wie już, co o nich sądzić.

– Tironie – powiedział do mnie pewnego wieczoru, przebieając, zgodnie ze swym zwyczajem, wśród gotowanych warzyw na talerzu – mam już całkowicie dość tych uperfumowanych tancerzy. Załatw statek z Lorymy na Rodos. Zapiszemy się do szkoły Apolloniusza Molona, żeby spróbować czegoś innego.

I tak doszło do tego, że pewnego wiosennego poranka, o świtanie, gdy cieśniny Morza Karpackiego\* były gładkie i mleczne jak perła (proszę mi wybaczyć te rzadkie ozdoby: czytałem zbyt wiele greckiej poezji, żeby trzymać się oszczędnej i surowej łaciny), przeprawiliśmy się statkiem wiosłowym ze stałego łądu na tę starą, dziką wyspę, gdzie na nabrzeżu zobaczyliśmy

krępą postać czekającego na nas Molona.

\* Karpathio Pelagos – akwen między wyspami Karpathos i Rodos.

Ten Molon był prawnikiem pochodzącym z Alabandy, który zrobił karierę dzięki błyskotliwym występom w rzymskich sądach – został nawet zaproszony do wygłoszenia przemówienia po grecku w senacie. Był to niesłychany zaszczyt. Później zrezygnował z praktyki adwokackiej, przeniósł się na Rodos i założył tam szkołę retoryki. Jego zasady oratorskie były dokładnym przeciwieństwem reguł szkoły azjańskiej: nie kręć się za wiele, trzymaj głowę prosto, nie odchodź od tematu, rozśmiesz i wzrusz słuchaczy, a gdy zdobędziesz ich współczucie, szybko kończ. „Nic nie schnie szybciej od łez” – pouczał. To znacznie bardziej odpowiadało gustom Cyncerona, który całkowicie podporządkował się jego zaleceniom.

Molon rozpoczął tego dnia od kolacji, na którą podał mu miszkę gotowanych jajek w sosie z sardeli. Gdy Cyncero skończył – nie bez narzekania, zapewniam – dostał kawał wołowiny pieczonej na węglu drzewnym, a do tego kubek koziego mleka.

– Musisz nabrać ciała, młodzieńcze – powiedział Molon, klepiąc się po swej podobnej do beczki piersi. – Nigdy jeszcze słaba trzcina nie wydała potężnego dźwięku.

Cyncero patrzył na niego z wściekłością, ale posłusznie opróżnił talerz. Tej nocy, po raz pierwszy od wielu miesięcy, dobrze spał. (Wiem, ponieważ jak zwykle spałem na podłodze przed drzwiami do jego pokoju).

Rano rozpoczęły się ćwiczenia fizyczne.

– Wystąpienie na forum – oświadczył Molon – można porównać do wyścigu. Wymaga wytrzymałości i siły.

Udał, że chce uderzyć Cyncerona, który głośno sapnął, zatoczył się i niewiele brakowało, a przewróciłby się na podłogę. Molon kazał stanąć mu w rozkroku i nie zginając nóg w kolanach,

robić skłony, tak by dotknął ziemi dwadzieścia razy. Potem kazał mu położyć się na plecach, spleść dłonie na karku i wielokrotnie usiąść, nie ruszając przy tym nogami. Następnie polecił mu przekręcić się na brzuch i podnieść się na ramionach, znowu dwadzieścia razy, bez zginania kolan. Tak wyglądały ćwiczenia pierwszego dnia, a każdego następnego Molon dodawał nowe i przedłużał gimnastykę. Cycero zaczął dobrze spać i skończyły się jego kłopoty z trawieniem.

Na ćwiczenia deklamacji Molon zabrał swego gorliwego ucznia z zacienionego dziedzińca na południowy skwar i kazał mu recytować różne teksty ćwiczebne – zwykle przemówienia procesowe lub monologi z Menandra – przy czym miał jednocześnie wspinać się na górę bez chwili przerwy. W czasie marszu jaszczurki uciekały mu spod stóp, a jego jednymi słuchaczami były cykady siedzące na gałęziach drzew oliwnych. Cycero wzmocnił płuca i nauczył się, jak najwięcej powiedzieć na jednym oddechu. „Mów tonem o średniej wysokości – pouczał Molon. – Ani za nisko, ani za wysoko. W tym zakresie mieści się siła”. Po południu Molon zaprowadził go na kamienistą plażę na ćwiczenia z mocy głosu, postawił w odległości stu kroków i kazał przemawiać, pokonując szum wody i wiatru. To najlepszy odpowiednik szmeru trzech tysięcy ludzi na placu lub pogaduszek kilkuset senatorów w zamkniętej sali obrad, powiedział. Cycero musiał przywyknąć do takich przeszkód.

– Cóż jednak z treścią mojego przemówienia? – spytał kiedyś. – Przecież niewątpliwie skupię uwagę słuchaczy głównie siłą moich argumentów?

– Treść mnie nie interesuje. – Molon wzruszył ramionami. – Pamiętaj, co powiedział Demostenes: „W sztuce oratorskiej liczą się tylko trzy rzeczy: występ, występ i jeszcze raz występ”.

– Ale przecież się jąkam?!

– J-j-jąkanie również nie b-b-budzi mojego niepokoju – odrzekł Molon z uśmiechem i porozumiewawczym mrugnięciem. – A poważnie, jąkanie może zwiększyć zainteresowanie i wywołać bardzo użyteczne wrażenie uczciwości mówcy. Demostenes nieco seplenił. Słuchacze utożsamiają się z mówcą mającym wady wymowy. To tylko doskonałość jest nudna. Teraz odejdz dalej i postaraj się, żebym cię słyszał.

Miałem zatem okazję od samego początku obserwować, jak jeden mistrz wymowy przekazuje drugiemu swoje sztuczki. „Żadnego zniewieściałego skłaniania głowy i machania palcami. Nie ruszaj ramionami. Jeśli musisz przebierać palcami, spróbuj dotknąć środkowym kciuka, prostując pozostałe trzy. Tak, dobrze. Spojrzenie należy oczywiście zawsze skierować na dłoń wykonującą gest, chyba że chcesz zaprotestować, na przykład: »Bogowie, uchroncie nas przed taką zarazą!« lub »Nie sądzę, abym zasługiwał na taki zaszczyt«”.

Molon nie pozwalał niczego notować, gdyż żaden mówca wart tego określenia nawet nie pomyślałby o odczytaniu gotowego tekstu lub zaglądaniu do pliku notatek. Był zwolennikiem standardowej metody uczenia się tekstu na pamięć, zwanej podróżą wokół domu. „Umieść pierwszy punkt przemówienia przy wejściu do domu i wyobraź sobie, jak tam leży, drugi w atrium, i tak dalej. Idź po całym domu tak, jakbyś go normalnie obchodził, przypisując fragmenty przemówienia nie tylko pokojom, ale każdej alkowie i każdej rzeźbie. Każde miejsce musi być dobrze oświetlone, jednoznacznie określone i charakterystyczne. W przeciwnym razie będziesz błąkał się jak pijak, który szuka łóżka po przyjęciu”.

Wiosną i latem tego roku Cycero nie był jedynym uczniem w szkole Molona. Po pewnym czasie dołączył do nas młodszy brat Cyclerona, Kwintus, jego kuzyn Lucjusz i dwaj jego przyjaciele: Serwiusz, pedantyczny adwokat, pragnący zostać sędzią, i Attykus

– elegancki, czarujący Attykus – który nie interesował się retoryką, gdyż mieszkał w Atenach i z pewnością nie planował kariery politycznej, ale lubił spędzać czas w towarzystwie Cyncerona. Wszyscy zdumiewali się zmianami w wyglądzie i stanie zdrowia Cyncerona. W czasie ostatniego wieczoru razem – gdyż była już jesień i należało wracać do Rzymu – zebrali się, żeby posłuchać, jakie skutki przyniosły nauki Molona.

Bardzo chciałbym przypomnieć sobie, o czym mówił Cyncero tego wieczoru po kolacji, ale obawiam się, że jestem doskonałym potwierdzeniem słuszności cynicznej opinii Demostenesa: treść nie ma znaczenia, liczy się tylko występ. Stałem dyskretnie w cieniu, tak abym nie był widoczny, i teraz mogę sobie tylko przypomnieć émy wirujące wokół pochodni niczym płatki popiołu, niezliczone gwiazdy nad dziedzińcem i zachwycone, oświetlone ogniem twarze młodych mężczyzn, w skupieniu słuchających Cyncerona. Zapamiętałem natomiast, co potem powiedział Molon, gdy jego uczeń skłonił się wyobrażonemu sądowi i usiadł. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wreszcie wstał Molon.

– Cynceronie, gratuluję ci – powiedział ochryplym głosem. – Wprowadziłeś mnie w zdumienie. Przykro mi tylko ze względu na Grecję i jej los. Jedynym tytułem do chwały, jaki nam pozostał, była przewaga w sztuce wymowy. Dziś odebrałeś nam i to. Wracaj – zakończył, wskazując ręką z trzema wyprostowanymi palcami ponad oświetlonym tarasem w kierunku ciemnego, rozległego morza – Wracaj, mój chłopcze, i podbij Rzym.

Doskonale. Łatwo powiedzieć, jak jednak to zrobić? Jak „podbić Rzym”, nie mając żadnej broni poza własnym głosem?

Pierwszy krok jest oczywisty: trzeba zostać senatorem.



W tym czasie, żeby zostać senatorem, trzeba było mieć co najmniej trzydzieści jeden lat i być milionerem. Ściśle mówiąc, należało pokazać władzom wyborczym aktywa warte milion sestercji, żeby w ogóle móc kandydować w lipcowych wyborach, kiedy wybierano dwudziestu nowych senatorów, mających zastąpić tych, którzy zmarli lub zbiednieli i nie mogli utrzymać swych stołków. Skąd jednak Cycero miał wziąć milion sestercji? Jego ojciec z pewnością nie dysponował takimi pieniędzmi: majątek rodziny był niewielki i poważnie obciążony długami hipotecznymi. Miał zatem trzy tradycyjne rozwiązania. Zarobienie takiej kwoty trwałoby jednak zbyt długo, a kradzież byłaby zbyt ryzykowna. Wobec tego, wkrótce po powrocie z Rodos, ożenił się z milionem. Terencja miała siedemnaście lat, była płaska jak chłopiec i miała krótkie, czarne, mocno kręcone włosy. Jej przyrodnia siostra była westalką, co świadczyło o wysokiej pozycji społecznej rodziny. Co ważniejsze, była właścicielką dwóch kwartałów slumsów w Rzymie, lasu na przedmieściu i gospodarstwa: w sumie było to warte milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy sestercji. (Ach, Terencja: brzydka, wielkopańska i bogata – była swoistym majstersztykiem! Widziałem ją kilka miesięcy temu, jak podróżowała w otwartej lektyce przybrzeżną drogą do Neapolu. Wrzeszczała na nosicieli, żeby się pośpieszyli. Miała siwe włosy i orzechową skórę, ale poza tym niewiele się zmieniła).

W ten sposób, gdy nadeszła pora, Cycero został senatorem – zdobył pierwsze miejsce w wyborach, gdyż teraz był uważany za drugiego najlepszego adwokata w Rzymie, po Hortensjuszu. Nim objął swoje miejsce w senacie, musiał zaliczyć obowiązkową roczną służbę urzędniczą. Został wysłany na Sycylię. Oficjalnie był kwestorem, czyli zajmował najniższe miejsce w urzędniczej hierarchii. Urzędnikom pełniącym służbę nie mogły

towarzyszyć żony, dlatego Terencja została w domu – nie wątpię, że Cycleronowi sprawiło to prawdziwą ulgę. Ja natomiast pojechałem razem z nim, gdyż teraz już byłem jakby przedłużeniem jego osoby. Posługiwał się mną zupełnie bezwiednie, jak dodatkową ręką lub nogą. Stałem się nieodzowny między innymi dlatego, że opracowałem metodę zapisywania jego słów w takim tempie, w jakim je wypowiadał. Od skromnych początków – mogę się pochwalić, że to ja wynalazłem znak & – mój system stopniowo się rozwijał, aż w ostatecznej postaci liczył jakieś cztery tysiące symboli. Na przykład zauważyłem, że Cycero często powtarzał te same zwroty i zapisywałem je w skrócie, w postaci jednej linijki lub nawet tylko kilku znaków. W ten sposób dowiodłem, co wszyscy i tak wiedzą, że politycy w kółko powtarzają to samo. Cycero dyktował podczas kąpieli i leżąc w łóżku, jadąc w kiwającej się lektyce i spacerując. Nigdy nie brakowało mu słów, a mnie nigdy nie zabrakło symboli, żeby je schwycić w locie i utrwalić. Byliśmy dla siebie stworzeni.

Wróćmy jednak na Sycylię. Proszę się nie niepokoić: nie będę szczegółowo opisywał naszych zajęć. Jak niemal wszystkie działania polityczne, była to żmudna i nudna robota nawet wtedy, gdy ją wykonywaliśmy, a co dopiero po sześćdziesięciu latach! Godna pamięci i znacząca była natomiast podróż powrotna. Cycero celowo opóźnił powrót o miesiąc, przełożył podróż z marca na kwiecień, tak aby przepłynąć koło Puteoli w czasie przerwy w obradach senatu, gdy cała polityczna elita przebywała u wód w Zatoce Neapolitańskiej. Poleciał mi, żebym wynajął najpiękniejszą dwunastowiosłową łódź, jaką uda mi się znaleźć, gdyż chciał efektownie wpłynąć do portu, po raz pierwszy mając na sobie purpurową obramowaną togę senatora Republiki Rzymskiej.

Cycero zdołał bowiem siebie przekonać, że skoro odniósł tak

wielkie sukcesy na Sycylii, to na nim muszą być skupione oczy wszystkich w Rzymie. Na setkach dusznych sycylijskich placów targowych, w cieniu tysięcy zakurzonych sycylijskich drzew z gniazdami os, bezstronnie i z godnością ferował sprawiedliwe wyroki w imieniu Rzymu. Zakupił rekordową ilość zboża, żeby wykarmić wyborców w stolicy, i sprzedał je za rekordowo niską cenę. Jego przemówienia na oficjalnych uroczystościach były arcydziełem taktu. Udawał nawet zainteresowanie rozmowami lokalnych mieszkańców. Wiedział, że dobrze sobie poradził, i chętnie się swoimi osiągnięciami w niezliczonych oficjalnych sprawozdaniach dla senatu. Muszę przyznać, że niekiedy je tonowałem przed przekazaniem kurierom. Starłem się też mu zasugerować, że być może Sycylia nie jest pępkiem świata, ale on nie zwracał na to uwagi.

Widzę go teraz, jak stoi na dziobie, wpatrując się w nabrzeże Puteoli, gdy wracaliśmy do Italii. Zastanawiam się, czego oczekiwał. Że w porcie powita go orkiestra? Delegacji konsularnej z wieńcem laurowym? Na nabrzeżu rzeczywiście był tłum, ale nikt na niego nie czekał. Hortensjusz, który myślał już o konsulacie, wyprawił wielki bankiet na kilkunastu zakotwiczonych obok siebie kolorowych statkach i goście czekali na łodzie, które miały ich przewieźć. Gdy Cycero zszedł na ląd, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Rozejrzał się dookoła, zaskoczony i zdumiony. W tym momencie kilku gości dostrzegło jego nowiutką senatorską lamówkę togi.

Podeszli pośpiesznie. Cycero skrzyżował ramiona, pełen przyjemnego oczekiwania.

– Senatorze! – krzyknął jeden z nich. – Co nowego w Rzymie?

– Nie przybywam z Rzymu, dobry człowieku – odrzekł Cycero. Jakoś zdołał zachować uśmiech. – Wracam ze swej prowincji.

– Och! – westchnął rudy mężczyzna, niewątpliwie już dobrze pijany. – Dobry człowieku! On wraca z prowincji...

Ktoś parsknął śmiechem, ale zaraz się powstrzymał.

– Co w tym takiego śmiesznego? – wtrącił ktoś z boku, chcąc załagodzić sytuację. – Nie wiecie? On był w Afryce.

– Na Sycylii – sprostował Cyncero z heroicznym uśmiechem.

Pewnie jeszcze były inne rozmowy w tym stylu. Nie pamiętam. Gdy ludzie zdali sobie sprawę, że Cyncero nie przywiózł żadnych plotek z Rzymu, zaczęli się rozchodzić. Wkrótce pojawił się Hortensjusz i wskazał swym gościom łodzie. Skłonił się Cynceronowi dość uprzejmie, ale nie zaprosił go na bankiet. Zostaliśmy sami.

Można byłoby pomyśleć, że to banalny incydent, ale Cyncero zwykł powtarzać, że to właśnie wtedy powziął twarde postanowienie, iż zrealizuje swoje ambicje. Został upokorzony przez własną pychę i brutalnie się przekonał, jak niska jest jego pozycja w świecie. Stał na nabrzeżu dłużej chwilę, przyglądając się, jak Hortensjusz i jego goście bawią się na statkach, nasłuchując wesołej muzyki fletów, a gdy się odwrócił, był już innym człowiekiem. Nie przesadzam. Widziałem to w jego oczach. Bardzo dobrze – zdawał się mówić. – Bawcie się, głupcy. Ja będę pracował.

„Jestem skłonny sądzić, panowie, że to doświadczenie było dla mnie cenniejsze, niż gdyby powitała mnie burza oklasków. Od tej pory przestałem rozważać, co o mnie usłyszy świat: od tego dnia starałem się, żebym każdego dnia był widziany. Żyłem na oczach publiczności. Często przychodziłem na forum. Ani mój odźwierny, ani mój sen nie przeszkodzili nikomu spotkać się ze mną. Nawet gdy nie miałem nic do zrobienia, nie było tak, żebym nic nie robił, dlatego absolutny odpoczynek był dla mnie czymś, czego nigdy nie znałem”.

Niedawno znalazłem ten fragment w jednym z jego przemówień i mogę potwierdzić, że jest zgodny z prawdą. Opuścił port jak lunatyk i przeszedł przez całe Puteoli na główną drogę, nie oglądając się ani razu za siebie. Podążałem za nim, niosąc tyle bagaży, ile zdołałem wziąć. Początkowo szedł powoli i z namysłem, ale stopniowo przyspieszał, aż wreszcie maszerował w kierunku Rzymu tak szybko, że z trudem za nim nadążałem.

W tym miejscu kończy się mój pierwszy zwój papirusu i zaczyna prawdziwa historia Marka Tulusza Cyncerona.

## II

Dzień, który miał się okazać punktem zwrotnym, rozpoczął się jak każdy inny, godzinę przed świtem. Jak zawsze Cycero wstał pierwszy. Ja leżałem jeszcze przez chwilę w ciemnościach i słuchałem skrzypienia desek podłogowych nad głową, gdy on wykonywał ćwiczenia, których nauczył się na Rodos – od tej podróży minęło już sześć lat. Potem stoczyłem się z siennika i umyłem twarz. To był pierwszy dzień listopada, było zimno.

Cycero miał skromny piętrowy dom na Eskwilinie, wciśnięty między świątynię i dzielnicę mieszkaniową. Gdyby ktoś pofatygował się i wszedł na dach, mógłby w nagrodę zobaczyć niezły widok całej zadymionej doliny, z wielkimi świątyniami na Kapitolu pół mili na zachód. W rzeczywistości dom należał do jego ojca, ale starszemu panu nie dopisywało zdrowie, dlatego rzadko już przyjeżdżał ze wsi i Cycero zajmował cały dom. Mieszkał z żoną Terencją, pięcioletnią córką Tulią i kilkunastoma niewolnikami: mną, Sositeuszem i Laureą, dwoma sekretarzami pracującymi pod moim kierownictwem, Erosem – zarządcą, Filotimusem – administratorem majątku Terencji, dwiema pokojówkami, nianią, kucharzem, lokajem i odźwiernym. Był jeszcze

stary, ślepy filozof Diodotus Stoik, który niekiedy opuszczał swój pokój i jadł kolację z Cynceronem, gdy jego pan pragnął intelektualnych ćwiczeń. W sumie zatem w domu było piętnaście osób. Terencja nieustannie narzekała na ciasnotę, ale Cyncero nie chciał się przeprowadzić, gdyż wówczas był jeszcze w fazie „człowieka ludu” i ten dom dobrze pasował do takiego wizerunku.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem tego ranka, tak jak to czyniłem codziennie, było owinięcie wokół nadgarstka pętli ze sznurka, z przyczepionym do drugiego końca niewielkim notesem, który sam obmyśliłem. Notes miał nie jedną lub dwie tabliczki woskowe jak zwykle, lecz cztery, i to dwustronne. Każda była umieszczona w bardzo cienkiej ramie z buczynowego drewna, połączonej z pozostałymi zawiasami, tak że mogłem je rozkładać i zamykać. Dzięki temu podczas jednej sesji dyktowania zapisywałem znacznie więcej tekstu niż przeciętny sekretarz. To jednak nie wystarczało: Cyncero każdego dnia wyrzucał z siebie taki potok słów, że zawsze nosiłem w kieszeniach zapasowe tabliczki. Następnie zaciągnąłem zasłonę w wejściu do mojego maleńkiego pokoju i przeszedłem przez dziedziniec do tablinum, gdzie zapaliłem lampy i sprawdziłem, czy wszystko jest gotowe. Jedyнным meblem był kredens pod ścianą, na którym stała misa z ciecierzycą\*. Mój pan wierzył, że nietypowe nazwisko jest politycznym atutem, dlatego zawsze usilnie starał się zwrócić na nie uwagę). Gdy byłem już pewny, że wszystko jest w porządku, udałem się przez atrium do holu wejściowego, gdzie czekał już odźwierny z ręką na wielkim, metalowym zamku. Wyjrzałem przez wąskie okno, a kiedy stwierdziłem, że jest już dostatecznie widno, skinąłem głową odźwiernemu, który odciągnął zasuwę.

\* Po łacinie *cicera*.

Na ulicy, w porannym chłdzie, jak zwykle czekał już tłum nieszczęśników i biedaków. Notowałem nazwiska wszystkich

przekraczających próg. Większość znałem, kilku musiałem spytać o nazwisko. Paru, stanowiących zupełnie beznadziejne przypadki, kazałem odejść, ale ponieważ obowiązywała instrukcja „Jeśli ktoś ma prawo głosu, należy go wpuścić”, to już wkrótce całe tablinum wypełnili klienci, domagający się choć odrobiny czasu senatora. Postąłem chwilę przy wejściu, aż uznałem, że wszyscy oczekujący weszli. Miałem się cofnąć, gdy w drzwiach pojawiła się jakaś postać w brudnym ubraniu, z potarganymi włosami i nieporządną brodą. Nie wstydzę się przyznać, że się przestraszyłem.

– Tiron! – wykrzyknął. – Dzięki bogom!

Nieznajomy oparł się ciężko o ościeżnicę i wpatrywał się we mnie jasnymi, martwymi oczami. Był niewątpliwie wyczerpany. Przypuszczam, że miał jakieś pięćdziesiąt lat. W pierwszej chwili nie mogłem go sobie przypomnieć, ale jednym z zadań sekretarza polityka jest kojarzenie twarzy z nazwiskami, dlatego po pewnym czasie, mimo jego stanu, w moim umyśle zaczął się kształtować pewien obraz: duży dom na brzegu morza, ozdobny ogród, zbiór posągów z brązu, miasto gdzieś na północy Sycylii. Tak, to było Thermae.

– Steniusz z Thermae! – powiedziałem, wyciągając do niego rękę. – Witam.

Nie do mnie należało komentowanie jego wyglądu, wypytywanie, co robi setki mil od domu, i to w tak kiepskim stanie. Zostawiłem go w tablinum i udałem się do gabinetu Cyclerona. Senator tego ranka miał wystąpić w sądzie w obronie młodzieńca oskarżonego o ojcobójstwo, a po południu czekała go sesja senatu. Teraz ścisnął niewielką piłeczkę ze skóry, żeby wzmocnić palce, podczas gdy lokaj układał fałdy jego togi. Jednocześnie słuchał, jak młody Sositeusz czyta list, i dyktował wiadomość Laureowi, którego nauczyłem podstaw stenografii. Gdy



wszedłem, rzucił do mnie piłkę – odruchowo ją złapałem – po czym wyciągnął rękę po listę. Jak zwykle czytał ją łapczywie. Kogo złowił tej nocy? Jakiegoś znanego obywatela z użytecznej *tribus*? Może Sabatini? Może Pomptini? A może jakiegoś przedsiębiorcę, który jest dostatecznie bogaty, żeby głosować w pierwszych centuriach w wyborach konsulów? Dziś jednak na liście były same płotki i jego twarz stopniowo się wydłużała, aż wreszcie doszedł do ostatniego nazwiska.

– Steniusz? – Przerwał dyktowanie. – To ten Sycylijszyk, nieprawdaż? Ten bogaty, z posągami z brązu? Lepiej przekonajmy się, czego chce.

– Sycylijszycy nie mają prawa głosu – przypomniałem.

– *Pro bono* – odpowiedział z kamienną twarzą. – Poza tym ma te wszystkie brązy. Niech wejdzie pierwszy.

Wprowadziłem Steniusza. Cycero powitał go w rutynowym stylu – firmowy uśmiech, męski uścisk dłoni, długie i szczere spojrzenie w oczy – a następnie zaprosił, żeby usiadł, i spytał gościa, co sprowadza go do Rzymu. Stopniowo przypominałem sobie, kto to taki. Gościliśmy u niego dwukrotnie w *Thermae*, gdy Cycero przewodniczył sądowi. Wtedy był jednym z najważniejszych obywateli prowincji, ale teraz po jego energii i pewności siebie nie pozostały nawet ślady. Potrzebował pomocy – powiedział. Zagrażała mu ruina i straszne niebezpieczeństwo. Został obrabowany.

– Naprawdę? – spytał Cycero. Spoglądał na dokument leżący na stole, nie słuchając Steniusza zbyt uważnie, gdyż wzięty adwokat często ma okazję wysłuchiwać opowieści o ludzkich nieszczęściach. – Szczerze ci współczuję. Kto cię obrabował?

– Namiestnik Sycylii, Gajusz Werres.

Senator rzucił mu ostre spojrzenie.

Teraz już nic nie mogło powstrzymać Steniusza. Gdy opowiadał, Cycero zerknął na mnie i ledwo zauważalnym ruchem

brwi polecił, żebym notował – chciał mieć to na piśmie. Gdy Steniusz na chwilę przerwał, żeby wziąć oddech, Cycero przerwał mu łagodnie i poprosił, żeby się nieco cofnął, do tego dnia niemal trzy miesiące wcześniej, kiedy otrzymał pierwszy list od Werresa.

– Jak zareagowałeś?

– Nieco się zaniepokoiłem. On już miał... no, reputację. Ludzie go przezywają Dzik z krwią na pysku, bo jego nazwisko znaczy przecież dzik. Nie mogłem jednak odmówić.

– Zachowałeś ten list?

– Tak.

– A czy Werres w tym liście wspomina wprost o twojej kolekcji dzieł sztuki?

– Och, tak. Napisał, że wiele słyszał o moich zbiorach i chciałby je zobaczyć.

– Ile czasu minęło od listu do jego przyjazdu?

– Niewiele. Najwyżej tydzień.

– Czy przyjechał sam?

– Nie, w eskorcie liktorów. Musiałem znaleźć dla nich miejsce na nocleg. Ochroniarze to zawsze brutalne typy, ale to byli najwięksi łajdacy, jakich w życiu widziałem. Ich dowódca, Sekstiusz, jest jego katem i wykonuje wyroki na całej Sycylii. Żąda od ofiar łapówek, grożąc im, że sknoci robotę – wiesz, będzie ich męczył – jeśli nie zapłacą z góry. – Steniusz przełknął ślinę. Ciężko dyszał. Czekaliśmy, co powie dalej.

– Nie śpiesz się – wtrącił Cycero.

– Myślałem, że Werres będzie chciał się wykąpać po podróży, a potem moglibyśmy zjeść kolację, ale nie, on chciał od razu zobaczyć moją kolekcję.

– Pamiętam, że masz wiele pięknych dzieł.

– To było całe moje życie, senatorze. Nie mogę tego prościej powiedzieć. Trzydzieści lat podróży i targów. Korynckie

i delijskie brązy, obrazy, srebro – wszystkie prace sam wybrałem i przywiozłem. Miałem *Dyskobola* Myrona i *Doryforosa* Polikleta. Kilka srebrnych pucharów Mentora. Werres chwalił moje zbiory. Powiedział, że kolekcja zasługuje, aby podziwiała ją szersze grono. Jego zdaniem powinna być wystawiona publicznie. Nie zwracałem na to większej uwagi, aż usiedliśmy na tarasie do kolacji i dobiegły mnie krzyki z wewnętrznego dziedzińca. Zarządca powiedział mi, że przyjechały wozy ciągnięte przez woły i liktorzy Werresa ładowali na nie wszystkie dzieła.

Steniusz znowu zamilkł. Łatwo mogłem sobie wyobrazić upokorzenie, jakie przeżył ten dumny mężczyzna: płacząca żona, naruszony mir domowy, ślady na posadzce w miejscach, gdzie przedtem stały posągi. W gabinecie panowała cisza, słychać było tylko stukot mojego rylca o tabliczkę.

– Złożyłeś skargę? – spytał Cycero.

– Do kogo? Do namiestnika? – Steniusz się zaśmiał. – Nie, senatorze. Przecież żyłem, nieprawdaż? Gdyby zostawił mnie w spokoju, przełknąłbym straty i nie usłyszałbyś ode mnie słowa skargi. Jednak kolekcjonowanie może stać się chorobą, a mogę cię zapewnić, że Werres jest poważnie chory. Pamiętasz te posągi na miejskim placu?

– Tak, pamiętam. Trzy piękne brązy. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że też je ukradł?

– Próbował. Trzeciego dnia pobytu pod moim dachem. Spytał mnie, do kogo należą. Wyjaśniłem mu, że już od wieków są własnością miasta. Wiesz, że mają już czterysta lat? Odrzekł, że chciałby otrzymać zgodę na przeniesienie ich do swej rezydencji w Syrakuzach. Chciał je wypożyczyć, tak jak moje. Zażądał, żebym zwrócił się do władz miasta w tej sprawie. Wiedziałem już, jakim jest człowiekiem, więc odpowiedziałem, że nie mogę spełnić jego życzenia. Wieczorem wyjechał. Kilka dni później

otrzymałem wezwanie na rozprawę na piątego października. Oskarżono mnie o oszustwo.

– Kto wniósł oskarżenie?

– Mój wróg, niejaki Agatinus. To klient Werresa. W pierwszej chwili myślałem, żeby mu stawić czoło w sądzie. Jeśli chodzi o moją uczciwość, nie mam się czego lękać. Nigdy w życiu nie sfalszowałem żadnego dokumentu. Później jednak dowiedziałem się, że sędzią ma być sam Werres i już zdecydował, jaką wymierzy mi karę. Miałem otrzymać chłostę w miejscu publicznym, jako karę za bezczelność.

– Wobec tego uciekłeś?

– Jeszcze tego samego wieczoru popłynąłem statkiem wzdłuż wybrzeża do Mesyny.

Cycero oparł podbródek na rękę i przyglądał się Steniuszowi. Znałem ten gest. Oceniał świadka.

– Powiedziałeś, że rozprawa była wyznaczona na piątego października. Czy wiesz, co się stało?

– Właśnie dlatego tu jestem. Zostałem skazany zaocznie na chłostę i grzywnę. Mam zapłacić pięć tysięcy. Sytuacja jest jednak znacznie gorsza. Podczas rozprawy Werres oświadczył, że uzyskano nowe dowody przeciw mnie, tym razem dotyczące szpiegostwa na rzecz buntowników w Hiszpanii. Pierwszego grudnia ma się odbyć kolejny proces w Syrakuzach.

– Szpiegostwo to zbrodnia karana śmiercią.

– Senatorze – proszę mi wierzyć – on chce mnie ukrzyżować. Otwarcie się przechwalał, że do tego doprowadzi. Nie będę jego pierwszą ofiarą. Potrzebuję pomocy. Proszę. Czy pomożesz mi?

Pomyślałem, że Steniusz za chwilę rzuci się na kolana i zacznie całować stopy senatora. Cycero też chyba o tym pomyślał, bo szybko wstał i zaczął krążyć po gabinecie.

– Wydaje mi się, że ta sprawa ma dwa różne aspekty – powiedział. – Pierwszy to kradzież twojej własności. Szczerze

mówiąc, nie wiem, co tu można poradzić. Jak myślisz, dlaczego tacy ludzie jak Werres chcą być namiestnikami? Ponieważ wiedzą, że mogą zagarnąć wszystko, czego zapragną, w granicach rozsądku. Drugi aspekt to manipulowanie wymiarem sprawiedliwości. To wydaje się bardziej obiecujące.

Znam wielu znakomitych prawników sycylijskich. Jeden mieszka w Syrakuzach. Jeszcze dziś napiszę do niego z prośbą, żeby wyświadczył mi wielką przysługę i przyjął twoją sprawę. Przekażę mu również, co moim zdaniem powinien zrobić. Powinien zwrócić się do sądu o uznanie zapowiedzianego procesu za nieważny, ponieważ nie jesteś obecny i nie możesz odpowiedzieć na zarzuty. Jeśli to nie pomoże i Werres postawi na swoim, twój adwokat powinien przyjechać do Rzymu i złożyć wnioski o uznanie, że wyrok został wydany z naruszeniem prawa.

– Gdyby chodziło tylko o znalezienie adwokata w Syrakuzach, senatorze, nie przyjechałbym aż do Rzymu – odpowiedział Sycylijczyk, kręcąc głową.

Cycero wiedział, do czego prowadzi ta rozmowa i wcale mu się to nie podobało, co łatwo dostrzegłem. Taka sprawa mogła mu zająć wiele dni, całkowicie zablokować praktykę, a jak sam mu przypomniałem, Sycylijczycy nie mieli prawa głosu. To rzeczywiście byłaby sprawa *pro bono*!

– Słuchaj – powiedział, starając się dodać mu otuchy. – Twoja sprawa wygląda bardzo dobrze. Werres jest niewątpliwie skorumpowany. Nadużywa gościnności. Kradnie. Wnosi fałszywe oskarżenia. Spiskuje, żeby doprowadzić do mordu sądowego. Jego stanowisko jest nie do obrony. Naprawdę, z tym z łatwością poradzi sobie adwokat z Syrakuz. Obiecuję. Teraz, jeśli mi wybaczysz, muszę jeszcze przyjąć wielu klientów, a za niecałą godzinę mam się pojawić w sądzie.

Cycero kiwnął głową w moim kierunku. Podeszedłem i położyłem rękę na ramieniu Steniusza, żeby go wyprowadzić. Sycylijczyk ją stracił.

- Potrzebuję cię – nalegał.
- Dlaczego?
- Gdyż tylko tutaj mogę liczyć na sprawiedliwość, nie na Sycylii, gdzie Werres kontroluje wszystkie sądy. A wszyscy mnie przekonują, że Marek Tulliusz Cyncero jest drugim najlepszym prawnikiem w Rzymie.
- Doprawdy? – W głosie Cyncerona zabrzmiała nutka sarkazmu. Nie cierpiał tego epitetu. – Czemu zatem chcesz się zadowolić drugim najlepszym? Czemu nie udasz się prosto do Hortensjusza?
- Myślałem o tym – odrzekł prostodusznie gość. – On jednak się nie zgodził. Reprezentuje Werresa.

Odprowadziłem Sycylijczyka do wejścia, a gdy wróciłem, zastałem Cyncerona samego w gabinecie. Siedział odchyłony do tyłu, wpatrywał się w ścianę i przerzucał skórzaną piłkę z ręki do ręki. Na stole leżały rozrzucone prawnicze podręczniki. Otworzył *Precedensy w obronie Hostiliusza*, a obok leżała praca *Warunki sprzedaży Maniliusza*.

– Pamiętasz tego rudego pijaka na nabrzeżu w Puteoli, tego dnia, kiedy wróciliśmy z Sycylii? „Och! Dobry człowieku! On wraca z prowincji...”

Kiwnąłem głową.

– To był Werres. – Piłeczka wędrowała z ręki do ręki, z ręki do ręki. – Ten człowiek potrafi zepsuć imię korupcji.

– Jestem szczerze zdziwiony, że Hortensjusz wszedł z nim w spółkę.

– Jesteś? Ja nie. – Cyncero przestał bawić się piłką i przyjrzał się swej wyciągniętej dłoni. – Mistrz tańca i Dzik... – mruknął z namysłem. – Człowiek w mojej sytuacji musiałby być szaleńcem,

żeby wdawać się w walkę z sojuszem Hortensjusza i Werresa, i to wyłącznie po to, żeby pomóc jakiemuś Sycylijczykowi, który nawet nie ma rzymskiego obywatelstwa.

– To prawda.

– To prawda – powtórzył, ale w jego głosie słychać było dziwne wahanie. Czasami myślę, że już wtedy dostrzegł całość – cały niezwykle zbiór możliwości i konsekwencji, ułożony niczym mozaika w jego umyśle. Jeśli tak, to nie dowiedziałem się tego, gdyż w tym momencie wbiegła jego córeczka Tulia, ubrana jeszcze w koszulę nocną, z jakimś dzieciennym rysunkiem, który chciała mu pokazać. Nagle cała jego uwaga skupiła się na dziecku. Podniósł ją i posadził na kolanach.

– To ty narysowałaś? Naprawdę zrobiłaś to sama...?

Zostawiłem go i wymknąłem się do tablinum, żeby obwieścić, że mamy spóźnienie i senator za chwilę wychodzi do sądu. Steniusz wciąż się kręcił po tablinum z nieszczęśliwą miną. Spytał mnie, kiedy może oczekiwać odpowiedzi. Mogłem mu tylko odrzec, że musi poczekać tak jak inni. Po chwili pojawił się Cycero. Prowadził Tulię za rękę i kłaniał się wszystkim na powitanie, każdego pozdrawiając po imieniu („To pierwsza reguła polityki, Tironie: nigdy nie zapominaj twarzy”). Jak zawsze był nienagannie wystrojony: włosy posmarowane pomadą i zaczesane do tyłu, skóra uperfumowana, toga świeżo wyprana, czerwone, skórzane buty starannie wyglansowane, twarz opalona na brąz wskutek częstych wystąpień na świeżym powietrzu; zadbane, szczupły, sprawny: po prostu promieniał. Klienci poszli za nim do westybulu. Tam podniósł uśmiechniętą dziewczynkę, pokazał ją wszystkim, po czym głośno pocałował w usta. Rozległo się przeciągłe „Ach-ach!” i pojedyncze oklaski. Nie było to wyłącznie przedstawienie – Cycero zachowałby się tak samo, nawet gdyby nikogo nie było, ponieważ kochał Tulię bardziej niż kogokolwiek innego w całym swoim życiu – ale

wiedział również, że rzymscy wyborcy są sentymentalni i jeśli rozejdzie się plotka o jego ojcowskich uczuciach, to na pewno mu to nie zaszkodzi.

Wyszliśmy zatem w obiecujący, pogodny listopadowy poranek, pogrążając się w narastającym zgiełku miasta. Cycero szedł pierwszy, ja obok niego, z notesem pod ręką. Sositeusz i Laurea za nami, niosąc zwój dokumentów, których potrzebował w sądzie. Po obu stronach towarzyszyło nam kilkunastu różnych klientów, między innymi Steniusz, którzy mieli nadzieję, że senator zwróci na nich uwagę, ale też byli dumni, że znaleźli się w jego blasku. Zeszliśmy z zielonego, szacownego Eskwilinu do zadymionej, śmierdzącej, wrzaskliwej Subury. Tutaj wysokie kamienice czynszowe zasłaniały słońce, a tłum ścisnął towarzyszącą nam falangę w cienką, przerywaną nić, która jednak uparcie ciągnęła za nami. Cycero był tu dobrze znaną postacią, bohaterem sklepikarzy i kupców, których interesów bronił. Od lat widywali go, jak idzie ulicą. Ani na chwilę nie przerwał szybkiego marszu, ale jego niebieskie oczy dostrzegały każdą pochyloną głowę, każde pozdrowienie. Rzadko musiałem szeptać mu do ucha nazwisko, ponieważ znał swoich wyborców znacznie lepiej niż ja.

Nie wiem, jak jest obecnie, ale wówczas na forum istniało sześć lub siedem trybunałów, sesje trwały prawie bez przerwy, a zatem o godzinie, gdy rozpoczynały pracę, trudno było się przecisnąć między kręcącymi się wszędzie adwokatami i urzędnikami. Co gorsza pretor każdego sądu przybywał z domu w eskortie sześciu liktorów, którzy robili mu drogę w tłumie, a tak się złożyło, że nasz niewielki orszak dotarł na forum dokładnie w tym momencie, gdy Hortensjusz – w tym czasie będący pretorem – defilował w stronę senatu. Strażnicy nas zatrzymali, żeby wielki człowiek mógł swobodnie przejść. Do dziś nie sądzę, że Hortensjusz umyślnie zlekceważył Cyncerona, gdyż był to człowiek



o wytwornych, niemal zniewieściałych manierach – po prostu go nie zauważył. Jednak tak się stało, że tak zwany drugi najlepszy adwokat rzymski mógł tylko wpatrywać się w plecy oddalającego się pierwszego, z serdecznymi słowami powitania zamartwionymi na ustach. Jego spojrzenie wyrażało tak intensywną niechęć, że dziwię się, iż Hortensjusz nie podrapał się między łopatkami.

Tego ranka mieliśmy sprawę w sądzie karnym przy Bazylice Emiliańskiej, gdzie odbywał się proces piętnastoletniego Gajusza Popiliusza Lenasa, oskarżonego o to, że wbił ojcu w oko metalowy rysik i w ten sposób go zabił. Już z daleka dostrzegłem wielki tłum wokół trybunału. Cycero miał wygłosić mowę końcową, co samo w sobie było dostateczną atrakcją. Gdyby jednak nie udało mu się przekonać sędziów, Popiliusz jako ojcobójca zostałby rozebrany do naga, wychłostany do krwi, a następnie zaszyty w worze z psem, kogutem i żmiją i wrzucony do Tybru. W powietrzu czuć było pragnienie krwi. Gdy widzowie się rozstąpili, żeby nas przepuścić, dostrzegłem Popiliusza, młodzieńca znanego z gwałtowności i skłonności do przemocy. Jego ciemne brwi łączyły się nad nosem, tworząc ciągłą linię. Siedział obok wuja na ławce zarezerwowanej dla obrony, gniewnie i wyzywająco rozglądał się dookoła i pluł na wszystkich, którzy podeszli zbyt blisko. „Musimy wywalczyć uniewinnienie – zauważył Cycero – choćby ze względu na psa, koguta i żmiję, które w przeciwnym razie czeka męka, jaką będzie zaszycie w jednym worze z Popiliuszem”. Zawsze twierdził, że adwokata nie powinno interesować, czy jego klient jest winny, czy nie – to sprawa sądu. On tylko zobowiązał się zrobić wszystko, co leży w jego mocy, żeby obronić oskarżonego, a w zamian Popiliusze Leniusze, których ród mógł się pochwalić czterema konsulami, mieli popierać go, gdy będzie się ubiegał o urząd z wyboru.

Sositeusz i Laurea złożyli skrzynki z dowodami. Pochyliłem się, żeby rozwiązać najbliższe, ale Cycero mnie powstrzymał.

– Oszczędź sobie fatygi – powiedział, stukając palcem w skroń. – Mam całe przemówienie w głowie. – Przerwał i uprzejmie przywitał się z klientem. – Dzień dobry, Popiliuszu. Ufam, że wkrótce załatwimy tę sprawę. – Znowu zwrócił się do mnie, mówiąc niemal szeptem. – Mam dla ciebie ważniejsze zadanie. Daj mi twój notes. Chcę, żebyś poszedł do senatu, znalazł naczelnika kancelarii i sprawdził, czy może to umieścić w porządku obrad na dzisiejsze popołudnie. – Cycero szybko pisał. – Nie mów jeszcze nic naszemu przyjacielowi z Sycylii. To niebezpieczna sprawa. Musimy postępować ostrożnie, krok po kroku.

Dopiero po wyjściu z sądu, gdy byłem w połowie drogi przez forum do budynku senatu, odważyłem się przeczytać, co napisał: „Zdaniem tej izby, sądenie zaocznie osób oskarżonych o zbrodnie zagrożone karą śmierci w prowincjach powinno być zakazane”. Poczulem ucisk w piersiach, ponieważ od razu pojąłem, co to oznacza. Sprytnie, pośrednio, Cycero przygotowywał grunt do walki ze swym wielkim rywalem. Niosłem do senatu deklarację wojenną.

W listopadzie obradom senatu przewodniczył konsul Geliusz Publikola. Był to szorstki, rozkosznie głupi dowódca wojskowy ze starej szkoły. Mówiono, a w każdym razie opowiadał to Cycero, że gdy dwadzieścia lat temu Geliusz wkroczył ze swą armią do Aten, zaproponował mediację w sporach między przeciwnymi szkołami filozoficznymi: chciał zwołać konferencję, na której raz na zawsze ich przedstawiciele rozstrzygną kwestie sensu życia i oszczędzą sobie dalszych jałowych sporów. Dość dobrze znałem jego sekretarza. Porządek obrad był bardzo krótki, senatorzy mieli tylko zapoznać się z raportem o sytuacji

militarnej, dlatego zgodził się on dodać do porządku wniosek Cyncerona. „Możesz jednak ostrzec swojego pana – powiedział – że konsul słyszał jego dowcip o filozofach i nie był nim zachwycony”.

Gdy wróciłem do sądu karnego, Cyncero był już w połowie swojej mowy końcowej. Nie było to jedno z przemówień, które postanowił zachować, dlatego niestety nie mam tekstu. Pamiętam tylko, że wygrał sprawę zręcznym wybiegiem: obiecał, że młody Popiliusz, jeśli zostanie uniewinniony, poświęci całe życie służbie wojskowej – tą obietnicą zaskoczył oskarżyciela, sąd i swego klienta. Ten wybieg okazał się jednak skuteczny, a gdy wyrok zapadł, Cyncero natychmiast ruszył w stronę senatu, nie marnując ani chwili na rozmowę ze strasznym Popiliuszem lub na przegryzienie czegośkolwiek. Nadal towarzyszył mu orszak wielbicieli; ich liczba jeszcze wzrosła, gdyż rozeszła się plotka, że wielki adwokat ma jeszcze wygłosić kolejną mowę.

Cyncero zwykł mówić, że sprawy republiki są w rzeczywistości załatwiane nie w izbie senatu, lecz na otwartym dziedzińcu zwanym senaculum, gdzie senatorzy czekali, aż zbierze się quorum. Te codzienne wiece postaci ubranych w białe togi stanowiły jeden ze wspaniałych widoków w mieście. Gdy Cyncero wszedł między senatorów, Steniusz i ja przyłączyliśmy się do tłumu gapiów po przeciwnej stronie forum. (Biedny Sycylijczyk wciąż nie wiedział, co się dzieje).

Z natury rzeczy wynika, że nie wszyscy politycy mogą osiągnąć wielkość. Każdego roku z sześciuset senatorów tylko ośmiu mogło zostać pretorami, którzy przewodniczyli sądom. Tylko dwaj mogli zdobyć największą władzę przysługującą konsulom. Inaczej mówiąc, ponad połowa senatorów kręcących się po senaculum nie mogła liczyć na zdobycie żadnego urzędu z wyboru. Arystokraci mówili o nich szyderczo *pedarii*, czyli ci, którzy głosują nogami, solennie przechodząc z jednej strony sali

obrad na drugą, ilekroć senat musiał podjąć decyzję. Jednak na swój sposób ci obywatele stanowili kręgosłup republiki: bankierzy, przedsiębiorcy i właściciele ziemscy z całej Italii, bogaci, ostrożni i patriotyczni, podejrzliwie patrzący na aroganckich i popisujących się arystokratów. Tak jak Cyncero byli to często „ludzie nowi”, czyli pierwsi przedstawiciele swego rodu, którzy zostali wybrani do senatu. To byli jego ludzie. Gdy przyglądałem się tego popołudnia, jak idzie wśród nich, miałem wrażenie, jakbym obserwował mistrza rzemiosła w swym warsztacie lub rzeźbiarza obrabiającego kamień – tu lekkie dotknięcie dłonią łokcia, tam ciężkie klepięcie po potężnych ramionach, z tym senatorem wymienia rubaszne żarty, tamtemu składa uroczyste kondolencje, z rękami przyciśniętymi do piersi na znak głębokiego współczucia. Zatrzymany przez jakiegoś nudziarza zachowuje się tak, jakby miał cały dzień na słuchanie jego koszmarniej historii, ale nagle zaczepia szybkim ruchem jakiegoś sąsiada i z gracją tancerza odrywa się od gaduły, z czułym, przeproszającym spojrzeniem, żeby popracować nad kimś innym. Niekiedy wskazywał nas ręką, a wtedy senator, z którym rozmawiał, potrząsał z niedowierzaniem głową i zapewniał o swym poparciu dla sprawy.

– Co on o mnie mówi? – spytał Steniusz. – Co on planuje?

Nie odpowiedziałem, gdyż sam nie wiedziałem.

Hortensjusz zorientował się, że coś się dzieje – to było oczywiste – ale nie wiedział, o co chodzi. Porządek obrad wisiał jak zwykle obok wejścia do sali senatu. Widziałem, jak Hortensjusz zatrzymał się, przeczytał – *sądzenie zaocznie osób oskarżonych o zbrodnie zagrożone karą śmierci w prowincjach powinno być zakazane* – po czym odwrócił się, wyraźnie zdziwiony. Geliusz Publikola siedział przy drzwiach na swym krześle z rzeźbionej kości słoniowej w otoczeniu pomocników, czekając, aż augurowie

zbadają zwierzęce wnętrzności i potwierdzą, że rokowania są pomyślne. Dopiero wtedy konsul mógł wezwać senatorów do zajęcia miejsc. Hortensjusz podszedł do niego i spytał o coś, szeroko rozkładając ręce. Geliusz wzruszył ramionami i z irytacją wskazał Cyncerona. Hortensjusz szybko się obrócił. Jego ambitny rywal stał w kole spiskujących senatorów. Hortensjusz zmarszczył brwi i podszedł do swych arystokratycznych przyjaciół – trzech braci Metellusów, Kwintusa, Lucjusza i Marka, oraz dwóch starszych ekskonsulów, którzy naprawdę zarządzili krajem, Kwintusa Katulusa (którego siostra była żoną Hortensjusza) i dwukrotnego triumfatora, Publiusza Serwiliusza Watię Izaurykusa. Gdy tylko wypisuję ich nazwiska, włosy jeżą mi się na karku, gdyż byli to ludzie surowi, bezwzględni i wychowani w poszanowaniu dla starych, republikańskich wartości, jakich dziś już nie ma. Hortensjusz widocznie powiedział im o wniosku, gdyż wszyscy spojrzeli na Cyncerona. W tym momencie zabrzmiała trąbka sygnalizująca początek sesji i senatorzy zaczęli wchodzić do sali.

Dawny budynek senatu był chłodną, ponurą, przepastną świątynią rządu, podzieloną centralną alejką wyłożoną czarnymi i białymi płytkami. Po obu stronach ciągnęły się ustawione naprzeciw siebie długie drewniane ławy dla senatorów – po sześć rzędów z każdej strony. Przy dalszym końcu znajdowało się podwyższenie, na którym stały krzesła konsulów. Promienie słabego, niebieskawego światła listopadowego wpadały do środka przez nieprzeszkłone okna tuż pod dachem. Na belkach więzby gruchały gołębie, które latały po sali, gubiąc piórka i niekiedy wydalając odchody na głowy senatorów. Niektórzy twierdzili, że jest to pomyślny znak, inni uważali to za zły omen, jeszcze inni uzależniali ocenę od koloru łajna. Przesady są równie liczne jak ich interpretacje. Cyncero nie przykładał do nich żadnego znaczenia, podobnie jak do układu owczych jelit,

lokalizacji grzmotu po prawej lub lewej stronie bądź lotu ptaków – wszystko to uważał za czysty idiotyzm, choć później z zapalem starał się o wybór do Kolegium Augurów.

Zgodnie ze starą tradycją, wówczas jeszcze przestrzegana, drzwi senatu zostawiono otwarte, tak aby lud mógł przysłuchiwać się obradom. Tłum ludzi, Steniusz i ja między nimi, ruszył przez forum ku wejściu. W drzwiach zatrzymała nas zwykła lina. Geliusz już przemawiał, relacjonując doniesienia dowódców wojskowych. Wieści ze wszystkich trzech frontów były pomyślne. W południowej Italii niezwykle bogaty Marek Krassus – który kiedyś chwalił się, że jeśli kogoś nie stać na wystawienie całego legionu z własnej kieszeni, to nie jest naprawdę bogaty – z ogromną surowością tłumił bunt niewolników. W Hiszpanii Pompejusz Wielki po sześciu latach walki likwidował już resztki armii buntowników. W Azji Mniejszej Lucjusz Lukullus odniósł serię wspaniałych zwycięstw nad królem Mitydatesem. Po odczytaniu raportów ludzie każdego dowódcy wychwalali osiągnięcia swego patrona, jednocześnie subtelnie oczerniając rywali. Cycero wyjaśnił mi, o co chodzi w tych politycznych rozgrywkach, a teraz ja szeptem oświeciłem Steniusza.

– Krassus nienawidzi Pompejusza i koniecznie chce pokonać Spartakusa, nim Pompejusz nadciągnie z Hiszpanii ze swymi legionami, bo wtedy będzie mógł sobie przypisać całą zasługę. Pompejusz nienawidzi Krassusa i chce mieć swój udział w chwale zwycięstwa nad Spartakusem, żeby pozbawić Krassusa triumfu. Krassus i Pompejusz nienawidzą Lukullusa, ponieważ ten ma najbardziej prestiżowe dowództwo.

– A kogo nienawidzi Lukullus?

– Pompejusza i Krassusa, rzecz jasna, bo intrygują przeciw niemu.

Czułem się zadowolony jak dziecko, które z powodzeniem

powtórzyło lekcję, bo wtedy to jeszcze była dla mnie tylko gra i nie sądziłem, że kiedykolwiek zostaniemy w nią wciągnięci. Debata stopniowo wygasła bez konieczności głosowania. Senatorzy zaczęli rozmawiać między sobą. Geliusz, który miał już dobrze ponad sześćdziesiąt lat, podniósł tabliczkę z porządkiem obrad, popatrzył na nią z bliska, mrużąc oczy, a następnie rozejrzał się po sali, szukając Cyclerona, który jako młody senator siedział na odległej ławce blisko drzwi. W końcu Cycero wstał, żeby łatwiej go było widać. Geliusz usiadł, a ja wyciągnąłem rylec. Zapadła cisza, a Cycero pozwolił, żeby się przeciągała – ta stara sztuczka miała zwiększyć napięcie. Czekał tak długo, aż inni zaczęli myśleć, że coś się stało, po czym przemówił. Początkowo mówił spokojnie i z wahaniem, zmuszając wszystkich do wytężenia słuchu. Choć sami o tym nie wiedzieli, wciągnął ich rytm jego słów.

– Szanowni senatorowie, bardzo się lękam, że w porównaniu z poruszającymi relacjami naszych dowódców, których właśnie wysłuchaliśmy, to, co ja powiem, wyda się nieistotne. – Jego głos nabrał mocy. – Gdyby jednak doszło do tego, że ta szlachetna izba nie chciałaby już wysłuchać błagań niewinnego człowieka, to wszystkie te dzielne czyny straciłyby wartość, a nasi żołnierze przelewaliby krew na darmo. – W ławach rozległ się szmer potakiwań. – Dziś rano przyszedł do mojego domu właśnie taki niewinny człowiek, który został potraktowany przez jednego spośród nas tak haniebnie, potwornie i okrutnie, że nawet bogowie muszą płakać, gdy o tym słyszą. Mówię o czcigodnym Steniuszu z Thermae, jeszcze niedawno mieszkańcu nieszczęsnej, źle rządzonej, okradanej prowincji – Sycylii.

Gdy padło słowo „Sycylia”, Hortensjusz, który siedział rozparty na pierwszej ławce, najbliższej konsula, wyraźnie drgnął. Nie odrywając oczu od Cyclerona, pochylił się ku Kwintusowi,

najstarszemu z braci Metellusów, i szepnął mu coś do ucha. Ten odchylił się do tyłu, wezwał gestem najmłodszego brata Marka, który przykucnął za nim i pilnie słuchał instrukcji, a następnie wstał, ukłonił się konsulowi i pośpiesznie ruszył w moją stronę. Przez chwilę sądziłem, że chce mnie uderzyć – ci bracia Metellusowie to były brutalne zawadiaki – ale on nawet na mnie nie spojrział. Uniósł linę, przeszedł pod nią, przecisnął się przez tłum i zniknął.

Cycero tymczasem stopniowo wpadał w swój rytm. Po powrocie od Molona, z wyrytą w umyśle zasadą „Występ, występ, występ!”, spędził wiele godzin w teatrze, ucząc się aktorskich metod i rozwinął swoje zdolności w zakresie mimiki i gestów. Posługując się niewielkimi zmianami tonu głosu i drobnymi gestami, potrafił zaludnić swoje przemówienia postaciami, o których mówił. Tego popołudnia zaoferował senatorom wspaniałe przedstawienie: zobaczyli bezczelną arogancję Werresa, skontrastowaną ze spokojną godnością Steniusza, oraz od dawna cierpiących Sycylińczyków kulących się ze strachu przed podłością kata Sekstiusza. Steniusz nie wierzył własnym oczom i uszom. Przybył do Rzymu tego dnia, a już jego sprawa stała się przedmiotem obrad rzymskiego senatu. Hortensjusz wciąż spoglądał w kierunku wejścia. Cycero kontynuował mowę.

– Steniusz prosi o ochronę nie tylko przed złodziejem, ale przed człowiekiem, którego obowiązkiem jest karanie złodziei!

W tym momencie Hortensjusz wreszcie zerwał się na nogi. Zgodnie z regulaminem senatu pełniący urząd pretor zawsze miał pierwszeństwo i Cycero, skromny *pedarius*, nie miał wyjścia – musiał mu ustąpić.

– Senatorowie! – zagrzemiał Hortensjusz. – Już dostatecznie długo słuchamy tych wywodów! To bez wątpienia jeden z najbardziej jaskrawych przykładów oportunistów, jaki widziała ta szlachetna izba! Przedstawia się nam do rozważenia niejasno



sformułowany wniosek, który – jak się teraz okazuje – dotyczy jednego człowieka. Nie zostaliśmy uprzedzeni, jaka sprawa będzie dyskutowana. Nie mamy żadnego sposobu, żeby sprawdzić, czy to, co słyszymy, jest zgodne z prawdą. Gajusz Werres, doświadczony członek tego zgromadzenia, jest zniesławiany i nie ma możliwości wystąpienia w swej obronie. Wnoszę, żeby natychmiast zawiesić obrady!

Hortensjusz usiadł. Rozległy się oklaski z ław arystokratów.

Cycero wstał, zachowując kamienny wyraz twarzy.

– Odnoszę wrażenie, że senator nie przeczytał wniosku – powiedział, udając zdziwienie. – Gdzie w tym wniosku jest choćby wzmianka o Gajuszu Werresie? Szanowni panowie, nie proszę tej izby o głosowanie w sprawie Gajusza Werresa. Nie byłoby rzeczą sprawiedliwą osądzać go zaocznie. Nie ma tu Gajusza Werresa i nie może się bronić. A teraz, gdy już ustaliliśmy tę zasadę, proszę tylko Hortensjusza, żeby objął nią mojego klienta i zgodził się, aby i on nie był sądzony zaocznie. A może jest jedno prawo dla arystokratów, a drugie dla całej reszty?

Te słowa podgrzały atmosferę. *Pedarii* zaczęły gromadzić się wokół Cyclerona, a tłum przy wejściu ryczał z zachwytu. Poczuliem, jak za mną ktoś się bezceremonialnie przepycha. Marek Metellus zrobił sobie łokciami przejście i szybko podszedł do Hortensjusza. Cycero przyglądał mu się uważnie, a wyraz jego twarzy świadczył, że najpierw był zdziwiony, ale po chwili zrozumiał. Szybko uniósł rękę, nakazując ciszę.

– Bardzo dobrze. Skoro Hortensjusz ma zastrzeżenia do mojego oryginalnego wniosku, zarzucając mu niejasność, proponuję poprawkę. Z uwagi na to, że Steniusz został oskarżony zaocznie, senat postanawia, że rozprawa przeciw niemu nie może się odbyć zaocznie, a jeśli takowa już się odbyła, to wyrok zostaje

uchylony. I powiadam: przegłosujmy teraz ten wniosek i w zgodzie z najbardziej wzniosłymi tradycjami rzymskiego senatu ocalmy niewinnego człowieka przed straszliwą karą krzyża!

Rozległy się okrzyki poparcia, oklaski, gwizdy i szyderstwa. Cycero usiadł, a Geliusz wstał.

– Zgłoszono wniosek – oświadczył konsul. – Czy któryś z senatorów chce zabrać głos?

Hortensjusz, bracia Metellusowie i kilku innych z ich partii, takich jak Skryboniusz Kurion, Sergiusz Katylina i Emiliusz Alba, skupili się przy frontowej ławce. Przez krótką chwilę wydawało się, że senat od razu się podzieli, co odpowiadałoby Ciceronowi, ale gdy arystokraci wreszcie wrócili na miejsce, ukazała się koścista postać stojącego Katulusa.

– Sądzę, że muszę zabrać głos – powiedział. – Tak, uważam, że mam coś do powiedzenia. – Katulus, prapraprapraprawnik (Mam nadzieję, że nie pomyliłem się w liczeniu tych pra) Katulusa, który pokonał Hamilkara podczas pierwszej wojny punickiej, był twardy jak krzemień i bez serca. Przemawiały przez niego dwa wieki historii rodu. – Zabiorę głos – powtórzył – i zacznę od tego, że ten młody człowiek – wskazał Cicerona – nie ma pojęcia o „najbardziej wzniosłych tradycjach rzymskiego senatu”, bo gdyby coś o nich słyszał, wiedziałby, że żaden senator nie atakuje innego inaczej jak tylko twarzą w twarz. To dowodzi braku należytego wychowania. Patrzę teraz na niego, jak siedzi, taki sprytny i gorliwy, i wiecie, co myślę, panowie? Myślę, jak mądre jest stare powiedzenie, iż „uncja dziedzictwa jest warta funta zasług”<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> Rzymski funt (*libra*) = 327,45 g dzielił się na dwanaście uncji (*uncia*) po 27,3 g każda.

Teraz to arystokraci kiwali się ze śmiechu. Katylina, o którym będę miał jeszcze okazję pisać, wskazał na Cicerona

i przejechał palcem po gardle. Cyncero poróżwiał, ale zachował panowanie nad sobą, a nawet zdobył się na uśmiech. Katulus obrócił się w stronę swoich przyjaciół. Przez chwilę widziałem jego uśmiechniętą twarz i ostry, orli profil, jak na monetach. Po paru sekundach znów zwrócił się ku sali.

– Gdy po raz pierwszy wszedłem do tej sali, za konsulatu Klaudiusza Pulchera i Marka Perperny... – monotonnie klepał.

Cyncero spojrzał na mnie. Poruszył ustami, jakby coś mówił, potem spojrzał na okna i wskazał ręką wejście. Od razu zrozumiałem, o co mu chodzi. Gdy przepychałem się przez tłum na forum, zrozumiałem, że Marek Metellus musiał zostać wysłany dokładnie w tym samym celu. W tamtych latach, gdy czas odmierzano bardziej prymitywnymi metodami niż obecnie, ostatnia godzina obrad zaczynała się wtedy, gdy słońce chowało się na zachód od kolumny Meniusza. Przypuszczałem, że to już pora i rzeczywiście, dostrzegłem urzędnika odpowiedzialnego za obserwację, który śpieszył zawiadomić konsula. Prawo zakazywało senatowi obradować po zachodzie słońca. Niewątpliwie Hortensjusz i jego przyjaciele zamierzali gadać do końca sesji, uniemożliwiając przegłosowanie wniosku Cyncerona. Szybko osobiście sprawdziłem położenie słońca, przebiegłem przez forum i precyzyjnie się między ludźmi do wejścia.

– Ostatnia godzina! – zdążyłem jeszcze usłyszeć zapowiedź konsula Geliusza.

Cyncero natychmiast wstał i chciał zgłosić wniosek formalny, ale Geliusz nie dopuścił go do głosu. Katulus gadał i gadał, wykładając niekończącą się historię zarządzania prowincjami, niemal od czasów, kiedy wilezyca wykarmiła Romulusa. (Ojciec Katulusa, również konsul, popełnił samobójstwo: zamknął się w uszczelnionym pokoju, rozpałił piecyk i udusił się dymem. Cyncero zwykł mówić, że na pewno zrobił to, żeby nie wysłuchiwać przemówień swojego syna). Gdy wreszcie dotarł do jakiegoś

zakończenia, natychmiast oddał głos Kwintusowi Metellusowi. Cyncero znowu wstał, ale i tym razem musiał się poddać z uwagi na regułę starszeństwa. Metellus miał godność pretora, jeśli zatem sam nie ustąpił – a niewątpliwie nie miał zamiaru – to Cyncero nie miał prawa głosu. Przez chwilę stał, mimo narastających okrzyków protestu, ale koledzy – jednym z nich był Serwiusz, zaprzyjaźniony prawnik, który myślał o jego dobru i bał się, że zrobi z siebie głupca – pociągnęli go za togę. Cyncero w końcu zrezygnował i usiadł.

W sali senatu nie wolno było zapalać lamp i pieców. Stopniowo robiło się ciemno i zimno. W listopadowym zmierzchu widać było tylko zarys białych postaci senatorów, siedzących nieruchomo na swych ławkach. Senat przypominał zgromadzenie duchów. Mowa Metellusa ciągnęła się w nieskończoność. Gdy wreszcie skończył i oddał głos Hortensjuszowi – o którym wszyscy wiedzieli, że potrafi godzinami rozprawiać na każdy temat – stało się jasne, że to koniec debaty i rzeczywiście, po chwili Geliusz zamknął obrady. Starszy pan był głodny i śpieszył się na kolację. Szedł, kulejąc, przez środkową alejkę, poprzedzany przez czterech liktorów niosących krzesło kurulne. Gdy opuścił salę, senatorzy pośpieszyli za nim. Steniusz i ja cofnęliśmy się na forum, żeby tam poczekać na Cyncerona. Tłum wokół nas stopniowo się przerzedzał. Sycylijczyk wciąż wypytywał mnie, co się stało, ale uznałem, że mądrzej będzie nie odpowiadać. Staliśmy w milczeniu. Wyobraziłem sobie Cyncerona, jak siedzi samotnie na tylnej ławie, czekając, aż sala opustoszeje, żeby móc wyjść, nie rozmawiając z nikim. Lękałem się, że doznał przykrej porażki, stracił twarz, ale ku mojemu zaskoczeniu wyszedł w towarzystwie Hortensjusza i starszego senatora, którego nie rozpoznałem. Rozmawiali przez chwilę na schodach senatu, po czym uścisnęli sobie ręce i się rozstali.

– Wiecie, kto to był? – powiedział, podchodząc do nas. Wcale nie był przybity, przeciwnie, wydawał się rozbawiony. – To ojciec Werresa. Obiecał, że napisze do syna i zażąda, żeby wycofał akt oskarżenia, jeśli my zgodzimy się nie wracać do tej sprawy w senacie.

Biednemu Steniuszowi niewątpliwie ogromnie ulżyło. Miałem wrażenie, że umrze z wdzięczności. Padł na kolana i zaczął całować ręce senatora. Cycero zrobił kwaśną minę i łagodnie pomógł mu wstać.

– Doprawdy, drogi Steniuszu, poczekaj z podziękowaniami, aż rzeczywiście coś osiągnę. On tylko obiecał, że napisze, to wszystko. Nie mamy żadnej gwarancji.

– Ale przyjąłeś propozycję? – spytał Steniusz.

– A jaki mieliśmy wybór? – Cycero wzruszył ramionami. – Nawet gdybym ponownie zgłosił ten wniosek, znowu gadaliby tak długo, żeby nie dopuścić do głosowania.

Nie mogłem się powstrzymać – spytałem, dlaczego zatem Hortensjusz w ogóle zaproponował jakiś układ.

– To dobre pytanie. – Cycero powoli pokiwał głową. Znad Tybru unosiła się mgła. Wokół lamp sklepowych przy Argiletum widać było żółtą poświatę. Cycero wciągnął wilgotne powietrze. – Widzę tylko jedno wyjaśnienie: jest zakłopotany tą sprawą. A trzeba sporo, żeby poczuł wstyd. Wydaje się jednak, że nawet on wolałby, by publiczność nie kojarzyła go z takim jawnym przestępcą jak Werres. Dlatego woli załatwić sprawę po cichu. Ciekawe, ile mu Werres płaci, to musi być kolosalna suma.

– Nie tylko Hortensjusz wystąpił w obronie Werresa – przypomniałem mu.

– Nie. – Cycero spojrział na budynek senatu. Dostrzegłem, że właśnie w tej chwili coś przyszło mu do głowy. – Oni wszyscy są w to zaangażowani, nieprawdaż? Bracia Metellusowie to

prawdziwi arystokraci – nie ruszyliby nawet palcem, żeby komuś pomóc, gdyby nie chodziło o pieniądze. Katulus ma bzika na punkcie złota. Od dziesięciu lat wciąż buduje na Kapitolu, to już chyba jego świątynia, nie Jowisza. Oceniam, Tironie, że dzisiejszego popołudnia mieliśmy okazję zobaczyć, co może sprawić łapówka rządu pół miliona sestercji. Kilka delijskich brązów, choćby najpiękniejszych – wybaczn, Steniuszu, że to mówię – to jeszcze za mało, żeby kupić taką ochronę. Co ten Werres kombinuje tam na Sycylii? – Cyncero nagle zaczął ściągać z palca swój sygnet. – Tironie, idź do archiwum państwa i pokaż to jakiemuś urzędnikowi. Zażądaj w moim imieniu, żeby pokazał ci wszystkie oficjalne dokumenty, jakie Gajusz Werres przesłał do senatu.

– Ale archiwum państwa prowadzą ludzie Katulusa – zauważyłem. Na mojej twarzy musiał pojawić się wyraz niechęci. – Z pewnością dowie się, co pan robi.

– Nic nie możemy na to poradzić.

– Ale czego mam szukać?

– Czegoś interesującego. Jak znajdziesz, na pewno się zorientujesz, że tego szukasz. Idź szybko, póki jest jeszcze trochę światła. – Cyncero położył rękę na ramionach Sycylijczyka. – Ty zaś, Steniuszu, mam nadzieję, że zjesz ze mną kolację. Będzie tylko rodzina, ale jestem pewny, że moja żona ucieszy się z poznania ciebie.

Miałem co do tego wątpliwości, ale oczywiście nie do mnie należało wyrażanie takich zastrzeżeń.

Budynek archiwum państwa, mający wówczas dopiero sześć lat, dominował nad forum jeszcze bardziej niż obecnie, gdyż miał mniej rywali. Wszedłem po długich schodach na pierwszą galerię, a gdy wreszcie znalazłem urzędnika, moje serce biło w przyśpieszonym tempie. Pokazałem mu pieczęć i zażądałem, w

imieniu senatora Cyclerona, żeby pokazał mi rachunki Werresa. Początkowo twierdził, że już zamykają, a on nie słyszał o Cyceronie. Wskazałem mu karcer i oświadczyłem zdecydowanym tonem, że jeśli nie chce spędzić miesiąca w kajdanach w państwowym więzieniu za utrudnianie oficjalnego postępowania urzędowego, to niech czym prędzej przyniesie mi te dokumenty. (To od Cyclerona nauczyłem się ukrywać zdenerwowanie). Skrzywił się i chwilę namyślał, ale w końcu powiedział, żeby umiał się za nim.

Archiwum stanowiło domenę Katulusa, świątynię jego i całego rodu. Nad arkadami widniała inskrypcja: *K. Lutacjusz Katulus, syn Kwintusa, wnuk Kwintusa, konsul, na mocy dekretu senatu zlecił budowę archiwum państwa i ją nadzorował*, a obok wejścia stał jego posąg naturalnej wielkości – wydawał się młodszy i bardziej bohaterski niż dzisiaj w senacie. Większość pracowników archiwum stanowili jego niewolnicy i wyzwolenicy – wyróżniali się naszytym na tunikę jego znakiem, małym psem. Powiem wam, jakim człowiekiem był Katulus. Obciążał on odpowiedzialnością za samobójstwo ojca pretora ze stronnictwa popularów, Gratidianusa – dalekiego krewnego Cyclerona. Po zwycięstwie arystokratów w wojnie domowej między Mariuszem i Sullą skorzystał z okazji, żeby się zemścić. Jego młody protegowany, Sergiusz Katylinia, pojmał Gratidianusa, popędził go pod batem do grobu rodzinnego Katulusów. Tam oprawcy połamali mu ręce i nogi, odcięli uszy, nos, wyrwali język wyłupili oczy, a na koniec odrąbali głowę. Katylinia zaniósł ją triumfalnie na forum, gdzie czekał Katulus. Czy teraz się dziwicie, dlaczego byłem zdenerwowany, gdy czekałem na otwarcie magazynów?

Dokumenty senatu trzymano w ognioodpornych, wzmocnionych pomieszczeniach, zbudowanych tak, aby wytrzymały uderzenie pioruna. Wykuto je w skale Wzgórza Kapitolńskiego. Gdy niewolnicy odciągnęli drzwi z brązu, zobaczyłem tysiące

zwojów papirusu, nikiących w ciemnych korytarzach w świętym wzgórzu. W tym ciasnym miejscu zamknięto pięćset lat historii: dokumentację obejmującą pół tysiąca lat działania władz miejskich i propretorów, prokonsulów i sędziów, od Luzytanii do Macedonii, od Afryki do Galii, a większość nosiła nazwiska tych samych kilku rodzin: Emiliuszów, Klaudiuszów, Korneliuszów, Lucjuszów, Metellusów, Serwiliuszów. Właśnie to dawało Katulusowi i jemu podobnym pewność i pozwalało patrzeć z pogardą na takich prowincjonalnych ekwitów jak Cyncero.

Kazali mi czekać w przedpokoju, aż znajdą dokumenty Werresa. W końcu przynieśli mi jedną skrzynkę, zawierającą może tuzin zwojów. Z etykiet na końcach dowiedziałem się, że wszystkie, z jednym wyjątkiem, to rachunki z czasów, kiedy był miejskim pretorem. Tym wyjątkiem był cienki zwój papirusu, niemal niewart rozwinięcia, sprzed dwunastu lat, gdy w czasie wojny między Sullą i Mariuszem był kwestorem.

Cały dokument liczył trzy zdania: *Otrzymałem 2 235 417 sestercji. Na pensję, ziarno, wynagrodzenie legatów, prokwestora i na kohortę pretorianów wydałem 1 635 417 sestercji. Pozostawiłem 600 000 w Ariminum.* Dobrze pamiętałem, ile zwojów szczegółowych rachunków powstało podczas kwestury Cyncero na Sycylii, ponieważ sam je wypisywałem.

Z trudem powstrzymałem się od śmiechu.

– To wszystko, co macie?

Archiwista zapewnił mnie, że tak.

– Gdzie jednak są jego rachunki z Sycylii?

– Nie przesłał ich jeszcze do skarbu.

– Jeszcze nie przesłał? Przecież jest już namiestnikiem od niemal dwóch lat!

Tamten popatrzył na mnie tępym wzrokiem. Nie było sensu marnować czasu na dyskusję z nim. Przepisałem trzy linijki dotyczące kwestury Werresa i wyszedłem z archiwum.



Gdy siedziałem w archiwum państwa, na zewnątrz zapadł zmrok. W domu Cyclerona rodzina już zasiadła do kolacji, ale pan polecił zarządcy, żeby – gdy tylko wrócę – natychmiast wprowadził mnie do pokoju stołowego. Cycero leżał obok Terencji. Przyszedł również jego brat Kwintus z żoną Pomponią. Trzecie łóżce zajmowali kuzyn Cyclerona, Lucjusz i nieszczęsny Steniusz, nadal w brudnym stroju żałobnym. Był wyraźnie skrzępowany. Po wejściu natychmiast wyczułem panujące w pokoju napięcie, choć Cycero był w dobrym nastroju. Zawsze lubił prozowane kolacje, choć jakość jedzenia i napojów nie miała dla niego większego znaczenia. Chodziło mu o towarzystwo i okazję do konwersacji. Kwintus i Lucjusz oraz Attykus to byli jego trzech ulubieni kompani.

– No i co? – spytał mnie. Opowiedziałem mu o wizycie w archiwum i pokazałem kopię kwestorskiego rachunku Werresa. Spojrzał na nią, mruknął i rzucił woskową tabliczkę na stół. – Tylko spójrz, Kwintusie. Ten łajdak jest zbyt leniwy, żeby choćby porządnie kłamać. Sześćset tysięcy – jaka ładna, okrągła suma, ani sestercji mniej, ani sestercji więcej. No i gdzie ją zostawił? Oczywiście w mieście, które chwilę później zajęła wroga armia, tak aby odpowiedzialność za straty można było zrzucić na przeciwnika! I już od dwóch lat nie przedstawił żadnych rachunków z Sycylii? Steniuszu, jestem ci szczerze zobowiązany, że zwróciłeś mi uwagę na tego łotra.

– Och tak, bardzo zobowiązany – wtrąciła Terencja z jadowitą słodyczą. – Jesteśmy ci bardzo zobowiązani, zwłaszcza za narażenie nas na wojnę z połową przyzwoitych rodzin w całym Rzymie. No, ale prawdopodobnie możemy utrzymywać stosunki towarzyskie z Sycylijczykami, więc wszystko będzie w porządku. Mówiłeś już, ale nie pamiętam, skąd pochodzisz?

– Z Thermae, proszę pani.

– Thermae. Nigdy nie słyszałam o tym mieście, ale nie wątpię, że jest zachwycające. Będziesz mógł wygłaszać mowy na posiedzeniach rady miejskiej, Cyncero. Może nawet tam wygrasz wybory, skoro Rzym jest dla ciebie już zamknięty. Będziesz konsulem Thermae, a ja pierwszą damą.

– Jestem pewien, że będziesz odgrywać tę rolę ze swym zwykłym urokiem, moja droga – powiedział Cyncero, klepiąc ją po ramieniu.

Mogli tak sobie docinać całymi godzinami. Czasami myślałem, że sprawia to im przyjemność.

– Nie widzę jednak, co mógłbyś zrobić w tej sprawie – wtrącił Kwintus. Niedawno skończył służbę wojskową. Był cztery lata młodszy od brata, który zdecydowanie przewyższał go inteligencją. – Jeśli poruszysz sprawę postępowania Werresa w senacie, znowu cię zagadają. Jeśli spróbujesz go oskarżyć, postarają się, żeby został uniewinniony. Radzę ci, żebyś nie wtykał nosa w tę sprawę.

– A co ty o tym myślisz, kuzynie?

– Moim zdaniem żaden człowiek honoru w rzymskim senacie nie może stać na uboczu i przyglądać się, jak taka korupcja uchodzi płazem – odrzekł Lucjusz. – Teraz, gdy znasz fakty, masz obowiązek ujawnić je publicznie.

– Bravo! – wykrzyknęła Terencja. – Wypowiedziałeś się jak prawdziwy filozof, który nigdy w życiu nie kandydował na żaden urząd.

– Możemy porozmawiać o czymś innym? – Pomponia głośno ziewnęła. – Polityka jest taka nudna.

Pomponia była denerwującą i przykrą kobietą, która poza dużym biustem miała tylko jeden atut: była siostrą Attykusa. Dostrzegłem, jak dwaj bracia spojrzeli sobie w oczy i starszy ledwo dostrzegalnie pokręcił głową: zignoruj ją – mówiła jego mina – nie warto się o to kłócić.

– Dobrze – ustąpił – dość polityki. Proponuję jednak toast. – Podniósł puchar, a inni poszli w jego ślady. – Za naszego przyjaciela Steniusza. Nawet jeśli nic więcej z tego nie wyniknie, niech ten dzień będzie początkiem zwrotu na lepsze w jego losie. Za Steniusza! Oczy Sycylijczyka wypełniły łzy wdzięczności.

– Za Steniusza!

– I za Thermae, Cycleronie – dodała Terencja. Nad brzegiem pucharu widać było jej małe, ciemne oczy, oczy zmił, teraz promieniujące złością. – Nie zapomnijmy o Thermae.

Zjadłem samotnie kolację w kuchni, po czym wyczerpany poszedłem do łóżka z lampą i książką filozoficzną, ale byłem zbyt zmęczony, żeby czytać. (Wolno mi było korzystać ze wszystkich książek w niewielkiej domowej bibliotece). Później usłyszałem, jak goście wychodzą i odźwierny zamyka drzwi. Cycero i Terencja w milczeniu weszli na górę i udali się do swoich pokoi. Ona już od dawna sypiała w innej części domu, żeby mąż jej nie budził, gdy wstawał przed świtem. Słyszałem jeszcze, jak Cycero krąży po pokoju nade mną, a potem zgasilem lampę. Ostatnie dźwięki, jakie słyszałem, nim zasnąłem, to były odgłosy jego kroków – tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Sześć tygodni później dotarły do nas wieści z Sycylii. Werres zignorował żądania ojca. Pierwszego dnia grudnia w Syrakuzach, dokładnie tak jak groził, osądził zaocznie Steniusza, uznał go za winnego szpiegostwa, skazał na ukrzyżowanie i wysłał urzędników do Rzymu, żeby go aresztowali i sprowadzili na egzekucję.

### III

Pogardliwe i wyzywające zachowanie namiestnika Sycylii zaskoczyło Cyncerona. Był przekonany, że zawarł porozumienie, które ocaliło życie jego klienta. „No, ale oczywiście – narzekał gorzko – czego się można spodziewać po takich ludziach?”. Krążył wściekły po domu, co zupełnie nie leżało w jego charakterze. Został wykiwany! Zrobili z niego głupca! Uda się do senatu i tam, na miejscu, zdemaskuje ich łajdackie kłamstwa! Wiedziałem, że wkrótce się uspokoi, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, że jego ranga nie pozwala mu po prostu zażądać przesłuchania w senacie – naraziłby się tylko na upokorzenie.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest zobowiązany chronić swego klienta. Następnego dnia po tym, jak Steniusz dowiedział się o swym losie, Cyncero zwołał naradę w swoim gabinecie, żeby zastanowić się, jak najlepiej odpowiedzieć. Jak sięgam pamięcią, po raz pierwszy nie zgodził się przyjąć zwykłych klientów. Wcisnęliśmy się w sześciu do jego niewielkiego gabinetu: Cyncero, jego brat Kwintus, kuzyn Lucjusz, Steniusz, ja (miałem notować) i Serwiusz Sulpicjusz, już wtedy powszechnie uważany za najwybitniejszego prawnika swojego pokolenia.

Cycero poprosił go, żeby przedstawił swoją opinię.

– Teoretycznie – zaczął Serwiusz – nasz przyjaciel ma prawo apelować w Syrakuzach, ale tylko do namiestnika, czyli do samego Werresa, a zatem ta droga jest dla nas zamknięta. Nie możemy wystąpić z oskarżeniem przeciw niemu,, ponieważ jako urzędujący namiestnik ma immunitet. Poza tym do stycznia to Hortensjusz jest pretorem trybunału zajmującego się wymuszeniami. Nawet pomijając te dwa czynniki, musimy pamiętać, że sędziami będą senatorowie, którzy nigdy nie skazą swojego człowieka. Mógłbyś zgłosić kolejny wniosek w senacie, ale już raz próbowałeś i można przypuszczać, że druga próba zakończy się tak samo. Steniusz nie może również pozostać w Rzymie i normalnie żyć – każdy skazany za zbrodnie karane śmiercią podlega automatycznie wygnaniu z miasta, a zatem nie może on tu mieszkać. W istocie, Cyceronie, sam narażasz się na oskarżenie, jeśli będziesz go chronił pod swoim dachem.

– Co zatem radzisz?

– Samobójstwo – odparł Serwiusz. Steniusz przeraźliwie jęknął. – Nie, doprawdy, moim zdaniem powinieneś to rozważyć, nim cię złapią. Zapewne wolałbyś uniknąć chłosty, rozpalonego żelaza i ukrzyżowania.

– Dziękuję, Serwiuszu – wtrącił Cycero, nim ten zdążył szczegółowo opisać wszystkie tortury. – Tironie, musimy znaleźć Steniuszowi jakąś kryjówkę. Nie może tu dłużej zostać. To pierwsze miejsce, gdzie będą szukać. Z prawniczego punktu widzenia, Serwiuszu, twoja analiza wydaje mi się bezbłędna. Werres jest łajdakiem, ale nie brakuje mu sprytu, dlatego uznał, że jest dostatecznie silny, aby skazać Steniusza. Krótko mówiąc, przemyślałem w nocy całą sprawę i wydaje mi się, że mamy tylko jedną niewielką szansę.

– Mianowicie?

– Musimy zwrócić się z tym do trybunów.

Ta sugestia natychmiast wywołała niechętnie poruszenie, gdyż wówczas trybuni stanowili całkowicie zdyskredytowaną grupę. Kiedyś równowazyli oni władzę senatu, wyrażając wolę ludu. Jednak dziesięć lat wcześniej, po tym jak Sulla pokonał Mariusza, arystokraci pozbawili trybunów władzy. Nie mogli już zwoływać zgromadzeń ludowych, zgłaszać projektów ustaw i pozbawiać urzędu takich jak Werres za zbrodnie i przestępstwa. Do tego doszło jeszcze ostateczne upokorzenie: senator, który został trybunem, automatycznie tracił prawo kandydowania na wyższy urząd, czyli pretora lub konsula. To oznaczało, że trybunat stał się politycznym ślepym zaułkiem, miejscem dla durniów i warcholów, niekompetentnych polityków bez szans na awans – ściekiem polityki. Żaden senator mający odrobinę poczucia godności i ambicji nie zbliżał się do trybunów.

– Znam wasze zastrzeżenia – powiedział Cycero, nakazując gestem ciszę – ale trybunom pozostało jedno skromne prawo. Czyż nie tak, Serwiuszu?

– To prawda – zgodził się Serwiusz. – Mają *potestas auxilii ferendi*. – Nasze nieobecne spojrzenia niewątpliwie sprawiły mu satysfakcję. – To oznacza, że mają prawo zaoferować ochronę prywatnym osobom przed niesprawiedliwymi decyzjami urzędników. Muszę cię jednak ostrzec, Cyceronie, że twoi przyjaciele, do których od dawna mam honor się zaliczać, będą o tobie myśleć znacznie gorzej, jeśli zaczniesz maczać palce w polityce tłuszczy. Samobójstwo – powtórzył. – Czemu nie? Wszyscy jesteśmy śmiertelni. Dla nas to tylko kwestia czasu. To honorowe wyjście.

– Zgadzam się z oceną Serwiusza niebezpieczeństwa, na jakie się narażamy, zwracając się do trybunów – powiedział Kwintus. (Gdy Kwintus mówił o starszym bracie, zwykle używał

formy „my”). – Niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie, władza w Rzymie należy obecnie do senatu i nobilów. Dlatego nasza strategia polegała zawsze na powolnym umacnianiu twojej reputacji, głównie dzięki występom w trybunałach. Wy rządźmy sobie trudne do naprawienia szkody w kręgach, które naprawdę mają znaczenie, jeśli powstanie wrażenie, że jesteś jeszcze jednym podżegaczem tłumu. Również... waham się, czy o tym wspomnieć, Marku, ale czy rozważyłeś reakcję Terencji, jeśli pójdziemy tą drogą?

– Nigdy nie zdobędziesz Rzymu, Cynceronie, jeśli nie potrafiś zapanować nad własną żoną – zachnął się Serwiusz.

– Wierz mi, Serwiuszu, zdobycie Rzymu to dziecinna zabawa w porównaniu z opanowaniem mojej żony.

Dyskusja ciągnęła się dalej. Lucjusz był za natychmiastowym zwróceniem się do trybunów, niezależnie od konsekwencji. Stejniusz był zbyt przybity nieszczęściem i otepiały ze strachu, żeby sformułować sensowną opinię na jakikolwiek temat. W końcu Cyncero spytał mnie o zdanie. W innym towarzystwie mogłoby to wywołać zdziwienie, gdyż w oczach Rzymian opinia niewolnika nie ma większego znaczenia, ale ci ludzie byli przyzwyczajeni do tego, że Cyncero niekiedy zwraca się do mnie po radę. Odpowiedziałem ostrożnie, że według mnie Hortensjusz nie będzie zadowolony, gdy dowie się o działaniach Werresa, i perspektywa publicznego skandalu może jeszcze go zmusić do wywarcia presji na swego klienta, żeby zachowywał się rozsądniej. Zwrócenie się do trybunów było wprawdzie rzeczą ryzykowną, ale biorąc wszystko pod uwagę, warto było zaryzykować. Moja odpowiedź spodobała się Cynceronowi.

– Czasami – podsumował dyskusję aforyzmem, którego nigdy nie zapomniałem – jeśli w działalności politycznej utkwisz

w miejscu, musisz rozpocząć walkę, nawet jeśli nie wiesz, jak ją wygrasz, ponieważ tylko w walce, gdy wszystko jest w ruchu, możesz liczyć na znalezienie wyjścia. Dziękuję, panowie. – Na tym narada została zakończona.

Nie było czasu do stracenia, jeśli bowiem wiadomość z Syrakuz dotarła już do Rzymu, to należało przypuszczać, że ludzie Werresa również są już blisko. Jeszcze nim Cycero skończył mówić, wpadłem na pomysł, gdzie ukryć Steniusza. Po zakończeniu narady natychmiast poszedłem poszukać administratora majątku Terencji, Filotimusa. Był to łakomy i poządlivy młody człowiek. Zwykle można go było znaleźć w kuchni, gdzie naprzykrzał się dziewczkom, domagając się, aby zaspokoily jedno lub drugie z jego pragnień, a najlepiej oba. Spytałem go, czy w kamienicach czynszowych jego pani nie znajdzie się wolne mieszkanie. Gdy powiedział, że tak, zmusiłem go, żeby dał mi klucz. Sprawdziłem, czy na ulicy nie kręci się nikt podejrzany, a gdy nabrałem pewności, że nie ma niebezpieczeństwa, przekonałem Steniusza, żeby poszedł ze mną.

Steniusz popadł w rozpacz. Jego marzenia o powrocie do domu legły w gruzach, a teraz w każdej chwili spodziewał się aresztowania. Obawiam się też, że gdy zobaczył nędzny dom w Suburze, gdzie – jak mu zapowiedziałem – miał zamieszkać, poczuł się całkowicie opuszczony, również przez nas. Weszliśmy po ciemnych, chwiejących się schodach na czwarte piętro. Na ścianach widać było ślady po pożarze. Jego pokój był niewiele większy od komórki, z siennikiem w rogu i niewielkim oknem, przez które można było zobaczyć tylko podobne mieszkanie, tak blisko, że Steniusz mógłby wymienić uścisk dłoni z sąsiadem, nie wychodząc z pokoju. Załatwiać się mógł do wiodra. Jeśli jednak to mieszkanie nie zapewniało komfortu, to



przynajmniej dawało poczucie bezpieczeństwa – porzucony, nieznanym nikomu w tym labiryncie slumsów Steniusz był praktycznie nie do wytropienia. Poprosił mnie żalnym tonem, żebym chwilę z nim posiedział, ale musiałem wracać do domu i zebrać wszystkie dokumenty dotyczące jego sprawy, tak aby Cycero mógł je przedstawić trybunom. Walczymy z czasem – wyjaśniłem mu i natychmiast wyszedłem.

Siedziba trybunów znajdowała się obok budynku senatu, w starej Basilica Porcia. Urząd trybuna stał się już tylko skorupą, z której wyrwano jędrne mięso władzy, ale mimo to wokół budynku panował tłok. Gniewni, pozbawieni środków do życia, głodni, zbuntowani – tacy byli ludzie mający do załatwienia sprawy w bazylice. Gdy Cycero i ja szliśmy przez forum, widzieliśmy spory tłum przepychający się na schodach. Ludzie chcieli zobaczyć, co dzieje się w środku. Niosłem skrzynkę z dokumentami, ale jednocześnie starałem się w miarę możliwości utorować drogę senatorowi. Zarobiłem przy tym sporo kuksańców i usłyszałam wiele przekleństw, gdyż nie byli to obywatele okazujący poważanie obramowanej purpurą todze.

Każdego roku lud wybierał dziesięciu trybunów. Zawsze siedzieli na tej samej długiej drewnianej ławie, pod malowidłem na ścianie przedstawiającym klęskę Kartaginy. Bazylika nie była duża. W środku panował ścisk, było głośno i ciepło, choć na zewnątrz panował grudniowy chłód. Gdy weszliśmy, zobaczyliśmy, jak jakiś młody człowiek, co dziwne – boso, wygłaszał tyradę do tłumu. Był to brzydki, krostowaty mężczyzna, z brutalnym, szorstkim głosem. W Basilica Porcia zawsze było sporo wariatów, dlatego uznałem go za jednego z nich, zwłaszcza że całe jego przemówienie dotyczyło kwestii, dlaczego pewnej kolumny nie można w żadnym razie zniszczyć, a nawet przesunąć, żeby zrobić trybunom więcej miejsca. Było w nim jednak

coś dziwnego, co nakazywało skupić uwagę. Cycero zaczął mu się przysłuchiwać i już po chwili zdał sobie sprawę – na podstawie powtarzającego się zwrotu „mój przodek” – że ten człowiek to nie kto inny, jak prawnuk słynnego Marka Porcjusza Katona, który wznosił tę bazylikę i nadał jej swoje imię.

Wspominam tu o tym spotkaniu, ponieważ młody Katon – miał wtedy dwadzieścia trzy lata – stał się później tak ważną postacią zarówno w życiu Cyclerona, jak i w procesie agonii republiki. Trudno było wtedy odgadnąć, że tak się stanie. Katon sprawiał wrażenie, że jego miejscem przeznaczenia jest dom wariatów. Skończył przemówienie, a gdy przechodził obok, z obłędem w oczach i niczego nie widząc, wpadł prosto na mnie. W pamięci pozostał mi jego zwierzęcy smród, pozlepiane włosy i plamy potu wielkości talerzy pod pachami. Wygrał jednak i kolumna została na swoim miejscu dopóty, dopóki stała bazylika – czyli, niestety, już niezbyt długo.

Wróćmy jednak do mojej historii. Trybuni na ogół stanowili nieciekawe towarzystwo, ale jeden z nich, Lolliusz Palikanus, wyróżniał się zdolnościami i energią. Był to dumny człowiek, ale wywodzący się z niskich warstw społecznych. Pochodził z Picenum w północno-wschodniej Italii, rodzinnym stron Pompejusza Wielkiego. Wszyscy przypuszczali, że gdy Pompejusz wróci z Hiszpanii, użyje swoich wpływów, żeby załatwić krajownikowi stanowisko pretora. Cycero, tak jak inni, bardzo się zdziwił, gdy latem Palikanus ogłosił, że zamierza starać się o stanowisko trybuna. Tego ranka Palikanus wydawał się zadowolony ze swego losu. Nowi trybuni zaczęli pracę dziesiątego grudnia, więc najwyraźniej dopiero co zaczął urządować.

– Cycero! – wykrzyknął, gdy tylko nas zobaczył. – Zastanawiałem się, kiedy się tu pokażesz!

Palikanus otrzymał już wieści z Sycylii i chciał porozmawiać o Werresie. Wolał jednak rozmawiać prywatnie, gdyż – jak tajemniczo dodał – na szali spoczywa coś więcej niż tylko los jednego człowieka. zaproponował, żebyśmy spotkali się za godzinę w jego domu na Awentynie. Cycero zgodził się, a wtedy Palikanus natychmiast polecił jednemu ze swych pomocników, żeby nas zaprowadził. Sam zamierzał przyjść oddzielnie.

Prosty i bezpretensjonalny dom Palikanusa dobrze pasował do jego charakteru. Stał niedaleko Bramy Lawernańskiej, tuż za murami miasta. Najbardziej utkwiło mi w pamięci nadnaturalnej wielkości popiersie Pompejusza, w hełmie i pancerzu Aleksandra Wielkiego, które dominowało w atrium.

Cycero przyglądał mu się przez chwilę.

– Hm – mruknął wreszcie. – To chyba lepsze niż te wieczne Trzy Gracje.

To był jeden z jego dowcipnych, lecz niestosownych komentarzy, które powtarzało całe miasto i które nieuchronnie trafiały do ucha ofiar. Na szczęście tym razem tylko ja usłyszałem tę uwagę. Skorzystałem z okazji, żeby przekazać opinię urzędnika konsula na temat żartu o Geliuszu jako mediatorze w sporach filozofów. Cycero udał zażenowanie i obiecał, że w przyszłości będzie ostrożniejszy – powiedział, że ludzie wolą nudnych polityków – ale naturalnie wkrótce zapomniał o tej obietnicy.

– Sześć tygodni temu wygłosiłeś dobrą mowę – powiedział Palikanus natychmiast po przyjściu. – Masz jaja, Ciceronie, naprawdę masz jaja, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Ale te błękitnokrwiste sukinsyny wyjebały cię i teraz siedzisz po uszy w gównie. Co właściwie zamierzasz?

Palikanus mówił w takim stylu – wulgarnie i z prymitywnym akcentem. Arystokraci często nabijali się z jego wymowy.

Otworzyłem skrzynkę i podałem Cyceronowi dokumenty.

Senator szybko przedstawił sytuację Steniusza. Gdy skończył, spytał, jakie są szanse na uzyskanie pomocy trybunów.

– To zależy – odrzekł Palikanus. Szybko oblizał wargi i uśmiechnął się. – Wejdz i usiądź. Zastanowimy się, co można zrobić.

Zaprowadził nas do następnego pokoju, niewielkiego i całkowicie zdominowanego przez ogromne malowidło Pompejusza w wieńcu laurowym, przebranego za Jowisza, z błyskawicami strzelającymi z palców.

– Jak ci się podoba? – spytał Palikanus, wskazując obraz.

– Niewątpliwie godny uwagi.

– Tak, rzeczywiście – ucieszył się nasz gospodarz. – To prawdziwa sztuka.

Usiadłem w kącie, pod bożyszczem z Piceneum, starając się uniknąć kontaktu wzrokowego z Cynceronem, który zasiadł na końcu sofy, naprzeciwko Palikanusa.

– To, co ci teraz powiem, Cynceronie, musi pozostać między nami. Pompejusz Wielki – Palikanus skłonił głowę w kierunku malowidła, tak jakbyśmy mogli mieć wątpliwości, o kim mówi – wkrótce powróci do Rzymu po sześcioletniej nieobecności. Nadciągnie z armią, zatem nasi przyjaciele z arystokracji nie będą mogli uprawiać gry na dwie strony. Będzie się starał o konsulat i go dostanie. I nie będzie miał żadnego rywala w wyborach.

Palikanus z zapalem pochylił się do przodu, tak jakby oczekiwał, że Cyncero okaże szok lub zdumienie, ale on przyjął te sensacyjne wiadomości tak, jakby rozmawiali o pogodzie.

– Zatem w zamian za twoją pomoc w sprawie Steniusza, ja mam poprzeć Pompejusza?

– Jesteś bystry, Cynceronie, naprawdę masz jaja. Co o tym myślisz?

Cyncero podparł brodę na rękę i przyjrzał się swemu rozmówcy.

– Przede wszystkim Kwintus Metellus nie będzie zadowolony. Znasz stary wierszyk: „Wybory konsularne wygrywają Metellusowie, takie są już zrządzzenia losu”. Od urodzenia wiedział, że tego lata będzie jego kolej.

– Doprawdy? Może mnie w dupę pocałować. Gdy sprawdzałeś ostatnim razem, ile legionów miał on do dyspozycji?

– Krassus ma legiony – przypomniał mu Cycero. – Również Lukullus.

– Lukullus jest za daleko, a poza tym ma zajęte ręce. Jeśli chodzi o Krassusa – tak, to prawda, że nienawidzi Pompejusza, ale on nie jest prawdziwym żołnierzem. To człowiek interesu, a tacy zawsze gotowi są dobić targu.

– No i jeszcze jest ten drobny problem, że cały pomysł jest zupełnie sprzeczny z prawem. Żeby kandydować na konsula, trzeba mieć czterdzieści dwa lata, a ile ma Pompejusz?

– Trzydzieści cztery.

– Właśnie. Prawie rok młodszy ode mnie. Kandydat na konsula musi być wcześniej senatorem i pretorem, a Pompejusz nie był ani jednym, ani drugim. W życiu nie wygłosił jeszcze mowy politycznej. Mówiąc wprost, Palikanusie, trudno byłoby znaleźć kandydata z gorszymi kwalifikacjami.

Palikanus machnął ręką z lekceważeniem.

– To wszystko prawda, ale lepiej przyjrzyjmy się faktom. Pompejusz od lat rządzi całymi krajami i na dokładkę ma władzę prokonsula. Faktycznie jest konsulem, brakuje mu tylko tytułu. Bądź realistą. Nie możesz oczekiwać, że taki człowiek jak Pompejusz wróci do Rzymu i zacznie od samego dołu, kandydując na kwestora niczym jakiś politykier. Czyż nie byłoby to uszczerbkiem dla jego godności?

– Szanuję jego uczucia, ale skoro spytałeś mnie o opinię, to ci ją przedstawiłem. Moim zdaniem arystokracja nie zgodzi się na to. Zgoda, gdy Pompejusz postawi dziesięć tysięcy ludzi pod

murami miasta, to nie będą mieli wyboru i zrobią go konsulem, ale wcześniej lub później żołnierze rozejdą się do domów, a wtedy... Ha! – Cycero nagle odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się.

– To bardzo sprytne.

– Rozumiesz już? – spytał z uśmiechem Palikanus.

– Tak, rozumiem – przytaknął Cycero. – Bardzo dobrze.

– Oferuję ci szansę na udział. Pompejusz Wielki nie zapomina o przyjaciołach.

W tym momencie nie miałem jeszcze pojęcia, o czym mówili. Dopiero gdy szliśmy do domu, Cycero wyjaśnił mi wszystko. Pompejusz zamierzał starać się o konsulat, głosząc konieczność przywrócenia pełnej władzy trybunów. Dlatego Palikanus nieoczekiwanie został trybunem. Ta strategia nie wynikała bynajmniej z altruistycznego pragnienia Pompejusza, żeby zapewnić większą wolność rzymskiemu ludowi – choć podejrzewam, że gdy czasami wylegiwał się w swej łaźni w Hiszpanii, lubił wyobrażać sobie, że jest obrońcą praw obywatelskich – nie, to była sprawa jego egoistycznego interesu. Pompejusz, jak dobry wódz, dostrzegł, że przyjmując taki program, złapie arystokratów w kleszcze – między swoje oddziały pod murami miasta a lud na ulicach. Hortensjusz, Katulus, Metellus i cała reszta nie będą mieć innego wyboru, jak tylko zgodzić się na wybór Pompejusza na konsula i przywrócenie władzy trybunom, bo w przeciwnym razie naraziliby się na zgubę. Wtedy Pompejusz będzie już mógł odesłać żołnierzy do domów i rządzić, pomijając senat i zwracając się bezpośrednio do ludu. Nikt nie mógłby mu się sprzeciwić. To był błyskotliwy plan, a Cycero zrozumiał grę Pompejusza w chwili olśnienia, gdy siedział na sofie Palikanusa.

– A co ja będę z tego miał? – spytał.

– Ułaskawienie swojego klienta.

– To wszystko?

– To będzie zależeć od twojej użyteczności. Nie mam prawa składać konkretnych obietnic. Musisz poczekać, aż Pompejusz wróci i sam zdecyduje.

– To raczej skromna oferta, jeśli wolno mi tak powiedzieć, drogi Palikanusie.

– Cóż, twoja pozycja jest raczej słaba, jeśli wolno mi tak powiedzieć, drogi Cynceronie.

Cycero wstał. Widziałem, że był dotknięty.

– Zawsze mogę się wycofać – powiedział.

– I zostawić swojego klienta, żeby zmarł w męce na krzyżu Werresa? – Palikanus też wstał. – Wątpię w to, Cynceronie. Mam wątpliwości, czy jesteś taki twardy. – Odprowadził nas do drzwi. Przeszliśmy obok wizerunków Pompejusza jako Jowisza i jako Aleksandra Wielkiego. – Spotkam się z tobą i twoim klientem jutro rano w bazylice – powiedział, ściskając dłoń Cyncerona przez progiem. – Później to ty będziesz miał dług wdzięczności, a my będziemy cię obserwować. – Palikanus zdecydowanym ruchem zatrzęsął drzwiami.

Cycero obrócił się na pięcie i wyszedł na ulicę.

– Jeśli takie dzieła sztuki wystawia na widok publiczny – powiedział – to jak myślisz, co trzyma w latrynie? I nie ostrzegaj mnie, żebym trzymał język za zębami, Tironie, bo nic mnie nie obchodzi, kto to usłyszy.

Przeszedł przede mną przez bramę miejską, z rękami splecionymi na plecach i pochyloną głową, głęboko zamyślony. Palikanus miał oczywiście rację. Cycero nie miał wyboru. Nie mógł porzucić swojego klienta, ale jestem pewny, że zastanawiał się nad politycznym ryzykiem, jakim było wyjście poza prostą apelację do trybunów i zaangażowanie się w wielką kampanię na rzecz przywrócenia ich władzy. Ceną za to byłaby utrata poparcia umiarkowanych polityków, takich jak Serwiusz.

– Cóż – rzekł z ironicznym uśmiechem, gdy doszliśmy do

domu – chciałem walki i najwyraźniej mam to, czego chciałem.

Spytał zarządcę Erosa, gdzie jest Terencja. Najwyraźniej sprawiła mu ulgę wiadomość, że jeszcze nie wyszła ze swojego pokoju. Dzięki temu jeszcze przez kilka godzin nie musiał przekazywać jej nowin. Poszliśmy do jego gabinetu. Właśnie zaczął dyktować mi mowę do trybunów – „Panowie, jest dla mnie zaszczytem stać przed wami po raz pierwszy...” – gdy usłyszeliśmy dochodzące od wejścia krzyki i odgłos uderzenia. Cycero, który zawsze lubił myśleć, chodząc, pobiegł zobaczyć, co się stało. Pośpiesznie ruszyłem za nim. W westybulu stało sześciu groźnie wyglądających mężczyzn uzbrojonych w pałki. Eros leżał na posadzce, trzymając się za brzuch, a z rozciętej wargi płynęła mu krew. Inny obcy typ, bez pałki, lecz z dokumentem wyglądającym na oficjalny, podszedł do Cyclerona i oświadczył, że ma nakaz przeprowadzenia rewizji w całym domu.

– Przez kogo wydany? – spokojnie spytał Cycero, spokojniej, niż zrobiłbym to ja, gdybym był na jego miejscu.

– Gajusz Werres, propretor Sycylii, wydał ten nakaz w Syrakuzach pierwszego dnia grudnia – odpowiedział tamten, podtykając go pod nos Cyclerona na obraźliwie krótką chwilę. – Szukam zdrajcy Steniusza.

– Nie znajdziesz go tutaj.

– Sam to ocenię.

– A kim ty jesteś?

– Nazywam się Timarchides, jestem wyzwolencem Werresa. Nie będę tu czekał, podczas gdy ten zdrajca ucieka. Wy – wskazał dwóch najbliższych – pilnujcie frontu. Wy dwaj tyłu. Pozostali idą ze mną. Zaczniemy od pańskiego gabinetu, senatorze, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Wkrótce cały dom wypełniły odgłosy rewizji – stukot butów na marmurowej posadzce i drewnianej podłodze, krzyki niewolnic,



ostre męskie głosy, huk upadających i niszczonego przedmiotów. Timarchides przeglądał w gabinecie skrzynie z dokumentami, czemu przyglądał się Cycero, stojąc w drzwiach.

– Raczej nie ma go w żadnej skrzyni – powiedział. – Nie jest karłem.

Gdy nic nie znaleźli w gabinecie, poszli na górę do spartańskiej sypialni i garderoby senatora.

– Bądź pewny, Timarchidesie – rzekł Cycero, zachowując zimną krew, choć przychodziło mu to z trudem, gdy widział, jak tamci wyrócili jego łóżko – że ty i twój pan zapłacicie za to, i to stokrotnie.

– Gdzie śpi pańska żona? – spytał Timarchides.

– Ach. – Cycero westchnął spokojnie. – Na twoim miejscu raczej bym tego nie robił.

Timarchides był jednak wściekły. Pokonał długą drogę, niczego nie znalazł, a zachowanie Cycerona działało mu na nerwy. Pobiegł korytarzem, a za nim trzech jego ludzi.

– Steniusz! Wiemy, że tam jesteś! – krzyknął i otworzył drzwi sypialni Terencji. W całym domu rozległ się jej ostry krzyk i uderzenie ręki w twarz napastnika. Po nim nastąpiła salwa wymyślnych wyzwisk, wygłaszanych tak władcym tonem i tak głośno, że odległy przodek Terencji, który dowodził rzymskimi liniami w bitwie pod Kannami półtora wieku wcześniej, że pewnością wyprostował się z dumą w grobie.

– Rzuciła się na tego nieszczęsnego wyzwolenca – opowiadał później Cycero – jak przyczajona tygrysyca. Niemal byłam skory mu współczuć.

Timarchides widocznie zrozumiał, że jego misja zakończyła się niepowodzeniem, i postanowił uniknąć dalszych strat, bo po chwili on i jego zbiry zeszli po schodach, poganiani przez Terencję. Mała Tulia chowała się za nią i od czasu do czasu wygrażała napastnikom pięściami, naśladując matkę. Usłyszeliśmy,

jak Timarchides woła swoich ludzi. Po chwili rozległ się tupot stóp i trzask bramy. W całym starym domu zapadła cisza, słychać było tylko jęki jednej z niewolnic.

– I to – powiedziała Terencja, biorąc głęboki oddech i zwracając się do męża. Miała rumieńce na policzkach, a jej płaska pierś unosiła się gwałtownie i opadała. – I to wszystko dlatego, że przemawiałeś w senacie w obronie tego nędznego Sycylijczyka?

– Obawiam się, że tak, kochanie – powiedział ze smutkiem Cyncero. – Chcą mnie nastraszyć.

– Nie możesz im na to pozwolić, Cynceronie. – Przyłożyła dłonie do jego skroni i mocno ścisnęła głowę. Nie był to wyraz czułości, lecz pasji. Spojrzała mu w oczy z wściekłością. – Musisz ich zmiażdżyć.

To wydarzenie przyniosło jeden skutek. Gdy następnego dnia rano wyruszyliśmy do Basilica Porcia, przy jednym boku Cyncerona szedł Kwintus, przy drugim Lucjusz, a za nimi, wspaniale ubrana w strój rzymskiej matrony, w specjalnie wynajętej lektyce, jechała Terencja. Po raz pierwszy w życiu pofatygowała się posłuchać jego mowy. Przysięgam, że był bardziej zdenerwowany perspektywą wystąpienia przed nią niż przed trybunami. Od samego domu towarzyszył nam liczny orszak klientów, a po drodze przyłączali się następni, zwłaszcza po tym, jak zatrzymaliśmy się w połowie drogi przez Argiletum, żeby wyciągnąć Steniusza z jego kryjówki. Gdy przechodziliśmy przez forum do budynku trybunów, nasza grupa musiała liczyć sto lub więcej osób. Timarchides ze swymi opryszkami szedł w pewnej odległości od nas, ale wiedział, że jeśli tylko czegoś spróbuje w bazylice, zostanie rozszarpany na kawałki.

Na ławie siedziało dziesięciu trybunów. Bazylika była pełna. Palikanus wstał i odczytał wniosek – *Zdaniem tego ciała deklaracja wygnania z Rzymu nie dotyczy Steniusza* – po czym Cyncero

stanął przed trybunami. Był blady ze zdenerwowania. Przed ważnymi przemówieniami często miewał mdłości; podobnie tym razem – przed wejściem do bazyliki zatrzymał się i wymiotował do rynsztoka. Pierwsza część przemówienia pokrywała się mniej więcej z tym, co powiedział w senacie, ale teraz mógł w odpowiednich chwilach wywoływać swojego klienta i gestykulować w jego stronę, tak aby wzbudzić współczucie. A z pewnością jeszcze nigdy przed rzymskim sądem nie pojawił się oskarżony, stanowiący tak doskonały obraz nieszczęsnej ofiary jak Steniusz tego dnia. Natomiast druga część mowy była całkowicie nowa i zupełnie nie przypominała jego normalnej, zabójczej sztuki oratorskiej, a oprócz tego zasygnalizowała radykalną zmianę jego stanowiska politycznego. Gdy dotarł do zakończenia, nie starał się już panować nad nerwami i mówił z wielką pasją.

– Jest stare przysłowie, panowie, znane kupcom z Macellum, iż ryba psuje się od głowy. Jeśli dziś w Rzymie panuje zgnilizna – a któż może temu zaprzeczyć? – to mówię wam w prostych słowach, że rozkład zaczął się od głowy. Miał początek na samej górze. Zaczął się w senacie. – W tym momencie rozległy się okrzyki i tupanie. – A jak powiedzą wam ci handlarze, ze śmierdzącą, zepsutą głową ryby można zrobić tylko jedno – trzeba ją odciąć. Odciąć i wyrzucić! – Tłum znowu zaczął radośnie krzyżeć. – Do odcięcia tej głowy potrzebny będzie jednak nie byle jaki nóż, gdyż jest to arystokratyczna głowa, a wszyscy wiemy, jakie one są! – Śmiech. – To głowa spuchnięta pod wpływem trucizny korupcji, nadęta dumą i arogancją. Potrzebna też będzie silna ręka władająca tym nożem, ręka człowieka o silnych nerwach, ponieważ ci arystokraci mają karki z mosiądzu. Mówię wam, mają karki z mosiądzu, wszyscy! – Znowu słyhać było śmiech. – Ten człowiek wkrótce nadejdzie. Nie jest daleko. Odzyskacie przysługującą wam władzę, zapewniam

was, nawet jeśli będzie to wymagało ciężkiej walki. – Kilku bystrzejszych słuchaczy zaczęło wykrzykiwać imię Pompejusza. Cycero podniósł rękę z wyprostowanymi trzema palcami. – Teraz czeka was wielki egzamin, czy jesteście godni tej walki. Pokażcie odwagę, panowie. Rozpocznijcie tę walkę jeszcze dziś. Wymierzcie cios tyranii. Uwolnijcie mojego klienta, a potem uwolnijcie Rzym!

Później Cycero tak się wstydził tego podburzania tłumu, że kazał mi zniszczyć jedyną kopię, dlatego muszę przyznać, że przytaczam jego słowa z pamięci, która jednak przechowała tę mowę wyjątkowo wyraźnie – siłę słów, pasję, z jaką przemawiał, podniecenie podburzonego tłumu, mrugnięcie, jakie wymienił z Palikanusem, gdy opuszczał trybunał. Terencja słuchała go z kamienną twarzą, patrząc prosto przed siebie, gdy plebs wokół niej głośno klaskał. Timarchides, który stał z tyłu, wymknął się z bazyliki, nim zakończyła się owacja. Niewątpliwie popędził galopem na Sycylię, żeby powiedzieć swemu panu, co się stało, gdyż wniosek, jak chyba nie muszę dodawać, został przyjęty jednomyślnie, a Steniusz, dopóki pozostawał w Rzymie, był bezpieczny.

## IV

Cycero mawiał również, że jeśli trzeba zrobić coś niepopularnego, należy w to włożyć całe serce, gdyż w polityce nieśmiałość nigdy nie przynosi zysku. Zgodnie z tą maksymą, choć nigdy wcześniej nie wyrażał opinii o Pompejuszu lub o trybunach, żadna z tych spraw nie miała teraz bardziej zapalonego stronnika. Rzecz jasna, pompejańczycy byli zachwyceni zdobyciem tak błyskotliwego rekruta.

Zima tego roku była długa i chłodna, a podejrzewam, że nikt nie odczuwał tego bardziej niż Terencja. Osobisty kodeks honorowy nakazał jej poprzeć męża w starciu z wrogami, którzy ośmielili się wkroczyć do ich domu. Siedziała wśród śmierzącego plebsu i słuchała, jak mąż atakuje jej własną klasę, a potem musiała znosić, jak w jej salonie i pokoju stołowym bez końca przesiadują jego nowi polityczni przyjaciele, nieokrzesani ludzie z północy, którzy mówili z koszmarnym akcentem, lubili kłaść nogi na jej meblach i spiskowali do późnej nocy. Najważniejszy z nich był Palikanus. Gdy przyszedł po raz drugi, w styczniu, przyprowadził jednego z nowych pretorów, Lucjusza Afraniusza, senatora z Picenum, rodzinnych stron Pompejusza. Cycero

wychodził z siebie, żeby go oczarować. Jeszcze niedawno Terencja też byłaby zaszczycona wizytą pretora w swoim domu, ale Afraniusz nie pochodził z przyzwoitej rodziny i nie był dobrze wychowany. Spytał ją nawet, czy lubi tańczyć, a gdy odsunęła się zgorziona, oświadczył, że to jego ulubiona rozrywka. Podwinął togę, pokazał jej nogi i spytał, czy kiedykolwiek widziała piękniejsze łydki.

Ci ludzie byli przedstawicielami Pompejusza w Rzymie. Sprowadzili do stolicy atmosferę i maniery obozu wojskowego. Byli bezpośredni, niemal brutalni, ale może tacy być musieli, jeśli wziąć pod uwagę, do czego dążyli. Córnka Palikanusa, Lolia – rozmemłana dziewczyna, która zupełnie nie przypadła do gustu Terencji – przyłączała się niekiedy do mężczyzn, ponieważ wyszła za Aulusa Gabiniusza, jeszcze jednego człowieka Pompejusza rodem z Picenum, wówczas służącego pod jego rozkazami w Hiszpanii. Gabiniusz był łącznikiem między wodzem i dowódcami legionów, którzy przekazywali informacje na temat lojalności poszczególnych centurii. Było to istotne, gdyż – jak to wyraził Afraniusz – nie miało sensu sprowadzać armii aż do Rzymu w celu przywrócenia władzy trybunów, żeby przekonać się na miejscu, iż żołnierze z zadowoleniem przejdą na stronę arystokratów, jeśli ci zaoferują dostatecznie wysoką łapówkę.

Pod koniec stycznia Gabiniusz przesłał wiadomość, że ostatnie twierdze buntowników Uxama i Calagurris zostały zdobyte, a Pompejusz jest gotowy do marszu na Rzym. Cycero już od kilku tygodni usilnie przekonywał *pedarii*, biorąc poszczególnych senatorów na bok, gdy czekali na rozpoczęcie sesji, że zbuntowani niewolnicy na północy Italii stanowią coraz większe zagrożenie dla ich interesów i handlu. Potrafił zdobywać poparcie. Gdy problem ten rozważano na posiedzeniu senatu, mimo zacieklej sprzeciwów nobilów i zwolenników Krassusa,

niewielką większością głosów przyjęto uchwałę, zezwalającą Pompejuszowi na utrzymanie w całości hiszpańskiej armii i sprowadzenie jej do ojczyzny w celu zgniecenia oddziałów zwolenników Spartakusa na północy. Od tej pory miał on zagwarantowane objęcie konsulatu. Gdy senat przyjął ten wniosek, Cyncero wrócił do domu cały rozpromieniony. To prawda, teraz arystokraci okazywali mu wzgardę i nienawidzili go najbardziej ze wszystkich ludzi w Rzymie, a konsul przewodniczący obradom, snob nad snoby Publiusz Korneliusz Lentulus Sura, udał nawet, że go nie poznaje, gdy Cyncero chciał zabrać głos. Jakie jednak to miało znaczenie? Znalazł się w wewnętrznym kręgu Pompejusza Wielkiego, a jak wie każdy głupiec, najszybszym sposobem na zrobienie kariery w polityce jest nawiązanie bliskich kontaktów z człowiekiem na szczycie.

Wstyd mi to przyznać, ale w czasie tych miesięcy gorączkowej działalności zaniedbywaliśmy Steniusza. Często przychodził rano i kręcił się w pobliżu senatora przez cały dzień w nadziei, że zostanie przyjęty. Nadal mieszkał w nędznym mieszkaniu w czynszówce Terencji. Brakowało mu pieniędzy. Nie mógł wychylić nosa poza granice miasta, gdyż tylko w Rzymie miał zagwarantowany immunitet. Nie golił brody, nie strzygł włosów, a sądząc po zapachu, od przyjazdu w październiku nie zmienił odzieży. Sprawiał wrażenie, jeśli nie szaleńca, to w każdym razie maniaka. Bez końca wyciągał z kieszeni małe kawałki papirusu lub pergaminu, gniótł je i rzucał na ulicę.

Cyncero wymyślał różne wymówki, byle tylko uniknąć rozmowy ze Steniuszem. Niewątpliwie uważał, że już spełnił swoje zobowiązania, ale to nie był jedyny powód. Trzeba przyznać, że polityka to wsiowy głupiec, zdolny do skoncentrowania się w danej chwili tylko na jednej sprawie, a biedny Steniusz stał się już wczorajszym tematem. Teraz wszyscy mówili tylko o nadchodzącej konfrontacji między Krassusem i Pompejuszem; los

Steniusza nikogo nie interesował.

Późną wiosną Krassus – po pokonaniu głównych oddziałów zbuntowanych niewolników w regionie italskiego obcasa, zabicu Spartakusa i wzięciu do niewoli sześciu tysięcy jeńców – rozpoczął marsz na Rzym. Niedługo potem Pompejusz przekroczył Alpy i zgniółł bunt niewolników na północy. W senacie odczytano jego list do konsulów, w którym niemal całkowicie pominął rolę Krassusa i sobie przypisał „ostateczne i całkowite” zwycięstwo w walce ze zbuntowanymi niewolnikami. Trudno byłoby wymyślić wyraźniejszy sygnał dla jego zwolenników: tego roku zatriumfuje tylko jeden wódz i nie będzie to Marek Krassus. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, w zakończeniu listu Pompejusz zawiadamiał, że on również skieruje się do Rzymu. Trudno się dziwić, że wśród tych poruszających wydarzeń historycznych zapomnieliśmy o Steniuszu.

Pod koniec maja lub na początku czerwca – nie pamiętam dokładnej daty – do domu Cyncerona przybył kurier z listem. Niechętnie mi go oddał, ale nie zgodził się wyjść, dopóki nie otrzyma odpowiedzi – jak powiedział, taki otrzymał rozkaz. Miał na sobie cywilne ubranie, ale poznałem, że jest żołnierzem. Zaniósłem list do gabinetu. Gdy Cyncero go czytał, wyraźnie się zasępił. Podał go mnie, żebym też przeczytał. Gdy zobaczyłem nagłówek – *Od Marka Licyniusza Krassusa, Imperatora, do Marka Tuliusza Cyncerona: Pozdrowienia* – od razu zrozumiałem powód jego zdenerwowania. W liście nie było żadnych gróźb. Było to po prostu zaproszenie na spotkanie ze zwyciężskim wodzem następnego dnia rano, przy drodze do Rzymu, niedaleko Lanuvium, na osiemnastej mili.

– Czy mogę odmówić? – spytał Cyncero i sam sobie odpowiedział. – Nie, nie mogę. To byłaby śmiertelna obraza.

– Przypuszczalnie poprosi pana o poparcie.



– Doprawdy? – rzucił sarkastycznie. – Co skłania cię do takiego przypuszczenia?

– Czy nie może mu pan zaoferować ograniczonego poparcia, tak aby to nie było sprzeczne z pana zobowiązaniami wobec Pompejusza?

– Nie. Na tym polega problem. Pompejusz przedstawił to zupełnie jasno. Żąda absolutnej lojalności. Krassus zada mi pytanie „Czy jesteś za mną, czy przeciw mnie?”, a ja stanę wobec najgorszego koszmaru każdego polityka: będę musiał udzielić jasnej odpowiedzi. – Cyncero ciężko westchnął. – Ale oczywiście musimy pojechać.

Wyruszyliśmy następnego dnia tuż po wschodzie słońca. Jechaliśmy dwukółką, a jeden ze sług Cyncerona powoził. To była najwspanialsza godzina najwspanialszej pory roku. Ociepliło się tak, że ludzie kapali się w publicznym basenie przy Bramie Kapieńskiej, ale powietrze było jeszcze rześkie i przyjemne. Nad drogą nie unosił się kurz. Liście drzew oliwnych lśniły świeżą zielenią. Nawet grobowce ciasno ustawione wzdłuż Via Appia tuż za murami miasta pogodnie błyszczały w pierwszych promieniach słońca. Normalnie Cyncero lubił zwracać mi uwagę na poszczególne pomniki i wygłaszać wykład na ich temat – na przykład na grobowiec Scypiona Afrykańskiego lub Horacji, zamordowanej przez brata za to, że okazywała nadmierny żal po śmierci kochanka. Tego ranka opuścił go normalny, pogodny nastrój. Cały czas myślał o spotkaniu z Krassusem.

– Pół Rzymu należy do niego. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że te groby również. W jednym z nich mogłaby zamieszkać cała rodzina! Czemu nie? Krassus gotów byłby wynająć! Widziałeś, jak on postępuje? Powiedzmy, że dociera do niego wiadomość o pożarze w jakiejś dzielnicy. Wysyła wtedy niewolników, którzy proponują właścicielom płonących domów, że je odkupią za bezcen. Ci nie mają wyboru, muszą się zgodzić.

Wtedy Krassus wysłał drugą grupę, tym razem z pompami strażackimi! To tylko jedna z jego sztuczek. Wiesz, jak przeżywa go Sycyniusz? A pamiętaj, nawiasem mówiąc, że Sycyniusz nie boi się nikogo. Nazywa go „najgroźniejszy byk w całym stadzie”.

Cycero spuścił głowę i więcej się nie odzywał, aż minęliśmy ósmy kamień milowy i znaleźliśmy się na wsi, niedaleko Bovillae. Tam wskazał mi coś dziwnego: posterunki wojskowe strzeły czegoś, co wyglądało na niewielkie magazyny drewna. Minęliśmy już cztery lub pięć takich placów składowych, urządzonych w regularnych odstępach, co pół mili. Im dalej jechaliśmy, tym więcej widzieliśmy żołnierzy pilujących pale, walących młotami, kopiających doły. Wreszcie Cycero odgadł, co się dzieje. Legioniści robili krzyże. I rzeczywiście, już niedługo natknęliśmy się na oddział piechoty Krassusa, maszerujący w stronę Rzymu. Musieliśmy zjechać na skraj drogi, żeby ich przepuścić. Między żołnierzami szła długa kolumna kilkuset jeńców, pokonanych niewolników z armii Spartakusa. Szli, potykając się, z rękami związanymi na plecach – straszliwa armia wycieńczonych duchów zmierzająca na miejsce kaźni, którą – jak widzieliśmy – już przygotowano. Oni zapewne jeszcze o tym nie wiedzieli. Nasz woźnica wymamrotał zaklęcie, mające odstraszyć zło, smagnął konie batem i ruszyliśmy dalej. Jakąś milę dalej egzekucje już się zaczęły. Po obu stronach drogi widać było niewielkie grupy żołnierzy, którzy przybijali niewolników do krzyży. Staram się o tym nie pamiętać, ale ten obraz wraca niekiedy do mnie w snach. Z jakiegoś powodu najczęściej widzę, jak żołnierze podnoszą krzyże z rozpiętymi ofiarami, ciągnąc z wysiłkiem za liny, aż wreszcie pionowy słup wpada z łomotem do wykopanego dołu. Pamiętam też, jak przejechaliśmy na drugą stronę wzgórza i zobaczyliśmy długą aleję krzyży, ciągnącą się mila za milą. Świeże drewno błyszczało w słońcu, a powietrze

niemal dygotało od jęków konających, bzyczenia much i krakania krążących wron.

– To dlatego wyciągnął mnie z Rzymu – mruknął wściekle Cyncero. – Chciał mnie nastraszyć widokiem tych biedaków.

Cyncero silnie pobladł. Był przeczulony na punkcie bólu i śmierci, nawet gdy ofiarami padały zwierzęta, dlatego starał się nie oglądać igrzysk. Przypuszczalnie to również stanowiło przyczynę jego awersji do wszelkich spraw wojskowych. W młodości służył tyle, ile musiał, nie potrafił walczyć mieczem i rzucać oszczepem, a później w ciągu całej swej kariery znosił przyciniki, że unikał poboru.

Przy osiemnastym kamieniu milowym zobaczyliśmy obok drogi otoczony rowem i ufałem obóz legionów Krassusa. W powietrzu unosił się zapach potu i skóry, który zawsze towarzyszy armii w polu. Nad bramą łopotały sztandary. Przy wejściu czekał syn Krassusa, Publiusz, wówczas energiczny, młodszy oficer, żeby zaprowadzić Cyncerona do namiotu dowódcy. Gdy przyszliśmy na miejsce, z namiotu właśnie wychodziło kilku senatorów. Nagle pojawił się sam Krassus, którego łatwo było rozpoznać. „Stary Łysol” – tak przezywali go żołnierze. Mimo upału miał na sobie szkarłatny płaszcz dowódcy. Rozpływał się w uprzejmościach, żegnał się z poprzednimi gośćmi, życzył im bezpiecznej podróży, a potem równie serdecznie przywitał się z nami – nawet ze mną. Uściskał mi rękę równie ciepło, jakbym to ja był senatorem, nie zaś niewolnikiem, który w nieco innych okolicznościach mógł teraz skowyczeć na krzyżu. Gdy teraz o tym myślę i próbuję zrozumieć, co w nim budziło taką niechęć, przychodzi mi do głowy, że była to właśnie ta bezosobowa i skierowana do wszystkich przyjaźń, o której wiedziałeś, że nigdy nie osłabnie, nawet jeśli Krassus już kazał cię zabić. Cyncero powiedział mi, że majątek Krassusa był wart co najmniej dwieście

milionów sestercji, ale rozmawiał on ze wszystkimi równie swobodnie, jak rolnik oparty o bramę, a jego namiot – podobnie jak rzymski dom – był skromny i niczym nieozdobiony.

Zaprosił nas do środka – mnie również, nalegał, bym wszedł – jednocześnie przepraszając za ponury spektakl wzdłuż Via Appia, który jednak uważał za konieczny. Wydawał się szczególnie dumny ze sprawnej organizacji, dzięki której zdołał ukrzyżować sześć tysięcy ludzi na drodze o długości trzystu pięćdziesięciu mil, od pola zwycięskiej bitwy do bram Rzymu, bez – jak to określił – „żadnych scen przemocy”. Wypadało siedemnaście krzyży na jedną milę, a odstępy między nimi wynosiły sto siedemnaście kroków. Krassus potrafił świetnie liczyć. Cała sztuka polegała na uniknięciu paniki wśród jeńców, gdyż wówczas musiałby stoczyć kolejną bitwę. Dlatego co milę – a czasami co dwie lub trzy, żeby nie wzbudzić podejrzeń – zatrzymywano przy drodze stosowną liczbę niewolników, a reszta kolumny szła dalej. Egzekucja rozpoczynała się dopiero wtedy, gdy towarzysze krzyżowanych niczego już nie widzieli i nie słyszeli. W ten sposób zadanie zostało wykonane minimalnym wysiłkiem, a jednocześnie uzyskano maksymalny efekt odstraszający – Via Appia była najruchliwszą drogą w Italii.

– Gdy niewolnicy o tym usłyszą, wątpię, czy znajdzie się wielu, którzy chcieliby w przyszłości zbuntować się przeciw Rzymowi – powiedział z uśmiechem. – Czy ty byłbyś na to gotowy? – spytał mnie. Gdy pośpiesznie zapewniłem, że z całą pewnością nie, uszczypnął mnie w policzek i potargał mi włosy. Dotknięcie jego ręki sprawiło, że odruchowo chciałem się cofnąć. – On mi się podoba – powiedział do Cyncerona. – Dam ci za niego dobrą cenę. Powiedzmy... – wymienił jakąś kwotę, co najmniej dziesięć razy większą niż moja wartość rynkowa. Przez chwilę myślałem z przerażeniem, że oferta zostanie przyjęta i

stracę miejsce w życiu Cyclerona. Nie zniósłbym tego.

– Nie jest na sprzedaż za żadną cenę – odparł Cycero. Pódróż wytrąciła go z równowagi, a na dokładkę ochrypl. – W celu uniknięcia wszelkich nieporozumień lepiej będzie, jeśli powiem ci od razu, że obiecałem poprzeć Pompejusza Wielkiego.

– Jakiego Pompejusza? – szyderczo spytał Krassus. – Pompejusza Wielkiego? Wielkiego jak co?

– Wolałbym nie mówić – odrzekł Cycero. – Porównania mogą być nieprzyjemne. – Ta uwaga sprawiła, że nawet Krassus, chociaż miał dobry nastrój, minimalnie zeszywniał.

Zdarzają się politycy, którzy po prostu nie mogą przebywać w jednym pokoju, nawet jeśli w ich interesie leży, by ze sobą współpracowali. Szybko stało się dla mnie oczywiste, że Cycero i Krassus są tego doskonałym przykładem. Tego właśnie nie biorą pod uwagę stoicy, gdy twierdzą, że to rozum, nie zaś uczucia, powinien decydować o ludzkich sprawach. Obawiam się, że jest dokładnie odwrotnie i to nigdy się nie zmieni, nawet – a może zwłaszcza – w świecie rzekomo wyrachowanych polityków. Jeśli politycy nie potrafią kierować się rozumem, to jaką możemy mieć nadzieję, że zapanuje on w innej dziedzinie? Krassus zaprosił Cyclerona na spotkanie, żeby zdobyć jego poparcie. Cycero przyjechał, gdyż nie chciał psuć ich wzajemnych stosunków. Mimo to obaj nie potrafili ukryć niechęci do swego rozmówcy i spotkanie miało katastrofalny przebieg.

– Przejdźmy lepiej do rzeczy, dobrze? – powiedział Krassus, gdy już zaprosił Cyclerona, żeby usiadł. Zdjął płaszcz, podał go synowi i usiadł na sofie. – Chciałbym cię poprosić o dwie rzeczy, Cyceronie. Pierwsza to twoje poparcie w wyborach konsularnych. Mam czterdzieści cztery lata, zatem z powodzeniem przekroczyłem wymagany wiek i uważam, że to powinien być mój rok. Druga to triumf. Za obie gotowy jestem zapłacić tyle,

ile wynosi twoja stawka rynkowa. Zazwyczaj, jak dobrze wiesz, we wszystkich umowach domagam się wyłączności, ale biorąc pod uwagę twoje wcześniejsze zobowiązania, rozumiem, że muszę zadowolić się połową ciebie. Połowa Cyclerona – powiedział, lekko skłaniając głowę – jest więcej warta niż większość ludzi w całości.

– To bardzo pochlebne, imperatorze – odrzekł Cycero, zirytowany ukrytymi implikacjami tych słów. – Dziękuję. Mój niewolnik nie jest do kupienia, natomiast ja jestem, tak? Proszę pozwolić, że się nad tym zastanowię.

– Nad czym tu się zastanawiać? Każdy obywatel ma dwa głosy w wyborach konsularnych. Daj jeden mnie, a drugi komu chcesz. Postaraj się tylko, żeby twoi przyjaciele uczynili tak samo. Powiedz im, że Krassus nigdy nie zapomina tych, którzy wyświadczyli mu usługę. Ani tych, którzy mu się sprzeciwili.

– Obawiam się jednak, że muszę nad tym pomyśleć.

Po przyjaznej twarzy Krassusa przemknął cień, jak szczupak w przejrzystej wodzie.

– A co z moim triumfem?

– Osobiście jestem absolutnie przekonany, że zasłużyłeś na ten zaszczyt. Jednak, jak wiesz, warunkiem odbycia triumfu jest rozszerzenie granic państwa. Senat już rozważał precedensy. Jak się okazuje, nie wystarcza odzyskać utracone terytoria. Na przykład, gdy Fulwiusz ponownie podbił Kapuę, po tym jak przeszła na stronę Hannibala, nie pozwolono mu odbyć triumfu. – Gdy Cycero to wyjaśniał, sprawiał wrażenie, że naprawdę żałuje.

– No, ale przecież to prawniczy szczegół, nieprawdaż? Jeśli Pompejusz może zostać konsulem, choć nie spełnia żadnych koniecznych warunków, to czemu ja nie mogę mieć chociaż triumfu? Wiem, że obce ci są trudności związane z dowodzeniem

armią, a nawet – dodał pokrętnie – zwykłą służbą, ale z pewnością zgodzisz się, że spełniłem wszystkie pozostałe kryteria. Zabiłem pięć tysięcy wrogów w bitwie, dowodziłem legionami, żołnierze obwołali mnie imperatorem, przywróciłem pokój w prowincji, wycofałem armię w całości. Gdyby ktoś o takich wpływach jak ty zgłosił stosowny wniosek w senacie, mógłby liczyć na moją szczodrość.

Zapadła długa cisza. Zastanawiałem się, jak Cycero wybrnie z tego dylematu.

– To jest twój triumf, imperatorze! – powiedział nagle, wskazując ręką Via Appia. – To pomnik, który najlepiej świadczy, jakim jesteś człowiekiem! Jak długo Rzymianie będą mieli języki, żeby mówić, będą powtarzać imię Krassusa jako człowieka, który ukrzyżował sześć tysięcy niewolników na drodze długości trzystu pięćdziesięciu mil, w odstępach stu siedemnastu kroków między krzyżami. Żaden z naszych wielkich wodzów nigdy nie dokonał czegoś takiego. Scypion Afrykański, Pompejusz, Lukullus... – Cycero wyliczył ich z pogardą. – Żaden nawet nie pomyślałby o czymś takim.

Cycero odchylił się do tyłu, oparł na poręczy krzesła i uśmiechnął do Krassusa, który odwzajemnił uśmiech. Czas płynął. Zacząłem się pocić. To był pojedynek, kto dłużej utrzyma uśmiech na twarzy. Wreszcie Krassus wstał i podał rozmówcy rękę.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, że zechciałeś przyjechać na spotkanie, młody przyjacielu – powiedział na pożegnanie.

Senat zebrał się kilka dni później, żeby podjąć decyzje o uhonorowaniu zwycięskich dowódców. Cycero głosował wraz z większością za odmówieniem Krassusowi triumfu. Pogromca Spartakusa musiał zadowolić się owacją, czyli drugorzędną nagrodą. Zamiast wjechać do miasta na rydwaniu ciągniętym przez

cztery konie, miał wejść pieszo, a zamiast zwyczajowych fanfar miały mu towarzyszyć piski fletów. Nie dostał też prawa założenia wieńca laurowego – musiał zadowolić się mirtem.

– Jeśli ten człowiek ma choć odrobinę poczucia honoru – powiedział Cycero – to odrzuci tę propozycję. – Nie muszę chyba dodawać, że Krassus szybko zaakceptował decyzję senatu.

Gdy senatorowie przeszli do kwestii nagrodzenia Pompejusza, Afraniusz posłużył się zręczną sztuczką. Wykorzystał swoją rangę pretora, żeby wcześniej zabrać głos w dyskusji, i oświadczył, że Pompejusz przyjmie z pokorną wdzięcznością każdą decyzję senatu: następnego dnia miał się pojawić pod murami miasta ze swą armią liczącą dziesięć tysięcy ludzi i chciałby osobiście podziękować tylu senatorom, ilu tylko zdoła. *Dziesięć tysięcy żołnierzy?* Po usłyszeniu tej nowiny nawet arystokraci nie mieli ochoty publicznie okazywać lekceważenia zdobywcy Hiszpanii i senat jednomyślnie poinstruował konsulów, aby jak najszybciej spotkali się z Pompejuszem i zaoferowali mu pełny triumf.

Następnego dnia Cycero ubrał się jeszcze staranniej niż zwykle i naradził się z Kwintusem i Lucjuszem, jak powinien rozmawiać z Pompejuszem. Zdecydował się na śmiałe podejście. Następnego roku miał skończyć trzydzieści sześć lat, a tym samym mógł już ubiegać się o urząd edyla. Każdego roku wybierano czterech edylów, którzy zajmowali się utrzymaniem budynków publicznych, porządku publicznego, organizowaniem różnych świąt i festynów, wydawaniem koncesji handlowych, rozdawaniem ziarna i tak dalej, co pozwalało im skonsolidować swoją polityczną pozycję. Uzgodniono, że tego właśnie zażąda: poparcia Pompejusza w wyborach na stanowisko edyla.

– Uważam, że na to zasłużyłem – powiedział Cycero.



Po podjęciu decyzji przyłączyliśmy się do tłumu obywateli śpieszących na zachód od Pola Marsowego, gdzie podobno Pompejusz zamierzał zatrzymać swoje legiony. (W tamtych czasach w świętych murach miasta nie mogli przebywać dowódcy wojskowi, dlatego Pompejusz i Krassus, jeśli chcieli zachować dowództwo, musieli spiskować, pozostając poza murami). Wielu ludzi chciało się przekonać, jak wygląda ten wielki człowiek, gdyż rzymski Aleksander, jak nazywali go wielbiciele, wojował z dala od miasta już niemal od siedmiu lat. Niektórzy zastanawiali się, czy bardzo się zmienił, inni – między innymi ja – nigdy jeszcze go nie widzieli. Cyncero dowiedział się od Palikanusa, że Pompejusz zamierza założyć kwaterę w Villa Publica, rządowym domu gościnnym niedaleko zagród wyborczych, więc tam się skierowaliśmy – Cyncero, Kwintus, Lucjusz i ja.

Willę otaczał podwójny kordon żołnierzy. Gdy przepchaliśmy się przez tłum, okazało się, że nie wpuszczają nikogo bez rozkazu. Cyncero był głęboko obrażony, że żaden ze strażników nawet o nim nie słyszał. Na szczęście przy wejściu akurat pojawił się Palikanus, który poprosił zięcia, dowódcę legionu Gabiniusza, żeby za nas poręczył. Wewnątrz ujrzelśmy połowę oficjalnego Rzymu; wszyscy spacerowali w cieniu kolumnady, zafascynowani tak bliskim kontaktem z prawdziwą władzą.

– Pompejusz przybył o północy – poinformował nas Palikanus. – Teraz są u niego konsulowie – dodał wyniośle. Obiecał, że wróci, jak tylko będzie miał świeże wiadomości, po czym zniknął z ważną miną w głębi willi, bez przeszkód mijając wartowników.

Minęło kilka godzin. Palikanus się nie pokazał. Widzieliśmy natomiast gońców wbiegających do willi i wybiegających. Byliśmy głodni, dlatego zwróciliśmy uwagę na dostarczane jedzenie. Później z willi wyszli konsulowie, natomiast przybyli dwaj starsi

mężowie stanu, Katulus i Publiusz Izaurykus. Oczekujący senatorowie, którzy wiedzieli, że Cycero gorąco popierał Pompejusza, i zakładali, że należy on do jego wewnętrznego kręgu, wciąż podchodzili i pytali, co się dzieje.

– Wszystko w swoim czasie – odpowiadał. – Wszystko w swoim czasie. – Przypuszczam, że w końcu ta formułka stała się dla niego kłopotliwa, bo kazał mi poszukać jakiegoś stołka. Ustawił go przy kolumnie, usiadł i zamknął oczy. Po południu przyszedł Hortensjusz. Przecisnął się między ciekawskimi widzami powstrzymywanymi przez żołnierzy i natychmiast został wpuszczony do willi. Gdy niedługo potem tak samo zostali przyjęci trzej bracia Metellusowie, nawet Cycero nie mógł udawać, że spotkało go tu coś innego jak upokorzenie. Krążył nerwowo pod kolumnadą, czekając na powrót Kwintusa, którego posłał do senatu, żeby spróbował czegoś dowiedzieć się z plotek. Po raz dwudziesty kazał mi poszukać Palikanusa, Afraniusza lub Gabiniusza – kogokolwiek, kto mógłby wprowadzić go do środka.

Pokręciłem się chwilę przy zatłoczonym wejściu i stając na palcach, starałem się coś zobaczyć. Gdy wbiegł kurier i przez chwilę drzwi były otwarte, zobaczyłem kilka postaci w białych togach stojących wokół marmurowego stołu, na którym leżały jakieś dokumenty. Rozmawiali i żartowali. Po chwili moją uwagę odwróciła wrzawa na ulicy. Słyszałem okrzyki „Cześć imperatorowi!” i oklaski. Nagle otworzyła się brama i wszedł Krasus w otoczeniu strażników. Zdjął hełm z pióropuszem i podał go liktorowi, otarł pot z czoła i rozejrzał się wokół. Jego spojrzenie padło na Cyncerona. Obdarzył go lekkim skinieniem głowy i swym uśmiechem zwykłego człowieka. Muszę przyznać, że była to jedna z bardzo nielicznych sytuacji, kiedy Cynceronowi zabrakło słów. Krassus zarzucił na ramiona szkarłatny płaszcz – co naprawdę wyglądało wspaniale – po czym wszedł do willi, a Cyncero ciężko opadł na swój stołek.

Często obserwowałem pewną osobliwą cechę władzy: nie-  
rzadko jest tak, że osoby fizycznie znajdujące się najbliżej źró-  
dła władzy są najgorzej poinformowane o tym, co dzieje się  
istotnego. Na przykład widziałem, jak senatorowie wychodzą z  
sali obrad i wysyłają niewolników na targ, żeby dowiedzieli się,  
co wydarzyło się w mieście, którym rzekomo rządzą. Słyszałem  
o dowódcach wojskowych, otoczonych legatami i kurierami,  
którzy musieli polegać na przypadkowo spotkanych pastuchach,  
żeby dowiedzieć się, jak przebiegają działania na polu bitwy.  
Tak było tego popołudnia z Cyceronem siedzącym w odległości  
kilku kroków od sali, gdzie dzielono Rzym niczym ugotowane-  
go kurczaka, ale o zapadających decyzjach dowiedział się od  
Kwintusa, któremu przekazał plotki jakiś urzędnik na forum, ten  
zaś usłyszał je od sekretarza senatu.

– Jest źle – powiedział Kwintus, co każdy mógł odczytać z  
jego twarzy. – Pompejusz na konsula, przywrócenie władzy try-  
buńskiej, bez sprzeciwów ze strony arystokratów. W zamian –  
słuchaj tylko – w zamian Hortensjusz i Kwintus Metellus mają  
być konsulami w przyszłym roku, z pełnym poparciem Pompe-  
jusza, a Lucjusz Metellus ma zastąpić Werresa na Sycylii. Na  
koniec Krassus – Krassus! – ma współrządzić z Pompejuszem  
jako drugi konsul. Obaj mają rozpuścić swoje armie w dniu ob-  
jęcia urzędu.

– Ależ ja powinienem tam być – powiedział Cycero, wpa-  
trując się z konsternacją w willę. – Ja też powinienem tam być!

– Marku – odrzekł ze smutkiem Kwintus, kładąc rękę na  
ramieniu brata – żaden z nich cię tam nie potrzebuje.

Cycero był wstrząśnięty nagłą odmianą losu – on został wy-  
kluczony, przeciwnicy nagrodzeni, Krassus wyniesiony na sta-  
nowisko konsula. Uwolnił ramię i gniewnie ruszył w stronę  
drzwi. Niewykluczone, że miecz któregoś strażnika zakończyłby

jego karierę, gdyż jak sądzę, zdesperowany Cycero postanowił siłą dopchać się do stołu negocjacyjnego i zażądać swego udziału, ale było za późno. Główni gracze zawarli układ i już wychodzili z willi. Przed nimi biegli adiutanci, a strażnicy na ich widok wyprężyli się na baczność. Pierwszy pojawił się Krassus, a za nim z cienia wyszedł Pompejusz. Łatwo go było rozpoznać, nie tylko dzięki otaczającej go aurze władzy – gdy się poruszał, w powietrzu niemal trzaskały iskry – ale również po wyglądzie. Miał szeroką twarz, z wydatnymi kośćmi policzkowymi i gęstymi, falującymi włosami, tworzącymi czub podobny do dziobu okrętu. To była twarz człowieka poważnego i nawykłego do wydawania rozkazów. Reszta ciała pasowała do twarzy – Pompejusz miał szerokie ramiona i mocną klatkę piersiową, zupełnie jak zapaśnik. Teraz zrozumiałem dlaczego, gdy był młodszy i słynął z bezwzględności, przezywano go Rzeźnikiem.

Gdy Łysol i Rzeźnik wychodzili, każdy mógł zauważyć, że nie rozmawiają ze sobą i nawet na siebie nie patrzą. Skierowali się do bramy, a strażnicy otworzyli ją na oścież. Senatorowie, widząc, co się dzieje, całym stadem rzucili się za nimi, porywając nas ze sobą. Strumień ludzi wyniósł nas na Pole Marsowe. Mieliśmy wrażenie, że zderzyliśmy się z twardą ścianą hałasu i gorąca. Tego popołudnia na Polu Marsowym musiało zgromadzić się ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. Wszyscy darli się z radości. Żołnierze splekli ręce i zapierając się mocno, żeby powstrzymać tłum, zrobili wąską ścieżkę, tak aby Krassus i Pompejusz mogli przejść ramię w ramię. Nie widziałem ich twarzy i nie wiem, czy zaczęli rozmawiać, ponieważ byliśmy daleko z tyłu. Powoli podeszli do trybuny, gdzie tradycyjnie stali urzędnicy podczas wyborów. Pompejusz pierwszy wdrapał się na trybunę. Rozległy się oklaski. Przez chwilę pławił się w nich, zwracając rozpromienioną twarz raz w jedną stronę, raz w drugą, jak kot wygrzewający się w promieniach słońca. Potem podał

rękę Krassusowi i wciągnął go na trybunę. Po tej demonstracji jedności między dwoma rywalami tłum znowu zaryczał z radości. Wrzask jeszcze się wzmógł, gdy Pompejusz chwycił i uniósł dłoń Krassusa.

– Co za ohydne widowisko! – powiedział Cycero. Musiał krzyczeć mi prosto w ucho, bo inaczej bym go nie słyszał. – Konsulat zdobyty mieczem. Jesteśmy świadkami początku końca republiki, Tironie, zapamiętaj moje słowa! – Nie mogłem powstrzymać się od myśli, że gdyby on był obecny przy stole konferencyjnym i uczestniczył w ustalaniu listy kandydatów, wychwalałby to teraz jako majstersztyk polityki państwowej.

Pompejusz machnął ręką, żeby uciszyć tłum, po czym zaczął przemawiać. Mówił takim tonem jak podczas musztry.

– Rzymianie! Przywódcy senatu łaskawie zaproponowali mi triumf, co z radością przyjąłem. Oświadczyli mi również, że wolno mi będzie kandydować w najbliższych wyborach konsularnych, co zaakceptowałem z taką samą radością. Jedyne, co sprawia mi większą przyjemność, to fakt, że mój stary przyjaciel Marek Licyniusz Krassus będzie moim kolegą. – Pompejusz zakończył obietnicą, że w przyszłym roku urządzi wielkie igrzyska na cześć Herkulesa, aby w ten sposób uczcić swoje zwycięstwa w Hiszpanii.

To bez wątpienia były wielkie słowa, ale Pompejusz wygłosił je zbyt szybko, zapominając o koniecznych przerwach między zdaniami, tak aby ci nieliczni, którzy go słyszeli, mieli czas powtórzyć je sąsiadom z tyłu. Wątpię, czy więcej niż kilkuset ludzi na Polu Marsowym wiedziało, co powiedział, ale wszyscy i tak krzyczeli z radości. Wrzawa jeszcze się wzmogła, gdy głos zabrał Krassus i zręcznie przebił Pompejusza.

– Deklaruję tutaj – zapewnił grzmiącym głosem wytrawnego oratora – że równocześnie z igrzyskami Pompejusza – w dniu

otwarcia igrzysk Pompejusza – przeznaczę jedną dziesiątą mojej fortuny na żywność dla ludu rzymskiego – darmowe jedzenie dla wszystkich was, przez trzy miesiące – i urządzę wielką ucztę na ulicach – ucztę dla wszystkich obywateli – ucztę na cześć Herkulesa!

Tłum wpadł w ekstazę.

– Co za łajdak! – mruknął z podziwem Cyncero. – Jedna dziesiąta jego fortuny to dwadzieścia milionów! Niezła łapówka. No, ale to i tak tanio. Zwróciłeś uwagę, jak zmienił słabą pozycję w bardzo mocną? Założę się, że tego się nie spodziewałeś! – krzyknął do Palikanusa, który przepychał się przez tłum w naszą stronę. – Potrafił przedstawić się jako równy Pompejuszowi. Nie powinniście dawać mu okazji do wystąpienia.

– Chodź na spotkanie z imperatorem – odpowiedział Palikanus. – Chce osobiście ci podziękować. – Widziałem, że Cyncero się waha, ale Palikanus nalegał i ciągnął go za tokę. Cyncero pewnie pomyślał, że powinien spróbować uratować dzień.

– Czy zamierza wygłosić przemówienie? – zapytał, gdy szliśmy za Palikanusem w kierunku trybuny.

– On nie wygłasza mów – odpowiedział Palikanus przez ramię. – W każdym razie jeszcze tego nie robi.

– To błąd. Ludzie oczekują, że coś powie.

– Cóż, czeka ich rozczarowanie.

– Co za marnotrawstwo! – mruknął do mnie zde gustowany Cyncero. – Wiele bym dał, żeby mieć taką publiczność! Jak często zdarzyło ci się widzieć tylu wyborców w jednym miejscu?

Pompejusz nie miał jednak doświadczenia w wystąpieniach publicznych, a poza tym był przyzwyczajony do rozkazywania ludziom, nie zaś do podlizywania się im. Machnął ręką na pożegnanie i zszedł z trybuny. Krassus poszedł za jego przykładem i

oklaski powoli ucichły. Tłum był wyraźnie rozczarowany, ludzie stali i zastanawiali się, co powinni zrobić.

– Co za marnotrawstwo! – powtórzył Cycero. – Ja urządziłbym im widowisko!

Za trybuną znajdował się niewielki ogrodzony teren, gdzie zwykle czekali urzędnicy, którzy mieli kierować przebiegiem wyborów. Palikanus przeprowadził nas przez kordon żołnierzy. Chwilę później pojawił się Pompejusz. Młody czarny niewolnik podał mu ręcznik. Pompejusz startł pot z twarzy i karku. Kilkunastu senatorów czekało, żeby go pozdrowić. Palikanus wepchnął Cyclerona między nich. On sam, Kwintus, Lucjusz i ja stanęliśmy z tyłu, żeby obserwować przebieg rozmowy. Pompejusz przesunął się wzdłuż szeregu, ściskając dłonie senatorów. Afraniusz szedł tuż za nim i podpowiadał mu, kto jest kto.

– Cieszę się ze spotkania – powtarzał Pompejusz. – Cieszę się ze spotkania. Cieszę się ze spotkania.

Gdy zbliżył się, miałem okazję lepiej mu się przyjrzeć. Bez wątplenia miał szlachetną twarz, ale w tych mięsistych rysach kryła się też nieprzyjemna próżność, a jego wielkopańskie maniery i roztargnienie tylko podkreślały, jakim żmudnym i nudnym zajęciem są dla niego spotkania z tymi wszystkimi cywilami. Szybko doszedł do Cyclerona.

– Marek Tuliusz Cycero, imperatorze – powiedział Afraniusz.

– Cieszę się ze spotkania.

Pompejusz już miał przesunąć się dalej, ale Afraniusz chwycił go za łokieć.

– Cycero jest uważany za jednego z najwybitniejszych rzymskich adwokatów – szepnął. – Był dla nas bardzo użyteczny w senacie.

– Doprawdy? W takim razie staraj się nadal.

– Tak zamierzam – odrzekł szybko Cyncero – gdyż mam nadzieję, że w przyszłym roku zostanę edylem.

– Edylem? – Pompejusz skrzywił się na ten pomysł. – Nie, nie sądzę. Mam w tej sprawie inne plany. Jestem jednak pewny, że znajdziemy miejsce dla zdolnego prawnika.

Pompejusz ruszył dalej.

– Cieszę się ze spotkania... cieszę się ze spotkania – powtórzał.

Cyncero patrzył przed siebie i z trudem przełykał ślinę.



## V

Tego wieczoru, po raz pierwszy i ostatni w ciągu moich wszystkich lat w jego służbie, Cycero za dużo wypił. Słyszałem, jak przy kolacji kłócił się z Terencją – to nie była jedna z ich wielu normalnych, dowcipnych, lodowato kurtuazyjnych sprzeczek, ale awantura, którą słychać było w całym domu. Żona wymyślała mu, że tylko skończony głupiec mógł zaufać tej bandzie ludzi tak jawnie pozbawionych honoru – przecież oni wszyscy są z Picenum, nie są nawet Rzymianami!

– No, ale przecież ty też nie jesteś Rzymianinem – dorzuciła, przypominając mu o jego niskim, prowincjonalnym pochodzeniu, co zawsze go bolało. Zaniepokoiłem się, gdy nie usłyszałem jego odpowiedzi – mówił cichym, pełnym złości tonem – ale musiał powiedzieć coś druzgoczącego, bo Terencja, którą byle co nie mogło wstrząsnąć, wybiegła z jadalni z płaczem i znikła na górze.

Uznałem, że najlepiej będzie zostawić go samego, ale godzinę później usłyszałem głośny trzask. Gdy wszedłem, zobaczyłem, jak Cycero stoi, chwiejąc się na nogach, i wpatruje się w leżące na podłodze kawałki talerza. Tunikę miał poplamioną winem.

– Źle się czuję – powiedział.

Położyłem sobie jego rękę na ramieniu i tak go podtrzymując, zaprowadziłem do sypialni. Nie było to łatwe zadanie, bo był ode mnie cięższy. Położyłem go na łóżku i zdjąłem mu buty.

– Rozwód – wymamrotał w poduszkę – to jest odpowiedź, Tironie. Rozwód. Jeśli nawet będę musiał opuścić senat, bo nie będę miał dość pieniędzy, to co z tego? Nikt nie będzie za mną tęsknił. Jeszcze jeden „nowy człowiek”, który niczego nie osiągnął. Och, drogi Tironie!

Zdażyłem przynieść nocnik, nim zwymiotował. Trzymając głowę w dole, przemawiał do własnych wymiocin.

– Pojedziemy do Aten, mój drogi, będziemy mieszkać z Attykusem i studiować filozofię, a tu nikt nie będzie za nami tęsknił... – Te słowa zlały się w długą, pełną uzalania się nad sobą strugę bełkotanych sylab i syczących spółgłosek, których nie mógłbym zanotować w swoim systemie stenograficznym. Postawiłem nocnik obok łóżka, zgasilem lampkę i wyszedłem. Nim zamknąłem drzwi, usłyszałem jego chrapanie. Przyznaję, że tej nocy położyłem się spać z ciężkim sercem.

Jednak następnego dnia, o zwykłej godzinie przed świtem, obudziły mnie odgłosy ćwiczeń gimnastycznych. Cyncero ruszał się może nieco wolniej niż zwykle, ale trzeba wziąć pod uwagę, że wstał bardzo wcześnie, gdyż był to środek lata. Spał najwyżej parę godzin. Taki już miał charakter. Porażki były paliwem dla jego ambicji. Ilekroć spotykało go upokorzenie – jak w początkach kariery adwokackiej, gdy zawodził go organizm, po powrocie z Sycylii i teraz, ze strony Pompejusza – płonący w nim ogień przygasał tylko na chwilę, po czym wybuchał z nową siłą. „Człowiek osiąga szczyt dzięki wytrwałości, nie zaś geniuszowi – zwykł powtarzać. – W Rzymie jest pełno niedocenionych geniuszy. Tylko dzięki wytrwałości można zrobić karierę.” Teraz

słyszałem, jak przygotowuje się do kolejnego dnia walki na Forum Romanum i czułem, że życie w domu znów toczy się w znanym, starym rytmie.

Ubrałem się i zapaliłem lampy. Powiedziałem odźwiernemu, żeby otworzył drzwi. Zrobiłem listę klientów, poszedłem do gabinetu i podałem ją Cycleronowi. Ani wtedy, ani później nie rozmawialiśmy o wydarzeniach poprzedniej nocy, co prawdopodobnie sprawiło, że jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do siebie. Oczywiście nie wyglądał najlepiej i musiał przecierać oczy, żeby skupić spojrzenie na nazwiskach, ale poza tym zachowywał się zupełnie normalnie. „Steniusz! – jęknął, gdy zobaczył, kto jak zwykle czeka w tablinum. – Niech bogowie się nad nami zlitują!”

– Nie jest sam – ostrzegłem go. – Tym razem przyprowadził jeszcze dwóch Sycylijczyków.

– Chcesz powiedzieć, że on się rozmnaża? – Odkasznął, żeby przeczyścić gardło. – Dobrze. Niech wejdzie pierwszy. Pozbędziemy się go raz na zawsze.

Niczym w powracającym śnie, z którego nie mogłem się zbudzić, znowu wprowadziłem Steniusza z Thermae do gabinetu Cyclerona. Przedstawił swoich towarzyszy – byli to Herakliusz z Syrakuz i Epikrates z Bidis, dwaj starzy mężczyźni, tak jak on ubrani w żałobne stroje, z brodami i zapuszczonymi włosami.

– Słuchaj, Steniuszu – powiedział ostro Cycero, gdy już wymienił uściski ręki z całą ponurą trójką. – To się musi skończyć.

Jednak Steniusz znajdował się w dziwnym, odległym i prywatnym królestwie, do którego rzadko dochodzą dźwięki z zewnątrz: w krainie obsesyjnego pieniacza.

– Jestem ci ogromnie wdzięczny, senatorze. Przede wszystkim teraz, gdy już dostałem dokumenty z sądu w Syrakuzach

– powiedział, wyciągając ze skórzanej torby jakieś papirusy i wciskając je w ręce Cyncerona – możesz sam się przekonać, co ten potwór uczynił. To zostało napisane, nim trybuni ogłosili swój werdykt. To zaś – podał mu drugi dokument – już po.

Cyncero ciężko westchnął. Trzymał przed sobą oba dokumenty i uważnie się im przyglądał.

– Cóż my tu mamy? To jest protokół twojej rozprawy z oskarżenia o zdradę. Zapisano, że byłeś obecny na rozprawie. Wszyscy wiemy, że to bzdura. A tutaj... – Cyncero zwolnił, gdyż zaczął sobie zdawać sprawę, co wynika z tych dokumentów. – Tutaj dla odmiany zapisali, że nie byłeś obecny. – Podniósł wzrok. Jego zaczerwienione oczy stopniowo odzyskiwały przejrzystość. – Czyli Werres najpierw fałszuje protokół własnego sądu, a potem fałszuje fałszerstwo?

– Właśnie! – krzyknął Steniusz. – Gdy dowiedział się, że przyprowadziłeś mnie przed oblicze trybunów i cały Rzym doskonale wie, iż raczej nie mogłem być w Syrakuzach pierwszego grudnia, musiał zatrzeć ślady swoich kłamstw. Zapomniał, że pierwszy dokument już został wysłany.

– No, no – mruknął Cyncero, nadal uważnie przyglądając się dokumentom. – Może on boi się bardziej, niż dotychczas sądzieliśmy. Z tego, co czytam, wynika, że tego dnia reprezentował cię adwokat: „Gajusz Klaudiusz, syn Gajusza Klaudiusza z Palatynu”. Jesteś szczęśliwym człowiekiem, masz swojego rzymskiego adwokata. Kto to taki?

– To zarządca Werresa.

Cyncero przez kilka sekund przyglądał się Steniuszowi.

– Co jeszcze masz w tej swojej torbie? – spytał.

I tak w ten ciepły, letni poranek Steniusz wysypał na podłogę gabinetu wszystko, co miał: listy, fragmenty dokumentów, zapisane plotki i nazwiska – wynik siedmiu miesięcy pracy trzech gniewnych i zdesperowanych ludzi, gdyż jak się okazało, Werres

okradł również Herakliusza i Epikratesa – majątek pierwszego był wart sześćdziesiąt tysięcy, drugiego ponad trzydzieści. Wcześniej obaj byli ważnymi osobami w swoich społecznościach, ale musieli uciekać z wyspy bez grosza i szukać schronienia w Rzymie. Gdy dowiedzieli się, że Steniusz pojawił się przed trybunami, odnaleźli go i zaproponowali współpracę.

– Jako samotne ofiary byli bardzo słabi – powiedział Cyce-ro, gdy wiele lat później wspominał tę sprawę. – Gdy połączyli siły, okazało się, że dysponują siatką kontaktów obejmującą całą wyspę: Thermae leżą na północy, Bidis na południu, a Syrakuzy na wschodzie. To byli ludzie rozsądni z natury, przebiegłi dzięki doświadczeniu i mądrzy wskutek wykształcenia, a ich krajanie opowiadali im o wszystkich swoich krzywdach tak otwarcie, jak nigdy nie opowiedzieliby rzymskiemu senatorowi.

Na pozór Cyncero zachowywał się jak spokojny adwokat. Czas mijał, zrobiło się widno i zgasił lampy, a on wciąż przeglądał kolejne dokumenty. Wyczuwałem, że jest coraz bardziej podniecony. Oto złożone pod przysięgą oświadczenie Dio-na z Halaesa, od którego Werres najpierw zażądał dziesięć tysięcy w zamian za korzystny wyrok, a któremu później ukradł wszystkie konie, ozdobne tkaniny oraz złotą i srebrną zastawę. Spisane zeznania kapłanów, których świątynie zostały obrabowane: ze świątyni Eskulapa w Agrigentum Werres ukradł posąg Apolla z brązu, podpisany srebrem przez Myrona, ofiarowany świątyni przez Scypiona Afrykańskiego półtora wieku wcześniej, z Katiny posąg Ceres, a z Henny rzeźbę Nike. Złupił również starą świątynię Junony w Melicie. Oświadczenie rolników z Herbity i Agyrium, którym agenci Werresa grozili, że ich zachłoscą na śmierć, jeśli nie zapłacą „za ochronę”. Historia nieszczęsnego Sopatera z Tyndaris, którego liktorzy Werresa schwytali w połowie zimy i przywiązali nago do pomnika na

oczach całej społeczności, i zwolnili dopiero wtedy, gdy on i inni obywatele zgodzili się przekazać Werresowi cenny posąg Merkurego z brązu, który stał w miejskiej sali gimnastycznej. „To, co robi Werres, to nie jest zarządzanie prowincją – mruknął Cyncero – lecz bandytyzm”. Takich ponurych historii było jeszcze kilkanaście.

Za zgodą trzech Sycylińczyków zabrałem dokumenty i zamknąłem je w schowku senatora.

– Jest rzeczą istotną, panowie, żeby nikt się o tym nie dowiedział – ostrzegł ich Cyncero. – Oczywiście, zbierajcie nadal oświadczenia i nazwiska świadków, ale róbcie to dyskretnie. Werres w przeszłości wielokrotnie uciekał się do przemocy i zastraszania. Możecie być pewni, że użyje tych metod w swojej obronie. Musimy zaskoczyć tych łajdaków.

– Czy to oznacza – spytał Steniusz z nieśmiałą nadzieją – że nam pomożesz?

Cyncero spojrział na niego, ale nie odpowiedział.

Później, po powrocie z trybunałów, senator pogodził się z żoną. Posłał młodego Sositeusza na stary targ kwiatów na Forum Boarium, przed świątynią Portunusa, żeby kupił bukiet pachnących, letnich kwiatów. Następnie dał go małej Tulii, zapewniając ją uroczyście, że ma dla niej ważne zadanie. Miała zanieść kwiaty matce i powiedzieć, że to od nieokrzesanego wielbiciela z prowincji. („Zapamiętałaś, Tulio? Od nieokrzesanego wielbiciela z prowincji”). Tulia zrobiła ważną minę i znikła w pokoju mamy. Przypuszczam, że to załatwiło sprawę, wieczorem bowiem, gdy – na żądanie Cyncerona – wyniesiono leżanki na dach i cała rodzina zjadła kolację pod letnimi gwiazdami, bukiet stał na honorowym miejscu pośrodku stołu.

Wiem o tym, bo pod koniec posiłku Cyncero nieoczekiwanie

posłał po mnie. To była spokojna noc, nawet najmniejszy podmuch wiatru nie chybotał płomieniami świec, a w ciepłym, czerwcowym powietrzu odgłosy nocnego życia miasta mieszały się zapachem kwiatów. Słysząc było muzykę, śpiewy, wołanie strażników na Argiletum, szczekanie psów stróżujących na Wzgórzu Kapitolńskim. Lucjusz i Kwintus śmiali się z jakiegoś dowcipu Cyncerona i nawet Terencja nie mogła ukryć rozbawienia; uderzyła męża serwetką i skarciła go, że to już dość. (Pomponia, na szczęście, pojechała do Aten odwiedzić brata).

– Ach – powiedział Cyncero, rozglądając się wokół – skoro jest już Tiron, największy mistrz polityki z nas wszystkich, mogę wygłosić moją skromną deklarację. Uznałem, że on również powinien być obecny i ją usłyszeć. Postanowiłem kandydować na urząd edyla.

– Och, świetnie! – zaśmiał się Kwintus, który sądził, że brat dalej żartuje. Po chwili przestał się śmiać i spojrzał na niego ze zdziwieniem. – To wcale nie jest zabawne.

– Będzie, jeśli wygram.

– Nie możesz wygrać. Słyszałeś, co powiedział Pompejusz. On nie chce, żebyś kandydował.

– To nie do Pompejusza należy decyzja, kto będzie kandydatem. Jesteśmy wolnymi obywatelami, mamy prawo swobodnie podejmować decyzje. Postanowiłem ubiegać się o stanowisko edyla.

– Nie ma sensu kandydować tylko po to, żeby przegrać, Marku. To jeden z tych bezsensownych, heroicznym gestów, które tak lubi Lucjusz.

– Wypijmy za bezsensowny heroizm – wtrącił Lucjusz, unosząc puchar.

– Przecież nie możemy wygrać w starciu z Pompejuszem – upierał się Kwintus. – A jaki sens ma robienie sobie z niego wroga?

– Po wczorajszych wydarzeniach można raczej spytać, jaki sens ma zaskarbianie sobie jego przyjaźni? – odparła Terencja.

– Terencja ma rację – zgodził się z nią Cyncero. – Wczorajszy dzień był dla mnie ważną lekcją. Powiedzmy, że poczekam rok lub dwa, wykonując zlecenia Pompejusza i wsłuchując się w jego każde słowo w nadziei, że spojrzy na mnie łaskawie. Wszyscy znamy takich ludzi w senacie. Starzeją się, czekając na spełnienie nieszczerych obietnic. To ich wykańcza. Nawet nie wiedzą, kiedy mija ich czas i nie mają już nic, żeby się targować. Raczej wycofałbym się od razu z polityki, niż pozwolił, żeby mnie również spotkał taki los. Jeśli ktoś chce mieć władzę, musi wykorzystać chwilę, żeby ją zdobyć. Moja właśnie nadeszła.

– Jak zamierzasz to osiągnąć?

– Wytaczając Gajuszowi Werresowi proces o wymuszanie.

A jednak. Już rano wiedziałem, że to zrobi. Jestem pewny, że on też to wiedział, ale chciał się nad tym zastanowić – czy też raczej przymierzyć tę decyzję, sprawdzić, jak do niego pasuje. Pasowała doskonale. Nigdy nie widziałem, żeby był bardziej zdeterminowany. Sprawiał wrażenie człowieka, który uważa, że przypadła mu historyczna misja. Nikt się nie odezwał.

– Co z wami? – Cyncero uśmiechnął się. – Czemu takie smutne miny? Jeszcze nie przegrałem! I wierzę, że nie przegram. Dziś rano odwiedziło mnie trzech Sycylińczyków. Zebrali wyjątkowo przekonujące dowody przestępstw Werresa. Zgodzisz się ze mną, Tironie? Mamy je pod kluczem na dole. A gdy wygramy – tylko pomyślcie! Pokonam Hortensjusza w trybunale i wreszcie raz na zawsze skończy się to bzdurne gadanie o „drugim najlepszym adwokacie”. Zgodnie z tradycyjnym prawem zwycięskiego oskarżyciela, przypadnie mi ranga skazanego, a to oznacza, że z dnia na dzień stanę się pretorem. Skończy



się podskakiwanie na tylnej ławie w senacie w nadziei na dopuszczenie do głosu. Zdobędę taką popularność wśród mieszkańców Rzymu, że będę miał zagwarantowane zwycięstwo w wyborach na urząd edyla. Najlepsze jest jednak to, że zrobię to wszystko sam – ja, Cyncero – bez proszenia nikogo o pomoc, a zwłaszcza Pompejusza Wielkiego.

– A co będzie, jeśli przegramy? – Kwintus wreszcie odzyskał głos. – Jesteśmy obrońcami. Nigdy nie oskarżamy. Sam setki razy powtarzałeś, że obrońcy zdobywają przyjaciół, a oskarżyciele wrogów. Jeśli nie pokonasz Werresa, pewnie wcześniej lub później zostanie konsulem, a wtedy nie spocznie, dopóki cię nie zniszczy.

– To prawda – przyznał Cyncero. – Jeśli zamierzasz zabić groźne zwierzę, musisz mieć pewność, że zrobisz to za pierwszym uderzeniem. Ale... czy tego nie widzicie? W ten sposób mogę zdobyć wszystko. Pozycję, sławę, urząd, godność, władzę, niezależność, grupę klientów w Rzymie i na Sycylii. To otworzy mi drogę do urzędu konsula.

Po raz pierwszym usłyszałem, jak wspomniał o swojej wielkiej ambicji. Zdobył się na wykrztuszenie tego słowa, co świadczyło, że odzyskał pewność siebie. Konsul. Dla każdego człowieka biorącego udział w życiu publicznym konsulat był najbardziej pożądanym urzędem. We wszystkich oficjalnych dokumentach i na kamieniach węgielnych określano lata imionami urzędujących konsulów. Tu, na ziemi, było to najbliższe przybliżenie nieśmiertelności. Od kiedy był nastolatkiem, ile dni i nocy musiał o tym myśleć, marzyć o tym, pielęgnować tę ambicję. Niekiedy jest głupotą zbyt wcześnie określać swe ambicje – przedwczesne wystawienie ich na pośmiewisko i sceptycyzm świata może je zniszczyć, nim się w pełni narodzą. Czasami jednak następuje proces odwrotny: głośna deklaracja swych ambicji sprawia, że nagle wydają się możliwe do urzeczywistnienia, nawet całkiem realne. Tak było tego wieczoru. Gdy Cyncero

wymówił słowo „konsul”, wbił w ziemię sztandar, który wszyscy podziwialiśmy. Przez chwilę oglądaliśmy jego oczami wspaniałą przeszłość i zobaczyliśmy, że miał rację: jeśli doprowadzi do klęski Werresa, będzie miał szansę – jeśli dopisze mu szczęście – dojść na sam szczyt.

W ciągu kilku najbliższych miesięcy mieliśmy dużo do zrobienia i jak zwykle wielka część pracy spadła na mnie. Na początek sporządziłem mapę elektoratu. W tym czasie w wyborach edylów uczestniczyli wszyscy rzymscy obywatele, podzieleni na trzydzieści pięć *tribus*. Cyncero należał do *tribus* Kornelia, Serwiusz do Lemonia, Pompejusz do Klustumina, Werres do Romilia i tak dalej. Obywatel głosował na Polu Marsowym jako członek swojej *tribus*, a wyniki liczone w ramach każdej *tribus* oddzielnie. Wygrywali czterej kandydaci, którzy zdobyli poparcie największej liczby *tribus*.

Z punktu widzenia Cyncerona ten system wyborczy miał wiele zalet. Przede wszystkim – inaczej niż w wyborach pretorów i konsulów – głos każdego obywatela liczył się tak samo, niezależnie od jego zamożności, a ponieważ Cyncero miał najwięcej zwolenników wśród przedsiębiorców i licznych biedaków, to arystokraci nie mogli go łatwo zablokować. Cyncero mógł również stosunkowo łatwo starać się o poparcie wyborców. Każda *tribus* miała swoją siedzibę gdzieś w Rzymie; był to budynek dostatecznie duży, żeby można w nim było urządzić wiec lub kolację. Przejrzałem nasze archiwum i sporządziłem listę wszystkich osób, które Cyncero bronił lub którym doradzał w ciągu ostatnich sześciu lat, z podziałem na poszczególne *tribus*. Skontaktowaliśmy się z nimi i poprosiliśmy, żeby załatwili zaproszenie dla senatora do wygłoszenia mowy na najbliższym spotkaniu *tribus*. To zdumiewające, ilu takich ludzi nazbierało

się po sześciu latach intensywnej praktyki adwokackiej. Kalendarz kampanii Cyclerona wkrótce był wypełniony spotkaniami, a dzień pracy jeszcze się wydłużył. Po posiedzeniach trybunałów lub po zakończeniu sesji senatu Cicero pośpiesznie wracał do domu, kąpał się, przebierał i biegł wygłosić kolejne przemówienie. Jego hasło brzmiało „Sprawiedliwość i reforma”.

Kwintus, jak zwykle, kierował kampanią, a kuzyn Lucjusz zajął się przygotowaniem aktu oskarżenia. Werres miał wrócić z Sycylii pod koniec roku, a wtedy – w chwili przekroczenia murów Rzymu – straciłby swoje *imperium* i tym samym również immunitet chroniący go przed oskarżeniami. Cicero koniecznie chciał zaatakować go przy pierwszej okazji i jeśli tylko to byłoby możliwe, nie dać mu czasu na zniszczenie dowodów i zastraszenie świadków. Z tego powodu, żeby nie wzbudzić podejrzeń, Sycylijczycy przestali do nas przychodzić, a Lucjusz stał się łącznikiem między Cycleronem i jego klientami – spotykał się z nimi potajemnie w różnych punktach w całym mieście. Często się widywaliśmy, a im lepiej go poznawałem, tym bardziej lubiłem. Pod wieloma względami bardzo przypominał Cyclerona. Miał prawie tyle samo lat, co on, był bystry i zabawny oraz okazywał talent filozoficzny. Wychowywali się razem w Arpinum, później razem uczyli się w Rzymie i razem odbyli podróż na wschód. Jednak pod jednym względem ogromnie się różnili: Lucjusz był całkowicie pozbawiony światowych ambicji. Żył sam, w niewielkim domku wypełnionym książkami i całymi dniami nic nie robił, tylko czytał i rozmyślał. To bardzo niebezpieczny tryb życia, który – jak wynika z moich doświadczeń – prowadzi do niestrawności i melancholii. Co zaskakujące, Lucjusz, mimo samotniczego usposobienia, wkrótce polubił opuszczać swój dom, a niegodziwości Werresa tak go gniewały, że dążył do postawienia go przed sądem z jeszcze większym zapalem

niż Cycero. „Zrobimy jeszcze z ciebie prawnika, kuzynie” – powiedział pewnego dnia Cycero z jawnym podziwem, gdy Lucjusz zdobył kolejny pakiet spisanych oświadczeń z zeznaniami przeciw Werresowi.

Pod koniec grudnia zdarzył się pewien incydent, który sprawił, że doszło do dramatycznego połączenia wszystkich niezależnych wątków w życiu Cyclerona. Pewnego dnia, gdy rano odźwierny otworzył drzwi, zobaczyłem na pierwszym miejscu w kolejce młodego mężczyznę, którego widzieliśmy w bazylice trybunów, gdzie odgrywał rolę obrońcy kolumny swego pradziadka – Marka Porcjusza Katona. Przyszedł sam, bez asysty niewolnika, a wyglądał tak, jakby całą noc przespał na ulicy. (Gdy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się to całkiem prawdopodobne, ale z drugiej strony zawsze wyglądał bardzo nieporządnie – jak jakiś święty lub mistyk – więc trudno to było stwierdzić z całą pewnością). Rzecz jasna pojawienie się w naszych progach gościa z tak znakomitego rodu ogromnie zaintrygowało Cyclerona. Katon, choć dziwak, wywodził się ze starej, republikańskiej arystokracji, a związki pokrewieństwa i powinowactwa łączyły go z Serwiliuszami, Lepidusami i Emiliuszami. Cycero był tak zadowolony z wizyty tak wysoko urodzonego gościa, że sam przyszedł do tablinum, powitał go i osobiście zaprowadził do gabinetu. Od dawna marzył, że któregoś ranka przyjdzie do niego taki klient.

Usiadłem w kącie, żeby notować, a młody Katon, który nie uznawał towarzyskich pogaduszek, od razu przeszedł do rzeczy. Potrzebował dobrego adwokata – powiedział – a spodobało mu się wystąpienie Cyclerona przed trybunami, ponieważ to skandal, że ludzie tacy jak Werres uważają, iż starożytne prawa ich nie obowiązują. Mówiąc krótko, był zaręczony ze swoją kuzynką, Emilią Lepidą, czarującą osiemnastolatką, która w swym młodym życiu doświadczyła już wielu tragedii. W wieku trzynastu

lat przeżyła wielkie upokorzenie, gdy porzucił ją narzeczony, wyniosły, młody arystokrata Scypion Nasica. Gdy miała czternaście lat, zmarła jej matka, rok później ojciec, a gdy miała szesnaście lat, zmarł jej brat i została zupełnie sama.

– Biedna dziewczyna – westchnął Cyncero. – Jeśli dobrze rozumiem, skoro jest twoją kuzynką, to musi być córką konsula sprzed sześciu lat, Emiliusza Lepidusa Liwianusa? On był, jeśli się nie mylą, bratem twojej zmarłej matki, Liwii?

Jak wielu rzekomych radykałów Cyncero zaskakująco dobrze orientował się w arystokratycznych koligacjach.

– To prawda.

– Wypada mi zatem pogratulować ci, Katonie, znakomitego małżeństwa. Jej wszyscy bliscy krewni zmarli, a ma przecież krew tych trzech rodów w żyłach, z pewnością więc jest najbogatszą dziedziczką w Rzymie.

– Rzeczywiście – powiedział z goryczą Katon. – I na tym właśnie polega problem. Scypion Nasica, jej były kandydat na męża, który właśnie wrócił z Hiszpanii, gdzie walczył pod rozkazami Pompejusza, nazywanego Wielkim, dowiedział się, jaką fortunę odziedziczyła po śmierci ojca i brata i zażądał, żeby wyszła za niego.

– No, ale o tym niewątpliwie sama zadecyduje młoda dama?

– Już zadecydowała – wyjaśnił Katon. – Zdecydowała się na niego.

– Ach – westchnął Cyncero, odchylając się do tyłu. – W takim razie jesteś w trudnej sytuacji. Przypuszczalnie, jeśli została sierotą w wieku piętnastu lat, to ma prawnego opiekuna. Możesz z nim porozmawiać. Prawdopodobnie mógłby on nie wyrazić zgody na ten ślub. Kto nim jest?

– Wypada, że ja.

– Ty? Ty jesteś prawnym opiekunem dziewczyny, z którą chcesz się ożenić?

– Tak. Jestem jej najbliższym męskim krewnym.

Cycero oparł brodę na rękę i przyjrzał się uważnie kandydatowi na nowego klienta. Katon miał potargane włosy, brudne, bose stopy i od tygodni nie zmieniał tuniki.

– Cóż zatem chcesz, żebyśmy zrobili?

– Chcę, żebyś wniósł pozew przeciw Scypionowi, a jeśli to konieczne, również przeciw Lepidzie, i nie dopuścił do ich ślubu.

– Ten pozew – miałbym go wnieść w twoim imieniu jako odrzuconego kandydata na męża czy też jako opiekuna dziewczyny?

– Wszystko jedno. – Katon wzruszył ramionami. – W obu rolach.

– Moje doświadczenie z młodymi kobietami – powiedział Cycero, drapiąc się za uchem – jest tak ograniczone, jak bezgraniczna jest moja wiara w rządy prawa. Jednak nawet ja, Katonie, nawet ja muszę powiedzieć, że mam wielkie wątpliwości, czy proces jest najlepszą drogą do serca dziewczyny.

– Do serca dziewczyny? – powtórzył Katon. – A co ma do tego serce tej dziewczyny? To kwestia zasad.

I pieniądze, można by dodać, gdyby był on innym człowiekiem. Jednak Katon cieszył się najbardziej ekskluzywnym przywilejem bogaczy: nie interesowały go pieniądze. Odziedziczył wielki majątek i rozdał go, sam nie wiedząc kiedy i na co. Nie – Katonowi zawsze chodziło o zasady. Bezwzględnie odmawiał wszelkich kompromisów, gdy w grę wchodziły jakieś zasady.

– Musielibyśmy złożyć pozew w sądzie do spraw wyłudzeń i defraudacji – wyjaśnił Cycero. – Moglibyśmy ich pozwać o złamanie obietnicy. Musielibyśmy wtedy udowodnić, że istniała

wcześniejsza umowa między tobą i panią Lepidą, a tym samym, że cię oszukała i okłamała. Musielibyśmy również wykazać, że Scypion jest dwulicowym łajdakiem, któremu chodzi tylko o pieniądze. Musiałbym wezwać ich oboje na świadków i zmiażdżyć podczas przesłuchania.

– Zrób to – zgodził się Katon, a w jego oczach pojawił się radosny błysk.

– A w końcu, prawdopodobnie i tak byśmy przegrali, ponieważ sędziowie nikogo nie lubią bardziej niż romantycznych kochanków. No, może jeszcze sieroty – a ona jest i sierotą, i zakochaną. Będiesz pośmiewiskiem całego Rzymu.

– Co mnie obchodzi, co ludzie o mnie myślą? – odrzekł z pogardą Katon.

– A nawet jeśli wygramy – no, wyobraź to sobie. Będziesz musiał zaciągnąć Lepidę przez całe miasto z sądu do nowego małżeńskiego domu. Ona będzie kopać i wrzeszczeć. To będzie największy skandal tego roku.

– Zatem upadliśmy tak nisko? – spytał Katon z goryczą. – Uczciwy człowiek musi zejść z drogi, żeby łajdak mógł zatriumfować? I to ma być rzymska sprawiedliwość? – Katon zerwał się na równe nogi. – Potrzebuję prawnika mającego stalowy kręgosłup, a jeśli nie znajdę nikogo, kto zechce mi pomóc, sam wniosę oskarżenie.

– Siadaj, Katonie – delikatnie zaproponował Cycero. Gdy Katon się nie ruszył, ponowił prośbę. – Siadaj, Katonie. Powiem ci coś o prawie. – Katon zawahał się, zmarszczył brwi, w końcu usiadł, ale na samym brzegu krzesła, tak aby mógł się zerwać na pierwszą sugestię, że powinien utemperować swoje poglądy. – Jeśli wolno mi, jako człowiekowi dziesięć lat starszemu, chciałbym ci udzielić pewnej rady. Nie można atakować każdej sprawy wprost. Często się zdarza, że najważniejsze sprawy w ogóle nie trafiają do sądu. Mam wrażenie, że twoja ma właśnie taki

charakter. Pozwól mi sprawdzić, co jestem w stanie zrobić.

– A jeśli ci się nie powiedzie?

– To będziesz mógł postępować dalej w wybrany przez siebie sposób.

Katon wyszedł.

– Ten młody człowiek szuka okazji do wypróbowania swoich zasad tak ochoczo, jak pijak szuka zwady w karczmie – powiedział do mnie Cyncero. Katon zgodził się jednak, żeby Cyncero porozmawiał w jego imieniu ze Scypionem. Cyncero wyraźnie ucieszył się z okazji do bezpośredniego kontaktu z arystokracją. Z pewnością nie było w Rzymie nikogo, kto mógłby pochwalić się lepszym rodowodem niż Kwintus Cecyliusz Metellus Pius Korneliusz Scypion Nasica. Nasica oznacza „spiczasty nos”, a on nosił swój wysoko zadarty, gdyż był nie tylko naturalnym synem Scypiona, ale również adoptowanym synem Metellusa Piusa, najwyższego kapłana i tytularnego przywódcy rodu Metellusów. Ojciec i adoptowany syn niedawno wrócili z Hiszpanii i zamieszkali w ogromnej posiadłości wiejskiej Piusa w Tibur. Mieli wjechać do miasta dwudziestego dziewiątego grudnia, za triumfalnym pochodem Pompejusza. Cyncero postanowił umówić się na spotkanie na trzydziestego.

Nadszedł dwudziesty dziewiąty i cóż to był za dzień! – Rzym nie widział takiego widowiska od czasów Sulli. Gdy czekałem przy Łuku Triumfalnym, miałem wrażenie, że wszyscy mieszkańcy wylegli na trasę pochodu. Pierwsi przeszli z Pola Marsowego wszyscy senatorowie, a między nimi Cyncero. Szli pieszo, z konsulami i innymi urzędnikami na czele. Za nimi pojawili się trębacze, grający fanfary. Po nich ciągnęły liczne wozy i lektyki wyładowane łupami z wojny hiszpańskiej – złotem i srebrem, w monetach i sztabach, bronią, posągami, obrazami, ceramiką, meblami, drogocennymi kamieniami i tkaninami – oraz drewnianymi



modelami zdobytych i złupionych miast, transparentami z ich nazwami i z nazwiskami wszystkich sławnych ludzi, którzy zginęli, walcząc z Pompejuszem. Następnie kapłani prowadzili potężne, białe byki, przeznaczone na ofiarę, z połączanymi rogami, obwieszane wstążkami i girlandami z kwiatów. Za zwierzętami ofiarnymi szły majestatyczne słonie – to znak heraldyczny Metellusów – i jechały wozy ciągnięte przez woły, na których stały klatki z dzikimi bestiami z Hiszpanii. Rozdrażnione zwierzęta ryczały i usiłowały wydostać się na wolność. Dalej żołnierze nieśli broń i insygnia pokonanych buntowników, a po nich maszerowali zakuci w łańcuch jeńcy, zwyciężeni zwolennicy Sertoriusza i Perperny. Ambasadorowie dwudziestu ludów nieśli korony i trybuty. Teraz już pojawiło się dwunastu liktorów imperatora, z różgami i siekierami ozdobionymi laurem. Burza oklasków i okrzyków sygnalizowała, że w bramie pojawił się zaprzężony w cztery siwe konie rydwan imperatora. Pompejusz jechał na rydwanie podobnym z kształtu do beczki, ozdobionym drogimi kamieniami. Miał na sobie haftowany złotem płaszcz i kwiecistą tunikę. W prawym ręku trzymał gałązkę laurową, a w lewej berło. Na głowie miał wieniec z delfickiego lauru, a jego przystojna twarz i muskularne ciało były pomalowane czerwoną minią, gdyż tego dnia rzeczywiście był wcieleństwem Jowisza. Obok niego stał ośmioletni syn, złotowłosy Gnejusz, a za nim państwowy niewolnik, który miał mu szeptać do ucha, że jest tylko człowiekiem i cały ten triumf rychło się skończy. Za rydwanem, na czarnym koniu bojowym, jechał stary Metellus Pius, z obandażowaną nogą, co świadczyło, że odniósł ranę w bitwie. Obok niego jechał Scypion, jego adoptowany syn – przystojny chłopak, mający dwadzieścia cztery lata. Trudno się było dziwić, że Lepida wołała jego od Katona. Po nich tłum zobaczył wszystkich dowódców legionów, między

innymi Aulusa Gabiniusza, oraz jeźdźców. Ich pancerze błyszcząły w bladym grudniowym słońcu. I wreszcie nadeszły legiony, w szyku marszowym. Od uderzeń butów tysiący spalonych słońcem weteranów dygotała ziemia. Żołnierze krzyczeli z całych sił *Io Triumphe!* Śpiewali hymny na cześć bogów i sprośne piosenki o swym wodzu naczelnym, do czego tradycyjnie mieli prawo w chwili jego triumfu.

Przemarsz zajął połowę przedpołudnia. Pochód zmierzał krętymi ulicami na forum, gdzie, zgodnie z tradycją Pompejusz wszedł na schody Kapitolu, żeby złożyć ofiarę przed świątynią Jowisza. Najważniejsi jeńcy zostali spuszczeni do karceru i uduszeni – czyż bowiem nie jest rzeczą stosowną, aby dzień zakończenia władzy wojskowej zwycięzcy był również ostatnim dniem życia pokonanych? Słyszałem odległe, radosne okrzyki w mieście, ale oszczędziłem sobie tego widoku. Zamiast tego poczekałem przy Łuku Triumfalnym, wraz z rzednącym tłumem, na wejście Krassusa i jego owację. Starał się, żeby uroczystość wypadła jak najlepiej, u jego boku maszerowali synowie, a agenci starali się podsycić entuzjazm tłumy, ale w porównaniu ze wspaniałym triumfem Pompejusza ten pochód nie robił wrażenia. Jestem pewny, że Krassus nie był zadowolony, gdy musiał lawirować między końskimi i słoniowymi odchodami, jakie pozostały po pochodzie jego kolegi konsula. Nie mógł nawet biedak pokazać zbyt wielu jeńców, ponieważ niemal wszystkich ukrzyżował wzdłuż Via Appia.

Następnego dnia Cycero wyruszył do domu Scypiona. Towarzyszyłem mu, niosąc skrzynie z dokumentami – to była jego sztuczka, mająca nastraszyć przeciwnika. Nie mieliśmy żadnych dowodów; wypełniłem skrzynię starymi kwitami. Scypion mieszkał w rezydencji przy Via Sacra; front zajmowały sklepy, ale oczywiście nie byle jakie – wyłącznie jubilerzy, którzy trzymali swój towar za metalowymi kratami. Gospodarz oczekiwał

nas, ponieważ Cycero przesłał mu notatkę, że zamierza go odwiedzić. Odźwierny wprowadził nas od razu do atrium, które opisywano jako Jeden z cudów Rzymu”. Rzeczywiście, nawet wówczas sprawiało niezwykle wrażenie. Scypion mógł wykreślić swoje drzewo genealogiczne co najmniej jedenaście pokoleń wstecz, a jego przodkowie od dziewięciu pokoleń byli konsulami. Na ścianach wokół nas wisały woskowe maski Scypionów, niektóre liczące już kilka wieków i pożółkłe od dymu i brudu. (Po tym, jak Pius adoptował Scypiona, przybyło jeszcze sześć masek konsulów i w atrium zrobiło się ciasno). Maski wydzielały ten subtelny zapach kurzu i pachnideł, który dla mnie jest zapachem starożytności. Cycero obszedł atrium i odczytał tabliczki pod maskami. Najstarsza liczyła trzysta dwadzieścia pięć lat, ale oczywiście najbardziej zainteresowała go maska Scypiona Afrykańskiego, pogromcy Hannibala. Przez dłuższą chwilę pochylony przyglądał się tej szlachetnej, wrażliwej twarzy – gładkiej, bez zmarszczek, eterycznej, będącej raczej wizerunkiem duszy niż prawdziwej twarzy z krwi i kości.

– Oskarżony, rzecz jasna, przez pradziadka naszego obecnego klienta – westchnął Cycero i wyprostował się. – Katonowie mają we krwi przekorę.

Wrócił odźwierny, żeby zaprowadzić nas do tablinum. Młody Scypion wylegiwał się tam na sofie, w otoczeniu chaotycznie rozstawionych cennych przedmiotów – posągów, popiersi, antyków, zrolowanych dywanów i wielu innych. Tablinum wyglądało jak komnata grobowa wschodniego możnowładcy. Nie wstał, żeby przywitać Cycerona (czym obraził senatora), nie zaprosił go, żeby usiadł, a tylko, przeciągając słowa, poprosił, żeby przedstawił, z czym przychodzi. Cycero zrobił to zdecydowanie, lecz uprzejmie. Poinformował go, że sprawa Katona jest prawie niepodważalna, gdyż był zarówno prawnym opiekunem młodej damy, jak i formalnie się z nią zaręczył. Wskazał gestem

na zwój z dokumentami, który trzymałem przed sobą niczym służący tacę, a potem przypomniał precedensy. Na zakończenie oświadczył, że Katon koniecznie chce zwrócić się do trybunału do spraw oszustw i wyłudzeń, domagając się wydania orzeczenia *obsignandi gratia* i zakazania młodej damie wszelkich dalszych kontaktów z dowolną osobą lub osobami, mającymi materialny związek ze sprawą. Był tylko jeden sposób na uniknięcie tego upokorzenia – Scypion musiał natychmiast zrezygnować ze starań o rękę Lepidy.

– On jest niezłym wariatem, prawda? – odpowiedział leniwie Scypion i wyciągnął się na sofie, podkładając splecione dłonie pod głowę i uśmiechając się do malowidła na suficie.

– Czy to twoja jedyna odpowiedź? – spytał Cyncero.

– Nie – odrzekł Scypion. – To jest moja odpowiedź. Lepida! – Zza zasłony wyszła skromna, młoda kobieta, z wdziękiem przeszła przez tablinum i stanęła obok sofy. Niewątpliwie słyszała całą rozmowę. Podała rękę Scypionowi. – Oto moja żona. Pobraliśmy się wczoraj wieczorem. To, co widzisz dookoła, to prezenty ślubne od naszych przyjaciół. Pompejusz Wielki przyszedł tu po złożeniu ofiary na Kapitolu i był świadkiem.

– Nawet gdyby sam Jowisz był świadkiem – rzekł Cyncero – to jeszcze by nie wystarczyło, żeby ceremonia stała się legalna. – Zauważyłem jednak, że nieco opadły mu ramiona, co świadczyło, że stracił ochotę do dalszej walki. Posiadanie, jak mówią prawnicy, to dziewięć dziesiątych prawa, a Scypion nie tylko zdobył nową żonę, ale na dodatek przy jej ochoczej zgodzie. – Cóż – dodał, przyglądając się prezentom – we własnym imieniu, jeśli nie mojego klienta, serdecznie wam gratuluję. Przypuszczam, że w charakterze prezentu ślubnego powinienem przekonać Katona, żeby pogodził się z rzeczywistością.

– To byłby najrzadszy prezent, jaki ktokolwiek, kiedykolwiek ofiarował – powiedział Scypion.

– Mój kuzyn jest w istocie dobrym człowiekiem – wtrąciła Lepida. – Czy mógłbyś przekazać mu moje najlepsze życzenia i wyrazy nadziei, że pewnego dnia się pogodzimy?

– Oczywiście – zapewnił ją Cyncero, grzecznie się kłaniając. Już zaczął kierować się do wyjścia, gdy nagle się zatrzymał. – O, jaki piękny posąg. Wspaniałe dzieło.

Cyncero wskazał posąg z brązu nagiego Apolla grającego na lirze, dwa razy mniejszy niż wielkości naturalnej. Była to wyrafinowana rzeźba pięknego mężczyzny w tańcu, z precyzyjnie oddanymi włosami na głowie i strunami instrumentu. Na udzie widniał podpis rzeźbiarza, wypisany małymi, srebrnymi literami: Myron.

– A, to – niedbale rzucił Scypion. – Podobno mój znakomity przodek, Scypion Afrykański, ofiarował ten posąg jakiejś świątyni. Dlaczego o to pytasz? Znasz ją?

– Jeśli się nie mylę, pochodzi ze świątyni Eskulapa w Agrigentum.

– Zgadza się – przyznał gospodarz. – Na Sycylii. Werres dostał ją od tamtejszych kapłanów i dał mi wczoraj wieczorem.

W ten sposób Cyncero dowiedział się, że Gajusz Werres wrócił do Rzymu i już zaczął rozciągać macki korupcji. „Łajdak! – wykrzykiwał Cyncero, schodząc ze wzgórza. Zaciskał pięści w bezsilnej wściekłości. – Łajdak! Łajdak! Łajdak!”. Miał powody do zdenerwowania, ponieważ można było przypuszczać, że jeśli Werres dał rzeźbę Myrona młodemu Scypionowi, to Hortensjusz, Metellusowie i jego inni ważni sojusznicy w senacie otrzymali jeszcze cenniejsze łapówki – a właśnie spośród takich ludzi mieli zostać wybrani sędziowie do przyszłej rozprawy. Ciosem dla niego była również wiadomość, że Pompejusz był

na tym samym weselu co Werres i liczni znani arystokraci. Pompejusz zawsze miał mocne związki z Sycylią – jako młody wódz przywrócił tam porządek, a raz nawet nocował w domu Steniusza. Cycero oczekiwał od niego, jeśli nie poparcia – nauczył się bowiem, że na to nie może liczyć – to przynajmniej życzliwej neutralności. Teraz uświadomił sobie, że jeśli nie zrezygnuje z oskarżenia Werresa, może mieć do czynienia z potężną koalicją przeciwników.

W tym momencie nie miał jednak czasu na zastanawianie się nad wszystkimi konsekwencjami. Katon chciał natychmiast znać wynik rozmowy i czekał na Cyclerona w domu swej przyrodniej siostry Serwili, również na Via Sacra, kilka budynków od rezydencji Scypiona. Gdy weszliśmy, równocześnie wbiegły do atrium trzy dziewczynki – moim zdaniem nie miały jeszcze pięciu lat – a za nimi pojawiła się ich matka. O ile wiem, było to pierwsze spotkanie Cyclerona z Serwilią, która później stała się najpotężniejszą z wielu potężnych kobiet, jakie żyły w Rzymie. Była pięć lat starsza od brata – miała wówczas prawie trzydzieści lat – i raczej przystojna niż ładna. Z pierwszym mężem, niezującym już Markiem Brutusem, miała syna – urodziła go w wieku piętnastu lat. Później wyszła za chorowitego i słabego Juniusza Silanusa i szybko urodziła trzy córki. Cycero przywitał się z nimi tak, jakby nie miał żadnych zmartwień na głowie. Przykucnął, żeby porozmawiać z dziewczynkami. Serwilia przyglądała się temu z boku. Nalegała, żeby córki witały się ze wszystkimi gośćmi i przyzwyczajały się do zachowania dorosłych, ponieważ wiązała z nimi wielkie nadzieje na przyszłość i chciała, aby zachowywały się swobodnie w towarzystwie.

Po pewnym czasie pojawiła się niania i zabrała dziewczynki, a Serwilia zaprowadziła nas do tablinum, gdzie czekał już Katon w towarzystwie Antypatra z Tyru, stoika, który rzadko go

odstępował. Katon zareagował na wiadomość o małżeństwie Lepidy tak gwałtownie, jak tego można było oczekiwać. Krążył nerwowo po tablinum i przeklinał, co przypomina mi jeszcze jeden dowcip Cyclerona – że Katon zawsze był idealnym stoikiem, pod warunkiem że wszystko układało się po jego myśli.

– Uspokój się, Katonie – powiedziała po chwili Serwilia. Widać, że ta sprawa jest już zamknięta i lepiej przyzwyczaj się do tej myśli. Nie kochałeś jej – nie wiesz nawet, co to takiego miłość. Nie potrzebujesz jej pieniędzy – masz dość własnych. To głupia smarkula. Z łatwością znajdziesz sto razy lepszą dziewczynę.

– Prosiła, abym przekazał ci najlepsze życzenia – wtrącił Cycero, co wywołało nowy stek przekleństw.

– Nie będę tego znosić! – krzyknął Katon.

– Owszem, będziesz – rzekła Serwilia. Zwróciła się do Antypatra. – Ty mu to wyjaśnij, filozofie. Mój brat sądzi, że jego piękne zasady są produktem intelektu, podczas gdy w rzeczywistości to po prostu dziewczęce emocje, przedstawiane przez fałszywych filozofów jako kwestie męskiego honoru. – Znowu obróciła się w stronę Cyclerona. – Gdyby miał więcej doświadczenia z kobietami, senatorze, sam zrozumiałby, jak głupio się zachowuje. Katonie, przecież ty nawet nie spałeś jeszcze z kobietą, prawda?

Cycero wydawał się zakłopotany, ponieważ w sprawach seksu zawsze wykazywał pewną pruderie, typową dla ekwitów. Nie był przyzwyczajony do swobodnego zachowania arystokracji.

– Moim zdaniem to osłabia naturę mężczyzny i przytępia siłę intelektu – odparł gniewnie Katon. Jego siostra wybuchła śmiechem. Katon poczerwieniał tak, jakby na wzór Pompejusza pomalował twarz minią. Wybiegł z tablinum, a za nim poszedł jego stoik.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Serwilia, zwracając się do Cyclerona. – Czasami mam wrażenie, że on jest niedorozwinięty. Gdy się czegoś uczepli, nigdy nie rezygnuje, co zapewne jest godną uwagi cechą charakteru. Chwalił twoje przemówienie przeciw Werresowi, które wygłosiłeś do trybunów. Według niego jesteś niebezpiecznym człowiekiem. Lubię niebezpiecznych ludzi. Powinniśmy ponownie się spotkać. – Podała mu rękę na pożegnanie. Cycero uściśnął jej dłoń. Miałem wrażenie, że trzymała ją wyciągniętą dłużej, niż tego wymagała uprzejmość. – Czy gotów jesteś przyjąć radę kobiety?

– Od ciebie zawsze – zapewnił ją, cofając w końcu rękę.

– Mój drugi brat, Cepion – to znaczy, mój rodzony brat – jest zaręczony z córką Hortensjusza. Powiedział mi, że Hortensjusz wspominał o tobie wczoraj. Podejrzewa, że zamierzasz oskarżyć Werresa, i ma jakiś plan, żeby ci przeszkodzić. Nic więcej mi o tym nie wiadomo.

– A gdybym, co mało prawdopodobne, rzeczywiście zamierzał go oskarżyć – odpowiedział Cycero z uśmiechem – to co byś mi poradziła?

– To proste – odrzekła Serwilia z pełną powagą. – Zrezygnuj z tego.



## VI

Cycero bynajmniej nie przeląkł się po rozmowie z Serwilią i wizycie u Scypiona, przeciwnie, nabrał przekonania, że musi działać jeszcze szybciej, niż planował. Pierwszego stycznia, sześćset osiemdziesiątego czwartego roku od założenia Rzymu Pompejusz i Krassus objęli urzędy konsulów. Odprowadziłem Cycerona na uroczystą inaugurację na Kapitolu, a później stałem w tłumie z tyłu. Odbudowywana świątynia Jowisza była już niemal gotowa – pracami kierował Katulus. W chłodnych promieniach słońca błyszcząły marmurowe kolumny przywiezione z Olimpu i dach z połączanego brązu. Zgodnie z tradycją złożono ofiarę z szafranu. Trzaskające żółte płomienie, zapach palonych ziół, przejrzyste, zimowe powietrze, złote ołtarze, kręcące się niespokojnie byczki ofiarne, białe i purpurowe togi senatorów, wszystko to wywarło na mnie niezapomniane wrażenie. Nie rozpoznałem Werresa, ale Cycero powiedział mi później, że on też tam był, stał obok Hortensjusza. Cycero czuł na sobie ich spojrzenia i widział, jak obaj się śmiali z jakiegoś żartu.

Przez kilka następnych dni Cycero nic nie mógł zrobić. Senat zebrał się i wysłuchał nieporadnego przemówienia Pompejusza,

który po raz pierwszy w życiu pojawił się na sesji i musiał co chwila zaglądać do poradnika procedury, który napisał dla niego znany uczoney Warron, jego podwładny z Hiszpanii. Jak zwykle pierwszy zabrał głos Katulus. Wygłosił mowę rzeczywiście godną męża stanu: przyznał, że choć osobiście jest temu przeciwny, nie można dłużej odierać żądań przywrócenia władzy trybunom, a arystokraci mogą winić wyłącznie siebie za to, że są tak niepopularni. („Szkoda, że nie widziałeś twarzy Hortensjusza i Werresa, gdy on powiedział coś takiego” – rzekł później Cyncero). Później, zgodnie ze starym zwyczajem, konsulowie udali się na Górę Albańską, żeby pokierować czterodniowym Świątciem Łatyńskim. Kolejne dwa dni zeszyły na uroczystościach religijnych, podczas których trybunały były zamknięte. Dopiero w drugim tygodniu nowego roku Cyncero mógł wreszcie przystąpić do ataku.

Tego ranka, kiedy Cyncero zamierzał wystąpić publicznie, trzech Sycylijczycy – Steniusz, Herakliusz i Epikrates – po raz pierwszy od sześciu miesięcy, nie kryjąc się, przyszli do naszego domu, a później wraz z Kwintusem i Lucjuszem eskortowali mego pana w drodze na forum. W orszaku senatora byli też urzędnicy różnych *tribus*, głównie z *tribus* Kornelia i Eskwilina, wśród których cieszył się wyjątkowo silnym poparciem. Po drodze przechodnie pytali Cyncerona, dokąd się wybiera z tymi trzema dziwnie wyglądającymi znajomymi; odpowiadał pogodnie, żeby poszli z nim i sami zobaczyli – nie będą rozczarowani. Zawsze lubił tłum. Gdy doszedł do sądu do spraw wymuszeń i oszustw, miał już liczną widownię.

W tamtych czasach trybunał zawsze urzędował przed świątynią Kastora i Polluksa, po przeciwnej stronie forum niż senat. Nowym pretorem sądu był Acyliusz Glabryon, o którym niewiele było wiadomo, poza tym, że utrzymywał zaskakująco bliskie

stosunki z Pompejuszem. Mówię, zaskakująco bliskie, ponieważ gdy Glab里昂 był młody, Sulla – jako dyktator – kazał mu rozwieść się z żoną, choć była w ciąży, a następnie wydał ją za Pompejusza. Nieszczęsna kobieta – miała na imię Emilia – zmarła podczas porodu w domu nowego męża. Pompejusz zwrócił niemowlę naturalnemu ojcu. Chłopiec miał teraz dwa-  
naście lat i był radością życia Glab里昂a. Ten dziwaczny epizod sprawił, że Pompejusz i Glab里昂 stali się przyjaciółmi, nie zaś wrogami. Cycero długo się zastanawiał, czy to przychylna okoliczność, ale nie potrafił rozstrzygnąć tej kwestii.

Krzesło Glab里昂a było już przygotowane, co oznaczało, że za chwilę rozpocznie się sesja. Musiało być zimno, bo pamiętam, że nałożył rękawiczki i siedział przy piecyku na węgiel drzewny. Trybunał urzędował na platformie ustawionej przed świątynią, w połowie schodów. Liktorzy Glab里昂a, ze związanymi w pęki różgami na ramionach, stali za nim, przytupując na rozgrzewkę. Wokół kręciło się dużo ludzi, bo oprócz trybunału w świątyni znajdował się też Urząd Miar i kupcy przychodzili tu sprawdzać swoje odważniki i miarki. Glab里昂 wydawał się zdziwiony widokiem Cycerona zbliżającego się ku niemu na czele orszaku złożonego ze zwolenników i przypadkowych gapiów. Pretor machnięciem ręki nakazał liktorom, żeby pozwolili senatorowi zbliżyć się do sędziowskiego stołu. Gdy otwierałem zwój z dokumentami i wręczałem Cyceronowi *postulatio*, dostrzegłem w jego oczach niepokój, ale też ulgę, że wreszcie skończyło się czekanie. Wszedł na schody i odwrócił się do widzów.

– Obywatele! – rozpoczął. – Przychodzę tu dziś, żeby ofiarować swoje życie w służbie rzymskiego ludu. Chciałbym oświadczyć, iż zamierzam starać się o urząd edyla Rzymu. Nie czynię tego, kierując się pragnieniem osobistej chwały, lecz dlatego, że stan naszej republiki wymaga, aby uczciwi ludzie stanęli

w obronie sprawiedliwości. Wszyscy mnie znacie. Wiecie, w co wierzę. Wiecie, że już od dawna nie spuszczam z oka pewnych arystokratów w senacie! – Rozległ się szmer potakiwań. – Mam tu w ręku akt oskarżenia – *postulatio*, jak mówią prawnicy. Jestem tu, żeby zawiadomić, iż zamierzam postawić przed obliczem sprawiedliwości Gajusza Werresa za zbrodnie i występki, jakie popełnił, sprawując urząd namiestnika Sycylii. – Cycero pomachał dokumentem nad głową. Udało mu się wywołać kilka stłumionych okrzyków. – Jeśli zostanie skazany, będzie musiał nie tylko oddać wszystko, co ukradł, ale również straci prawa obywatelskie. Będzie miał wybór tylko między banicją i śmiercią. To będzie długa, zaciekła walka, co do tego nie można się ludzić, a stawiam na kartę wszystko – sukces w wyborach, nadzieje na przyszłość, reputację, jaką zdobyłem, harując w pocie czoła od samego świtu – ale czynię to w głębokim przekonaniu, że sprawiedliwość zwycięży!

Cycero obrócił się i wszedł na kilka stopni, jakie dzieliły go od stołu Glabriona, który przyglądał się temu mocno zdeprymowany. Wręczył mu akt oskarżenia. Pretor rzucił okiem na pismo i przekazał je jednemu ze swych urzędników. Ucisnął rękę Cycerona i to było już wszystko. Tłum zaczął się rozchodzić, a nam nie pozostało nic innego, jak tylko wrócić do domu. Obawiam się, że cała nasza akcja nie zrobiła na nikim wrażenia. Kłopot polegał na tym, że w Rzymie nieustannie ktoś ogłaszał, że zamierza kandydować na ten lub inny urząd, gdyż każdego roku wybierano co najmniej pięćdziesięciu urzędników. Nikt nie dostrzegł w oświadczeniu Cycerona wielkiego historycznego wydarzenia, za jakie on je uważał. Oskarżenie Werresa również nie było sensacją, gdyż minął już ponad rok, od kiedy Cycero nagłośnił sprawę Steniusza, a ludzie – jak on sam często powtarzał – mają krótką pamięć: nikt już nie myślał o złym namiestniku Sycylii. Widziałem, że Cycero przeżywa gorzkie rozczarowanie.

Nawet Lucjusz, który zwykle potrafił go rozśmieszyć, teraz nie mógł go podnieść na duchu.

Po drodze do domu Lucjusz i Kwintus starali się rozbawić Cyclerona, snując przypuszczenia, jak Werres i Hortensjusz zareagowali, gdy dowiedzieli się o oskarżeniu. Z forum przybiega niewolnik z nowiną, Werres błędnie, pośpiesznie zwołuje naradę. Cycero nie chciał tego słuchać. Przypuszczam, że myślał o ostrzeżeniu Serwili i tym, jak Hortensjusz i Werres śmiali się z niego podczas inauguracji konsulatu.

– Wiedzieli, co się szykuje – powiedział. – Mają gotowy plan. Pytanie brzmi, co oni wymyślili. Czy wiedzą, że nasze dowody są zbyt słabe? Czy mają Glabriona w kieszeni? Co zamierzają?

Cycero poznał odpowiedź na to pytanie już tego samego przedpołudnia. Miała postać zawiadomienia z trybunału do spraw wyłudzeń i oszustw, które przyniósł liktor Glabriona. Cycero zmarszczył brwi, złamał pieczęć i szybko przeczytał.

– Ach... – cicho westchnął.

– No i co? – spytał Lucjusz.

– Sąd otrzymał drugą prośbę o zgodę na wystąpienie w charakterze oskarżyciela Werresa.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Kwintus. – Któż inny chciałby go oskarżyć?

– Jakiś senator – odrzekł Cycero, ponownie czytając dokument. – Cecyliusz Niger.

– Znam go – wtrącił się Steniusz. – Był kwestorem Werresa rok przed moją ucieczką z wyspy. Krążyły plotki, że pokłócił się z namiestnikiem o pieniądze.

– Hortensjusz zawiadomił sąd, że Werres nie ma nic przeciw temu, aby oskarżycielem był Cecyliusz, ponieważ jemu chodzi o „osobiste szkody”, natomiast ja, jak się okazuje, tylko „szukam rozgłosu”.

Patrzyliśmy na siebie z rozpaczą. Wyglądało na to, że miesiące pracy pójdą na marne.

– To sprytne posunięcie – przyznał z żalem Cyncero. – To trzeba Hortensjuszowi przyznać. Co za cwany diabeł! Przypuszczałem, że będzie dążył do tego, aby trybunał odrzucił oskarżenie bez rozprawy. Nie przyszło mi do głowy, że zamiast tego spróbuje kontrolować nie tylko obronę, ale i oskarżenie.

– Nie może tego zrobić! – wyrzucił z siebie Kwintus. – Rzymskie sądownictwo jest najsprawiedliwsze na świecie!

– Mój drogi Kwintusie – zaczął Cyncero z tak protekcyjnym sarkazmem, że aż się skrzywiłem. – Skąd ty czerpiesz te wszystkie slogany? Czy przypuszczasz, że Hortensjusz od dwudziestu lat wodzi rej w rzymskich sądach, bo postępuje uczciwie? To jest wezwanie. Jutro rano mam się pojawić przed trybunałem do spraw wymuszeń i przedstawić argumenty, dlatego to ja mam być oskarżycielem, nie zaś Cecyliusz. Muszę przekonać Glabryona i wszystkich sędziów o swojej wartości. Przypominam wam, że na sędziowskiej ławie zasiądzie trzydziestu dwóch senatorów, a możecie być pewni, że wielu z nich otrzymało niedawno noworoczny prezent z marmuru lub brązu.

– Ale to my, Sycylijczycy, jesteśmy jego ofiarami! – wykrzyknął Steniusz. – To do nas chyba należy decyzja, kto ma być naszym obrońcą?

– Ależ skąd! Oskarżyciel jest urzędnikiem mianowanym przez sąd i jako taki reprezentuje lud Rzymu. Wasza opinia może być rozważona, ale nie ona decyduje.

– Jesteśmy zatem skończeni? – żałośnie spytał Kwintus.

– Nie – odrzekł Cyncero. – Nie jesteśmy skończeni. – Widziałem, że znowu nabiera chęci do walki, gdyż nic nie pobudzało jego energii bardziej niż myśl, że przechytrzył go Hortensjusz. – A jeśli nawet, to padniemy w walce. Ja zacynam

przygotowywać przemówienie, ty zaś, Kwintusie, postaraj się, żebym miał jutro tłum słuchaczy. Skontaktuj się ze wszystkimi, którzy mają wobec nas zobowiązania. Możesz im sprzedać swój slogan, że rzymskie sądownictwo jest najsprawiedliwsze na świecie. Postaraj się, może w ten sposób uda ci się przekonać kilku szanowanych senatorów, żeby towarzyszyli mi na forum? Niektórzy pewnie nawet w to wierzą. Gdy jutro stanę przed trybunałem, chcę, aby Glabrion czuł, iż cały Rzym go obserwuje.

Nikt nie może twierdzić, że wie, co to polityka, jeśli nie spędził całej nocy, przygotowując mowę na następny dzień. Cały świat śpi, a mówca krąży wokół lampy, zastanawiając się, jakie szaleństwo sprawiło, że zajął się polityką. Formułuje i odrzuca argumenty. Kolejne brudnopisy wstępu, rozwinięcia i podsumowania zaśmiecają podłogę. Wyczerpany umysł przestaje spójnie pojmować sens całego przedsięwzięcia, dlatego często – zwykle godzinę lub dwie po północy – nadchodzi pora, że jedyne realistycznymi możliwościami wydaje się nieobecność, symulowanie choroby lub ukrycie się w domu. Wreszcie w jakiś sposób, pod wpływem paniki, gdy upokorzenie wydaje się już nieuchronne, poszczególne fragmenty zaczynają układać się w całość i powstaje przemówienie. Drugorzędny mówca w tym momencie kładzie się do łóżka. Cyncero natomiast nie śpi, tylko uczy się go na pamięć.

Cyncero przeżył ten proces tej nocy, jedząc tylko owoce, nieco sera i popijając rozcieńczone wino. Kiedy miał już gotowy tekst, posłał mnie do łóżka, ale nie sądzę, żeby sam spał choćby godzinę. O świcie dla orzeźwienia umył się w lodowatej wodzie i starannie się ubrał. Gdy go zobaczyłem tuż przed wyjściem do sądu, był podniecony jak zapaśnik przed walką, rozciągał ramiona i kiwał się na boki.

Kwintus dobrze wykonał swoje zadanie. Gdy otworzyliśmy drzwi, powitał nas głośny tłum przyjaciół. Ulica była zapchana. Oprócz zwykłych obywateli zobaczyliśmy trzech lub czterech senatorów, którym szczególnie zależało na losie Sycylii i którzy chcieli zademonstrować swoje poparcie. Jak pamiętam, przyszli milkiwy Gnejusz Marcellinus, prawy Kalpurniusz Pizon Frugi – który był pretorem w tym samym czasie co Werres i gardził nim jako łajdakiem – oraz co najmniej jeden przedstawiciel rodu Marcellusów, tradycyjnych patronów wyspy. Cycero stanął w progu, pomachał wszystkim, podniósł Tulię, jak zwykle głośno ją ucałował i pokazał swym zwolennikom. Później oddał ją Terencji i uściskał żonę na pożegnanie, co publicznie czynił bardzo rzadko. Kwintus, Lucjusz i ja zrobiliśmy mu przejście. Cycero zaczął przeciskać się przez tłum.

Chciałem życzyć mu powodzenia, ale w tym momencie, jak to się często zdarzało przed wielkimi przemówieniami, nic już do niego nie docierało. Patrzył na ludzi, ale nikogo nie widział. Był gotowy do działania, odgrywał w myślach dramat powtarzany od dzieciństwa, w którym występował jako samotny patriota, dysponujący tylko siłą swej wymowy i walczący ze wszystkim, co zepsute i godne pogardy w życiu publicznym. Ludzie chyba wyczuwali swoją rolę w tym fantastycznym spektaklu, ponieważ tłum wciąż rósł. Gdy doszliśmy do świątyni Kastora, towarzyszyło nam ze dwieście lub trzysta osób, bijących brawo i wiwatujących na cześć Cyclerona. Glabryon już siedział na swoim miejscu między dwoma wielkimi filarami świątyni, podobnie jak sędziowie. Dostrzegłem między nimi groźne widmo Katulusa. Hortensjusz siedział na ławce zarezerwowanej dla ważnych widzów, przyglądał się uważnie swym wypielęgowanym palcom i wydawał się równie spokojny jak letni poranek. Obok niego zobaczyłem czterdziestoparoletniego mężczyznę, rudawego i piegowatego, który również wydawał



się całkowicie rozluźniony. Odgadłem, że to z pewnością Gajusz Werres. Dziwnie się poczułem, widząc wreszcie tego potwora, który zajmował nasze myśli już od tak dawna. Wyglądał zupełnie zwyczajnie, ale przypominał raczej lisa niż dzika.

Dla rywalizujących oskarżycieli przygotowano dwa krzesła. Cecyliusz już siedział, z wielkim plikiem notatek na kolanach. Nawet nie podniósł głowy, gdy przybył Cycero, tylko nadal przeglądał notatki. Wezwano wszystkich, żeby się uciszyli i Glabrio powiedział Cycleronowi, że jako pierwszy oskarżyciel musi pierwszy zabrać głos, co oczywiście było bardzo niekorzystne. Cycero wzruszył ramionami i wstał. Począł, aż zapanała idealna cisza, po czym zaczął, jak zwykle powoli. Najpierw przyznał, że zdaje sobie sprawę, iż ludzie mogą być zdziwieni, widząc go w tej roli, ponieważ nigdy dotychczas nie dążył do wystąpienia na jakiegokolwiek arenie jako oskarżyciel. Tym razem również tego nie chciał. Prywatnie przekonywał Sycylijszczyków, żeby powierzyli sprawę Cecyliuszowi. (Niemal krzyknęłam ze zdziwienia, gdy to usłyszałam). Jednak – rzekł Cycero – nie robił tego tylko dla Sycylijszczyków. „To, co czynię, czynię dla dobra całego kraju” – oświadczył. Przeszedł przez cały sąd do miejsca, gdzie siedział Werres i wskazał go palcem. „Oto ludzki potwór o niesłychanej chciwości, bezczelności i niegodziwości. Jeśli postawię tego człowieka przed sądem, któż będzie mógł mnie krytykować z tego powodu? Powiedzcie mi, w imię wszystkiego, co sprawiedliwe i święte, jaką lepszą usługę mogę oddać dziś ojczyźnie?”. Werres się nie przejął – uśmiechnął się wyzywająco i pokręcił głową. Cycero przez chwilę przyglądał mu się z pogardą, po czym zwrócił się do sędziów. „Oskarżam Gajusza Werresa, że w ciągu trzech lat zmienił prowincję Sycylię w pustynię – złupił sycylijskie miasta, ogołocił sycylijskie domy, spustoszył sycylijskie świątynie. Gdyby Sycylia

mogła przemówić jednym głosem, usłyszelibyśmy, jak mówi: »Całe moje złoto, całe srebro, wszystkie dzieła sztuki i rzemiosła, które kiedyś ozdabiały moje miasta, domy i świątynie, wszystkie te rzeczy ty, Werresie, ukradłeś i dlatego zgodnie z prawem oskarżam cię, domagając się miliona sestercji«. Takie słowa wypowiedziałaby Sycylia, gdyby mogła przemówić jednym głosem, a ponieważ nie może, wybrała mnie, abym poprowadził jej sprawę. Jakaż zatem niewiarygodną bezczelnością jest to, że ty – dopiero teraz zwrócił się w stronę Cecyliusza – ośmielasz się dążyć do podjęcia sprawy Sycylińczyków, skoro oni już powiedzieli, że cię nie chcą!».

Cycero podszedł do Cecyliusza, stanął za nim i demonstracyjnie westchnął ze smutku. „Powiem ci teraz coś, jak przyjaciel przyjacielowi” – powiedział i poklepał go po ramieniu. Rywal musiał obrócić się na krześle, żeby na niego spojrzeć. Wyglądało to tak, jakby się wiercił. Kilka osób parsknęło śmiechem. „Szczerze ci radzę, żebyś zastanowił się nad sobą. Oceń sam siebie. Pomyśl, kim jesteś i do czego się nadajesz. To oskarżenie jest bardzo poważnym i trudnym przedsięwzięciem. Czy masz dostatecznie dobrą pamięć i dostatecznie mocny głos? Czy masz dość inteligencji i zdolności, żeby wziąć na siebie ten ciężar? Nawet gdybyś miał wielkie naturalne talenty, nawet gdybyś otrzymał gruntowne wykształcenie, czy mógłbyś liczyć, że wytrzymasz napięcie? Przekonamy się o tym dziś rano. Jeśli będziesz potrafił odpowiedzieć na to, co powiedziałem, jeśli użyjesz choć jednego wyrażenia, które nie pochodzi z jakichś urywków skompilowanych z cudzych mów, które dał ci szkolny nauczyciel, to może nie zawiedziesz podczas samego procesu”.

Teraz Cycero stanął pośrodku i zwrócił się do sędziów i wszystkich widzów. „»No i co z tego? – moglibyście powiedzieć. – Czy ty sam masz te wszystkie cechy?«. Rzeczywiście,

wiele bym za nie dał. Jednak starałem się ze wszystkich sił i od wczesnej młodości ciężko pracowałem, żeby je zdobyć. Wszyscy wiedzą, że całe moje życie spędzam na forum i w trybunalach; że niewielu jest ludzi w moim wieku, którzy bronili w większej liczbie spraw; że cały wolny czas, jaki mi pozostaje po występowaniu w interesie przyjaciół, spędzam na studiach i pracy nad sobą, co w tym zawodzie jest konieczne, żeby lepiej przygotować się do oratorskiej praktyki. A jednak nawet ja, gdy myślę o wielkim dniu, w którym oskarżony pojawia się przed sądem, muszę wygłosić swoją mowę, nie tylko czuję treść, ale wręcz cały się trzęsę. Ty, Cecyliuszu, nie znasz tego lęku, nie miewasz takich myśli, nie przeżywasz takiego niepokoju. Wyobrażasz sobie, że jeśli wykułeś na pamięć jeden lub dwa zwroty z jakiegoś starego przemówienia jak na przykład »Błagam potężnego i sprawiedliwego boga« lub »Chciałbym, panowie, gdyby to tylko było możliwe«, to jesteś już doskonale przygotowany do wystąpienia w sądzie.

Cecyliuszu, jesteś nikim i zupełnie się nie liczysz. Hortensjusz cię zniszczy! Natomiast mnie nie zdoła zniszczyć swoimi chytrymi sztuczkami. Nie uda mu się sprowadzić mnie na manowce swoimi pomysłami. Nie zmusi mnie do zmiany stanowiska”. Cyncero spojrział na Hortensjusza i uklonił mu się z udawaną pokorą. Hortensjusz wstał i się odkłonił, wywołując śmiech widzów. „Dobrze znam metody tego pana – kontynuował Cyncero – i jego wszystkie retoryczne sztuczki. Niezależnie od tego, jaki jest zdolny, przekona się, gdy przyjdzie mu wystąpić przeciw mnie, że ten proces to oprócz wszystkiego innego sprawdzian jego umiejętności. Z góry lojalnie go ostrzegam, że jeśli powierzycie mi tę sprawę, będzie musiał radykalnie zmienić swoje metody obrony. Jeśli ja będę ją prowadził, nie będzie miał podstaw przypuszczać, że zdoła przekupić sąd, nie narażając przy tym wielu ludzi”.

Wzmianka o przekupstwie wywołała krótką wrzawę. Nawet normalnie opanowany Hortensjusz zerwał się z krzesła, ale Cyncero machnął ręką, nakazując mu, żeby wrócił na miejsce. Długo jeszcze przemawiał, swą retoryką zadając przeciwnikowi potężne uderzenia, niczym kowal kujący sztabę żelaza. Nie będę cytował całego przemówienia, bo trwało co najmniej godzinę, a zainteresowani mogą je łatwo znaleźć w bibliotece. Cyncero zaatakował Werresa, zarzucając mu korupcję, Cecyliusza z powodu dawnych związków z Werresem i Hortensjusza za to, że woli mieć drugorzędnego przeciwnika. Na zakończenie rzucił wyzwanie senatorom. Podszedł do sędziów i przemawiał, patrząc im prosto w oczy. „To do was, panowie, należy wybranie kandydata, który ma dobrą wolę, energię, mądrość i wewnętrzną powagę, żeby jak najlepiej przedstawić tę wielką sprawę przed wielkim sądem. Jeśli wybieriecie Kwintusa Cecyliusza, nie zaś mnie, nie będę myślał, że przegrałem z lepszym. Rzym może natomiast pomyśleć, że honorowy, surowy i energiczny oskarżyciel, taki jak ja, to nie to, czego chcieliście wy i czego kiedykolwiek będą chcieli senatorowie”. Przerwał na chwilę, jego wzrok zatrzymał się na Katulusie, który wytrzymał jego spojrzenie, po czym spokojnie zakończył: „Panowie, dopilnujcie, żeby tak się nie stało”.

Rozległy się głośnie oklaski. Teraz nadeszła kolej Cecyliusza. Był on człowiekiem niskiego pochodzenia, znacznie niższego niż Cyncero. Nie był pozbawiony zasług i zdolności. Można nawet powiedzieć, że miał podstawy domagać się, aby to on został oskarżycielem. Rozpoczął od przypomnienia, że jego ojciec był wyzwolencem z Sycylii, on sam się tam urodził, a wyspa ta była jego ukochanym miejscem na ziemi. Jednak jego przemówienie było pełne danych statystycznych o malejącej produkcji rolnej na Sycylii i systemie księgowania Werresa. Sprawiał wrażenie człowieka zirytowanego, nie zaś pełnego pasji. Co gorsza, czytał

przemówienie z notatek, i to tak monotennie, że po godzinie, gdy zbliżał się do podsumowania, Cycero pochylił się na bok i udawał, że zasnął. Cecyliusz, który stał twarzą do sędziów i nie widział, z czego wszyscy się śmieją, bardzo się zmieszał. Z trudem dobrnął do końca i usiadł czerwony z zakłopotania i gniewu.

Pod względem retorycznym Cycero odniósł zdecydowane zwycięstwo, ale gdy sędziom rozdano tabliczki do głosowania, a urzędnik sądowy czekał z urną, żeby je zebrać, myślał – jak mi później powiedział – że przegrał. Wśród trzydziestu dwóch senatorów na sędziowskiej ławie było dwunastu jego zdeklarowanych przeciwników i tylko sześciu przyjaciół. Decyzja, jak to najczęściej bywa, zależała od opinii ludzi środka. Cycero widział, jak wielu wykręcało szyje, żeby dostrzec sygnał Katulusa i zagłosować tak jak on. Gdy wszyscy zagłosowali, urzędnik wysypał tabliczki z urny na ławę i na oczach całego sądu zaczął liczyć głosy. Hortensjusz przestał udawać obojętność i zerwał się z krzesła. Podobnie jak Werres, usiłował zobaczyć, jaki będzie wynik. Cycero siedział nieruchomo jak posąg. Cecyliusz skulił się na swym krześle. Wokół mnie stali ludzie, często obserwujący rozprawy, którzy znali procedurę równie dobrze jak sędziowie. Szeptali, że wynik głosowania musi być bliski remisu, ponieważ urzędnicy postanowili jeszcze raz przeliczyć tabliczki. Wreszcie sekretarz sądu podał tabliczkę Glabrionowi, który wstał i nakazał ciszę. W głosowaniu padło czternaście głosów na Cyclerona – powiedział, a moje serce nagle się zatrzymało: przegrał! – trzynaście na Cecyliusza, a pięciu sędziów wstrzymało się od głosu. Wobec tego Marek Tuliusz Cycero został mianowany specjalnym oskarżycielem (*nominis delator*) w sprawie Gajusza Werresa. Widzowie klaskali, a zszokowani Hortensjusz i Werres opadli na krzesła. Glabrion wezwał Cyclerona, żeby wstał, uniósł prawą rękę i złożył tradycyjną przysięgę, że będzie oskarżał w dobrej wierze.

Gdy tylko skończył, natychmiast złożył wniosek o odroczenie postępowania. Hortensjusz zaprotestował: czemu to jest konieczne? Cycero odpowiedział, że chce udać się na Sycylię w celu zebrania dowodów i przesłuchania świadków. Hortensjusz mu przerwał. Uznał za skandal, że Cycero domagał się prawa wniesienia oskarżenia, a chwilę później przyznał, że nie dysponuje dowodami, które mógłby przedstawić w sądzie! To był zasadny argument. Wtedy uświadomiłem sobie, że Cycero nie jest bynajmniej pewny siły swoich argumentów. Glab里昂 wy-dawał się podzielać opinię Hortensjusza, ale Cycero przekonywał go, że dopiero teraz, gdy Werres wyjechał z prowincji, jego ofiary czują się bezpieczne i gotowe są zeznawać. Glab里昂 zastanawiał się przez chwilę, zajrzał do kalendarza, a potem niechętnie ogłosił, że postępowanie zostanie odroczone na sto dziesięć dni. „Postaraj się jednak, żebyś był gotowy do rozpoczęcia zaraz po przerwie wiosennej” – ostrzegł Cyclerona i zakończył posiedzenie sądu.

Ku swemu zaskoczeniu Cycero później dowiedział się, że zawdzięczał zwycięstwo Katulusowi. Ten dumny i snobistyczny stary senator był też patriotą do szpiku kości i dlatego jego opinie cieszyły się takim poważaniem. Uznał on, że zgodnie z odwiecznymi prawami lud ma prawo wiedzieć, iż Werres został poddany jak najsurowszemu śledztwu, choć ten był jego przyjacielem. Z drugiej strony rodzinne zobowiązania wobec swego szwagra, Hortensjusza, nie pozwalały mu poprzeć Cyclerona, dlatego postanowił się wstrzymać, pociągając za sobą jeszcze czterech niezdecydowanych.

Cycero był zachwycony, że udało mu się przechytryć Hortensjusza i zdobyć prawo do kontynuowania „polowania na dzika”, jak to określał. Teraz zaangażował się całkowicie w przygotowania do wyjazdu na Sycylię. Sąd zabezpieczył wszystkie

oficjalne dokumenty Werresa, wydając postanowienie *obsignandi gratia*. Cyncero zgłosił wniosek w senacie, domagając się, żeby były namiestnik złożyć oficjalne rachunki za ubiegłe trzy lata (czego nigdy nie zrobił). Wysłaliśmy listy do wszystkich większych miast na Sycylii, zapraszając ich władze do przedstawienia dowodów. Przejrzałem nasze archiwum i sporządziłem listę ważniejszych obywateli, którzy gościli Cyncerona, gdy był kwestorem, ponieważ potrzebowaliśmy noclegów podczas planowanej podróży po całej prowincji. Cyncero napisał również grzecznościowy list do namiestnika, Lucjusza Metellusa, informując go o wizycie i prosząc o współpracę – wprawdzie nie oczekiwał niczego poza biurokratycznymi szykanami, ale chciał mieć dowód na piśmie, że przynajmniej próbował nawiązać kontakt. Kuzyn Lucjusz – który już od sześciu miesięcy zajmował się dochodzeniem – miał jechać z nim na Sycylię, natomiast Kwintus miał zostać w Rzymie i kierować kampanią wyborczą. Ja i moi dwaj asystenci, Sositeusz i Laurea również mieliśmy jechać, gdyż liczyliśmy się z koniecznością kopiowania wielu dokumentów i protokolowania. Były pretor Kalpurniusz Pizo Frugi zaoferował Cynceronowi pomoc swego osiemnastoletniego syna, Gajusza – młodzieńca o wielkiej inteligencji i uroku, którego szybko wszyscy polubili. Na żądanie Kwintusa nabyliśmy czterech silnych i godnych zaufania niewolników, którzy formalnie mieli być naszymi tragarzami i poganiaczami, ale również mogliby nas ochraniać. W tym czasie na południu szerzyło się bezprawie – w górach przetrwało wielu zwolenników Spartakusa, na wybrzeżu grasowali piraci i nikt nie mógł być pewny, do jakich środków ucieknie się Werres.

Na to wszystko potrzebne były pieniądze, a choć teraz praktyka prawnicza Cyncerona przynosiła już pewne dochody – oczywiście nie w postaci opłat, których pobieranie było zabronione, ale

w formie prezentów i zapisów testamentowych wdzięcznych klientów – z pewnością nie miał dość gotówki, żeby przygotować akt oskarżenia. Większość ambitnych młodych ludzi w jego sytuacji zwróciłaby się do Krassusa, który zawsze udzielał pożyczek wschodzącym politykom, i to na bardzo dogodnych warunkach. Jednak Krassus nie tylko lubił demonstrować wdzięczność za poparcie, ale również starał się, żeby wszyscy widzieli, jak karze przeciwników. Od kiedy Cycero nie zgodził się przyłączyć do jego obozu, Krassus przy każdej okazji okazywał mu swą wrogość. Publicznie go lekceważył i obmawiał za plecami. Prawdopodobnie, gdyby Cycero płaszczył się przed nim, Krassus zmieniłby nastawienie: jego zasady były nieskończenie plastyczne. Jednak, jak już powiedziałem, tym dwóm trudno było wytrzymać, gdy stali od siebie w odległości kilku kroków.

Wobec tego Cycero nie miał wyboru, musiał poprosić żonę, co doprowadziło do przykrej sceny. Ja zostałem w to wciągnięty tylko dlatego, że Cycero, raczej tchórzliwie, najpierw posłał mnie, abym spytał jej administratora majątku, Filotimusa, jak trudno byłoby zebrać sto tysięcy w gotówce. Filotimus, z typową dla siebie złośliwością, natychmiast doniósł o tym swojej pani. Rozwścieczona Terencja zbiegła na dół i zastała mnie w gabinecie Cycerona. „Jak śmiem wtykać nos w jej sprawę?” – spytała. W trakcie tej rozmowy pojawił się Cycero i ostatecznie musiał wyjaśnić, na co potrzebuje pieniędzy.

– A jak zamierzasz zwrócić tę kwotę? – chciała wiedzieć Terencja.

– Z kary, jaką zapłaci Werres, gdy zostanie skazany – wyjaśnił jej mąż.

– Czy jesteś pewny, że rzeczywiście zostanie skazany?

– Oczywiście.

– Na jakiej podstawie? Jakie masz dowody? Chcę je poznać.



Terencja usiadła na sofie Cyclerona i skrzyżowała ramiona. Cycero zawahał się, ale znając żonę, wiedział, że nie uda mu się zmienić jej decyzji, dlatego kazał mi otworzyć skrytkę i przynieść dokumenty dostarczone przez Sycylijczyków. Przedstawił je kolejno żonie, tłumacząc ich znaczenie. Gdy skończył, popatrzyła na niego z nieudawanym zgorzeniem.

– To stanowczo za mało, Cycleronie! I na coś takiego postawiłeś wszystko? Czy ty naprawdę myślisz, że sąd senatorski skaże jednego ze swoich, ponieważ sprowadził ważne rzeźby z prowincji do stolicy, gdzie jest ich miejsce, tym samym ratując je przed zapomnieniem?

– Być może masz rację, moja droga – przyznał Cyceron. – Właśnie dlatego muszę pojechać na Sycylię.

Terencja popatrzyła na męża – zapewne największego mówcę i najbardziej inteligentnego rzymskiego senatora w tym czasie – jak matka na dziecko, które zrobiło kałużę na podłodze w salonie. Jestem pewny, że chciała coś powiedzieć, ale zauważyła, że nadal jestem w gabinecie i zrezygnowała. Wstała i wyszła z gabinetu, nie mówiąc ani słowa.

Następnego dnia Filotimus wręczył mi niewielką szkatułkę z dziesięcioma tysiącami sestercji oraz upoważnienie do pobrania jeszcze czterdziestu tysięcy, jeśli będzie to konieczne.

– Dokładnie połowa kwoty, o jaką prosiłem – powiedział Cycero, gdy zaniósłem mu pieniądze. – Oto jak trzeźwa kobieta interesu ocenia moje szanse, Tironie. – Czy ktoś może jej zarzucić, że się myli?

## VII

Wyjechaliśmy z Rzymu w idy styczniowe, w ostatni dzień Święta Nimf. Cycero jechał na wozie, tak aby mógł pracować – choć nawet próba czytania w trzęsącym się, skrzypiącym i podskakującym powozie, nie mówiąc już o pisaniu, mnie wydawała się torturą. To była okropna podróż na mrozie, niekiedy w śniegu, zwłaszcza gdy droga prowadziła na większej wysokości. Z pobocza Via Appia usunięto już większość krzyży ze zbuntowanymi niewolnikami, ale niektóre zostały w charakterze ostrzeżenia. Wyraźnie odcinały się od białego krajobrazu, a na niektórych widać było jeszcze gnijące ciała. Patrząc na nie, miałem wrażenie, że Krassus dosięgnął mnie swym długim ramieniem z Rzymu i znowu uszczypnął w policzek.

Wyjechaliśmy w takim pośpiechu, że nie było czasu zorganizować zawczasu noclegów. Trzy lub cztery razy, gdy nie znaleźliśmy miejsca w żadnym zajęździe, musieliśmy obozować przy drodze. Spałem wraz z innymi niewolnikami przy ognisku, natomiast Cycero, Lucjusz i młody Frugi korzystali z wozu. W górach, gdy budziłem się o świcie, moje ubranie było pokryte szronem. Wreszcie dotarliśmy do wybrzeża w Velii i Cycero

uznał, że szybciej będzie popłynąć statkiem wzdłuż brzegu, nie bacząc na zimowe sztormy, zagrożenie ze strony piratów i własną awersję do podróży morskich, która wzięła się stąd, że sybilla ostrzegła go, iż jego śmierć będzie w jakiś sposób związana z morzem.

Velia była miejscowością wypoczynkową, ze znaną świątynią Apollina, modnego wówczas boga uzdrawiania. Jednak poza sezonem wszystko było pozamykane. Gdy schodziliśmy do portu, gdzie szare fale waliły o nabrzeże, Cycero oświadczył, że jeszcze nie widział mniej atrakcyjnej miejscowości wakacyjnej. Oprócz zwykłych łodzi rybackich w porcie stał jeden wielki statek handlowy, wielkości triremy. Gdy targowaliśmy się z lokalnymi żeglarzami, Cycero spytał, do kogo należy ten kolos. Jak nam powiedziano, był to dar mieszkańców sycylijskiego portu Messany dla byłego namiestnika, Gajusza Werresa. Statek stał zacumowany w porcie już ponad miesiąc.

Było coś nieskończenie groźnego w tym wielkim statku, mocno zanurzonym, z kompletną załogą, gotowym w każdej chwili rzucić cumy. Nasze pojawienie się w opustoszałym porcie niewątpliwie zostało zauważone i wywołało panikę. Gdy Cycero poprowadził nas ostrożnie w kierunku statku, usłyszeliśmy trzy krótkie sygnały odegrane na trąbce. Wzdłuż burt pojawiły się wiosła, co wyglądało tak, jakby to jakiś wielki morski chrząszcz rozkładał nogi. Statek odbił od nabrzeża, oddalił się nieco i stanął na kotwicy. Gdy obracał się pod wpływem wiatru, w popołudniowej szarówce widać było jasne latarnie na dziobie i na rufie. Zauważyliśmy na pokładzie kilku członków załogi. Cycero, Lucjusz i Frugi zastanawiali się, co zrobić. Teoretycznie, pełnomocnictwa, jakie otrzymał Cycero od sądu, dawały mu prawo wejścia na pokład i przeprowadzenia rewizji na każdym statku, co do którego miał podejrzenia, że jest związany ze sprawą. W praktyce jednak nie mieliśmy sił, żeby przeprowadzić

rewizję, a nim ściągnęlibyśmy pomoc, statek zdążyłby odpłynąć. To był jednak dowód na to, że Werres prowadził przestępczą działalność w bez porównania większej skali, niż nawet Cycero sobie wyobrażał. Teraz Cycero postanowił, że powinniśmy jak najszybciej podążać na południe.

Z Velii do Vibo musi być jakieś sto dwadzieścia mil. Płynie się prosto wzdłuż goleni italskiego buta, aż do czubka wielkiego palucha. Dzięki sprzyjającym wiatrom i silnym wioślarzom dotarliśmy do celu drugiego dnia. Płynęliśmy tak, by nie tracić lądu z oczu, a na noc zatrzymaliśmy się na piaszczystej plaży. Zebraliśmy gałęzie mirtu na ognisko i zbudowaliśmy namiot z wioseł i żagla. Z Vibo pojechaliśmy nadbrzeżną drogą do Regium, gdzie wynajęliśmy statek, żeby przepłynąć przez wąską cieśninę na Sycylię. Gdy wypływaliśmy wczesnym rankiem, była mgła i mżyło. Odległa wyspa pojawiła się na horyzoncie jak ciemny garb. Niestety, mogliśmy skierować się tylko do jednego portu, zwłaszcza w środku zimy, mianowicie do Messany, będącej bazą Werresa. Kupił on lojalność mieszkańców miasta, zwalniając ich z podatków przez trzy lata swego urzędowania. Było to jedyne miasto na całej wyspie, które nie chciało współpracować z Cyceronem. Wzięliśmy kurs na latarnię morską, a gdy zbliżyliśmy się do wejścia do portu, dostrzegliśmy, że to, co uważaliśmy wcześniej za wysoki maszt, nie było wcale częścią jakiegoś okrętu, lecz krzyżem, ustawionym w kierunku stałego lądu.

– To coś nowego – powiedział Cycero, marszcząc brwi. Stał z czoła krople deszczu. – Za naszych czasów nigdy nie dokonywano tu egzekucji.

Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy przepłynąć obok krzyża. Ten widok rzucił cień na nasze zziębnięte dusze.

Mimo powszechnej wrogości, z jaką odnosili się mieszkańcy

Messany do specjalnego oskarżyciela, dwaj obywatele – Basilikus i Percenniusz – odważnie zgodzili się nas ugościć i czekali na nabrzeżu. Natychmiast po zejściu na ląd Cycero spytał ich o krzyż, ale nie chcieli o tym rozmawiać w porcie. Dopiero gdy znaleźliśmy się w domu Basilikusa, uznali, że mogą bezpiecznie o tym opowiedzieć. Werres spędził ostatnie dni swego urzędowania w Messanie, nadzorując ładowanie łupów na statek, który wdzięczne miasto zbudowało specjalnie dla niego. Miesiąc temu odbył się festyn na jego cześć. Wydawało się, że niemal w ramach programu rozrywkowego pewien rzymski obywatel został przywleczony z więzienia, rozebrany do naga, wychłostany na forum, torturowany, a na koniec ukrzyżowany.

– Rzymski obywatel? – Cycero nie mógł w to uwierzyć. Gestem nakazał mi, żebym notował. – Przecież prawo nie pozwala ukarać śmiercią rzymskiego obywatela bez sądu. Czy jesteście pewni, że był obywatelem?

– Krzyczał, że nazywa się Publiusz Gawiusz, jest kupcem z Hiszpanii i służył w legionach. W czasie chłosty po każdym uderzeniu powtarzał: „Jestem rzymskim obywatelem!”

– „Jestem rzymskim obywatelem – powtórzył Cycero, jakby smakując ten zwrot. – Jestem rzymskim obywatelem”. A jaką zbrodnię mu zarzucano?

– Szpiegostwo – odpowiedział nasz gospodarz. – Miał już wejść na statek płynący do Italii, ale popełnił błąd. Opowiadał wszystkim, że uciekł z kamieniołomów w Syrakuzach i jedzie prosto do Rzymu, żeby ujawnić wszystkie zbrodnie Werresa. Władze miejskie kazały go aresztować i zatrzymały do przybycia Werresa. Ten kazał go wychłostać, przypiekać rozpalonym żelazem i ukrzyżować. Poleciał, żeby ustawić krzyż nad brzegiem cieśniny, naprzeciw Regium, tak aby skazany mógł w agonii patrzeć na stały ląd. Wyobraź sobie – pięć mil dalej i byłby bezpieczny! Ludzie Werresa zostawili krzyż jako ostrzeżenie dla

wszystkich, którzy zapominają o trzymaniu języka za zębami.

- Czy byli świadkowie ukrzyżowania?
- Oczywiście. Setki.
- Byli wśród nich rzymscy obywatele?
- Tak.
- Czy możesz wymienić ich nazwiska?

Basilikus zawahał się, ale odpowiedział.

– Gajusz Numitoriusz, ekwita z Puteoli. Bracia Kottiusze z Tauromenium. Lukcejusz – on jest z Regium. Na pewno byli jeszcze inni.

Zapisałem ich nazwiska. Później, gdy Cycero się kąpał, zebrałiśmy się obok wanny, żeby rozważyć to wydarzenie.

– Może ten Gawiusz rzeczywiście był szpiegiem – powiedział Lucjusz.

– Byłbym bardziej skłonny w to uwierzyć – odrzekł Cycero – gdyby Werres nie oskarżył o to samo Steniusza, który jest takim samym szpiegiem jak ty czy ja. Nie, to ulubiona metoda działania tego potwora. Organizuje dęte oskarżenie, a następnie wykorzystuje swoje stanowisko najwyższego sędziego w prowincji, żeby doprowadzić do skazania i wydać wyrok. Nurtuje mnie tylko, dlaczego wziął się na Gawiusza.

Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, a my nie mieliśmy czasu, żeby zostać w Messanie i spróbować się dowiedzieć. Nazajutrz, wcześniej rano, musieliśmy wyjechać na nasze pierwsze oficjalne spotkanie w Tyndaris, mieście na północnym wybrzeżu Sycylii. Ta wizyta stworzyła wzór dla kilkunastu następnych. Rada miejska powitała Cyclerona ze wszystkimi honorami. Zaprowadzono go na główny plac miasta i pokazano deklarację Werresa o przyznaniu miastu sztandaru, za który musieli słono zapłacić. Po zakończeniu kadencji Werresa natychmiast podarli sztandar. Cycero wygłosił krótkie przemówienie o rzymskiej

sprawiedliwości, a następnie zasiadł na przygotowanym krześle i słuchał skarg mieszkańców. Wybrał kilka najbardziej jaskrawych i najłatwiejszych do udowodnienia przypadków łamania prawa – w Tyndaris była to sprawa Sopatera, którego Werres kazał przywiązać nago do posągu, dopóki rada miejska nie zgodzi się oddać rzeźby Merkurego z brązu. Wreszcie ja i moi dwaj asystenci spisywaliśmy oświadczenia, które potwierdzali świadkowie.

Z Tyndaris pojechaliśmy do rodzinnego miasta Steniusza, gdzie poznaliśmy jego żonę, mieszkającą samotnie w pustym domu. Rozpłakała się, gdy Cycero przekazał jej listy od przebywającego na wygnaniu męża. Cycero zakończył tydzień w ufortyfikowanym porcie Lilybaeum na zachodnim cyplu wyspy. Dobrze znał to miejsce, ponieważ mieszkał tam, gdy był kwestorem. Zatrzymaliśmy się na noc, jak często w przeszłości, w domu jego starego przyjaciela Pamfilusza. Pierwszego wieczoru, podczas kolacji, Cycero zauważył, że na stole nie ma zwykłych ozdób – pięknego dzbana i pucharów, od pokoleń należących do rodziny. Gdy spytał, co się z nimi stało, Pamfilusz wyjaśnił, że zabrał je Werres. Szybko się okazało, że wszyscy goście zgromadzenia w jadalni mogą opowiedzieć podobne historie. Młody Gajusz Kakuriusz musiał oddać wszystkie meble, a Lutacjusz stół z cytrusowego drewna, przy którym regularnie jadał Cycero. Lyson stracił cenny posąg Apolla, a Diodor komplet grawerowanych, srebrnych pucharów Mentora. Ta lista ciągnęła się w nieskończoność, o czym wiem najlepiej, ponieważ zostałem wezwany, żeby ją spisać. Po zebraniu oświadczeń od nich, a potem od ich przyjaciół, zacząłem myśleć, że Cycero trochę zwariował – czyżby zamierzał spisać każdą skradzioną łyżkę i każdy dzban śmietany na wyspie? – ale oczywiście, jak wykazały późniejsze zdarzenia, to on był sprytniejszy.

Kilka dni później ruszyliśmy dalej. Trzęśliśmy się na polnych drogach z Lilybaeum do Agrigentum, miasta wybudowanego wokół świątyni, a później pojechaliśmy w głąb wyspy. Tego roku zima była wyjątkowo surowa; niebo i ziemia przypominały żelazo. Cycero poważnie się przeziębił. Siedział otulony płaszczem z tyłu wozu. W Hennie, mieście zbudowanym na stromych urwiskach, otoczonym jeziorami i lasem, powitali nas lamentujący kapłani w ozdobnych szatach, ze świętymi gałązkami w rękach. Zaprowadzili nas do świątyni Ceres, skąd Werres zabrał posąg bogini. Tutaj po raz pierwszy nasza eskorta starła się z liktorami nowego namiestnika wyspy. Ci łajdacy, ze swymi różgami i toporami, stali na placu targowym i wykrzykiwali, że wszystkich, którzy odważą się zeznawać przeciw Werresowi, czeka surowa kara. Mimo to Cycero przekonał trzech wybitnych obywateli Henny – Teodorusa, Numeniusza i Nikasia – żeby przyjechali do Rzymu i wystąpili na procesie w charakterze świadków.

W końcu skręciliśmy na południowy wschód, znowu zmierzając ku morzu. Jechaliśmy przez żyzne równiny u stóp Etny. Ziemia w tej okolicy należała do państwa; administrowali nią publikanie, którzy oddawali działki w dzierżawę miejscowym rolnikom. Podczas pierwszego pobytu Cyclerona na wyspie tereny wokół Leontini stanowiły spichlerz Rzymu. Teraz mijaliśmy porzucone gospodarstwa, szare, leżące odłogiem pola i brązowe smugi dymu z ognisk bezdomnych dzierżawców, żyjących pod gołym niebem. Werres i jego towarzysze ze spółki publikanów spadli na region niczym armia łupieżców. Rekwirowali zboże i bydło za ułamek rzeczywistej wartości i podnieśli tenotę tak wysoko, że niemal nikt nie mógł jej zapłacić. Pewien rolnik, Nimfodorus z Centuripae, ośmielił się narzekać. Afraniusz, publikanin Werresa, schwytał go i powiesił na drzewie oliwnym na targu w Etnie. Takie opowieści budziły gniew Cyclerona i



skłaniały go do jeszcze większych wysiłków. Z czułością wspominam widok tego wytwornego mieszcza, jak w podwiniętej do kolan todze, z pięknymi, czerwonymi butami w jednym ręku, a pełnomocnictwem w drugim, idzie w deszczu przez błotniste pole, żeby odebrać zeznania od rolnika przy pługu. Gdy wreszcie dojechaliśmy do Syrakuz, po trzydziestodniowym, zmuśnym objeździe prowincji, mieliśmy zeznania niemal dwustu świadków.

Syrakuzy to największe i najładniejsze miasto na Sycylii. W istocie są to cztery miasta, które połączyły się w jedno. Trzy – Achradina, Tycha i Neapolis – leżą wokół portu, a w środku wielkiej zatoki znajduje się czwarte, znane po prostu jako Wyspa. To starożytna siedziba królewska, połączona mostem z lądem stałym. W tym otoczonym murem mieście w mieście, gdzie w nocy nie mogą przebywać Sycylijczycy, w pałacu niedaleko wielkich świątyń Diany i Minerwy obecnie rezyduje rzymski namiestnik. Obawialiśmy się, że czeka nas tam wrogie przyjęcie, ponieważ zapewniano nas, że pod względem lojalności wobec Werresa Syrakuzy ustępują tylko Messanie, a senat miejski niedawno uchwalił pean na jego cześć. W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. Przy Bramie Agrigentyńskiej powitał nas tłum rozradowanych obywateli, którzy słyszeli już wieści o uczciwości i pracowitości Cyncerona. (Cieszył się on tu wielką popularnością między innymi dlatego, że jako młody kwestor odnalazł na zarośniętym miejskim cmentarzu grób słynnego matematyka Archimedesesa sprzed stu trzydziestu lat. Był to największy człowiek w historii Syrakuz. Cyncero, co dla niego typowe, przeczytał gdzieś, że na nagrobku wyryto kulę i cylinder, dzięki czemu zdołał zidentyfikować grób, a później zapłacił z własnej kieszeni za usunięcie chwastów i jeżyn. Długo przesiadywał przy grobie, medytując nad tymczasowym charakterem

ludzkiej sławy. Mieszkańcy miasta nie zapomnieli o jego szczodrości i szacunku dla wielkiego uczonego).

Wróćmy jednak do naszej relacji. Zatrzymaliśmy się w domu rzymskiego rycerza, Lucjusza Flawiusza, starego przyjaciela Cyncerona, który dodał do naszego bogatego zbioru wiele opowieści o korupcji i okrucieństwie Werresa. Kiedyś kapitan piratów Herakleo wpłynął do portu w Syrakuzach na czele eskadry czterech niewielkich galer, złupił magazyny i odpłynął, nie napotykając żadnego oporu. Kilka tygodni później został pojmany na wybrzeżu niedaleko Megary, ale ani on, ani jego ludzie nie zostali uwięzieni i ukarani. Krążyły plotki, że Werres wypuścił ich w zamian za wielki okup. Lucjusz opowiedział nam również o strasznym losie rzymskiego bankiera z Hiszpanii, Lucjusza Herenniusza, który pewnego ranka został zawleczony na forum w Syrakuzach, uznany bez sądu za szpiega i ścięty na rozkaz Werresa – mimo błagań przyjaciół i współników ofiary, którzy przybiegli na forum, gdy usłyszeli, co się dzieje. Uderzające było podobieństwo dwóch spraw, Herenniusza i Gawiusza z Messany: obaj byli Rzymianami, obaj pochodzili z Hiszpanii, obaj zajmowali się handlem, obu oskarżono o szpiegostwo i obu zabito bez sądu.

Tej nocy, po kolacji, przybył kurier z Rzymu. Cyncero natychmiast przeczytał list, przeprosił gospodarza i odwołał Lucjusza, młodego Frugi i mnie na stronę. Jego brat Kwintus donosił o niepokojących wydarzeniach. Wyglądało na to, że Hortensjusz wymyślił nową sztuczkę. Trybunał do spraw wymuszeń nieoczekiwanie udzielił zgody na wniesienie oskarżenia przeciw byłemu namiestnikowi Achai. Oskarżyciel, niejaki Dazjanusz, znany współnik Werresa, zapowiedział, że pojedzie do Grecji i wróci z dowodami dwa dni przed ustalonym terminem powrotu Cyncerona z Sycylii. Kwintus wzywał brata, żeby jak najszybciej

wrócił do Rzymu i opanował sytuację.

– To pułapka – natychmiast oświadczył Lucjusz. – Chcą cię nastraszyć, tak abyś skrócił śledztwo.

– Najprawdopodobniej – zgodził się z nim Cyncero. – Nie mogę jednak ryzykować. Jeśli inny oskarżyciel wciśnie się na wokandę przed nami, a Hortensjusz będzie przeciągał postępowanie, tak jak to potrafi, to nasza sprawa zostanie rozpatrzona dopiero po wyborach. Wtedy Hortensjusz i Kwintus Metellus będą już konsulami-elektami. Najmłodszy Metellus bez wątpliwości zostanie pretorem-elektem, a trzeci z braci nadal będzie namiestnikiem Sycylii. Jakże wtedy będziemy mieli szanse na sukces?

– Co zatem zrobimy?

– Zmarnowaliśmy za dużo czasu, łowiąc płotki – powiedział Cyncero. – Musimy przenieść działania wojenne do obozu przeciwnika i skłonić do gadania tych, którzy wiedzą, co tu się działo naprawdę, czyli samych Rzymian.

– Zgadzasz się – przyznał Lucjusz. – Pytanie tylko, jak to zrobić.

Cyncero rozejrzał się dookoła i odpowiedział ściszonego głosem.

– Przeprowadzimy rajd – wyjaśnił. – Rajd na urząd publikanów.

Nawet Lucjusz lekko zzieleniał, słysząc tę zapowiedź. Jeśli pominąć wejście do pałacu namiestnika i aresztowanie Metellusa, był to najbardziej prowokacyjny ruch, jaki Cyncero mógł wykonać. Publikanie tworzyli syndykat ustosunkowanych ludzi z warstwy ekwitów, działali pod ochroną prawa, a wśród inwestorów z pewnością nie brakowało najbogatszych rzymskich senatorów. Cyncero, jako specjalista od prawa handlowego, miał wielu znajomych właśnie wśród takich przedsiębiorców i ludzi interesu. Wiedział, że to ryzykowna strategia, ale nie zamierzał

rezygnować, ponieważ był pewny, że właśnie tu kryło się ciemne jądro morderstw i korupcji Werresa. Jeszcze tej nocy wysłał kuriera do Rzymu z listem dla Kwintusa, w którym komunikował, że została mu do załatwienia tylko jedna sprawa i za kilka dni wyruszy w drogę powrotną.

Cycero musiał wszystko przygotować szybko i w tajemnicy. Postanowił przeprowadzić rajd za dwa dni, w najmniej oczekiwanym momencie – tuż przed świtem w dniu Terminaliów, ważnego, publicznego święta na cześć Terminusa – boga granic i stosunków dobrosąsiedzkich. Z jego punktu widzenia ten dzień był szczególnie atrakcyjny właśnie z symbolicznych względów. Flawiusz, nasz gospodarz, zgodził się pokazać nam urząd publikanów. W międzyczasie poszedłem do portu w Syrakuzach i odszukałem tego samego godnego zaufania kapitana, z którego usług korzystaliśmy przed laty, gdy Cycero wracał z Sycylii, żywiąc wiele złudzeń. Wynająłem jego statek z załogą, umawiając się, że ma być gotowy do wypłynięcia pod koniec tygodnia. Spakowaliśmy do skrzyń już zebrane dowody i zanieśliśmy na pokład. Statku strzegli nasi wartownicy.

W nocy przed rajdem wszyscy niewiele spaliśmy. W ciemnościach przed świtem ustawiliśmy na obu końcach ulicy wynajęte wozy ciągnięte przez woły, żeby zablokować drogę. Na sygnał Cycerona wszyscy wyskoczyliśmy z wozów z pochodniami. Senator załomotał w drzwi, po czym nie czekając na odpowiedź, usunął się na bok. Nasi najsilniejsi ludzie rozwalili drzwi siekierami. Wbiegliśmy do środka, odtrącając na bok nocnego stróża w podeszłym wieku. Natychmiast zajęliśmy księgi spółki. Utworzyliśmy ludzki łańcuch – Cycero również stanął w szeregu – i podawaliśmy sobie z rąk do rąk skrzynki z woskowymi tabliczkami i zwojami papirusu i ładowaliśmy dokumenty na wozy.

Tego dnia odebrałem jedną ważną lekcję. Jeśli ktoś chce zdobyć popularność, nie ma lepszego sposobu, niż przeprowadzenie rajdu na urząd poborców podatkowych. Gdy weszło słońce i w całej dzielnicy rozeszła się pogłoska o naszej akcji, wokół zebrała się rozentuzjarmowana eskorta honorowa, dostatecznie liczna, żeby odstraszyć magistra spółki, niejakiego Karpinacjusza, który przybył, żeby odbić budynek, z oddziałem legionistów przydzielonym mu do pomocy przez Lucjusza Metellusa. Karpinacjusz i Cycero wdali się we wścieklą awanturę na środku ulicy. Karpinacjusz twierdził, że prawo nie pozwala na rekwizycję prowincjonalnych dokumentów podatkowych, na co Cycero odpowiedział, że jego pełnomocnictwa sądowe unieważniają takie formalne zastrzeżenia. W istocie – jak Cycero później przyznał – rację miał Karpinacjusz. „Ale – dodał – ten, kto panuje na ulicy, kontroluje prawo”. Tego dnia to Cycero panował na ulicy.

W sumie wywieźliśmy do domu Flawiusza pewnie ze cztery wozy dokumentów. Zamknęliśmy bramę, wystawiliśmy strażników i rozpoczęliśmy żmudny proces przeglądania zdobyczy. Nawet teraz, gdy przypominam sobie skalę tego zadania, oblewa mnie pot. Dokumenty, obejmujące wiele lat, dotyczyły nie tylko ziemi należącej do państwa, ale również poszczególnych rolników. Było w nich zapisane, ile kto miał zwierząt, co kiedy siał, na jakim obszarze i jakie zebrał plony. Znaleźliśmy dokumentację dotyczącą udzielanych pożyczek, pobranych podatków oraz związaną z tym korespondencję. Szybko stało się oczywiste, że ktoś już przecesał archiwum, ponieważ po Werresie nie pozostało w nim śladu. Wkrótce otrzymaliśmy gniewne pismo z pałacu namiestnika: Lucjusz Metellus zażądał, żeby Cycero pojawił się następnego dnia przed sądem i odpowiedział na petycję Karpinacjusza, który domagał się zwrotu dokumentów. Przez ten czas na ulicy zebrał się już gęsty tłum. Ludzie skandowali

nazwisko Cyclerona. Pomyślałem o zapowiedzi Terencji, że jej mąż i ona narażą się na ostracyzm w Rzymie i skończą jako konsul i pierwsza dama Thermae. Nigdy w życiu jakaś przepowiednia nie wydała mi się równie trafna i dalekowzrocza, jak wtedy. Tylko Cycero całkowicie nad sobą panował. W życiu był przedstawicielem tylu szemranych publikanów, że dobrze poznał ich sztuczki. Gdy stało się jasne, że z archiwum usunięto dokumenty dotyczące Werresa, odnalazł starą listę członków spółki i sprawdził, kto zarządzał finansami w czasie namiestnictwa Werresa.

– Powiem ci coś, Tironie – zwrócił się do mnie. – Nigdy jeszcze nie spotkałem zarządcy finansów, który przed przekazaniem dokumentów następcy nie sporządził kopii dla siebie, tak na wszelki wypadek.

Następnego dnia rano przeprowadziliśmy nasz drugi rajd.

Naszą ofiarą był niejaki Wibiusz, który tego ranka razem z sąsiadami świętował Terminalia. Na ustawionym w ogrodzie ołtarzu widać było ofiary – zboże, plastry miodu, wino. Wibiusz właśnie złożył w ofierze prosię. („Ci wszyscy oszuści są zawsze bardzo pobożni” – powiedział Cycero). Gdy zobaczył zbliżającego się senatora, przestraszył się tak bardzo, że teraz sam wyglądał jak ofiarne prosię, ale po przeczytaniu pełnomocnictwa opatrzonego pretorską pieczęcią Glabryona niechętnie uznał, iż nie ma wyjścia – musi zdecydować się na współpracę. Przeprosił speszonych gości, po czym zaprowadził nas do tablinum i otworzył skarbczyk. Zobaczyliśmy tytuły własności, księgi rachunkowe, biżuterię i niewielką paczkę listów oznaczoną „Werres”. Gdy Cycero sięgnął po nią, na twarzy Wibiusza pojawił się grymas przerażenia. Przypuszczam, że miał je zniszczyć i albo zapomnieć, albo postanowił zachować, licząc na to, że jeszcze na nich zarobi.

Na pierwszy rzut oka nie było w nich nic szczególnego. Były to listy od inspektora podatkowego Lucjusza Kanulejusza, odpowiedzialnego za pobór cła od towarów wywożonych z portu w Syrakuzach. Listy dotyczyły jednego transportu, który opuścił miasto dwa lata wcześniej. Towary należały do Werresa, który nie zapłacił cła eksportowego. Kanulejusz załączył ich listę: czterysta beczek miodu, pięćdziesiąt leżanek do jadalni, dwieście kandelabrow i dziewięćdziesiąt bel maltańskiego materiału. Inny oskarżyciel mógłby nie zwrócić na to uwagi, ale Cycero od razu zrozumiał znaczenie tej listy.

– Spójrz na to – powiedział, podając mi listę. – To nie są rzeczy zrabowane wielu poszczególnym osobom. Czterysta beczek miodu? Dziewięćdziesiąt bel importowanej materii? – Spojrzał gniewnie na bezradnego Wibiusza. – To cały ładunek, nieprawdaż? Twój namiestnik Werres musiał ukraść cały statek.

Biedny Wibiusz nie miał żadnych szans na ratunek. Spoglądając nerwowo przez ramię na zaszokowanych gości, którzy przypatrywali się nam z otwartymi ustami, potwierdził, że to rzeczywiście był ładunek statku, a Kanulejusz został poinstruowany, żeby nigdy więcej nie próbował nakładać cła na towary eksportowane przez namiestnika.

- Ile takich transportów wysłał Werres? – spytał Cycero.
- Nie jestem pewny.
- A mniej więcej?
- Dziesięć – wykrztusił Wibiusz. – No, może dwadzieścia.
- I nigdy nie zapłacił cła? Nie prowadzono żadnej dokumentacji?
- Nie.
- A skąd Werres brał te wszystkie eksportowane towary? – ostro spytał Cycero.

– Senatorze, błagam... – Wibiusz niemal słańiał się z przerażenia.

– Każę cię aresztować – zagroził Cycero. – Pojedziesz do Rzymu w łańcuchach. Złamię cię przed sądem, na oczach tysięcy ludzi na Forum Romanum, a co z ciebie zostanie, rzucę psom Trójcy Kapitołińskiej.

– Ze statków, senatorze – Wibiusz pisnął jak przestraszona mysz. – Pochodziły ze statków.

– Jakich statków? Skąd przyływały te statki?

– Zewsząd, senatorze. Z Azji. Syrii. Tyru. Aleksandrii.

– Co zatem stało się z tymi statkami? Czy Werres kazał je rekwirować?

– Tak, senatorze.

– Na jakiej podstawie?

– Szpiegostwo.

– Ach, szpiegostwo! Oczywiście! Czy ktokolwiek – zwrócił się do mnie Cycero – wytropił tylu szpiegów, co nasz czujny namiestnik Werres? Powiedz nam zatem – znowu obrócił się w stronę Wibiusza – co stało się z załogami tych statków?

– Zostały wysłane do Kamieniołomu, senatorze.

– A potem?

Wibiusz nic nie odpowiedział.

Kamieniołom był najbardziej przerażającym więzieniem na Sycylii, a może nawet na całym świecie – w każdym razie nigdy nie słyszałem o gorszym. Kamieniołom miał trzysta kroków długości i sto szerokości. Został wykuty w ufortyfikowanym płaskowyżu znanym jako Epipolae, górującym nad Syrakuzami na północy. Ofiary Werresa, wtrącone do tej piekielnej dziury, skąd nie dochodziły żadne krzyki, wystawione na letnią spiekotę i zimowe ulewy, torturowane przez strażników i zdegenerowanych więźniów, umierały jak muchy.



Cycero był znany ze swej awersji do wojska, dlatego wrogowie zarzucali mu tchórzostwo. Z pewnością był nerwowy i miał mdłości na widok cierpień, ale mogę zaręczyć, że tego dnia nie zabrakło mu odwagi. Wróciliśmy do naszej kwatery, żeby zabrać Lucjusza. Młody Frugi został i dalej przeglądał dokumenty podatkowe. Uzbrojeni wyłącznie w laski i pełnomocnictwo wydane przez Glabryona, wspięliśmy się stromą ścieżką na Epipolae. Jak zwykle towarzyszył nam tłum mieszkańców Syrakuz. Plotki w mieście rozchodziły się z taką prędkością, że dowódca straży więziennej już wiedział o zbliżaniu się Cycero na i charakterze jego misji. Gdy senator wygłosił gwałtowną tyradę i zagroził mu poważnymi konsekwencjami, jeśli nie spełni jego żądań, dowódca uległ – pozwolił nam wejść na płaskowyż. Kiedy znaleźliśmy się za murami, Cycero odrzucił ostrzeżenia i zażądał, żeby straż pozwoliła mu przeprowadzić inspekcję Kamieniołomu.

Ten gigantyczny loch, dzieło Dionizjusza, tyrana Syrakuz, miał już ponad trzysta lat. Strażnicy z pochodniami otworzyli starą, metalową furtkę i wprowadzili nas do tunelu. Błyszczące od wilgoci ściany, porośnięte mchem i grzybami, szczury kryjące się w cieniu, smród śmierci i odchodów, krzyki i jęki zatraconych dusz – naprawdę, zstępowaliśmy do Hadesu. W końcu doszliśmy do następnej mocnej bramy. Strażnicy odciągnęły zasuwę i weszliśmy do więzienia. Naszym oczom ukazał się niezwykle widok. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym wrzucił do worka skutych ludzi, a potem wysypał całą zawartość do tej dziury. W słabym świetle, jak daleko sięgał wzrok, wszędzie widać był więźniów. Kilku kręciło się z miejsca na miejsce, inni siedzieli w grupkach, ale większość leżała oddzielnie, starając się zachować dystans od pozostałych. Przypominali żółte worki kości. Jeszcze nie usunięto zwłok tych, którzy zmarli tej nocy, a

trudno było odróżnić żywe szkielety od trupów.

Lawirowaliśmy między ciałami – tych, którzy już zmarli, i tych, którzy jeszcze czekali na koniec: trudno było ich odróżnić. Od czasu do czasu Cycero pytał kogoś o nazwisko i pochyłał się, żeby usłyszeć jego szept. Nie natrafiliśmy na żadnego Rzymianina, a tylko na Sycylijczyków. „Czy ktoś tu jest rzymskim obywatelem? – głośno zawołał Cycero. – Czy ktoś został zabrany ze statku?”. Nikt nie odpowiedział. Cycero zawołał naczelnika i zażądał wglądu w dokumentację więzienia. Podobne jak Wibiusz, ten nędznik miotał się w kleszczach strachu przed Werresem i specjalnym oskarżycielem, ale w końcu uległ presji Cyclerona.

W bocznych ścianach Kamieniołomu były wykute cele i galerie, gdzie strażnicy spali i jedli, a także torturowali i zabijali więźniów. (Jak się dowiedzieliśmy, ulubioną metodą było duszenie). Tu również znajdowała się administracja więzienia, jeśli można ją tak nazwać. Strażnicy przynieśli nam skrzynie z zawilgoconymi i spleśniałymi zwojami, na których widniały długie listy więźniów, daty ich przybycia i uwolnienia. Ta ostatnia notatka zdarzała się rzadko – przy ogromnej większości nazwisk widniało sycylijskie słowo *edikaiiothesan* – co oznacza wykonanie kary śmierci.

– Chcę mieć kopię listy wszystkich uwięzionych w ciągu ostatnich trzech lat, kiedy Werres był namiestnikiem – polecił mi Cycero, po czym zwrócił się do naczelnika. – Ty masz podpisać oświadczenie, że sporządziliśmy wierną kopię.

Ja i moi dwaj asystenci wzięliśmy się do pracy, a Cycero i Lucjusz przeglądali listy, poszukując rzymskich nazwisk. Większość więźniów stanowili oczywiście Sycylijczycy, ale sporo było również ludzi ze wszystkich krain Morza Śródziemnego – Hiszpanów, Egipcjan, Syryjczyków, Cylicyjczyków, Kreteńczyków,

Dalmatów. Gdy Cycero spytał naczelnika, dlaczego ich uwolniono, ten wyjaśnił, że to piraci i szpiedzy. Z listy wynikało, że wszyscy zostali skazani na śmierć, między innymi osławiony kapitan piratów Herakleo. Natomiast Rzymian oficjalnie „uwolniono” – także dwóch obywateli z Hiszpanii, Publiusza Gawiusza i Lucjusza Herreniusza, których egzekucje dokładnie nam opisano.

– Te dokumenty to wielka bzdura – powiedział spokojnie Cycero do Lucjusza. – Stanowią przeciwieństwo prawdy. Nikt nie widział, jak Herakleo umierał, choć widok pirata na krzyżu zawsze przyciąga rozentuzjasmowany tłum. Natomiast wielu ludzi było świadkami egzekucji tych dwóch Rzymian. Wygląda na to, że Werres zrobił dokładnie odwrotnie – wymordował niewinne załogi statków i uwolnił piratów, niewątpliwie za ogromny okup. Jeśli Gawiusz i Herenniusz wykryli jego zdradę, to wyjaśniłoby, dlaczego Werresowi zależało, żeby szybko się ich pozbyć.

Miałem wrażenie, że biedny Lucjusz za chwilę zwymiotuje. Z pewnością przeszedł długą drogę od filozoficznych ksiązek w słonecznym Rzymie do listy skazanych na śmierć, migoczących świec i wilgotnych, podziemnych lochów. Staraliśmy się jak najszybciej skończyć pracę. Nigdy nie czułem się tak zadowolony, że opuszczam jakieś miejsce, jak wtedy, gdy wychodziliśmy tunelem z Kamieniołomu i wracaliśmy do normalnego świata na powierzchni. Od strony morza wiała lekka bryza; pamiętam tak dobrze, jakby zdarzyło się to tego popołudnia, nie zaś ponad pół wieku temu, że wszyscy instynktownie wystawiliśmy twarze na jej podmuchy i upajaliśmy się smakiem rześkiego, czystego powietrza.

– Obiecaj mi – powiedział po chwili Lucjusz – że jeśli kiedyś zdobędziesz to *imperium*, którego tak pragniesz, nigdy nie popełnisz takich niesprawiedliwości i okrucieństw jak te.

– Przysięgam – odpowiedział Cyncero. – A ty, drogi Lucju-szu, w zamian obiecaj mi, że jeśli kiedyś będziesz pytał, dlaczego uczciwi ludzie porzucają filozofię, żeby walczyć o władzę w rzeczywistym świecie, zawsze wspomnisz, co widziałeś w Kamieniołomie w Syrakuzach.

Było już późne popołudnie. Działalność Cyncerona wywołała zamieszanie w Syrakuzach. Tłum, który szedł za nami stromą ścieżką do murów więzienia, wciąż czekał na zewnątrz, a nawet się powiększył. Pojawiło się również kilku wybitnych obywateli, między innymi główny kapłan Jowisza, ubrany w szaty liturgiczne. Urząd kapłana, tradycyjnie zarezerwowany dla mieszkańca miasta mającego najwyższy status, teraz sprawował nie kto inny, jak klient Cyncerona, Herakliusz, który powrócił na wyspę, choć wiązało się to ze znacznym ryzykiem. Teraz chciał, aby Cyncero jak najszybciej poszedł z nim do sali miejskiego senatu, gdzie zgromadziła się starszyzna miasta, żeby go oficjalnie powitać. Cyncero się wahał. Miał dużo roboty i mało czasu, a na dokładkę wystąpienie rzymskiego senatora na forum lokalnego zgromadzenia bez zgody namiestnika prowincji byłoby niewątpliwym naruszeniem protokołu. Z drugiej strony zapewne byłaby to znakomita okazja, żeby zebrać dodatkowe dowody. Po chwili namysłu zgodził się pójść z Herakliuszem. Ruszyliśmy piechotą w dół zbocza, w eskorcie tłumu Sycylijczyków.

W sali senatu było pełno ludzi. Najstarszy senator, czcigodny Diodor, powitał Cyncerona po grecku, stojąc przed połączonym posągiem Werresa. Przeprosił również, że dotychczas miasto nie pośpieszyło mu z pomocą; dopiero wydarzenia tego dnia przekonały ich, że śledztwo prowadzone jest z całą powagą. Cyncero odpowiedział po grecku. Wzburzony scenami, które niedawno oglądaliśmy, wygłosił błyskotliwe, spontaniczne przemówienie,

obiecując, że poświęci wszystkie siły, aby wyrównać niesprawiedliwości, jakich doznali mieszkańcy Sycylii. Pod koniec senatorzy niemal jednomyślnie zdecydowali o unieważnieniu niedawno uchwalonego peanu dla Werresa. (Przysięgali, że go uchwalili wyłącznie wskutek presji Metellusa). Wśród głośnych okrzyków kilku młodszych senatorów zarzuciło liny na kark posągu Werresa i przewróciło go na podłogę, a inni – co znacznie ważniejsze – przynieśli z tajnego archiwum senatu liczne dowody zbrodni namiestnika, które zbierali już od dawna. Dotyczyły one między innymi kradzieży dwudziestu siedmiu bezcennych portretów ze świątyni Minerwy – Werres zabrał nawet ozdobne drzwi do sanktuarium! – oraz łapówek, jakich domagał się namiestnik za wydanie wyroku „niewinny”, gdy sprawował sądy.

Wiadomość o zebraniu senatu i obaleniu posągu szybko dotarła do pałacu namiestnika. Gdy chcieliśmy wyjść, na zewnątrz zobaczyliśmy pierścień żołnierzy otaczający budynek. Na rozkaz Metellusa zebranie przerwano, Herakliusz został aresztowany, a Cycero miał natychmiast przybyć do pałacu. To mogło sprowokować krwawe rozruchy, ale Cycero wskoczył na wóz i powiedział Sycylijczykom, żeby się uspokoiли, gdyż Metellus nie odważy się zrobić krzywdy rzymskiemu senatorowi działającemu na podstawie pełnomocnictwa wydanego przez pretora sądu – ale półzartem dodał, że jeśli nie pojawi się przed zmierzchem, to powinni dowiedzieć się o jego miejsce pobytu. Potem zszedł z wozu i pozwolił, żeby żołnierze przeprowadzili nas przez most na Wyspę.

Rodzina Metellusów osiągnęła w tym okresie szczyt swojej potęgi. Wydawało się, że gałąź rodu, do której należeli trzej bracia – Kwintus, Lucjusz i Marek, wszyscy mający czterdzieści parę lat – zdominuje rzymską politykę w najbliższych latach. To był, jak powiedział Cycero, trójgłowy potwór.

Środkowa głowa – drugiego brata, Lucjusza – była pod wieloma względami najlepsza. Namiestnik był przystojnym, potężnie zbudowanym mężczyzną. Przyjął nas w sali tronowej swojego pałacu, ze wszystkimi oznakami władzy – siedział na krześle kurulnym, ustawionym poniżej kilkunastu marmurowych wizerunków poprzednich namiestników. Po obu stronach krzesła stali liktorzy, za nim zgromadzili się młodszy urzędnicy, a u drzwi zajęli miejsca uzbrojeni wartownicy.

– Podjudzanie do buntu w rzymskiej prowincji jest zdradą stanu – rozpoczął bez słowa wstępu, nie wstając z krzesła.

– Zdradą stanu jest również obrażanie ludu i senatu rzymskiego przez utrudnianie ich przedstawicielowi wykonania obowiązków – odparł Cycero.

– Doprawdy? A jakież to przedstawiciel Rzymu zwraca się do greckiego senatu w ojczystym języku mieszkańców? Wszędzie, gdzie się pojawiłeś w tej prowincji, prowokowałeś rozruchy. Nie będę tego tolerował! Mamy zbyt mały garnizon, żeby utrzymać porządek, gdy tylu ludzi się buntuje. Twoja działalność sprawia, że tym krajem nie można rządzić. To wszystko przez twoją przekłątą agitację!

– Zapewniam, namiestniku, że niechęć ludzi jest skierowana przeciw Werresowi, nie zaś Rzymowi.

– Werres! – Metellus uderzył pięścią o poręcz krzesła. – Od kiedy interesuje cię Werres? Powiem ci od kiedy. Zainteresowałeś się nim, gdy uznałeś, że możesz go wykorzystać w swojej karierze, ty zasrani adwokacie!

– Zanotuj to, Tironie – powiedział Cycero, nie odrywając wzroku od Metellusa. – Tylko dosłownie. Taki dowód zastraszania jest akceptowalny w sądzie.

Byłem jednak zbyt przerażony, żeby się ruszyć. Obecni w sali tronowej głośno krzyczeli, a Metellus zerwał się na nogi.

– Rozkazuję ci – krzyknął – zwrócić dokumenty, które ukradłeś dziś rano!

– Z całym szacunkiem przypominam namiestnikowi – spokojnie odpowiedział Cyncero – że nie znajduje się na placu musztry, mówi do wolnego obywatela Rzymu. Wykonam zadanie, które zostało mi powierzone!

– Oddasz te dokumenty tu, na osobności – wykrzyknął Metellus, pochylając się do przodu i trzymając ręce na biodrach – albo jutro sąd rozkaże ci je zwrócić na oczach całych Syrakuz!

– Jak zawsze spróbuję szczęścia w sądzie – odrzekł Cyncero, lekko skłaniając głowę. – Zwłaszcza że wiem, jakiego bezstronnego i honorowego sędziego znajdę w twojej osobie, Lucjuszu Metellusie, godny następcu Werresa!

Wiem, że ta rozmowa przebiegała właśnie tak, ponieważ natychmiast po wyjściu z sali – a to nastąpiło szybko po ostatniej zacytowanej wypowiedzi – Cyncero i ja zrekonstruowaliśmy ją słowo po słowie, na wypadek gdybyśmy mieli okazję wykorzystać ją w sądzie. (W papierach Cyncerona zachowała się dobra kopia).

– Udane spotkanie – zażartował, ale głos go zawodził i trzęsły mu się ręce, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że jego misja, a nawet życie są narażone na poważne niebezpieczeństwo. – Jeśli ktoś chce zdobyć władzę – dodał jakby do siebie – i jest człowiekiem nowym, to musi tak postępować. Nikt nie poda mu władzy na talerzu.

Wróciliśmy do domu Flawiusza i pracowaliśmy całą noc przy słabym świetle kopających, sycylijskich świec i migoczących lampek oliwnych, żeby przygotować się do wystąpienia w sądzie. Szczerze mówiąc, nie rozumiałem, czego Cyncero może oczekiwać poza upokorzeniem. Przecież Metellus w żadnym wypadku nie wyda korzystnego dla niego wyroku, a poza tym – co Cyncero sam przyznał – prawo było po stronie spółki publikańów. Jednak szczęście, jak powiedział szlachetny Terencjusz, sprzyja odważnym, a tej nocy z pewnością było po stronie Cyncerona. To

młody Frugi dokonał kluczowego odkrycia. Nie wspominał o nim tutaj tak często, jak powinienem, głównie dlatego, że należał on do ludzi odznaczających się dyskrecją i przyzwoitością, na których nie zwraca się większej uwagi, dopóki są w miejscu. Frugi przez cały dzień przeglądał dokumenty spółki publikanów, a wieczorem, choć też był przeziębiony jak Cycero, zamiast iść do łóżka, skupił się na dowodach przyniesionych z senatu Syrakuz. Już dobrze po północy poderwał mnie jego okrzyk. Frugi zawołał nas wszystkich do stołu. Na blacie leżały tabliczki woskowe z szczegółami operacji bankowych spółki. Te listy nazwisk, daty i sumy same w sobie nie wydawały się interesujące. Frugi porównał je jednak z listami sporządzonymi przez syrakuzanów, którzy musieli zapłacić Werresowi łapówki: okazało się, że idealnie do siebie pasują. Ofiary Werresa zbierały pieniądze, pożyczając je od publikanów. Jeszcze lepszy wynik uzyskaliśmy, gdy porównaliśmy te dwie listy z trzecim zbiorem rachunków: spisem wpłat na rachunek spółki. Niejaki Gajusz Werrucjusz wpłacał na konto spółki dokładnie takie same sumy i w tych samych dniach. Nazwisko było tak nieudolnie sfalszowane, że wszyscy parsknęliśmy śmiechem. Widać było wyraźnie, że pierwotnie nazwisko brzmiało „Werres”, ale ktoś wykrobał dwie ostatnie litery i dopisał „ucjusz”.

– Werres domagał się łapówki – powiedział Cycero z narastającym podnieceniem – i żądał, żeby ofiara pożyczyła pieniądze od Karpinacjusza, z pewnością na lichwiarski procent. Następnie inwestował pieniądze w spółkę swych przyjaciół publikanów, dzięki czemu nie tylko zabezpieczał swój kapitał, ale również dostawał udział w zyskach! Pomysłowy łajdak! Pomysłowy, chciwy, głupi łajdak! – Cycero zatańczył z radości, po czym rzucił się na szyję zakłopotanego Frugi i ucałował go w policzki.



Zwycięstwo odniesione następnego dnia należało do najcenniejszych sądowych triumfów Cycerona, choć formalnie przegrał. Wybrał dowody, które musiał zabrać do Rzymu, a Lucjusz, Frugi, Sositeusz, Laurea i ja zanieśliśmy je na forum, gdzie Metellus urządził swój trybunał. Na miejscu zebrał się już ogromny tłum. Karpinacjusz siedział na swoim miejscu. Uważał się on za wytrawnego prawnika, dlatego postanowił sam przedstawić swoją sprawę. Cytował wszystkie mające znaczenie prawa i precedensy, z których wynikało, że nie wolno wywozić z prowincji dokumentacji podatkowej, oraz przedstawiał siebie jako pokorną ofiarę zbyt potężnego senatora. Cycero spuścił głowę i zrobił tak przygnębiającą minę, że z trudem zachowywałem powagę. Gdy wreszcie zabrał głos, przeprosił za swoje działania, przyznał, że z prawnego punktu widzenia nie miał racji, poprosił namiestnika o wybaczenie i obiecał, że z przyjemnością zwróci Karpinacjuszowi dokumenty, tylko – zrobił pauzę – tylko jest jedna drobna sprawa, której nie rozumie, dlatego chciałby, żeby najpierw została wyjaśniona. Podniósł jedną tabliczkę i przyjrzał się jej uważnie.

– Kto to taki Gajusz Werrucjusz?

Karpinacjusz, który już uśmiechał się z zadowoleniem, teraz wyglądał, jakby uderzył go w pierś pocisk wystrzelony z katapulty z bardzo małej odległości. Cycero, udając zdziwienie, tak jakby to wszystko było tajemnicą przekraczającą jego zdolności pojmowania, wskazywał na zbieżności nazwisk, dat i sum w dokumentach księgowych publikanów i na liście łapówek przygotowanej przez senatorów Syrakuz.

– Jest jeszcze jedna sprawa – dodał uprzejmie Cyceron. – Ten szanowny pan, który robił z wami tak wiele interesów, nie pojawia się w księgach ani razu przed przybyciem na Sycylię Gajusza Werresa, niemal jego imiennika. Również po wyjeździe Gajusza Werresa nagle przestał robić z wami interesy. Natomiast

w ciągu trzech lat pobytu Werresa na Sycylii był on waszym największym klientem. – Cycero podniósł dokumenty, żeby pokazać je tłumowi. – No i taki nieszczęśliwy zbieg okoliczności – widzisz? – ilekroć niewolnik prowadzący rachunki pisał jego nazwisko, zawsze tak samo się mylił. No, ale jestem pewny, że nie ma w tym nic podejrzanego. Może po prostu powiesz sądowi, kim jest ten Werrucjusz i gdzie go można znaleźć.

Karpinacjusz spojrział bezradnie w stronę Metellusa. „On nie istnieje! – krzyknął ktoś w tłumie. „Na Sycylii nie ma żadnego Werrucjusza!” – krzyknął inny. „To Werres! To Werres!” – zaczął skandować tłum.

Cycero uniósł rękę, nakazując ciszę.

– Karpinacjusz twierdzi, że nie mogę wywieźć tych dokumentów z prowincji. Przyznaję, że z prawnego punktu widzenia ma rację. Czyż jednak prawo zakazuje sporządzenia ich kopii, pod warunkiem że będzie wierna i należycie poświadczona? Potrzebuję tylko pomocy. Kto z obecnych pomoże mi skopionować te dokumenty, tak abym mógł zabrać je do Rzymu i postawić tę świnie, Werresa, przed obliczem sprawiedliwości za zbrodnie, jakie popełnił przeciw mieszkańcom Sycylii?

Podniósł się las rąk. Metellus próbował uciszyć tłum, ale jego słowa zagłuszyły wrzaski ludzi deklarujących chęć udzielenia nam pomocy. Cycero, z pomocą Flawiusza, wybrał wszystkich najwybitniejszych mieszkańców – Sycylijczyków i Rzymian – po czym zaprosił, żeby każdy wziął część dokumentów. Ja rozdałem ochotnikom tabliczki i rylce. Kątem oka widziałem, jak Karpinacjusz usiłuje dopchać się do stojącego na podwyższeniu Metellusa, który skrzyżował ramiona i patrzył z wściekłością na chaos, jaki zapanował w sądzie. W końcu po prostu obrócił się na pięcie i wszedł po schodach do świątyni.

Tak zakończyła się podróż Cyncerona na Sycylię. Metellus z pewnością bardzo chciał go aresztować, a w każdym razie przeszkodzić mu w wywiezieniu dowodów, jednak Cyncero zdobył zbyt wielu sojuszników, zarówno wśród Sycylijczyków, jak i Rzymian. Aresztowanie go wywołałoby powstanie, a jak Metellus sam przyznał, nie miał dość sił, żeby opanować sytuację w razie powszechnych rozruchów. Jeszcze tego popołudnia kopie dokumentów spółki publikańów zostały poświęcone, zapieczętowane i zanesione na statek, gdzie ulokowaliśmy je obok pozostałych skrzyń z dowodami. Nasi wartownicy strzegli statku. Cyncero pozostał na wyspie już tylko jedną noc. W tym czasie przygotował listę świadków, których chciał wezwać do Rzymu. Lucjusz i Frugi zgodzili się zostać na miejscu, żeby zorganizować ich podróż.

Następnego dnia odprowadzili Cyncerona na statek. W porcie było już pełno naszych zwolenników. Senator wszystkim podziękował. „Wiem, że wiozę na pokładzie tego kruchego statku nadzieje całej prowincji. Z całych sił postaram się was nie zawieść”. Pomogłem mu wejść na pokład. Stał, a po jego policzkach spływały łzy. Wiedziałem, że jako doskonały aktor potrafi okazywać dowolne uczucia na zawołanie, ale jestem pewien, że tego dnia nie udawał. Zastanawiam się, gdy teraz o tym myślę, czy w jakiś sposób domyślał się, że nigdy już nie wróci na Sycylię. Poruszyły się wiosła i statek odbił od brzegu. Twarze na nabrzeżu stawały się coraz mniej wyraźne, postacie coraz mniejsze, aż wreszcie znikły. Powoli płynęliśmy w kierunku wyjścia z portu, na otwarte morze.

## VIII

Powrót z Regium do Rzymu był łatwiejszy niż droga na południe, gdyż nadeszła już wiosna i na stałym lądzie panowała przyjemna pogoda. Nie chcę powiedzieć, że mieliśmy liczne okazje podziwiać ptaki i kwiaty. Cycero pracował przez całą drogę, kiwając się na wszystkie strony w wozie. Przygotowywał akt oskarżenia przeciw Werresowi. Ja przynosiłem mu potrzebne dokumenty z wozu z bagażami oraz szedłem za jego wozem, notując pod dyktando, co nie było łatwym zadaniem. Zamierzał, jeśli dobrze zrozumiałem jego plan, podzielić wszystkie punkty oskarżenia na cztery grupy: korupcja w pełnieniu obowiązków sędziego, wymuszanie w poborze podatków i innych opłat, kradzież własności osób prywatnych i miast, nielegalne i tyrańskie metody sprawowania władzy i karania. Odpowiednio do tego pogrupował dowody i zeznania świadków, a następnie – jeszcze na trzęsącym się wozie – zaczął szkicować swoją mowę. (Jak wyćwiczył swoje ciało, tak aby było zdolne unieść ciężar jego ambicji, tak pozbył się choroby, która zawsze się przyplątywała podczas jazdy powozem, i podróżując po Italii tam i z powrotem zawsze ciężko pracował). Podróż zajęła nam niecałe dwa tygodnie,

a Cycero niemal nie zauważał niczego po drodze. Wróciliśmy do Rzymu w idy marcowe, dokładnie dwa miesiące od wyjazdu.

Przez ten czas Hortensjusz nie próżnował. Sąd już wysłuchiwał skomplikowanego aktu oskarżenia przeciw namiestnikowi Achai. Oczywiście, jak Cycero podejrzewał, jednym z celów tego posunięcia było nakłonienie go do skrócenia śledztwa na Sycylii. Dasjanusz nawet nie pofatygował się, żeby pojechać do Grecji i tam zbierać dowody – w ogóle nie wyjechał z Rzymu. To jednak nie powstrzymało go od wniesienia aktu oskarżenia, a ponieważ pretor Glabirion nie miał nic do roboty aż do powrotu Cycerona, musiał się na to zgodzić. I tak dzień po dniu, Dasjanusz, to dawno zapomniane zero, monotonicznie gadał, zanudzając senatorów, mając Hortensjusza u boku. Gdy zawodziła go wymowa, „mistrz tańca” wstawał i wykręcał swoje piruety po całym sądzie, przedstawiając złożone argumenty.

Kwintus, który zawsze zachowywał się jak dobrze wyszkolony oficer sztabu, podczas naszej nieobecności przygotował dokładny kalendarz kampanii i powiesił go w gabinecie Cycerona. Senator przyjrzał się mu natychmiast po powrocie z Sycylii i od razu zrozumiał plan Hortensjusza. Kwintus oznaczył czerwoną farbą dni świąteczne, w które sąd jest zamknięty. Po ich odjęciu, do przerwy w sesji senatu pozostało tylko dwadzieścia pełnych dni roboczych. Przerwa miała trwać dwadzieścia dni, a zaraz po niej był pięciodniowy festiwal Flory. Później w kalendarzu były kolejne święta – Dzień Apollina, igrzyska tarentyńskie, święto Marsa i tak dalej. W przybliżeniu święta zajmowały co czwarty dzień. „Krótko mówiąc – rzekł Kwintus – na podstawie kalendarza i dotychczasowego przebiegu postępowania można stwierdzić, że Hortensjusz bez większego trudu będzie zajmował sąd aż do wyborów konsularnych pod koniec lipca. Później ty będziesz musiał zająć się wyborami na edyla na początku sierpnia.

Wobec tego najwcześniej będziemy w sądzie piątego sierpnia. Jednak w połowie sierpnia zaczynają się igrzyska Pompejusza, a mają trwać pełne piętnaście dni. Później oczywiście są igrzyska rzymskie, igrzyska plebejskie...”

– Na litość boską! – wykrzyknął Cyncero, przyglądając się kalendarzowi. – Czy w tym nieszczęsnym mieście wszyscy zajmują się tylko oglądaniem, jak ludzie i zwierzęta zabijają się nawzajem? – Energia i zapał, które podtrzymywały go przez całą drogę powrotną z Syrakuz, teraz uszły z niego jak powietrze z przebitego pęcherza. Wrócił do Rzymu gotowy do walki, ale Hortensjusz był zbyt przebiegły, żeby podjąć otwartą walkę w sądzie. Blokada i działania wyniszczające – taka była jego taktyka. Dobrze ocenił sytuację. Wszyscy wiedzieli, że Cyncero dysponuje bardzo skromnymi zasobami. Im dłużej musiał czekać na wniesienie sprawy do sądu, tym większe ponosił koszty. W najbliższym czasie w Rzymie mieli pojawić się pierwsi świadkowie wezwani z Sycylii. Z pewnością będą oczekiwali zwrotu kosztów podróży i rekompensaty za utracone zarobki. Cyncero musiał również sfinansować swoją kampanię wyborczą, a gdyby wygrał, czekały go poważne wydatki związane ze sprawowaniem urzędu, na konserwację budynków publicznych i organizowanie igrzysk. Nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie tych obowiązków, bo wyborcy nigdy nie wybacząli skąpcom.

Cyncero nie miał zatem wyboru, musiał znieść kolejną przykrą sesję z Terencją. W dniu powrotu z Sycylii zjedli kolację we dwoje, a później Cyncero posłał po mnie, żebym przyniósł brudnopis jego mowy. Gdy wszedłem do jadalni, Terencja leżała sztywno na leżance, dziobiąc jedzenie na talerzu, natomiast – jak zauważyłem – Cyncero nawet nie tknął posiłku. Wręczyłem mu dokumenty i natychmiast uciekłem. Przemówienie już było bardzo długie; jego wygłoszenie musiało zająć dwa dni. Później

widziałem, jak Cycero chodzi po jadalni i recytuje fragmenty mowy. Widocznie Terencja nie chciała mu dać pieniędzy, dopóki nie zobaczy próby generalnej. Przedstawienie pewnie jej się spodobało, bo następnego dnia rano Filotimus załatwił nam kredyt w wysokości pięćdziesięciu tysięcy sestercji. To jednak było dla senatora upokarzające doświadczenie. Zauważyłem, że od tej pory zaczął poświęcać znacznie więcej uwagi sprawom finansowym, które wcześniej niewiele go obchodziły.

Czuję, że guzdrzę się z tą relacją. Doszedłem już do ósmego papirusu i muszę nieco przyspieszyć, bo albo umrę przed skończeniem, albo wszystkich zanudzę. Proszę zatem pozwolić, że następne cztery miesiące przedstawię w wielkim skrócie. Cycero pracował jeszcze więcej niż przedtem. Przede wszystkim rano musiał zajmować się swoimi klientami (a gdy byliśmy na Sycylii, nagromadziło się bardzo dużo spraw). Musiał również chodzić na rozprawy sądowe i sesje senatu. Podczas obrad odzywał się rzadko; starannie unikał rozmów z Pompejuszem Wielkim, ponieważ obawiał się, że ten zażąda, żeby zrezygnował z oskarżenia Werresa i kandydowania na urząd edyla, lub – co gorsza – zaoferuje mu poparcie. Cycero miałby wtedy zobowiązania wobec najpotężniejszego człowieka w Rzymie, czego wolał unikać. Tylko podczas publicznych świąt, gdy senat i trybunały przerywały pracę, Cycero mógł poświęcić całą energię na przygotowanie aktu oskarżenia, dokładne zapoznanie się z dowodami, uporządkowanie materiału i instruowanie świadków. Ściągnęliśmy do Rzymu około stu Sycylijczyków, a ponieważ niemal dla wszystkich była to pierwsza wizyta w stolicy, trzeba było ich prowadzić za rękę i to zadanie spadło na mnie. Zmieniłem się w coś na kształt jednoosobowego biura podróży. Biegałem po mieście, starając się, żeby nie padli ofiarą szpiegów Werresa, nie upijali się i nie wdawali w bójki – a zapewniam, że

tęskniący za domem Sycylijczycy nie są łatwymi klientami. Poczulem wielką ulgę, gdy młody Frugi wrócił z Syrakuz i zaczął mi pomagać (kuzyn Lucjusz pozostał na Sycylii, gdzie zajmował się wysyłaniem do Rzymu świadków i dowodów). Wieczorami, w towarzystwie Kwintusa, Cycero odwiedzał siedziby rzymskich *tribus*, żeby starać się o poparcie w wyborach.

Hortensjusz również nie siedział beczynnie. Wciąż zajmował trybunał do spraw wymuszeń swoim nużącym oskarżeniem, wykorzystując jako rzecznika Dasjanusza. Naprawdę lista jego sztuczek nie miała końca. Na przykład demonstracyjnie okazywał przyjaźń Cycleronowi, serdecznie go pozdrowiał, gdy czekali w *senaculum*, czekając na quorum, ostentacyjnie wciągał w prywatne rozmowy o sytuacji politycznej. Początkowo to pochlebiało Cycleronowi, ale szybko dowiedział się, że Hortensjusz i jego znajomi rozpuszczają plotki, jakoby wziął wielką łapówkę w zamian za obietnicę, że celowo położy oskarżenie, i stąd te publiczne uściski. Nasi świadkowie, mieszkający w kamienicach czynszowych w różnych punktach miasta, wpadli w panikę, gdy usłyszeli te plotki, niczym kurczaki w kurniku, gdy wyczuwają skradającego się lisa. Cycero musiał każdego odwiedzić i uspokoić. Gdy następnym razem Hortensjusz zbliżył się z wyciągniętą ręką, Cycero pokazał mu plecy. Hortensjusz uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami – co go to obchodziło? Wszystko układało się po jego myśli.

Powinienem zapewne powiedzieć nieco więcej o tym niezwykłym człowieku – „królu trybunałów”, jak nazywali go pochlebcy – którego rywalizacja z Cycleronem ożywiła rzymskie sądy przez całe pokolenie. Podstawą jego sukcesów była znakomita pamięć. W ciągu jego ponaddwuzięstoletniej kariery adwokata nikt nie widział, żeby posługiwał się notatkami. Bez trudu potrafił zapamiętać czterogodzinne przemówienie i



wygłosić je bez żadnego błędu w senacie lub na forum. Takie fenomenalne popisy nie były wynikiem nocnego kucia; Hortensjusz demonstrował swoją pamięć spontanicznie, w pełnym blasku dnia. Pamiętał wszystko, co powiedzieli przeciwnicy w składanych oświadczeniach lub podczas przesłuchania, i w stosownym momencie rzucał im w twarz ich własne słowa. Na prawniczej arenie był niczym podwójnie uzbrojony gladiator, atakujący mieczem i trójzębem, a broniący się tarczą i siecią. Tego roku skończył czterdzieści cztery lata, mieszkał z żoną i dwójką nastoletnich dzieci, synem i córką, w wyrafinowanie ozdobionym domu na Palatynie, gdzie sąsiedował ze szwagrem, Katulusem. Określenie „wyrafinowany” doskonale pasowało do Hortensjusza: wyrafinowane maniery, wyrafinowane ubrania, fryzura, pachnidła, wyrafinowany smak przejawiający się we wszystkich pięknych rzeczach. Nigdy nie używał mocnych słów. Grzeszył jednak chciwością, która w tym czasie osiągnęła skandaliczne wyżyny – pałac nad Zatoką Neapolitańską, prywatny ogród zoologiczny, dziesięć tysięcy beczek najlepszego wina w piwnicy, węgorzę ozdobione kosztownościami, drzewa podlewane trunkiem. Pierwszy podał pawie na kolację: wszyscy znają te opowieści. To właśnie ekstrawagancja skłoniła go do zawarcia sojuszu z Werresem, który zapłacił za jego kampanię wyborczą, gdy ubiegał się o konsulat, i obsypywał go skradzionymi prezentami – najbardziej znany był bezcenny sfinks, wyrzeźbiony z jednego kawałka kości słoniowej.

Wybory konsularne zostały wyznaczone na dwudziestego siódmego lipca. Dwudziestego trzeciego sędziowie w trybunale do spraw wymuszeń uniewinnili byłego namiestnika Achai, odrzucając wszystkie zarzuty. Cycero pracował w domu nad swoim przemówieniem, ale pośpiesznie przyszedł do sądu i z kamiennym wyrazem twarzy słuchał, jak Glabirion zapowiada, że piątego sierpnia rozpocznie się przesłuchanie w sprawie Werresa.

„Ufam, że twoje przemówienie będzie nieco krótsze” – powiedział Hortensjuszowi, który uśmiechnął się w odpowiedzi. Pozostało jeszcze wybrać sędziów. Glab里昂 skompletował ławę sędziowską następnego dnia. Zgodnie z prawem zasiadło na niej trzydziestu dwóch senatorów wybranych w losowaniu. Każda strona miała prawo zgłosić zastrzeżenia do sześciu sędziów. Cycero w pełni wykorzystał tę możliwość, ale mimo to miał do czynienia z przerażająco wrogo nastawioną ławą. Wśród sędziów znaleźli się – znowu – Katulus i jego protegowany, Katylin, jeszcze jeden weteran senatu, Publiusz Serwiliusz Watia Izaurykus, a nawet Marek Metellus. Poza tymi arystokratycznymi twardogłowymi musieliśmy z góry zrezygnować z cyników, takich jak Emiliusz Alba, Marek Lukrecjusz i Antoniusz Hybryda, którzy zawsze sprzedawali swoje głosy tym, którzy najwięcej płacili, gdyż Werresowi nie brakowało pieniędzy. Chyba nigdy nie widziałem lepszego przykładu trafności starego powiedzenia, że ktoś wygląda jak kot, który wypił śmietankę, niż wówczas, gdy zobaczyłem twarz Hortensjusza po zaprzysiężeniu sędziów. Wszystko mu się udawało. Miał zaklepane zwycięstwo w wyborach, a teraz nie żywił już wątpliwości, że doprowadzi do uniewinnienia Werresa.

Następne dni należały do najbardziej szarpiących nerwy w całej publicznej karierze Cyclerona. Rano w dniu wyborów był tak przygnębiony, że z trudem zmusił się, żeby pójść na Pole Marsowe i głosować, ale oczywiście musiał zademonstrować, że jest aktywnym obywatelem. Od kiedy zagrały trąby i wciągnięto czerwoną flagę na Janikulum, nikt nawet przez chwilę nie miał wątpliwości, jaki będzie wynik. Hortensjusz i Kwintus Metellus mieli poparcie Werresa i jego złota, arystokratów, oraz stronników Pompejusza i Krassusa. Jednak podczas wyborów zawsze panuje atmosfera wyścigów. Tym razem również kandydaci i ich zwolennicy podążali w porannym słońcu do urn wyborczych, a

przedsiębiorczy sklepikarze rozstawili stragany z winem i kiełbasami, parasole i stoliki do gry w kości oraz wszystko, co potrzebne, żeby cieszyć się udanymi wyborami. Pompejusz, jako pierwszy konsul, zgodnie ze starym zwyczajem czekał przy wejściu do namiotu urzędników wyborczych w towarzystwie augura. Gdy już zgromadzili się wszyscy kandydaci na konsulów i pretorów, czyli mniej więcej dwudziestu senatorów w białych togach, Pompejusz wszedł na trybunę i odczytał tradycyjną modlitwę, po czym rozpoczęło się głosowanie. Wyborcy nie mieli nic do zrobienia, mogli tylko kręcić się po Polu Marsowym i plotkować w oczekiwaniu na swoją kolej.

Wiedzieliśmy wtedy, jak działała stara republika i wszyscy głosowali w swoich centuriach, tak jak kiedyś, gdy żołnierze wybierali dowódcę. Teraz, gdy ten rytuał stracił wszelkie znaczenie, trudno jest wyjaśnić, jak był poruszający, nawet dla takiego niewolnika jak ja, który nie miał prawa głosu. Było to ucieleśnienie czegoś cudownego – jakiegoś impulsu ludzkiego ducha, który pojawił się pół tysiąca lat wcześniej wśród członków niezłomnego plemienia żyjącego wśród skał i mokradłał siedmiu wzgórz, impulsu kierującego ich w stronę światła godności i wolności, daleko od ciemności brutalnej przemocy i podległości. To właśnie utraciliśmy. Nie twierdzę, że była to czysta demokracja z opisu Arystotelesa, w żadnym razie. Kolejność centurii – których było sto dziewięćdziesiąt trzy – zależała od bogactwa, a najzamożniejsi głosowali najwcześniej i mieli prawo ogłosić wynik, co stanowiło znaczną przewagę. Do tych centurii należeli tylko nieliczni, natomiast centurie biedoty ze slumsów Subury były ogromne i bardzo liczne, zatem głos bogacza miał znacznie większe znaczenie niż biedaka. Jednak ludzie cieszyli się wolnością, taką jak od setek lat, i nikt z obecnych na Polu Marsowym nie przypuszczał, że dożyje czasów, kiedy zostanie jej pozbawiony.

Centuria Cyclerona, jedna z dwunastu składających się wyłącznie z ekwitów, została wezwana do głosowania wczesnym przedpołudniem, gdy już zaczęło się robić gorąco. Wszedł razem z kolegami do otoczonej linami zagrody dla głosujących i jak zwykle pracował nad tłumem – z jednym wymienił parę słów, drugiemu uściśnił rękę. Ustawili się w linię i po kolei podchodzili do stolika, gdzie urzędnicy sprawdzali ich nazwiska i wręczali gałki do głosowania. Jeśli w czasie wyborów zdarzały się przypadki zastraszania, to zwykle w tym momencie. Zwolennicy poszczególnych kandydatów podchodzili do wyborców, szeptali groźby i obietnice. Tego dnia jednak wybory miały spokojny przebieg. Widziałem, jak Cycero przeszedł przez wąski drewniany mostek i zniknął za zasłoną z desek, żeby oddać głos. Po chwili pojawił się po drugiej stronie, przeszedł wzdłuż linii kandydatów i ich przyjaciół i zatrzymał się, żeby wymenić kilka słów z Palikanusem – lubiący mocny język były trybun kandydował teraz na pretora – a następnie wyszedł, nie patrząc na Hortensjusza i Metellusa.

Podobnie jak wszystkie centurie, które już głosowały, centuria Cyclerona również poparła oficjalną listę – Hortensjusz i Kwintus Metellus na konsulów, Marek Metellus i Palikanus na pretorów. Było już całkowicie jasne, że jest tylko kwestią czasu, kiedy ta lista uzyska absolutną większość. Ludzie z biedniejszych centurii musieli zdawać sobie sprawę, że ich głosy nie wpłyną na wynik, ale z prawem wyborczym wiązała się taka godność, że stali całe popołudnie w upale, czekając, aż dostaną gałki do głosowania i przejdą na drugą stronę. Cycero i ja chodziliśmy między wyborcami; senator namawiał ich, żeby poparli go w wyborach na stanowisko edyla. To było cudowne, ilu ludzi znał osobiście – pamiętał nie tylko nazwiska wyborców, ale imiona ich żon, liczbę dzieci, ich profesje. Wiedział to bez moich podpowiedzi. Po jedenastu godzinach od rozpoczęcia

wyborów, gdy słońce już chowało się za Janikulum, zakończono głosowanie i Pompejusz ogłosił nazwiska zwycięzców. Hortensjusz uzyskał najlepszy wynik, a Kwintus Metellus był drugi. Marek Metellus uzyskał najwięcej głosów w wyborach pretorów. Natychmiast otoczył ich tłum rozradowanych zwolenników. Teraz zobaczyliśmy w pierwszym szeregu rudą głowę Gajusza Werresa. „Pan kukielek pojawił się, żeby złożyć ukłon publiczności” – zauważył Cyncero. Sądząc po tym, jak arystokraci ściskali dłoń Werresa i klepali go po plecach, można by pomyśleć, że to on został konsulem. Jeden z nich, były konsul Skryboniusz Kurion, uściskał Werresa. „Niniejszym informuję cię, że wynik dzisiejszych wyborów jest równoznaczny z nieuwinnieniem” – powiedział tak głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Nie ma w polityce wielu rzeczy, którym równie trudno się oprzeć jak poczuciu, że coś jest nieuchronne, ponieważ ludzie zachowują się jak stado owiec i podążają za zwycięzcą, szukając w jego otoczeniu bezpieczeństwa. Teraz ze wszystkich stron słyszeliśmy to samo: Cyncero jest skończony, Cyncero przegrał, arystokraci odzyskali władzę, żaden sąd nie skaże Gajusza Werresa. Emiliusz Alba, uważając to za bardzo dowcipne, powtarzał wszystkim, że popadł w rozpacz: załamał się rynek na sędziów w procesie Werresa i nie może sprzedać siebie za więcej niż trzy tysiące sestercji. Teraz wszyscy skupili uwagę na wyborach edylów. Już wkrótce Cyncero dowiedział się o zakulisowych działaniach Werresa. Zawodowy agent wyborczy, Ranunkulus, dobrze nastawiony do Cyncerona, który później korzystał z jego usług, przyszedł ostrzec senatora, że Werres zwołał w swoim domu nocne spotkanie ze wszystkimi ważniejszymi pośrednikami w łapówkarstwie i zaoferował pięć tysięcy każdemu, kto przekona swoją *tribus*, żeby nie głosowała na Cyncerona. Cyncero i jego brat Kwintus byli tym mocno zaniepokojeni. Kilka dni później,

w przeddzień wyborów, zebrał się senat, żeby w drodze losowania przydzielić trybunały wybranym pretorom. Obradom przewodniczył Krassus. Nie byłem przy tym obecny, ale Cycero brał udział w sesji i wrócił do domu blady i załamany. Stało się coś, w co trudno uwierzyć: Marek Metellus, który już był sędzią w sprawie Werresa, wylosował trybunał do spraw wymuszeń!

Cycero nawet w najczarniejszych snach nie przewidywał takiego wyniku. Przeżył taki szok, że niemal stracił głos. „Szkoda, że nie słyszałeś tego ryku w izbie – szepnął do Kwintusa. – Krassus z pewnością ustawił losowanie. Wszyscy tak sądzą, ale nikt nie ma pojęcia, jak tego dokonał. Ten człowiek nie spoźnie, aż doprowadzi mnie do bankructwa i zmusi do pójścia na wygnanie”. Cycero ciężko zwałił się na sofę w swoim pokoju. Był to trzeci sierpnia, z powodu upału brakowało powietrza do oddychania, a w pokoju trudno się było poruszać, bo wszędzie leżały materiały dotyczące sprawy Werresa: sterty dokumentów podatkowych, zeznania świadków, oświadczenia i zawiadomienia. (A to była tylko część dokumentacji: większość leżała zamknięta w skrzyniach w piwnicy). Cały stół był zavalony fragmentami jego mowy oskarżycielskiej, ogromnego przemówienia, które wciąż rosło i rosło, niczym rozszerzające się szaleństwo. Tylko on wiedział, jak zamierza je złożyć w całość. To wszystko miał w głowie. Teraz masował sobie skronie czubkami palców. Ochryplym głosem poprosił o kubek wody. Ruszyłem do drzwi, ale nagle usłyszałem westchnienie i głośny trzask. Cycero opadł na stół i mocno uderzył głową o blat. Kwintus i ja podbiegliśmy i podnieśliśmy go. Miał szare policzki, otwarte usta, a z nosa ciekła mu strużka krwi.

– Zawołaj Terencję! – krzyknął przerażony Kwintus. – Szybko!

Pobiegłem na górę do jej pokoju, żeby powiedzieć, że pan jest chory. Terencja od razu zeszła na dół. Zaimponowała mi swoim zdecydowaniem i pewnością działania. Cycero był pół-przytomny; siedział, trzymając głowę między kolanami. Uklęła obok niego, zażądała wody, wyciągnęła z rękawa wachlarz i zaczęła go energicznie chłodzić. Kwintus, który wciąż bezradnie załamywał ręce, zdążył już posłać dwóch sekretarzy, żeby sprowadzili medyka. Obaj przyprowadzili greckich lekarzy. Ci nędzni znachorzy natychmiast zaczęli się kłócić, czy upuścić krew, czy raczej podać środki przeczyszczające. Terencja kazała im się wynosić. Nie pozwoliła również przenieść Cyclerona do łóżka; ostrzegła Kwintusa, że natychmiast rozejdzie się plotka o zasłabnięciu jej męża i rozpowszechnione mniemanie, że jest skończony, stanie się wtedy zgodne ze stanem faktycznym. Kazała Cycleronowi wstać i podtrzymując go za rękę, zaprowadziła do atrium, gdzie było więcej powietrza. Kwintus i ja poszliśmy za nimi. „Nie jesteś skończony! – słyszałem, jak Terencja surowo karciała męża. – Masz swoją sprawę, to ją przedstaw w sądzie!”. Cycero coś wymamrotał w odpowiedzi.

– Łatwo ci mówić, Terencjo, bo nie rozumiesz, co się właśnie stało! – wybuchnął Kwintus. Powiedział jej, że Metellus został pretorem trybunału do spraw wymuszeń, i wyjaśnił konsekwencje tego zdarzenia. Nie było najmniejszych szans, żeby Werres został skazany, gdy Metellus będzie przewodniczącym trybunału, a zatem mogli liczyć na sukces tylko wtedy, gdy postępowanie zostanie zakończone w grudniu. To jednak było niemożliwe, ponieważ Hortensjusz był mistrzem w działaniach na zwłokę. Po prostu mieli za dużo dowodów, żeby przedstawić je w dostępnym czasie: do igrzysk Pompejusza pozostało tylko dziesięć dni, a prawie tyle potrzebował Cycero na wygłoszenie oskarżenia. Zaraz po tym, jak skończy, postępowanie zostanie

odroczone prawie na miesiąc, a po wznowieniu sędziowie nie będą pamiętali jego najlepszych argumentów. „No, ale to nie ma większego znaczenia – zakończył ponuro. – I tak większość z nich jest na liście płac Werresa”.

– To prawda, Terencjo – szepnął Cyncero. Rozglądał się dookoła z roztargnieniem, tak jakby właśnie się obudził i zastanawiał się, gdzie się znajduje. – Muszę wycofać się z wyborów na edyla – wymamrotał. – Porażka będzie dostatecznym upokorzeniem, ale jeszcze gorzej byłoby, gdybym wygrał i nie mógł wykonywać swoich obowiązków.

– To żalosne – odparła Terencja i gniewnie wyrwała rękę spod jego ramienia. – Nie zasługujesz na wybór, jeśli poddajesz się po pierwszym niepowodzeniu, nawet nie próbując walczyć!

– Moja droga – powiedział błagalnym tonem Cyncero, przyciskając dłoń do czoła. – Jeśli mi powiesz, jak mam wygrać walkę z czasem, to będę dzielnie walczyć. Cóż jednak mam począć, jeśli mam tylko dziesięć dni na przeprowadzenie postępowania, nim trybunał zostanie zamknięty na wiele tygodni?

Terencja pochyliła się ku niemu, tak że ich twarze znalazły się tuż obok siebie.

– Skróć swoje przemówienie! – syknęła.

Gdy Terencja wróciła do swojej części domu, Cyncero, który jeszcze nie doszedł do siebie po tym nerwowym ataku, schował się w pokoju i długo siedział na sofie, wpatrując się w ścianę. Zostawiliśmy go samego. Tuż przed zachodem słońca Steniusz przyszedł z wiadomością, że Kwintus Metellus wezwał wszystkich świadków z Sycylii do swojego domu, a kilku co bardziej strachliwych posłuchało wezwania, choć była to głupota. Od jednego z nich Steniusz dowiedział się, jak Metellus usiłował



ich zastraszyć i skłonić do zmiany zeznań. „Jestem konsulem-  
elektem – grzmiał. – Jeden z moich braci rządzi na Sycylii, a  
drugi będzie przewodniczył trybunałowi do spraw wymuszeń.  
Podjęto wiele kroków, żeby zapewnić Werresowi bezpieczeń-  
stwo. Nie wybaczymy tym, którzy wystąpią przeciw nam”. Za-  
pisałem dokładnie te słowa i poszedłem do Cyclerona. Od kilku  
godzin w ogóle się nie poruszył. Przeczytałem mu słowa Metel-  
lusa, ale on w żaden sposób nie zareagował, tak jakby nie sły-  
szał.

W tym momencie już się poważnie niepokoiłem i zapewne  
wezwałbym jego brata lub żonę, ale jego umysł nagle powrócił z  
nieznanych rejonów, gdzie się błąkał. „Idź i umów mnie na  
rozmowę z Pompejuszem dziś wieczorem” – powiedział ponu-  
rym tonem, patrząc przed siebie. Gdy zawahałem się, nie mając  
pewności, czy nie jest to jeszcze jeden objaw choroby, Cycero  
zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem. „Idź już!” – polecił.

Pompejusz mieszkał w tej samej części Eskwilinu, zatem do  
jego domu nie było daleko. Słońce już zaszło, ale wciąż było  
widno i koszmarnie gorąco, a ze wschodu docierały senne pod-  
dmuchy. Latem była to najgorsza możliwa kombinacja, ponie-  
waż wiatr przynosił smród rozkładających się ciał złożonych we  
wspólnych grobach za murami miasta. Wydaje mi się, że obec-  
nie problem ten nie jest tak poważny, ale wówczas wszystkie  
zwłoki, które nie zasługiwały na właściwy pogrzeb, wywożono  
za Bramę Eskwilińską – leżały tam trupy psów, kotów, koni,  
osłów, niewolników, biedaków, nieżywych od urodzenia dzieci,  
przemieszane ze śmieciami. Smród przyciągał stada mew. Pa-  
miętam, że tego wieczoru był on szczególnie dokuczliwy i  
wszechobecny, równie wyraźnie wyczuwalny na języku, jak w  
nosie.

Dom Pompejusza był znacznie większy niż Cyclerona. Przed  
bramą czuwali liktorzy, a na ulicy tłoczyli się ciekawscy. Pod

murem stało kilka lektyk z baldachimami, a siedzący w kucki tragarze ogryzali kości – co dowodziło, że w środku odbywa się bankiet. Przekazałem odźwiernemu wiadomość. Ten znikł wewnątrz domu i po chwili powrócił z pretorem-elektem Palikanusem, który jeszcze wycierał chusteczką zatuszczoną brodę. Poznał mnie i spytał, o co chodzi. Powtórzyłem wiadomość od Cyclerona. „No, dobra – odpowiedział w swoim zwykłym, bezpośrednim stylu. – Możesz mu przekazać, że ja ci powiedziałem, iż konsul natychmiast go przyjmie”.

Cycero musiał wiedzieć, że Pompejusz zgodzi się na rozmowę, bo gdy wróciłem, był już przebrany i gotowy do wyjścia. Wciąż był bardzo błądy. Wymienił ostatnie spojrzenie z Kwin-tusem i ruszyliśmy do konsula. Po drodze w ogóle nie rozmawialiśmy, bo Cycero, który nie cierpiał niczego, co przypominało mu o śmierci, przyciskał rękaw do ust i nosa, tak aby nie czuć smrodu. „Poczekaj tutaj” – polecił mi, gdy dotarliśmy do domu Pompejusza. Zobaczyłem go ponownie dopiero po kilku godzinach. Zapadł zmierzch, purpurowe niebo na zachodzie ściemniało, a nad miastem pojawiły się gwiazdy. Od czasu do czasu, gdy ktoś otworzył drzwi, słychać było gwar rozmów i śmiech. Czulem zapach mięsa i ryb, ale tej nocy wszystko cuchnęło mi śmiercią. Zastanawiałem się, jak Cycero może cokolwiek przełknąć, gdyż nie ulegało wątpliwości, że Pompejusz zaprosił go, aby przyłączył się do uczty.

Chodziłem tam i z powrotem, opierałem się o mur, starałem się wymyślić nowe symbole do mojego wielkiego systemu stenografii i ogólnie mówiąc, usiłowałem czymś się zająć. Mijały nocne godziny. W końcu goście Pompejusza zaczęli się wytaczać na ulicę. Zbyt pijani, żeby ustać prosto na nogach. Wszyscy z Picenum – Afraniusz, były pretor i miłośnik tańca, Palikanus, rzecz jasna, Gabiniusz, zięć Palikanusa, również znany z upodobania do śpiewu i kobiet. Prawdziwe spotkanie weteranów.

Trudno mi było sobie wyobrazić, że Cyncero dobrze się bawił. Tylko surowy i profesorski Warron – „człowiek, który pokazał Pompejuszowi, gdzie jest budynek senatu”, jak złośliwie zauważył Cyncero – mógł być dla niego jako tako atrakcyjnym kompanem, zwłaszcza że jako jedyny był trzeźwy. Cyncero wyszedł ostatni. Od razu ruszył ulicą, a ja pośpieszyłem za nim. W żółtym świetle księżyca bez trudu mogłem go dostrzec. Wciąż zatykał ręką nos, ponieważ ani upał, ani smród wcale nie osłabły. Gdy był już w przyzwoitej odległości od domu Pompejusza, oparł się o róg budynku i gwałtownie zwymiotował.

Podszedłem do niego i spytałem, czy potrzebuje pomocy. Pokręcił głową. „Załatwione” – to wszystko, co powiedział. To samo powtórzył Kwintusowi, który niespokojnie oczekiwał w domu na jego powrót: „Załatwione”.

Nazajutrz o świcie odbyliśmy dwumilowy spacer na Pole Marsowe na drugą rundę wyborów. Ta runda nie cieszyła się takim prestiżem jak wybory konsulów i pretorów, ale za to była zwykle znacznie bardziej podniecająca. Do obsadzenia były trzydzieści cztery stanowiska (dwudziestu senatorów, dziesięciu trybunów i czterech edylów). Przy takiej liczbie urzędów i kandydatów nikt nie mógł kontrolować przebiegu wyborów: gdy głos arystokraty miał taką samą wagę jak biedaka, to wszystko mogło się zdarzyć. Krassus, jako młodszy konsul, kierował przebiegiem wyborów. „Przypuszczalnie nawet on – rzekł ponuro Cyncero, wkładając czerwone, skórzane buty – nie da rady sfalszować wyborów”.

Rano, po przebudzeniu, mój pan był zdenerwowany i pochłonięty jakimiś rozważaniami. Porozumienie zawarte z Pompejuszem poprzedniego wieczoru niewątpliwie nie pozwoliło mu się wyspać. Z irytacją skarcił służącego, gdyż jego buty nie

były wyglansowane jak należy. Nałożył tę samą śnieżnobiałą togę, którą miał na sobie w dniu wyborów sześć lat wcześniej, gdy po raz pierwszy został wybrany do senatu. Nim odźwierny otworzył drzwi frontowe, Cycero wyraźnie zebrał siły, tak jakby miał wziąć na barki wielki ciężar. Po raz kolejny Kwintus doskonale wykonał swoje zadanie: na ulicy czekał na Cyclerona rozentuzjasmowany tłum zwolenników, którzy chcieli go odprowadzić na Pole Marsowe. Gdy dotarliśmy na miejsce, zobaczyliśmy morze ludzi, wypełniających całe pole, aż do rzeki, gdyż w tym czasie odbywał się spis powszechny i wiele osób przybyło, żeby się zarejestrować. Łatwo sobie wyobrazić, jaki panował tam zgiełk. O trzydzieści cztery stanowiska ubiegało się pewnie ze stu kandydatów. Na całym polu widać było białe postacie, spacerujące tam i z powrotem w otoczeniu stronników i walczące o ostatnie możliwe do zdobycia głosy. Z łatwością dostrzegłem również rudą głowę Werresa, który uwijał się po polu, w towarzystwie ojca, syna i wyzwolenca, tego łajdaka Timarchidesa, który naruszył mir naszego domu. Werres składał ekstrawaganckie obietnice każdemu, kto gotów był zagłosować przeciw Cycleronowi. Na ten widok mój pan natychmiast odzyskał dobry humor i z pełną energią rzucił się w tłum przekonywać niezdecydowanych. Kilka razy myślałem, że dojdzie między nimi do zderzenia, ale na polu było tak wielu ludzi, że udało się tego uniknąć.

Gdy augur oświadczył, że jest usatysfakcjonowany, Krassus wyszedł ze świętego namiotu, a kandydaci zebrawi się wokół jego trybuny. Powinienem wspomnieć, że był wśród nich Juliusz Cezar, który po raz pierwszy kandydował do senatu. Stał obok Cyclerona i przyjaźnie z nim rozmawiał. Znali się już od dawna i to właśnie Cycero poradził mu, żeby pojechał na Rodos uczyć się retoryki u Apoloniusza Molona. Dziś nie brakuje

hagiograficznych tekstów o wczesnych latach Cezara; można nawet odnieść wrażenie, że jego współcześni uznali go za geniusza, gdy jeszcze był w kołysce. To nieprawda, a każdy, kto widział go tego dnia w jego bielonej todzie, nerwowo przeczesującego palcami rzadzące włosy, z pewnością nie dostrzegłby niczego, co wyróżniało go z grona młodych, dobrze urodzonych kandydatów do senatu. W rzeczywistości czymś się od nich różnił: chyba nikt nie był taki biedny jak on. Żeby kandydować, musiał zaciągnąć ogromne pożyczki, gdyż mieszkał w bardzo skromnym domu w Suburze z licznymi kobietami – matką, żoną i małą córką. W tym czasie wyobrażałem go sobie nie jako wspaniałego bohatera, zmierzającego do podbicia Rzymu, lecz trzydziestolatka, niemogącego zasnąć w zgiełku nędznej dzielnicy, rozmyślającego ponuro, dlaczego on, potomek najstarszej rzymskiej rodziny, znalazł się w takiej sytuacji. Jego wrogość do arystokratów była dla nich znacznie groźniejsza niż niechęć Cyncerona. Mój pan, jak człowiek, który zawdzięczał karierę wyłącznie sobie, tylko zazdrościł arystokratom, natomiast Cezar, który wierzył, że jest w prostej linii potomkiem Wenus, gardził nimi jako uzurpatorami.

Wybiegam jednak za daleko w przyszłość i popełniam ten sam grzech co hagiografowie, kierując światło przyszłości na cienie przeszłości. Wystarczy, jeśli tylko odnotuję, że ci dwaj wybitni politycy, różniący się wiekiem o sześć lat, ale podobni do siebie pod względem inteligencji i poglądów, stojąc na słońcu, przyjaźnie gawędzili, podczas gdy Krassus wszedł na trybunę i wygłosił tradycyjną modlitwę: „Oby te wybory zakończyły się pomyślnie i szczęśliwie dla mnie, moich najlepszych starań, mojego urzędu i dla ludu rzymskiego!”.

Rozpoczęło się głosowanie.

Zgodnie z tradycją pierwsza głosowała *tribus* Suburana. Mimo wieloletnich wysiłków Cyncerona nie zagłosowali na niego.

To musiał być dla senatora ciężki cios. Wyglądało na to, że agenci Werresa zapracowali na swoje wynagrodzenie. Cycero tylko wzruszył ramionami: wiedział, że obserwują go liczni wpływowi ludzie, którzy jeszcze nie głosowali. Musiał demonstrować pewność siebie. Potem głosowały trzy miejskie *tribus* – Eskwilina, Collina i Palatina. Pierwsze dwie poparły Cyclerona, natomiast trzecia jego przeciwnika, co nie stanowiło niespodzianki, gdyż była to dzielnica najmocniej sympatyzująca z nobilami. W tym momencie wynik był zatem dwa do dwóch: Cycero z pewnością wolałby, żeby start nie był tak równy. Teraz miało głosować trzydzieści jeden wiejskich *tribus*: Emilia, Camillia, Fabia, Galeria... Znałem ich nazwy z naszych dokumentów, wiedziałem, kim byli najważniejsi ludzie w każdym z nich, kto potrzebował naszej pomocy lub miał zobowiązania w stosunku do nas. Trzy z tych czterech zagłosowały na Cyclerona. Kwintus podszedł do brata i szepnął mu coś do ucha. W tym momencie Cycero mógł zapewne po raz pierwszy nieco odetchnąć, gdyż pieniądze Werresa najwyraźniej okazały się większą pokusą dla mieszkańców miasta. Horatia, Lemonia, Papiria, Menenia... głosowały kolejne *tribus*. Było gorąco, nad Polem Marsowym unosił się kurz. Cycero siedział na stołku, ale zawsze wstawał, gdy przechodzili przed nim wyborcy po oddaniu głosów. Pozdrowiał ich po imieniu, dziękował, przekazywał pozdrowienia dla rodzin. Sergia, Voltina, Pupina, Romilia... Ta ostatnia nie poparła Cyclerona, co nikogo nie zdziwiło, gdyż była to *tribus* Werresa. Wczesnym popołudniem Cycero miał już poparcie szesnastu *tribus* i potrzebował jeszcze tylko dwóch. Werres nie poddał się. Widać było, jak z ojcem i Timarchidesem rozmawia z grupkami wyborców. Przez okropną godzinę wydawało się, że szala przechyliła się na jego stronę. Sabatini i Publilia nie poparły Cyclerona. Później jednak Cycero minimalnie zwyciężył wśród wyborców z *tribus* Scaptia, a o jego zwycięstwie

przesądziła *tribus* Falerna z północnej Kampanii: uzyskał poparcie osiemnastu *tribus* z trzydziestu, które już głosowały. Zostało jeszcze pięć, ale jakie miały one znaczenie? Cycero wygrał. W pewnym momencie, nie zauważyłem kiedy, Werres znikł z Pola Marsowego, żeby policzyć straty. Cezar, który właśnie wygrał wybory do senatu, pierwszy pogratulował Cycleronowi. Widziałem, jak Kwintus triumfalnie wznosi pięści, a Krassus gniewnie przygląda się mojemu panu z daleka. Słysząc było radosne okrzyki widzów, którzy sami liczyli wyniki – osobliwi gorliwcy śledzący wybory z równym zapałem jak wyścigi rydwanów. Wiedzieli, co się stało. Sam zwycięzca wydawał się zdumiony swym sukcesem, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że wygrał, nawet Krassus, który wkrótce potem musiał to obwieścić, co zapewne z trudem przeszło mu przez gardło. Wbrew przewidywaniom Marek Tulliusz Cycero został edylem Rzymu.

Wielki tłum – po zwycięstwie tłum zawsze rośnie – odprowadził Cyclerona z Pola Marsowego do domu, gdzie już czekali wszyscy niewolnicy, żeby powitać go oklaskami. Nawet ślepy stoik Diodotus wyszedł przed dom, co rzadko mu się zdarzało. Wszyscy byliśmy dumni, że należymy do tak wybitnego człowieka; odblask jego chwały opromieniał wszystkich członków domu; nasze poczucie wartości i szacunku do siebie urosło wraz z jego pozycją. Tulia wybiegła pędem z atrium, krzycząc „Tato!”, i chwyciła go za nogi. Nawet Terencja z uśmiechem uściśkała męża na powitanie. Wciąż mam przed oczami obraz ich trojga – triumfującego, młodego mówcę z lewą ręką na główce córki i prawą na ramieniu szczęśliwej żony. Natura obdarowuje w ten sposób tych, którzy rzadko się uśmiechają: gdy to robią, ich twarze ulegają przemianom. Widziałem w tym momencie, jak Terencja, mimo wszystkich swych pretensji do męża, cieszy się jego sukcesem.

– Dziękuję wam wszystkim – powiedział Cycero, niechętnie wysuwając się z objęć Terencji. Rozejrzał się po tłumie wielbicieli. – Nie jest to jednak pora, żeby świętować. Będzie na to czas, gdy pokonamy Werresa. Jutro, nareszcie, przedstawię na forum akt oskarżenia. Módlmy się do bogów, żeby w niezbyt odległym czasie spotkał nas świeży i znacznie większy zaszczyt. Na co zatem czekacie? – Uśmiechnął się i klasnął. – Wracamy do pracy!

Cycero poszedł z Kwintusem do swego pokoju, gestem nakazując, żebym udał się z nimi. Opadł na sofę z westchnieniem ulgi i zrzucił buty. Po raz pierwszy od tygodnia z jego twarzy znikło napięcie. Przypuszczałem, że teraz zajmie się pilnym zadaniem, jakim było złożenie w całość przemówienia, ale on najwyraźniej przeznaczył mi inne zadanie. Miałem udać się do miasta z Sositeuszem i Laureą, żeby odwiedzić wszystkich sycylijskich świadków, przekazać im wiadomość o jego zwycięstwie wyborczym, sprawdzić, czy się nie wahają, i polecić, aby wszyscy pojawili się w sądzie następnego dnia rano.

– Wszyscy? – powtórzyłem ze zdumieniem. – Cała setka?

– Tak – potwierdził Cycero. W jego głosie słychać było dawne zdecydowanie. – Powiedz też Erosowi, żeby wynajął z tuzin tragarzy – tylko godnych zaufania – by jutro rano zanieśli do sądu wszystkie skrzynki z dowodami. Mają być gotowi, kiedy ja będę wychodził.

– Wszyscy świadkowie... Tuzin tragarzy... Wszystkie skrzynie... – Notowałem polecenia. – Ale przecież nie skończę tego przed północą.

– Biedny Tiron. Nie martw się, po śmierci będziemy mieli dość czasu, żeby się wyspać.



– Nie martwię się o swój sen, senatorze – odparłem sztywno. – Zastanawiałem się, kiedy będę miał czas, żeby pomóc panu przygotować przemówienie.

– Nie będę potrzebował twojej pomocy – zapewnił mnie z lekkim uśmiechem i uniósł palec do ust na znak, żebym nic nie mówił. Skoro jednak nie rozumiałem znaczenia tej uwagi, to w żaden sposób nie mogłem zdradzić jego planów. Nie po raz pierwszy wyszedłem z gabinetu Cyncerona z mętlikiem w głowie.

# IX

I tak doszło do tego, że piątego sierpnia, za konsulatu Gnejusza Pompejusza Wielkiego i Marka Licyniusza Krassusa, rok i dziewięć miesięcy, od kiedy w domu Cycerona pojawił się Steniusz, rozpoczął się proces Gajusza Werresa.

Proszę pamiętać o letnim skwarze. Policzcie, ile ofiar Werresa chciało zobaczyć, jak staje on przed obliczem sprawiedliwości. Weźcie pod uwagę, że w Rzymie i tak było pełno ludzi, którzy przyjechali z powodu spisu powszechnego, wyborów i zbliżających się igrzysk Pompejusza. Nie zapomnijcie, że podczas tego procesu w bezpośredniej walce mieli się zetrzeć dwaj najwięksi rzymscy mówcy („naprawdę wielki pojedynek” – jak później powiedział Cycero). Gdy połączycie to wszystko w całość, może zyskacie pewne wyobrażenie, jaka tego ranka panowała atmosfera w trybunale do spraw wymuszeń. Kilkuset widzów, którym zależało na dobrym miejscu, spędziło noc na forum. O świcie nie było już wolnych miejsc w cieniu. Niedługo potem nie można już było znaleźć żadnego miejsca stojącego. W portykach i na schodach świątyni Kastora, na forum i pod otaczającą je kolumnadą, na dachach i balkonach domów, na

zbozczach wzgórza – wszędzie, gdzie można było się wcisnąć – widać było Rzymian.

Frugi i ja biegaliśmy jak owczarki, zaganiając naszych świadków do sądu. Cóż to było za egzotyczne i kolorowe towarzystwo, w ich sakralnych i narodowych szatach! Sprowadziliśmy do Rzymu ofiary ze wszystkich faz kariery Werresa. Przyjechali skuszeni obietnicą zemsty kapłani Junony i Ceres, kapłani Minerwy z Syrakuz i święte dziewice Diany, greccy arystokraci, wywodzący się od Kekropsa, Eurystenesa lub z wielkich rodów jońskich i minojskich, Fenicjanie, których przodkowie byli kapłanami Melkarta w Tyrze lub łączyło ich pokrewieństwo z Iahem z Sydonu, zubożali dziedzice i ich prawni opiekunowie, zrujnowani rolnicy, kupcy i armatorzy, płaczący ojcowie, których dzieci sprzedano w niewolę, dzieci oplakujące rodziców, którzy zmarli w lochach namiestnika, delegacje z okolic góry Taurus, z wybrzeża Morza Czarnego, z wielu miast w Grecji, z Wysp Egejskich i oczywiście ze wszystkich miast na Sycylii.

Byłem tak zajęty pilnowaniem, żeby wszyscy świadkowie zostali wpuszczeni, a wszystkie skrzynie z dowodami dostarczone i umieszczone pod strażą, że dopiero po pewnym czasie dotarło do mnie, jakie widowisko wyreżyserował Cyncero. Na przykład w skrzyniach z dowodami mieliśmy zeznania zebrane przez władze praktycznie wszystkich sycylijskich miast. Gdy sędziowie zaczęli się przeciskać między skrzyniami, żeby zająć miejsce na ławie, zdałem sobie sprawę, dlaczego Cyncero – jak zawsze wielki aktor i reżyser – nalegał, żeby równocześnie przynieść do sądu wszystkie dowody i sprowadzić wszystkich świadków. To wywarło ogromne wrażenie na sędziach. Nawet opanowani politycy, jak stary Katulus i Publiusz Izaurykus, nie potrafili ukryć zdziwienia. Glabryon, gdy wyszedł ze świątyni poprzedzany przez liktorów i zobaczył mur twarzy, zatrzymał

się na górnym stopniu i cofnął pół kroku.

Cycero, który do ostatniej chwili trzymał się na uboczu, teraz precyzyjnie przeszedł przez tłum i podszedł po schodach do ławki oskarżyciela. Nagle zapadła pełna oczekiwania cisza. Ignorując okrzyki zachęty swych stronników, Cycero osłonił dłonią oczy i przyjrzał się widowni, niczym wódz przyglądający się ukształtowaniu pola bitwy przed wielkim starciem. Usiadł, a ja stanąłem za nim, żeby podawać mu potrzebne dokumenty. Woźni sądowi ustawili już krzesło kurulne Glabryona, co oznaczało, że rozpoczęła się sesja trybunału. Wszystko było gotowe, brakowało tylko Werresa i Hortensjusza. Cycero, spokojny jak zawsze, szepnął do mnie: „Po tym wszystkim, może się nie pojawią”. Nie muszę chyba mówić, że się pojawili – Glabryon posłał po nich liktora – ale Hortensjusz postanowił zaoferować nam przedsmak swej taktyki, polegającej na maksymalnej mitrędze. W końcu, z godzinnym opóźnieniem, zobaczyliśmy przeciskającą się przez tłum elegancką postać konsula-elekta. Powitały go ironiczne oklaski. Za nim szedł drugi adwokat – nie kto inny, jak rywal Katona, młody Scypion Nasica, a po nim Kwintus Metellus i wreszcie sam Werres, który w upale wydawał się jeszcze bardziej czerwony niż zwykle. Dla człowieka mającego sumienie spotkanie z ofiarami i oskarżycielami musiało być piekielnym przeżyciem, ale ten potwór tylko im się uklonił, tak jakby cieszył się z widoku starych znajomych.

Glabryon rozpoczął sesję, ale nim Cycero wstał, żeby rozpocząć przemówienie, Hortensjusz zerwał się z miejsca i zgłosił wniosek formalny. Zgodnie z prawem Korneliusza – oświadczył – oskarżyciel nie może wezwać więcej niż czterdziestu ośmiu świadków, natomiast ten oskarżyciel ściągnął do sądu co najmniej dwa razy tyle osób, wyłącznie w celu zastraszenia oskarżonego i sądu! Następnie wygłosił długą, uczoną i elegancką

mowę o historii trybunału do spraw wymuszeń, która trwała chyba kolejną godzinę. W końcu Glabrio przerwał mu te wywody: żadne prawo nie ogranicza liczby świadków obecnych w sądzie, a tylko składających ustnie zeznania. Znowu zaprosił Cyncerona do zabrania głosu i znowu Hortensjusz zgłosił wniosek formalny. Tłum zaczął gwizdać, ale Hortensjusz się tym nie przejmował. Ilekroć Cyncero miał rozpocząć, obrońca Werresa zgłaszał kolejny wniosek i tak pierwsze kilka godzin zeszło na prawniczych sporach.

Dopiero późnym popołudniem, gdy Cyncero ze znużeniem wstawał po raz dziewiąty lub dziesiąty, Hortensjusz pozostał na swej ławce. Cyncero spojrział na niego, poczekał chwilę, po czym rozłożył ramiona, udając zdumienie. Przez forum przetoczyła się fala śmiechu. Hortensjusz fircykowatym gestem wskazał mu środek sądu, tak jakby łaskawie go zapraszał. Cyncero uprzejmie się skłonił i wystąpił do przodu. Odkaszlnął, żeby oczyścić gardło.

Trudno byłoby wybrać gorszą chwilę na rozpoczęcie tak wielkiego i ważnego przemówienia. Było nieznośnie gorąco. Znudzony tłum niecierpliwił się i szumiał. Hortensjusz uśmiechał się ironicznie. Do końca sesji zostały tylko dwie godziny. A jednak to miał być jeden z najważniejszych momentów w historii rzymskiego prawa – a nie zdziwiłbym się wcale, gdyby uznano to za przełomowe wydarzenie w historii prawa na całym świecie.

– Panowie sędziowie – zaczął Cyncero. Pochyliłem głowę i zacząłem stenografować. Czekałem na następne słowa. Chyba po raz pierwszy przed ważnym przemówieniem nie wiedziałem, co on zamierza powiedzieć. Czekałem jeszcze chwilę, czując gwałtowne bicie serca. Nerwowo podniosłem wzrok. Cyncero szedł przez sąd, powoli oddalając się ode mnie. Pomyślałem, że chce stanąć twarzą w twarz z Werresem, ale on minął go i

zatrzymał się przed senatorami siedzącymi na ławie sędziowskiej.

– Panowie sędziowie – powtórzył, zwracając się bezpośrednio do nich. – W chwili wielkiego kryzysu politycznego dostaliście nie dzięki ludzkiej mądrości, lecz niemal jako dar z nieba, wspaniałą możliwość – coś, co w większym stopniu niż cokolwiek innego złagodzi niepopularność waszej klasy i rozwieje podejrzenia otaczające sądy. Ustaliła się bowiem opinia – równie szkodliwa dla republiki, jak dla was samych – że te sądy, w których zasiadacie wy, senatorowie, nigdy nie skażą oskarżonego, niezależnie od ogromu jego winy, jeśli tylko ma dostatecznie dużo pieniędzy.

Cycero wymówił ostatnie słowo z pogardliwym naciskiem.

– Wcale się nie mylicz! – krzyknął ktoś w tłumie.

– Jednak człowiek, którego oskarżam, ma taki charakter, że macie okazję to wykorzystać, aby odzyskać dobre imię. Gajusz Werres okradł skarb państwa, postępował jak pirat i był dla Sycylii prawdziwą zarazą. Wystarczy, że uznacie go za winnego, a odzyskacie szacunek społeczeństwa. Jeśli tego nie uczynicie – jeśli jego ogromne bogactwa wystarczą, żeby złamać waszą uczciwość – to i tak uda mi się przynajmniej osiągnąć jedno. Lud nie uwierzy, że Werres był niewinny, a ja niesłusznie go oskarżyłem, ale z pewnością będzie wiedział wszystko, co wiedzieć powinien, o sądach rzymskich senatorów!

To była udana pierwsza salwa. W tłumie rozległ się szmer potakiwań, jakby wiatr wiał przez las. W pewnym sensie wszyscy mieli wrażenie, że ognisko procesu przeniosło się nagle o dwadzieścia kroków w lewo, tak jakby to senatorowie, pocący się na słońcu i wiercący na niewygodnej ławce, nagle stali się oskarżonymi, a sędzić ich mieli liczni świadkowie ze wszystkich stron Morza Śródziemnego. Cycero jeszcze nigdy nie przemawiał do tak licznych tłumów. Teraz przydały mu się ćwiczenia na

plaży, jakie nakazał mu Molon. Gdy zwrócił się w kierunku forum, mówił silnym i budzącym zaufanie głosem.

– Pozwólcie, że przedstawię wam bezczelny i chorobliwy plan, jaki wymyślił Werres. Jest dla niego oczywiste, że swoje oskarżenie dobrze przygotowałem i bez trudu wykażę, iż jest złodziejem i zbrodniarzem, nie tylko w tym sądzie, ale w oczach całego świata. Mimo to gardzi on arystokracją tak bardzo, uważa sądy senatorskie za tak skorumpowane, że otwarcie się przechwala, iż kupił najbezpieczniejszą datę procesu, kupił sędziów, a na wszelki wypadek kupił również wybory konsularne dla swych dwóch utytułowanych przyjaciół, którzy próbowali zastraszyć moich świadków!

Tłum przyszedł tu, żeby słyszeć takie słowa. Szmer aprobaty zmienił się w ryk. Rozgniewany Metellus zerwał się z ławki, podobnie jak Hortensjusz – tak, nawet Hortensjusz, który normalnie na wszelkie docinki w sądzie reagował co najwyżej uniesieniem brwi. Obaj gniewnie gestykulowali w kierunku Cycero-  
na.

– Cóż takiego? – odpowiedział, zwracając się do nich. – Czyżbyście liczyli na to, że nawet nie wspomnę o tak ważnej sprawie? Czyżbyście nie wiedzieli, że gdy ojczyzna i moja reputacja są zagrożone, nie obchodzi mnie nic poza obowiązkiem i honorem? Metellusie, zdumiewasz mnie! Podjęcie próby zastraszania świadków, zwłaszcza tych nieśmiałych i ciężko doświadczonych przez los Sycylijczyków, wykorzystanie do tego ich lęku przed tobą jako konsulem-elektem oraz przed władzą twoich dwóch braci – jeśli to nie jest utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości, to bardzo chciałbym się dowiedzieć, co nim jest! Co byłąś gotów zrobić dla swego niewinnego krewnego, skoro zapominasz o obowiązku i honorze dla takiego skończonego łotra, z którym nie jesteś nawet spokrewniony? Powiem ci coś: Werres wszystkim opowiada, że zostałeś konsulem tylko

dzięki jego staraniom, a w styczniu będzie już miał na swoje usługi dwóch konsulów i przewodniczącego trybunału!

Musiałem przestać pisać, bo hałas był tak głośny, że nie słyszałem ani słowa. Metellus i Hortensjusz przyłożyli złożone dłonie do ust i darli się na Cycerona. Werres gniewnie gestykował do Glabriona, żeby ten z tym skończył. Senatorowie na ławie sędziowskiej siedzieli, zachowując niewzruszony spokój, ale nie wątpię, że większość wołałaby być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Liktorzy musieli powstrzymywać widzów, którzy usiłowali wdrzeć się do sądu. Glabrio w końcu przywrócił porządek i Cycero mógł dalej przemawiać, już znacznie spokojniejszym tonem.

– Taką zatem taktykę wybrali. Dzisiaj sąd rozpoczął normalną pracę dopiero po południu – dlatego sądzą, że ten dzień już się nie liczy. Do igrzysk Pompejusza Wielkiego zostało tylko dziesięć dni. Igrzyska potrwać piętnaście dni, a zaraz po nich rozpoczną się igrzyska rzymskie. Dlatego spodziewają się, że odpowiedzą na oskarżenie dopiero po czterdziestodniowej przerwie. Mają nadzieję, że wtedy, dzięki długim przemowom i proceduralnym kruczkom, przeciągną proces aż do igrzysk zwycięstwa. Po tych igrzyskach od razu zaczną się igrzyska plebejskie, a po nich temu sądowi pozostanie najwyżej kilka dni. W ten sposób, wedle ich kalkulacji, oskarżenie utraci cały impet i energię, a rozprawa zostanie dokończona już pod przewodnictwem Marka Metellusa, dziś siedzącego na ławie sędziowskiej.

Co zatem mogę uczynić? Jeśli przeznaczę na moje przemówienie cały czas, jaki gwarantuje mi prawo, to pojawi się ogromne niebezpieczeństwo, że oskarżony wymknie mi się z rąk. „Skróć swoje przemówienie” – to oczywiste rozwiązanie, które ktoś mi podsunął kilka dni temu. To dobra rada, ale po przemyśleniu sprawy wpadłem na jeszcze lepszy pomysł. Panowie, nie wygłoszę żadnego przemówienia.



Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Cycero patrzył na Hortensjusza. Rywal gapił się na mego pana, a jego twarz zastygła w niezwykłym grymasie. Wyglądał, jak człowiek, który szedł przez ciemny las i sądził, że jest sam, więc nic mu nie grozi, ale nagle usłyszał z tyłu trzask gałązki i zamarł przerażony.

– Właśnie tak, Hortensjuszu – powiedział Cycero. – Nie zamierzam grać tak, jak sobie tego życzysz, i poświęcić dziesięć dni na zwykłe, długie przemówienie. Nie pozwolę ci przeciągać sprawy do stycznia, kiedy to ty i Metellus będziecie konsulami, każecie liktorom przywleć moich świadków i nastraszyć ich tak, aby zamilkli. Nie dam wam, panowie sędziowie, takiego luksusu, jak czterdzieści dni na zapomnienie moich zarzutów, dzięki czemu wy i wasze sumienia łatwiej zagubiłyby się w gąszczu retoryki Hortensjusza. Nie odwlekę rozstrzygnięcia tej sprawy, aż wszyscy ci, którzy przyjechali do Rzymu na spis powszechny i igrzyska, wrócą do swych domów w całej Italii. Wezwę mojego pierwszego świadka od razu, zaczynając już teraz. Tak będzie wyglądać moja procedura. Odczytam pojedynczy zarzut. Skomentuję go i wyjaśnię. Wezwę świadka, który go potwierdzi, a potem ty, Hortensjuszu, będziesz miał okazję, żeby poddać go krzyżowemu przesłuchaniu i skomentować zarzut. Zrobię to wszystko i zakończę postępowanie w ciągu dziesięciu dni.

Przez całe moje długie życie przechowywałem w pamięci – i choć niewiele lat mi już zostało, nadal będę to pamiętał – reakcje Hortensjusza, Werresa, Metellusa i Scypiona Nasica w tym momencie. Oczywiście, gdy tylko Hortensjusz odzyskał oddech, zerwał się na równe nogi i potępił to odejście od wszystkich precedensów jako całkowicie sprzeczne z prawem. Glabirion tylko na to czekał: powiedział mu ostro, że to od Cycerona zależy, jak przedstawi akt oskarżenia, a on sam ma już całkowicie

dość niekończących się przemówień, co przecież jasno wyjaśnił w tym sądzie przed wyborami konsularnymi. Jego uwagi niewątpliwie były przygotowane wcześniej, dlatego Hortensjusz znowu wstał i oskarżył go o spiskowanie z oskarżycielem. Gla-brion, który nawet w najlepszych okolicznościach łatwo się iry-tował, ostrzegł go wprost, żeby uważał, co gada, bo każe likto-rom wyrzucić go z sądu, nie bacząc na to, że jest konsulem-ektem. Wściekły Hortensjusz usiadł, skrzyżował ramiona i wbił gniewne spojrzenie we własne buty. Cycero, kończąc wstępne przemówienie, znowu zwrócił się do sędziów.

– Dziś oczy całego świata skupione są na was, gdyż wszy-scy chcą się przekonać, w jakiej mierze zachowanie każdego z nas jest zgodne z nakazami sumienia i prawa. Gdy wy będziecie oceniać oskarżonego i ferować wyrok, lud rzymski oceni was i również wyda wyrok. Sprawa Werresa rozstrzygnie, czy w są-dzie senatorskim możliwe jest skazanie człowieka bardzo win-nego i bardzo bogatego. Cały świat wie bowiem, że Werres nie wyróżnia się niczym poza monstrualnymi zbrodniami i ogrom-ny bogactwem. Jeśli zatem zostanie uniewinniony, będzie rze-czą niemożliwą wyobrazić sobie inne wyjaśnienie niż tylko to najbardziej haniebane. Radzę wam zatem panowie, dla waszego dobra, dopilnujcie, żeby coś takiego się nie zdarzyło. – Cycero skończył i odwrócił się plecami do sędziów. – Wzywam pierw-szego świadka oskarżenia – Steniusza z Thermae.

Bardzo wątpię, czy ktokolwiek zwracał się kiedyś tak bez-czelnie do arystokratów siedzących na sędziowskiej ławie – Ka-tulusa, Publiusza Izaurykusa, Metellusa, Katyliny, Emiliusza i pozostałych, a zwłaszcza człowiek nowy, który nie miał jeszcze na ścianach atrium nawet jednej maski przodka. Z pewnością byli wściekli, że muszą tu siedzieć i znosić taką bezczelność, zwłaszcza że słowa Cycerona doprowadziły ogromny tłum na

forum do stanu delirycznej ekstazy. Niewiele brakowało, a zacząłbym współczuć Hortensjuszowi. Fundamentem jego całej kariery była zdolność zapamiętywania długich przemówień i wygłaszania ich z aktorskim talentem. Teraz został praktycznie zmuszony do milczenia. Co gorsza, wyglądało na to, że w ciągu najbliższych dziesięciu dni będzie musiał wygłosić cztery tuziny krótkich przemówień w odpowiedzi na zeznania każdego świadka oddzielnie. Nie był do tego dostatecznie przygotowany, co stało się całkowicie oczywiste, gdy na miejscu dla świadka stanął Steniusz. Cyncero wezwał go pierwszego, żeby wyrazić szacunek dla inicjatora tej niezwyklej sprawy. Sycylijczyk go nie zawiódł. Długo czekał na okazję, żeby wystąpić przed sądem, i postarał się jej nie zmarnować. Wygłosił wzruszającą relację, jak Werres nadużył jego gościnności, ukradł jego własność, sfingował oskarżenie, wymierzył karę grzywny, usiłował wychłostać i skazał zaocznie na śmierć, a następnie sfalszował protokół sądu w Syrakuzach. W tym momencie Cyncero podał sędziom sfalszowane dokumenty.

Gdy Glabron wezwał Hortensjusza, żeby zadał pytania świadkowi, „mistrz tańca” wyraźnie się ociągał. Zgodnie ze złą regułą przesłuchania krzyżowego, nigdy, w żadnych okolicznościach, adwokatowi nie wolno zadawać świadkowi pytania, na które nie zna odpowiedzi, a Hortensjusz po prostu nie miał pojęcia, co Steniusz może jeszcze powiedzieć. Przerzucał jakieś dokumenty, konsultował się szeptem z Werresem, po czym wreszcie podszedł do świadka. Cóż mógł zrobić? Z nadąsaną miną zadał kilka pytań, które miały wykazać, że świadek jest wrogo nastawiony do rzymskiej władzy, a następnie spytał, dlaczego, skoro miał do wyboru wielu rzymskich prawników, poszedł od razu do Cyncerona – znanego agitatora niższych klas. Czy od samego początku nie chodziło mu wyłącznie o wywołanie awantury politycznej?

– Ależ ja wcale nie poszedłem prosto do Cyclerona – odpowiedział prostodusznie Steniusz. – Pierwszym prawnikiem, do którego się zwróciłem, był pan.

Nawet niektórzy sędziowie się zaśmiali.

– Doprawdy? – Hortensjusz przełknął ślinę i spróbował też okazać rozbawienie. – Jakoś sobie ciebie nie przypominam.

– No, to chyba nic dziwnego. Jest pan bardzo zajęтым człowiekiem. Ja jednak doskonale pamiętam pana, senatorze. Powiedział pan, że reprezentuje pan Werresa i że nic pana nie obchodzi, co on mi ukradł, gdyż każdy sąd uwierzy Rzymianinowi, nie zaś Sycylijczykowi.

Hortensjusz musiał poczekać, aż przycichnie kocia muzyka.

– Nie mam więcej pytań do świadka – oświadczył ponuro.

Glabrion odroczył rozprawę do następnego dnia.

Pierwotnie zamierzałem szczegółowo zrelacjonować proces Werresa, teraz jednak widzę, że jest to bezcelowe. Po mistrzowskim ataku Cyclerona pierwszego dnia Werres i jego obrońcy przypominali załogę twierdzy, otoczonej ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela, który zasypywał ją lawiną pocisków i kopał tunele, żeby zburzyć mury obronne. Nie mieli środków do walki. Mogli tylko mieć nadzieję, że przetrzymają oblężenie jeszcze dziewięć dni, a podczas przerwy na igrzyska Pompejusza jakoś uda się im przegrupować siły i ściągnąć posiłki. Plan Cyclerona był równie jasny: chciał zniszczyć mury obronne Werresa tak dokładnie, żeby żaden, nawet najbardziej skorumpowany sąd senatorski w Rzymie nie odważył się go uniewinnić.

Senator realizował ten plan z charakterystyczną dla siebie dyscypliną. Zespół oskarżycielski zbierał się przed świtem. Gdy

Cycero gimnastykował się, golił i ubierał, ja czytałem mu zeznania świadków, których miał wezwać tego dnia, i robiłem przegląd dowodów. Cycero następnie dyktował mi szkic swojego wystąpienia. Przez godzinę lub dwie dokładnie zapoznawał się z porządkiem dnia, materiałami dowodowymi i uczył na pamięć przemówienia. Kwintus, Frugi i ja sprawdzaliśmy, czy wszystkie dowody są zebrane, a świadkowie gotowi do złożenia zeznań. Potem odbywaliśmy paradę ze wzgórza na forum – to naprawdę były parady, ponieważ w Rzymie panowała opinia, że występy Cycerona w sądzie są największą atrakcją letniego sezonu. Drugiego i trzeciego dnia rozprawy w sądzie był taki sam tłok jak w dniu otwarcia. Występy świadków często chwytały wszystkich za serce, gdy ze łzami w oczach opowiadali o swych krzywdach. Pamiętam zwłaszcza Diona z Halaesy, którego Werres oszukał na dziesięć tysięcy sestercji, oraz dwóch braci z Agyrium, którzy musieli oddać cały spadek po ojcu – cztery tysiące. Mielibyśmy jeszcze więcej świadków, ale Lucjusz Metellus zabronił niektórym opuścić wyspę – między innymi Heracliuszowi z Syrakuz, głównemu kapłanowi Jowisza. Było to skandaliczne utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości, które Cycero odpowiednio wykorzystał. „Prawa naszych sprzymierzeńców – grzmiał w sądzie – nie obejmują nawet zgody na składanie skarg z powodu doznanych krzywd!”. Co zupełnie zdumiewające, przez cały ten czas Hortensjusz w ogóle się nie odzywał. Gdy Cycero kończył przesłuchanie świadka, Glabrio zwracał się do Króla Sądów, czy chce zadać jakieś pytania, ale Jego Majestat kręcił głową lub oświadczał wyniośle, że „nie ma pytań do świadka”. Czwartego dnia Werres poskarżył się, że jest chory, i poprosił o zwolnienie z udziału w rozprawie, ale Glabrio nie chciał o tym słyszeć – zapowiedział mu, że jeśli to będzie konieczne, liktorzy przyniosą go w łóżku.

Następnego dnia po południu do Rzymu wrócił kuzyn Cycerona Lucjusz, który wykonał swoje zadanie na Sycylii. Cyzero ogromnie się ucieszył, gdy po powrocie z sądu zastał go w domu, i serdecznie uściskał. Bez pomocy Lucjusza, który nadzorował wysyłkę dowodów z Sycylii do Rzymu i organizował wyjazdy świadków, pozycja Cycerona byłaby znacznie słabsza. Jednak po siedmiu miesiącach ciężkiej pracy Lucjusz był wyraźnie wyczerpany. Nigdy nie odznaczał się szczególną krzepą, a teraz zaś był niepokojąco wychudzony i ciągle kasłał. Mimo to nadal z pełnym zaangażowaniem dążył do wymierzenia Werresowi sprawiedliwości. Zrezygnował nawet z obecności w sądzie pierwszego dnia, żeby odszukać jeszcze dwóch świadków. Podczas podróży powrotnej do Rzymu zatrzymał się w Puteoli, gdzie skontaktował się z rzymskim rycerzem Gajuszem Numitoriuszem, świadkiem ukrzyżowania Gawiusza w Messanie, oraz jego przyjacielem, kupcem Markiem Anniuszem, który był w Syrakuzach, gdy rzymski bankier Herenniusz padł ofiarą sądowego mordu.

– A gdzie są teraz ci panowie? – spytał Cyzero z wielkim zainteresowaniem.

– Tutaj – odpowiedział Lucjusz. – W tablinum. Muszę cię jednak ostrzec, że nie chcą zeznawać.

Cyzero pośpiesznie udał się do tablinum, gdzie czekali na niego dwaj mężczyźni w średnim wieku. „Z mojego punktu widzenia, byli to idealni świadkowie – wspominał później. – Zamężni, cieszący się szacunkiem, poważni, a co najważniejsze, nie byli Sycylijczykami”. Jak zapowiedział Lucjusz, nie chcieli się angażować. Byli to przedsiębiorcy, nie mieli najmniejszej ochoty nikomu się narażać i nie pociągały ich role gwiazdorów w wielkim antyarystokratycznym widowisku Cycerona na Forum Romanum. Senator zdołał ich jednak przekonać, gdyż nie byli to głupcy, potrafili sporządzić bilans zysków i strat, zatem

wiedzieli, że mogą skorzystać, jeśli przyłączą się do zwycięskiej strony. „Czy wiecie, co Pompejusz powiedział Sulli, gdy stary mąż stanu usiłował uniemożliwić mu odbyte triumfu w wieku dwudziestu sześciu lat? – spytał ich Cyncero. – Opowiedział mi to kiedyś przy kolacji. »Więcej ludzi wielbi wschodzące słońce niż zachodzące«”. Ta kombinacja aluzji do wpływowych znajomości, patriotyzmu i egoizmu okazała się przekonująca. Nim jeszcze zasiedli do kolacji z Cyncerem i jego rodziną, obaj obiecali go poprzeć.

– Wiedziałem, że jeśli będziesz miał okazję z nimi porozmawiać, to zrobisz, co tylko zechcesz – szepnął Lucjusz.

Spodziewałem się, że Cyncero wezwie ich na świadków już następnego dnia, ale on był bardziej przebiegły. „Widowisko musi się zakończyć mocnym akcentem” – powiedział. Teraz każdym kolejnym dowodem podkreślał poziom publicznego oburzenia; od korupcji sądowej, wymuszeń i zwykłego złodziejstwa przeszedł już do okrutnych i bezprawnych kar. Ósmego dnia rozprawy zeznawali dwaj sycylijscy kapitanowie, Falakrus z Centurpii i Onasus z Segesty, którzy opisali, jak oni i ich załogi uniknęły chłosty i śmierci tylko dzięki temu, że przekupili Timarchidesa, wyzwoleńca Werresa (z przyjemnością odnotowuję, że był obecny w sądzie i osobiście przeżył to upokorzenie). To jeszcze nie było najgorsze: gdy rodzina nie miała dość pieniędzy, żeby zapłacić za uwolnienie krewnego, musiała dać łapówkę urzędowemu oprawcy, Sekstiuszowi, gdyż ten groził, że w przeciwnym razie specjalnie sknoci egzekucję. „Wyobraźcie sobie, jaki nieznośny ból przeżyły rodziny – podkreślił Cyncero – dramat nieszczęsnych rodziców, którzy musieli zapłacić łapówkę nie za życie swych dzieci, ale za szybką śmierć!”. Nawet senatorowie, gdy to usłyszeli, kręcili głowami i wymieniali jakieś uwagi. Gdy Glabryon wezwał Hortensjusza, żeby zadał

pytania świadkom, ten ponownie wykrztusił: „Nie mam pytań”. Sytuacja oskarżonego i jego obrońców stawała się coraz bardziej beznadziejna. Tego dnia wieczorem doszły do nas plotki, że Werres już spakował swoje rzeczy i przygotowuje się do ucieczki na wygnanie.

W takiej atmosferze dziewiątego dnia przyprowadziliśmy do sądu Anniusza i Numitoriusza. Tłum był jeszcze większy niż wcześniej, ponieważ do igrzysk Pompejusza pozostały już tylko dwa dni. Werres się spóźnił i był niewątpliwie pijany. Wchodząc po schodach świątyni do trybunału, potykał się i Hortensjusz musiał go podtrzymywać. Tłum ryczał ze śmiechu. Gdy Werres przechodził obok Cyclerona, popatrzył na niego ze strachem i wściekłością, jak zwierzę zapędzone w pułapkę. Cycero natychmiast przeszedł do rzeczy; pierwszego wezwał na świadka Anniusza, który opisał, jak pewnego dnia, gdy dokonywał inspekcji na statku w porcie, przybiegł do niego znajomy z wiadomością, iż ich partner w interesach, Herenniusz, został przywleczony w łańcuchach na forum i błaga o życie.

- Co wtedy zrobiłeś?
- Naturalnie od razu udałem się na forum.
- Co tam zobaczyłeś?
- Na forum było ze stu ludzi, którzy krzyczeli, że Herenniusz jest obywatelem rzymskim i nie można go zabić bez sądu.
- Skąd wszyscy wiedzieliście, że Herenniusz był Rzymianinem? Czyż nie był bankierem z Hiszpanii?
- Wielu ludzi znało go osobiście. Wprawdzie prowadził bank w Hiszpanii, ale urodził się w rzymskiej rodzinie w Syrakuzach i wychował się w tym mieście.
- Jak odpowiedział Werres na wasze prośby?
- Kazał go natychmiast ściąć.
- Kto dokonał egzekucji?



- Urzędowy kat, Sekstiusz.
- Czy zrobił to szybko i sprawnie?
- Przykro mi to mówić, ale nie.
- Nie ulega wątpliwości – rzekł Cyncero, zwracając się do sędziów – że Herenniusz nie zapłacił dostatecznie wysokiej łapówki Werresowi i jego bandzie.

W ciągu niemal całego procesu Werres siedział rozparty na krześle, ale teraz, pod wpływem wina, zerwał się na równe nogi i zaczął krzyczeć, że nigdy w życiu nie wziął łapówki. Hortensjusz musiał go uspokoić. Cyncero zignorował ten incydent i dalej spokojnie przesłuchiwał świadka.

– To niezwykła sytuacja, nieprawdaż? Setka ludzi potwierdza tożsamość tego obywatela rzymskiego, a jednak Werres nie chce ani chwili czekać na ustalenie prawdy. Jak możesz to wyjaśnić?

– To zupełnie oczywiste, senatorze. Herreniusz był pasażerem na statku z Hiszpanii, który został zarekwirowany wraz z całym ładunkiem przez agentów Werresa. Zamknięto tego biedaka w Kamieniołomie, podobnie jak wszystkich ze statku, a potem wywleczono na forum, żeby publicznie ściąć jako pirata. Werres nie wiedział, że Herreniusz wcale nie pochodził z Hiszpanii i był dobrze znany w rzymskiej społeczności w Syrakuzach, a zatem nie mógł się spodziewać, że ofiara zostanie rozpoznana. Gdy zdał sobie sprawę z tego błędu, nie mógł już wypuścić Herreniusza, ponieważ ten za wiele wiedział o działalności namiestnika.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem – powiedział Cyncero, udając naiwniaka. – Dlaczego Werres miałby oskarżyć o piractwo niewinnego pasażera statku handlowego i skazać go na śmierć?

- Musiał przeprowadzić wystarczającą liczbę egzekucji.
- Dlaczego?

– Ponieważ wziął łapówkę za wypuszczenie na wolność prawdziwych piratów.

Werres znów zerwał się z krzesła z krzykiem, że to wszystko kłamstwo. Tym razem Cycero go nie zignorował. Zrobił kilka kroków w jego stronę.

– Kłamstwo, ty potworze? Kłamstwo? Dlaczego zatem według dokumentów z twojego własnego więzienia Herenniusz został uwolniony? Dlaczego według tych samych dokumentów osławiony pirat, Herakleo, został zabity, natomiast nikt na wyspie jakoś nie widział egzekucji? Powiem ci dlaczego. Dlatego że ty, rzymski namiestnik odpowiedzialny za bezpieczeństwo na morzu, przez cały czas brałeś łapówki od piratów!

– Cynceronie, taki z ciebie wielki prawnik, myślisz, że jesteś taki bystry! – wybełkotał niewyraźnie Werres. – Myślisz, że wiesz wszystko! No, mam dla ciebie niespodziankę, jest coś, czego nie wiesz. Trzymam Heraklea pod strażą, w moim domu w Rzymie. On może sam powiedzieć, że to wszystko kłamstwo!

Zdumiewające, że ktokolwiek mógł powiedzieć coś tak głupiego, ale fakty są niezbite – potwierdza je protokół. Sąd ogarnęło pandemonium. Słysząc było, jak Cycero żąda od Glabriona, żeby liktorzy natychmiast zabrali pirata z domu Werresa i zaprowadzili go do więzienia „ze względu na bezpieczeństwo publiczne”. Gdy Glabrio posłał liktorów, Cycero wezwał następnego świadka – Gajusza Numitoriusza. Sam myślałem, że mój pan zbyt szybko się pośpieszył i mógł więcej wycisnąć z niebacznych słów Werresa. Jednak wielki adwokat wyczuł, że nadeszła pora na kończące pchnięcie, a już od miesięcy, od kiedy wylądowaliśmy na Sycylii, dobrze wiedział, jakiej użyje broni. Numitoriusz złożył przysięgę, że będzie mówił prawdę, i stanął na miejscu dla świadków.

Cycero tak sterował jego zeznaniami, żeby szybko ustalić

podstawowe fakty dotyczące Publiusza Gawiusza: był on kupcem, podróżował statkiem handlowym z Hiszpanii, statek został zarekwirowany, a wszyscy pasażerowie i członkowie załogi zamknięci w Kamieniołomie, skąd Gawiusz w jakiś sposób zdołał uciec. Dotarł do Messany i zamierzał dalej uciekać statkiem do Italii, ale został zatrzymany, gdy wchodził na pokład, i przekazany Werresowi, gdy ten przyjechał do miasta. Tłum słuchał zeznań Numitriusza w grobowej ciszy.

– Proszę opowiedzieć sądowi, co stało się następnie.

– Werres zwołał posiedzenie sądu na forum Messany – zaczął Numitriusz. – Kazał przywlec Gawiusza. Oświadczył głośno, że ten człowiek jest szpiegiem, za co jest tylko jedna kara. Kazał ustawić krzyż nad cieśniną, naprzeciwko Regium, tak aby konający więzień patrzył na brzeg Italii. Rozkazał rozebrać Gawiusza do naga i publicznie wychłostać. Później torturowali go rozpalonym do białości żelazem. Na koniec go ukrzyżowali.

– Czy Gawiusz coś mówił?

– Tylko na początku, przysięgał, że oskarżenia są niesłuszne. Wołał, że nie jest szpiegiem, tylko obywatelem rzymskim, radnym z Consy i byłym żołnierzem rzymskiej jazdy, że walczył pod rozkazami Lucjusza Raecjusza.

– Co Werres na to odpowiedział?

– Odparł, że to kłamstwa, i rozkazał rozpocząć egzekucję.

– Czy możesz opisać, jak zachowywał się Gawiusz podczas kaźni?

– Był bardzo dzielny, senatorze.

– Jak Rzymianin?

– Jak Rzymianin.

– Czy coś krzyczał? (Wiedziałem, do czego zmierzał Cyce-ro).

– Tylko podczas chłosty i gdy widział, jak rozgrzewają żelaza.

- Co mówił?
- Po każdym uderzeniu bata, powtarzał: „Jestem obywatelem rzymskim”.
- Czy mógłbyś powtórzyć jego słowa głośniej, tak aby wszyscy słyszeli?
- Mówił „Jestem obywatelem rzymskim”.
- Tylko tyle? – powiedział Cyncero. – Chciałbym upewnić się, że dobrze cię zrozumiałem. Spada uderzenie – Cyncero podniósł złączone ręce na głowę i gwałtownie wypchnął tułów do przodu, jakby otrzymał uderzenie batem – a on mówi przez zacisnięte zęby „Jestem obywatelem rzymskim”. Następne uderzenie – Cyncero znowu drgnął – „Jestem obywatelem rzymskim”. Znowu cios. „Jestem obywatelem rzymskim...”.

Moje słowa nie mogą oddać wrażenia, jakie występ Cyncerona wywarł na widowni. Cisza na forum wzmacniała dramatyczny efekt. Wszyscy mieliśmy wrażenie, że jesteśmy świadkami tej potwornej niesprawiedliwości. Jacyś mężczyźni i kobiety – przyjaciele Gawiusza, jak sądzę – zaczęli krzyczeć. Oburzenie tłumu gwałtownie narastało. Werres, na nic nie zważając, odepchnął rękę Hortensjusza, który usiłował go usadzić.

– To był parszywy szpieg! – ryknął. – Szpieg! Mówił to tylko po to, żeby odwlec karę!

– Ale powiedział to! – zatriumfował Cyncero. – Sam to przyznałeś! Oskarżam cię na podstawie twoich własnych słów. Ten człowiek twierdził, że jest obywatelem rzymskim, a ty nic nie zrobiłeś! Powtarzał, że jest obywatelem rzymskim, ale ty się nie wahałeś, nie odłożyłeś nawet na chwilę tej okrutnej i ohydnej egzekucji! Gdybyś to ty został uwięziony w Persji lub gdzieś w Indii, a strażnicy powlekliby cię na egzekucję, czy krzyczałbyś cokolwiek innego niż to, że jesteś obywatelem rzymskim? Co zatem z tym człowiekiem, którego tak pospiesznie posłałeś na

śmierć? Czy to twierdzenie, ta deklaracja obywatelstwa, uratowała go choćby na godzinę potrzebną na sprawdzenie, czy mówi prawdę? Nie – nie mogła, skoro to ty siedziałeś na ławie sędziego! A przecież każdy biedak, choćby najskromniejszego pochodzenia, w każdym dzikim kraju, dotychczas zawsze sądził, że okrzyk „Jestem obywatelem rzymskim” jest jego ostateczną obroną i jego sanktuarium. To nie był tylko Gawiusz, jeden nieznanany nikomu człowiek, którego przybiłeś w męce do krzyża, to była uniwersalna zasada, że Rzymianie są wolnymi ludźmi!

Tyrada Cyclerona wywołała przerażający ryk tłumu. Hałas bynajmniej nie przycichał, lecz wciąż rozchodziły się nowe fale, coraz potężniejsze. Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch w naszym kierunku. Tłum przewrócił i podarł baldachimy, pod którymi chronili się widzowie przed słońcem. Jakiś człowiek spadł z balkonu na tłoczących się ludzi. Wciąż słychać było jakieś wrzaski. Tłum, niewątpliwie pragnący dokonać samosądu, wdzierał się już na schody. Hortensjusz i Werres w panice zerwali się na nogi tak gwałtownie, że przewrócili ławkę. Glab里昂 krzyknął, że przerywa posiedzenie sądu, po czym on i liktorzy szybko wycofali się do świątyni. Oskarżony i jego znamienity obrońca pośpieszyli za nimi, nie zważając na godność. Część sędziów również schroniła się w sanktuarium (ale nie Katulus: dobrze pamiętam, że stał niewzruszenie jak skała, patrząc przed siebie, a rzeka ludzi rozdzielała się na dwa strumienie, które go wymijały). Ktoś zatrzaskał ciężkie drzwi z brązu. Cycero usiłował przywrócić porządek. Stał na ławie i gestami wzywał do spokoju, ale czterech lub pięciu mężczyzn, sprawiających wrażenie twardych typów, podbiegło i schwytyło go za nogi. Bałem się o niego i siebie, ale Cycero rozłożył ramiona tak, jakby chciał objąć cały świat. Tamci posadzili go sobie na barkach i obrócili twarzą w stronę forum, skąd dochodził podmuch wywołany oklaskami, zupełnie jakby ktoś otworzył drzwiczki pieca.

Krzyk „Cycero! Cycero!” rozdzierał niebo nad Rzymem.

To był już koniec Gajusza Werresa. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co dokładnie stało się w świątyni po tym, jak Glab里昂 przerwał posiedzenie sądu. Zdaniem Cycerona, Hortensjusz i Metellus oświadczyli klientowi, że dalsza obrona jest bezcelowa. Ich godność i autorytet zostały zszargane: po prostu musieli się od niego odciąć, żeby nie zepsuć jeszcze bardziej reputacji senatu. Nie miało już znaczenia, ile zapłacił sędziom – po tych scenach, jakie widzieli, żaden z nich nie ośmieliłby się zagłosować za jego uniewinnieniem. W każdym razie, gdy tłum się rozszedł, Werres wymknął się ze świątyni i w nocy uciekł z miasta – podobno przebrany za kobietę – a następnie pognął do południowej Galii. Zmierzał do Massilii, miasta portowego, gdzie zgodnie z tradycją wygnańcy wymieniają się relacjami o swoich nieszczęściach, jedząc barwenę z rusztu i udając, że są nad Zatoką Neapolitańską

Teraz pozostało tylko ustalić wysokość kary. Po powrocie do domu Cycero zwołał naradę, żeby zastanowić się nad właściwą kwotą. Nigdy się nie dowiemy, ile Werres ukradł podczas trzech lat urzędowania na Sycylii – słyszałem, że ktoś szacował to na czterdzieści milionów – ale Lucjusz, jak zwykle, opowiadał się za najbardziej radykalnym rozwiązaniem: jego zdaniem należało zająć wszystkie aktywa Werresa. Zdaniem Kwintusa odpowiednią sumą byłoby jakieś dziesięć milionów. Cycero był zagadkowo milczący jak na kogoś, kto właśnie odniósł ogromne zwycięstwo. Siedział na swojej sofie w gabinecie i machinalnie bawił się metalowym rysikiem. Wczesnym popołudniem dostaliśmy list od Hortensjusza, który przekazywał ofertę Werresa: ten zgodził się zapłacić milion sestercji odszkodowania. Lucjusz był oburzony – uznał to za „zniewagę” – i Cycero bez wahania odesłał

kuriera, któremu najpierw solidnie naurągał. Godzinę później kurier powrócił, przynosząc, jak to określił Hortensjusz, „ostateczną ofertę”: półtora miliona sestercji. Tym razem Cycero podyktował dłuższą odpowiedź:

*Od: Marka Tulusza Cyclerona*

*Do: Kwintusa Hortensjusza Hortalusa*

*Pozdrowienia!*

*Biorąc pod uwagę śmiesznie niską sumą, jaką twój klient proponuje w charakterze odszkodowania za swoje niemające żadnego porównania zbrodnie, zamierzam zwrócić się do Glabryona, aby jutro pozwolił mi kontynuować oskarżenie, i wykorzystać swoje prawo, aby wystąpić do sądu w tej i innych kwestiach.*

– Zobaczmy, czy on i jego arystokratyczni przyjaciele mają ochotę nurzać się w swoim własnym brudzie – wykrzyknął, zwracając się do mnie. Zapieczętowałem list i zaniósłem go kurierowi. Gdy wróciłem, Cycero zaczął mi dyktować przemówienie, które zamierzał wygłosić następnego dnia – zjadliwy atak na arystokratów, prostytuujących swoje sławne nazwiska i nazwiska swych przodków w obronie takiego łajdaka jak Werres. Pod wpływem Lucjusza wylał w nim całą swą niechęć do arystokracji. „Zdajemy sobie sprawę, z jaką zawiścią, z jaką wrogością odnoszą się niektórzy »nobile« do zasług i energii »nowych ludzi«. Wystarczy, byśmy tylko na chwilę zamknęli oczy, a wpadniemy w jakąś pułpkę. Jeśli tylko damy najdrobniejszy choćby pretekst do wysunięcia przeciw nam zarzutu o niewłaściwe zachowanie, z pewnością zarzut takowy zostanie wysunięty. Nigdy nie możemy zapominać o czujności, nigdy nie możemy udać się na wakacje. Mamy wrogów – więc walczmy z

nimi; mamy zadania – weźmy je na swoje barki, nie zapominając przy tym, że zdeklarowany, działający otwarcie wróg jest mniej groźny niż ten, który się ukrywa i nic nie mówi!”

– I tak straciliśmy tysiąc głosów – mruknął Kwintus.

Popołudnie zeszło nam na przygotowywaniu przemówienia. Nie doczekaliśmy się odpowiedzi Hortensjusza. Wreszcie, tuż przed zmierzchem, usłyszeliśmy jakąś wrzawę na ulicy, a po chwili przybiegł zadyszany Eros z zaskakującą wiadomością, że w westybulu czeka sam Pompejusz Wielki. To było naprawdę niezwykle wydarzenie, ale Cycero i jego brat zdążyli tylko popatrzeć na siebie, gdy usłyszeliśmy dobrze znany, wojskowy głos: „Gdzie on jest? Gdzie jest największy mówca naszych czasów?”.

Cycero mruknął pod nosem przekleństwo i poszedł do tablinum. Kwintus, Lucjusz i ja udaliśmy się za nim. Zdążyliśmy jeszcze zobaczyć, jak starszy konsul wychodzi z atrium. W ciasnych pomieszczeniach skromnego domu wydawał się jeszcze potężniejszy. „Oto jest! – wykrzyknął. – Oto człowiek, którego wszyscy chcą zobaczyć!”. Podeszedł do Cyclerona, objął go potężnymi ramionami i uściśnął jak niedźwiedź. Z miejsca, gdzie stałem, za Cycleronem, dobrze widziałem, jak równocześnie swymi chytrymi, szarymi oczami przypatruje się nam wszystkim po kolei. Gdy puścił zakłopotanego gospodarza, zażyczył sobie, żeby przedstawić go wszystkim obecnym, nawet mnie. Dzięki temu mogę się teraz pochwalić, że w wieku trzydziestu czterech lat jako domowy niewolnik z Arpinum uściśnąłem dłoń obu urzędujących konsulów rzymskich.

Pompejusz polecił swej ochronie zostać na ulicy. Wszedł do domu Cyclerona zupełnie sam, co było znaczącą oznaką zaufania i przychylności. Cycero, który jak zawsze zachowywał się z nienaganną uprzejmością, posłał Erosa na górę, żeby zawiadomił



Terencję o wizycie Pompejusza Wielkiego, mnie zaś polecił nalać wino.

– Tylko łyk – powiedział Pompejusz, nakrywając dłonią puchar. – Idziemy na kolację, więc nie zabawimy u was długo. Nie mogliśmy jednak przejść obok domu naszego sąsiada, nie odwiedzając go w celu złożenia wyrazów szacunku. Od kilku dni uważnie śledzimy twoje postępy, Cyceronie. Nasz przyjaciel Glabirion przekazywał nam sprawozdania. Wspaniale. Twoje zdrowie! – Pompejusz podniósł puchar, ale zauważyłem, że nawet nie umoczył warg. – Teraz, gdy już z powodzeniem zakończyłeś to wielkie przedsięwzięcie, mam nadzieję, że będziemy mieli okazję częściej się widywać, zwłaszcza że już wkrótce znowu będę zwykłym obywatelem.

– To będzie dla mnie przyjemność – odpowiedział Cycero z lekkim ukłonem.

– Na przykład pojutrze – czy masz jakieś plany?

– Pojutrze rozpoczynają się twoje igrzyska. Z pewnością będziesz bardzo zajęty? Może kiedy indziej...

– Nonsens. Przyjdź do naszej łoży zobaczyć początek igrzysk. Z pewnością ci nie zaszkodzi, jeśli ludzie zobaczą cię w naszym towarzystwie. Niech cały świat widzi, że jesteśmy przyjaciółmi – dodał wielkopańsko. – Lubisz igrzyska, prawda?

Cycero wahał się. Dobrze widziałem, że pośpiesznie rozważa konsekwencje przyjęcia i odrzucenia zaproszenia. W istocie nie miał wyboru.

– Uwielbiam igrzyska – powiedział. – Nie przychodzi mi do głowy nic, co wolałbym robić zamiast oglądania igrzysk.

– Wspaniale. – Pompejusz się rozpromienił. W tym momencie wrócił Eros z wiadomością, że Terencja leży chora i bardzo przeprasza gościa. – Wielka szkoda – powiedział Pompejusz. Wydawał się urażony. – Miejmy nadzieję, że w przyszłości jeszcze będziemy mieli okazję się poznać. – Oddał mi puchar z

winem. – Musimy już iść. Nie wątpię, że masz wiele pracy. Nawiasem mówiąc – zatrzymał się w progu atrium – czy już ustaliliście wysokość odszkodowania?

– Jeszcze nie – odpowiedział senator.

– Ile proponują?

– Półtora miliona.

– Zgódź się – powiedział Pompejusz. – Już obsmarowałeś ich gównem, nie musisz zmuszać ich, żeby je zjedli. Kontynuowanie tej sprawy byłoby kłopotliwe dla mnie osobiście i zaszkodziłoby stabilności państwa. Rozumiesz mnie? – Pompejusz przyjaźnie kiwnął głową i wyszedł. Słyszeliśmy trzask furki i głos dowódcy straży, wydającego rozkazy swym ludziom. Przez chwilę wszyscy milczeliśmy.

– Co za koszmarny typ – mruknął Cyncero. – Nalej mi jeszcze wina. – Gdy szedłem po dzbanek, zauważyłem, jak Lucjusz marszczy brwi.

– Jakie on ma prawo mówić do ciebie w ten sposób? – spytał. – Przecież powiedział, że to towarzyska wizyta.

– Towarzyska wizyta! Och, Lucjuszu! – zaśmiał się Cyncero. – To była wizyta poborcy czynszu.

– Poborcy czynszu? Jaki czynsz musisz mu zapłacić? – Lucjusz zajmował się wprawdzie filozofią, ale nie był kompletnym idiotą i szybko odgadł, co się stało. – Och, już rozumiem! – Na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia.

Lucjusz obrócił się, jakby chciał wyjść.

– Oszczędź mi demonstracji swojej wyższości – rzucił Cyncero, chwytając go za ramię. – Nie miałem wyboru. Marek Metellus wylosował trybunał do spraw wymuszeń. Sędziowie byli przekupieni. Oskarżenie miało zakończyć się klęską. Byłem tak blisko – Cyncero prawie dotknął kciukiem palca wskazującego – rezygnacji z oskarżenia Werresa. Wtedy Terencja powiedziała mi, żebym skrócił mowę. Zdałem sobie sprawę, że to jest

rozwiązanie – musiałem w ciągu dziesięciu dni pokazać wszystkie dowody i wszystkich świadków, żeby zawstydzić sędziów. Rozumiesz Lucjuszu? Zawstydzić ich na oczach całego Rzymu, tak aby nie mogli uniewinnić Werresa.

Cycero przywołał wszystkie swoje umiejętności, aby przekonać kuzyna. Mówił tak, jakby miał do czynienia z ławą sędziowską, którą musiał przeciągnąć na swoją stronę. Przyglądał się uważnie twarzy Lucjusza, starając się dostrzec wskazówki, które pozwoliłyby mu wybrać właściwe słowa i zdobyć jego poparcie.

– Ale prosić Pompejusza! – powiedział z goryczą Lucjusz. – Po tym, jak cię wcześniej potraktował!

– Potrzebowałem tylko jednej rzeczy, Lucjuszu, jednej drobnej przysługi. Musiałem mieć pewność, że będę mógł prowadzić sprawę tak, jak tego chciałem, czyli od razu wezwać świadków. Nie było żadnej łapówki, żadnej korupcji. Musiałem tylko mieć pewność, że Glabron mi na to pozwoli. Jako oskarżyciel nie mogłem sam skontaktować się z pretorem sądu. Zacząłem się zastanawiać, kto mógłby to zrobić.

– W całym Rzymie był tylko jeden odpowiedni człowiek – wtrącił Kwintus.

– Właśnie! – wykrzyknął Cycero. – Jedyne człowiek, którego Glabron musiał wysłuchać, bo tak mu nakazywał honor, gdyż człowiek ten oddał mu syna po śmierci żony, z którą Glabron musiał się rozwieść.

– To wcale nie była drobna przysługa – powiedział Lucjusz. – To była poważna ingerencja w działanie sądu. A teraz trzeba zapłacić za to poważną cenę, ale zapłacą ją Sycylijczycy, nie ty.

– Sycylijczycy? – powtórzył Cycero, któremu już kończyła się cierpliwość. – Sycylijczycy nigdy nie mieli przyjaciela lepszego ode mnie. Gdyby nie ja, nie byłoby żadnego procesu Werresa. Gdyby nie ja, nie dostaliby teraz półtora miliona sestercji

odszkodowania. Na litość boską, gdyby nie ja, za dwa lata Werres zostałby konsulem! Nie możesz mi zarzucać, że porzuciłem Sycylińczyków!

– Zatem nie płac Pompejuszowi czynszu – nalegał Lucjusz, chwytając jego dłoń. – Jutro, w sądzie, zażądaj maksymalnego odszkodowania i do diabła z Pompejuszem. Masz za sobą cały Rzym. Sędziowie nie odważą się wystąpić przeciw tobie. Kogo obchodzi Pompejusz? Za pięć miesięcy, jak sam powiedział, nie będzie nawet konsulem. Obiecuj mi to.

Cycero obiema rękami gorąco uściskał dłoń kuzyna, patrząc mu głęboko w oczy. Wiele razy widziałem w gabinecie ten gest – demonstrację szczerości.

– Obiecuję ci – powiedział – że zastanowię się nad tym.

Może rzeczywiście się zastanowił. Kim jestem, żeby go osądzać? Wątpię jednak, czy poświęcił temu więcej niż krótką chwilę. Cycero nie był rewolucjonistą. Nigdy nie pragnął stanąć na czele tłumu i burzyć instytucje państwowe, a tylko to by go uratowało, gdyby walczył równocześnie z Pompejuszem i arystokracją.

– Kłopot z Lucjuszem – powiedział, kładąc nogi na stole, gdy kuzyn już wyszedł – polega na tym, że jego zdaniem polityka to walka o sprawiedliwość. Polityka to zawód.

– Czy sądzisz, że Werres zapłacił Pompejuszowi, żeby ten interweniował i wymusił zmniejszenie odszkodowania? – spytał Kwintus, wyrażając dokładnie to samo przypuszczenie, które i mnie przyszło do głowy.

– To możliwe, ale wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że Pompejusz po prostu nie chce się znaleźć między dwiema wojującymi stronami, ludem i senatem. Osobiście byłbym szczęśliwy, gdybym mógł skonfiskować cały majątek Werresa, tak aby ten łotr żarł galijską trawę. Do tego jednak nie dojdzie –

westchnął ciężko – więc lepiej zastanówmy się, co możemy zrobić z tymi pieniędzmi, które nam oferują.

Przez cały wieczór pracowaliśmy we trzech, układając listę poszkodowanych, którzy najbardziej zasłużyli na odszkodowanie. Po odjęciu kosztów poniesionych przez Cyclerona, które wynosiły niemal sto tysięcy, zostało tyle, że jako tako mogliśmy pokryć jego zobowiązania, w każdym razie wobec takich ludzi jak Steniusz oraz wobec świadków, którzy przyjechali aż do Rzymu. Co jednak mieliśmy powiedzieć kapłanom? Jak można było wyznaczyć cenę za skradzione ze świątyń posągi z cennych metali, zdobione klejnotami, dawno już przetopione przez złotników Werresa? Jakie pieniądze mogły zrekompensować cierpienia rodzin i przyjaciół Gawiusza, Herenniusza i innych niewinnych zamordowanych ludzi? Przy tej okazji Cycero po raz pierwszy poznał prawdziwy smak władzy, która zwykle polega na dokonywaniu wyboru między różnymi nieprzyjemnymi możliwościami. Przekonał się, jaki ów smak jest gorzki.

Następnego dnia, jak zwykle rano udaliśmy się do sądu. Na forum jak zwykle zgromadził się wielki tłum. Niemal wszystko było jak zwykle, ale w sądzie nie było Werresa, a trybunał otaczał łańcuch trzydziestu miejskich strażników. Glab里昂 otworzył posiedzenie i ostrzegł, że nie będzie tolerował takich wypadków, do jakich doszło poprzedniego dnia, a następnie wezwał Hortensjusza do złożenia oświadczenia.

– Z powodu złego stanu zdrowia – rozpoczął Hortensjusz, co wywołało ryk śmiechu wszystkich obecnych. Musiał chwilę poczekać, nim mógł kontynuować. – Z powodu złego stanu zdrowia – powtórzył – nadszarpniętego przeżyciami związanymi z tym procesem oraz pragnąc oszczędzić państwu dalszych wstrząsów, mój klient Gajusz Werres rezygnuje z obrony przed zarzutami wniesionymi przez specjalnego oskarżyciela.

Hortensjusz usiadł. Sycylijczycy, uradowani ustępstwem, zaczęli bić brawo, ale tłum na forum prawie nie zareagował. Wszyscy czekali, co zrobi Cycero. Wstał, podziękował Hortensjuszowi za to oświadczenie – „nieco krótsze niż przemówienia, jakie ma zwyczaj wygłaszać w podobnych okolicznościach” – i zażądał maksymalnej kary przewidzianej w prawie Korneliusza: utrata praw obywatelskich na zawsze, „tak aby cień Werresa już nigdy nie zagroził jego ofiarom i sprawiedliwemu administrowaniu Republiką Rzymską”. Po raz pierwszy tego dnia rozległy się radosne okrzyki.

– Bardzo żałuję – kontynuował Cycero – że nie mogę naprawić zbrodni, które popełnił Werres, oraz przywrócić ludziom i bogom tego, co zostało im ukradzione. Żałuję, że nie mogę zwrócić Junonie ofiar i ozdób z jej świątyń w Melicie i Samos. Chciałbym, żeby Minerwa znowu zobaczyła dekoracje ze swej świątyni w Syrakuzach. Żałuję, że nie można mieszkańcom Segesty oddać posągu Diany, a obywatelom Tyndaris rzeźby Merkurego. Bardzo chciałbym naprawić podwójną szkodę, jaką poniosła Ceres, której wizerunki wywieziono ze świątyń w Hennie i Catanie. Jednak ten łajdak uciekł, pozostawiając ogołocone ze wszystkiego domy w Rzymie i na wsi. To jedyne aktywa, które można skonfiskować i sprzedać. Jego obrońca ocenia ich wartość na półtora miliona sestercji, dlatego tyle muszę zażądać w charakterze odszkodowania za jego zbrodnie.

Tłum jęknął.

– Za mało! – ktoś krzyknął.

– Zgadzam się, to za mało. Może ci spośród obecnych w tym sądzie, którzy bronili Werresa, gdy jego gwiazda wschodziła, oraz inni, którzy obiecywali mu poparcie, jeśli znajdą się wśród jego sędziów, zbadają swoje sumienia – a także przyjrzą się rzeczom zgromadzonym w swych willach!

Hortensjusz zaprotestował. Jego zdaniem oskarżyciel zamiast mówić jasno, posługuje się zagadkami.

– No cóż – natychmiast odparł Cyncero – ponieważ Werres ofiarował mu sfinksa z kości słoniowej, konsul-elekt powinien bez trudu rozwiązać każdą zagadkę.

Nie mógł to być wcześniej zaplanowany żart, gdyż Cyncero nie wiedział, co powie Hortensjusz. Po namyśle przyszło mi jednak do głowy, że być może jestem naiwny – niewykluczone, że był to jeden ze spontanicznych dowcipów, które senator wymyślał przy świecy, żeby wykorzystać, gdy zdarzy się okazja. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, przykład ten dowodzi, jak ważny jest dowcip w życiu publicznym, gdyż nikt już nie pamięta nic z wydarzeń ostatniego dnia procesu poza tym żartem o sfinksie. Teraz nie jestem nawet pewny, że był on szczególnie zabawny, ale wtedy wszyscy wybuchli śmiechem, dzięki czemu potencjalnie kłopotliwy punkt procesu zmienił się w kolejny triumf. Gdy wszystko przebiega pomyślnie, szybko kończ – radził Molon. Cyncero skorzystał z tej wskazówki. Podałem mu ręcznik. Wytarł pot z twarzy i rąk. Tłum wciąż klaskał. I tak zakończyły się jego starania, żeby ukarać Gajusza Werresa.

Tego popołudnia odbyła się ostatnia sesja senatu przed zaplanowaną na piętnaście dni przerwą na igrzyska Pompejusza. Nim Cyncero skończył uspokajać Sycylijczyków, obrady już się rozpoczęły. Pośpiesznie udaliśmy się ze świątyni Kastora do budynku senatu, po drugiej stronie forum. Krassus, który w tym miesiącu przewodniczył obradom, czytał właśnie najnowszy raport Lukullusa z przebiegu kampanii na wschodzie. Cyncero nie chciał mu przerywać, dlatego zatrzymaliśmy się w progu i słuchaliśmy relacji. Arystokratyczny wódz, jak sam donosił, odniósł kilka świetnych zwycięstw, wkroczył do królestwa Ti granów, pokonał w bitwie króla, zabił kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy nieprzyjaciela, zdobył miasto Nisibis w głębi państwa i wziął brata króla jako zakładnika.

– Krassus pewnie ma ochotę rzygać – szepnął Cyncero z zadowoleniem. – Jego jedynym pocieszeniem może być świadomość, że Pompejusz jest jeszcze bardziej wściekły z zazdrości. – I rzeczywiście, Pompejusz, który siedział obok Krassusa, był pogrążony w ponurych rozważaniach.

Gdy Krassus skończył mówić, Cyncero skorzystał z przerwy, żeby wejść do sali. Na zewnątrz panował upał. We wpadających przez okna promieniach słonecznych widać było błyski skrzydeł licznych much. Cyncero szedł środkową alejką zdecydowanym krokiem, z podniesioną głową. Wszyscy mu się przyglądali. Minął swoje stare miejsce blisko drzwi i zbliżył się do podwyższenia dla konsulów. Ława pretorów była niemal pełna, ale on stał cierpliwie obok, czekając na swoje miejsce, wiedział bowiem – podobnie jak cała izba – że zgodnie z odwiecznym zwyczajem, zwycięski oskarżyciel przejmuje rangę pokonanego oskarżonego. Nie wiem, jak długo panowała martwa cisza, ale miałem wrażenie, że ciągnie się w nieskończoność. Słyszałem tylko odgłosy gołębi na dachu. W końcu to Afraniusz zaprosił go gestem, żeby usiadł obok niego, i bezceremonialnie popchnął sąsiada, by się przesunął. Cyncero podszedł, lawirując między wyciągniętymi nogami pretorów, i z wyzywającą miną wcisnął się na swoje miejsce. Popatrzył w oczy swym rywalom. Nikt nie zaprotestował. W końcu ktoś zabrał głos i niechętnie pogratulował Lukullusowi i jego zwycięskim legionom – gdy o tym myślę, wydaje mi się, że był to Pompejusz. Znowu rozległ się szmer rozmów.

Zamykam teraz oczy i widzę ich twarze – Cyncerona, Krassusa, Pompejusza, Hortensjusza, Katulusa, Katyliny, braci Metellusów – oświetlone złotym światłem letniego popołudnia. Trudno mi uwierzyć, że po nich, po ich ambicjach i nawet po budynku, w którym siedzieli, pozostał tylko proch.



**Część druga**

# **PRETOR**

**68–64 r, p.n.e.**

*Nam eloquentiam quae admirationem non habet nullam iudico.*

Jeśli wymowa nie zdumiewa, nie uważam jej za elokwentną.

Cycero, list do Brutusa, 48 r, p.n.e.

# X

Chciałbym wrócić do mojej relacji po ponad dwóch latach od zakończenia głosowania. Obawiam się, że przerwa ta wiele mówi o ludzkiej naturze, gdyby bowiem ktoś spytał, „Tironie, dlaczego postanowiłeś pominąć tak długi okres w życiu Cycerona?”, byłbym zmuszony odpowiedzieć: „Dlatego, przyjacielu, że były to szczęśliwe lata, a niewiele jest tak nudnych tematów jak szczęście”.

Kadencja senatora na stanowisku edyla była bardzo udana. Jego najważniejszym zadaniem było zapewnienie miastu dostaw taniego ziarna, w czym bardzo pomogło mu oskarżenie Werresa. Rolnicy i handlarze zbożem z Sycylii okazali mu swą wdzięczność, nie tylko utrzymując niskie ceny, ale nawet przysłali jeden statek zboża za darmo. Cycero był dostatecznie przebiegły, żeby postarać się, aby zasługi przypisywano nie tylko jemu. Z siedziby edylów w świątyni Ceres przekazał ziarno do dystrybucji stu szefom okręgów, którzy sprawowali rządy w mieście. Wielu z wdzięczności, stało się jego klientami. Z ich pomocą w ciągu kilku miesięcy stworzył machinę wyborczą, która nie miała sobie równych. (Kwintus lubił się chwalić, że jeśli tylko zechce,

może w ciągu godziny zebrać tłum dwustu ludzi.) Od tej pory rzadko zdarzało się w mieście coś, o czym senator nie wiedział. Na przykład, jeśli jakiś przedsiębiorca budowlany lub sklepikarz potrzebował koncesji, chciał uzyskać dostęp do wodociągów lub martwił się stanem lokalnej świątyni, sprawa taka prędzej lub później trafiała do dwóch braci. Cycero stał się wpływowym politykiem w równej mierze dzięki takiej zhumdnej trosce o codzienne sprawy, jak wzniosłej retoryce. Urządził nawet udane igrzyska – a raczej Kwintus zrobił to w jego imieniu. Gdy w najważniejszym dniu festynu Ceres, zgodnie z tradycją, w Circus Maximus wypuszczono lisy z pochodniami uwiązanymi do grzbietów, dwustutysięczny tłum oklaskiwał Cyclerona siedzącego w łoży dla dostojników.

„Widząc, że tak wielu ludzi doświadcza wielkiej przyjemności, oglądając tak obrzydliwe widowisko – powiedział tego dnia wieczorem, gdy wróciliśmy do domu – można zwątpić w podstawowe założenie, na którym oparta jest demokracja”. Mimo to był zadowolony, że masy uważały go teraz nie tylko za „uczzonego” i „greka”, ale również za człowieka umiejącego się bawić.

Równie dobrze rozwijała się jego praktyka prawnicza. Kadencja Hortensjusza na stanowisku konsula minęła gładko i bez problemów, w typowym dla niego stylu, a później spędzał on coraz więcej czasu na Zatokę Neapolitańską, ze swymi rybami przystrojonymi biżuterią i drzewami nasączonymi winem, umożliwiając Cycleronowi zdominowanie rzymskiej adwokatury. Wkrótce strumień prezentów i zapisów spadkowych od wdzięcznych klientów stał się tak obfity, że Cyclerona stać było nawet na pożyczanie bratu miliona sestercji, by mógł zostać senatorem – Kwintus późno postanowił zająć się polityką, choć był kiepskim mówcą. Cycero prywatnie wyrażał opinię, że jego brat lepiej nadawał się na żołnierza. Mimo rosnącego bogactwa

i prestiżu Cycero nie zgodził się wyprowadzić z domu ojca – obawiał się, że przeprowadzka na elitarny Palatyn zaszkodziłaby jego wizerunkowi obrońcy ludu. Zamiast tego, nie informując o tym Terencji, zaciągnął znaczny kredyt na poczet przyszłych zarobków i nabył wielką wiejską willę, trzynaście mil od ciekawskich oczu miejskich wyborców, na Górze Albańskiej niedaleko Tuskulum. Gdy zabrał ją tam po raz pierwszy, Terencja udawała gniew i twierdziła, że klimat górskiej okolicy szkodzi jej na reumatyzm. Nie mam jednak wątpliwości, że w rzeczywistości ogromnie się ucieszyła z tak modnej rezydencji, oddalonej od Rzymu zaledwie o pół dnia drogi. Ich sąsiadem był Katulus, a Hortensjusz również miał dom w okolicy, ale teraz stosunki między Cyceronem i arystokratami były bardzo wrogie. Choć senator spędzał tam dużo czasu, czytając i pisząc w cieniu topoli, nigdy nie zaprosili go na kolację. Cycero tym się nie przejmował; raczej bawiła go myśl, jak bardzo musi ich irytować, że dom, który niegdyś należał do Sulli, największego bohatera nobilów, teraz znalazł się w rękach „nowego człowieka” pokrywało ogromne Arpinum. Od ponad dziesięciu lat willa nie była remontowana. Gdy Cycero ją kupił, całą ścianę pokrywało ogromne malowidło przedstawiające dyktatora odbierającego hołd od swych żołnierzy. Senator postarał się, aby wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że pierwszą rzeczą, jaką zrobił po zakupieniu willi, było polecenie zmycia tego dzieła.

Jesienią, w trzydziestym dziewiątym roku życia, Cycero był człowiekiem szczęśliwym, zamożnym, popularnym i wypoczętym po lecie spędzonym na wsi. Niecierpliwie czekał na wybory w lipcu następnego roku, kiedy wiek pozwoli mu już ubiegać się o stanowisko pretora, będące odskocznią do najwyższej nagrody – samego konsulatu.

Wracam do mojej relacji w tym krytycznym momencie, na

chwilę przed tym, jak szczęście się odwróciło i jego życie znowu stało się interesujące.

Urodziny Pompejusza wypadły pod koniec września. Już trzeci rok z rzędu Cycero otrzymał zaproszenie na bankiet z tej okazji. Jęknął, gdy odebrał wiadomość, ponieważ zdążył się już przekonać, że niewiele jest w życiu błogosławieństw trudniejszych do zniesienia niż przyjaźń wielkiego człowieka. Za pierwszym razem zaproszenie do wewnętrznego kręgu przyjaciół Pompejusza bardzo mu pochlebiło, ale szybko znudziło mu się wysłuchiwanie wciąż tych samych wojskowych opowieści, zwykle ilustrowanych manewrami talerzy i karafek na stole – o tym, jak młody wódz przechytrzył trzy armie Mariusza pod Auximum, mając dwadzieścia cztery lata w jedno popołudnie wyrznął siedemnaście tysięcy Numidyjczyków i ostatecznie pokonał hiszpańskich buntowników pod Walencją. Pompejusz zaczął wydawać rozkazy w wieku siedemnastu lat i zapewne z tego powodu nie nabrał takiego intelektualnego wyrafinowania jak Cycero. Konwersacja w stylu senatora – spontaniczne dowcipy, wymiana plotek, bystre spostrzeżenia, dające początek wspólnym, głębokim lub fantazyjnym komentarzom o ludzkiej naturze – była Pompejuszowi całkowicie obca. Wódz lubił wygłaszać jakiś banalny monolog, czemu wszyscy przysłuchiwali się w nabożnej ciszy, a później pławić się w pochlebstwach, jakimi obsypywali go goście. Cycero zwykł mówić, że wolałby, aby pijany cyrulik z Forum Boarium wyrwał mu wszystkie zęby, niż jeszcze raz słuchać takiego monologu przy biesiadnym stole.

Pompejusz nudził się i to stanowiło sedno problemu. Zgodnie z obietnicą, gdy skończyła się jego kadencja na stanowisku konsula, Pompejusz wycofał się ze sceny politycznej. Stał się osobą

prywatną, mieszkał z żoną, młodym synem i maleńką córeczką. Cóż jednak dalej? Brakowało mu talentu retorycznego, nie był zatem stworzony do kariery w sądach. Nie interesowała go działalność literacka. Pompejusz mógł tylko przyglądać się z zawiścią, jak Lukullus kontynuuje zwycięską walkę z Mitrydatesem. Nie miał jeszcze czterdziestu lat, a wydawało się, że ma już za sobą najlepsze lata. Niekiedy wybierał się do senatu – nie zabierał głosu, lecz tylko przysłuchiwał się debacie. Podczas takiej procesji z domu do budynku senatu towarzyszył mu – na jego życzenie – ogromny tłum przyjaciół i klientów. Cycero, który czuł się zobowiązany przyłączyć do pochodu, zauważył kiedyś, że to było tak, jakby słoń starał się dostosować do życia w mrowisku.

Jednak Pompejusz był największym człowiekiem na świecie, mającym wielu zwolenników wśród wyborców i nie należało mu się narażać, zwłaszcza na niecały rok przed wyborami. Tego lata postarał się, żeby jego człowiek, Gabiniusz, został trybunem – Pompejusz nie wycofał się z polityki. Wobec tego trzydziestego września Cycero jak zwykle wybrał się na przyjęcie urodzinowe, a po powrocie bawił Kwintusa, Lucjusza i mnie anegdotami. Pompejusz uwielbiał prezenty, zupełnie jak dziecko. Cycero podarował mu rękopis listu Zenona, twórcy szkoły stoickiej. List, mający ponad dwieście lat, był bardzo cenny; to Attykus kupił go dla Cycerona w Atenach. Senator z pewnością bardzo chciał zatrzymać go w swej bibliotece w Tuskulum, ale miał nadzieję, że ten podarunek skłoni wodza do zainteresowania się filozofią. Pompejusz ledwo spojrział na prezent, odłożył go na bok i skupił uwagę na darze Gabiniusza – oprawionym w srebro rogu nosorożca z jakimś egipskim afrodyzjakiem zrobionym z ekskrementów pawiana. „Tak chciałbym odzyskać ten list!” – jęczał Cycero. Opadł na sofę i rozcierał czoło wierzchem dłoni.

„Prawdopodobnie jakaś dziewczka kuchenna właśnie używa go na podpałkę!”.

– Kto jeszcze był zaproszony? – zainteresował się Kwintus. Wrócił do Rzymu zaledwie kilka dni wcześniej. Skończył sprawować urząd kwestora w Umbrii i był spragniony wieści z rzymskiego świata.

– Och, zwykły tłum. Rzecz jasna, nasz znakomity nowy trybun-elekt Gabiniusz, jego teść, znawca sztuki Palikanus, największy rzymski tancerz Afraniusz, hiszpańska kreatura Pompejusza, Balbus, dyżurny mędrzec Warron. No i Marek Fontejuż – dorzucił lekkim tonem, nie dość jednak lekkim, żeby Lucjuż nie zwrócił na to uwagi.

– No i o czym rozmawiałeś z Fontejużem? – spytał, równie nieporadnie udając nonszalancję.

– O różnych rzeczach.

– Również o jego sprawie?

– Oczywiście.

– No i kto będzie bronił tego łajdaka?

– Ja – odrzekł cicho Cyncero po chwili milczenia.

Powinienem wyjaśnić wszystkim niezającym tej sprawy, że Marek Fontejuż był pięć lat wcześniej namiestnikiem Galii Narbońskiej, a pewnej zimy, gdy walczący z hiszpańskimi buntownikami Pompejuż znalazł się w ciężkiej sytuacji, Fontejuż wysłał mu zaopatrzenie i rekrutów, dzięki czemu ten przetrwał do wiosny. Tak rozpoczęła się ich przyjaźń. Fontejuż następnie zbił fortunę w stylu Werresa, nakładając na ludność miejscową różne nielegalne podatki. Galowie początkowo to znosili, tłumacząc sobie, że narodzinom każdej cywilizacji towarzyszy złodziejstwo i wyzysk. Gdy jednak Cyncero z powodzeniem oskarżył Werresa, namiestnika Sycylii, Inducjomar, wódz plemienia Allobrogów, przyjechał do Rzymu i zwrócił się do senatora z prośbą, by zechciał go reprezentować w sądzie. Lucjuż popierał

go całym sercem; w istocie to on przyprowadził Inducjomara do domu Cyclerona. Pewnego ranka przeżyłem prawdziwy szok na widok tego barbarzyńcy ubranego w kurtkę i spodnie. Cycero uprzejmie odmówił. Minął rok, nim wreszcie Galowie znaleźli solidnych prawników w osobach Pletoriusza, który był wówczas pretorem-elektem, oraz Marka Fabiusza jako jego zastępcy. Sprawa już wkrótce miała trafić na wokandę.

– To skandal – zaprotestował gorąco Lucjusz. – Nie możesz go bronić. Fontejuś jest winny w takim samym stopniu jak Werres.

– Nonsens. Fontejuś nikogo nie zabił i nie uwięził pod fałszywymi zarzutami. Najgorsze, co można o nim powiedzieć, to to, że kiedyś nałożył zbyt wysokie daniny na handlarzy winem w Narbonie oraz zmusił niektórych Galów, żeby płacili więcej niż inni na naprawę dróg. Poza tym – dodał, nim Lucjusz zdążył podważyć tę nieco zbyt wielkoduszną ocenę postępowania Fontejuśa – kim jesteśmy, ty i ja, żeby decydować o jego winie? O tym rozstrzygnie sąd, a nie my. A może chcesz być tyranem i odmówić mu prawa do korzystania z usług obrońcy?

– Odmówiłbym mu prawa do korzystania z twoich usług – odrzekł Lucjusz. – Inducjomar osobiście przedstawił ci dowody przeciw niemu. Czy należy to wszystko zignorować tylko dlatego, że Fontejuś jest przyjacielem Pompejusza?

– To nie ma żadnego związku z Pompejuszem.

– Dlaczego zatem to robisz?

– Polityka – odpowiedział Cycero. Nagle usiadł na sofie, opuszczając stopy na podłogę. Spojrzał na Lucjusza i rzekł bardzo poważnym tonem: – Najgorszym błędem, jaki może popełnić mąż stanu, to dopuszczenie do tego, żeby jego rodacy choćby przez chwilę podejrzewali, iż stawia on interesy cudzoziemców wyżej niż ich własne. To kłamstwo rozpowszechniali moi wrogowie po tym, jak reprezentowałem Sycylińczyków w procesie



Werresa. Obrona Fontejusza będzie dla mnie dobrą okazją, żeby odeprzeć te kalumnie.

– A co z Galami?

– Galów będzie całkowicie zadowolająco reprezentował Ple-toriusz.

– Nie tak dobrze, jak zrobiłbyś to ty.

– Sam jednak twierdziłeś, że argumenty Fontejusza są bardzo słabe. Niech zatem słabszą stronę reprezentuje lepszy ad-wokat. Czy tak nie będzie sprawiedliwie?

Cycero uśmiechnął się czarująco, ale tym razem Lucjusz nie dał się rozbroić. Zdawał sobie sprawę, jak przypuszczam, że spór z Cycleronem można było wygrać tylko jedną metodą – wycofując się z rozmowy. Wstał i kulejąc, przeszedł przez atrium. Do tej pory nie zwróciłem uwagi, jak źle wyglądał. Był wychudzony i przygarbiony; w istocie nigdy nie wrócił do pełni sił po wyprawie na Sycylię.

– Słowa, słowa, słowa – powiedział z goryczą. – Czy nigdy nie skończysz z tymi słownymi sztuczkami? Pamiętaj jednak Marku, że jak zawsze twój najsilniejszy atut jest równocześnie twoją największą słabością. Bardzo mi cię żal, mówię to zupeł-nie szczerze, ponieważ już wkrótce nie będziesz umiał odróż-niać sztuczek od prawdy. Wtedy będziesz zgubiony.

– Prawda – zaśmiał się Cycero. – I to z ust filozofa słyszę tak słabo zdefiniowane pojęcie? – Ten żart trafił jednak w próż-nię, ponieważ Lucjusz już wyszedł.

– Wróci – powiedział Kwintus.

Lucjusz jednak nie wrócił. Przez kilka następných dni Cycero zajmował się przygotowaniem do procesu z determinacją czło-wieka, który pogodził się z myślą o przykrej, lecz koniecznej operacji chirurgicznej. Jego klient oczekiwał tego oskarżenia od trzech lat i dobrze wykorzystał ten czas, żeby zgromadzić liczne dowody swej niewinności. Miał świadków z Hiszpanii i Galii,

oficerów z armii Pompejusza i różnych handlarzy oraz dzierżawców podatków z rzymskiej społeczności w Galii, którzy byli gotowi przysiąc, że noc jest dniem, a ziemia morzem, jeśli tylko to mogło im przynieść rozsądne zyski. Był tylko jeden problem, z czego zdał sobie sprawę Cycero po zapoznaniu się z materiałami dowodowymi: Fontejust był niewątpliwie winny. Senator długo wysiadywał w swoim gabinecie, wpatrując się w ścianę, a ja chodziłem na palcach, żeby go nie rozpraszać. Muszę tu wyjaśnić, co robił, gdyż ma to znaczenie dla oceny jego charakteru. Cycero nie próbował, jak mógłby to zrobić jakiś cyniczny, drugorzędny adwokat, wymyślić jakiejś prawniczej sztuczki, żeby przechytrzyć oskarżyciela. Starał się znaleźć coś, w co mógłby wierzyć. Na tym polegał jego geniusz, zarówno jako prawnika, jak i męża stanu. „Przekonuje przekonanie – zwykł mówić. – Musisz wierzyć w przedstawiane argumenty, bo inaczej przegrasz. Żadne rozumowanie, choćby nie wiem jak logiczne, eleganckie i błyskotliwe, nie przyniesie sukcesu, jeśli słuchacze wyczują, że brakuje ci wiary we własne słowa”. Jedną rzecz, w którą mógł uwierzyć – to było wszystko, czego potrzebował. Chwytał się jej, rozwijał temat, upiększał argument i w ciągu godziny lub dwóch przekształcał w najważniejszy problem świata, po czym wygłaszał swą przemowę z namiętnością, która burzyła racjonalne argumenty przeciwnika. Później zwykle całkowicie o tym zapominał. A w co uwierzył w sprawie Marka Fontejusta? Cycero długo wpatrywał się w ścianę, aż wreszcie doszedł do następującego wniosku. Jego klient był Rzymianinem, którego w ojczystym mieście zaatakowali tradycyjni wrogowie Rzymu, Galowie, przeto niezależnie od tego, kto ma rację, a kto nie, było to coś w rodzaju zdrady.

Takie stanowisko zaprezentował, gdy znowu u stóp świątyni Kastora występował przed dobrze sobie znanym trybunałem do

spraw wymuszeń. Proces trwał od końca października do połowy listopada. Zaciekła walka na świadków i dowody trwała do ostatniego dnia, kiedy to Cycero wygłosił przemówienie końcowe. Od pierwszego dnia rozprawy, ze swego miejsca za senatorem, rozglądałem się dookoła, szukając Lucjusza. Dopiero w ostatnim dniu wydawało mi się, że go zobaczyłem – stał blady i wychudzony, opierając się o filar, z tyłu za wszystkimi słuchaczami. Często zastanawiałem się – jeśli to był on, bo wcale nie jestem tego pewny – jak oceniał retorykę swojego kuzyna, gdy ten atakował Inducjomara. „Czy on rzeczywiście wie, co to znaczy zeznawać na procesie i składać dowody? Czy największy wódz Galów jest godny siedzieć na tej samej ławie, co choćby najędzniejszy rzymski obywatel? – krzyczał i pytał, jak rzymscy sędziowie mogą uwierzyć człowiekowi, którego bogowie domagają się ofiar z ludzi. Któż bowiem nie wie, że do dnia dzisiejszego zachowali okropny i barbarzyński zwyczaj składania ludzi na ofiarę?”. Co powiedziałby o tym, jak Cycero opisał galijskich świadków, którzy „uwijają się po forum weseli, zadzierają głowy i rzucają pogrożki w dzikich, barbarzyńskich, strachem przejmujących wyrazach”? Co myślał o końcowym *coup de théâtre* senatora, który pod sam koniec przemówienia przywołał przed trybunał siostrę Fontejusza, westalkę, ubraną od stóp do głów w oficjalną, białą suknię, z białą lnianą chustą na wąskich ramionach, żeby uniosła welon i pokazała sędziom załzawione oczy. Na ten widok jej brat również się rozplakał, a Cycero łagodnym ruchem położył rękę na ramionach klienta.

„Przed tą groźbą, sędziowie, obrońcie dzielnego i niewinnego obywatela. Niech cały świat zobaczy, że bardziej wierzycie naszym niż cudzym świadkom, bardziej troszczycie się o dobro obywateli rzymskich niż o dogodzenie nieprzyjaciółom i więcej zwracacie uwagi na prośby tej, która kieruje składaniem waszych ofiar, niż tych, którzy toczą wojnę przeciw ofiarom i

świętyniom całego świata. Wreszcie, sędziowie, dopilnujcie – bo od tego zależy godność narodu rzymskiego – żeby wykazać, iż modlitwy westalki mają dla was większe znaczenie niż pogroźki Galów”\*

\* Fragmenty tłumaczenia przemowy za K. Kumaniecki, *Cycon i jego współcześni*.

No cóż, przemówienie dobrze posłużyło zarówno Fonteju-szowi, który został uniewinniony, jak i Cyconowi, któremu już nigdy nie zarzucano braku gorących, patriotycznych uczuć. Gdy skończyłem stenografować, podniosłem wzrok, ale w tłumie nie można już było odróżnić poszczególnych osób, gdyż stał się jednym dyszącym stworzeniem, wprowadzonym przez Cycon-a w stan ekstatycznej, narodowej autogloryfikacji. Mam nadzieję, że Lucjusz nie był obecny i nie jest to wcale wykluczone, gdyż już kilka godzin później znaleziono go w domu martwego.

Gdy dotarła ta wiadomość, Cycon jadł kolację z Terencją. Przyniósł ją niewolnik Lucjusza, młody chłopiec, który nie mógł powstrzymać płaczu, dlatego to ja musiałem zanieść wiadomość senatorowi. Gdy mu to powiedziałem, podniósł wzrok znad talerza, popatrzył na mnie i gniewnie powtórzył kilka razy „nie, nie”, tak jakbym podał mu w sądzie niewłaściwy zwój z dokumentami. Długo jeszcze powtarzał w kółko „nie, nie”. Nie ruszał się, nawet nie mrugał. Wydawało się, że coś zablokowało działanie jego mózgu. W końcu odezwała się Terencja, która łagodnie zaproponowała, żeby poszedł i sprawdził, co się stało. Cycon zaczął szukać butów. „Uważaj na niego, Tironie” – cicho powiedziała do mnie Terencja.

Smutek zabija czas. Jedyne, co pamiętam z tego wieczoru i kilku następnych dni, to urywki scen, niczym ohydnie jaskrawe

halucynacje, jak pod wpływem gorączki. Pamiętam, jak chude i wynędzniałe było ciało Lucjusza, gdy go znaleźliśmy. Leżał na łóżku na prawym boku, zasłaniając lewą dłonią oczy. Cycero, zgodnie z tradycją, pochylił się nad nim ze świecą, żeby przywołać go do życia. „Co on zobaczył? – wciąż pytał. – Co on zobaczył?”. Jak już mówiłem, Cycero nie był przesądnym człowiekiem, ale nie mógł pozbyć się przekonania, że Lucjusz miał jakąś straszliwą wizję i zmarł z przerażenia. Jeśli chodzi o rzeczywistą przyczynę śmierci, muszę tu się przyznać, że przez wszystkie te lata utrzymywałem ją w tajemnicy, którą teraz chętnie wyjawię. W kącie jego niewielkiego pokoju stał moździerz z tłuczkiem, a obok leżała roślina, którą Cycero, a w pierwszej chwili również ja, wzięliśmy za koper. To było rozsądne przypuszczenie, jako że wśród wielu chronicznych dolegliwości Lucjusza były również kłopoty z trawieniem, na które używał olej tłoczony z kopru.

Dopiero później, gdy sprzątałem w pokoju, roztarłem między palcami delikatne liście i poczułem ohydny zapach cykuty, podobny do smrodu zdechłej myszy. Zrozumiałem wtedy, że Lucjusz miał już dość życia i z jakiegoś powodu – rozpaczy wywołanej niesprawiedliwością, znużenia chorobami – postanowił umrzeć jak jego bohater, Sokrates. Zawsze chciałem podzielić się tą wiedzą z Cycleronem i Kwintusem, ale w tych smutnych dniach zachowałem ją dla siebie, potem minęła stosowna pora na jej ujawnienie i wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli pozwolę im wierzyć, iż zmarł wbrew swej woli.

Pamiętam również, że Cycero wydał bardzo dużą kwotę na kwiaty i pachnidła. Gdy ciało Lucjusza umyto i namaszczono, ubrano w najpiękniejszą togę i złożono na katafalku, chudymi nogami w kierunku drzwi, wydawało się, że leży w elizejskim zagajniku z kwiatów, choć na zewnątrz panowała ponura, listopadowa pogoda. Jak na tak samotnego człowieka, zaskakująco

dużo znajomych i sąsiadów przyszło złożyć wyrazy szacunku, a o zmierzchu wzięło udział w procesji pogrzebowej na pole eskwilińskie. Młody Frugi płakał tak bardzo, że nie mógł złapać tchu. Pamiętam pieśni żałobne, lamenty, muzykę i pełne szacunku spojrzenia przechodniów na ulicach, ponieważ żałobnicy odprowadzali do przodków Cycerona, a to nazwisko liczyło się już w Rzymie. Po złożeniu ciała na stosie ustawionym na mroźnym polu, wielki orator spróbował wygłosić mowę pogrzebową, ale tym razem słowa nie chciały go słuchać i musiał zrezygnować. Nie potrafił nawet opanować się na tyle, żeby podpalić pochodnią stos i przekazał to zadanie Kwintusowi. Gdy płomień wreszcie wystrzelił wysoko do góry, uczestnicy pogrzebu wrzucali do ognia ofiary z pachnideł i ziół. Pachnący dym, przetykany pomarańczowymi iskrami, wzniósł się aż do Drogi Mlecznej. Tej nocy senator podyktował mi list do Attykusa. Niewątpliwym hołdem dla uczucia, jakie Lucjusz wzbudzał w sercu tego szlachetnego człowieka, jest fakt, że był to pierwszy z setek listów Cycerona, jakie Attykus postanowił zachować:

„Lepiej niż kto inny możesz odczuć, jakiego wielkiego bólu doznałem i jak wielką stratę poniosłem w rodzinnych i sądowych sprawach przez śmierć brata mego Lucjusza, z którym wiązała mnie zażyła przyjaźń. Dawał mi bowiem wszystko, cokolwiek przyjemnego może jeden człowiek dać drugiemu w miłym i słodkim obcowaniu”\*

\* Przekład za: K. Kumaniecki, *op. cit.*

Choć Lucjusz od wielu lat mieszkał w Rzymie, zawsze mówił, że chce, aby jego popioły trafiły do rodzinnego grobowca w Arpinum. Zgodnie z jego życzeniem następnego dnia po kremacji obaj bracia i ich żony wyruszyli z prochami w trzydniową podróż na wschód, uprzedzając oczywiście ojca o przyjeździe.

Naturalnie towarzyszyłem senatorowi, choć bowiem Cycero był w żałobie, nie mógł zaniedbywać korespondencji prawniczej i politycznej. Jednak, po raz pierwszy i chyba jedyny raz w ciągu wszystkich naszych lat spędzonych razem, nie załatwiał po drodze żadnych urzędowych spraw, lecz tylko siedział, podpierając brodę ręką, i wpatrywał się w mijane okolice. On jechał z Terencją jednym powozem, Kwintus z Pomponią drugim, nieustannie się kłócąc – tak bardzo, że wreszcie Cycero odwołał brata na stronę i poprosił, żeby ze względu na Attykusa, jeśli nie z innych powodów, postarał się jakoś ułożyć życie małżeńskie. „Jeśli opinia Attykusa jest dla ciebie taka ważna, to dlaczego ty się z nią nie ożenisz?” – odparł nie bez racji Kwintus. Pierwszej nocy zatrzymaliśmy się w willi w Tuskulum, a gdy dojechalismy do Ferentium przy Via Latina, bracia otrzymali wiadomość z Arpinum, że poprzedniego dnia zmarł ich ojciec.

Biorąc po uwagę, że miał już sześćdziesiąt parę lat i od dawna chorował, jego śmierć była oczywiście mniejszym szokiem niż odejście Lucjusza (wiadomość o tym najwyraźniej była zbyt ciężkim ciosem dla starszego człowieka o słabym zdrowiu). Trudno jednak było nie popaść w głęboką melancholię, gdy zostawiliśmy za sobą dom przystrojony gałęziami sosny i cyprysu na znak żałoby, po czym przybyliśmy do domu wyglądającego dokładnie tak samo; sytuację dodatkowo pogłębił zbieg okoliczności – dotarliśmy do Arpinum dwudziestego piątego listopada, w święto Prozerpiny, królowej Hadesu, która spełnia przekleństwa ludzi rzucane na dusze zmarłych. Willa Cyceronów leżała trzy mile za miastem, docierało się do niej krętą, kamienistą drogą wiodącą dnem doliny, otoczonej wysokimi górami. Na tej wysokości było już zimno, a na szczytach leżał śnieg, który zwykle topnieje dopiero w maju. Nie byłem w Arpinum od dziecięciu lat i ten powrót był dla mnie dziwnym przeżyciem. W przeciwieństwie do Cycerona zawsze wolałem życie na wsi, nie

zaś w mieście. Tam się urodziłem, tam żyli i zmarli moi rodzice. Przez pierwsze ćwierć wieku mojego życia te soczyste łąki, kryształowe strumienie z wysokimi topolami i bujną roślinnością na brzegach stanowiły granice mojego świata. Cyncero zauważył, jak byłem wzruszony, i wiedział, jak bardzo byłem oddany dawnemu panu, dlatego zaprosił mnie, bym udał się z nim i Kwintusem do katafalku i pożegnał ich ojca. Zawdzięczałem mu niemal tyle co oni, gdyż zadbał on o moją ogładę i wykształcenie, bym mógł pomagać mu z książkami, a później wysłał mnie w podróż ze swoim synem. Gdy pochyliłem się, żeby pocałować jego zimną dłoń, poczułem, że wróciłem do domu. Przyszło mi do głowy, że może mógłbym zostać tu jako zarządca, ożenić się z dziewczyną mojego stanu i mieć dziecko. Moi rodzice, choć byli niewolnikami domowymi, nie zaś robotnikami rolnymi, zmarli, mając czterdzieści kilka lat; musiałem przyjąć, że w najlepszym razie zostało mi jakieś dziesięć lat. (Jak niewiele wiemy, co z nami uczyni los!). Przykro mi było myśleć, że odejdę z tego świata bezpotomnie, dlatego postanowiłem, że przy pierwszej okazji porozmawiam o tym z Cynceronem.

Tak doszło do ważnej rozmowy między nami. Dzień po naszym przyjeździe stary pan został pochowany w rodzinnym grobowcu. Obok niego ustawiono alabastrową urnę z prochami Lucjusza i na koniec złożono w ofierze świnie, żeby to miejsce pozostało święte. Następnego dnia rano Cyncero obszedł odziedziczony majątek, a ja mu towarzyszyłem, na wypadek gdyby chciał dyktować jakieś uwagi. Posiadłość była w tak kiepskim stanie, że wiele należałoby przy niej zrobić (z uwagi na ogromne zadłużenie hipoteczne była praktycznie bezwartościowa). Cyncero zauważył, że kiedyś majątkiem zarządzała matka; jego ojciec zawsze za bardzo bujał w obłokach, żeby zajmować się agentami rolnymi i dostawcami. Po jej śmierci posiadłość stopniowo



podupadała. Służyłem mu już od ponad dziesięciu lat, ale chyba po raz pierwszy usłyszałem, jak wspomniał matkę. Miała na imię Helwia. Zmarła dwadzieścia lat wcześniej, gdy on był nastolatkiem i wyjechał już do Rzymu kontynuować edukację. Sam pamiętam tylko, że miała reputację kobiety niezwykle surowej i złośliwej – należała do kategorii gospodyń, które zaznaczają poziom wina lub ziarna w dzbanach, żeby sprawdzić, czy niewolnicy nie kradną, i z wielką przyjemnością kazała ich chłostać, gdy coś podejrzewała.

– Nigdy nie pochwaliła ani mnie, ani Kwintusa, Tironie – powiedział Cycero. – Chociaż bardzo się starałem ją zadowolić.

Cycero zatrzymał się, żeby popatrzeć na pola i szybko płynącą, lodowatą rzekę Fibrenus. Na środku rzeki była mała wyspa, porośnięta zagajnikiem otaczającym niewielki, rozpadający się pawilon.

– Jako chłopiec, tam zwykle przesiadywałem – wspominał z tęsknotą. – Ileż godzin tam spędziłem! Wyobrażałem sobie, że będę drugim Achillesem, choć raczej w sądzie niż na polu bitwy. Znasz Homera: „Zmierzaj daleko, wyprzedzając wszystkich”.

Cycero na chwilę zamilkł. Uznałem, że to dobra okazja, żeby przedstawić mu swój plan. Przypuszczam, że dość nieporadnie wybełkotałem, iż mógłbym tu zostać i doprowadzić majątek do porządku. Senator przez cały czas patrzył na wyspę ze swojego dzieciństwa.

– Dobrze cię rozumiem – powiedział z westchnieniem, gdy wreszcie skończyłem. – Ja też to czuję. To ojczyzna moja i mojego brata, gdyż wywodzimy się z rodziny, która od dawna tu mieszka. To miejsce kultu naszych przodków, miejsce naszej rasy, tutaj są liczne pamiątki po naszych pradziadach. Cóż mogę dodać? – Spojrzał na mnie. Zauważyłem, że choć ostatnio dużo

plakał, jego oczy były czyste i niebieskie. – Zastanów się jednak, co widzieliśmy w ciągu tego tygodnia. Puste, bezsensowne skorupy tych, których kochaliśmy. Pomyśl, jaką straszliwą chwilą prawdy jest śmierć. – Potrzęsnał mocno głową, tak jakby chciał się pozbyć złych snów, po czym znowu wpatrzył się w krajobraz. – Chwilę później dodał zupełnie innym tonem: – Zapewniam cię, że sam chcę umrzeć dopiero wtedy, gdy całkowicie wyczerpię swój talent i gdy nie zostanie mi w nogach dość energii, żeby przejść nawet milę. A twoim przeznaczeniem, mój drogi, jest towarzyszyć mi w tej drodze. – Staliśmy obok siebie. Cycero delikatnie szturchnął mnie łokciem w żebra. – Daj spokój, Tironie! Sekretarz, który potrafi zapisywać moje słowa niemal tak szybko, jak je wypowiadam, nie może się marnować! Taki cud nie może liczyć owiec w Arpinum! Skończmy zatem rozmowę o takich głupstwach.

Tak zakończyły się moje marzenia o wiejskiej idylli. Wróciliśmy do domu, a później tego popołudnia – a może następnego dnia – pamięć płata nam takie figle – usłyszeliśmy tętent konia galopującego drogą od strony miasta. Pamiętam, że padał deszcz i wszyscy siedzieli poirytowani w domu. Cycero czytał, Terencja szyła, Kwintus ćwiczył wyciąganie miecza z pochwy, a Pomponia leżała, bo bolała ją głowa. (Nadal twierdziła, że polityka jest „nudna”, co doprowadzało Cyncerona do gorączki, choć panował nad sobą. „Co za głupota – powiedział mi kiedyś. – Polityka ma być nudna? Polityka to historia z rozwiniętymi skrzydłami! Jaka inna dziedzina ludzkiej aktywności wyzwala jednocześnie wszystko co najlepsze i najgorsze w ludzkich duszach? Co powoduje takie podniecenie? Co lepiej wyraża nasze silne i słabe strony? Nudna? Równie dobrze można powiedzieć, że życie jest nudne!”). W każdym razie po chwili usłyszeliśmy, że koń zwolnił. Wszedłem powitać jeźdźca i wziąłem od niego list z pieczęcią Pompejusza Wielkiego. Cycero osobiście go

otworzył i wydał okrzyk zdziwienia. „Rzym został zaatakowany!” – obwieścił. Nawet Pomponia na chwilę podniosła się z łoża. Cycero szybko czytał. Piraci podpalili flotę konsularną, która zatrzymała się na zimę w Ostii. Porwali również dwóch pretorów, Sekstyliusza i Bellinusa. Te wszystkie akcje miały po prostu wzbudzić powszechne przerażenie. W stolicy doszło do paniki. Ludzie domagali się podjęcia stanowczych działań. „Pompejusz chce, żebym natychmiast do niego przyjechał – powiedział nam Cycero. – Zwołał na pojutrze radę wojenną w swojej wiejskiej posiadłości”.

## XI

Zostawiliśmy innych i ruszyliśmy w drogę powrotną. Jechaliśmy szybko dwukołowym powozem (Cycero nigdy nie jeździł wierzchem, jeśli tylko mógł tego uniknąć), dzięki czemu następnego dnia wieczorem dotarliśmy do willi w Tuskulanum. Majątek Pompejusza leżał po drugiej stronie Góry Albańskiej, zaledwie pięć mil na południe. Szybki powrót pana zaskoczył leniwych niewolników domowych, którzy musieli pośpiesznie zrobić porządek. Cycero wykapał się i poszedł do łóżka, ale nie sędzę, żeby dobrze spał, ponieważ wydawało mi się, że słyszałem, jak w środku nocy kręcił się w bibliotece, a rano znalazłem na jego stole rozwinięty egzemplarz *Etyki nikomachejskiej* Arystotelesa. Politycy to jednak odporni ludzie. Gdy udałem się do jego pokoju, był już ubrany i chciał jak najszybciej poznać plany Pompejusza. Pojechaliśmy do niego, gdy tylko się rozwidniło. Nasza droga prowadziła wzdłuż brzegu rozległego Jeziora Albańskiego, a gdy różowe słońce weszło nad ośnieżoną grań, zobaczyliśmy sylwetki rybaków wyciągających sieci z błyszczącej wody. „Czy jest na świecie jakiś kraj piękniejszy od Italii?” – mruknął Cycero, głęboko oddychając. Nie powiedział

tego głośno, ale wiedziałem, o czym myślał, ponieważ sam tak myślałem: Nic tak skutecznie jak śmierć nie wzmacnia poczucia życia. Jaką ulgą było wyrwanie się z przygnębiającej atmosfery żałoby w Arpinum!

Wreszcie skręciliśmy z drogi i przez dwie imponujące bramy wjechaliśmy na długi, wysypany żwirem podjazd w szpalerze cyprysów. Po obu stronach drogi widać było starannie utrzymane ogrody ozdobione licznymi marmurowymi posągami, które Pompejusz bez wątpienia zdobył podczas swych licznych kampanii. Ogrodnicy grabili liście i przycinali żywopłoty. W tej rozległej rezydencji czuć było spokojną pewność siebie, jaką daje bogactwo. Gdy Cycero wchodził do wielkiego domu, szepnął do mnie, bym trzymał się za nim. Wślizgnąłem się do środka, niosąc zwój z dokumentami. (Nawiasem mówiąc, radzę wszystkim, którzy nie chcą zwracać na siebie uwagi, żeby nosili dokumenty. Działają one lepiej niż czapka niewidka z greckich bajek). Pompejusz witał gości w atrium, odgrywając wielkiego pana i właściciela ziemskiego. Towarzyszyła mu trzecia żona, Mucja, z jedenastoletnim synem Gnejuszem i małą Pomponią, która dopiero niedawno nauczyła się chodzić. Mucja była przystojną, posagową kobietą z rodu Metellusów. Dobiegała trzydziestki i widać było, że jest znowu w ciąży. Jak się później przekonałem, jedną z osobliwości Pompejusza było to, że zawsze kochał aktualną żonę, niezależnie od tego, kim była. Śmiała się właśnie z jakiejś uwagi mężczyzny, z którym rozmawiała. Gdy ten się obrócił, poznałem Juliusza Cezara. Zaskoczyło mnie to, a z pewnością zdziwiło również Cycerona, ponieważ do tej pory zauważyliśmy tylko dobrze nam znaną trójkę z Picenum: Palkanusa, Afraniusza i Gabiniusza. Ponadto Cezar od ponad roku przebywał w Hiszpanii jako kwestor. Nie ulegało jednak wątpliwości, że stał przed nami – szczupły, dobrze zbudowany, z

suchą, inteligentną twarzą, wesołymi brązowymi oczami i rzadkimi pasmami ciemnych włosów, które tak starannie układał na spalonej słońcem czaszce. (Czemu jednak tracę czas na ten opis? Cały świat wie, jak on wyglądał!).

W sumie tego ranka u Pompejusza zebrało się ośmiu senatorów: on sam, Cycero, Cezar, trzech wspomniani Picenejczycy, Warron, domowy intelektualista Pompejusza, liczący wówczas pięćdziesiąt lat, oraz Gajusz Korneliusz, który służył pod dowództwem Pompejusza w Hiszpanii jako kwestor, a teraz był, podobnie jak Gabiniusz, trybunem-elektem. Wbrew moim obawom moja obecność nie rzuciła się w oczy, ponieważ inni również przyprawdzili sekretarzy lub asystentów. Wszyscy staliśmy skromnie pod ścianą. Po lekkim posiłku wyprowadzono dzieci, a pani Mucja pożegnała się kolejno ze wszystkimi gośćmi – zatrzymując się nieco dłużej przy Cezarze. Niewolnicy wnieśli krzesła, tak aby wszyscy mogli usiąść. Już miałem wyjść razem ze wszystkimi asystentami, gdy Cycero zaproponował Pompejuszowi, żebym został i protokołował, gdyż byłem znany w całym Rzymie jako wynalazca nowego systemu stenografii. Zaczerwieniłem się z zakłopotania. Pompejusz popatrzył na mnie podejrzliwie, a w końcu wzruszył ramionami. „Dobrze – powiedział. – Protokół może się przydać. Ma jednak sporządzić tylko jedną kopię i ja ją zatrzymam. Czy wszyscy się zgadzają?”. Rozległ się szmer potakiwań. Przyniesiono dla mnie taboret. Usiadłem w kącie z otwartym notatnikiem, trzymając rylec w spoczonej dłoni.

Krzesła ustawiono w półkole, a gdy wszyscy goście usiedli, Pompejusz wstał. Jak już powiedziałem, na forum publicznym nie był on wielkim mówcą, ale tu, u siebie, wśród ludzi, których uważał za swoich podwładnych, potrafił okazać siłę i autorytet. Choć musiałem oddać dosłowny zapis przemówienia, dobrze je

pamiętam, ponieważ spisałem je z notatek, a to zawsze ułatwia zapamiętanie. Pompejusz rozpoczął od przekazania szczegółowych wiadomości o ataku piratów na Ostię. Zniszczyli dziewiętnaście trirem, zabili kilkuset ludzi, spalili magazyny ze zbożem, porwali dwóch pretorów – jeden przeprowadzał inspekcję spichrzów, drugi floty – w ich oficjalnych szatach, z otoczeniem i ceremonialnymi różgami. Poprzedniego dnia do Rzymu dotarła wiadomość z żądaniem okupu.

– Ze swej strony – ciągnął – uważam, że nie powinniśmy negocjować z takimi ludźmi, gdyż to tylko zachęci ich do dalszych zbrodni”. (Wszyscy pokiwali głowami na znak zgody). Napad na Ostię – kontynuował Pompejusz – był zwrotnym punktem w historii Rzymu. Nie był to odosobniony incydent, lecz najbardziej bezczelny z długiej serii ataków. Wcześniej piraci między innymi porwali szlachetną Antonię z jej willi w Miseneum (jej ojciec dowodził wyprawą przeciw piratom!), złupili świątynię w Krotonie, napadli na Brundyzjum i Caietę. Gdzie uderzą ponownie? Rzym stanął w obliczu zagrożenia zupełnie innego niż podczas konfliktu z konwencjonalnym przeciwnikiem.

Piraci byli bezwzględnyimi wrogami, których nie reprezentował żaden rząd i nie obowiązywały żadne traktaty. Mieli bazy w różnych krajach. Nie mieli jednolitego systemu dowodzenia. Stanowili światową zarazę, byli pasożytami, które należało wytępić, bo w przeciwnym razie Rzym – mimo swej przygniatającej przewagi wojskowej – nie zazna już pokoju i poczucia bezpieczeństwa. Istniejący narodowy system wojskowy, zakładający jednorazowe powierzenie osobom o randze konsula dowodzenie wojskami przez określony czas na ograniczonym teatrze działań, był jawnie niedostosowany do tego wyzwania.

– Na długo przed Ostia poświęciłem wiele czasu na przemyślenie tego problemu – oświadczył Pompejusz. – Moim zdaniem

ten wyjątkowy przeciwnik wymaga wyjątkowej odpowiedzi. Oto co powinniśmy zrobić. – Pompejusz klasnął i dwaj niewolnicy wnieśli dużą mapę Morza Śródziemnego, którą postawili za nim, pod ścianą. Goście pochylili się do przodu, żeby lepiej widzieć, ponieważ na mapie narysowane były tajemnicze, pionowe linie, przecinające morze i ląd. – Podstawą naszej strategii od tej pory musi być połączenie akcji militarnej i politycznej – kontynuował Pompejusz. – Wykorzystamy w walce wszystkie środki, którymi dysponujemy. – Wziął wskazówkę i popukał nią w mapę. – Proponuję podzielić basen Morza Śródziemnego na piętnaście stref, od Słupów Herkulesa na zachodzie, do wybrzeży Egiptu i Syrii na wschodzie. Każda strefa będzie miała swojego legata. Do zadań legata będzie należało oczyszczenie swojego terenu z piratów i podpisanie traktatów z lokalnymi władcami, które zapewnią, że bandyckie okręty już nie wrócą na ich wody. Wszyscy złapani piraci będą przekazywani rzymskim władzom. Każdy władca, który odmówi współpracy, zostanie uznany za wroga Rzymu. Ci, którzy nie są z nami, są przeciw nam. Legaci będą podporządkowani wyłącznie najwyższemu dowódcy, który będzie miał całkowitą władzę na terenach w odległości pięćdziesięciu mil od brzegu. Ja obejmę stanowisko dowódcy.

Zapadła długa cisza. Przerwał ją Cycero.

– To z pewnością śmiały plan, Pompejuzu, ale niektórzy mogliby uznać, że to nieproporcjonalna odpowiedź na utratę dziewiętnastu trirem. Zdajesz sobie sprawę, że w całej historii republiki nikt nie zaproponował skoncentrowania takiej władzy w jednych rękach?

– W istocie, zdaję sobie z tego sprawę – odrzekł Pompejusz. Starał się zachować powagę, ale w końcu uśmiechnął się szeroko. Wszyscy się roześmiali, z wyjątkiem Cycerona, który wyglądał tak, jakby właśnie nastąpił koniec świata. W pewnym



sensie tak właśnie było, gdyż jak później wyjaśnił, plan ten oznaczał powierzenie władzy nad światem jednemu człowiekowi, a nie miał on większych wątpliwości, do czego to doprowadzi. „Zapewne powinienem był od razu stamtąd wyjść – powiedział mi w drodze powrotnej. – Biedny, uczciwy Lucjusz z pewnością namawiałby mnie do tego. Jednak Pompejusz i tak zabrałby się do realizacji tego planu, z moją współpracą lub bez niej, uznaliby mnie za wroga i straciłbym wszelkie szanse na wybór na stanowisko pretora. Na wszystko, co teraz robię, należy patrzeć przez pryzmat tych wyborów”.

Rzecz jasna, Cyncero nie wyszedł. Przez kilka godzin toczyła się dyskusja o różnych kwestiach, od wielkiej strategii wojskowej do przyziemnej taktyki politycznej. Zgodnie z planem po objęciu urzędu – czyli za tydzień – Gabiniusz miał przedstawić zgromadzeniu ludowemu projekt ustawy, zakładającej utworzenie specjalnego dowództwa i powierzenie go Pompejuszowi. Potem on i Korneliusz mieli rzucić pozostałym trybunom wyzwanie i spytać czy któryś ośmieli się ją zawetować. (Należy pamiętać, że w tamtych czasach tylko zgromadzenie ludowe miało prawo uchylać ustawy; senat miał na to wpływ, ale nie decydował – senatorzy mieli wypełniać wolę ludu).

– A co ty o tym sądzisz, Cynceronie? – spytał Pompejusz. – Dotychczas niewiele się odzywałeś.

– Mogę powiedzieć – ostrożnie odrzekł Cyncero – że Rzym ma szczęście, iż w chwili zagrożenia ma do dyspozycji człowieka o takim doświadczeniu i globalnej wizji jak ty. Musimy jednak być realistami. Propozycja ta napotka wielki opór w senacie. Zwłaszcza arystokraci będą krzyczeli, że jest to nic innego jak brutalna próba zdobycia władzy w przebraniu patriotycznej konieczności.

- To mi się nie podoba – oświadczył Pompejusz.
- To może ci się nie podobać, ale mimo to będziesz musiał jednak udowodnić, że tak nie jest – odparł Cyncero, który wiedział, że przyjęcie ostrego tonu w rozmowie z wielkim człowiekiem jest jednym z najlepszych sposobów zdobycia zaufania, ponieważ w ten sposób sprawia się wrażenie bezinteresownego i szczerego. – Senatorzy będą również twierdzić, że dowodzenie kampanią przeciw piratom jest dla ciebie tylko odskocznią do osiągnięcia prawdziwego celu, jakim jest zastąpienie Lukullusa na stanowisku dowódcy legionów na wschodzie. – Pompejusz nic na to nie odpowiedział, tylko niechętnie mruknął. Nie mógł zaprzeczyć, że to jest jego celem. – W końcu trzeba wziąć pod uwagę, że oni postarają się znaleźć jednego lub dwóch trybunów, którzy zawetują ustawę Gabiniusza.
- Wygląda na to, że nie powinienes tu być, Cynceronie – zaszydził Gabiniusz. Było w nim coś z eleganta. Miał gęste, falujące włosy, które czesał do tyłu, naśladując swojego dowódcę. – Osiągnięcie naszego celu będzie wymagało śmiałych serc i zapewne mocnych pięści, nie zaś zastrzeżeń sprytnego prawnika.
- Gabiniuszu, lepiej mi uwierz, że nim skończysz, będziesz potrzebował śmiałych serc, mocnych pięści i sprytnych prawników – odrzekł Cyncero. – Gdy tylko stracisz prawną ochronę, jaka zapewnia ci immunitet trybuna, arystokraci pozwą cię i będziesz walczył w sądzie o życie. Będziesz potrzebował sprytnego prawnika, i to bardzo. To dotyczy również ciebie, Korneliuszu.
- Idźmy dalej – wtrącił Pompejusz. – Przedstawiłeś problemy. Czy masz jakieś rozwiązania?
- Przede wszystkim – powiedział Cyncero – zdecydowanie namawiam, żeby w ustawie o ustanowieniu najwyższego dowództwa nie było twojego nazwiska.

– Ale to był mój pomysł! – zaprotestował Pompejusz, zupełnie jak dziecko, któremu koledzy odbierają ulubioną zabawkę.

– To prawda, ale ostrożniej będzie nie wymieniać od razu nazwiska dowódcy. W przeciwnym razie na tobie skupi się zazdrość i wściekłość senatorów. Nawet rozsądni ludzie, na których zwykle możemy liczyć, będą temu niechętni. Centralnym problemem musi być pokonanie piratów, nie zaś przyszłość Pompejusza Wielkiego. Wszyscy i tak będą wiedzieli, że to ty masz objąć nowe stanowisko. Nie trzeba tego głośno mówić.

– Co mam jednak powiedzieć, gdy będę przedstawiał ustawę zgromadzeniu ludowemu? – spytał Gabiniusz. – Że byle głupiec z ulicy może zostać dowódcą?

– Oczywiście, że nie – odrzekł Cyncero, usilnie starając się zachować cierpliwość. – Ja skreśliłbym nazwisko „Pompejusz” i wstawiłbym określenie „senator w randze konsula”. To ograniczy liczbę kandydatów do piętnastu czy dwudziestu byłych konsulów.

– Kto z nich może kandydować? – spytał Afraniusz.

– Krassus – natychmiast powiedział Pompejusz. Nigdy nie zapominał o swoim starym wrogu. – Może Katulus. Jeszcze Metellus Pius – ramol, ale jeszcze się liczy. Hortensjusz ma wielu zwolenników. Publiusz Izaurykus. Geliusz. Kotta. Kurio. Może nawet bracia Lukullusowie.

– Jeśli naprawdę się tym martwisz, to możemy napisać, że najwyższym dowódcą ma zostać były konsul, którego nazwisko zaczyna się na P – rzucił Cyncero. Przez chwilę nikt nie zareagował i bałem się już, że posunął się za daleko. Jednak Cezar odrzucił głowę do tyłu i głośno się zaśmiał. Pozostali, widząc, że Pompejusz próbuje się uśmiechnąć, również wybuchli śmiechem. – Wierz mi, Pompejuszu – kontynuował Cyncero uspokajającym tonem – niemal wszyscy oni są za starzy i za leniwi,

żeby stanowili zagrożenie. Twoim największym rywalem będzie Krassus, po prostu dlatego, że jest bogaty i ci zazdrości. Jeśli jednak przyjdzie do głosowania, pokonasz go z wielką przewagą, mogę ci to obiecać.

– Zgadzam się z Cyceronem – wtrącił Cezar. – Powinniśmy pokonywać przeszkody po kolei. Najpierw stanowisko najwyższego dowódcy. Potem jego nazwisko. – Byłem zaskoczony jego autorytatywnym tonem, bo był najmłodszy ze wszystkich.

– Dobrze – zgodził się Pompejusz, rozważnie kiwając głową. – Sprawa jest rozstrzygnięta. Centralnym zagadnieniem ma być zagrożenie ze strony piratów, nie zaś przyszłość Pompejusza Wielkiego.

Na tym obrady przerwano i uczestnicy konferencji udali się na obiad.

Teraz nastąpił przykry incydent, który opisuję z niemałym zakłopotaniem, ale sądzę, że muszę to zrobić ze względów historycznych. Gdy senatorowie jedli obiad, a później spacerowali po ogrodzie, przez kilka godzin pośpiesznie przepisywałem stenogram, sporządzając normalny protokół, który mógłbym oddać Pompejuszowi. Gdy skończyłem, przyszło mi do głowy, że powinienem pokazać protokół Cyceronowi, na wypadek gdyby chciał coś zmienić. Sala, w której odbywała się konferencja, była pusta, podobnie jak atrium, ale słyszałem charakterystyczny głos senatora, więc ruszyłem w tamtym kierunku, trzymając pod pachą zwój papirusu. Przeciąłem otoczony kolumnadą dziedziniec z szumiącą fontanną, a potem przeszedłem do wewnętrznego ogrodu. Tu już nie słyszałem głosu Cycerona. Zatrzymałem się, nasłuchując. Słyszałem tylko śpiew ptaków i bulgot wody. Nagle, gdzieś blisko, usłyszałem jęk kobiety, jak w agonii. Był tak głośny i wyraźny, że aż podskoczyłem. Jak

ostatni głupiec, obróciłem się, wszedłem na schody i przez otwarte drzwi pokoju zobaczyłem Cezara z żoną Pompejusza. Pani Mucja nie widziała mnie. Trzymała głowę między ramionami, miała suknię podciągniętą do pasa i pochylała się nad stołem, trzymając krawędzie tak mocno, że aż zbielały jej palce. Natomiast Cezar mnie zauważył, ponieważ stał za nią, twarzą do drzwi. Prawą rękę trzymał na jej nabrzmiałym brzuchu, a lewą oparł niedbale na biodrze, jak elegancik stojący na rogu ulicy. Trudno mi powiedzieć, jak długo patrzyliśmy sobie w oczy, ale nawet teraz czuję spojrzenie tych jego ciemnych oczu, przenikające przez chaos i dym tych wszystkich lat – rozbawione, bezwstydne, wyzywające. Uciekłem.

Prawie wszyscy senatorowie wrócili już do sali konferencyjnej. Cycero rozmawiał o filozofii z Warronem, najwybitniejszym rzymskim uczonym, którego prace filologiczne i historyczne bardzo podziwiałem. Przy każdej innej okazji poznanie go byłoby dla mnie zaszczytem, ale w głowie wciąż miałem mętlik wywołany sceną, której byłem świadkiem, dlatego nie zapamiętałem nawet jednego słowa z krótkiej wymiany zdań. Podałem Cyceronowi protokół; przejrzał go, nie przerywając rozmowy, wziął ode mnie pióro i wprowadził jedną poprawkę. Pompejusz widocznie zauważył, co on zrobił, bo podszedł z szerokim uśmiechem na twarzy. Udając gniew, odebrał Cyceronowi protokół, oskarżając go o wprowadzanie obietnic, których nigdy nie złożył – „choć, jak sądzę, możesz liczyć na mój głos w wyborach na stanowisko pretora” – powiedział, poklepując go po plecach. Jeszcze przed chwilą uważałem Pompejusza z kogoś w rodzaju boga wśród zwykłych śmiertelników – hałaśliwego, pewnego siebie bohatera wojennego – ale teraz, po tym, co zobaczyłem, wydał mi się nieco smutny.

– To naprawdę godne uwagi – powiedział do mnie, wodząc wielkim palcem wskazującym wzdłuż kolejnych linijek tekstu. –

Zapisałeś dokładnie to, co mówiłem. Ile za niego chcesz, Cyceronie?

– Odrzuciłem już kolosalną ofertę Krassusa – odrzekł senator.

– Jeśli kiedyś dojdzie do licytacji, koniecznie mnie zawiadom – wtrącił Cezar szorstkim głosem. Podszedł do nas zza pleców Pompejusza. – Bardzo chciałbym mieć Tirona w swoich rękach – dodał, ale w tak przyjazny sposób, z porozumiewawczym mrugnięciem, że nikt poza mną nie dosłyszał w tych słowach groźby. Ja niemal zemdlałem z przerażenia.

– Dzień, w którym rozstanę się z Tironem – powiedział Cy-cero, trafnie prorokując, jak się okazało – będzie moim ostatnim dniem na forum publicznym.

– Teraz podwójnie mi zależy na tym, żeby go kupić – zażartował Cezar. Cy-cero i pozostali roześmiali się z dowcipu.

Uzgodniono, że wszystko, co zostało powiedziane, ma pozostać w tajemnicy i wyznaczono termin następnego spotkania w Rzymie, po czym goście Pompejusza się rozjechali. Gdy przejechaliśmy przez bramę i znaleźliśmy się na drodze do Tuskulum, Cy-cero dał wreszcie upust frustracji. Uderzył dłonią w bok powozu.

– Przystępczy spisek! – powiedział, kręcąc głową. – Gorzej, to głupi, przestępczy spisek. Na tym polega problem, Tironie, gdy żołnierze biorą się do polityki. Wyobrażają sobie, że wystarczy, jeśli wydadzą rozkazy, a wszyscy będą ich słuchać. Nie potrafią zrozumieć, że to, co decyduje o ich popularności – udają wielkich patriotów, trzymających się z daleka od brudnej polityki – musi ostatecznie stać się przyczyną ich porażki. Albo rzeczywiście nie będą się mieszać do polityki, a wtedy niczego nie osiągną, albo pogrążą się w błocie razem z nami i zademonstrują, że są takimi nędznikami jak wszyscy. – Cy-cero popatrzył

na ciemne jezioro, słabo oświetlone zimowym słońcem. – A jak oceniasz Cezara? – spytał nagle. Odpowiedziałem niezobowiązująco, że wydaje się bardzo ambitny. – Z pewnością jest ambitny. Do tego stopnia, że dziś miałem kilka razy wrażenie, iż ten cały fantastyczny schemat jest jego pomysłem, nie zaś Pompejusza. To przynajmniej wyjaśniłoby jego obecność.

Przypomniałem, że Pompejusz przedstawił ten plan jako swoją koncepcję.

– Bez wątpienia jest o tym przekonany. To jednak leży w jego naturze. Jeśli coś mu powiesz, wkrótce usłyszysz to od niego jako jego własne słowa. „Centralnym zagadnieniem musi być pokonanie piratów, nie zaś przyszłość Pompejusza Wielkiego”. To typowy przykład. Kilka razy, dla zabawy, w rozmowie z nim wygłaszałem słowa sprzeczne z moją oryginalną tezą i czekałem, ile czasu minie, nim usłyszę mój kontrargument. – Zmarszczył brwi i pokiwał głową. – Jestem pewny, że mam rację. Cezar jest dostatecznie sprytny, żeby posiać ziarno i poczekać, aż wyrośnie z niego kwiat. Ciekaw jestem, od jak dawna gości u Pompejusza. Wydaje się zadowolony.

Już chciałem mu powiedzieć, czego byłem świadkiem, ale strach przed Cezarem, nieśmiałość, poczucie, że Cyncero nie będzie ze mnie zadowolony – uzna, że w jakiś sposób zbrukałem się, opowiadając o takich scenach – te czynniki zadecydowały, że ugryzłem się w język. Dopiero wiele lat później – już po śmierci Cezara, gdy nie mógł mi zaszkodzić, a ja nabrałem pewności siebie – opowiedziałem Cynceronowi o tym zdarzeniu. Cyncero, wówczas już starszy człowiek, długo milczał.

– Rozumiem twoją dyskrecję – powiedział wreszcie – i z wielu względów ją pochwalam. Muszę jednak wyznaczyć, drogi przyjacielu, że wolałbym, abys mnie wtedy poinformował o

tym zdarzeniu. Być może wówczas zdarzenia potoczyłyby się inaczej. W każdym razie lepiej zdawałbym sobie sprawę, z jakim niesamowicie śmiałym człowiekiem mieliśmy do czynienia. Gdy to wreszcie zrozumiałem, było już za późno.

Wróciliśmy do Rzymu kilka dni później. Miasto trzęsło się od plotek. Wszyscy mogli zobaczyć pożar Ostii – w nocy, na zachodzie widać było czerwoną poświatę. Taki atak na stolicę był czymś bezprecedensowym, a gdy Gabiniusz i Korneliusz objęli urzędy trybunów dziesiątego grudnia, postarali się rozdmuchać iskry społecznego niepokoju, tak aby wybuchły płomienie paniki. Za ich sprawą przy bramach miasta rozstawiono dodatkowe straże. Zatrzymywano i rewidowano przypadkowo wybierane wozy i przechodniów w poszukiwaniu broni. W dzień i w nocy patrole pilnowały nabrzeży i magazynów. Surowo karano obywateli skazanych za gromadzenie ziarna, czego nieuchronnym skutkiem był brak żywności na trzech ówczesnych największych rynkach w Rzymie – Emporium, Macellum i Forum Boarium. Energiczni nowi trybuni wezwali bezradnego, odchodzącego konsula Marcjusza Rexa na zgromadzenie ludowe, gdzie poddali go bezwzględnemu przesłuchaniu w sprawach rzekomych zaniedbań bezpieczeństwa, które doprowadziły do fiaska w Ostii. Inni świadkowie zeznawali o zagrożeniu ze strony piratów i z każdą relacją zagrożenie stale rosło. Mają tysiąc okrętów! Nie są to niezależnie działający bandyci, lecz zorganizowany spisek! Mają swoich admirałów, okręty są podzielone na eskadry, uzbrojone w zatrute strzały i miotacze ognia greckiego! Nikt w senacie nie miał odwagi sprzeciwić się temu, żeby nie sprawić wrażenia, iż lekceważy zagrożenie – nawet gdy wzdłuż drogi z Rzymu do morza zainstalowano łańcuch latarni,



które miały zostać zapalone, jeśli u ujścia Tybru pojawią się pirackie okręty. „To czysty absurd – powiedział do mnie Cyncero, gdy pewnego ranka poszliśmy zobaczyć najbardziej rzucające się w oczy symbole zagrożenia państwa. – Jaki zdrowy na umyśle pirat wpadłby na pomysł popłynięcia dwudziestu mil w głąb łądu, dobrze widoczną rzeką, żeby zaatakować ufortyfikowane miasto?”. Pokręcił głową, zrozpaczony łatwością, z jaką pozbawieni skrupułów politycy mogą manipulować strachliwą ludnością. Cóż mógł uczynić? Sojusz z Pompejuszem zmuszał go do zachowania milczenia.

Siedemnastego grudnia rozpoczęły się kilkudniowe Saturnalia. Z oczywistych powodów nie były to najbardziej udane święta, ale rodzina Cyncerona nie zaniedbała zwyczaju wymiany prezentów, niewolnicy otrzymali dzień wolny, a państwo zjedli z nami posiłek. Nikt jednak naprawdę się nie cieszył. Kiedyś Lucjusz był duszą towarzystwa, ale on już zmarł. Terencja, jak sądzę, wierzyła wcześniej, że zaszła w ciążę i tuż przed świętami przeżyła rozczarowanie. Teraz martwiła się, że być może nigdy nie urodzi syna. Pomponia, jak zwykle, narzekała na męża. Nawet mała Tulia nie mogła poprawić nastroju wszystkich domowników.

Cyncero spędził prawie całe Saturnalia w swoim gabinecie, ponuro rozmyślając o nienasyconej ambicji Pompejusza i konsekwencjach tego faktu dla kraju i swoich perspektyw politycznych. Do wyborów zostało już tylko osiem miesięcy. Cyncero i Kwintus przygotowali listę prawdopodobnych kandydatów. Cyncero mógł się spodziewać, że z grona zwycięzców będą się wywodzili jego przyszli rywale w wyborach konsularnych. Dwaj bracia godzinami omawiali różne możliwości i układy. Wydawało mi się, ale zachowałem tę myśl dla siebie, że brakowało im mądrości zmarłego kuzyna. Wprawdzie Cyncero zwykł żartować, że gdy chce wiedzieć, co nakazuje polityczna przebiegłość, zawsze

pyta o zdanie Lucjusza i potem postępuje dokładnie odwrotnie do jego rad, kuzyn był jednak stałą gwiazdą, względem której Cyncero mógł nawigować. Bez niego bracia musieli polegać na sobie, a choć byli bardzo sobie oddani, nie zawsze podejmowali mądre decyzje.

W tej atmosferze, ósmego lub dziewiątego stycznia, gdy po zakończeniu festynu łatyńskiego na powrót poważnie zajęto się polityką, Gabiniusz w końcu wszedł na rostra, żeby zająć utworzenia nowego stanowiska najwyższego dowódcy. Mówię tutaj, chciałbym wyjaśnić, o starej republikańskiej mównicy, zupełnie innej niż przekłete, ozdobne pudło, jakie mamy dzisiaj. Dawna trybuna, już zniszczona, stanowiła serce rzymskiej demokracji: była to długa, zakrzywiona platforma, ponad dwa razy wyższa od człowieka, ozdobiona pomnikami dawnych bohaterów, z której konsulowie i trybuni przemawiali do ludu. Trybuna była ustawiona tyłem do budynku senatu, przodem śmiało zwrócona do rozległego forum, z wystającymi z muru sześcioma dziobami okrętów – *rostra* – od których wywodziła się jej nazwa (dzioby pochodziły z kartagińskich okrętów i zostały zdobyte w morskiej bitwie trzy wieki wcześniej). Z tyłu znajdował się ciąg schodów, jeśli potraficie sobie to wyobrazić, dzięki czemu urzędnicy mogli wyjść z senatu lub siedziby trybunów, przejść pięćdziesiąt kroków, wejść na schody, stanąć na trybunie i przemówić do tysięcy ludzi, mając po obu stronach fasady dwóch wielkich bazylik i świątynię Kastora prosto przed sobą. Tego styczniowego dnia Gabiniusz stanął rano na trybunie i gładko oświadczył pewnym tonem, że Rzym potrzebuje mocnego człowieka, który pokieruje walką z piratami.

Cyncero, mimo wewnętrznych zastrzeżeń, z pomocą Kwintusa zrobił, co mógł, żeby na forum zgromadził się tłum. Picenejczyki zawsze mieli na wezwanie kilkuset weteranów. Jeśli do tego

dodać tych, którzy wciąż kręcili się wokół Basilica Porcia oraz obywateli załatwiających normalne sprawy na forum, to według mnie niemal tysiąc ludzi usłyszało, jak Gabiniusz wylicza, co jest konieczne, żeby pokonać piratów: najwyższy dowódca w randze konsula, sprawujący przez trzy lata władzę na terenach położonych pięćdziesiąt mil od brzegu, piętnastu legatów w randze pretora do pomocy najwyższemu dowódcy, swobodny dostęp do skarbu państwa, pięćset okrętów wojennych oraz prawo do sformowania armii liczącej sto dwadzieścia tysięcy piechoty i pięć tysięcy jazdy. Te zdumiewające liczby i żądania stanowiły prawdziwą sensację. Gdy Gabiniusz skończył pierwsze czytanie projektu ustawy i wręczył tekst urzędnikowi, żeby wywiesił go na zewnątrz bazyliki trybunów, na forum pojawili się Katulus i Hortensjusz, żeby sprawdzić osobiście, co się dzieje. Nie trzeba chyba dodawać, że Pompejusza nigdzie nie było widać, a członkowie grupy siedmiu (jak zaczęli się nazywać senatorowie skupieni wokół niego) stali każdy gdzie indziej, żeby nie wywoływać podejrzeń, iż uczestniczą w spisku. Arystokraci nie dali jednak się zwieść. „Jeśli to twoja robota – warknął Katulus do Cyclerona – to możesz powiedzieć swojemu panu, że czeka go walka”.

Arystokraci zareagowali jeszcze gwałtowniej, niż przewidywał Cycero. Po pierwszym czytaniu projektu ustawy musiały minąć trzy cotygodniowe dni targowe, nim można ją było przegłosować (ta reguła miała umożliwić mieszkańcom wsi przyjazd do miasta i zapoznanie się z proponowaną ustawą). Arystokraci mieli zatem czas do początku lutego, żeby zorganizować opór i nie tracili ani chwili. Dwa dni później została zwołana sesja senatu w celu przedyskutowania *lex Gabinia*, jak ją nazwano. Wbrew radzie Cyclerona, by trzymał się z daleka, Pompejusz uznał, że honor nakazuje mu wziąć udział w debacie i zgłosić swoje pretensje do nowego stanowiska. Chciał, żeby w drodze

do senatu towarzyszyła mu liczna eskorta, a ponieważ utrzymywanie tajemnicy już niczemu nie służyło, siedmiu senatorów utworzyło wokół niego straż honorową. Przyłączył się do nich Kwintus w nowiutkiej todze senatora – była to dopiero jego trzecia lub czwarta wizyta w izbie. Jak zwykle trzymałem się blisko Cyclerona. „Powinniśmy byli odgadnąć, że mamy kłopoty – lamentował później – gdy nie dołączył do nas żaden senator”.

Przejsie z Eskwilinu na forum wypadło zupełnie nieźle. Szeffowie okręgów wykonali swoje zadanie, na ulicach widać było rozentuzjasmowany tłum, a ludzie krzyczeli do Pompejusza, żeby uratował ich przed atakiem piratów. Pompejusz machał do ludzi jak właściciel ziemski do dzierżawców. Gdy jednak cała grupa weszła do sali senatu, powitały ją szydercze okrzyki i posypały się zgniłe owoce. Jeden trafił Pompejusza w ramię, zostawiając ogromną brązową plamę. Wielki wódz zapewne nigdy wcześniej nie znalazł się w takiej sytuacji. Zatrzymał się i rozejrzał dookoła w osłupieniu. Afraniusz, Palikanus i Gabiniusz otoczyli go ciasnym kręgiem, żeby osłonić dowódcę, zupełnie jakby znaleźli się na polu bitwy. Cycero nakłaniał ich gestami, żeby zajęli swoje miejsca, zapewne rozumując, że im szybciej to uczynią, tym szybciej skończy się demonstracja. Stałem przy wejściu do izby razem z innymi widzami; wejście zagradzała nam lina rozwieszona w drzwiach. Oczywiście wszyscy popieraliśmy Pompejusza, dlatego im ostrzej szydzili z niego senatorowie, tym głośniejsze oklaskiwaliśmy. Minęło sporo czasu, nim konsul przewodniczący obradom zdołał zaprowadzić porządek.

Nowymi konsulami byli stary przyjaciel Pompejusza Glabryon i arystokrata Kalpurniusz Pizon (nie należy go mylić z innym senatorem o tym samym nazwisku, o którym będzie mowa w tej opowieści, jeśli bogowie dadzą mi siły, żeby ją skończył). O tym, jak rozpaczliwa była sytuacja Pompejusza w senacie, wymownie świadczy fakt, że Glabryon wołał nie przyjść,

niż publicznie wystąpić przeciw człowiekowi, który zwrócił mu syna. Wobec tego obradom przewodniczył Pizon. Hortensjusz, Katulus, Publiusz Izaurykus, Marek Lukullus – brat dowódcy wschodnich legionów – i pozostali ze stronnictwa patrycjusza byli gotowi do ataku. Wśród przeciwników zabrakło trzech braci Metellusów: Kwintus był na Krecie, gdzie sprawował urząd namiestnika, a dwaj młodsi zachorowali i zmarli wkrótce po procesie Werresa, tak jakby los chciał udowodnić, że nie interesują go drobne ludzkie ambicje. Najbardziej niepokojące było jednak to, że *pedarii* – bezpretensjonalna, bierna masa senatorów, o których przyjaźń Cycero bardzo zabiegał – również byli wrogo nastawieni, a w najlepszym razie obojętni, do megalomana Pompejusza. Krassus rozparł się wygodnie na ławce konsularnej naprzeciwko, skrzyżował ramiona, wyciągnął wygodnie nogi i przyglądał się Pompejuszowi ze złowieszczym spokojem. Łatwo było zgadnąć, dlaczego zachowywał zimną krew. Bezoszczędnie za nim, niczym cenne zwierzęta kupione na targu, siedzieli dwaj nowi trybuni, Roscjusz i Trebeliusz. W ten sposób Krassus zawiadamiał cały świat, że wykorzystał swój majątek, żeby kupić nie jedno, a dwa weta i tym samym cała *lex Gabinia* nie przejdzie, niezależnie od tego, co wymyślą Cycero i Pompejusz.

Pizo skorzystał z przywileju konsula i pierwszy zabrał głos. „Mówca spokojny i bez polotu” – tak lekceważąco opisał go Cycero wiele lat później, ale tego dnia trudno się było tego domyślić. „Wiemy, co robisz! – krzyczał do Pompejusza pod koniec swej tyrazy. – Zdradzasz kolegów senatorów i chcesz zostać drugim Romulusem! Jak on chcesz zabić brata, żeby samemu rządzić! Pamiętaj jednak o losie Romulusa, którego zamordowali senatorowie, a ciało poćwiartowali i zabrali kawałki do swych domów!”. Pod wpływem tych słów arystokraci zerwali się na nogi. Ledwo widziałem profil Pompejusza – siedział

nieruchomo, wpatrywał się przed siebie i najwyraźniej nie mógł uwierzyć w to, co się działo.

Następny przemawiał Katulus, a po nim Publiusz Izaurykus. Najgorszy jednak był Hortensjusz. Niemal przez rok, od zakończenia kadencji konsula, Hortensjusz prawie nie pokazywał się na forum. Jego zięć, Cepion, ukochany starszy brat Katona, ostatnio zmarł służąc w armii na wschodzie. Córka Hortensjusza została wdową, a chodziły plotki, że „mistrz tańca” nie ma już sił w nogach, żeby kontynuować walkę. Teraz jednak wydawało się, że pod wpływem przesadnych ambicji Pompejusza wrócił na arenę jak odrodzony. Słuchając go, można było zrozumieć, jakim był groźnym przeciwnikiem w takich wyreżyserowanych sytuacjach, gdy chodziło o ważne problemy. Ani przez chwilę nie krzyczał i nie zniżył się do wulgarności, lecz elokwentnie przedstawił stare republikańskie credo: władza musi być podzielona, obwarowana ograniczeniami i odnawiana w corocznym głosowaniu, a choć osobiście nie ma Pompejuszowi nic do zarzucenia – przeciwnie, uważa, że jest najgodniejszym kandydatem na naczelnego dowódcę w całym Rzymie – to jednak *lex Gabinia* stanowiłaby niebezpieczny, sprzeczny z rzymskimi zasadami precedens. Nie wolno odrzucać starożytnych wolności tylko z powodu przelotnego zagrożenia ze strony piratów. Podczas tego przemówienia Cycero wiercił się na swoim miejscu. Trudno mi było pozbyć się myśli, że wygłosiłby dokładnie taką samą mowę, gdyby mógł swobodnie powiedzieć, co naprawdę myśli.

Hortensjusz zbliżał się już do zakończenia mowy, gdy z odległego miejsca blisko drzwi, gdzie kiedyś siedział Cycero, wstał Cezar i zażądał, żeby ten mu ustąpił. Natychmiast zakłócono pełną szacunku ciszę, w jakiej wszyscy słuchali słów wielkiego adwokata. Trzeba przyznać, że Cezar zademonstrował odwagę, podejmując walkę z Hortensjuszem w takiej atmosferze.

Stał, cierpliwie czekając, aż zrobi się na tyle cicho, by można było usłyszeć jego słowa. Mówił w swoim jasnym, przekonującym, bezlitosnym stylu. Nie ma nic sprzecznego z rzymskimi zasadami – powiedział – w dążeniu do pokonania piratów, którzy stanowili plagę na morzach. Sprzeczne z rzymskimi zasadami byłoby natomiast pragnienie osiągnięcia jakiegoś celu, ale odrzucanie środków, które do niego wiodą. Jeśli republika funkcjonowała tak doskonale, jak to opisał Hortensjusz, dlaczego w ogóle dopuszczono do tego, że zagrożenie ze strony piratów stało się tak poważne? Teraz, gdy piraci stali się tak potężni, jak można ich pokonać? Kilka lat temu, gdy wracał z Rodos, sam wpadł w ich ręce. Zażądali okupu za jego zwolnienie; gdy wreszcie odzyskał wolność, wrócił tam i wytropił wszystkich porywaczy, spełniając obietnicę, którą im złożył, gdy był w niewoli – że ich wszystkich ukrzyżuje! „To, Hortensjuszu, jest rzymski sposób postępowania z piratami – i to właśnie umożliwi nam *lex Gabinia*!”

Przemówienie Cezara przyjęto gniewnymi okrzykami i kocią muzyką. Gdy zajął swoje miejsce, okazując przeciwnikom całkowite lekceważenie, w drugim końcu izby wybuchła awantura. Wydaje mi się, że któryś z senatorów uderzył Gabiniusza, ten zaś oddał cios, ale po chwili znalazł się w trudnej sytuacji, gdyż liczni przeciwnicy powalili go na podłogę. Słysząc było krzyki i trzask przewracanych ławek. Straciłem z oczu Cycerona. Ktoś za mną krzyknął, że mordują Gabiniusza. Napór tłumu stał się tak wielki, że wyrwaliśmy linę zagrządzającą wejście i wpadliśmy do środka. Miałem szczęście – udało mi się zejść pod ścianę, gdy kilkuset zwolenników Pompejusza z plebsu (bardzo podejrzana zbieranina, muszę przyznać) podbiegło centralną alejką do podwyższenia dla konsulów i ściągnęło Pizona z krzesła kulnego. Jakiś prostak chwycił go za kark i przez chwilę wydawało się, że rzeczywiście dojdzie do morderstwa. Gabiniusz

zdołał jednak wstać i stanąć na ławce, by zademonstrować, że żyje, choć niewątpliwie nieco oberwał. Wezwał demonstrantów, żeby puścili Pizona. Po krótkiej dyskusji niechętnie uwolnili konsula. Masując sobie szyję, Pizon ochryplym głosem oświadczył, że przekłada obrady na później bez głosowania. W ten sposób, przynajmniej na krótko, republika została ocalona przed anarchią.

Takich gwałtownych scen nie widziano w rzymskiej dzielnicy rządowej już od ponad czternastu lat. Bójka w senacie zrobiła wielkie wrażenie na Cyceronie, choć sam wyszedł z niej bez szwanku, nie został naruszony nawet układ fałd jego togi. Gabiniusz krwawił z nosa i miał rozciętą wargę. Cycero pomógł mu opuścić izbę. Szli w pewnej odległości za Pompejuszem, który maszerował miarowym krokiem, jak w kondukcje pogrzebowym, nie oglądając się na boki. Pamiętam ciszę, w jakiej przemieszany tłum senatorów i plebejuszy rozstał się, żeby go przepuścić, zupełnie tak, jakby obie strony zorientowały się w ostatniej chwili, że toczą walkę na skraju przepaści i nagle oprzytomniały. Wyszliśmy na forum. Pompejusz wciąż się nie odzywał, a gdy skręcił w Argiletum, w kierunku swojego domu, sojusznicy poszli za nim, częściowo dlatego, że nie mieli nic lepszego do zrobienia. Afraniusz, który szedł za Pompejuszem, przekazał wiadomość, że wódz zwołuje naradę. Spytałem Cyncerona, czy czegoś potrzebuje. „Tak, spokojnego życia w Arpinum!” – odrzekł z gorzkim uśmiechem.

Kwintus podszedł do nas.

– Pompejusz musi się wycofać lub spotka go upokorzenie – powiedział z naciskiem.

– Już został upokorzony – odrzekł Cycero – a my wraz z



nim. Żołnierze! – rzucił do mnie z obrzydzeniem. – Czyż ci nie mówiłem? Mnie nie przyszłoby do głowy wydawać im rozkazów na polu bitwy. Dlaczego oni sądzą, że lepiej ode mnie znają się na polityce?

Wspięliśmy się na wzgórze, gdzie stał dom Pompejusza, i weszliśmy do środka, pozostawiając za sobą milczący tłum. Od pierwszej narady zostałem zaakceptowany jako protokolant, dlatego gdy zająłem swoje zwykłe miejsce w kącie, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Senatorzy usiedli przy dużym stole. Pompejusz zajął najwyższe miejsce, ale z jego potężnej postaci wyparowała duma. Gdy siedział skulony na swoim podobnym do tronu krześle, przypominał mi wielkie zwierzę złapane w niewolę, skute i drażnione na arenie przez stworzenia niemogące się z nim równać. Popadł w kompletny defetyzm. Wciąż powtarzał, że wszystko stracone, senat niewątpliwie nigdy nie zgodzi się mianować go najwyższym dowódcą, ma tylko poparcie młotochu, a trybuni Krassusa zawetują ustawę, pozostał mu tylko wybór między wygnaniem i śmiercią. Cezar wyraził zupełnie inną opinię – Pompejusz nadal był najpopularniejszym człowiekiem w Rzymie, powinien wyjechać z Rzymu do Italii i zacząć werbować legiony. Jego weterani będą stanowić kręgosłup nowej armii. Gdy będzie już miał dostateczne siły, senat skapituluje. „W grze w kości po przegranym rzucie można zrobić tylko jedno: podwoić stawkę i rzucić ponownie. Zignoruj arystokratów, a jeśli to konieczne, rządź, polegając na armii i ludzie”.

Zauważyłem, że Cyncero zamierza zabrać głos, a z pewnością nie popierał takich ekstremalnych kroków. Jednak przeprowadzenie swojej koncepcji na zebraniu dziesięciu osób wymaga nie mniejszej zręczności niż manipulowanie tłumem tysiąca ludzi. Cyncero czekał, aż wszyscy się wypowiedzą i dyskusja zacznie zamierać, po czym w pełni sił włączył się do debaty.

– Jak wiesz, Pompejuszu – rzekł – od samego początku miałem zastrzeżenia do tego przedsięwzięcia. Teraz jednak, po tej porażce w senacie, muszę ci powiedzieć, że całkowicie się ich wyżyłem. Teraz po prostu musimy wygrać tę walkę – dla twojego dobra, dla dobra Rzymu i w obronie godności oraz autorytetu wszystkich, którzy cię poparli. Kapitulacja jest wykluczona. Jesteś znany jako lew na polu bitwy. Nie możesz być myszą w Rzymie.

– Uważaj, co mówisz, prawniku – wtrącił Afraniusz, grożąc mu palcem, ale Cycero nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

– Czy możesz sobie wyobrazić, co stanie się, jeśli teraz się poddasz? Projekt ustawy został już opublikowany. Ludzie domagają się podjęcia działań przeciw piratom. Jeśli nie obejmiesz stanowiska dowódcy, przypadnie ono komuś innemu. Mogę ci powiedzieć komu: Krassusowi. Jak sam powiedziałeś, ma dwóch oswojonych trybunów. Postara się, żeby ta ustawa przeszła, ale z jego nazwiskiem, nie zaś z twoim. A ty, Gabiniuszu, jak zdołasz go powstrzymać? Chcesz zawetować własną ustawę? To niemożliwe! Czy ty to rozumiesz? Nie możemy teraz wycofać się z walki!

To był świetny argument, jeśli bowiem cokolwiek mogło zachęcić Pompejusza do walki, to tylko perspektywa zwycięstwa Krassusa. Wódz wyprostował się, wysunął do przodu szczękę i rozejrzał się dookoła. Zauważyłem, że Afraniusz i Palikanus zachęcająco skinęli głowami.

– Mamy w legionach zwiadowców, Cyceronie – powiedział Pompejusz. – To wspaniali ludzie, którzy potrafią znaleźć drogę nawet w najtrudniejszym terenie – na bagnach, w górach i lasach, jakich nie przebył nikt od zarania dziejów. Polityka jest jednak gorsza od wszystkich naturalnych przeszkód, które napotkałem na swej drodze. Jeśli wskażesz mi drogę wyjścia z tego

labiryntu, nie będziesz miał przyjaciela wierniejszego ode mnie.

– Czy oddasz się całkowicie w moje ręce?

– Teraz ty jesteś przewodnikiem.

– Zgadzam się – odrzekł Cyncero. – Gabiniuszu, jutro masz zaprosić Pompejusza na trybunę i wezwać go, żeby zechciał zostać naczelnym dowódcą.

– Dobrze – powiedział Pompejusz z wojowniczą miną, zaciśniętą potężną pięścią. – A ja się zgodzę.

– Nie, skądże – zaprotestował Cyncero. – Zdecydowanie odmówisz. Powiesz, że zrobiłeś już dość dla Rzymu, nie masz zamiaru nadal uczestniczyć w życiu publicznym i wyjeżdżasz do swej rezydencji na wsi. – Pompejuszowi opadła szczęka. – Nie martw się, napiszę dla ciebie przemówienie. Wyjedziesz z miasta jutro po południu i nie wrócisz. Im bardziej niechętny będziesz się wydawał, tym usilniej ludzie będą się starali cię przekonać. Staniesz się naszym Cyncynatem, którego oderwali od pługa, żeby uratował ojczyznę w potrzebie. Wierz mi, to jeden z najsilniejszych mitów w polityce.

Niektórzy uczestnicy narady byli przeciw tej taktyce, jako zbyt ryzykownej. Jednak pomysł zademonstrowania swej skromności połechtał próżność Pompejusza. Czy każdy dumny i ambitny człowiek nie marzy o czymś takim? Że nie będzie musiał brudzić rąk i walczyć o władzę, bo ludzie sami do niego przyjdą i będą błagać, żeby ją przyjął? Im dłużej Pompejusz o tym myślał, tym bardziej mu się to podobało. Jego godność i autorytet nie zostaną narażone na szwank, będzie mógł wygodnie spędzić kilka tygodni na wsi, a jeśli coś się nie uda, odpowiedzialność spadnie na kogoś innego.

– To wydaje się sprytnym rozwiązaniem – powiedział Gabiniusz, dotykając palcem rozciętej wargi. – Najwyraźniej jednak zapominasz, że problemem nie jest lud, lecz senat.

– Senat zmieni zdanie, gdy senatorzy uświadomią sobie konsekwencje odejścia Pompejusza. Będą mieli do wyboru albo rezygnację z kampanii przeciw piratom, albo przyznanie najwyższego dowództwa Krassusowi. Dla zdecydowanej większości oba te rozwiązania będą trudne do zaakceptowania. Wystarczy trochę posmarować, żeby przeszli na naszą stronę.

– To bardzo sprytnie – powiedział z podziwem Pompejusz. – Panowie, czy to nie sprytny pomysł? Czy nie mówiłem wam, jaki on jest przebiegły?

– Te piętnaście stanowisk legatów – kontynuował Cyncero. – Proponuję, żeby wykorzystać przynajmniej połowę do zdobycia poparcia w senacie. – Palikanus i Afraniusz, którzy ostrzyli sobie zęby na te lukratywne stanowiska, głośno się sprzeciwili, ale Pompejusz uciszył ich jednym machnięciem ręki. – Jesteś bohaterem narodowym, patriotą nieznijającym się do politycznych targów i intryg. Zamiast nagradzać stanowiskami przyjaciół, musisz je wykorzystać, żeby podzielić wrogów. Nic tak skutecznie nie podzieli stronnictwa arystokratów, jak namówienie kilku, żeby służyli pod twoimi rozkazami. To będzie dla nich katastrofa. Wydlubią sobie nawzajem oczy.

– Zgadzam się – wtrącił Cezar, zdecydowanie kiwając głową. – Plan Cyncerona jest lepszy od mojego. Bądź cierpliwy, Afraniuszu. To dopiero pierwszy etap. Możemy poczekać na nagrodę.

– Poza tym – dodał Pompejusz świętoszkowatym tonem – klęska wrogów Rzymu winna być wystarczającą nagrodą dla każdego z nas. – Widziałem, że w swej wyobraźni Pompejusz już orał pole.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział Kwintus, gdy wracaliśmy do domu.

– Ja też mam taką nadzieję – odrzekł Cyncero.

– Sednem problemu jest niewątpliwie Krassus z tymi dwoma

trybunami, dzięki którym może zawetować ustawę. Jak zamierzasz pokonać tę przeszkodę?

– Nie mam pojęcia. Miejmy nadzieję, że znajdzie się jakieś rozwiązanie. Zwykle tak się dzieje.

Zdałem sobie wtedy sprawę, jak bardzo Cycero wierzył w swoje powiedzenie, że czasami trzeba rozpocząć walkę, żeby odkryć, jak ją wygrać. Pożegnał się z Kwintusem i poszedł dalej, z opuszczoną głową, pogrążony w myślach. Początkowo był niechętnym uczestnikiem akcji, mającej doprowadzić do zaspokojenia wielkich ambicji Pompejusza, teraz zaś stał się jej głównym organizatorem. Zdawał sobie sprawę, że naraził się wielu ludziom, między innymi własnej żonie. Z mojego doświadczenia wynika, że kobiety rzadziej wybaczą dawne urazy. Terencja nie mogła pojąć, dlaczego jej mąż tańczy wokół „księcia Picenum”, jak pogardliwie nazywała Pompejusza, zwłaszcza po tej scenie w senacie, o której oczywiście mówiło całe miasto. Czekala na jego powrót w tablinum, gotowa do ataku.

– Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło! – rzuciła się na niego bez chwili zwłoki. – Po jednej stronie jest senat, po drugiej motłoch, a gdzie stoi mój mąż? Jak zwykle razem z motłochem! Nie wątpię, że teraz nawet ty z nim zerwiesz?

– Pompejusz jutro obwieści, że wycofuje się z polityki – spróbował ją uspokoić Cycero.

– Co takiego?

– To prawda. Dziś wieczór mam mu napisać przemówienie. To oznacza, obawiam się, że zjem kolację w gabinecie, jeśli mi to wybaczysz. – Cycero minął ją i wyszedł z tablinum. – Jak myślisz, czy mi uwierzyła? – spytał, gdy już byliśmy w gabinecie.

– Nie.

– Też tak sądzę – przyznał i zachichotał. – Zbyt dobrze mnie zna!

Cycero był teraz już dostatecznie bogaty, żeby się z nią rozwieść, gdyby tego pragnął. Mógł znaleźć lepszą żonę, a z pewnością ładniejszą. Był rozczarowany, że Terencja nie może dać mu syna. Jednak mimo niekończących się kłótni nie rozstał się z nią. Nie była to kwestia miłości w takim sensie, w jakim piszą o niej poeci. Łączyło ich coś dziwniejszego, a jednocześnie silniejszego. Terencja pobudzała i zaostrzała jego inteligencję, była osełką, na której wecował swój miecz. W każdym razie tej nocy dała nam spokój i Cycero podyktował mi słowa, które miał wypowiedzieć Pompejusz. Nigdy przedtem nie pisał przemówienia dla kogoś innego. To było dziwne przeżycie. W dzisiejszych czasach, rzecz jasna, większość senatorów zatrudnia jednego lub dwóch niewolników do pisania przemówień. Słyszałem nawet o takich, którzy nie mają pojęcia, co powiedzą, dopóki nie otrzymają gotowego tekstu. Trudno mi zrozumieć, jak tacy ludzie mogą uważać się za mężów stanu. Cycero przekonał się jednak, że bawi go komponowanie przemówień dla innych. Lubił wymyślać słowa, jakie powinni wygłosić różni wielcy ludzie, gdyby tylko mieli trochę oleju w głowie. Później z powodzeniem stosował tę samą metodę w książkach. Wymyślił nawet frazę dla Gabiniusza, która później stała się bardzo znana: „Pompejusz Wielki nie urodził się wyłącznie dla siebie, ale dla Rzymu!”.

Cycero uznał, że oświadczenie Pompejusza musi być krótkie. Skończyliśmy je pisać dobrze przed północą. Następnego dnia Cycero wykonał swoje ćwiczenia gimnastyczne, przyjął tylko kilku najważniejszych klientów, po czym poszliśmy do Pompejusza. W nocy Pompejusz zaczął tchórzyć i teraz głośno wyrażał wątpliwości, czy wycofanie się na wieś było takim dobrym pomysłem. Cycero trafnie odgadł, że jego wątpliwości wynikały w znacznej mierze z tremy przed wejściem na trybunę. Gdy już miał w rękach gotowy tekst, wyraźnie się uspokoił. Cycero

przekazał również swoje notatki Gabiniuszowi, ale trybun nie był zadowolony z tego, że jest traktowany jak aktor recytujący gotowy tekst. Miał wątpliwości, czy rzeczywiście powinien powiedzieć, że Pompejusz „urodził się dla Rzymu”. „Dlaczego nie? – spytał Cyncero. – Czy masz co do tego wątpliwości?”. Pompejusz szorstko polecił Gabiniuszowi, żeby przestał narzekać i odczytał tekst bez żadnych zmian. Gabiniusz zamilkł, ale mierzył Cyncerona złym spojrzeniem i moim zdaniem od tej pory był jego skrytym wrogiem. To dobry przykład, jak senator bez troski narażał się ludziom ostrym językiem.

Na forum zgromadził się ogromny tłum widzów, oczekujących na kontynuację wczorajszego spektaklu. Gdy schodziliśmy ze wzgórza, gdzie stał dom Pompejusza, słyszeliśmy hałas na forum – potężny, nabrzmiewający szmer podnieconego tłumu, który zawsze przypominał mi falujące morze atakujące nabrzeżne skały. Pod wpływem podniecenia i oczekiwania moje serce biło coraz szybciej. Obecna była większość senatorów, a arystokraci sprowadzili kilkuset swoich ludzi dla ochrony, ale również po to, żeby zakrzyczeć Pompejusza, gdy – jak się spodziewali – wyrazi pragnienie objęcia najwyższego dowództwa. Wielki mąż pokazał się na chwilę na forum w otoczeniu sojuszników z senatu, ale trzymał się na uboczu, a potem przeszedł za trybunę. Nerwowo krążył, ziewał i chuchał w zmarznięte dłonie. Jego zdenerwowanie stale rosło, w miarę jak narastał ryk tłumu. Cyncero życzył mu powodzenia, a następnie wyszedł przed trybunę, gdzie stali senatorowie, ponieważ chciał obserwować ich reakcje. Dziesięciu trybunów zajęło swoje miejsca i w końcu Gla-brion wyszedł przed nich.

– Wzywam Pompejusza Wielkiego do wystąpienia przed zgromadzeniem ludu rzymskiego! – krzyknął dramatycznie.

Jak ważny jest wygląd w polityce i jak znakomicie natura

ukszałtowała Pompejusza do tej roli! Gdy na schodach trybuny pojawiała się jego dobrze znana, potężna postać, zwolennicy urządzili mu ogłuszającą owację. Stał na trybunie, równie solidny jak dojrzały byk, odchylając nieco do tyłu wielką głowę. Gdy spoglądał w dół na wiwatujący tłum, poruszał nozdrzami, jakby sycił się jego zapachem. Zwykle ludzie nie lubią, gdy politycy odczytują przemówienia, zamiast przynajmniej na pozór wygłaszać je spontanicznie, ale tym razem gdy Pompejusz rozwinął zwój papyrusu, w jego zachowaniu było coś, co podkreślało znaczenie każdego słowa i sugerowało, że nie dba on o retoryczne sztuczki prawników i polityków.

– Ludu rzymski! – zagrział w zupełnej ciszy. – Gdy miałem siedemnaście lat, walczyłem w armii mojego ojca, Gnejusza Pompejusza Strabona, o jedność naszego państwa. Gdy miałem dwadzieścia trzy lata zebrałem piętnastotysięczną armię, pokonałem zbuntowane oddziały Brutusa, Celiusza i Karrinasa i zostałem uznany za imperatora. Gdy miałem dwadzieścia cztery lata, podbiłem Sycylię. Gdy miałem dwadzieścia pięć lat, zdobyłem Afrykę. W dniu dwudziestych szóstych urodzin odbyłem triumf. W wieku trzydziestu lat, gdy jeszcze nie byłem senatorem, objąłem dowództwo naszych sił w Hiszpanii i związaną z tym władzę prokonsula, po czym przez sześć lat walczyłem z buntownikami, aż ich pokonałem. W wieku trzydziestu sześciu lat wróciłem do Italii, żeby wytropić resztki armii zbiegłych niewolników Spartakusa. W wieku trzydziestu siedmiu lat odbyłem drugi triumf i zostałem konsulem. Jako konsul przywróciłem waszym trybunom ich odwieczne prawa i urządziłem igrzyska. Ilekroć republice groziło niebezpieczeństwo, zawsze jej służyłem. Przez całe życie nie robiłem nic innego, jak tylko sprawowałem obowiązki dowódcy na szczególnym stanowisku. Teraz republice zagroziło nowe, bezprecedensowe niebezpieczeństwo. W celu pokonania wroga, słusznie zaproponowano



stworzenie nowego urzędu o zupełnie nowych kompetencjach. Ten, kogo wybieriecie, żeby dźwigał ten ciężar, musi mieć poparcie wszystkich klas, gdyż powierzenie takiej władzy jednej osobie jest decyzją wymagającą wielkiego zaufania. Po wczorajszym posiedzeniu senatu jest dla mnie oczywiste, że nie cieszę się takim zaufaniem senatorów, dlatego chcę oświadczyć, że wbrew licznym prośbom nie zgadzam się na mianowanie mnie na to stanowisko, a jeśli zostanę mianowany, nie przyjmę nominacji. Pompejusz Wielki ma już dość stanowisk specjalnego dowódcy. W tym dniu wyrzekam się wszelkich publicznych urzędów i wyprowadzam się z miasta, żeby orać ziemię, tak jak to czynili moi przodkowie.

Zszokowany tłum przez chwilę milczał, po czym wydał głośny jęk rozczarowania. Gabiniusz wbiegł na trybunę, gdzie Pompejusz nadal stał z kamienną twarzą.

– Nie możemy na to pozwolić! Pompejusz Wielki urodził się nie tylko dla siebie, ale dla Rzymu!

Jak łatwo zgadnąć, ten okrzyk sprowokował ogromną demonstrację aprobaty. „Pompejusz! Pompejusz! Rzym! Rzym!” – skandował tłum, a jego krzyk odbijał się od ścian bazylik i świątyń. Hałas był taki, że rozboleły mnie uszy. Minęło sporo czasu, nim Pompejusz mógł odpowiedzieć.

– Wasza uprzejmość głęboko mnie wzrusza, moi drodzy współobywatele, ale moja dalsza obecność w mieście może tylko utrudnić wasze rozważania. Wybierzcie mądrze, obywatele Rzymu, spośród wielu zdolnych byłych konsulów w senacie! Pamiętajcie też, że choć wyjeżdżam z Rzymu, moje serce zawsze pozostanie wśród waszych domowych ognisk i świątyń. Żegnajcie!

Pompejusz pomachał nad głową zwojem papirusu, pozdrowił tłum, odwrócił się i poszedł w kierunku schodów, nie zwracając uwagi na wszystkie prośby, żeby został. Powoli schodził,

odprowadzany spojrzeniami zdumionych trybunów. Najpierw z pola widzenia znikły jego nogi, potem tors, a na koniec szlachetna głowa z bujną czupryną. Jacyś ludzie w moim otoczeniu zaczęli płakać, drzeć szaty i targać włosy. Choć wiedziałem, że to tylko podstęp, sam byłem bliski płaczu. Senatorzy wyglądali tak, jakby wpadł między nich potężny pocisk z katapulty – kilku rozglądało się wyzywająco dookoła, wielu przeżyło wyraźny wstrząs, większość była po prostu oszołomiona. Od tylu lat, niemal od tak dawna, jak sięgali pamięcią, Pompejusz był najważniejszym człowiekiem w państwie, a teraz odszedł! Zwłaszcza na twarzy Krassusa malowały się sprzeczne uczucia, których nie potrafiłby oddać żaden artysta. Z jednej strony wiedział, że teraz, nareszcie, po tylu latach w cieniu Pompejusza, to on jest głównym kandydatem na stanowisko naczelnego dowódcy; z drugiej natomiast przebiegłość podpowiadała mu, że to z pewnością jakiś podstęp, a jego pozycji zagraża nieprzewidziane niebezpieczeństwo.

Cycero pozostał wśród senatorów tak długo, aż ocenił ich reakcje na swój plan, po czym wrócił za trybunę i złożył sprawozdanie. Stali tam Picenejczycy i zwykły tłum klientów. Niewolnicy Pompejusza przynieśli zamkniętą lektykę obitą niebieskim i złotym brokatem, żeby ponieść go do Bramy Kapeńskiej. Wódz już miał wsiadać. Podobnie jak wielu ludzi, których widziałem po wygłoszeniu ważnego przemówienia, jednocześnie przepełniało go aroganckie uniesienie i pragnął potwierdzenia.

– Wszystko poszło znakomicie – powiedział. – Zgadzasz się ze mną?

– Doskonale – potwierdził Cycero. – Miny Krassusa nie da się opisać.

– Czy podobało ci się zakończenie, gdy powiedziałem, że moje serce zostanie wśród domowych ognisk i świątyń?

– To było mistrzowskie pociągnięcie.

Pompejusz był bardzo zadowolony. Usiadł wygodnie na poduszkach w lektyce. Zaciągnął firankę, ale po chwili znowu ją odsunął.

– Czy jesteś pewny, że to się powiedzie?

– Nasi przeciwnicy są w rozsypce. To dobry początek.

Zasłona opadła i znowu się uniosła.

– Ile czasu zostało do głosowania nad ustawą?

– Jeszcze piętnaście dni.

– Informuj mnie. Przynajmniej raz dziennie.

Cycero usunął się na bok, gdy tragarze podnieśli lektykę. Musieli być młodzi i silni, bo Pompejusz był bardzo ciężki, a mimo to prawie biegli. Minęli budynek senatu i opuścili forum – astralne ciało Pompejusza Wielkiego, za którym ciągnął się, jak warkocz komety, sznur klientów i wielbicieli.

– Czy podobało mi się zakończenie o sercu, które zostanie wśród domowych ognisk i świątyń? – powtórzył pod nosem Cycero, odprowadzając wzrokiem lektykę Pompejusza. – Oczywiście, ty wielki dumniu, przecież to ja je napisałem!

Przypuszczam, że trudno mu było poświęcać tyle energii przywódcy, którego nie darzył podziwem, i sprawie, którą uważał za oszukańczą. Gdy jednak ktoś zmierza na polityczne szczyty, często musi podróżować w nieprzyjemnym towarzystwie i oglądać dziwne widoki. Cycero wiedział, że nie ma już odwrotu.

## XII

Przez następne dwa tygodnie w Rzymie piraci stanowili główny temat. Gabiniusz i Korneliusz, jak się wtedy mówiło, „żyli na trybunie” – to znaczy, każdego dnia przypominali o zagrożeniu ze strony piratów, wydając nowe proklamacje i wzywając kolejnych świadków. Ich specjalnością były przerażające opowieści. Na przykład opowiadali, że gdy któryś z więźniów piratów informował ich, że jest obywatelem rzymskim, ci udawali strach i błagali go o przebaczenie. Starali się dla niego o togę i sandały, kłaniali mu się przy każdej okazji, i gra ta trwała, dopóki nie wypłynęli daleko w morze. Wtedy opuszczali do morza trap i oświadczali, że jest wolny i może odejść. Jeśli ofiara nie chciała sama zejść do wody, wyrzucali nieszczęśnika za burtę. Takie opowieści rozwścieczały słuchaczy na forum, przyzwyczajonych do tego, że magiczne słowa: „Jestem obywatelem rzymskim” zapewniały poszanowanie na całym świecie.

Cycero nie przemawiał z rostra. Dziwne, ale jeszcze nigdy tego nie uczynił, gdyż już wcześniej postanowił poczekać z tym, aż jego wystąpienie będzie miało maksymalny wpływ. Naturalnie kusilo go, żeby z tej okazji przerwać milczenie, gdyż łatwo

mógł wykorzystać tę popularną sprawę do ataku na arystokratów. W końcu jednak zrezygnował, ponieważ proponowana ustawa i tak miała ogromne poparcie ludu, a on mógł bardziej się przydać, prowadząc zakulisowe działania, planując kolejne kroki i usiłując przekonać wahających się senatorów. Jego działalność miała zasadnicze znaczenie, ale jest często niedoceniana. Zamiast gorącego, publicznego mówcy dla odmiany Cycero odgrywał polityka umiarkowanego. Nieznużony wysłuchiwał narzekań *pedarii*, obiecywał przekazać Pompejuszowi wyrazy współczucia i usilne prośby, oraz – bardzo rzadko – kusił wpływowych ludzi różnymi obietnicami. Każdego dnia przybywał do Cycerona kurier z rezydencji Pompejusza na Górze Albańskiej z listem zawierającym kolejną porcję narzekań, pytań i prośb o wskazówki. („Nasz nowy Cyncynat najwyraźniej nie poświęca orce zbyt wiele czasu” – sarkastycznie zauważył Cycero). Każdego dnia senator dyktował uspokajającą odpowiedź, często podając nazwiska osób, które Pompejusz powinien zaprosić na rozmowę. To było delikatne zadanie, ponieważ należało udawać, że Pompejusz nie bierze już udziału w życiu politycznym. Jednak połączenie chciwości, pochlebstw, ambicji i świadomości, że powołanie takiego czy innego specjalnego dowództwa jest konieczne, a także lęk, że może ono przypaść Krassusowi, skłoniło sześciu kluczowych senatorów do przejścia do obozu Pompejusza. Najważniejszy z nich był Lucjusz Maniliusz Torkwatus, który niedawno skończył kadencję pretora i niewątpliwie zamierzał za rok ubiegać się o konsulat.

Jak zwykle to Krassus był największym zagrożeniem dla planów Cycerona i oczywiście nie próżnował. On również prowadził liczne rozmowy, obiecywał lukratywne posady i starał się zdobyć poparcie. Znawcy polityki mogli nacieszyć się fascynującym widowiskiem, gdyż dwaj odwieczni rywale, Krassus i Pompejusz, mieli niemal równe siły. Obaj mieli po dwóch

trybunów, a zatem mogli zawetować ustawę. Obaj też mieli potajemnych zwolenników w senacie. Krassusa popierała większość arystokratów, którzy obawiali się Pompejusza bardziej niż kogokolwiek w całej republice. Pompejusz natomiast cieszył się wielką popularnością wśród mas.

– Są podobni do dwóch skorpionów krążących wokół siebie – powiedział Cycero pewnego ranka, gdy skończył dyktować kolejny list do Pompejusza i odchylił się do tyłu na sofie. – Żaden nie może zwyciężyć w bezpośrednim starciu, ale każdy może zabić drugiego.

– Jak zatem ktoś może odnieść zwycięstwo?

Cycero spojrzął na mnie, po czym nagle pochylił się do przodu i uderzył dłonią w blat z taką szybkością, że aż podskoczyłem.

– Zwycięży ten, który zaskoczy przeciwnika.

Cycero wygłosił ten komentarz na cztery dni przed głosowaniem zgromadzenia ludowego nad *lex Gabinia*. Wciąż nie wpadł na pomysł, jak uniemożliwić Krassusowi zawetowanie ustawy. Był zmęczony, zniechęcony i znowu zaczął mówić o wyjeździe do Aten i poświęceniu się studiom filozoficznym. Minął ten dzień, następny i jeszcze następny, a żadne rozwiązanie problemu jakoś się nie nasunęło. Ostatniego dnia przed głosowaniem jak zwykle wstałem o świcie i otworzyłem drzwi klientom senatora. Teraz, gdy był znany jako bliski sojusznik Pompejusza, liczba osób uczestniczących w tych porannych audiencjach dwukrotnie wzrosła. Ku irytacji Terencji przez cały dzień w domu kręcili się różni ludzie, pragnący przedłożyć prośbę lub tylko przekazać życzenia i pozdrowienia. Zdarzały się wśród nich osoby noszące słynne nazwiska; na przykład tego dnia przyszedł Antoniusz Hybryda – drugi syn wielkiego mówcy i konsula Marka Antoniusza – którego kadencja na stanowisku trybuna właśnie dobiegła końca. Był to głupiec i pijak, ale

protokół nakazywał, aby został przyjęty pierwszy. Na zewnątrz było szaro i padał deszcz; w domu unosił się zapach podobny do smrodu mokrych psów, który wydzielał się z wilgotnych ubrań i włosów gości. Na biało-czarnej mozaice na podłodze widać było ślady błota. Właśnie zastanawiałem się nad wezwaniem niewolnika, żeby stał posadzkę, gdy nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł sam Marek Licyniusz Krassus. Byłem tak zaskoczony, że na chwilę zapomniałem o lęku i powitałem go równie naturalnie, jakby był zwykłym klientem, który przyszedł po list polecający.

– I tobie życzę udanego dnia, Tironie – odpowiedział Krassus. Spotkał mnie tylko raz, a jednak zapamiętał moje imię, co bardzo mnie przstraszyło. – Czy mógłbym zamienić słowo z twoim panem?

Krassus nie przyszedł sam, towarzyszył mu Kwintus Arriusz, senator chodzący za nim jak cień. Jego śmiesznie afektowaną wymowę – zawsze dodawał głoskę przydechową do samogłoski, na przykład swoje nazwisko wymawiał „Harriusz” – sparodiował nasz najokrutniejszy poeta, Katullus. Pośpiesznie udałem się do gabinetu Cycerona, który, jak miał w zwyczaju, równocześnie dyktował list Sositeuszowi i podpisywał dokumenty tak szybko, jak Laurea je przedkładał.

– Nigdy pan nie zgadnie, kto przyszedł! – wykrzyknąłem.

– Krassus – odpowiedział, nawet na mnie nie patrząc.

Całkowicie mnie zgasił.

– To pana nie zaskakuje? – spytałem.

– Nie – odrzekł, podpisując następny list. – Przyszedł złożyć wielkoduszną ofertę, która w istocie nie jest wcale wielkoduszną, ale ukaże go w lepszym świetle, gdy nasza odmowa stanie się znana publicznie. On ma wszelkie powody, żeby dążyć do kompromisu, a my żadnych. Lepiej jednak wprowadź go tutaj, nim przekupi wszystkich moich klientów. Zostań w gabinecie i

notuj, żeby później nie przypisał mi słów, których nie powiedziałem.

Wyszedłem zaprosić Krassusa, który rzeczywiście ścisnął dłonie klientów w tablinum, budząc powszechne zdumienie i zachwyty. Wprowadziłem go do gabinetu. Młodszy sekretarz wyszedł. W gabinecie zostało tylko nas czterech. Krassus, Arriusz i Cyncer siedzieli, ja stałem w kącie i notowałem.

– Masz bardzo przyjemny dom – zauważył Krassus przyjacielskim tonem. – Niewielki, ale czarujący. Zawiadom mnie, jeśli będziesz myślał o sprzedaniu go.

– Jeśli zdarzy się pożar – odrzekł Cyncer – dowiesz się o tym pierwszy.

– Bardzo zabawne. – Krassus zaśmiał się dobroduszenie i zaklaskał. – Mówię jednak poważnie. Taki ważny człowiek jak ty powinien mieć większą posiadłość, w lepszej dzielnicy. Na Palatynie, rzecz jasna. Mogę to załatwić. Nie, proszę – dodał, gdy Cyncer pokręcił głową. – Nie odrzucaj mojej propozycji. Dzielą nas różne sprawy i chciałbym uczynić jakiś gest sygnalizujący pragnienie zgody.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony – odrzekł Cyncer – ale, niestety, obawiam się, że wciąż dzielą nas interesy pewnego pana.

– Nie muszą. Z podziwem śledzę twoją karierę, Cynceronie. Zasłużyłeś na pozycję, jaką zdobyłeś w Rzymie. Moim zdaniem latem powinieneś zostać pretorem, a dwa lata później konsulem. Proszę – powiedziałem to wyraźnie. Możesz mieć moje poparcie. Co ty na to?

To rzeczywiście była zdumiewająca oferta. W tym momencie zrozumiałem, na czym polega ważna cecha inteligentnych ludzi interesu – nie zawdzięczają oni bogactwa systematycznej bezwzględności (jak wielu ludzi wulgarnie zakłada), lecz zdolności do okazania zaskakującej, nawet ekstrawaganckiej wielkoduszności, gdy tylko jest to konieczne. Ta propozycja wytrąciła



Cycerona z równowagi. Krassus praktycznie podał mu na talerzu stanowisko konsula, co było największym marzeniem senatora. W rozmowach z Pompejuszem nie śmiał nawet o tym wspomnieć, żeby nie wzbudzić zawiści tego wielkiego człowieka.

– Oszłomiłeś mnie, Krassusie – odpowiedział głosem tak nabrzmiałym od emocji, że musiał odkaszląć, żeby wykrztusić dalsze słowa. – Jednak los znowu sprawił, że jesteśmy po przeciwnych stronach.

– To nie jest konieczne. Dzień przed głosowaniem ludu chyba nadeszła pora na kompromis? Zgadzam się, że to Pompejusz wpadł na pomysł powołania najwyższego dowództwa. Podzielmy je.

– Dzielone najwyższe dowództwo to oksymoron.

– Byliśmy razem konsulami.

– Tak, ale konsulat to urząd dzielony, zgodnie z zasadą, że polityczna władza zawsze musi być podzielona. Dowodzenie na wojnie to zupełnie inna sprawa, o czym wiesz lepiej ode mnie. Podczas wojny wszelkie oznaki podziału w dowództwie są zgubne.

– To dowództwo obejmuje tak wielki obszar, że z łatwością wystarczy miejsca dla nas obu – odparł Krassus z marzycielską miną. – Niech Pompejusz weźmie wschód, a ja zachód. Albo on morze, a ja ląd. Albo na odwrót. Mnie nie zależy. Razem możemy rządzić światem, a ty będziesz mostem, który nas połączy.

Cycero z pewnością spodziewał się ze strony Krassusa agresji i gróźb, a długa sądowa praktyka nauczyła go, jak sobie radzić z taką taktyką. Natomiast wielkoduszność zachwiała jego równowagę, również dlatego, że propozycja Krassusa była rozsądna i patriotyczna. To byłoby idealne rozwiązanie również dla niego, gdyż pozwoliłoby mu zyskać przyjaźń obu stron.

– Z pewnością przedstawię mu twoją ofertę – obiecał. – Dowie się o niej jeszcze dziś.

– To za mało – prychnął Krassus. – Gdyby chodziło mi tylko o przedstawienie propozycji, posłałbym Arriusza z listem na Górę Albańską, prawda Arriuszu?

– Istotnie.

– Nie, Cynceronie, chcę dostać zapewnienie, że doprowadzisz do takiego porozumienia. – Krassus pochylił się i oblizał wargi. Gdy mówił o władzy, brzmiało to niemal lubieżnie. – Będę z tobą szczery. Postanowiłem powrócić do przerwanej kariery wojskowej. Mam tyle pieniędzy, ile tylko człowiek może pragnąć, ale bogactwo to tylko środek, nie zaś cel. Czy możesz mi powiedzieć, że jakiś naród wznosił komuś pomnik tylko dlatego, że ten człowiek był bogaty? Który z licznych ludów na całej ziemi wymienia w modlitwach nazwisko dawno zmarłego milionera tylko dlatego, że kiedyś posiadał tak wiele domów? Trwałą chwałę można zdobyć jedynie piórem lub mieczem, a ja nie jestem poetą! Rozumiesz zatem, że musisz zdobyć zgodę Pompejusza, by nasze porozumienie było ważne.

– On nie jest mułem, którego można zaciągnąć na rynek – sprzeciwił się Cyncero. Widziałem, że prymitywizm dawnego wroga zaczął w nim budzić niechęć. – Dobrze wiesz, jaki ma charakter.

– Wiem. Aż za dobrze! Ty jednak jesteś najbardziej przekonującym człowiekiem na świecie. To ty nakłoniłeś go do wyjazdu z Rzymu – nie zaprzeczaj! Teraz z pewnością potrafiłbyś go namówić do powrotu.

– On twierdzi, że wróci jako jedyny naczelny dowódca albo nie wróci w ogóle.

– Wobec tego Rzym już nigdy go nie zobaczy – prychnął Krassus. Maską przyjaźni spadała z niego jak cienka warstwa taniej farby z fasady którejś z jego nędznych nieruchomości. – Doskonale wiesz, co stanie się jutro. Zdarzenia będą przebiegać w równie przewidywalny sposób jak w teatralnej farsie. Gabiniusz

zgłosi swoją ustawę, a Trebelliusz, działając w moim imieniu, ją zawetuje. Później Roscjusz, również zgodnie z moimi instrukcjami, zgłosi poprawkę, zakładającą utworzenie wspólnego dowództwa. Niech tylko któryś z trybunów ośmieli się ją zawetować! Jeśli Pompejusz nie zgodzi się służyć, wyjdzie na zachłanne dziecko, które woli zniszczyć ciastko, niż się nim podzielić.

– Nie sądzę. Lud go kocha.

– Lud kochał również Tyberiusza Grakchusa, ale ostatecznie niewiele mu to pomogło. Tego rzymskiego patriotę spotkał straszny los, o czym również powinieneś pamiętać. – Krassus wstał. – Zadbaj o swój interes, Cynceronie. Widzisz chyba, że Pompejusz ciągnie cię w polityczny niebyt? Jeszcze nikt nie został konsulem wbrew zjednoczonej opinii arystokracji. – Cyncero również wstał i przyjął wyciągniętą dłoń Krassusa. Ten mocno ścisnął jego rękę i przyciągnął go do siebie. – Już dwukrotnie ofiarowałem ci swoją przyjaźń, Marku Tuluszu Cynceronie – powiedział bardzo cicho. – Trzeci raz tego nie zrobię.

To powiedziawszy, wyszedł z naszego domu, i to tak szybko, że nie mogłem go wyprzedzić, żeby go odprowadzić i choćby otworzyć mu drzwi. Gdy wróciłem do gabinetu, Cyncero stał dokładnie w tym samym miejscu i marszcząc brwi, wpatrywał się w swoją rękę.

– To jak dotknięcie skóry węża – rzekł. – Czy się przesłyszałem, czy on rzeczywiście zasugerował, że Pompejusza i mnie może spotkać taki los jak Tyberiusza Grakchusa?

– Tak. „Tego rzymskiego patriotę spotkał straszny los” – odczytałem ze swych notatek. – A jaki był los Grakchusa?

– Arystokraci dopadli go w świątyni jak szczura w pułapce i zamordowali, gdy był jeszcze trybunem, a zatem chronił go immunitet. To było jakieś sześćdziesiąt lat temu, co najmniej. Tyberiusz Grakchus! – Cyncero zacisnął pięść. – Wiesz, Tironie, przez chwilę niemal mu wierzyłem. Przysięgam ci jednak, że

wolę nigdy nie być konsulem, niż czuć, że zawdzięczam to Krassusowi.

– Wierzę panu, senatorze. Pompejusz jest dziesięć razy więcej wart od niego.

– Raczej sto razy, mimo wszystkich swych absurdalnych cech charakteru.

Zająłem się różnymi sprawami. Zrobiłem porządek na jego stole i poszedłem do tablinum po listę gości. Cycero siedział nieruchomo na sofie w swoim pokoju. Gdy wróciłem, miał dziwny wyraz twarzy. Podałem mu listę i przypomniałem, że ma jeszcze przyjąć wielu klientów, między innymi senatora.

Cycero z roztargnieniem wybrał kilka nazwisk, między innymi Hybrydę.

– Zostaw to wszystko Sositeuszowi – powiedział nagle. – Mam dla ciebie inne zadanie. Udaj się do archiwum państwa i znajdź annały za rok konsulatu Mucjusza Scewoli i Kalpurniusza Pizona Frugi. Wynotuj wszystko, co ma związek z Tyberiuszem Grakchusem, jego ustawą agrarną i sprawowaniem urzędu trybuna. Nie mów nikomu, co robisz. Jeśli ktoś cię spyta, wymyśl coś. Rozumiesz? – Cycero uśmiechnął się po raz pierwszy od tygodnia i wykonał gest, jakby mnie przeganiał. – Idź już. Idź!

Po tylu latach w jego służbie byłem przyzwyczajony do takich zaskakujących i apodyktycznych poleceń. Ciepło się ubrałem, bo na dworze było zimno i mokro, po czym ruszyłem w drogę. Nigdy jeszcze miasto nie wydawało mi się tak ponure jak wtedy, w środku zimy, gdy niebo było zupełnie ciemne, panował mróz, brakowało żywności, na każdym rogu stali żebracy, a w rynsztoku można było zobaczyć zwłoki biedaków, którzy zmarli tej nocy. Szedłem szybko pustymi ulicami, przeciąłem forum i wbiegłem po schodach do archiwum. To był ten sam budynek, gdzie kiedyś odkryłem, jak nieliczne są oficjalne dokumenty Gajusza Werresa. Później odwiedzałem archiwum wiele

razy, wykonując różne zlecenia, zwłaszcza gdy Cycero był edylem. Urzędnicy dobrze mnie już znali. Dali mi potrzebny tom, nie zadając żadnych pytań. Usiadłem przy ustawionym pod oknem stole dla czytelników i rozwinąłem zwój. Nie zdjąłem rękawiczek. Poranne światło było kiepskie, hulały przeciągi, a ja nie bardzo wiedziałem, czego właściwie szukam. Annały, nim jeszcze wpadły w ręce Cezara, stanowiły jasną i pełną relację z wydarzeń każdego roku. Można tam było znaleźć nazwiska urzędników, uchwalone ustawy, toczony wojny, klęski głodu, obserwowane zaćmienia i inne zjawiska naturalne. Informacje pochodziły z oficjalnego rejestru spisywanego każdego roku przez najwyższego kapłana i wywieszanego na białej tablicy przed siedzibą kolegium kapłańskiego.

Historia zawsze mnie fascynowała. Jak napisał kiedyś Cycero: „Jeśli ktoś nie wie, co zdarzyło się przed jego narodzinami, zawsze pozostanie dzieckiem. Cóż bowiem warte jest ludzkie życie, jeśli nie jest splecione z życiem przodków zapiskami historycznymi?”. Szybko zapomniałem o mrozie i mógłbym spędzić cały dzień, rozwijając zwój i czytając o wydarzeniach sprzed sześćdziesięciu lat. Dowiedziałem się, że w tamtym roku, sześćset dwudziestym pierwszym od założenia Rzymu, zmarł król Pergamonu Attalos II, zapisując w spadku swoje państwo Rzymowi. Scypion Afrykański Młodszy zdobył hiszpańskie miasto Numancję i wyrznął całą ludność – pięć tysięcy osób – z wyjątkiem pięćdziesięciu jego mieszkańców, których oszczędził, żeby skuci łańcuchami wzięli udział w jego triumfie. Tyberiusz Grakchus, sławny, radykalny trybun, wprowadził ustawę o przekazaniu ziemi państwowej bezrolnym obywatelom, którzy, jak zwykle, cierpieli wówczas straszną biedę. Nic się nie zmieniło, pomyślałem. Ustawa Grakchusa rozwścieczyła arystokratów w senacie, którzy uznali, że zagraża ich latyfundiom, dlatego przekonali lub zmusili trybuna Marka Oktawiusza, żeby ją zawetował. Grakchus ogłosił wtedy z trybuny, że Marek Oktawiusz

nie spełnia swego świętego obowiązku obrony interesów ludu i wezwał do odwołania go z urzędu. Kolejne *tribus* głosowały za pozbawieniem go stanowiska. Gdy siedemnaście z trzydziestu pięciu *tribus* wielką przewagą głosów opowiedziało się za jego odwołaniem, Grakchus zawiesił głosowanie i zaapelował do Marka Oktawiusza, żeby wycofał weto. Ten odmówił, a wtedy Grakchus „wezwał bogów na świadków, że nie chciał usuwać kolegi”, po czym przeprowadził głosowanie osiemnastej *tribus*. Zdobył większość i Oktawiusz został pozbawiony trybunatu („zdegradowany do rzędu zwykłego obywatela, oddalił się i nikt go więcej nie widział”). Zgromadzenie przyjęło ustawę agrarną Grakchusa, ale kilka miesięcy później, o czym Krassus przypominał Cycleronowi, nobilowie się zemścili. Otoczyli Grakchusa w świątyni i pobili pałkami na śmierć, a ciało wrzucili do Tybru.

Odwiązałem notatnik przyczepiony do nadgarstka i wyjąłem ryliec. Pamiętam, jak rozglądałem się dookoła, czy jestem sam, nim zacząłem kopiować odpowiednie fragmenty z annałów, bo już zrozumiałem, dlaczego Cycero tak podkreślał konieczność zachowania tajemnicy. Palce zeszywniały mi z zimna, a wosk był bardzo twardy; strasznie bazgrałem. W pewnej chwili w drzwiach pojawił się sam Katulus, nadzorca archiwum. Gdy spojrział na mnie, miałem wrażenie, że serce połamie mi żebra. Jednak stary Katulus już niedowidział, a nawet gdyby lepiej widział, bardzo wątpię, czyby mnie poznał; nie był on politykiem tego rodzaju. Porozmawiał przez chwilę ze swoimi wyzwoleńcami i wyszedł. Skończyłem przepisywać i niemal wybiegłem z archiwum, ruszyłem prędko po oblodzonych schodach i przez forum do domu Cyclerona, cały czas mocno przyciskając do piersi tabliczkę woskową. Miałem wrażenie, że to było najważniejsze poranne zadanie, jakie wykonałem w moim życiu.

Cycero wciąż rozmawiał na osobności z Antoniuszem Hybrydą, ale gdy zauważył, że czekam w pobliżu drzwi, szybko zakończył spotkanie. Hybryda był jednym z tych dobrze urodzonych, przystojnych ludzi, którzy zrujnowali swoje życie i wygląd wskutek nadmiaru wina. Nawet z tego miejsca, gdzie stałem, czułem jego oddech: śmierdział jak zgniły owoc w rynsztoku. Kilka lat wcześniej został wyrzucony z senatu z powodu bankructwa i niemoralnego zachowania – a konkretnie korupcji, pijaństwa i życia z piękną niewolnicą, którą kupił na licytacji i traktował jak kochankę. Jednak ludzie, zgodnie ze swą osobliwą naturą, lubili tego rozpustnika i zawadiakę. Hybryda przez rok był ich trybunem i zdołał wrócić do senatu. Poczekalem, aż wyjdzie, i oddałem Cyceronowi swoje notatki.

- Czego on chciał? – spytałem.
- Mojego poparcia w wyborach. Kandyduje na pretora.
- Bezczelny!
- Zapewne. Obiecałem jednak, że go poprę – beztrósco odparł Cycero, a widząc moje zdziwienie, wyjaśnił mi swoją decyzję. – Gdy on zostanie pretorem, przynajmniej będę miał jednego rywala mniej w staraniach o konsulat.

Senator położył mój notatnik na stole i uważnie go przeczytał. Potem oparł łokcie na blacie, brodę na dłoniach, pochylił się do przodu i jeszcze raz przeczytał moje wypisy z annałów. Wyobrażałem sobie, że jego pędzące szybko myśli to woda spływająca rysami na posadzce – najpierw do przodu, później na boki, zatrzymująca się w jednym miejscu, płynąca dalej w innym, tworząca odnogi. Wszystkie możliwości, konsekwencje i oceny możliwości tworzyły mieniący się strumień.

- Grakchus pierwszy zastosował taką taktykę, ale później nikt nie próbował go naśladować – powiedział w końcu, częściowo do mnie, częściowo do siebie. – Łatwo zrozumieć dlaczego. Czy można ludziom dać taką broń? Niezależnie od tego, czy

przegramy, czy wygramy, będziemy musieli znosić konsekwencje jeszcze przez wiele lat. – Urwał i spojrzał na mnie. – Nie jestem pewny, Tironie. Może będzie lepiej, jeśli to zetrzesz – powiedział, ale gdy podszedłem do stołu, szybko mnie powstrzymał. – Może jednak nie. – Senator kazał mi wezwać Laureę i jeszcze kilku niewolników i wysłał ich do wszystkich senatorów ze ścisłej grupy sojuszników Pompejusza z prośbą, aby po zakończeniu urzędowania, po południu przyszedli na zebranie. – Ale nie tutaj – dodał szybko – tylko w domu Pompejusza. – Następnie własnoręcznie napisał list do wodza. Konny posłaniec otrzymał polecenie, żeby poczekał na odpowiedź. – Jeśli Krasus chce wywoływać ducha Grakchusa – powiedział z ponurą miną po wysłaniu listu – to niech mu będzie!

Nie trzeba chyba mówić, że wszyscy niecierpliwie pragnęli się dowiedzieć, dlaczego Cycero ich wezwał. Gdy tylko urzędy i sądy zakończyły pracę, pojawili się w domu Pompejusza. Uczestnicy zebrania zajęli miejsca wokół stołu z wyjątkiem tronu gospodarza, który pozostał wolny na znak szacunku. Może się wydać dziwne, że tacy wykształceni i inteligentni ludzie jak Cezar i Warron nie znali taktyki zastosowanej przez Grakchusa, ale należy pamiętać, że zginął on sześćdziesiąt trzy lata wcześniej, w tym okresie wiele się działo, a wówczas nie rozwinęła się jeszcze dobrze dziś znana mania na punkcie historii najnowszej. Nawet Cycero nie pamiętał tego manewru, dopóki groźba Krassusa nie przypomniała mu czegoś, o czym czytał, studiując prawo. Cycero w głębokiej ciszy przeczytał fragment annałów, a gdy skończył, salę wypełnił szmer podnieconych głosów. Zastrzeżenia miał tylko siwowłosy Warron, najstarszy z obecnych, który słyszał od ojca o chaosie panującym za trybunatu Grakchusa.

– Stworzycie precedens – powiedział – który pozwoli każdemu demagogowi zwołać zgromadzenie ludowe i zagrozić koledze odwołaniem, jeśli tylko uzna, że ma większość. Czemu to



miałoby dotyczyć tylko trybunów? Czemu nie można by było wyrzucić pretora lub konsula?

– To nie my stworzymy precedens – niecierpliwie wtrącił Cezar. – Zrobił to dla nas Grakchus.

– Niewątpliwie – zgodził się z nim Cyncero. – Wprawdzie arystokraci go zamordowali, ale nie uznali jego ustaw za sprzeczne z prawem. Rozumiem, o co chodzi Warronowi, i w znacznym stopniu podzielam jego zastrzeżenia. Toczmy jednak zaciekle walkę i musimy podjąć ryzyko.

Rozległ się szum potakiwań, ale najbardziej zdecydowanie za zastosowaniem tej taktyki wypowiedzieli się Gabiniusz i Korneliusz, którzy musieliby wystąpić na zgromadzeniu ludowym i przepchnąć ustawę, a tym samym byłiby najbardziej narażeni na zemstę nobilów, zarówno fizyczną, jak i prawną.

– Zdecydowana większość ludu pragnie utworzenia najwyższego dowództwa – zadeklarował Gabiniusz. – Ludzie chcą, żeby dowódcą został Pompejusz. Krassus ma dostatecznie dużo pieniędzy, żeby kupić dwóch trybunów, ale nie można pozwolić, żeby to umożliwiło mu przeciwstawienie się woli ludu.

Afraniusz chciał wiedzieć, czy Pompejusz wyraził swoją opinię.

– Oto list, który wysłałem do niego dziś rano – odparł Cyncero i podniósł zwój. – Na dole jest odpowiedź, którą przesłał pocztą zwrotną. Otrzymałem ją tutaj, w tym samym czasie co wy. – Wszyscy mogli zobaczyć jedno słowo, które Pompejusz dopisał na dole wielkimi literami: *Zgoda*. To zakończyło dyskusję. Później Cyncero kazał mi spalić list.

Rano w dniu, kiedy miało się odbyć zgromadzenie ludowe, było bardzo zimno, a lodowaty wiatr hulał między kolumnadami i świątyniami na forum. Mróz nie zniechęcił jednak ludzi; na forum pojawił się ogromny tłum. W dniu ważnych głosowań

trybuni przynosili się do świątyni Kastora, gdzie było więcej miejsca. W nocy robotnicy zbudowali drewniane pomosty, przez które mieli przechodzić obywatele, żeby oddać głos. Cycero przyszedł wcześniej i bez hałasu, w towarzystwie Kwintusa i moim, ponieważ – jak powiedział, gdy schodziliśmy ze wzgórza na forum – był tylko reżyserem tego przedstawienia, nie zaś jednym z głównych aktorów. Przez chwilę rozmawiał z naczelnikami *tribus*, po czym wycofaliśmy się do portyku Basilica Aemilia, skąd mieliśmy dobry widok na forum, a w razie potrzeby senator mógł wydawać polecenia.

To była dramatyczna scena, a jak przypuszczam, jestem jednym z niewielu jej świadków, którzy jeszcze żyją. Dziesięciu trybunów zajęło miejsce na swej ławie. Były wśród nich dwie pary wynajętych gladiatorów – Gabiniusz i Korneliusz walczący po stronie Pompejusza przeciw Trebeliuszowi i Roscjuszowi, reprezentującym Krassusa. Kapłani i wróżbici stali na szczycie schodów świątyni. Pomarańczowy ogień na ołtarzu stanowił jedyną migoczącą, kolorową plamę w szarym otoczeniu. Ogień rzucał błyski światła na czerwone od mrozu twarze obywateli kręcących się w pobliżu wysokich sztandarów poszczególnych *tribus*. Na każdym widać było wypisane wielkimi literami nazwy – *AEMILIA*, *CAMILIA*, *FABIA*, i tak dalej – dzięki czemu każdy wyborca wiedział, gdzie jest jego miejsce. Członkowie różnych grup żartowali i przekomarzali się, aż wreszcie herold zadał w trąbkę, wzywając wszystkich, żeby się uciszyli. Urzędnik przenikliwym głosem po raz drugi odczytał proponowaną ustawę, po czym wystąpił Gabiniusz i wygłosił krótkie przemówienie. Miał radosną wiadomość, powiedział: Pompejusz Wielki, głęboko poruszony cierpieniami narodu, gotów był zmienić swą decyzję i objąć stanowisko naczelnego dowódcy, ale tylko pod warunkiem, że taka jest jednomyślna wola wszystkich. „Czy tego chcecie?” – spytał, wywołując wielką demonstrację

entuzjazmu. Wrzawa trwała dość długo, dzięki naczelnikom *tribus*. Ilekroć wydawało się, że krzyki i oklaski słabną, Cycero dawał dyskretny sygnał naczelnikom, którzy przekazywali polecenie na forum, a wtedy chorążowie znowu zaczynali gwałtowniej machać sztandarami, podkreślając tłum. W końcu Gabiniusz dał znak, żeby się uciszyli. „Jeśli tak, to głosujmy!” – krzyknął.

W tym momencie Trebeliusz powoli wstał z ławy i uniośł rękę na znak, że chce zabrać głos. Trzeba podziwiać odwagę, z jaką przeciwstawił się tysiącom ludzi. Gabiniusz spojrział na niego z pogardą.

– Obywatele! – ryknął do tłumu. – Czy pozwolimy mu przemawiać?

– Nie! – rozległy się wrzaski.

– W takim razie wetuję ustawę! – krzyknął Trebeliusz ostrym ze zdenerwowania głosem.

Przez cztery wieki, z wyjątkiem jednego roku, gdy trybunem był Grakchus, taka deklaracja trybuna oznaczała koniec ustawy. Tego dnia jednak Gabiniusz dał krzyczącym ludziom znak, żeby zamilkli.

– Czy Trebeliusz przemawia w imieniu was wszystkich?

– Nie! – odkrzyknęli ludzie na forum. – Nie! Nie!

– Czy przemawia w imieniu kogokolwiek z tu obecnych?

Słysząc było tylko świst wiatru. Nawet senatorowie, którzy popierali Trebeliusza, nie ośmielili się odezwać, ponieważ stali wśród członków swych *tribus* bez żadnej ochrony i tłum mógł ich zaatakować.

– Wobec tego, zgodnie z precedensem ustanowionym przez Tyberiusza Grakchusa, wnoszę o odwołanie Trebeliusza ze stanowiska trybuna, ponieważ złamał przysięgę, jaką złożył, obejmując urząd, że będzie reprezentował lud. Domagam się, żeby natychmiast odbyło się głosowanie w tej sprawie!

– Teraz zacznie się zabawa – mruknął do mnie Cyncero.

Obywatele przez chwilę popatrywali jeden na drugiego, po czym zaczęli kiwać potakująco głowami. Stopniowo narastał hałas, w miarę jak tłum uświadamiał sobie – tak przynajmniej o tym myślę teraz, gdy siedzę w moim małym pokoju i z zamkniętymi oczyma przypominam sobie tę scenę – że rzeczywiście może to uczynić, a ważniacy z senatu nie mogą temu w żaden sposób przeszkodzić. Katulus, Hortensjusz i Krassus przepychali się naprzód, domagając się udzielenia im głosu, ale Gabiniusz rozstawił wokół trybuny kilkunastu weteranów Pompejusza, którzy ich nie przepuścili. Krassus całkowicie stracił swe zwykłe opanowanie. Z czerwoną i wykrzywioną wściekłością twarzą próbował wdrzeć się na trybunę, ale weterani go odepchnęli. Krassus zauważył, że Cyncero przygląda się temu z oddali, wskazał go ręką i coś krzyknął, ale był zbyt daleko, żebyśmy mogli go usłyszeć w tym hałasie. Cyncero łagodnie uśmiechnął się do niego. Herold odczytał wniosek Gabiniusza: „Lud nie chce już, żeby Trebeliusz był jego trybunem” i urzędnicy wyborczy zajęli stanowiska. Jak zwykle pierwsi głosowali członkowie *tribus* Suburana. Przechodzili parami przez drewniany pomost, oddawali głosy, a następnie schodzili po kamiennych schodach świątyni na forum. Wszystkie miejskie *tribus* zagłosowały za odwołaniem Trebeliusza. Po nich zaczęły głosować wiejskie. To wszystko trwało kilka godzin. Trebeliusz był szary ze zdenerwowania i często naradzał się z Roscjuszem. W pewnym momencie znikł z ławy trybunów. Nie zauważyłem, dokąd poszedł, ale z pewnością udał się do Krassusa prosić o zwolnienie ze zobowiązania. Na całym forum widać było niewielkie grupki senatorów, którzy czekali na zakończenie głosowania. Katulus i Hortensjusz chodzili od grupki do grupki z ponurymi minami. Cyncero również krążył wśród senatorów; rozmawiał między innymi z Torkwatem i starym sojusznikiem Marcellinusem,

którego namówił, żeby potajemnie przeszedł do obozu Pompejusza.

Gdy siedemnaście *tribus* zagłosowało za odwołaniem Trebeliusza, Gabiniusz zarządził przerwę w głosowaniu.

Wezwał go na trybunę i spytał, czy zamierza podporządkować się woli ludu i tym samym zachować stanowisko trybuna, czy też ma kontynuować głosowanie. Trebeliusz miał okazję zapisać się w historii jako bohater swej sprawy. Często zastanawiam się, czy na starość nie żałował podjętej wtedy decyzji. Przypuszczam jednak, że miał nadzieję na karierę polityczną. Po krótkim wahaniu dał znak, że się zgadza i wycofuje weto. Nie muszę chyba dodawać, że później pogardzały nim obie strony i nigdy więcej o nim nie słyszałem.

Wszyscy zwrócili oczy na Roscjusza, drugiego trybuna Krasusa. W tym momencie – było wczesne popołudnie – Katulus znowu pojawił się u stóp schodów świątyni, otoczył dłońmi usta i krzyknął do Gabiniusza, żeby ten udzielił mu głosu. Jak już wspomniałem, Katulus cieszył się dużym szacunkiem jako gorący patriota. Gabiniuszowi trudno było odmówić, zwłaszcza że Katulus był najstarszym byłym konsulem w senacie. Nakazał gestem weteranom, żeby go przepuścili. Katulus, mimo podeśzłego wieku, wbiegł na schody jak jaszczurka. „To błąd” – szepnęła do mnie Cyncero.

Gabiniusz tłumaczył później Cynceronowi, że myślał, iż arystokraci, w obliczu nieuchronnej klęski, postanowili ustąpić w imię jedności narodowej. Bynajmniej nie. Katulus ostro potępił *lex Gabinia* i nielegalną taktykę, jaką wykorzystano do jej przełamania. Było szaleństwem – oświadczył – żeby republika powierzała swe bezpieczeństwo jednemu człowiekowi. Wojna to ryzykowna sprawa, zwłaszcza wojna morska. Co będzie z tym specjalnym dowództwem, jeśli Pompejusz zostanie zabity? Kto go zastąpi? „Ty” – krzyczeli ludzie, a choć ta reakcja była

pochlebna, Katulus pragnął zupełnie innej odpowiedzi. Wiedział, że jest już za stary, żeby iść na wojnę. Pragnął ustanowienia dwuosobowego dowództwa, bo choć osobiście gardził Krasusem, liczył na to, że najbogatszy człowiek w Rzymie zrównoważy potęgę Pompejusza. Teraz Gabiniusz zaczął rozumieć, że popełnił błąd, udzielając mu głosu. Zimowe dni były krótkie. Musiał doprowadzić do zakończenia głosowania przed zachodem słońca. Brutalnie przerwał byłemu konsulowi, powiedział mu, że miał już dość czasu, żeby się wypowiedzieć, pora już głosować. Roscjusz spróbował zgłosić poprawkę do ustawy przewidującą podzielenie dowództwa między dwie osoby, ale ludzie tracili już cierpliwość i nie pozwolili mu mówić. Krzyki były tak głośne, że podobno hałas zabił przelatującego nad forum kruka. Roscjusz mógł tylko podnieść dwa palce na znak, że zgłasza weto i uważa, iż powinno być dwóch dowódców. Gabiniusz zdawał sobie sprawę, że nie zdąży przed zachodem słońca usunąć z urzędu drugiego trybuna, a tym samym nie przeprowadzi tego dnia swej ustawy – a któż mógł przewidzieć, co zrobią nocą arystokraci, jeśli dostaną szansę na uporządkowanie swych szeregów? Wobec tego Gabiniusz odwrócił się do Roscjusza plecami i zarządził głosowanie.

– Załatwione – powiedział Cycero, gdy urzędnicy wyborczy zajęli swe stanowiska. – Zrobione. Biegnij do domu Pompejusza i powiedz, żeby natychmiast wysłali gońca. Zapisz wiadomość: „Ustawa uchwalona. Dowództwo jest twoje. Musisz natychmiast wyruszać do Rzymu i przyjechać tu jeszcze dziś wieczorem. Twoja obecność jest konieczna, żeby opanować sytuację. Cycero”.

Sprawdziłem, czy dokładnie zapisałem jego słowa, i pobiegłem wykonać polecenie, a Cycero wrócił na forum, żeby dalej przekonywać, pochlebiać, wyrażać współczucie, a czasami

nawet grozić, gdyż zgodnie z jego filozofią nie było niczego, czego słowa nie mogą zrobić, odmienić lub naprawić.

W ten sposób, głosami wszystkich *tribus*, została uchwalona *lex Gabinia*, ustawa, która miała ogromne konsekwencje dla wszystkich osobiście zainteresowanych, dla Rzymu i dla całego świata.

Gdy zapadł zmierzch, forum opustoszało, a przeciwnicy rozeszli się do swych kwater. Zaciekli arystokraci do domu Katulusa na szczycie Palatynu, zwolennicy Krassusa do jego nieco skromniejszego domu, na zboczu tego samego wzgórza, a zwycięscy pompejańczycy do domu swego przywódcy na Eskwiliinie. Jak zwykle sukces podziałał jak magia i w tablinum Pompejusza zgromadziło się co najmniej dwudziestu senatorów, żeby pić jego wino i czekać na przyjazd zwycięzcy. Pokój był jasno oświetlony kandelabrami, w środku unosił się mocny zapach wina i potu oraz słycać było głośne męskie rozmowy, do jakich często dochodzi po rozładowaniu napięcia. Cezar, Afraniusz, Palikanus, Warron, Gabiniusz i Korneliusz byli obecni, ale ginęli w tłumie nowych, których nazwisk nie zapamiętałem. Na pewno przyszli Lucjusz Torkwatus i jego kuzyn Aulus oraz jeszcze jedna para młodych arystokratów, Metellus Nepos i Lentulus Marcellinus. Korneliusz Sisenna (jeden z najbardziej entuzjastycznych stronników Werresa) zachowywał się jak u siebie w domu – siedział z nogami na meblach – podobnie jak dwaj byli konsulowie, Lentulus Klodianus i Geliusz Publikola (ten sam Geliusz, który miał pretensje do Cycerona z powodu żartu o konferencji filozofów). Cycero zamknął się w sąsiednim pokoju i pisał przemówienie, które Pompejusz miał wygłosić następnego dnia. Wtedy nie mogłem zrozumieć jego zagadkowego spokoju, ale teraz wydaje mi się, iż intuicyjnie zdawał sobie sprawę, że w republice coś pękło, co nawet jemu będzie trudno naprawić

słowami. Od czasu do czasu posyłał mnie, żebym dowiedział się, gdzie jest Pompejusz.

Na krótko przed północą przyjechał goniec z wiadomością, że Pompejusz jedzie Via Latina i zbliża się już do miasta. Przy Bramie Kapeńskiej czekało kilkudziesięciu weteranów z pochodniami, żeby eskortować go w drodze do domu, na wypadek gdyby przeciwnicy uciekli się do jakichś desperackich kroków. Kwintus – który przez cały wieczór krążył po mieście z naczelnikami okręgów – donosił jednak, że na ulicach panuje spokój. W końcu przed domem rozległy się głośne okrzyki sygnalizujące przyjazd wielkiego człowieka i chwilę później był już wśród nas. Wydawał się jeszcze większy niż zwykle; uśmiechał się, ścisnął dłonie, poklepywał po plecach; nawet ja dostałem przyjazne klepnięcie w ramię. Senatorowie domagali się, żeby Pompejusz przemówił, na co odpowiedział Cyncero, nieco za głośno: „On jeszcze nie może przemówić, przecież nie napisałem, co powinien powiedzieć”. Po twarzy Pompejusza przemknął cień, ale Cezar znowu uratował Cyncerona, wybuchając głośnym śmiechem. Pompejusz nagle też się uśmiechnął i żartobliwie pogroził Cynceronowi palcem. Atmosfera się rozluźniła, zapanaował taki nastrój jak w oficerskiej kantynie po zwycięskiej bitwie, gdzie wszyscy trochę się nabijają z triumfującego dowódcy.

Ilekróć myślę o słowie *imperium*, zawsze przychodzi mi do głowy obraz Pompejusza. Pompejusza tej nocy, gdy pochylał się nad mapą Morza Śródziemnego i rozdzielał władzę nad krajami i morzami równie niedbale, jak częstował winem („Marcellinusi, ty możesz wziąć Morze Libijskie, a ty, Torkwatusie, weźmiesz wschodnią Hiszpanię...”), a także następnego ranka, gdy poszedł na forum przejąć swą zdobycz. Kronikarze oceniali później, że w centrum Rzymu zebrało się ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, żeby zobaczyć, jak Pompejusz zostaje namaszczoney



na największego dowódcę na świecie. Tłum był tak ogromny, że nawet Katulus i Hortensjusz nie odważyli się na jakiś ostatni akt sprzeciwu, choć z pewnością bardzo by chcieli nie dopuścić do tej ceremonii. Zamiast tego musieli stać spokojnie wśród senatorów i robić dobrą minę do złej gry. Krassus, co dla niego typowe, nie potrafił się na to zdobyć, dlatego w ogóle nie przyszedł. Pompejusz niewiele się odzywał; ograniczył się do kilku słów deklaracji pokornej wdzięczności, ułożonych przez Cyncerona, oraz apelu o jedność narodową. Nie musiał jednak nic mówić; jego obecność wystarczyła, żeby ceny zboża na rynku spadły o połowę – takie budził zaufanie i poczucie pewności. Zakończył wspaniałą teatralną figurą retoryczną, której autorem mógł być tylko Cyncero: „Nakładam teraz ponownie tak drogą i dobrze mi znaną szatę, święty czerwony płaszcz rzymskiego dowódcy, i nie zdejmę go ani na chwilę, aż nie zwyciężymy w tej wojnie lub ja zginę!”. Pompejusz uniósł ramię w pożegnalnym geście i zszedł z podium lub raczej, należałoby powiedzieć, został z niego zdmuchnięty przez okrzyki aprobaty. Oklaski jeszcze trwały, gdy Pompejusz pojawił się znowu – wchodził na schody Kapitolu, mając na sobie *paludamentum*, szkarłatny płaszcz, jaki noszą prokonsulowie w czynnej służbie. Ludzie oszaleli z entuzjazmu. Zerknąłem na Cyncerona, który stał obok Cezara. Cyncero przyglądał się temu wszystkiemu z wyrazem rozbawienia i lekkiego obrzydzenia na twarzy, natomiast Cezar był zachwycony, tak jakby widział już swoją przyszłość. Pompejusz wszedł do świątyni kapitolinińskiej trójcy i złożył Jowiszowi byka w ofierze, po czym natychmiast wyjechał z miasta, nie żegnając się ani z Cyncerem, ani z nikim innym. Wrócił dopiero po sześciu latach.

## XIII

W wyborach pretorów latem tego roku Cycero zajął pierwsze miejsce. Po ostrej walce o *lex Gabinia* stronnictwa polityczne odnosiły się do siebie z wielką nieufnością, dlatego kampania wyborcza była brzydka i pełna agresji. Mam przed sobą list, który Cycero napisał do Attyka tego lata, wyrażając swoje zniechęcenie do życia publicznego: „Trudno uwierzyć, że w krótkim czasie sytuacja pogorszyła się tak bardzo w porównaniu z tym, jak wyglądała, gdy wyjeżdżałeś”. Głosowanie trzeba było dwukrotnie przerwać z powodu bójek na Polu Marsowym. Cycero podejrzewał, że to Krassus najął zbirów, żeby zakłócili przebieg wyborów, ale nie mógł tego udowodnić. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, dopiero we wrześniu ośmiu pretorów-elektów mogło się zebrać w budynku senatu, żeby rozdzielić między siebie sądy, którym mieli przewodniczyć. Jak zwykle decydowało o tym losowanie.

Najbardziej upragnione było stanowisko *praetor urbanus*, uważane za trzecie w państwowej hierarchii, po dwóch konsulach. Pretor miejski nadzorował cały wymiar sprawiedliwości i organizował igrzyska apollińskie. Natomiast za wszelką cenę

należało uniknąć stanowiska przewodniczącego trybunału do spraw defraudacji, gdyż była to wyjątkowo ciężka i żmudna praca. „Oczywiście, bardzo chciałbym zostać pretorem miejskim – zwierzył mi się Cycero, gdy tego dnia szliśmy do senatu. – A szczerze mówiąc, chyba wolałbym się powiesić, niż przez cały rok przewodniczyć trybunałowi do spraw defraudacji. Natomiast chętnie zgodzę się na wszystko pomiędzy”. Cycero był w doskonałym nastroju. Wreszcie dokończono wybory, a on zdobył najwięcej głosów. Pompejusz wyjechał nie tylko z Rzymu, ale również z Italii, zatem senator nie czuł nad sobą cienia wielkiego wodza. Był już blisko zdobycia upragnionego stanowiska konsula – tak blisko, że niemal czuł pod sobą krzesło z kości słoniowej.

Na takie ceremonie losowania stanowisk zawsze przychodził tłum ludzi, gdyż wielka polityka łączyła się tu z hazardem. Gdy przybyliśmy, większość senatorów już zajęła swoje miejsca. Pojawienie się Cyclerona spowodowało sporą wrzawę – starzy stronnicy spośród *pedarii* głośno go pozdrawiali, a arystokraci wykrzykiwali obelgi. Krassus, jak zwykle rozparty na frontowej ławce dla byłych konsulów, popatrzył na niego zmrużonymi oczami jak wielki kot, który udaje sen, gdy mały ptaszek podskakuje w pobliżu. Wybory przyniosły wyniki zgodne z oczekiwaniami Cyclerona. Jeśli podam tu nazwiska pozostałych pretorów, pozwoli to czytelnikom zorientować się, jak wyglądała rzymska polityka w owym czasie. Poza Cycleronem tylko dwaj niewątpliwie uzdolnieni pretorzy czekali spokojnie na losowanie. Zdecydowanie najbardziej utalentowany był Akwiliusz Gallus, szanowany sędzia, którego wielu ludzi uważało za prawnika lepszego od Cyclerona. Był to człowiek mogący służyć za wzór cnót – inteligentny, skromny, sprawiedliwy, uprzejmy i obdarzony znakomitym smakiem, czego dowodem była jego wspa- niała rezydencja na Wiminale. Cycero rozważał, czy nie

zapropnować mu wspólnego startu w wyborach konsularnych. Pod względem powagi i talentu następny był Sulpicjusz Galba, ze znanej arystokratycznej rodziny, która miała w swym atrium tak wiele masek konsulów, że trudno było sobie wyobrazić, żeby nie zamierzał ubiegać się o najwyższe stanowisko w państwie. Był człowiekiem uczciwym i zdolnym, ale również surowym i aroganckim, co mogło się liczyć w wyrównanym wyścigu wyborczym. Czwarte miejsce pod względem zdolności – mówię tak, choć Cycero czasami wyśmiewał się z takiej absurdalnej klasyfikacji – zajmował Kwintus Kornificjusz, zamożny i bardzo religijny, który bez końca gadał o konieczności odrodzenia podupadającej rzymskiej moralności – „kandydat bogów”, tak mówił o nim Cycero. Po Kornificjuszu, przykro mi to mówić, długo nie było nikogo widać – pozostali czterej pretorzy ogromnie mu ustępowali pod względem zdolności, a poza tym wszyscy już kiedyś zostali wyrzuceni z senatu z powodu bankructwa lub niemoralności. Najstarszy z nich był Waryniusz Glaber, jeden z tych bystrych, rozgoryczonych ludzi, którzy spodziewali się wielkiej kariery i nie mogą uwierzyć, że im się nie udało. Glaber był już pretorem siedem lat wcześniej. Powierzono mu dowodzenie armią mającą stłumić powstanie Spartakusa. Jego legiony były jednak bardzo słabe i w walce ze zbuntowanymi niewolnikami Glaber poniósł kilka porażek. Po tym upokorzeniu wycofał się z życia publicznego. Następny, Gajusz Orchiwiusz – „karierowicz bez talentu”, jak określił go Cycero – miał poparcie potężnego syndykatu wyborczego. Na siódmym miejscu pod względem inteligencji Cycero umieścił Kasjusza Longinusa – „beczkę sadła” – uważanego za najgrubszego człowieka w Rzymie. Ostatnie, ósme miejsce przypadło Antoniuszowi Hybrydzie, pijakowi, który wziął za żonę niewolnicę. Cycero poparł go w wyborach, ponieważ uważał, że przynajmniej nie będzie musiał liczyć się z ambicjami tego jednego

pretora. „Wiesz, dlaczego nazywają go »Hybryda«? – spytał mnie pewnego dnia. – Bo jest w połowie człowiekiem, a w połowie osłem. Osobiście nie przyznałbym mu nawet tej połowy”.

Jednak bogowie, którym Kornificjusz był tak oddany, często karzą ludzką pychę, o czym przekonał się Cycero tego dnia. Losy umieszczono w starożytnej urnie, używanej do tego celu już od wieków. Glabryon, konsul przewodniczący obradom, wzywał kandydatów w porządku alfabetycznym, a zatem Antoniusz Hybryda losował pierwszy. Sięgnął drżącą ręką do urny, wyciągnął gałkę i podał ją Glabryonowi. Ten uniósł brew i głośno przeczytał: „pretor miejski”. Przez chwilę panowała cisza, po czym wszyscy wybuchli takim śmiechem, że poderwały się gołębie gnieźdzące się pod dachem. Na zebranych posypały się pióra i ekskrementy. Hortensjusz i kilku innych arystokratów, którzy wiedzieli, że Cycero pomógł Hybrydzie, wskazywali go teraz palcami i klepali się po bokach z uciechy. Krassus śmiał się tak, że niemal spadł z ławki. Sam Hybryda – wkrótce trzeci człowiek w państwie – stał rozpromieniony, bez wątpienia sądząc, że ten śmiech jest wyrazem powszechnej radości z jego powodzenia.

Nie widziałem twarzy Cyclerona, ale łatwo zgadłem, o czym myślał: teraz pech sprawi, że wylosuje defraudację. Następny ciągnął Gallus – wylosował sąd zajmujący się prawem wyborczym. Grubemu Longinusowi przypadła zdrada, a kandydatowi bogów Kornificjuszowi sąd kryminalny. Teraz prawdopodobieństwo wylosowania defraudacji wyraźnie wzrosło i już się bałem, że zdarzy się najgorsze. Na szczęście następny losujący, Orchiwiusz, wyciągnął defraudację. Galbie przypadła odpowiedzialność za sprawy o przestępstwa wobec państwa. Cyceronowi pozostały już tylko dwie możliwości: albo dobrze mu znany trybunał do spraw wymuszeń, albo stanowisko pretora do spraw zagranicznych, co oznaczało, że praktycznie byłby zastępcą

Hybrydy: przykry los dla najinteligentniejszego człowieka w Rzymie. Gdy wszedł na podium, żeby wyciągnąć los, pokręcił z żalem głową, jakby chciał powiedzieć, że w polityce można wymyślać najbardziej skomplikowane manewry, ale w końcu wszystko sprowadza się do łutu szczęścia. Sięgnął ręką do urny i wyciągnął wymuszenia. Była pewna przyjemna symetria w tym, że to Glabirion, były przewodniczący sądu, w którym Cycero zdobył sławę, teraz odczytał wynik losowania. Zagraniczna pretura przypadła zatem Waryniuszowi, ofierze Spartakusa. W ten sposób została ustalona obsada sądów na następny rok i odbyła się wstępna przymiarka do wyborów konsularnych.

Z powodu tej nawały politycznych zdarzeń nie wspominałem, że wiosną Pomponia zaszła w ciążę. To najlepszy dowód – Cycero napisał triumfalnie do Attykusa, gdy się o tym dowiedział – że jej małżeństwo z Kwintusem jakoś się układa. Niedługo po wyborach pretorów Pomponia urodziła dziecko, zdrowego chłopca. Zostałem zaproszony na uroczystość oczyszczenia i przyjęcia dziecka, z czego byłem bardzo dumny i co uznałem za oznakę mojej pozycji w rodzinie. Ceremonia odbyła się dziewiątego dnia po narodzinach, w pobliskiej świątyni Tellus. Wątpię, czy jakieś dziecko miało czulszego stryja. Cycero uparł się, że zamówi u złotnika wspaniały amulet, jako prezent z okazji nadania dziecku imienia. Gdy kapłan już pobłogosławił małego Kwintusa, Cycero wziął go na ręce. Uświadomiłem sobie wówczas, jak bardzo żałuje, że nie ma syna. Gdy ktoś dąży do zostania konsulem, z pewnością myśli o tym, że jego syn, wnuk i prawnuki, aż po wsze czasy, będą mogli korzystać z *ius imaginum*, czyli powiesić jego podobiznę w rodzinnym atrium. Jaki mają sens starania o zdobycie słynnego nazwiska rodowego,

jeśli ród ma wygasnąć, nim naprawdę powstał? Spoglądając w świątyni na Terencję, przyglądając się, jak jej mąż delikatnie głaskał policzek dziecka wierzchem małego palca, dobrze wiedziałem, że ona również o tym myśli.

Pojawienie się dziecka często skłania dorosłych do ponownej oceny przyszłości. Jestem pewny, że właśnie z tego względu, niedługo po narodzinach bratanka, Cyncero zaaranżował zaręczyny Tulii. Ona miała dziesięć lat, a on poświęcał jej tyle uwagi co zawsze. Mimo licznych spraw politycznych i kwitnącej praktyki adwokackiej, rzadko się zdarzało, żeby w ciągu dnia nie znalazł wolnej chwili, by poczytać córce lub pobawić się z nią. Z charakterystyczną mieszaniną czułości i przebiegłości Cyncero zaczął od rozmowy z córką, nie zaś z Terencją.

– Czy chciałabyś któregoś dnia wyjść za mąż? – spytał ją pewnego ranka, gdy siedzieliśmy we troje w gabinecie.

Tulia odpowiedziała, że bardzo by chciała, a wtedy Cyncero spytał, kto jest jej wymarzoną kandydatką na męża.

– Tironie! – krzyknęła, obejmując mnie w pasie.

– Obawiam się, że Tiron jest zbyt zajęty pomaganiem mi w pracy, by mógł się ożenić – odrzekł poważnie Cyncero. – Kto jeszcze?

Tulia nie знаła wielu dorosłych mężczyzn, wkrótce więc wymieniła młodego Pizona Frugi, który od sprawy Werresa tak blisko współpracował z Cynceronem, że stał się niemal członkiem rodziny.

– Frugi! – wykrzyknął Cyncero, tak jakby sam nigdy o tym nie pomyślał. – Wspaniały pomysł! Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Jesteś pewna? Jeśli tak, to chodźmy, od razu powiemy o tym mamie.

W ten sposób Terencja została wymanewrowana przez własnego męża, na swoim terenie, tak jakby była jakimś skretyniałym arystokratą z senatu. Nie chodziło o to, że miała jakieś

zastrzeżenia co do Pizona Frugi, który nawet według niej był odpowiednim kandydatem – łagodnym, pilnym młodym człowiekiem, mającym wówczas dwadzieścia jeden lat, z bardzo znanej, wybitnej rodziny. Terencja była jednak dostatecznie inteligentna, żeby zauważyć, iż Cyncero, tworząc zastępcę, którego mógł szkolić i wprowadzać w życie publiczne, w istocie postarał się o zastępczego syna, skoro nie mógł mieć własnego. Niewątpliwie poczuła się zagrożona, a zawsze reagowała gwałtownie na wszelkie groźby. Uroczyste zaręczyny w listopadzie przeszły całkiem gładko. Frugi – który, nawiasem mówiąc, bardzo lubił Tulię – nieśmiało nałożył jej pierścioneł, czemu z aprobatą przyglądały się obie rodziny i wszyscy domownicy. Ustalono, że ślub odbędzie się za pięć lat, gdy Tulia dojrzeje. Tej nocy doszło jednak do jednej z najostrzejszych kłótni między Cynceronem i Terencją. Awantura wybuchła w tablinum, nim udało mi się wyjść. Cyncero wygłosił jakąś banalną uwagę, że rodzina Frugi przyjęła Tulię bardzo serdecznie. Terencja, która od pewnego czasu była niebezpiecznie spokojna, odpowiedziała, że to rzeczywiście bardzo miło z ich strony, biorąc pod uwagę...

– Biorąc pod uwagę co? – spytał ze znużeniem Cyncero.

Najwyraźniej uznał, że kłótnia z żoną jest równie nieuchronna, jak wymioty po zjedzeniu zepsutej ostrygi, i chciał ją jak najszybciej mieć za sobą.

– Biorąc pod uwagę, z kim się wiąże – odpowiedziała Terencja i szybko przeszła do swej ulubionej linii ataku: służalczy stosunek Cyncerona do Pompejusza i jego prowincjonalnej koterii jest haniebny, ustawił swą rodzinę przeciw wszystkim najbardziej szanowanym ludziom w państwie, nielegalne przyjęcie *lex Gabinia* umożliwiło tłuszczy przejęcie władzy. Nie pamiętam wszystkich zarzutów, a poza tym, jakie to ma znaczenie? Podobnie jak w wielu kłótniach między mężem i żoną chodziło



o coś innego niż to, o czym była mowa – w tym wypadku o to, że Terencja nie urodziła syna, a Cyncero odnosił się do Pizona Frugi tak, jakby był jego ojcem. Cyncero odparł, że Pompejusz może mieć wiele wad, ale nikt nie kwestionuje jego talentów wojskowych, a od kiedy objął stanowisko naczelnego dowódcy, zebrał armię, wyruszył na morze i w ciągu zaledwie czterdziestu dziewięciu dni zlikwidował zagrożenie ze strony piratów. Na co Terencja odpowiedziała, że jeśli piraci rzeczywiście zostali pokonani w ciągu siedmiu tygodni, to zapewne nie stanowili takiego niebezpieczeństwa, jak to przedstawiali Cyncero i jego koledzy! W tym momencie udało mi się wyjść z tablinum i wyczołgać do swego małego pokoju, dlatego nie wiem, jak dalej potoczyła się kłótnia. W każdym razie przez kilka dni atmosfera w domu była równie krucha jak neapolitańskie szkło.

– Widzisz, jakie ciężkie jest moje życie? – poskarżył się Cyncero następnego dnia, rozcierając palcami czoło. – Nie mam chwili wytchnienia ani w pracy, ani w domu.

Terencja coraz bardziej przejmowała się swoją rzekomą bezpłodnością. Zaczęła codziennie modlić się w świątyni Dobrej Bogini na Awentynie, gdzie swobodnie kręciły się niegroźne węże, mające zapewnić płodność, a żadnemu mężczyźnie nie wolno było wchodzić do sanktuarium. Jej pokojówka powiedziała mi, że w swej sypialni Terencja urządziła niewielką kapliczkę Junony.

Moim zdaniem Cyncero w głębi serca myślał o Pompejuszu podobnie jak Terencja. W jego błyskawicznej kampanii przeciw piratom było coś podejznanego. („Zorganizowana pod koniec zimy – powiedział – zaczęła się wiosną i skończyła w środku lata”). Rzeczywiście, nasuwała się myśl, że tym problemem mógł się zająć dowódca wojskowy mianowany w normalnym trybie. Nie można było jednak zaprzeczyć, że kampania Pompejusza stanowiła ogromny sukces. Piraci zostali wyparci na

wschód, zmuszeni do opuszczenia wybrzeży Sycylii i Afryki, ucieczki przez Morze Illiryjskie do Achai, a później jeszcze dalej. W końcu Pompejusz obiegnął ich ostatnią twierdzą Korakezjon w Cylicji i pokonał w wielkiej bitwie na morzu i lądzie, zabijając dziesięć tysięcy ludzi, niszcząc czterysta okrętów i biorąc do niewoli dwadzieścia tysięcy jeńców. Zamiast ich ukrzyżować, co niewątpliwie zrobiłby Krassus, Pompejusz kazał im się osiedlić, z żonami i dziećmi, w wyludnionych miastach Grecji i Azji Mniejszej. Jedno z nich nazwał, z charakterystyczną skromnością, Pompejopolis. Wszystko to robił, nie pytając senatu o zdanie.

Cycero obserwował sukcesy swojego patrona z mieszanymi uczuciami. („Pompejopolis! Bogowie, jakie to pospolite!”). Zdawał sobie sprawę, że napuszony z powodu sukcesów Pompejusz rzuca coraz dłuższy cień na jego karierę. Staranne planowanie i przygniatająca przewaga liczebna – na tym polegała ulubiona taktyka Pompejusza zarówno na polu bitwy, jak i w Rzymie. Po zakończeniu pierwszego etapu kampanii – zniszczeniu piratów – rozpoczął się drugi, etap. Gabiniusz zaczął agitować za odebraniem Lukullusowi dowództwa nad wschodnimi legionami i przekazaniem go Pompejuszowi. Przyjął taką samą taktykę jak poprzednio – wykorzystywał władzę trybuna, żeby publicznie przesłuchiwać świadków, którzy przedstawiali ponury obraz wojny z Mitrydatesem. Niektóre legiony, które od lat nie otrzymywały żołdu, po prostu odmówiły wymarszu z zimowych obozów. Gabiniusz starał się skonstrastować obraz nędzy tych prostych żołnierzy z gigantycznym bogactwem ich arystokratycznego dowódcy, który zebrał takie łupy, że stać go było na kupienie całego wzgórza tuż za bramami Rzymu i rozpoczęcie budowy pałacu, z reprezentacyjnymi pokojami nazwanymi imionami bogów. Gabiniusz wezwał architektów Lukullusa i zmusił ich do przedstawienia planów i modeli pałacu. Od tej

pory imię Lukullusa stało się synonimem skandalicznego luksusu, a rozgniewani obywatele spalili jego kukłę na forum.

W grudniu skończyła się kadencja Gabiniusza i Korneliusza. Teraz o interesy Pompejusza miał dbać trybun-elekt Gajusz Maniliusz, będący nową kreaturą wielkiego wodza. Maniliusz natychmiast zgłosił projekt ustawy o przekazaniu Pompejuszowi dowództwa w wojnie z Mitrydatesem i zarządu prowincji Azji, Cylicji i Bitynii – w dwóch ostatnich rządził dotychczas Lukullus. Jeśli Cycero miał nadzieję, że nie będzie musiał zająć publicznie stanowiska w tej kwestii, to rozwiąła się w momencie, gdy Gabiniusz przyniósł mu list od Pompejusza. Wódz zwięźle przekazywał mu życzenia pomyślności i wyrażał nadzieję, że Cycero poprze *lex Manilla* „ze wszystkimi jej klauzulami”, i to nie tylko za kulisami, ale również publicznie, z rostra na forum.

– „Ze wszystkimi jej klauzulami” – powtórzył Gabiniusz ze złośliwym uśmiechem. – Wiesz, co to oznacza.

– Jak rozumiem, chodzi o mianowanie cię na stanowisko dowódcy legionów nad Eufratem, co zapewni ci ochronę prawną przed wszelkimi oskarżeniami po zakończeniu kadencji trybuna.

– Bardzo słusznie. – Gabiniusz dość udatnie sparodiował Pompejusza. – Przeciągnął się i wydał policzki. – „Panowie, czy to nie sprytny pomysł? Czy nie mówiłem wam, jaki on jest przebiegły?”.

– Uspokój się, Gabiniuszu – powiedział Cycero ze znużeniem. – Zapewniam cię, że nie ma nikogo, kogo bardziej niż ciebie chciałbym pożegnać przed wyjazdem nad Eufrat.

Rola chłopca do bicia wielkiego człowieka jest w polityce bardzo niebezpieczna, a niestety teraz przypadła ona Cyceronowi. Ludzie, którzy nigdy nie odważyliby się wprost zaatakować lub obrazić Pompejusza, zamiast tego bezkarnie zadawali ciosy jego prawnikowi, dobrze wiedząc, że i tak wszyscy odgadną, kto

jest ich rzeczywistym celem. Cycero nie mógł jednak zlekceważyć bezpośredniego rozkazu swego dowódcy, dlatego jego pierwsze przemówienie z rostra dotyczyło powierzenia Pompeuszowi dowództwa. Senator poświęcił wiele trudu na przygotowanie mowy. Podyktował ją kilka dni wcześniej, a później pokazał Kwintusowi i Vinonowi Frugi z prośbą o komentarze. Wolał nie dawać jej do przeczytania Terencji, ponieważ zdawał sobie sprawę, że będzie musiał przesłać tekst Pompeuszowi, a zatem musiał nafaszerować ją pochlebstwami. (Na przykład, patrząc na rękopis widzę, że za radą Kwintusa „nadludzki geniusz” Pompejusza jako dowódcy zmienił się w „nadludzki i wręcz niewiarygodny”). Cycero wymyślił świetny slogan podsumowujący sukcesy Pompejusza – „jedna ustawa, jeden człowiek, jeden rok”. Godzinami szlifował przemówienie, bardzo się nim przejmując, wiedział bowiem, że jeśli źle wypadnie na rostra, bardzo to zaszkodzi jego karierze, a przeciwnicy będą mówić, że nie potrafi nawiązać kontaktu z rzymskim plebsem. Rano, przed wygłoszeniem mowy, Cycero był chory ze zdenerwowania. Kilkakrotnie wymiotował w latrynie, a ja stałem obok z ręcznikiem. Był taki blady, że zastanawiałem się, czy wystarczy mu sił, żeby dojść na forum. Cycero uważał jednak, że aktor lub mówca, niezależnie od doświadczenia, musi czuć tremę przed wyjściem na scenę – „nerwy muszą być napięte jak cięciwa, gdyż inaczej strzały nie polecą”. Kiedy wchodził na trybunę, był już gotowy. Nie muszę chyba mówić, że nie miał żadnych notatek. Usłyszeliśmy, jak Maniliusz wykrzykuje jego nazwisko. Rozległy się oklaski. Był piękny poranek, bezchmurny i pogodny, a na forum zgromadził się ogromny tłum. Cycero poprawił fałdy togi, wyprostował się i powoli wyszedł na spotkanie hałasu i światła.

Przeciwnikom Pompejusza znowu przewodzili Katulus i Hortensjusz, ale od uchwalenia *lex Gabinia* nie wymyślili żadnych

nowych argumentów i Cycero mógł z nich pożartować. „Cóż takiego twierdzi Hortensjusz? Że jeśli jeden człowiek ma objąć naczelne dowództwo, to właściwym człowiekiem jest Pompejusz, ale naczelnego dowództwa nie należy powierzać jednemu człowiekowi. To rozumowanie jest już nieaktualne, a obaliły je nie tyle słowa, ile raczej wydarzenia. To ty, Hortensjuszu, potępiłeś odważnego Gabiniusza za to, że przedłożył ustawę o mianowaniu jednego dowódcy w wojnie z piratami. Teraz pytam cię, biorąc bogów na świadków, gdyby wtedy Rzymianie bardziej przejmowali się twoją opinią niż własnym dobrobytem i prawdziwymi interesami, czyż cieszylibyśmy się dzisiaj chwałą zwycięstw i światowym mocarstwem?”. Zgodnie z tym rozumowaniem, skoro Pompejusz chciał, żeby Gabiniusz dowodził jednym z jego legionów, to należało się na to zgodzić, gdyż poza Pompejuszem nikt więcej nie uczynił, żeby pokonać piratów. „W swoim imieniu mogę oświadczyć – zakończył – że całą swoją energię, mądrość i talent, wszystko, co mogę zrobić dzięki preturze, jaką mi powierzyliście, oddam staraniom o uchwalenie tej ustawy. Wzywam wszystkich bogów na świadków – zwłaszcza strażników tego słynnego miejsca, którzy mają wgląd w serca obywateli biorących udział w życiu publicznym – że czynię to nie po to, żeby wkraść się w łaski Pompejusza, żeby się jemu przysłużyć, ale tylko dla dobra kraju”. Ludzie przyjęli przemówienie pełnymi szacunku oklaskami i Cycero zszedł z trybuny. Ustawa przeszła, Lukullus został pozbawiony dowództwa, a Gabiniusz mianowany legatem. Cycero pokonał kolejną przeszkodę na drodze do konsulatu, ale arystokraci nienawidzili go jeszcze bardziej niż przedtem.

Później Cycero otrzymał list Warrona, który opisał reakcję Pompejusza na wiadomość, że teraz całkowicie kontroluje wszystkie siły Rzymu na wschodzie. Pompejusz przebywał

wówczas w swej głównej kwaterze w Efezie. Gdy otoczyli go oficerowie, żeby złożyć gratulacje, Pompejusz zmarszczył czoło, uderzył się dłonią po udzie i powiedział („bardzo zmęczonym głosem” według Warrona). „Jakże zasmuca mnie ten niekończący się ciąg zadań! Jeśli nigdy nie doczekam się zwolnienia ze służby wojskowej i nie uda mi się uniknąć ludzkiej zawiści, to naprawdę wolałbym być jednym z tych ludzi, o których nikt nie słyszał, i żyć spokojnie na wsi z żoną”. Takie teatralne występy były trudne do zniesienia, zwłaszcza że cały świat świetnie wiedział, jak bardzo pragnął on objąć dowództwo na wschodzie.

Po objęciu stanowiska pretora pozycja Cyclerona znacznie wzrosła. Teraz miał sześciu liktorów, którzy towarzyszyli mu, ilekroć wychodził z domu. Serdecznie ich nie znosił. To byli brutalni ludzie, wybierani ze względu na siłę fizyczną i okrucieństwo. Gdy sąd skazywał jakiegoś rzymskiego obywatela, to liktorzy wykonywali wyrok. Potrafili wprawnie wymierzać chłostę i ścinać głowy. Liktorzy byli zatrudnieni na stałe, niektórzy już od lat przywykli do swej władzy i patrzyli z góry na strzeżonych urzędników, jak na ludzi tymczasowych, którzy dziś sprawują urząd, a jutro już znikną. Cycero nie cierpiał, gdy zbyt brutalnie odpychali ludzi na bok, żeby zrobić mu przejście, lub żądali od przechodniów, aby w obecności pretora zdejmowali nakrycie głowy lub schodzili z konia, ponieważ tak poniżani ludzie byli jego wyborcami. Rozkazywał liktorom, żeby zachowywali się uprzejmiej; na krótko się poprawiali, po czym wracali do starych nawyków. Szczególnie nieznośny był ich dowódca, *proximus lictor*, który powinien nie odstępować Cyclerona. Nie pamiętam jego nazwiska. Ciągłe powtarzał plotki, co robią inni pretorzy, które przekazywali mu koledzy. Nie zdawał sobie sprawy, że to pogrąża go w oczach Cyclerona, który wiedział,

że plotkarstwo polega na handlu, a w tym wypadku walutą są relacje o jego zachowaniu. „Ci ludzie – poskarżył się Cycero pewnego ranka – stanowią ostrzeżenie, co dzieje się z państwem, w którym urzędnicy są zatrudnieni na stałe. Zaczynają jako nasi słudzy, a po chwili wyobrażają sobie, że są naszymi panami!”

Moja pozycja również wzrosła. Przekonałem się, że gdy ktoś jest znany jako zaufany sekretarz pretora, może liczyć na niezwykłą uprzejmość otoczenia, nawet gdy jest niewolnikiem. Cycero uprzedził mnie, że ludzie będą mi proponować pieniądze w zamian za poparcie. Zapewniłem go gorąco, że nigdy nie przyjmę łapówki, ale on mi przerwał. „Nie, Tironie, powinieneś mieć swoje pieniądze. Dlaczego nie? Proszę cię tylko, żebyś mówił mi, kto ci zapłacił, i jasno ostrzegał każdego, kto zwróci się do ciebie, że mojej opinii nie można kupić, a wszystkie sprawy rozstrzygam, kierując się wyłącznie względami merytorycznymi. Poza tym ufam twojemu rozsądkowi”. Ta rozmowa miała dla mnie wielkie znaczenie. Zawsze miałem nadzieję, że kiedyś Cycero mnie wyzwoli; zezwolenie na posiadanie oszczędności było dla mnie zapowiedzią tego dnia. Kwoty, jakie otrzymywałem, były niewielkie – pięćdziesiąt czy sto sestercji – w zamian za co miałem na przykład zwrócić uwagę pretora na jakiś dokument, napisać list rekomendacyjny i dać mu do podpisu. Pieniądze trzymałem w niewielkiej sakiewce, ukrytej za luźną cegłą w moim pokoju.

Pretorzy zwykle przyjmowali obiecujących uczniów z dobrych rodzin, którzy pod ich kierownictwem studiowali prawo. W maju, po przerwie w obradach senatu, w domu Cyclerona pojawił się nowy, szesnastoletni stażysta. Był to Marek Celiusz Rufus z Interamnii, syn bogatego bankiera i znanego urzędnika wyborczego z *tribus* Velina. Cycero zgodził się, głównie ze względów politycznych, przez dwa lata nadzorować studia tego chłopca. Z góry ustalono, że później będzie kontynuował praktykę

w innym domu – mianowicie u Krassusa, który był współnikiem w interesach jego ojca, a bankier chciał, żeby przyszły spadkobierca nauczył się zarządzać pieniędzmi. Był to okropny lichwiarz, niski i sprawiający podejrzane wrażenie. Najwyraźniej uważał syna za inwestycję, która nie przynosiła oczekiwanych zysków. „Trzeba go regularnie bić – zakomunikował, nim przedstawił syna Cycleronowi. – Jest bystry, ale krnąbrny i rozpustny. Może go pan chłostać tak często, jak uzna pan to za stosowne”. Cycero, który nigdy w życiu nie kazał nikogo wychłostać, nie był tym zachwycony, ale na szczęście okazało się, że świetnie się dogadywał z młodym Celiuszem, który był zupełnym przeciwieństwem swego ojca. Był wysoki, przystojny i dowcipny. Do pieniędzy i interesów odnosił się z obojętnością, która bawiła Cyclerona, natomiast mnie nieco irytowała, gdyż to na mnie spadało załatwianie różnych przyziemnych spraw należących do jego obowiązków. Muszę jednak przyznać, że miał dużo uroku.

Nie będę tu szczegółowo omawiał pretury Cyclerona. Nie jest to podręcznik prawa, a wyczuwam, że czytelnicy czekają niecierpliwie, aż przejdę do najważniejszego wydarzenia – wyboru na konsula. Cycero był uważany za sędziego sprawiedliwego i uczciwego, a z obowiązków wywiązywał się doskonale. Gdy napotykał jakieś szczególnie zawile zagadnienie prawnicze, konsultował się albo ze starym przyjacielem Serwiuszem Sulpicjuszem, tak jak on uczniem Molona, albo z wybitnym pretorem z sądu wyborczego, Akwiliuszem Gallusem, którego odwiedzał w jego rezydencji na Wiminale. Największą sprawą, która weszła na wokandę, gdy Cycero przewodniczył sądowi, był sprawa Gajusza Licyniusza Macera, krewnego i stronnika Krassusa, oskarżonego o popełnienie różnych przestępstw podczas sprawowania urzędu namiestnika Macedonii. Przesłuchania ciągnęły się tygodniami, a pod koniec Cycero streścił je bardzo sprawiedliwie,



ale nie mógł powstrzymać się od żartu. Głównym punktem oskarżenia był zarzut, że Macer przyjął łapówki w wysokości pół miliona sestercji. Macer najpierw temu zaprzeczył. Gdy oskarżyciel przedstawił dowód, że dokładnie taką kwotę wpłacił do spółki kredytowej, którą kontrolował, Macer nagle zmienił linię obrony. Teraz twierdził, że owszem, przyjął pieniądze, ale sądził, że to jest zgodne z prawem. „Nie można wykluczyć – powiedział Cycero, gdy wskazywał sędziom istotne dowody – że oskarżony tak właśnie sądził”. W tym miejscu przerwał i poczekał, aż ktoś się zaśmieje, po czym dodał z udawaną surowością. „Nie, nie, rzeczywiście mógł w to wierzyć. W takim wypadku – kolejna pauza – możecie rozsądnie założyć, że był zbyt głupi, aby sprawować urząd rzymskiego namiestnika”. Spędziłem dostatecznie dużo czasu w sądach, żeby wiedzieć – gdy wszyscy wybuchli śmiechem – że Cycero właśnie skazał Macera, tak jakby to on był oskarżycielem. Macer – który wcale nie był głupcem, przeciwnie, był bardzo inteligentny, do tego stopnia, że wszystkich innych uważał za durniów – nie dostrzegł tego niebezpieczeństwa i opuścił sąd, nim sędziowie skończyli naradę, żeby się przebrać i ostrzyc na przyjęcie z okazji zwycięstwa. Sędziowie wydali wyrok skazujący pod jego nieobecność. Macer właśnie wychodził z domu, żeby wrócić do sądu, gdy w progu zatrzymał go Krassus i poinformował, co się stało. Niektórzy twierdzą, że Macer zmarł na miejscu pod wpływem szoku, inni natomiast, że cofnął się do domu i popełnił samobójstwo, żeby oszczędzić synowi upokorzenia, jakim byłoby skazanie go na banicję. W każdym razie Macer zmarł, a Krassus miał jeszcze jeden powód, żeby nienawidzić Cyclerona, tak jakby nie uzbierał ich już dość.

Zgodnie z tradycją, szóstego lipca, wraz z rozpoczęciem igrzysk apollińskich, rozpoczęła się również kampania wyborcza,

choć prawdę mówiąc, w tych czasach wydawało się, że kampania trwa stale, bez chwili przerwy. Zaraz po wyborach kandydaci zaczęli planować następną kampanię. Cycero żartował, że rządzenie państwem to tylko sposób na zabicie czasu między kolejnymi wyborami. Być może to była jedna z przyczyn upadku republiki: przejadła się wyborami. W każdym razie obowiązek uhonorowania Apolla stosownym programem publicznych rozrywek zawsze należał do pretora miejskiego, którym w tym roku był Antoniusz Hybryda.

Nikt nie spodziewał się po nim szczególnie wystawnych igrzysk, a nawet można było wątpić, czy w ogóle je zorganizuje, ponieważ wszyscy wiedzieli, że przepił i przegrał cały swój majątek. Wszyscy ogromnie się zdziwili, gdy przygotował nie tylko kilka wspaniałych przedstawień teatralnych, ale również kosztowne widowiska w Circus Maximus – dwanaście wyścigów rydwanów, zawody sportowe, polowanie na różne egzotyczne zwierzęta, takie jak pantery. Nie byłem na igrzyskach, ale wieczorem, po powrocie do domu Cycero mi o nich dokładnie opowiedział. Nie mógł rozmawiać o niczym innym. Rzucił się na sofę w pustej jadalni – Terencja i Tulia były na wsi – i opisał paradę w Circus Maximus: rydwany, niemal nadzy atleci (bokserzy, zapaśnicy, biegacze, oszczepnicy i dyskobole), fletniści, muzycy grający na lirze, tancerze i tancerki przebrani za uczestników bachanaliów, nimfy i satyrów, kadzielnice, byki, kozy i jałówki z połączanymi rogami, przeznaczone na ofiarę, klatki z dzikimi zwierzętami, gladiatorzy... Wydawał się zupełnie oszłomiony. „Ile to musiało kosztować? Wciąż zadawałem sobie to pytanie. Hybryda najwyraźniej stawia na to, że odzyska poniesione nakłady, gdy zostanie prokonsulem i złupi jakąś prowincję. Szkoda, że nie słyszałeś owacji, jaką dostał, gdy wszedł i gdy wychodził! Sprawa jest jasna, Tironie. Choć trudno w to uwierzyć, musimy skorygować naszą listę”.

Poszliśmy do jego gabinetu. Otworzyłem szkatułę i wyciągnąłem jeden z dokumentów dotyczących kampanii Cyncerona. Trzymaliśmy tam wiele tajnych dokumentów – listy popleczników, osób wspierających kampanię finansowo, potencjalnych sojuszników, których należało pozyskać, miast i osiedli, gdzie Cyncero miał silną pozycję i gdzie był słaby. Najważniejsza jednak była lista potencjalnych rywali i streszczenie wszystkich informacji na ich temat, dobrych i złych. Na pierwszym miejscu listy znajdował się Galba, po nim Gallus, Kornificjusz i na końcu Palikanus. Teraz Cyncero wziął ode mnie pióro i swoim starannym charakterem pisma, niewielkimi literami dodał piąte nazwisko, którego ani przez chwilę nie spodziewał się tu zobaczyć: Antoniusz Hybryda.

Kilka dni później zdarzyło się coś, co miało zmienić losy Cyncerona i przyszłość państwa, choć wtedy mój pan nie zdawał sobie z tego sprawy. Przypomina mi to historyjki, jakie niekiedy się słyszy, o nieszkodliwie wyglądającej plamce na skórze, którą człowiek dostrzega pewnego dnia rano, ale się tym nie przejmuje, po czym w ciągu kilku miesięcy zmienia się ona w ogromny guz. W tym wypadku plamką był zupełnie nieoczekiwany list od najwyższego kapłana, Metellusa Piusa, który wzywał Cyncerona na spotkanie. Cyncero był tym bardzo zaintrygowany, ponieważ Pius, człowiek bardzo stary (miał wtedy co najmniej sześćdziesiąt cztery lata) i wyniosły, wcześniej nie zniżył się nawet do rozmowy z nim, a co dopiero mówić o zaproszeniu na spotkanie. Wyruszyliśmy od razu, a liktorzy torowali nam drogę.

W tamtych czasach oficjalna rezydencja najwyższego kapłana religii państwowej mieściła się przy Via Sacra, obok domu westalek. Cyncero był wyraźnie zadowolony, że ludzie widzieli,

jak tam wchodzi, ponieważ to naprawdę było święte serce Rzymu, a tylko nieliczni mieli okazję przekroczyć próg siedziby najwyższego kapłana. Zaprowadzono nas na klatkę schodową i galerię, z której widać było ogród rezydencji westalek. W głębi serca miałem nadzieję, że zobaczę jedną z tych sześciu tajemniczych, ubranych na białą dziewic, ale w ogrodzie nie było nikogo, a nie mogliśmy zwlekać, bo na końcu galerii widać już było Piusa, czekającego na nas w otoczeniu kapłanów. Stał na swoich pałkowatych nogach i niecierpliwie stukał stopą o posadzkę. Przez całe życie był żołnierzem; wyglądał jak stary rzemień, który przez lata znosił działanie deszczu i słońca i dopiero niedawno trafił pod dach. Nie podał Cyceronowi ręki, nie zaprosił go, żeby usiadł, nie zaczął od kilku słów wstępu.

– Pretorze, muszę z tobą porozmawiać o Sergiuszu Katylinie – powiedział ochryplym głosem.

To wystarczyło, żeby Cycero zeszytniał, jako że Katyliną zamęczył na śmierć jego odległego krewnego Gratidianusa, polityka ze stronnictwa popularów. Katyliną połamał mu ręce i nogi, wylupił oczy i wyrwał język. Miał skłonność do szaleńczej gwałtowności, która przejawiała się tak, jakby to błyskawica uderzyła go w głowę. Niekiedy zachowywał się przyjaźnie, kulturalnie i uprzejmie, po czym ktoś wygłaszał jakąś pozornie zupełnie nieszkodliwą uwagę lub spojrział na niego w sposób, który Katyliną uznał za lekceważący, i nagle całkowicie tracił nad sobą panowanie. W czasie ogłoszonej przez Sullę proskrypcji, gdy na forum wisały listy skazanych na śmierć, Katyliną był jednym z najskuteczniejszych morderców posługujących się młotem i nożem – zwano ich *percussores* – i zdobył znaczny majątek, odebrany proskrybowanym. Zabił między innymi swojego szwagra. Był jednak człowiekiem o niewątpliwej charyzmie, a na każdego, kogo odstręczała jego dzikość, przypadało

dwóch lub trzech, oczarowanych równie szaleńczymi aktami szczodrości. Był również rozpustnikiem. Siedem lat wcześniej oskarżono go o utrzymywanie stosunków seksualnych z westalką – tak się składa, że była to przyrodnia siostra Terencji, Fabia. Była to zbrodnia, za którą oboje mogli zostać skazani na śmierć. Gdyby Katylina został uznany za winnego, Fabię czekała tradycyjna kara dla westalki, która złamała ślub czystości – zostałaby pochowana żywcem w niewielkiej komnacie obok Bramy Kolińskiej, przeznaczonej specjalnie do tego celu. Jednak arystokraci, którym przewodził Katulus, wystąpili w jego obronie i postarali się o uniewinnienie, dzięki czemu mógł kontynuować karierę polityczną. Dwa lata wcześniej był pretorem, a następnie wyjechał na stanowisko namiestnika w Afryce, dlatego nie wziął udziału w walce o *lex Gabinia*. Niedawno wrócił do Rzymu.

– Członkowie mojej rodziny – kontynuował Pius – byli głównymi patronami Afryki, od kiedy mój ojciec rządził tą prowincją pięćdziesiąt lat temu. Tamtejsi ludzie zwrócili się do mnie o ochronę, a muszę ci powiedzieć, pretorze, że nigdy nie widziałem, aby ktoś ich rozgniewał tak bardzo, jak Sergiusz Katylina. Złupił całą prowincję, nakładał nadmierne podatki, mordował mieszkańców, kradł skarby świątynne, gwałcił ich żony i córki. Ci Sergiusze! – wykrzyknął z obrzydzeniem. Wykrztusił grudę żółtej flegmy i wypluł ją na posadzkę. – Wywiodą się z Troi, a przynajmniej tak się przechwalają, ale od dwustu lat w tej rodzinie nie było ani jednego przyzwoitego człowieka! Powiedziano mi, że ty jesteś pretorem odpowiedzialnym za postawienie tego łotra przed sądem. – Zmierzył Cyncerona od stóp do głowy. – Zdumiewające! Do diabła, nie mam pojęcia, kim ty właściwie jesteś, ale trudno. Co zatem zamierzasz zrobić w tej sprawie?

Cyncero zawsze zachowywał zimną krew, gdy ktoś usiłował go obrazić.

– Czy Afrykanie przygotowali akt oskarżenia? – spytał spokojnie.

– Tak. Przysłali delegację do Rzymu, która szuka odpowiedniego oskarżyciela. Do kogo powinni się zwrócić?

– To nie do mnie należy doradzanie im w tej kwestii. Muszę pozostać bezstronnym przewodniczącym sądu.

– Trele morele. Oszczędź mi tego prawniczego gadania. Porozmawiajmy prywatnie, jak mężczyzna z mężczyzną. – Pius skinął ręką, żeby Cycero się zbliżył. Najwyższy kapłan stracił większość zębów na różnych polach bitew, dlatego gdy próbował szeptać, z jego ust wydobywał się świst. – Znasz obecne sądy lepiej niż ja. Kto może wnieść oskarżenie?

– Szczerze mówiąc, trudno będzie znaleźć chętnego – odrzekł Cycero. – Katyliną jest znany ze skłonności do gwałtu. Oskarżenie takiego bezczelnego mordercy wymaga dużej odwagi. Przypuszczalnie w przyszłym roku będzie ubiegał się o konsulat. To groźny wróg.

– Konsul?! – Pius nagle mocno uderzył się dłonią w pierś. Rozległ się taki trzask, że otaczający go kapłani gwałtownie podskoczyli. – Sergiusz Katyliną nie będzie konsulem ani w przyszłym roku, ani w żadnym innym, dopóki w tym starym ciele jest jeszcze trochę życia! W całym mieście znajdzie się chyba dostatecznie odważny mężczyzna, żeby postawić go przed obliczem sprawiedliwości! A jeśli nie – nie jestem zniedołężniałym głupcem, jeszcze pamiętam, jak się walczy w Rzymie. Postaraj się, pretorze – zakończył – żeby w twoim kalendarzu pozostało dość czasu na tę sprawę. – Pius odszedł, mamrocząc coś pod nosem, a za nim pośpieszyli jego kapłani.

Cycero odprowadził go wzrokiem, marszcząc brwi i potrząsając głową. Nie znałem się na polityce tak, jak powinienem po trzynastu latach służby na stanowisku jego sekretarza, dlatego nie mogłem pojąć, dlaczego ta rozmowa tak go zaniepokoiła.

Niewątpliwie był wstrząśnięty, a gdy znaleźliśmy się znowu na Via Sacra, odciągnął mnie poza zasięg czulego ucha dowódcy liktorów.

– To poważna sprawa, Tironie. Powiniennem być to przewidywać.

Spytałem, jakie to ma dla niego znaczenie, czy ktoś oskarży Katylinę, czy nie. Cyncero spojrział na mnie z politowaniem.

– To dla mnie ważne, ptasi mózdzku – wyjaśnił miazdzącym tonem – ponieważ osoba oskarżona nie może startować w wyborach. To oznacza, że jeśli Afrykanie znajdą prawnika i jeśli wniesie on oskarżenie przeciw Katylinie, i jeśli sprawa przeciągnie się do następnego lata, to nie będzie on mógł kandydować, dopóki nie zapadnie wyrok. To z kolei oznacza, że jeśli zostanie niewinny, będzie kandydował równocześnie ze mną.

Wątpię, czy był w Rzymie jeszcze jeden senator, który usiłował sięgnąć wzrokiem tak daleko w przyszłość – który rozważyłby tyle kolejnych „Jeśli” i dostrzegł powód do niepokoju. Gdy Cyncero wyjaśnił Kwintusowi przyczynę zdenerwowania, ten wybuchł śmiechem. „A jeśli trafi cię piorun, Marku, i jeśli Metellus Pius zdoła zapamiętać, jaki jest dzień tygodnia...”. Jednak Cyncero nadal się denerwował i dyskretnie wybadał, jak Afrykanom idą poszukiwania wykwalifikowanego prawnika. Jak przewidywał, mieli z tym problemy, choć zgromadzili przygniatające dowody zbrodni Katyliny, a Pius przeprowadził w senacie wniosek o udzielenie nagany byłemu namiestnikowi. Nikt nie miał ochoty zaatakować tak groźnego przeciwnika i zaryzykować, że pewnej nocy zostanie wyłowiony z Tybru. Starania o postawienie Katyliny przed sądem utknęły w miejscu i Cyncero przestał o tym ciągle myśleć. Niestety, już wkrótce musiał przypomnieć sobie o tej sprawie.

## XIV

Po zakończeniu kadencji pretora Cycero miał prawo wyjechać za granicę i objąć rządy w jakiejś prowincji. Taka była normalna praktyka w republice. Namiestnik miał okazję nabrać doświadczenia administracyjnego i odkuć się finansowo po wydatkach związanych z pełnieniem urzędu. Następnie wracał do Rzymu, oceniał sytuację polityczną, i jeśli wydawała się sprzyjająca, latem ubiegał się o konsulat. Na przykład Antoniusz Hybryda, który niewątpliwie ogromnie się zadłużył, żeby zorganizować igrzyska apollińskie, pojechał do Kapadocji sprawdzić, co uda mu się ukraść. Natomiast Cycero zrezygnował z prawa do rządzenia prowincją. Przede wszystkim nie chciał narazić się na jakieś sfabrykowane zarzuty związane z pełnieniem urzędu, które zmusiłyby go do wielomiesięcznej walki z oskarżycielem. Poza tym źle wspominał rok, jaki spędził na Sycylii w charakterze kwestora i później nie lubił wyjeżdżać z Rzymu na dłużej niż tydzień lub dwa. Trudno byłoby znaleźć większego mieszczucha niż Cycero. Swą energię czerpał z szumu ulic, wydarzeń w sądzie, senacie i na forum, a perspektywa wyjazdu na głąchą prowincję, nawet bardzo lukratywnego, do Cylicji lub Macedonii, była dla niego przekleństwem.



Istotne było również to, że Cycero miał liczne zobowiązania adwokackie, zaczynając od obrony Gajusza Korneliusza, byłego trybuna Pompejusza, którego arystokraci oskarżyli o zdradę. Nie mniej niż pięciu wielkich patrycjuszy z senatu – Hortensjusz, Katulus, Lepidus, Marek Lukullus i nawet stary Metellus Pius – wspólnie oskarżyło Korneliusza zarzucając mu, że wbrew prawu zignorował weto innego trybuna, żeby doprowadzić do przyjęcia ustaw Pompejusza. Wobec takiego potężnego ataku byłem pewny, że zostanie skazany na wygnanie. Korneliusz też tak myślał; nawet spakował się i był gotowy do wyjazdu. Jednak widok Hortensjusza i Katulusa po przeciwnej stronie zawsze inspirował Cyclerona, który i tym razem stanął na wysokości zadania, wygłaszając jedną z najlepszych i najskuteczniejszych mów końcowych w swej praktyce. „Czy rzeczywiście mamy słuchać pouczeń – pytał – o tradycyjnych prawach trybunów ze strony tych pięciu szanownych panów, którzy jak jeden mąż popierali ustawę Sulli, znoszącą właśnie te prawa? Czy któryś z tych świetnych ludzi poparł dzielnego Gnejusza Pompejusza, gdy rozpoczął swój konsulat od przywrócenia trybunom prawa weta? Zadajcie sobie, sędziowie, następujące pytanie: czy to rzeczywiście nowa troska o tradycyjne uprawnienia trybunów odciągnęła tych panów od ich stawów z rybami i willi i skłoniła do wystąpienia w sądzie? Czy też jest to raczej wynik innych »tradycji«, znacznie droższych ich sercom – tradycji egoistycznego interesu i pragnienia zemsty?”.

Cycero długo mówił w tym stylu, a gdy skończył, oskarżyciele (którzy popełnili błąd, siadając rzędem) wydawali się dwa razy mniejsi niż przedtem. Tak zwłaszcza wyglądał Metellus Pius, który nie nadażał za słowami Cyclerona, przykładał dłoń do ucha i wciąż kręcił się na ławce, gdy jego prześladowca spacerował po całym sądzie. Jak się okazało, było to ostatnie wystąpienie starego żołnierza na forum publicznym, gdyż niedługo

potem w jego życiu rozpoczęła się długa faza zmierzchu, spowodowana chorobą. Kiedy sędziowie uniewinnili Korneliusza od wszystkich zarzutów, Pius wyszedł z sądu, wysłuchując drwiących okrzyków i złośliwego śmiechu. Na jego twarzy widać było grymas starczego zdumienia, który – obawiam się – często rozpoznaję jak naturalny układ moich rysów obecnie. „No, cóż – powiedział Cycero z pewną satysfakcją, gdy szliśmy do domu – mam nadzieję, że teraz wie już, kim jestem”.

Nie będę opisywał wszystkich spraw, które Cycero wziął w tym okresie, gdyż było ich kilkanaście. Dążył do tego, aby jak najwięcej wpływowych ludzi miało wobec niego dług wdzięczności, a tym samym byli zobowiązani poprzeć go w wyborach konsularnych. Chciał również, żeby wyborcy stale słyszeli jego nazwisko. Niewątpliwie bardzo starannie wybierał klientów. Było wśród nich co najmniej czterech senatorów: Fundaniusz, który kontrolował duży syndykat wyborczy, Orchiwiusz, jego kolega pretor, Galliusz, który zamierzał kandydować na pretora, i Mucjusz Orestinus, oskarżony o kradzież, który miał nadzieję, że zostanie trybunem – jego sprawa zajęła Cyceronowi wiele dni.

Moim zdaniem nigdy przedtem żaden kandydat nie zajmował się polityką w taki sposób – jak prowadzeniem przedsiębiorstwa. Raz na tydzień odbywała się narada w gabinecie Cycerona, poświęcona przeglądowi kampanii wyborczej. Uczestnicy się zmieniali, natomiast w skład wewnętrznego, stałego kręgu wchodziło pięć osób: sam Cycero, Kwintus Pizon Frugi, ja i stażysta Cycerona, Celiusz, który, choć młody (a może dlatego), bardzo zręcznie zbierał plotki z całego miasta. Kampanią znowu kierował Kwintus, który również zażądał, żeby to on przewodniczył zebraniom. Lubił sugerować, uniesieniem brwi lub poślizgiwym uśmiechem, że Cycero, choć taki geniusz, jest intelektualistą chodzącym z głową w chmurach i potrzebuje

zdrowego rozsądku brata, żeby stać trzeźwo na ziemi. Cycero, z dość dobrą miną, odgrywał tę rolę.

Gdyby pozostało mi w życiu więcej czasu, być może napisałbym studium historyczne o braciach w polityce. Oczywiście, nasuwa się przykład Grakchusów, Tyberiusza i Gajusza, którzy zaangażowali się w walkę o odebranie ziemi bogaczom i przekazanie jej biednym, wskutek czego zginęli. Za moich czasów byli Marek i Lucjusz Lukullusowie, patrycjusze i konsulowie w kolejnych latach, a również liczni przedstawiciele Metellusów i Marcellusów. W sferze ludzkiej działalności, w której przyjaźnie mają tymczasowy charakter, a sojusze są zawierane po to, żeby je zerwać, świadomość, że nazwisko innego polityka jest trwale związane z twoim, niezależnie od wyroków losu, musi być wielkim źródłem siły. Stosunki między Markiem i Kwintusem, zapewne jak u wszystkich braci, były skomplikowaną mieszaniną przywiązania i niechęci, zazdrości i lojalności. Bez Cyclerona Kwintus byłby najpierw tępym i kompetentnym oficerem, a później tępym i kompetentnym rolnikiem w Arpinum, natomiast bez Kwintusa Cycero byłby Cycleronem. Wiedząc to i zdając sobie sprawę, że Kwintus również to wie, Cycero starał się, żeby jego sława spływała również na brata.

Tej zimy Kwintus poświęcił dużo czasu na kompilowanie podręcznika wyborczego, zbioru braterskich pouczeń dla Cyclerona, który później lubił cytować, tak jakby to było *Państwo Platona*. *Zastanów się, co to za miasto – tak zaczął – do czego dążysz i kim jesteś. Każdego dnia, gdy idziesz na forum, powtarzaj sobie: Jestem nowym człowiekiem i chcę zostać konsulem. To Rzym. Wciąż pamiętam niektóre z jego krótkich kazań. Zawsze i wszędzie musisz spodziewać się pułapek, zdrad i oszustw. Pamiętaj o powiedzeniu Epicharma, że fundamentem mądrości jest zasada: nigdy nikomu nie ufaj... Staraj się demonstrować*

*zarówno różnorodność, jak i liczebność swych przyjaciół... Bardzo mi zależy, żeby zawsze otaczał cię tłum... Jeśli ktoś cię o coś poprosi, nie odmawiaj, nawet jeśli nie możesz tego zrobić... Wreszcie staraj się, żeby twój wizerunek był piękny i lśniący, a jeśli to możliwe, niech wszyscy plotkują o skandalicznych zbrodniach, korupcji i rozpuście twoich rywali.*

Kwintus był bardzo dumny ze swego podręcznika i wiele lat później go opublikował, ku przerażeniu Cycerona, który uważał, że sztuka uprawiania polityki, podobnie jak malarstwo, wymaga starannego skrywania przebiegłych sztuczek służących zwodzeniu widzów.

Wiosną Terencja obchodziła trzydzieste urodziny. Cycero wydał z tej okazji niewielkie przyjęcie. Przyszli Kwintus i Pomponia, Pizon Frugi z rodzicami, wybredny Serwiusz Sulpicjusz z zaskakująco ładną żoną, Postumią. Z pewnością obecni byli jeszcze inni, ale czas zatarał ich nazwiska w mojej pamięci. Eros na chwilę zebrał wszystkich domowników, żebyśmy przekazali pani nasze życzenia. Gdy pojawiła się Terencja, jak pamiętam, odniosłem wrażenie, że jeszcze nigdy nie była taka ładna i pogodna. Jej krótkie, kręcone ciemne włosy lśniły, oczy miała jasne i błyszczące, a jej koścista figura wydawała się pełniejsza. Gdy pan i pani poszli z gośćmi na kolację, powiedziałem to pokojówce. Ta rozejrzała się, czy nikt na nas nie patrzy, po czym złączyła dłonie i zatoczyła nimi krąg na brzuchu. W pierwszej chwili nie zrozumiałem tego gestu, co bardzo ją rozśmieszyło. Gdy chichocząc, pobiegła na górę, wreszcie zdałem sobie sprawę, jakim byłem głupcem. Oczywiście, nie tylko ja. Normalny mąż z pewnością zauważyłby objawy znacznie wcześniej, ale Cycero zawsze wstawał o świcie i wracał do domu wieczorem, a w domu pisał przemówienia i listy – zakrawało na cud, że

znajdował czas na spełnienie obowiązków małżeńskich. W każdym razie tego wieczoru w czasie kolacji rozległy się głośne okrzyki, a po nich oklaski – Terencja skorzystała z okazji, żeby zakomunikować, że jest w ciąży.

Późnym wieczorem Cycero przyszedł do gabinetu z szerokim uśmiechem na twarzy. Złożyłem mu gratulacje, a on podziękował ukłonem.

– Ona jest pewna, że to chłopiec. Najwyraźniej Dobra Bogini poinformowała ją o tym za pomocą nadprzyrodzonych znaków zrozumiałych tylko dla kobiet. – Cycero energicznie zatarł ręce. Nie mógł przestać się uśmiechać. – Dziecko to zawsze doskonały dodatek do kampanii wyborczej, Tironie. Sugeruje, że kandydat jest prawdziwym mężczyzną i człowiekiem rodzinnym. Porozmawiaj z Kwintusem, niech zaplanuje udział dziecka w kampanii – powiedział, wskazując na mój notatnik. Spojrzałem na niego ze zdumieniem. – Żartuję, ty idioto! – rzucił i udał, że ciągnie mnie za ucho. Nie wiem, czy to mówi więcej o nim czy o mnie, ale wciąż nie jestem przekonany, że naprawdę żartował.

Od tej pory Terencja jeszcze bardziej rygorystycznie przestrzegała religijnych rytuałów. Dzień po urodzinach zażądała, żeby Cycero poszedł z nią do świątyni Junony na Kapitolu, gdzie kupiła małe jagnię i dała kapłanom, aby złożyli je w ofierze w podzięcie za ciążę i małżeństwo. Cycero chętnie spełnił jej życzenie, ponieważ naprawdę bardzo cieszył się z perspektywy narodzin drugiego dziecka, a poza tym wiedział, że wyborcy uwielbiają takie publiczne demonstracje pobożności.

Teraz muszę powrócić do rosnącego guza, jakim był Sergiusz Katylna.

Kilka tygodni po tym, jak Metellus Pius wezwał do siebie

Cycerona, odbyły się wybory konsularne. Zwycięzcy jednak tak jawnie polegali na korupcji, że wynik szybko unieważniono i w październiku powtórzono głosowanie. Korzystając z tej okazji, Katylina zgłosił swoją kandydaturę. Pius szybko zablokował tę próbę – przypuszczam, że była to ostatnia zwycięska bitwa starożytnego żołnierza: senat postanowił, że kandydować mogą tylko ci, którzy byli na liście w poprzednim głosowaniu. Katylina wpadł w furję; zaczął kręcić się na forum ze swymi przyjaciółmi i wygłaszać rozmaite groźby. Senat potraktował je na tyle poważnie, że konsulom przydzielono uzbrojoną ochronę. Jak łatwo zgadnąć, nie znalazł się nikt dostatecznie odważny, żeby reprezentować Afrykanów w sądzie. Pewnego dnia zasugerowałem to Cyceronowi – zastanawiałem się, czy nie jest to popularna sprawa, którą mógłby wykorzystać. Przecież oskarżył Werresa, dzięki czemu stał się najślawniejszym adwokatem świata. Jednak Cycero pokręcił głową.

– W porównaniu z Katyliną Werres był kociakiem. Poza tym nikt go nie lubił, natomiast Katylina niewątpliwie ma wielu przyjaciół.

– Dlaczego jest taki popularny? – spytałem.

– Groźni ludzie zawsze przyciągają do siebie innych, ale nie to jest największym problemem. Gdyby popierał go tylko uliczny motłoch, nie byłby taki groźny. Jednak ma on wielu zwolenników wśród arystokracji. Na pewno popiera go Katulus, więc zapewne również Hortensjusz.

– Sądziłbym, że on jest zbyt nieokrzesany jak na gust Hortensjusza.

– Och, Hortensjusz wie jak wykorzystać ulicznego zabijakę, jeśli tego wymagają okoliczności. Złe psy strzegą wiele kulturalnych domów. No i Katylina jest z rodu Sergiuszów, więc popierają go z powodu snobizmu. Masy i arystokracja – to w

polityce bardzo mocna kombinacja. Miejmy nadzieję, że uda się go zatrzymać w letnich wyborach konsularnych. Mogę być tylko wdzięczny, że to zadanie zapewne przypadnie komu innemu, nie mnie.

Pomyślałem wtedy, że to jedna z uwag, które dowodzą istnienia bogów, albowiem ilekroć słyszą w niebiańskich kręgach takie samozadowolenie, dla rozrywki okazują swoją potęgę. I rzeczywiście, już wkrótce Celiusz Rufus przyniósł niepokojące wieści. Celiusz miał wówczas siedemnaście lat i jak zapowiedział jego ojciec, nikogo się nie słuchał. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał niski głos i nosił niewielką bródkę, zgodnie z modą obowiązującą w jego towarzystwie. Łatwo można go było wziąć za mężczyznę mającego dwadzieścia parę lat. Często wymykał się z domu po zmroku, gdy Cycero pracował, a wszyscy inni spali, a wracał tuż przed świtem. Wiedział, że odłożyłem trochę pieniędzy, dlatego zawsze naprzykrzał się prośbami o pożyczkę. Pewnego razu, gdy znowu odmówiłem, po powrocie do pokoju stwierdziłem, że znalazł moją kryjówkę i zabrał mi wszystkie pieniądze. Przez całą noc nie spałem ze zdenerwowania, ale gdy rano zagroziłem mu, że powiem o incydencie Cycleronowi, Celiusz rozplakał się i obiecał, że zwróci pieniądze. Muszę przyznać, że rzeczywiście to zrobił, i to z hojnym oprocentowaniem, toteż nikomu o tym nie powiedziałem, tylko zmieniłem kryjówkę.

Celiusz nocami pił i hulał z grupą młodych arystokratów niecieszących się dobrą reputacją. Jednym z nich był Gajusz Kurius, liczący dwadzieścia jeden lat syn konsula, wielkiego sojusznika Werresa. Do tej grupy należał również Marek Antoniusz, bratanek Hybrydy, który miał chyba wtedy osiemnaście lat. W rzeczywistości jednak bandzie przewodził Klodiusz Pulcher, ponieważ był najstarszy, najbogatszy i miał zwariowane pomysły, które innym nie przychodziły do głowy. Klodiusz miał

wówczas dwadzieścia kilka lat i niedawno wrócił do Rzymu po ośmiu latach służby wojskowej na wschodzie, podczas której wdawał się w najrozmaitsze awantury – między innymi przewodził podczas buntu przeciw Lukullusowi, który był jego szwagrem. Wpadł również w ręce piratów, z którymi miał walczyć. Po powrocie do Rzymu szukał sposobu, żeby zdobyć rozgłos, i tej nocy ogłosił, że wie, jak to zrobić: jak powiedział, miała to być śmiała, ryzykowana i zabawna heca – zamierzał oskarżyć Katylinę.

Gdy Celiusz rano powiedział o tym Cycleronowi, senator początkowo mu nie uwierzył. Klodiusza znał tylko ze skandalicznych plotek, jakoby sypiał z własną siostrą. Później plotki te zyskały solidniejsze podstawy, a Lukullus powoływał się na nie, gdy zdecydował się na rozwód. „Co taki łajdak może robić w sądzie – prychnął Cycero – jeśli sam nie jest oskarżony?”. Jednak Celiusz odparł w swoim ironicznym stylu, że jeśli Cycero potrzebuje dowodu, to może się udać do sądu za godzinę lub dwie, gdy Klodiusz będzie występował o zgodę na wystąpienie z oskarżeniem. Nie muszę chyba mówić, że Cycero nie potrafił sobie odmówić zobaczenia tego spektaklu. Po przyjęciu ważniejszych klientów udał się do dobrze znanego mu sądu przed świątynią Kastora, biorąc ze sobą Celiusza i mnie.

Jak to zwykle bywa, wiadomość, że wydarzy się coś dramatycznego, w jakiś tajemniczy sposób zdążyła się już rozejść. Przed schodami świątyni zgromadziło się ponad sto osób. Pretor, niejaki Orbiusz, który później został namiestnikiem Azji, przed chwilą zasiadł na krześle kurulnym i rozglądał się dookoła, niewątpliwie zastanawiając się, co się szykuje. W tym momencie od strony Palatynu nadeszła grupa sześciu czy siedmiu młodych ludzi z uśmiezkami wyższości na twarzach, najwyraźniej bez żadnych trosk w życiu. Niewątpliwie uważali, że



noszą się zgodnie z najnowszą modą i prawdopodobnie tak właśnie było. Mieli długie włosy, niewielkie brody i nosili szerokie, haftowane pasy, luźno zapięte na biodrach. „Na boga, co za widowisko! – mruknął Cycero, gdy przeszli obok nas, zostawiając za sobą zapach olejku z krokusów i maści z szafranu. – Wyglądają jak kobiety, nie zaś mężczyźni!”. Jeden z nich odłączył się od reszty i podszedł do pretora. W połowie schodów zatrzymał się i obrócił w stronę tłumu. Był to, jeśli mogę tak to wulgarnie określić, „ładny chłopiec” z długimi lokami blond, pełnymi czerwonymi ustami i opaloną na brąz skórą – coś w rodzaju młodego Apolla. Gdy się odezwał, okazało się, że ma zaskakująco mocny i męski głos. Jedyłą wadą jego wymowy było papugowanie plebejskiego akcentu – na przykład nazwisko rodzinne wymawiał „Klodiusz”, a nie „Klaudiusz”, co również było zgodne z najnowszą modą.

– Nazywam się Publiusz Klodiusz Pulcher, jestem synem konsula Appiusza Klaudiusza Pulchera i w prostej linii potomkiem konsulów osiem pokoleń wstecz. Przychodzę tu dziś rano, żeby oskarżyć Sergiusza Katylinę o zbrodnie, jakie ostatnio popełnił w Afryce.

Gdy wymówił nazwisko Katyliny, w tłumie słychać było szepty i gwizdy.

– Lepiej pilnuj dupy, dziewczynko! – krzyknął jakiś wielki typ stojący blisko nas, ale Klodiusz najwyraźniej się tym nie przejął.

– Niech moi przodkowie i bogowie pobłogosławią to oskarżenie, żeby przyniosło ono owocne wyniki! – wykrzyknął, po czym szybko podszedł do Orbiusza i wręczył mu *postulatio*, ładnie zwinięty w rulon, z pieczęcią i czerwoną tasiemką. Jego zwolennicy bili brawo. Celiusz również, dopóki Cycero nie ucizył go ostrym spojrzeniem.

– Pobiegnij poszukać mojego brata – polecił mu. – Poinformuj go, co się stało, i powiedz, że musimy się natychmiast spotkać.

– To zadanie dla niewolnika – sprzeciwił się Celiusz z nadąsaną miną. Niewątpliwie nie chciał tracić twarzy w obecności znajomych. – Chyba Tiron może go poszukać?

– Rób, co ci kazałem – warknął Cyncero. – Przy okazji znajdź również Pizona Frugi. I bądź wdzięczny, że jeszcze nie powiedziałem twojemu ojcu, w jakim towarzystwie się obracasz. – Celiusz odwrócił się i poszedł z forum w kierunku świątyni Ceres, gdzie o tej porze bez trudu można było znaleźć plebejskich edylów. – Zepsułem go. – Cyncero westchnął ze znużeniem, gdy wracaliśmy do domu. – Wiesz dlaczego? Bo jest taki uroczy. To najbardziej przeklęty ze wszystkich darów. Nigdy nie mogę się powstrzymać od pobłażliwego traktowania uroczych ludzi.

Za karę, a również dlatego, że nie w pełni mu ufał, Cyncero nie pozwolił Celiuszowi wziąć udziału w naradzie wyborczej tego dnia. Zamiast tego kazał mu napisać wniosek do sądu. Poczekał, aż wyjdzie z gabinetu, a następnie opowiedział Kwintusowi i Pizonowi Frugi, co zdarzyło się rano. Kwintus nadal okazywał optymizm, ale Cyncero był absolutnie przekonany, że będzie musiał rywalizować z Katyliną w wyborach konsularnych.

– Sprawdziłem kalendarz sądu do spraw wymuszeń. Pamiętasz, jak tam wygląda wokanda. Po prostu nie ma najmniejszych szans, żeby sprawa Katyliny została rozpatrzona do lipca, co uniemożliwi mu start w wyborach w tym roku. Wobec tego nieuchronnie zderzy się ze mną. – Cyncero nagle uderzył pięścią w stół i zaklął, co zdarzało mu się bardzo rzadko. – Dokładnie to przewidziałem rok temu. Tiron świadkiem.

– Może Katyliną zostanie uznany za winnego i skazany na banicję? – powiedział Kwintus.

– Gdy oskarżycielem jest ta uperfumowana kreatura? Facet, o którym każdy niewolnik w Rzymie wie, że był kochankiem swej siostry? Nie, to niemożliwe. Tironie, miałeś rację. Powiniennem być sam oskarżyć Katylinę, gdy miałem okazję. Łatwiej byłoby pokonać go w sądzie niż w wyborach.

– Może jeszcze nie jest za późno – zasugerowałem. – Może uda się przekonać Klodiusza, żeby odstąpił ci oskarżenie.

– Nie, on nigdy się na to nie zgodzi. – Cyncero pokręcił głową. – Wystarczy na niego spojrzeć. Co za arogant! Typowy Klaudiusz. Ma szansę zdobyć sławę i z niej nie zrezygnuje. Lepiej przynieś listę potencjalnych kandydatów, Tironie. Musimy znaleźć dobrego partnera, i to szybko.

W tym czasie kandydaci na konsulów zwykle startowali parami, ponieważ każdy obywatel miał dwa głosy i zdrowy rozsądek nakazywał zawrzeć sojusz z kimś, kto w czasie kampanii uzupełniałby silne strony kandydata, rekompensując jego słabości. Cyncero potrzebował dla równowagi kogoś o znanym nazwisku, cieszącego się popularnością wśród arystokracji. W zamian mógł zaoferować poparcie *pedarii* i niższych klas oraz machinę wyborczą, którą stworzył w Rzymie. Cyncero zawsze sądził, że znalezienie partnera nie będzie problemem, ale teraz, gdy zrobiliśmy przegląd nazwisk na liście, zrozumiałem, dlaczego się niepokoi. Sojusz z Palikanusem nie przyniósłby mu żadnych nowych głosów. Kornificjusz nie miał żadnych szans. Hybryda był półgłówkiem. Zostali tylko Galba i Gallus. Jednak Galba był tak arystokratyczny, że nie chciał mieć do czynienia z Cynceronem, a Gallus – mimo wielu próśb Cyncerona – zdecydowanie twierdził, że nie zamierza kandydować.

– Czy możesz w to uwierzyć? – gorzko narzekał Cyncero, gdy skupiliśmy się wokół jego stołu i rozważaliśmy listę

kandydatów. – Oferuję mu najważniejsze stanowisko na świecie, nie żądając nic w zamian – musiałby tylko dzień lub dwa stać obok mnie. A on odpowiada, że woli skoncentrować się na prawie! – Wziął do ręki pióro, skreślił nazwisko Gallusa i dopisał na dole „Katyliną”. Popukał piórem w papyrus, podkreślił jego nazwisko, wziął je w ramkę, po czym spojrzął na każdego z nas. – Oczywiście, jest jeszcze jeden potencjalny partner, którego nikt nie wymienił.

– Kto to taki? – spytał Kwintus.

– Katyliną.

– Marku!

– Mówię zupełnie poważnie – rzekł Cyncero. – Pomyślmy o tym. Przypuśćmy, że zamiast go oskarżać, zaproponuję, że będę go bronił. Jeśli doprowadzę do jego uniewinnienia, będzie zobowiązany poprzeć mnie w wyborach konsularnych. Jeśli zostanie uznany za winnego i pójdzie na wygnanie, będzie to jego koniec. Z mojego punktu widzenia obie możliwości są do zaakceptowania.

– Gotów byłbyś bronić Katyliny? – Kwintus dobrze znał brata i niełatwo go było zaszokować, ale tego dnia niemal zabrakło mu słów.

– Gotów byłbym bronić najgorszego diabła w piekle, gdyby potrzebował adwokata. Takie jest nasze prawo. – Cyncero zmarszczył czoło i potrząsnął głową z widoczną irytacją. – Przerabialiśmy to już z Lucjuszem na krótko przed jego śmiercią. Możesz zatem oszczędzić mi tej krytycznej miny! Sam napisałeś: „Jestem »nowym człowiekiem« i chcę zostać konsulem. To Rzym”. Te trzy stwierdzenia dokładnie opisują sytuację. Jestem „nowym człowiekiem”, zatem nikt mi nie pomoże, muszę liczyć na siebie i kilku przyjaciół, takich jak wy. Chcę zostać konsulem, co oznacza nieśmiertelność – to nagroda, o którą warto

walczyć, prawda? I jesteśmy w Rzymie. Rzymie, nie jakimś abstrakcyjnym miejscu z filozoficznego traktatu, lecz mieście chwały nad rzeką pełną brudu. Jeśli zatem będzie to konieczne, podejmę się obrony Katyliny, po czym zerwę z nim tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. On zrobi to samo ze mną. Taki jest ten świat. – Cyncero odchylił się do tyłu i uniósł ręce. – To Rzym.

Cyncero nie przystąpił od razu do działania, ponieważ wolał poczekać, aż Katyliną rzeczywiście zostanie oskarżony. W Rzymie panowało dość powszechne przekonanie, że Klodiusz chce tylko się popisać lub może odwrócić uwagę od wstydliwego rozwodu jego siostry. Jednak zgodnie z niespiesznym trybem działania prawa, gdy nadeszło lato, proces przeszedł już przez kolejne fazy – *postulatio*, *divinatio*, *nominis delatio* – wybrano sędziów i wyznaczono datę rozprawy na ostatni tydzień lipca. Nie było szansy, żeby rozprawa zakończyła się przed wyborami konsularnymi; zresztą zamknięto już listę kandydatów.

W tym momencie Cyncero postanowił zasygnalizować Katylinie, że może być zainteresowany podjęciem się jego obrony. Długo zastanawiał się, jak przekazać ofertę, ponieważ nie chciał stracić twarzy w razie odmowy, a równocześnie chciał zachować możliwość zaprzeczenia, że sam złożył taką propozycję, gdyby ktoś mu to zarzucił w senacie. Ostatecznie wymyślił charakterystyczny dla niego wyrafinowany plan. Wezwał do gabinetu Celiusza, kazał mu przysiąc, że zachowa wszystko w tajemnicy, po czym wyznał, że zastanawia się, czy bronić Katylinę: jakie jest jego zdanie? („Ale pamiętaj, nikomu ani słowa!”)– Celiusz uwielbiał takie plotki i oczywiście nie mógł się powstrzymać – podzielił się nią z przyjaciółmi, między innymi z Markiem Antoniuszem, który nie tylko był bratankiem Hybrydy,

ale również adoptowanym synem bliskiego przyjaciela Katyliny, Lentulusa Sura.

Jeśli dobrze pamiętam, już półtora dnia później w drzwiach domu Cyclerona pojawił się goniec z listem od Katyliny, który zapraszał go do siebie i proponował – w imię dyskrecji – żeby spotkanie odbyło się po zmroku. „Ryba bierze” – zauważył Cyclero, pokazując mi list. Odesłał niewolnika z ustną odpowiedzią, że odwiedzi Katylinę tej nocy.

Zbliżał się już termin porodu i Terencja z wielkim trudem zносиła lipcowe upały. Leżała zdenerwowana na sofie w jadalni, ciągle jęcząc. Z jednej strony sofy siedziała Tulia i czytała coś mamie piskliwym głosem, z drugiej stała pokojówka z wachlarzem. Terencja, nawet gdy wszystko układało się jak najlepiej, łatwo wpadała w gniew, a w tych warunkach była nieustannie wściekła. Gdy zapadły ciemności i zapalono świece, zauważyła, że Cyclero przygotowuje się do wyjścia. Oczywiście natychmiast spytała, dokąd się wybiera. Gdy udzielił jej wieloznaczonej odpowiedzi, płacząco odparła, że z pewnością wziął sobie konkubinę i ją odwiedza, gdzież bowiem godny szacunku człowiek mógłby wychodzić o takiej porze. Wobec tego Cyclero, bardzo niechętnie, powiedział jej, że zamierza złożyć wizytę Katylinie. To oczywiście nie ułagodziło jej ani trochę, przeciwnie, wpadła w jeszcze większą furję. Chciała się dowiedzieć, jak może wytrzymać choć chwilę w towarzystwie tego potwora, który uwiódł jej siostrę, westalkę i dziewicę. Cyclero odpowiedział żartem, że Fabia zawsze była „bardziej westalką niż dziewicą”. Terencja spróbowała wstać, ale zabrakło jej sił. Gdy wychodziliśmy z domu, wciąż słyszeliśmy potok wściekłych wyzwisk, co bardzo rozbawiło Cyclerona.

Noc była bardzo podobna do tej w przeddzień wyborów edylów, gdy Cyclero udał się na rozmowę z Pompejuszem. Było tak

samo koszmarne gorąco i jaskrawo świecił księżyc. Taki sam lekki wiatr przynosił smród rozkładu z pól grobowych za Bramą Eskwilińską. Nad miastem wisiała wilgotna, śmierdząca chmura. Zeszliśmy na forum, gdzie niewolnicy zapalali lampy uliczne. Minęliśmy ciche, ciemne świątynie i weszliśmy na Palatyn, gdzie Katylina miał dom. Jak zwykle niosłem zwój dokumentów. Cycero szedł z rękoma splecionymi na plecach, pochyloną głową, pogrążony w rozmyślaniach. W tym czasie Palatyn nie był jeszcze tak zabudowany jak obecnie. Budynki stały w pewnym oddaleniu jeden od drugiego. Słyszałem szmer strumienia i czułem zapach kapryfolium i dzikich róż.

– Oto miejsce do życia, Tironie – powiedział Cycero, zatrzymując się na stopniach. – Tutaj się przeniesiemy, gdy już nie będę miał przed sobą żadnych wyborów i nie będę musiał tak bardzo przejmować się tym, co sobie ludzie pomyślą. Dom z ogrodem, gdzie można czytać – wyobraź to sobie – i gdzie dzieci mogą się bawić. – Spojrzał w kierunku Eskwilinu. – Wszyscy odetchną z ulgą, gdy to dziecko wreszcie się urodzi. To tak, jakbyśmy czekali na koniec burzy.

Dom Katyliny stał tuż obok świątyni Luni, pomalowanej na biało i oświetlonej pochodniami, na cześć bogini księżyca, dlatego łatwo go było znaleźć. Na ulicy czekał niewolnik, żeby nas poprowadzić. Weszliśmy do westybuli rezydencji Sergiuszy, gdzie Cycerona powitała niezwykle piękna kobieta. Była to Aurelia Orestilla, żona Katyliny, który podobno najpierw uwiódł jej córkę, a później zainteresował się matką. Według plotek, żeby się z nią ożenić, zabił własnego syna z pierwszego małżeństwa, gdyż ten groził, że prędzej zabije Aurelię, niż zgodzi się na przyjęcie do rodziny osławionej kurtyzany. Cycero słyszał wszystko, co o niej mówiono, dlatego uciał jej wylewne powitanie.

– Proszę pani – powiedział – przyszedłem tu porozmawiać z pani mężem, nie z panią.

Aurelia przygryzła wargę i zamilkła. Rezydencja Sergiuszy była jednym z najstarszych domów w Rzymie. Gdy niewolnik wprowadził nas w głąb domu, pod naszymi stopami skrzypiały belki. Czuć było zapach zakurzonych zasłon i kadzidła. Zwróciłem uwagę na jedną osobliwość – dom był zupełnie ogołoceny, przy czym niewątpliwie stało się to zupełnie niedawno, ponieważ na ścianach widniały jaśniejsze prostokąty, gdzie kiedyś wisiały obrazy, a na podłodze koła z kurzu, jakie pozostały po rzeźbach. W atrium pozostały tylko brudne, pożółkłe od dymu woskowe maski przodków Katyliny, który tam na nas czekał. Gdy podeszliśmy, od razu mi się rzucił w oczy jego wzrost – Katyliną był co najmniej o głowę wyższy od Cyncerona. – Zaskoczyła mnie też obecność Klodiusza. Cyncero z pewnością przeżył szok, ale był za dobrym prawnikiem, żeby cokolwiek po sobie pokazać. Uścisnął dłoń Katyliny, później Klodiusza, uprzejmie odmówił wina, którym chciał go poczęstować gospodarz, i wszyscy trzej od razu przeszli do rzeczy.

Gdy wspominam to spotkanie, uderza mnie, jak bardzo ci dwaj, Katyliną i Klodiusz, byli do siebie podobni. Tylko raz widziałem ich razem w jednym pokoju; można było pomyśleć, że to ojciec i syn. Obaj mówili, przeciągając słowa, obaj zachowywali się równie niedbale i swobodnie, jakby świat do nich należał. Przypuszczam, że to właśnie oznacza określenie „rasowy”. Konieczne było czterysta lat małżeństw między najlepszymi rodzinami w Rzymie, żeby narodzili się tacy dwaj łajdacy – rasowi jak arabskie konie, równie szybcy, uparci i niebezpieczni.

– Oto jak widzimy porozumienie – powiedział Katyliną. – Młody Klodiusz wygłosił wspaniałe przemówienie oskarżycielskie i wszyscy powiedzą, że to nowy Cyncero, a ja na pewno zostanę skazany. Wtedy ty, Cynceronie, wygłosisz jeszcze wspanialszą mowę w mojej obronie i nikt się nie zdziwi, jeśli zostanę



uniewinniony. Wszyscy świetnie się zaprezentujemy i pozycja każdego z nas wzrośnie. Ja zostanę uniewinniony przez sąd rzymski. Klodiusz zyska opinię odważnego człowieka, do którego należy przyszłość. Ty odniesiesz kolejny wspaniały triumf w sądzie, broniąc kogoś nieco lepszego od przeciętnych klientów.

– A co będzie, jeśli sędziowie wydadzą inny wyrok?

– To nie twoje zmartwienie. – Katylina poklepał się po kieszeni. – Ja zająłem się sędziami.

– Prawnicy są tacy kosztowni. – Klodiusz się uśmiechnął. – Biedny Katyline musiał wyprzedzić rodowe skarby, żeby zapewnić sobie sprawiedliwość. To doprawdy skandal. Jak sobie radzą inni?

– Muszę zapoznać się z dokumentami procesowymi – rzekł Cyncero. – Ile zostało czasu do rozpoczęcia rozprawy?

– Trzy dni – odparł Katyline i gestem wydał polecenie niewolnikowi, który stał w drzwiach. – Czy wystarczy ci czasu, żeby się przygotować?

– Jeśli sędziowie już zostali przekonani, to wystarczy, jeśli powiem cztery słowa: „Oto Katyline. Uniewinnijcie go”.

– Nie, ja chcę zobaczyć normalny cynceroński występ! – zaprotestował Katyline. – Chcę usłyszeć „Ten sz-sz-szlachetny cz-cz-człowiek... z od-od-odwiecznego rodu... zważcie na łzy jego ż-ż-żony i p-p-przyjaciół”. – Katyline machał ekspresyjnie ręką i prymitywnie parodiował niemal niedostrzegalne jąkanie się Cyncerona. Klodiusz się zaśmiał. Obaj byli lekko wstawieni. – Chcę posłuchać, jak mówisz „Afrykańscy dzi-dzi-dzikusi brukają ten s-s-starożytny s-s-sąd...”. Chcę zobaczyć, jak wywołujesz przed nami obraz Kartaginy i Troi, Dydony i Eneasza...

– Otrzymaś przemówienie profesjonalnego prawnika – zimno przerwał mu Cyncero. Niewolnik powrócił ze zwojami dokumentów procesowych. Pospiesznie mu je zabrałem, ponieważ

wyczuwałem, że w miarę jak wino uderzało im do głów, atmosfera wyraźnie się pogarszała. Chciałem jak najszybciej wyciągnąć stamtąd Cyncerona. – Będziemy musieli się spotkać, żeby omówić dowody – dodał tym samym lodowatym tonem. – Najlepiej jutro, jeśli to ci odpowiada.

– Oczywiście. Nie mam nic lepszego do roboty. Jak dobrze wiesz, zamierzałem startować w wyborach konsularnych, dopóki ten młody psotnik tego nie uniemożliwił.

Jak na człowieka tak wysokiego Katylina był szokująco szybki. Błyskawicznie otoczył potężnym prawym ramieniem szyję Klodiusza i pociągnął w dół, zmuszając do zgięcia się w pół. Biedny Klodiusz – nawiasem mówiąc, wcale nie był słabeuszem – wydał stłumiony okrzyk i z wysiłkiem spróbował wbić palce w ramię Katyliny. Jednak Katylina był potwornie silny – zastanawiam się, czy nie skrzyłby swemu gościowi karku szybkim ruchem ramienia, gdyby nie interwencja Cyncerona.

– Muszę ci doradzić jako twój obrońca – powiedział spokojnie – że zamordowanie oskarżyciela byłoby poważnym błędem.

Katylina obrócił się i spojrzał na niego tak, jakby przez chwilę nie pamiętał, z kim ma do czynienia. Wreszcie wybuchnął śmiechem. Potargał jasną czuprynę Klodiusza i puścił go. Ten zatoczył się do tyłu, zakasłał i zaczął masować sobie głowę i szyję. Po chwili wyprostował się i również się roześmiał. Uściskali się, a Katylina zawołał, żeby podano wino. Wyszliśmy, zostawiając ich, by mogli sami pić.

– Co za para! – wykrzyknął Cyncero, gdy mijaliśmy świątynię Luni w drodze do domu. – Jeśli dopisze nam szczęście, do rana się pozabiją!

Gdy wróciliśmy do domu, Terencja już rodziła. Nie można się było pomylić. Już na ulicy słyszeliśmy krzyki. Cyncero stanął

w atrium, blade jak ściana. Gdy rodziła się Tulia, nie było go w mieście, a żadne z dzieł filozoficznych nie przygotowało go na to, co się działo. „Boże, to brzmi tak, jakby ją torturowano. Terencjo!” Cycero ruszył po schodach do jej pokoju, ale jedna z akuszerok nie pozwoliła mu wejść.

Długo czuwaliśmy w jadalni. Cycero poprosił, żebym z nim został, ale początkowo był zbyt zdenerwowany, żeby pracować. Od czasu do czasu kładł się na tej samej sofie, na której przedtem leżała Terencja, ale gdy słyszał kolejny krzyk żony, podrywał się i krążył po pokoju. Było gorąco i duszno. Płomienie świec nawet nie drgały, a smugi czarnego dymu przypominały murarski pion zwieszony z sufitu. Zająłem się sortowaniem dokumentów sądowych, które przyniosłem od Katyliny – oskarżenia, zeznania, opisy dowodów. W końcu Cycero, nadal rozciągnięty na sofie, żeby przestać myśleć o porodzie, zaczął czytać dokumenty. Brał kolejne zwoje i czytał przy świetle lampki, którą postawiłem obok sofy. Co chwila wzdrygał się i boleśnie krzywił, ale nie wiem, czy przyczyną były krzyki dochodzące z góry, czy też zarzuty, ponieważ były to rzeczywiście przerażające opisy przemocy i gwałtów, nadesłane z niemal wszystkich miast Afryki, od Utyki do Taenae i od Tapsus do Telepte. Po godzinie lub dwóch odsunął je na bok z obrzydzeniem i poprosił, żebym przyniósł papirus, ponieważ chciał podyktować kilka listów. Zaczął od listu do Attykusa. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami i próbował się skupić. Mam teraz przed oczami ten dokument.

*Minęło już dużo czasu, od kiedy dostałem od ciebie kilka słów. Opisywałem ci szczegółowo moją kampanię wyborczą. Teraz zamierzam bronić mego rywala Katylinę. Skład sędziów, z przyzwoleniem oskarżyciela, odpowiada naszym życzeniom. Mam nadzieję, że jeśli Katyliną zostanie uwolniony, zwiąże się*

*on ze mną w staraniach o konsulat, jeśli zaś nie zostanie uwolniony, spokojnie to zniesiemy.*

– Ha! To z pewnością prawda! – Westchnął i znowu zamknął oczy.

*Twoje szybkie przybycie jest dla mnie niezbędne, panuje bowiem powszechne przekonanie, że twoi przyjaciele-nobilowie sprzeciwią się będą mojemu wyniesieniu\*.*

\* Przekład za: K. Kumaniecki, *op. cit.* s. 158.

W tym momencie przestałem pisać, ponieważ zamiast krzyku bólu usłyszeliśmy inny dźwięk – płacz dziecka. Cycero zerwał się z sofy i pobiegł na górę do pokoju Terencji. Po pewnym czasie wrócił, nic nie mówiąc, wziął ode mnie list i własnoręcznie napisał na górze:

*Mam zaszczyt poinformować cię, że jestem ojcem małego syna. Terencja czuje się dobrze.*

Jak zmienia się dom po narodzinach zdrowego dziecka! Sądzę, choć rzadko kto to przyznaje, że dlatego, iż jest to podwójne błogosławieństwo. Obawy towarzyszące wszystkim narodzinom – lęk przed śmiercią, cierpieniem, kalectwem – o jakich nikt głośno nie mówi, nagle znikają, a ich miejsce zajmuje cud nowego życia. Ulga i radość spletają się ze sobą.

Oczywiście, nie pozwolono mi pójść na górę zobaczyć Terencji, ale kilka godzin później Cycero zniósł syna na dół i z dumą pokazał go wszystkim domownikom i klientom.

Szczerze mówiąc, niewiele było widać poza gniewną, czerwoną twarzyczką i pasemkiem ciemnych włosów. Mały był ciasno zawinięty w wełniane powijaki, które odziedziczył po ojcu. Senator miał również srebrną grzechotkę sprzed czterdziestu lat, z czasów swego dzieciństwa. Zadzwoił nią nad główką dziecka. Zaniósł małego do atrium i pokazał miejsce, gdzie – jak miał

nadzieję – pewnego dnia zawieszę jego portret jako konsula.

– Wtedy będziesz – szepnął – Markiem Tulliuszem Cyncerem, synem konsula Marka Tulliusza Cyncerona. Jak to brzmi twoim zdaniem? Chyba nieźle, prawda? Nikt nie będzie ci wytykał, że jesteś „nowym człowiekiem”! Masz, Tironie, poznaj nową polityczną dynastię – powiedział, podając mi zawiniątko. Trzymałem je nerwowo, jak wszyscy bezdzietni, którym przyszło potrzywać dziecko. Na szczęście nianka szybko wzięła ode mnie chłopca.

Cycero nadal wpatrywał się w puste miejsce na ścianie atrium. Jak to się często zdarzało, popadł w głęboką zadumę. Zastanawiam się, co tam widział: może swoją maskę pośmiertną, patrzącą na niego niczym twarz w lustrze? Spytałem, jak się czuje Terencja.

– Och, bardzo dobrze – odpowiedział z roztargnieniem. – Ona jest bardzo silna. Sam wiesz. W każdym razie ma dość siły, żeby znowu robić mi awanturę z powodu sojuszu z Katyliną. – Cycero oderwał wzrok od ściany. – Lepiej będzie, jeśli pojawi się na umówionym spotkaniu z tym łotrem.

Gdy dotarliśmy do domu Katyliny, zastaliśmy byłego namiestnika Afryki we wspaniałym humorze. Cycero później sporządził listę jego „paradoksalnych cech”, którą tu przytoczę, ponieważ dobrze go opisuje: „zdobywał ludzi, okazując im przyjaźń, i trzymał przy sobie, demonstrując oddanie; pomagał przyjaciółom w potrzebie pieniędzmi, wpływami, staraniami, a jeśli było trzeba, również popełniając zbrodnie; gdy tego wymagały okoliczności, panował nad temperamentem; był poważny z ludźmi surowymi, swobodny z liberałami, stateczny ze starcami, wesoły w towarzystwie młodzieży, śmiały w towarzystwie przestępców, był rozpustny ze zdeprawowanymi...”. Taki też był Katyliną, gdy czekał na nasze przyjście. Dowiedział się już o

narodzinach syna Cycerona, dlatego mocno uściskał mu rękę i serdecznie pogratulował, po czym wręczył piękne pudełko obciążnięte cielecą skórą i nalegał, żeby senator otworzył. Wewnątrz był srebrny dziecięcy amulet, który kupił w Utyce.

– To tylko lokalny drobiazg. Ma odstraszać złe duchy i chronić przed chorobami – wyjaśnił. – Proszę, daj go chłopcu wraz z moim błogosławieństwem.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony, Katyline – powiedział Cycero. Z pewnością nie był to drobiazg. Amulet był ozdobnie grawerowany. Gdy Cycero podniósł go do światła, zobaczyłem wyryte różne egzotyczne zwierzęta, połączone motywem wijącego się węża. Senator przez chwilę się nim bawił, ważył w rękę, po czym włożył do pudełka i oddał Katylinie. – Przykro mi, ale nie mogę tego przyjąć.

– Dlaczego? – spytał Katyline, robiąc zdziwioną minę. – Czy dlatego, że jesteś moim obrońcą i nie wolno ci płacić? Co za uczciwość! Ale to tylko drobiazg dla dziecka!

– W istocie – odrzekł Cycero, biorąc głęboki oddech – przyszedłem ci powiedzieć, że nie będę twoim obrońcą.

W tym momencie rozwijałem zwoje dokumentów i układałem je na małym stoliku stojącym między nimi. Wcześniej zerkałem na nich kątem oka, ale teraz opuściłem głowę i szybko wyciągałem kolejne zwoje. Po chwili, która wydawała mi się bardzo długa, usłyszałem głos Katyliny.

– Dlaczego tak postanowiłeś?

– Szczerze mówiąc dlatego, że nie można mieć wątpliwości, iż jesteś winny.

Znowu zapadła cisza. Gdy przerwał ją Katyline, znowu mówił wyjątkowo spokojnym tonem.

– Przecież Fontejust też był winny, popełnił wiele nadużyć w Galii, a jednak go broniłeś.

– Owszem. Wina jest jednak stopniowana. Fontejusz był skorumpowany, ale poza tym nie robił nikomu krzywdy. Ty jesteś skorumpowany i nie tylko.

– O tym zadecyduje sąd.

– Normalnie zgodziłbym się z tobą. Jednak kupiłeś wyrok zawczasu i ja nie chcę brać udziału w tym oszustwie. W ten sposób uniemożliwiłeś mi przekonanie samego siebie, że postępuję zgodnie z nakazami honoru. Jeśli nie mogę przekonać siebie, nie przekonam nikogo innego – żony, brata, a teraz, co zapewne najważniejsze, również mojego syna, gdy dorośnie.

W tym momencie zaryzykowałem i spojrzałem na Katylinę. Stał zupełnie nieruchomo, ze swobodnie opuszczonymi ramionami, ale przypominał mi zwierzę, które nieoczekiwanie natknęło się na rywala – znieruchomiał jak drapieżnik, czujny i gotowy do walki.

– Zdajesz sobie sprawę, że to dla mnie nie ma znaczenia – powiedział lekkim tonem, ale ta lekkość wydawała mi się teraz wymuszona. – Nie ma dla mnie znaczenia, kto będzie moim obrońcą, i tak zostanę uniewinniony. Ma to natomiast znaczenie dla ciebie: zamiast zyskać przyjaciela, będziesz miał we mnie wroga.

– Wolę nie narażać się na niczyją wrogość, gdy jednak jest to nieuchronne, jakoś ją zniosę. Cycero wzruszył ramionami.

– Nie zniesiesz mojej wrogości, mogę ci to obiecać. Spytaj Afrykanów. – Uśmiechnął się. – Spytaj Gratidianusa.

– Wyrwałeś mu język, Katylino. Rozmowa byłaby trudna.

Katyliną zrobił pół kroku w jego stronę i pomyślałem, że zabije Cyclerona, tak jak niemal zabił Klodiusza poprzedniego wieczoru. To jednak zakrawałoby na szaleństwo, a Katyliną nigdy nie był prawdziwym szaleńcem; gdyby nim był, wszystko stałoby się znacznie łatwiejsze. Opanował się.

- Dobrze. Jak sądzę, muszę pozwolić ci odejść.
- Musisz. – Cyncero pokiwał głową. – Tironie, zostaw dokumenty. Już nie będziemy ich potrzebowali.

Nie pamiętam, czy jeszcze kontynuowali rozmowę. Wydaje mi się, że nie. Katylina i Cyncero po prostu odwrócili się do siebie plecami, co było tradycyjną oznaką wrogości. Wyszliśmy z tego starego, pustego, skrzypiącego domu na ulicę, gdzie czekał nas upał rzymskiego lata.



## XV

Teraz rozpoczął się bardzo trudny i niespokojny okres w życiu Cycerona. Z pewnością wielokrotnie żałował, że uczynił z Katyliny swego zacieklego wroga, zamiast po prostu znaleźć jakiś pretekst, żeby wywinąć się ze zobowiązania do bronięcia go przed sądem. Często powtarzał, że zbliżające się wybory mogą przynieść tylko trzy możliwe wyniki, a żaden nie był przyjemny. Jeśli on zostanie konsulem, a Katylina przegra, to trudno będzie przewidzieć, do czego posunie się rozgoryczony i wściekły rywal. Jeśli Katylina zostanie konsulem, a on przegra, to rywal będzie mógł z nim walczyć, korzystając ze wszystkich możliwości, jakie daje władza. Wreszcie – a sędzę, że ten wariant niepokoił go najbardziej – gdy obaj wygrają, wtedy jego marzenia o najwyższym *imperium* zwyrodnieją i przemienia się w trwającą rok, nieustanną bitwę, która sparaliżuje działanie republiki.

Cycero przeżył pierwszy szok, gdy kilka dni później rozpoczęła się rozprawa. Któż bowiem wystąpił w roli głównego obrońcy oskarżonego, jak nie sam starszy konsul, Lucjusz Maniliusz Torkwatus, będący głową jednej najstarszej i najbardziej

szanowanej patrycjuszowskiej rodziny w Rzymie? Katylinie towarzyszyli w sądzie wszyscy członkowie arystokratycznej starej gwardii – Karulus, rzecz jasna, Hortensjusz, Lepidus i starszy Kurion. Pocieszenie niesło Cynceronowi jedynie to, że wina oskarżonego była zupełnie oczywista, a Klodiusz, który musiał brać pod uwagę swoją reputację, poradził sobie zupełnie przyzwoicie z przedstawieniem dowodów. Torkwatus był wyrafinowanym i dokładnym adwokatem, ale mógł tylko (by użyć wulgarnego określenia z tamtych czasów) perfumować gównem. Sędziowie zostali przekupieni, ale dowody zbrodni Katyliny w Afryce były tak szokujące, że niewiele brakowało, a wydaliby wyrok skazujący. Został zwolniony tylko *per infamiam* – czyli w niesławie. Klodiusz, który bał się odwetu Katyliny i jego zwolenników, niedługo potem wyjechał z Rzymu, żeby służyć w sztabie Lucjusza Mureny, nowego namiestnika Galii Zaalpejskiej. „Szkoda, że nie zdecydowałem się oskarżyć Katyliny! – żałował Cyncero. – Teraz byłby z Werresem w Massalii i razem przyglądaliby się morskim falom!”. Przynajmniej jednak mój pan uniknął hańby, jaką byłoby podjęcie się roli obrońcy tego zwyrodnialca. Nawiasem mówiąc, szczerze przyznawał, że zawdzięczał to Terencji, i od tej pory chętniej słuchał jej rad.

Zgodnie z przyjętą strategią Cyncero miał teraz wyjechać z Rzymu na cztery miesiące, żeby prowadzić kampanię na północy, aż do granic Italii w Galii Przedalpejskiej. O ile mi wiadomo, żaden kandydat na konsula nie zrobił wcześniej czegoś takiego, ale Cyncero uznał to za warte trudu, choć nie miał ochoty opuszczać miasta na tak długo. Gdy kandydował na edyla, liczba zarejestrowanych wyborców wynosiła w przybliżeniu czterysta tysięcy, natomiast po dokonaniu przez cenzorów przeglądu list i rozszerzeniu prawa głosu na mieszkańców terenów aż do Padu, liczba wyborców wzrosła do miliona. Wiadomo było, że tylko bardzo nieliczni z tych obywateli pofatygują się do

Rzymu na głosowanie, ale Cyncero uznał, że jeśli przekona choć co dziesiątego spośród tych, których spotkał, żeby zdobył się na wysiłek, to zyska decydującą przewagę na Polu Marsowym.

Cyncero postanowił wyjechać po igrzyskach rzymskich, które – jak zwykle – rozpoczęły się piątego września. Teraz przeżył drugi wstrząs – może nie był to szok, ale z pewnością coś więcej niż tylko niespodzianka. Igrzyska rzymskie zawsze organizowali edyłowicze kurulni, a jednym z nich był Cezar. Niewiele się po nim spodziewano, tak jak po Antoniuszu Hybrydzie, gdyż nie miał pieniędzy, co nie stanowiło tajemnicy. Cezar wziął jednak na siebie całą organizację igrzysk i w swym wielkopańskim stylu oświadczył, że są poświęcone nie tylko Jowiszowi, ale również jego zmarłemu ojcu. Przez wiele dni przed igrzyskami jego robotnicy budowali na forum kolumnady, którymi mogli przechadzać się ludzie i oglądać sprowadzone przez niego dzikie zwierzęta oraz zakupionych gladiatorów – aż trzysta dwadzieścia par – ubranych w srebrzyste zbroje. Nigdy jeszcze podczas publicznych igrzysk nie wystąpiło tylu gladiatorów. Cezar wydawał bankiety, wystawiał sztuki, organizował pochody, a w dniu rozpoczęcia igrzysk Rzymianie rano odkryli, że w nocy wznosił na Kapitolu pomnik Mariusza, wielkiego bohatera popularów, zniechęconego przez nobilów.

Katulus natychmiast zażądał zwołania posiedzenia senatu i zgłosił wniosek o usunięcie pomnika. Cezar udzielił mu pogardliwej odpowiedzi, a cieszył się taką popularnością w Rzymie, że senat nie ośmielił się ciągnąć tej sprawy. Wszyscy wiedzieli, że jedynym człowiekiem, który mógł pożyczyć Cezarowi pieniądze na takie ekstrawagancje, był Krassus. Pamiętam, że Cyncero wrócił do domu z igrzysk rzymskich równie przygnębiony, jak po igrzyskach apollinijskich Hybrydy. Cezar był sześć lat od niego młodszy, a zatem trudno było przypuszczać, żeby

kiedykolwiek rywalizowali osobiście w wyborach, ale Krassus niewątpliwie coś szykował, a Cycero nie mógł odgadnąć, o co chodzi. Tego wieczoru Cycero opisał mi jeden numer programu. „Wybrali jakiegoś przestępcę, wyprowadzili go na arenę nagiego, uzbrojonego tylko w drewniany miecz, a potem wypuścili na niego panterę i lwa. Na pewno głodzili je od tygodni. Ten człowiek zachowywał się całkiem przytomnie, korzystając z jedynej broni, jaka mu pozostała, czyli własnej inteligencji. Robił zręczne uniki i przez jakiś czas się wydawało, że uda mu się sprokować te bestie, żeby walczyły między sobą, zostawiając go w spokoju. Tłum dodawał mu otuchy. W pewnej chwili jednak potknął się i przewrócił, a wtedy zwierzęta rozszarpały go na strzępy. Popatrzyłem na Hortensjusza i innych arystokratów, którzy śmiali się i klaskali, potem na Cezara i Krassusa, którzy siedzieli obok siebie, i wtedy pomyślałem: Cycleronie, ten człowiek to ty”.

Jego osobiste stosunki z Cezarem zawsze były serdeczne, między innymi dlatego, że Cezar lubił jego żarty, ale senator nigdy mu nie ufał, a teraz, gdy podejrzewał go, że zawarł przymierze z Krassusem, starał się trzymać od niego z daleka. Jest jeszcze jedna historia o Cezarze, którą powinienem opowiedzieć. Mniej więcej w tym okresie przyszedł Palikanus, żeby poprosić Cycerona o poparcie w wyborach konsularnych. Biedny Palikanus! Jego los stanowił dobrą lekcję, co może się stać w polityce, gdy ktoś jest zbyt uzależniony od przychylności wielkiego człowieka. Palikanus był lojalnym trybunem Pompejusza, a później jego pretorem, ale gdy jego idol został naczelnym dowódcą, Palikanus nie dostał swego udziału w łupach z prostego powodu: nie miał już nic do zaoferowania, został już całkowicie wykorzystany. Wyobrażam sobie, jak całymi dniami wysiadywał w swoim domu, wpatrując się w ogromne popiersie Pompejusza, lub jadł kolację pod malowidłem na ścianie, przedstawiającym

Pompejusza jako Jowisza – prawdę mówiąc, miał takie same szanse na konsulata jak ja. Cyncero odmówił, ale starał się być uprzejmy. Zapewnił go, że choć nie może zawrzeć z nim sojuszu wyborczego, w przyszłości spróbuje coś dla niego zrobić (oczywiście tego nie uczynił). Pod koniec rozmowy, gdy Palikanus już wstawał, Cyncero – chcąc skończyć jakimś przyjacielskim akcentem – poprosił go, aby przekazał pozdrowienia swej córce Lollii, żonie Gabiniusza.

– Och, nie wspominaj mi o tej kurwie! – wykrzyknął Palikanus. – Musiałeś przecież słyszeć. Całe miasto o tym mówi! Codziennie pieprzy się z Cezarem!

Cyncero zapewnił go, że nic o tym nie słyszał.

– Cezar – powiedział z goryczą Palikanus. – To dopiero obłudny drań! Pytam cię, czy to przyzwolicie iść do łóżka z żoną towarzysza, gdy on jest tysiące mil stąd i walczy za ojczyznę?

– To haniebnie – zgodził się Cyncero. – Zastanów się – powiedział do mnie, gdy Palikanus już wyszedł. – Jeśli ktoś chce zrobić coś takiego, to moim zdaniem jest to najlepsza pora. Nie twierdzą jednak, że jestem ekspertem w tej dziedzinie – przyznał, kręcąc głową. – Ten Cezar jest jednak zdumiewający. Jeśli ktoś kradnie ci żonę, to chyba nie ma nic, czego nie byłby gotowy ci zabrać?

Niewiele brakowało, a opowiedziałbym mu, czego byłem świadkiem w domu Pompejusza, ale znowu ugryzłem się w język.

W pogodny jesienny poranek Cyncero ze łzami w oczach pożegnał się z Terencją, Tulią i małym Markiem, po czym wyruszyliśmy w drogę, żeby rozpocząć jego wielki wyborczy objazd północnej Italii. Kwintus, jak zwykle, został w Rzymie, żeby

pilnować politycznych interesów brata, a Pizon Frugi miał się zająć prowadzonymi sprawami prawnymi. Młody Celiusz rozstał się przy tej okazji z Cyceronem i przeprowadził do Krassusa, gdzie miał kontynuować swą praktykę.

Podróżowaliśmy w konwoju złożonym z trzech czterokołowych powozów, ciągniętych przez muły – w jednym spał Cycero, drugi spełniał funkcję biura, a trzeci został załadowany bagażami i dokumentami. Za powozami jechały mniejsze wózki, przeznaczone dla sekretarzy, służących, mulników, kucharzy i bóg wie kogo jeszcze, w tym również kilku potężnych ochroniarzy. Wyjechaliśmy przez Bramę Fontinalińską. Nikt nas nie odprowadzał. W tamtych czasach wzgórza na północ od Rzymu były jeszcze porośnięte lasem sosnowym, poza tym jednym, gdzie Lukullus wznosił swój osławiony pałac. Patrycjuszowski wódz wrócił już ze wschodu, ale nie mógł wjechać do miasta, ponieważ straciłby wtedy swoje wojskowe *imperium*, a wraz z nim prawo do triumfu. Siedział zatem w pałacu, wśród swoich wojennych łupów i czekał, aż jego znajomi arystokracji stworzą większość w senacie, która uzna go za *triumphatora*, co jednak blokowali stronnicy Pompejusza, między innymi Cycero. Interesujące, nawet Cycero uniósł głowę znad swych listów, żeby spojrzeć na kolosalny budynek, którego dach widać było między koronami drzew. W głębi serca miałem nadzieję, że może zobaczymy wielkiego człowieka, ale oczywiście nigdzie nie było go widać. (Nawiasem mówiąc, Kwintus Metellus, jedyny z trójki braci, który przeżył, wrócił niedawno z Krety i również obozował pod miastem, licząc na triumf. I w tym wypadku sprzeciwiał się temu zazdrosny Pompejusz. Los Lukullusa i Metellusa stałe bawił Cycerona: „Droga zakorkowana przez wodzów – żartował – którzy koniecznie chcą triumfalnie przejść ulicami Rzymu!”). Zatrzymaliśmy się na chwilę przy moście Mulwijskim, skąd

Cycero wysłał do Terencji ostatni pożegnalny liścik. Następnie przeprawiliśmy się przez Tyber, który niemal wystąpił z brzegów, i skierowaliśmy się na północ Via Flamina.

Pierwszego dnia jechaliśmy bardzo szybko i na krótko przed zapadnięciem zmroku dotarliśmy do Oriculum, trzydzieści mil na północ od Rzymu. Tutaj czekał na nas wybitny obywatel z tej okolicy, który zaoferował nam gościnę. Następnego dnia rano senator poszedł na forum, żeby zabiegać o głosy wyborców. Tajemnicą sukcesu w kampanii wyborczej jest wysoki poziom wcześniejszej pracy personelu. Cycero miał szczęście, udało mu się bowiem zwerbować dwóch zawodowych agentów, Ranunkulusa i Filuma, którzy podróżowali przed nim i pilnowali, żeby w każdym mieście czekał na nas przyzwoity tłum zwolenników. Ci dwaj łajdacy wiedzieli absolutnie wszystko o mapie wyborczej Italii: który z lokalnych panów obrazi się, jeśli Cycero go nie odwiedzi, a kogo należało unikać, które *tribus* i centurie w danym okręgu miały decydujące znaczenie i które były najbardziej skłonne go poprzeć, jakie problemy są najważniejsze dla obywateli i jakich obietnic oczekują w zamian za głosy. Nie potrafili rozmawiać o niczym poza polityką, ale Cycero często siedział z nimi do późnej nocy, wymieniając się faktami i anegdotami z takim zadowoleniem, jakby rozmawiał z filozofem.

Nie chciałbym nużyć czytelników szczegółami kampanii, nawet gdybym je pamiętał. Bogowie! Gdy się zastanowić, niemal wszystkie kariery polityczne to tylko sterta popiołu! Kiedyś potrafiłem wymienić wszystkich konsulów, którzy urzędowali w ciągu ostatnich stu lat, i większość pretorów z minionych czterdziestu. Teraz niemal wszyscy znikli z mojej pamięci, zgaśli jak światła nad Zatoką Neapolitańską o północy. Nic dziwnego, że wszystkie miasta i osady z kampanii wyborczej Cycerona zwały mi się w jeden nieprzerwany ciąg ściskanych rąk, opowiadanych

zartów, wysłuchiwanym anegdot, przyjmowanych petycji, składanych obietnic, nudziarzy i lokalnych dostojników, którym trzeba było schlebiać. Imię Cyncerona było już sławne nawet poza Rzymem, dlatego ludzie tłumnie przychodzili na spotkania, zwłaszcza w większych miastach, gdzie praktykowano prawo, gdyż jego przemówienia z procesu Werresa – nawet te, których nie wygłosił – były często kopiowane i znajdowały się w obiegu. Był bohaterem zarówno niższych klas, jak i szanowanych ekwitów, którzy widzieli w nim obrońcę przed zachłannością i snobizmem arystokracji. Również z tego powodu rzadko zapraszano go do wielkich rezydencji patrycjuszów, a gdy przejeżdżaliśmy w ich pobliżu, musieliśmy znosić szykany, a niekiedy nawet spadały na nas różnego rodzaju pociski.

Jechaliśmy dalej Via Flaminia, spędzając dzień w każdym większym mieście – Narnii, Carsulae, Mevanii, Fulginiae, Nuceria, Tadinie i Cales – aż wreszcie po dwóch tygodniach od wyjazdu z Rzymu dotarliśmy do wybrzeża Adriatyku. Minęło kilka lat, od kiedy widziałem morze. Gdy nad pyłem i krzakami pojawiła się błyszcząca, niebieska linia, poczułem dziecięce podniecenie. Było bezchmurne, ciepłe popołudnie – ten dzień był widać maruderem, który nie nadążył za odchodzącym latem. Pod wpływem nagłego impulsu Cyncero zarządził postój, żebyśmy wszyscy mogli pospacerować po plaży. Jak dziwne rzeczy wbijają się w pamięć! Choć niewiele zostało mi w głowie z ważnych politycznych zdarzeń tej kampanii, wciąż pamiętam wszystkie szczegóły tego godzinnego interludium na plaży – zapach wodorostów, smak słonych bryzgów wody na ustach, ciepłe promienie słońca na policzkach, szum żwiru, gdy fale załamywały się na plaży, i syk, gdy się cofały. Cyncero śmiał się, gdy próbował zademonstrować, jak Demostenes rzekomo pracował nad wymową, recytując przemówienia z kamyczkami w ustach.



Kilka dni później, w Ariminum, skręciliśmy na Via Aemilia na zachód. Teraz oddalaliśmy się od morza, jechaliśmy w głąb Galii Przedalpejskiej. Tutaj czuliśmy już ukąszenia nadeciągającej zimy. Czarne i fioletowe szczyty Apeninów wznosiły się wysoko po lewej stronie drogi, a po prawej aż do horyzontu ciągnęła się płaska, szara delta Padu. Miałem osobliwe wrażenie, że jesteśmy tylko owadami kręcącymi się przy ścianie jakiegoś wielkiego pokoju. Najważniejszym politycznym zagadnieniem na terenach Galii Przedalpejskiej było prawo głosu. Ci, którzy mieszkali na południe od Padu, otrzymali już prawo udziału w wyborach. Arystokraci, których rzecznikiem był Katulus, uważali to za spisek mający na celu zmniejszenie ich władzy, dlatego ostro się temu sprzeciwiali. Cycero, rzecz jasna, opowiadał się za nadaniem praw obywatelskich jak największej grupie ludności i uczynił z tego główny temat swojej kampanii.

Ludzie na północy jeszcze nigdy nie widzieli kandydata na konsula, dlatego w każdym miasteczku na spotkanie z Ciceronem przychodziło kilkuset ludzi, którzy chcieli go posłuchać. Senator zwykle przemawiał, stojąc na powozie, i za każdym razem powtarzał to samo przemówienie, więc po pewnym czasie mogłem już poruszać ustami równocześnie z nim. Cycero potępił jako czysty nonsens rozumowanie, z którego wynikało, że człowiek mieszkający po jednej stronie rzeki jest Rzymianinem, a jego kuzyn na drugim brzegu barbarzyńcą, choć obaj mówią po łacinie. „Rzym to nie tylko pojęcie geograficzne – twierdził. – Rzym nie jest zdefiniowany przez rzeki, góry, a nawet morza. O tym, kto jest Rzymianinem, nie decyduje również krew, rasa lub religia. Rzym to pewien ideał. Rzym jest najwspanialszym wcieleniem wolności i prawa, jakie osiągnęła ludzkość w ciągu dziesięciu tysięcy lat, od kiedy nasi przodkowie zeszli z tych gór i nauczyli się żyć społecznie pod rządami prawa”. Jeśli zatem

jego słuchacze mają prawo głosu – kończył – muszą go użyć dla dobra tych, którzy są go pozbawieni. To bowiem był ich element cywilizacji, ich szczególny dar, równie cenny jak tajemnica ognia. Każdy człowiek powinien raz w życiu zobaczyć Rzym. Powinni tam pojechać latem, gdy łatwo jest podróżować, i oddać głos na Polu Marsowym, a jeśli ktokolwiek ich spyta, dlaczego wybrali się w tak daleką podróż, „mogą odpowiedzieć, że wysłał ich Marek Cycero!”. Zeskakiwał następnie z wozu i wchodził w tłum, gdy ludzie jeszcze klaskali, rozdawał garściami ciecierzycę z worka niesionego przez asystenta. Ja szedłem tuż za nim, żeby notować nazwiska i instrukcje.

Podczas tej kampanii wiele się o nim dowiedziałem. Powiedziałbym nawet, że mimo tych wszystkich lat, jakie spędziliśmy razem, naprawdę go nie znałem, aż go zobaczyłem w jednym z tych małych miast na południe od Padu – Faventii lub Claternie – gdy jesienne światło już nikło, od strony gór wiał zimny wiatr, w sklepikach przy głównej ulicy paliły się już światła, a lokalni rolnicy przyglądali się ze zdumieniem temu słynnemu senatorowi, który stał na powozie, podnosił rękę i wskazywał trzema palcami chwałę Rzymu. Zrozumiałem wtedy, że mimo całego swego wyrafinowania w istocie nadal był jednym z nich – człowiekiem z małego, prowincjonalnego miasta, wierzącym w wyidealizowany obraz republiki i sens bycia obywatelem. To wszystko miało dla niego tym większe znaczenie, że sam był kimś nowym.

Cycero poświęcił następne dwa miesiące wyborcom z Galii Przedalpejskiej, zwłaszcza mieszkającym w okolicy Placentii, stolicy prowincji, położonej na obu brzegach Padu, gdzie rodziny były podzielone przez problem obywatelstwa. W czasie tej kampanii ogromnie pomógł mu namiestnik Pizon – ten sam Pizon, który groził Pompejuszowi, że spotka go los Romulusa, jeśli będzie domagał się specjalnego dowództwa. Pizon był

pragmatykiem, a poza tym jego rodzina prowadziła interesy na północ od Padu. Z tego powodu opowiadał się za przyznaniem praw wyborczych tamtejszym mieszkańcom i nawet dał Cynceronowi oficjalne zlecenie, żeby ułatwić mu podróżowanie. Saturnalia spędziliśmy w siedzibie Pizona, uwięzieni przez śnieg. Widziałem, że namiestnik jest coraz bardziej oczarowany manierami i dowcipem Cyncerona. Pewnego wieczoru, gdy wypił sporo wina, klepnął go mocno po ramieniu.

– Cynceronie, jesteś jednak przyzwoitym facetem – zadeklarował. – Lepszym człowiekiem i lepszym patriotą, niż dotychczas sądziłem. Osobiście bardzo bym się ucieszył, gdybyś został konsulem. Szkoda tylko, że nigdy nim nie będziesz.

– Dlaczego jesteś tego taki pewny? – zdziwił się Cyncero.

– Ponieważ arystokraci nigdy się na to nie zgodzą, a oni kontrolują zbyt wiele głosów.

– To prawda, że mają wielkie wpływy – przyznał senator. – Mam jednak poparcie Pompejusza.

– No i co ci z tego przyjdzie! – Pizon ryknął śmiechem. – On króluje na drugim końcu świata, a poza tym – czyżbyś tego nie zauważył? – nigdy jeszcze nie kiwnął palcem w cudzej sprawie. Wiesz, na kogo bym uważał, gdybym był tobą?

– Katylinę?

– Na niego również. Jednak naprawdę powinien cię niepokoić Antoniusz Hybryda.

– Przecież to półgłówek!

– Cynceronie, rozczarowujesz mnie. Od kiedy to głupota jest przeszkodą w karierze politycznej? Uwierz mi na słowo – arystokraci poprą Hybrydę, a ty i Katylina będziecie walczyć o drugie miejsce. I lepiej nie licz na pomoc Pompejusza.

Cyncero uśmiechnął się i udał, że się nie przejmuje, ale uwagi

Pizona niewątpliwie go przekonały. Gdy tylko śnieg stopniał, pośpiesznie wróciliśmy do Rzymu.

Dotarliśmy do domu w połowie stycznia i początkowo wszystko układało się pomyślnie. Cycero wrócił do swej praktyki prawniczej, a jego sztab wyborczy znowu zbierał się raz na tydzień. Kampanią kierował Kwintus, który zapewniał Cyncerona, że jego baza wyborcza jest pewna. Ubył młody Celiusz, ale stratę tę z naddatkiem wyrównało przyłączenie się do nas najstarszego i najbliższego przyjaciela Cyncerona, Attykusa, który wrócił do Rzymu po dwudziestoletnim pobycie w Grecji.

Muszę tu powiedzieć kilka słów Attykusie, o którego roli w życiu Cyncerona dotychczas tylko wspominałem. W najbliższym czasie jego znaczenie miało jeszcze wzrosnąć. I tak był bogaty, a niedawno odziedziczył piękny dom na Kwirynale i dwadzieścia milionów w gotówce. Otrzymał go w spadku po swym wuju Kwintusie Cecyliuszu, mizantropie i jednym z najbardziej znienawidzonych lichwiarzy rzymskich. Wiele o Attykusie mówi to, że on jeden utrzymywał poprawne stosunki z tym ohydny staruchem aż do jego śmierci. Niektórzy mogliby podejrzewać go o oportunizm, ale Attykus, ze względów filozoficznych, z zasady unikał wszelkich kłótni. Był oddanym zwolennikiem nauk Epikura – tak jak on uważał, że „przyjemność jest początkiem i końcem szczęścia w życiu” – ale muszę pośpiesznie dodać, że nie był epikurejczykiem w rozpowszechnionym, błędnym rozumieniu tego pojęcia, czyli człowiekiem dążącym do luksusu. Zgodnie z oryginalnym sensem nauk Epikura dążył do stanu zwanego przez Greków *ataraksją*, czyli wolnością od wstrząsów i zaburzeń. Unikał kłótni i wszelkich nieprzyjemności (nie muszę chyba dodawać, że się nie ożenił) i pragnął tylko w ciągu

dnia rozmyślać o filozofii, a wieczorem jeść kolację z kulturalnymi przyjaciółmi. Wierzył, że wszyscy ludzie powinni dążyć do tego samego celu i nie pojmował, dlaczego tak nie jest. Często zapominał, o czym od czasu do czasu przypominał mu Cyncero, że nie wszyscy odziedziczyli fortunę. Nigdy, nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad zaangażowaniem się w coś tak przykrego i niebezpiecznego jak próba zrobienia kariery politycznej, a jednak, w charakterze zabezpieczenia się przed nieszczęściami w przyszłości, dbał o zdobycie przychylności wszystkich arystokratów, którzy pojawiali się w Atenach – a w ciągu dwudziestu lat zebrało się ich sporo. Dawał im w prezencie drzewa genealogiczne pięknie ilustrowane przez swych niewolników. Był również niezwykle zręczny w sprawach finansowych. Krótko mówiąc, trudno byłoby znaleźć większego światowca dążącego do życia na uboczu niż Tytus Pomponiusz Attykus.

Attykus był trzy lata starszy od Cyncerona, który go podziwiał nie tylko z powodu bogactwa, ale również kontaktów towarzyskich. Jeśli ktoś ma automatycznie zagwarantowany wstęp do najwyższych sfer towarzyskich, to z pewnością bogaty i dowcipny czterdziestoparoletni kawaler, szczerze zainteresowany genealogią swych gospodarzy. Te cechy Attykusa sprawiały, że był on bezcennym źródłem poufnych wiadomości politycznych. Dzięki niemu Cyncero uświadomił sobie, jak potężni są przeciwnicy jego kandydatury na konsula. Najpierw Attykus usłyszał podczas kolacji u swej bliskiej przyjaciółki Serwili – przyrodniej siostry Katona – że Antoniusz Hybryda z pewnością będzie kandydował w wyborach konsularnych. Kilka tygodni później przekazał Cynceronowi uwagę Hortensjusza (jeszcze jednego ze swych znajomych), że Hybryda i Katylin planują wspólny start. To był poważny cios, choć Cyncero próbował zbyć wiadomość

zartem: „Och, dobrze, jeśli cel jest dwa razy większy, to również dwa razy łatwiej go trafić”. Widziałem jednak, że był wstrząśnięty, tym bardziej że sam nie znalazł odpowiedniego partnera i w tym momencie nie widać było szans, żeby ktoś taki się pojawił.

Naprawdę zła wiadomość dotarła do nas zaraz po wiosennej przerwie w obradach senatu. Attykus przysłał wiadomość, że musi pilnie zobaczyć się z Cyncerem i jego bratem, zatem po zamknięciu sądów wszyscy trzej udaliśmy się do niego. Dom Attykusa, na półwyspie niedaleko świątyni Salus, stanowił idealną siedzibę kawalera. Był niezbyt duży, ale roztaczały się z niego piękne widoki na miasto, zwłaszcza z biblioteki, z której Attykus uczynił najważniejsze pomieszczenie w całym domu. Wzdłuż ścian stały popiersia słynnych filozofów, a pośrodku znajdowały się liczne ławki z poduszkami, ponieważ Attykus nigdy nie pożyczał nikomu książek, natomiast każdy jego znajomy mógł przyjść o dowolnej porze, żeby poczytać lub nawet sporządzić kopię dowolnej książki. Tam właśnie, pod popiersem Arystotelesa, zastaliśmy Attykusa spoczywającego na sofie, ubranego w luźną, grecką tunikę. Jeśli dobrze pamiętam, czytał *Kyriai doxai* Epikura.

Attykus od razu przeszedł do rzeczy.

– Wczoraj jadłem kolację na Palatynie u Metellusa Celera i pani Klodii. Jednym z gości był nasz były konsul, wielki arystokrata – Attykus złożył ręce przy ustach, tak jakby grał fanfarę – Publiusz Korneliusz Lentulus Sura.

– Bogowie! – zawołał Cyncero. – W jakim towarzystwie ty się obracasz!

– Czy wiedziałeś, że Lentulus zamierza wrócić na polityczną scenę, kandydując w lecie na pretora?

– Doprawdy? – Cyncero zmarszczył brwi i potarł ręką czoło.

– On oczywiście jest wielkim przyjacielem Katyliny. Przypuszczalnie zawarli przymierze. Widzisz, jak rośnie ta banda łajdaków?

– O tak, to całkiem niezły ruch polityczny – on, Katylina, Hybryda i jak sądzę jeszcze inni, ale Lentulus nie chciał wymienić nazwisk. W pewnej chwili wyjął kawałek papirusu z prorocstwem jakiegoś wróżbity, że będzie trzecim Korneliuszem sprawującym w Rzymie rządy dyktatora.

– Stary Śpioch? Dyktatorem? Mam nadzieję, że roześmiałeś mu się prosto w oczy.

– Nie, przeciwnie – odrzekł Attykus – potraktowałem go bardzo poważnie. Ty też powinieneś czasem spróbować tej metody, Cyncero, zamiast wygłaszać jeden ze swych miażdżących dowcipów, które wszystkim zamykają usta. Nie, zachęciłem go, żeby dalej gadał, dolałem znakomitego wina Celera i pilnie słuchałem. On pił i w końcu kazał mi zaprzysiąc, że zachowam dyskrecję, po czym zdradził mi swój wielki sekret.

– A mianowicie? – Cyncero pochylił się do przodu.

Wiedział, że Attykus nie wezwałby nas bez powodu.

– Popiera ich Krassus.

Zapadła cisza.

– Krassus będzie na nich głosował? – spytał Cyncero. Chyba po raz pierwszy słyszałem, jak powiedział coś naprawdę głupiego. Przypisuję to szokowi.

– Nie – powiedział Attykus, nie kryjąc irytacji. – On ich popiera. Wiesz chyba, co to oznacza. Finansuje ich. Jak twierdzi Lentulus, kupuje im wybór.

Wydawało się, że Cyncero tymczasowo utracił zdolność mowy. Po kolejnej długiej pauzie ciszę przerwał Kwintus.

– Nie wierzę. Lentulus musiał być zdrowo wstawiony, żeby wygłaszać takie absurdalne przechwałki. Jaki powód miałby Krassus, żeby ułatwiać takim ludziom zdobycie władzy?

– Chce zrobić mi na złość – powiedział Cycero, odzyskując głos.

– Nonsens! – wykrzyknął gniewnie Kwintus. (Dlaczego tak się rozgniewał? Jak przypuszczam, obawiał się, że wiadomość może być prawdziwa, a wtedy wyszedłby na durnia, zwłaszcza w świetle swych wielokrotnych zapewnień, że kampania przebiega pomyślnie i zwycięstwo mają w kieszeni). – Absolutny nonsens! – powtórzył już z mniejszą pewnością siebie. – Wiemy już, że Krassus wiele zainwestował w przyszłość Cezara. Ile jeszcze musiałby wydać, żeby kupić dwa stanowiska konsula i jedno pretora? Mówimy tu nie o milionie, lecz jakichś czterech, pięciu milionach. Krassus cię nienawidzi, Marku, i wszyscy o tym wiedzą. Czy jednak nienawidzi cię bardziej, niż kocha swoje pieniądze? Wątpię w to.

– Obawiam się, że się mylisz, Kwintusie – zdecydowanie odparł Cycero. – Ta historia wygląda na prawdziwą i jestem zły na siebie, że nie dostrzegłem wcześniej takiego niebezpieczeństwa. – Cycero wstał i zaczął krążyć po pokoju, jak zawsze, gdy o czymś intensywnie rozmyślał. – To zaczęło się od igrzysk apollińskich wydanych przez Hybrydę. Z pewnością Krassus za nie zapłacił. Igrzyska ocaliły Hybrydę od politycznej śmierci. Czy Katylina rzeczywiście mógł zdobyć pieniądze na przekupienie sędziów, po prostu sprzedając trochę obrazów i rzeźb? Wykluczone. A nawet gdyby tak było, kto dziś opłaca jego kampanię? Byłem u niego w domu i zaręczam wam, że ten człowiek jest bankrutem. – Obrócił się gwałtownie, spoglądał raz w jedną, raz w drugą stronę, ale pewnie nic nie widział. Jego oczy poruszały się równie szybko, jak biegły myśli. – Zawsze czułem w kościach, że z tymi wyborami jest coś nie w porządku. Od początku wyczuwałem jakąś niewidzialną siłę wymierzoną we mnie. Hybryda i Katylina! Takie kreatury nie powinny nawet



kandydować w normalnych wyborach, a co dopiero być faworytami. To tylko pionki w rękach innego gracza.

– Czyli walczymy z Krassusem? – powiedział Kwintus takim tonem, jakby w końcu się z tym pogodził.

– Tak, z Krassusem. A może w rzeczywistości z Cezarem, który korzysta z pieniędzy Krassusa? Ilekroć się rozglądam, widzę mignięcie jego togi, która właśnie znika z widoku. On myśli, że jest sprytniejszy od wszystkich i niewykluczone, że ma rację. Jednak nie w tym wypadku. Attykusie. – Cycero zatrzymał się przed nim i uściśnął oburącz jego dłoń. – Mój stary przyjacielu. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Za co? Ja tylko słuchałem starego nudziarza i podlałem go winem. To nic wielkiego.

– Przeciwnie, wysłuchiwanie nudziarzy wymaga wytrwałości, która jest najważniejszą cnotą polityka. To od nudziarzy można się najwięcej dowiedzieć. – Cycero serdecznie uściśnął rękę Attykusa, po czym odwrócił się twarzą do brata. – Musimy znaleźć dodatkowe dowody, Kwintusie. Ranunkulus i Filum to dwaj ludzie, którzy mogą to sprawdzić. Podczas wyborów w tym mieście mysz nie może się ruszyć, żeby ci dwaj o tym nie wiedzieli.

Kwintus przyznał mu rację. W tym momencie w wyborach konsularnych wreszcie skończyło się boksowanie z cieniem i zaczęła prawdziwa walka.

## XVI

W celu odkrycia, co się dzieje, Cycero wymyślił sprytny podstęp. Zamiast rozpytywać, co robi Krassus – co nie doprowadziłoby do niczego, a zasygnalizowałoby przeciwnikom, że coś podejrzewa – wezwał do siebie Ranunkulusa i Filuma i nakazał im, żeby rozpuścili wiadomość, że reprezentują pewnego anonimowego senatora, który niepokoi się o wynik wyborów konsularnych i jest gotowy zapłacić odpowiedniemu syndykatowi pięćdziesiąt sestercji za każdy głos.

Ranunkulus był chucherkiem, niemal karłem, z okrągłą i płaską twarzą. Niewątpliwie zasłużył na swoje przezwisko „Kijanka”. Filum natomiast był wysoki i chudy jak patyk. Obaj znali swój fach z dziada pradiada, bo ich przodkowie od pokoleń trudnili się wyborczą korupcją. Znikli w zaułkach miasta na tydzień, a później zameldowali Cyceronowi, że dzieje się coś dziwnego. Wszyscy znani pośrednicy w handlu głosami odmawiali współpracy. „To może oznaczać dwie rzeczy – oświadczył Ranunkulus swoim piskliwym głosem. – Albo po raz pierwszy od trzystu lat wszyscy w Rzymie są uczciwi, albo wszystkie głosy na sprzedaż już zostały kupione”.

– Na pewno jest ktoś, kogo skusi wyższa zapłata – uparł się Cycero. – Powtórzcie akcję, ale tym razem zaproponujcie sto sestercji.

Ranunkulus i Filum znowu ruszyli na miasto i znowu wrócili po tygodniu z taką samą relacją. Pośrednicy dostali już tak wysokie łapówki i tak bali się narazić tajemniczemu klientowi, że nie można było kupić nawet jednego głosu i nikt nie chciał puścić pary z ust, kto jest tym klientem. Ktoś może się dziwić, jakim cudem, skoro chodzi o tysiące głosów, taka operacja może stanowić tajemnicę. Otóż przekupstwo było znakomicie zorganizowane i tylko kilku pośredników, tak zwanych *interpretes*, znało tożsamość klienta. (Przykro mi to mówić, ale Ranunkulus i Filum byli w przeszłości takimi pośrednikami). Ci kontaktowali się z szefami syndykatów i dobijali targu – taka a taka cena za, powiedzmy, pięćdziesiąt głosów, czy też pięćset głosów, w zależności od wielkości syndykatu. Oczywiście w tej grze nikt nikomu nie ufał, dlatego pieniądze deponowano u agentów zwanych *sequestres*, gdzie szefowie syndykatów mogli sprawdzić, czy rzeczywiście gotówka została wpłacona. Wreszcie po wyborach tak zwani *divisores* rozdzielali pieniądze. Ten system sprawiał, że udowodnienie korupcji było bardzo trudne, ponieważ nawet gdy ktoś został złapany na przekazywaniu łapówki, mógł nie wiedzieć, kto jest klientem. Mimo to Cycero nie chciał przyjąć do wiadomości, że wszyscy milczą.

– Do licha, mamy przecież do czynienia z łapownikami, nie zaś ze starożytnym zakonem rzymskich rycerzy – krzyknął gniewnie, co zdarzało mu się bardzo rzadko. – Musicie znaleźć kogoś, kto zdradzi nawet tak groźnego klienta jak Krassus, jeśli tylko cena będzie odpowiednia. Znajdźcie takiego człowieka i ustalcie cenę. Czy naprawdę muszę wszystko sam robić?

W tym czasie – zapewne była już druga połowa czerwca, do wyborów pozostał tylko miesiąc – wszyscy już wiedzieli, że

dzieje się coś dziwnego. To była jedna z najciekawszych i najbardziej zacieklej kampanii wyborczych w historii. O stanowiska konsulów ubiegało się siedmiu kandydatów. Za faworytów uważano Katylinę, Hybrydę i Cycerona. Za nimi byli snobistyczny i sarkastyczny Galba oraz pobożny Kornificjusz. Żadnych szans nie mieli gruby ekspretor Kasjusz Longinus i Gajusz Licyniusz Sacerdos, namiestnik Sycylii jeszcze przed Werresem, co najmniej dziesięć lat starszy od rywali. (Sacerdos był jednym z tych irytujących kandydatów, którzy startują w wyborach „nie dla zaspokojenia osobistych ambicji”, jak lubią mówić, lecz tylko po to, żeby „zwrócić uwagę na problemy”. „Zawsze strzeż się człowieka, który twierdzi, że nie stara się o urząd dla własnej satysfakcji – powiedział kiedyś Cycero – ponieważ to on jest najbardziej próżny ze wszystkich”). Gdy się okazało, że pośrednicy w handlu głosami są niezwykle aktywni, kilku kandydatów wymogło na starszym konsulu Marcjuszu Figulusie, żeby zaproponował w senacie nową, surową ustawę przeciw przestępstwom wyborczym – miał nadzieję, że zostanie ona nazwana *lex Marcia Figula*. Już wcześniej uważano za przestępstwo proponowanie łapówki; teraz na karę narażali się również ci wyborcy, którzy ją przyjmowali.

Gdy senat rozpoczął debatę nad nową ustawą, konsul najpierw poprosił wszystkich kandydatów o wyrażenie opinii. Sacerdos, jako najstarszy, pierwszy zabrał głos – wygłosił bardzo pobożne przemówienie za jej przyjęciem. Widziałem, jak Cycero krzywi się, słuchając tych komunałów. Hybryda oczywiście wypowiedział się przeciw, ale jak zwykle mówił chaotycznie i głupio – trudno było uwierzyć, że jego ojciec był najbardziej wziętym adwokatem w Rzymie. Galba, który niezależnie od wyniku dyskusji był skazany na klęskę, skorzystał z okazji, żeby wycofać się z wyborów, wyniośle oznajmiając, że udział w takiej

brudnej walce nie może przynieść zaszczytu i czyniąc to, zhańbiłby pamięć swoich przodków. Katyliną, z oczywistych powodów, również był przeciw *lex Marcia Figula*, ale muszę przyznać, że zrobił imponujące wrażenie. W najmniejszym stopniu nie zdradzał zdenerwowania, górował nad otoczeniem, a pod koniec wskazał Cyncerona i ryknął, że nowa ustawa przyniesie korzyść wyłącznie prawnikom, co arystokraci jak zwykle przyjęli oklaskami. Cyncero znalazł się w trudnej sytuacji. Gdy wstał, zastanawiałem się, co zamierza powiedzieć, gdyż oczywiście pragnął, aby ustawa została przyjęta, ale też nie chciał narazić się syndykatom wyborczym, które uważały ją za atak na ich honor. Cyncero zręcznie rozwiązał ten problem.

– W zasadzie popieram tę ustawę – rzekł – bo może przstraszyć tylko tych, którzy są winni. Uczciwy obywatel nie ma powodu lękać się ustawy przeciw korupcji, a nieuczciwym należy przypomnieć, że głos to świętość, nie zaś kwit, który można raz do roku zamienić na gotówkę. Prawo to ma jednak istotną wadę: jest nią brak równowagi, którą należy przywrócić. Czy naprawdę chcemy powiedzieć, że biedak, który ulega pokusie, zasługuje na surowszą karę niż bogacz, który celowo go kusi? Twierdzą, że jest odwrotnie: jeśli chcemy karać pierwszego, musimy wzmocnić sankcje grożące drugiemu. Dlatego, za twoim pozwoleniem, Figulusie, chciałbym zgłosić poprawkę do twojej ustawy: *Każdy, kto zabiega, usiłuje zabiegać lub nakłania do zabiegania o głos dowolnego obywatela w zamian za pieniądze podlega karze dziesięciu lat wygnania.*

Propozycja Cyncerona wywołała pełne podniecenia, przeciągłe „Ooch!” w całej sali. Z miejsca, gdzie stałem, nie widziałem twarzy Krassusa, ale Cyncero później z przyjemnością zapewnił mnie, że była cała czerwona, ponieważ fraza *lub nakłania do zabiegania* była wymierzona w niego i wszyscy o tym wiedzieli.

Konsul bez protestu zaakceptował poprawkę i spytał, czy ktoś chce się wypowiedzieć przeciw. Większość senatorów była zbyt zaskoczona, żeby zareagować, a ci, którzy mogli najwięcej stracić, nie mieli odwagi publicznie wystąpić przeciw. Poprawka została zatem przyjęta bez sprzeciwu, a gdy izba podzieliła się w sprawie całej ustawy, została ona przyjęta znaczną większością głosów. Figulus opuścił izbę poprzedzany przez liktorów. Wszyscy senatorowie wyszli za nim na słońce, żeby popatrzeć, jak wchodzi na trybunę i daje heroldowi ustawę w celu pierwszego odczytania. Widziałem, jak Hybryda zrobił krok w kierunku Krassusa, ale Katylina złapał go za ramię. Krassus szybko zniknął z forum, żeby nikt go nie zobaczył w towarzystwie swych kandydatów. Teraz, jak zwykle, musiały minąć trzy cotygodniowe dni targowe, nim ustawa mogła zostać poddana pod głosowanie, co oznaczało, że lud wypowie się w tej kwestii niemal w przeddzień wyborów konsularnych.

Cycero był zadowolony, ponieważ gdyby *lex Marcia Figula* została przyjęta, a on przegrał wybory wskutek przekupstwa, mógłby oskarżyć nie tylko Katylinę i Hybrydę, ale również swego głównego wroga, Krassusa. Minęły zaledwie dwa lata od pozbawienia dwóch konsulów-elektów urzędu z powodu oszustw wyborczych. To jednak wymagało zgromadzenia dowodów, dlatego jeszcze bardziej zależało mu na ich zdobyciu. Sam poświęcał każdą wolną chwilę na agitację; zawsze towarzyszył mu tłum zwolenników, ale nigdy nie korzystał z pomocy *nomenclatura*, szepczącego do ucha nazwiska wyborców; w odróżnieniu od swych rywali Cycero był dumny z tego, że pamięta tysiące imion, a w rzadkich wypadkach, gdy nie wiedział, z kim ma do czynienia, zawsze potrafił jakoś wykręcić się z trudnej sytuacji.

Bardzo go wtedy podziwiałem, ponieważ musiał wiedzieć, że prawdopodobieństwo zwycięstwa jest niewielkie. Pizon trafnie

przewidział, jak zachowa się Pompejusz: wielki człowiek nie kiwnął palcem, żeby pomóc Cycleronowi w czasie kampanii wyborczej. Zatrzymał się w Amisus, na wschodnim brzegu Morza Czarnego – czyli tak daleko od Rzymu, jak tylko jest to możliwe – i tam, jak jakiś wschodni despota, przyjął hołd nie mniej niż dwunastu miejscowych władców. Zaanektował Syrię i zmusił Mitrydatesa do szybkiego odwrotu. Dom Pompejusza na Eskwilinie został ozdobiony pięćdziesięcioma taranami z pirackich trirem i stał się znany jako *domus rostra* – był kaplicą zwolenników wodza z całej Italii. Cóż mogły go obchodzić godne małuczkich klótnie wśród cywilów? Nawet nie odpowiadał na listy Cyclerona. Kwintus narzekał na jego niewdzięczność, ale Cycero zachował fatalistyczną postawę: „Jeśli zależy ci na wdzięczności, weź sobie psa”.

Trzy dni przed wyborami konsularnymi, w przeddzień głosowania w sprawie ustawy przeciw korupcji, wreszcie nastąpił przełom. Ranunkulus przybiegł do Cyclerona z wiadomością, że znalazł pośrednika w handlu głosami, niejakiego Gajusza Salinatora, który twierdził, że ma do sprzedania trzysta głosów po pięćset sestercji sztuka. Był to właściciel karczmy „Bachantki” w Suburze. Ranunkulus umówił się z nim, że przyjdzie jeszcze tego wieczoru, poda mu nazwisko kandydata, na którego mają głosować przekupieni wyborcy, i przekaże pieniądze jednemu z *sequestres*, do którego obaj mieli zaufanie. Cycero był bardzo podniecony i uparł się, że pójdzie z Ranunkulusem na spotkanie, z kapturem na głowie, żeby ukryć swą dobrze znaną twarz. Kwintus uważał to za zbyt niebezpieczne, ale Cycero twierdził, że musi osobiście zebrać dowody. „Ranunkulus i Tiron będą mnie chronić – powiedział (zakładam, że to był jeden z jego dowcipów) – ale na wszelki wypadek możesz postarać się, żeby

kilku naszych ludzi piło wino w okolicy, gdybyśmy potrzebowali pomocy”.

Zbliżałem się wtedy do czterdziestki, a ponieważ przez całe życie byłem sekretarzem, miałem ręce tak słabe jak dziewczyna. Gdyby zdarzyły się kłopoty, to raczej Cycero, który dzięki regularnym ćwiczeniom był bardzo sprawny fizycznie, musiałby bronić mnie. Jednak to ja otworzyłem szkatułę w jego gabinecie i odliczyłem potrzebną kwotę w srebrnych monetach. (Dzięki darom od przyjaciół i wielbicieli Cycero miał spory fundusz wyborczy, z którego pokrywał takie wydatki, jak podróż do Galii Przedalpejskiej. Nie były to łapówki w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale oczywiście ofiarodawcy wiedzieli, że Cycero zawsze pamięta wszystkie nazwiska). Załadowałem pieniądze do pasa i okręciłem go wokół bioder, po czym ciężkim krokiem i z duszą na ramieniu wyruszyłem wieczorem z Cyceronom do Subury. Dziwnie wyglądał w tunice z kapturem pożyczonej od któregoś niewolnika, ponieważ noc była bardzo gorąca. Jednak w zatłoczonej dzielnicy biedoty nie brakowało dziwnie ubranych ludzi, a gdy inni widzieli kogoś z twarzą zasłoniętą kapturem, omijali go z daleka, zapewne ze strachu, że jest chory na trąd lub inną zaraźliwą chorobę, deformującą rysy twarzy. Szliśmy za Ranunkulusem, który wił się jak kijanka w labiryntach wąskich, nędznych uliczek, stanowiących jego naturalne środowisko. W końcu dotarliśmy do karczmy, gdzie siedzieli jacyś mężczyźni, opierając się o ścianę, i podawali sobie z rąk do rąk dzban wina. Obok drzwi widać było malowidło przedstawiające sikającego Bachusa, a smród pasował do tego obrazu. Ranunkulus poprowadził nas do środka, za ladę i wąskimi, drewnianymi schodami na strych, gdzie czekali Salinator i *sequester*, którego nazwiska nigdy nie poznałem.

Tak się im śpieszyło, żeby zobaczyć pieniądze, że nie zwrócili



większej uwagi na stojącego za mną człowieka w kapturze. Zdjąłem pas i pokazałem im kilka monet. *Sequester* wyciągnął niewielką wagę i zaczął ważyć srebro. Salinator, rozlazły typ z dużym brzuchem i długimi, prostymi włosami, przyglądał się temu przez chwilę.

– Dobra, wszystko w porządku – powiedział wreszcie. – Teraz lepiej daj mi nazwisko twojego klienta.

– Ja jestem jego klientem – powiedział nagle Cycero, zrzucając kaptur z głowy. Jak łatwo zgadnąć, Salinator od razu go poznał i gwałtownie się cofnął, wpadając na *sequestera* i jego wagę. Z trudem odzyskał równowagę i spróbował udać, że to tylko powitalny ukłon. Zaczął improwizowane przemówienie, jakim zaszczytem jest dla niego możliwość udzielenia pomocy senatorowi w jego kampanii, i tak dalej, ale Cycero zaraz mu przerwał. – Nie potrzebuję pomocy takich jak ty, nędzniku! Żądam tylko informacji.

Salinator zaczął jęczeć, że o niczym nie wie, gdy nagle *sequester* upuścił wagę i rzucił się w kierunku schodów. Już po kilku stopniach wpadł na Kwintusa, który obrócił go, złapał za kołnierz i tył tuniki i wrzucił z powrotem do pokoju. Ulżyło mi, gdy za plecami Kwintusa zobaczyłem kilku mocno zbudowanych młodych ludzi, którzy często pomagali Cyceronowi. Wobec takiej przewagi liczebnej, stojąc przed obliczem najsłynniejszego rzymskiego adwokata, Salinator zaczął się załamywać. Pękł do reszty, gdy Cycero zagroził mu, że doniesie Krassusowi, iż próbował dwukrotnie sprzedać te same głosy. Bał się zemsty Krassusa bardziej niż jakiegokolwiek kary. Przypomniało mi się, jak kilka lat wcześniej Cycero powiedział o Starym Łysolu „najgroźniejszy byk w całym stadzie”.

– Twoim klientem jest zatem Krassus, tak? – spytał Cycero. – Radzę ci, zastanów się, nim zaprzeczysz.

Salinator ośmielił się tylko kiwnąć głową. Broda dygotała mu ze strachu.

- Miałeś dostarczyć trzysta głosów na Hybrydę i Katylinę? Salinator znowu ledwo ruszył głową.
- Na nich – powiedział – i na innych.
- Innych? Masz na myśli Lentulusa Surę w wyborach pretorów?
- Tak. Jego. I innych.
- Wciąż powtarzasz „innych” – gniewnie rzucił Cyncero, marszcząc brwi. – Kim są ci inni?
- Trzymaj język za zębami! – krzyknął *sequester*, ale Kwintus kopnął go w brzuch. *Sequester* upadł na podłogę i skulił się, przyciskając ręce do brzucha.
- Nie zwracaj na niego uwagi – ciepło poradził Cynceron. – Ma zły wpływ na otoczenie. Znam takich typków. Możesz mi powiedzieć – zapewnił Salinatora i poklepał go po ramieniu. – Kim są zatem ci inni?
- Koskoniusz – odrzekł pośrednik, nerwowo spoglądając na wijącego się na podłodze *sequester a*. Wziął głęboki oddech i szybko wyrzucił z siebie kolejne nazwiska. – Pomptinus, Balbus, Cecyliusz, Labienus, Faberiusz, Gutta, Bulbus, Kalidiusz, Tudycjusz, Walgiusz. I Rullus.
- Z każdym nowym nazwiskiem Cyncero wydawał się coraz bardziej zdumiony.
- To wszystko? – spytał, gdy Salinator skończył. – Jesteś pewny, że nie zapomniałeś o kimś z senatu? – Spojrzał na Kwintusa, który był równie zdumiony.
- To nie tylko dwaj kandydaci na konsulów – powiedział Kwintus. – Jeszcze trzech kandydatów na pretorów i dziesięciu na trybunów. Krassus chce kupić cały rząd!
- Cyncero nie był człowiekiem skłonny do okazywania zdziwienia, ale tej nocy nawet on nie potrafił go ukryć.
- To jakiś absurd! – wykrzyknął. – Ile kosztuje jeden głos?

– Pięćset za konsula – odpowiedział Salinator, tak jakby sprzedawał świnie na targu. – Dwieście za pretora, sto za trybuna.

– Twierdzisz zatem – powiedział Cycero, po szybkich rachunkach w pamięci – że Krassus zapłacił ponad trzy czwarte miliona za trzysta głosów w twoim syndykacie?

Salinator kiwnął głową, tym razem bardziej energicznie, a nawet z zadowoleniem i zawodową dumą.

– To najwspanialsza kampania wyborcza, jaką pamiętam.

Cycero zwrócił się do Ranunkulusa, który stał przy oknie i patrzył na ulicę, czy nie dzieje się coś groźnego.

– Jak myślisz, ile głosów musiał kupić Krassus, płacąc taką cenę?

– Żeby mieć pewność zwycięstwa? – Ranunkulus zastanawiał się przez chwilę. – Jakies siedem lub osiem tysięcy.

– Osiem tysięcy? – powtórzył Cycero. – To kosztowałyby go dwadzieścia milionów. Słyszałeś kiedyś o czymś takim? I za te wszystkie pieniądze nie kupiłby urzędu dla siebie, a tylko obsadził urzędy takimi bałwanami, jak Hybryda i Lentulus Sura. – Znowu zwrócił się do Salinatora. – Czy on wyjaśnił ci, po co mu ta gigantyczna operacja?

– Nie, senatorze. Krassus nie jest człowiekiem skłonny do odpowiadania na pytania.

– No, teraz będzie musiał odpowiedzieć na kilka pieprzonych pytań – zaklął Kwintus, po czym rozładował frustrację, znowu kopiąc w brzuch *sequestera*, który próbował wstać. Ten jęknął i ponownie upadł na podłogę.

Kwintus koniecznie chciał wydusić z Salinatora i *sequestera* wszystko, co wiedzieli, a następnie zaprowadzić ich do Krassusa i zażądać, żeby skończył ze swymi spiskami, lub zawlec ich do senatu, odczytać ich zeznania i zgłosić wniosek o przełożenie

wyborów. Cycero zachował jednak zimną krew. Z kamienną twarzą podziękował Salinatorowi za uczciwość, powiedział Kwintusowi, żeby napił się wina i ochłonał, a mnie polecił zabrać nasze srebro. Później, gdy wróciliśmy do domu, usiadł za stołem i bawił się małą skórzaną piłką, przerzucając ją z ręki do ręki. Kwintus wściekał się, że brat zachował się jak głupiec, puszczając tych dwóch łapowników, którzy z pewnością albo zaalarmują Krassusa, albo uciekną z miasta.

– Nie zrobią ani jednego, ani drugiego – odparł Cyceron. – Gdyby poszli do Krassusa i powiedzieli mu, co się stało, podpisaliby na siebie wyrok śmierci. Krassus z pewnością pozbyłby się takich groźnych świadków i oni o tym wiedzą. Ucieczka przyniosłaby taki sam wynik, tylko Krassus potrzebowałby więcej czasu na ich znalezienie. – Piłka przelatywała z ręki do ręki, z ręki do ręki. – Poza tym jeszcze nie zostało popełnione żadne przestępstwo. Łapownictwo jest trudno udowodnić nawet w najlepszych okolicznościach, a przed głosowaniem to zupełnie niemożliwe. Krassus i senat tylko by nas wyśmieli. Nie, najlepsze, co można było zrobić, to zostawić ich na wolności. Przynajmniej wiemy, gdzie ich szukać i możemy wezwać na przesłuchanie, jeśli przegramy wybory. – Cycero podrzucił piłkę wysoko i zręcznie ją złapał. – W jednej sprawie miałeś jednak rację, Kwintusie.

– Doprawdy? – powiedział gorzko Kwintus. – Jak miło, że to mówisz.

– Akcja Krassusa nie ma nic wspólnego z jego wrogim stosunkiem do mnie. Nie wydałby dwudziestu milionów tylko po to, żeby rozwiać moje nadzieje. Zainwestowałby taką sumę tylko wtedy, gdyby mógł liczyć na ogromny zysk. Jak on chce na tym zarobić? Muszę przyznać, że jest to dla mnie zagadką. – Cycero przez chwilę wpatrywał się w ścianę. – Tironie, ty zawsze utrzymywałeś dobre stosunki z Celiuszem Rutusem, prawda?

Przypomniałem sobie różne zaniedbane prace, które musiałem wykonać za niego, kłamstwa, jakie opowiadałem, żeby wybawić go z kłopotów, dzień, kiedy ukradł mi pieniądze i przekonałem, żebym nie poskarżył się Cynceronowi.

– Znośne, senatorze.

– Jutro rano idź do niego porozmawiać. Postaraj się zrobić to delikatnie. Może ci się uda wyciągnąć z niego jakieś wskazówki na temat zamiarów Krassusa. Ostatecznie przecież mieszka w tym samym domu. Musi coś wiedzieć.

Długo nie mogłem zasnąć. Rozmyślałem o tym wszystkim i coraz bardziej niepokoiłem się o przyszłość. Cyncero również kiepsko spał. Słyszałem, jak krąży po swoim pokoju. Jego energia umysłowa przebijała strop. Gdy wreszcie usnąłem, męczyły mnie złe sny.

Rano pozostawiłem Laureowi troskę o klientów Cyncerona i pomaszerowałem do oddalonego o milę domu Krassusa. Nawet dziś, gdy na niebie nie ma ani jednej chmurki, a lipcowe słońce mocno grzeje od samego rana, powtarzam sobie „pogoda jak na wybory” i czuję w brzuchu dobrze znany skurcz. Z forum dobiegły mnie odgłosy młotów i pił – to robotnicy budowali rampy i bariery wokół świątyni Kastora, ponieważ tego dnia zgromadzenie ludowe miało przegłosować ustawę o walce z korupcją wyborczą. Obszedłem świątynię od tyłu i napiłem się letniej wody z fontanny Juturna. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć Celiuszowi. Jestem i zawsze byłem beznadziejnym kłamcą. Żałowałem, że nie poprosiłem Cyncerona o radę, ale teraz było już za późno. Wspiąłem się na Palatyn, a gdy dotarłem do domu Krassusa, powiedziałem odźwiernemu, że mam pilną wiadomość dla Celiusza Rufusa. Zaproponował, żebym poczekał w środku, ale odmówiłem. Gdy poszedł go zawołać, przeszedłem na drugą stronę ulicy i starałem się nie zwracać na siebie uwagi.

Dom Krassusa, podobnie jak on sam, wydawał się bardzo skromny, ale jak słyszałem, to wrażenie było zwodnicze. Za niepozorną fasadą krył się długi, przestronny budynek. Furta była ciemna, niska i wąska, ale mocna. Po obu stronach widać było niewielkie, zakratowane okna. Po ścianach koloru jasnej ochry, z których łuszczyła się farba, piął się obficie bluszcz. Dach z terakoty również był bardzo stary, a brzegi dachówek na skraju okapu popękały i szerniały, jak zepsute zęby. To mógł być dom bankiera, któremu nie powiodło się w interesach, lub zubożalego właściciela ziemskiego, który od dawna nie naprawiał domu w mieście. Jak sądzę, w ten sposób Krassus chciał dać do zrozumienia, iż jest tak bogaty, że nie musi dbać o elegancję, ale oczywiście na ulicy milionerów w ten sposób tylko zwracał na siebie uwagę. Było coś niemal wulgarnego w tym wystudiowanym unikaniu wulgarności. Niewielkie drzwi wciąż otwierały się i zamykały, gdy goście wchodzili i wychodzili, co zdradzało gorączkową aktywność gospodarza. Te drzwi wydały mi się podobne do maleńkiej dziurki w murze, która w rzeczywistości stanowi wejście do szumiącego gniazda os. Nie poznałem nikogo z tych ludzi, ale po pewnym czasie zauważyłem wychodzącego Juliusza Cezara. Nie spostrzegł mnie; od razu ruszył w kierunku forum, a za nim pośpieszył sekretarz ze zwojem dokumentów. Niedługo potem na ulicy pojawił się Celiusz. Zatrzymał się w progu, osłonił dłonią oczy i spojrzał na mnie. Od razu zorientowałem się, że jak zwykle hulał całą noc i nie był zadowolony z wczesnej pobudki. Gęsta szczecina pokrywała jego brodę i policzki, co chwila oblizywał wargi i przełykał ślinę, bardzo się krzywiąc, tak jakby miała okropny smak. Podszedł do mnie i spytał, czego, na bogów, od niego chcę. Wyrzuciłem z siebie, że chciałbym pożyczyć trochę pieniędzy.

– Na co ci pieniądze? – spytał, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

– Mam dziewczynę – odparłem bezradnie, po prostu dlatego, że on często mówił coś takiego, gdy nagabywał mnie o pożyczkę. Nie potrafiłem wymyślić nic innego. Spróbowałem odciągnąć go nieco dalej, ponieważ bałem się, że Krassus nas zobaczy, ale on odtrącił moją rękę i stał, kiwając się nad rynsztokiem.

– Masz dziewczynę? – powtórzył sceptycznie. – Ty? – Wybuchł śmiechem, ale niewątpliwie zaboląła go głowa. Przerwał i dotknął palcami skroni. – Gdybym tylko miał pieniądze, Tironie, chętnie bym ci je dał w prezencie, po prostu dla przyjemności, z jaką zobaczyłbym cię w towarzystwie jakiejś żywej istoty poza Cyceronem. To jednak niemożliwe. Nie jesteś człowiekiem zadającym się z dziewczynami. Biedny Tironie – w ogóle nie rozumiem, jakim jesteś człowiekiem. – Spojrzał na mnie uważnie. – Na co naprawdę potrzebujesz pieniędzy? – Jego oddech śmierdział winem. Odwróciłem twarz, nie mogąc tego wytrzymać, co on uznał za przyznanie się do winy. – Kłamiesz – powiedział. Chwilę później na jego zarośniętej twarzy pojawił się uśmiech. – Już wiem. Cycero cię przysłał, żebyś czegoś się dowiedział.

Poprosiłem go, żebyśmy oddalili się od domu Krassusa. Tym razem na to przystał. Jednak ruch najwyraźniej mu zaszkodził. Znowu się zatrzymał, zbladł i uniosł palec w ostrzegawczym geście. Wybałuszył oczy, żyły wystąpiły mu na szyi, jęknął i zwymiotował. Przypomniało mi to widok służącej, wylewającej nocnik przez okno na piętrze. (Przepraszam za te szczegóły, ale po sześćdziesięciu latach znowu ^ przypomniałem sobie tę scenę i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu). W każdym razie to był jakby akt oczyszczenia: Celiusz odzyskał normalny kolor skóry i humor wyraźnie mu się poprawił. Spytał mnie, czego Cycero chciałby się dowiedzieć.

– Jak sądzisz? – odpowiedziałem dość niecierpliwie.

– Żałuję, że nie mogę ci pomóc, Tironie – powiedział, wycierając usta wierzchem dłoni. – Wiesz, że zrobiłbym to, gdybym tylko mógł. Życie w domu Krassusa nie jest tak przyjemne jak u Cyncerona. Stary Łysol to najgorszy zasraniec pod słońcem, gorszy nawet od mojego ojca. Całymi dniami muszę się uczyć księgowości, a nikt jeszcze nie wymyślił większego nudziarstwa, może z wyjątkiem prawa handlowego, którym torturował mnie w ubiegłym miesiącu. Polityka jest interesująca, ale on starannie pilnuje, żebym trzymał się daleko od spraw z nią związanych.

Zadałem mu kilka pytań, między innymi o powód wizyty Cezara tego ranka, ale szybko stało się dla mnie jasne, że on rzeczywiście nic nie wiedział o planach Krassusa. (Przypuszczam, że mógł kłamać, ale bardzo w to wątpię, bo zawsze był gadułą). Gdy podziękowałem mu i chciałem odejść, złapał mnie za rękę.

– Cyncero musi być naprawdę zdesperowany, skoro poprosił mnie o pomoc – powiedział z niezwykłą dla siebie powagą. – Powtórz mu, że bardzo mi przykro. Jest dziesięć razy więcej wart niż Krassus i mój ojciec razem wzięci.

Nie spodziewałem się, żebym szybko ponownie zobaczył Celiusza, dlatego przestałem o nim myśleć, zwłaszcza że cały ten dzień zajmowało głosowanie w sprawie ustawy przeciw korupcji wyborczej. Cyncero aktywnie agitował; chodził ze swym orszakiem po forum, od *tribus* do *tribus* i przekonywał do głosowania za ustawą. Bardzo się ucieszył, gdy pod sztandarem VETURIA zobaczył kilkuset obywateli z Galii Przedalpejskiej, którzy zareagowali na jego kampanię i po raz pierwszy przyjechali zagłosować. Długo z nimi rozmawiał o konieczności wyłączenia korupcji politycznej; gdy odchodził, w jego oczach



załśniły łzy. „Biedni ludzie – mruknął do mnie. – Pojechali tak daleko, żeby przekonać się, że głosowanie to kpina, bo liczą się tylko pieniądze Krassusa. Jeśli jednak ta ustawa przejdzie, być może zdobęde broń, którą pokonam tego łajdaka”.

Miałem wrażenie, że jego wysiłki były skuteczne i gdy przyjdzie do głosowania, *lex Marcia Figula* przejdzie, ponieważ większość nie była skorumpowana. Jednak z doświadczenia wynika, że sam fakt, iż proponowana ustawa jest rozsądna i uczciwa, bynajmniej nie gwarantuje jej przyjęcia – raczej na odwrót. Wcześniej po południu trybun ludowy ze stronnictwa popularów Mucjusz Orestinus – jak czytelnicy mogą pamiętać, Cycero bronił go, gdy został oskarżony o rabunek – wszedł na trybunę i potępił ustawę jako atak arystokracji na uczciwość plebsu. Wymienił Cyclerona po nazwisku jako człowieka „niegodnego sprawowania urzędu konsula” – dokładnie cytuję jego słowa – który udaje przyjaciela ludu, ale nigdy nie zrobił dla ludu niczego, jeśli nie było to zgodne z jego egoistycznym interesem. Połowa tłumu zareagowała na to okrzykami protestu i szyderstwem, druga połowa – zapewne złożona z tych, którzy przywykli do sprzedawania głosów i nadal chcieli na tym zarabiać – urządziła mu owację.

Dla Cyclerona to już było za wiele. Zaledwie rok wcześniej doprowadził do uniewinnienia Mucjusza. Jeśli taki szczer opuszczał jego tonący statek, to zapewne był on już blisko dna. Przepchał się na schody świątyni, czerwony z gniewu i upału, i zażądał, żeby mógł odpowiedzieć na atak. „Kto zapłacił za twój głos, Mucjuszu?” – krzyknął, ale ten udał, że nie słyszy. Tłum wokół nas wskazywał Cyclerona, popychał go do przodu. Ludzie krzyczeli do trybuna, żeby pozwolił mu zabrać głos, ale oczywiście to była ostatnia rzecz, na jaką Mucjusz gotów był się zgodzić. Nie chciał również dopuścić do głosowania nad ustawą, bo

nie miał pewności, że zostanie odrzucona. Podniósł rękę i uroczyście ogłosił, że wetuje ustawę. Na forum wybuchło pandemonium, rozgorzały bójkę między rywalizującymi stronnictwami. *Lex Marcia Figula* przepadła. Figulus natychmiast ogłosił, że zwołuje na następny dzień posiedzenie senatu w celu przedyskutowania dalszych poczynań.

Dla Cyncerona była to gorzka porażka. Gdy w końcu dotarliśmy do domu i zamknął drzwi, odgradzając się od tłumu zwolenników na ulicy, przestraszyłem się, że zaraz zemdleje, tak jak przed wyborami na edyla. Tym razem wyjątkowo był zbyt zmęczony, żeby pobawić się z Tulią. Nawet gdy Terencja zeszła na dół z małym Markiem i pokazała, że synek nauczył się samodzielnie robić jeden lub dwa chwiejne kroki, Cyncero nie wziął go na ręce i nie podrzucił w górę jak zwykle, a tylko pogłaskał po policzku z roztargnieniem, po czym poszedł do gabinetu. Na progu skamieniał z zaskoczenia, któż bowiem siedział za jego stołem, jak nie Celiusz Rufus.

Laurea, który czekał w gabinecie przy drzwiach, przeprosił Cyncerona i wyjaśnił, że powiedział Celiuszowi, aby poczekał w tablinum jak wszyscy goście, ale ten uparł się, że przyszedł w poufnej sprawie i nikt nie może go zobaczyć.

– W porządku, Laurea. Zawsze cieszę się ze spotkania z młodym Celiuszem. Obawiam się jednak – dodał, ściskając jego dłoń – że po tak długim i przygnębiającym dniu nie będę wesołym kompanem.

– Dobrze się zatem składa – uśmiechnął się Celiusz – bo chyba mam wiadomość, która poprawi ci humor.

– Krassus nie żyje?

– Przeciwnie – zaśmiał się Celiusz – żyje i na dzisiejszy wieczór zaplanował wielką konferencję z okazji przewidywanego zwycięstwa w wyborach.

– Naprawdę? – powiedział Cycero. Ta plotka wystarczyła, żeby zaczął odżywać, jak zwiędły kwiat po deszczu. – I któż będzie na tej konferencji?

– Katylina. Hybryda. Cezar. Nie jestem pewny, kto jeszcze. Gdy wychodziłem, już ustawiano krzesła. Wiem to od jednego z sekretarzy Krassusa, który podczas zgromadzenia ludowego rozdawał zaproszenia.

– No, no – mruknął Cycero. – Wiele bym dał, żeby przyłożyć ucho do dziurki od klucza!

– To całkiem możliwe – odrzekł Celiusz. – Spotkanie odbędzie się w sali, gdzie Krassus załatwia wszystkie interesy. Często – ale nie dzisiaj, o czym zapewnił mnie mój informator – Krassus chce, żeby sekretarz notował, co zostało powiedziane, bez wiedzy jego rozmówcy. W tym celu skonstruował małą kabinę do podsłuchu. To po prostu mała komórka ukryta w ścianie. Pokazał mi ją w ramach lekcji prowadzenia interesów.

– Chcesz powiedzieć, że Krassus podsłuchuje samego siebie? – zdumiał się Cycero. – Jaki mąż stanu zrobiłby coś takiego?

– „Gdy ktoś sądzi, że nie ma świadków, często składa wiele nierozważnych obietnic”, tak mi to wyjaśnił.

– Zatem sądzisz, że możesz się tam schować i zrelacjonować, o czym była mowa?

– Nie ja – skrzywił się Celiusz. – Ja nie jestem sekretarzem. Myślałem, że to świetne zadanie dla Tirona. To on jest cudownym stenografem – dodał, klepiąc mnie po ramieniu.

Bardzo chciałbym móc napisać, że bez wahania podjąłem się tej samobójczej misji. To jednak byłoby dalekie od prawdy. Przeciwnie, zacząłem od zgłoszenia licznych praktycznych

zastrzeżeń. Jak miałbym się niepostrzeżenie dostać do domu Krassusa? Jak potem wyjść? Jak miałbym wyłowić ze zgiełku głosów, kto co powiedział? Celiusz miał jednak odpowiedź na wszystkie moje wątpliwości. W rzeczywistości byłem po prostu przerażony.

– A jeśli zostanę złapany? – spytałem w końcu, wreszcie przechodząc do sedna sprawy. – Mogą mnie torturować. Nie jestem taki odważny, żeby pana nie zdradzić.

– Cycero może po prostu zaprzeczyć, by cokolwiek wiedział o tym, co robiłeś – odrzekł Celiusz. Z mojego punktu widzenia nie było to zbyt pocieszające. – Poza tym wszyscy wiedzą, że nie można polegać na zeznaniach wymuszonych torturami.

– Za chwilę zemdleję – z trudem zażartowałem.

– Weź się w garść, Tironie – powiedział Cycero, który z każdą chwilą coraz bardziej zapalał się do tego pomysłu. – Nikt nie będzie cię torturował, nie będzie żadnego procesu. Już ja się o to postaram. Jeśli cię wykryją i złapią, wynegocjuję twoje zwolnienie i zapłacę każdą cenę, żeby nic ci się złego nie stało. – Chwycił moją rękę w ten swój podwójny uścisk, mający przekonać o szczerości. Spojrzał mi w głęboko w oczy. – Tironie, jesteś bardziej moim drugim bratem niż niewolnikiem. Tak było zawsze, od kiedy razem siedzieliśmy na wykładach filozofii w Atenach lata temu – pamiętasz? Już dawno powinniśmy porozmawiać o twoim wyzwoleniu, ale zawsze przeszkadzał mi w tym jakiś kolejny kryzys. Pozwól zatem, że teraz, w obecności Celiusza jako świadka, powiem ci, iż zamierzam dać ci wolność i umożliwić proste życie na wsi, którego od dawna tak pragnąłeś. Wyobrażam sobie, jak pewnego dnia odwiedzę cię w twoim gospodarstwie, usiądę w twoim ogrodzie i przyglądając się słońcu zachodzącemu nad gajem oliwek lub winnicą, będziemy wspominać nasze wspólne przygody. – Puścił moje ręce. Ta

wizja wiejskiego rajy jeszcze przez chwilę wisiała w powietrzu, po czym znikła. – Moja propozycja nie jest uwarunkowana twoją zgodą na podjęcie się tego zadania – dodał energicznym tonem. – Chciałbym to jasno powiedzieć: już wielokrotnie na to zasłużyłeś. Nigdy nie wydałbym rozkazu, którego wykonanie naraziłoby cię na niebezpieczeństwo. Wiesz, jak trudna jest moja sytuacja. Musisz zrobić to, co sam uznasz za właściwe.

To niemal dokładnie jego słowa: jak mógłbym je zapomnieć?

## XVII

Konferencja miała się rozpocząć o zachodzie słońca, a zatem nie mieliśmy czasu do stracenia. Gdy słońce znikło za granią Eskwilinu, a ja po raz drugi tego dnia wspinałem się na Palatyn, dręczyło mnie niepokojące przeczucie, że zmierzam prosto w pułapkę. Dlaczego bowiem miałem być przekonany, podobnie zresztą jak Cycero, że Celiusz nie służył teraz lojalnie Krassusowi? Czy słowo „lojalny” nie było zresztą absurdalne w odniesieniu do mojego młodego towarzysza, który zwykł się kierować tym, co akurat bawiło go w danej chwili? Nic już nie mogłem na to poradzić. Celiusz poprowadził mnie niewielką alejką na tyły domu Krassusa. Odciągnął na bok gęstą kurtynę z bluszczu i odsłonił niewielką, nabijaną żelaznymi gwoździami klapę, która wyglądała tak, jakby zardzewiała do reszty i nie dawała się otworzyć. Gdy jednak Celiusz mocno pociągnął, otworzyła się zaskakująco cicho. Wskoczyliśmy do pustego magazynu.

Dom Krassusa, podobnie jak Kąty liny, był bardzo stary i w ciągu wieków wielokrotnie go rozbudowywano, dlatego wkrótce straciłem orientację w poplątanych korytarzach. Krassus służył z posiadania wielu wysoko wykwalifikowanych niewolników –

wynajmował ich innym, tak jakby prowadził agencję usługową. Skoro tylu ludzi kręciło się po domu, wykonując swoje obowiązki, wydawało się rzeczą niemożliwą, byśmy dotarli do celu i nie zostali wykryci. Jeśli jednak Celiusz nauczył się czegoś, studiując prawo w Rzymie, była to sztuka wychodzenia i wchodzenia po kryjomu. Przecieliśmy wewnętrzny dziedziniec, ukryliśmy się w przedpokoju, gdy w pobliżu przechodziła służąca, po czym weszliśmy do dużego, pustego pokoju ozdobionego pięknymi tkaninami z Koryntu i Babilonu. Pośrodku ustawiono w półokrąg ze dwadzieścia połączanych krzeseł, a wokół stały liczne lampy i kandelabry. Celiusz szybko chwycił niewielką lampkę, podszedł do ściany i odchylił gruby, wełniany kobierzec z wizerunkiem Diany, która powalała oszczepem jelenia. Za nim znajdowała się nisza, mniej więcej taka, w jakich ustawia się posągi. Była dostatecznie wysoka i głęboka, żeby zmieścić się w niej człowiek. U góry wisiała półeczka na lampę. Szybko wszedłem do środka, bo usłyszałem zbliżające się męskie głosy. Celiusz przyłożył palec do ust, mrugnął do mnie porozumiewawczo i starannie zasłonił niszę kobercem. Jeszcze przez chwilę słyszałem coraz cichsze odgłosy jego kroków, po czym zostałem sam.

Początkowo nic nie widziałem, ale wkrótce moje oczy dostosowały się do słabego światła oliwnej lampki. Zauważyłem, że w kobiercu przekłuto niewielkie dziurki, przez które widziałem cały pokój. Usłyszałem kroki wielu ludzi i nagle widok zasłoniła mi pomarszczona, łysa potylica Krassusa. Jego głos zabrzmiał tak głośno w moich uszach, że niewiele brakowało, a pod wpływem szoku wypadłbym z niszy. Krassus serdecznie zaprosił gości, żeby weszli za nim do sali. Oddalił się; teraz widziałem innych, którzy przechodzili, żeby zająć swoje miejsce: wysokiego Katylinę, Hybrydę z twarzą pijaka, szczupłego eleganckiego Cezara, nienagannie ubranego Lentulusa Surę, Mucjusza,

bohatera tego popołudnia, kilku znanych mi pośredników w handlu głosami i senatorów starających się o trybunat. Wszyscy byli w świetnych humorach, rozmawiali i żartowali. Krassus musiał zaklaskać, żeby zdobyć ich uwagę.

– Panowie – powiedział stojąc przed nimi, tyłem do mojej kryjówki. – Bardzo dziękuję za przybycie. Musimy dziś omówić wiele spraw, a nie mamy zbyt dużo czasu. Pierwszym punktem porządku dnia jest Egipt. Cezarze?

Krassus usiadł, a Cezar podniósł się z krzesła. Przyglądał rzednące włosy i palcem wskazującym odgarnął je za ucho. Bardzo uważnie, żeby nie spowodować hałasu, otworzyłem notes, wyciągnąłem rylec. Gdy Cezar zaczął mówić swym łatwym do rozpoznania, szorstkim głosem, pilnie notowałem jego słowa.

Jeśli zostanie mi wybaczony ten brak skromności, chciałbym podkreślić, jakim wspaniałym wynalazkiem jest mój system stenografii. Muszę wprawdzie przyznać, że Ksenofont opracował prymitywny sposób stenografii już cztery wieki przede mną, ale był to raczej prywatny system ułatwiający pisanie niż prawdziwa stenografia, a poza tym nadawał się wyłącznie do zapisywania tekstu greckiego, natomiast mój umożliwia zanotowanie dowolnego tekstu po łacinie, z jej ogromnym słownikiem i skomplikowaną gramatyką, za pomocą tylko czterech tysięcy znaków. Mój system jest tak skonstruowany, że można go nauczyć każdego chętnego ucznia; teoretycznie nawet kobieta mogłaby opanować stenografię.

Jak dobrze wiedzą wszyscy, którzy uprawiają tę sztukę, niewiele rzeczy bardziej szkodzi stenografii niż drzenie palców. Niepokój sprawia, że symbole stają się równie kształtne jak lukańska kiełbasa. Poważnie obawiałem się, że zdenerwowanie



uniemożliwi mi szybkie notowanie, ale gdy już zacząłem, przekonałem się, że ten proces dziwnie mnie uspokaja. Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym, co notowałem. Słyszałem słowa – Egipt, koloniści, ziemia publiczna – ale nie rozumiałem ich znaczenia. Moją ambicją było tylko nadażenie za mówcą. Największym praktycznym utrudnieniem była wysoka temperatura: w ciasnej niszy szybko zrobiło się gorąco jak w piecu. Strużki potu spływały mi do oczu i mocno piekły, a rylec wyslizgiwał się ze spoconych palców. Tylko chwilami, gdy pochylałem się, żeby przyłożyć oko do kobierca i zidentyfikować kolejnego mówcę, uświadamiałem sobie, jak wiele ryzykowałem. Czułem się wówczas zupełnie bezbronny, a co gorsza często odnosiłem wrażenie, że uczestnicy zebrania patrzą na mnie. Zwłaszcza Katylina wydawał się zafascynowany sceną na kobiercu, za którym się ukrywałem. Najgorszą chwilę tej nocy przeżyłem już pod koniec, gdy Krassus zamknął posiedzenie. „Gdy spotkamy się ponownie – powiedział – nasza przyszłość oraz przyszłość całego Rzymu będzie już zmieniona na zawsze”. Kiedy zebrani skończyli klaskać, Katylina wstał z krzesła i podszedł prosto do kobierca. Skurczyłem się i przywarłem do ściany. On pogłaskał tkaninę, przesuwając ręką zaledwie o szerokość dłoni od mojej spoconej twarzy. Widziałem, jak przesuwa się wypukłość, która powstała pod naciskiem jego palców. Jeszcze teraz, gdy czasami śni mi się ta scena, budzę się z krzykiem. Katylina chciał jednak tylko pogratulować Krassusowi tak wspaniałego kobierca. Po krótkiej rozmowie, gdzie go kupił i ile zapłacił – Krassus zawsze się musiał pochwalić – obaj się oddalili.

Długo czekałem, a gdy wreszcie odważyłem się znowu spojrzeć przez dziurkę, w pokoju nie było nikogo. Tylko bezładnie stojące krzesła świadczyły, że odbyła się tu narada. Z trudem powstrzymałem się od wyskoczenia z niszy i pośpiesznej

ucieczki. Zgodnie z umową miałem czekać na przyjscie Celiusza, dlatego zmusilem się do pozostania. Siedziałem, plecami opierając się o ścianę, z kolanami pod brodą, rękami obejmując nogi. Nie miałem pojęcia, jak długo trwała konferencja, wiedziałem tylko, że zapełniłem wszystkie cztery notatniki, które wziętem. Nie wiem też, jak długo jeszcze siedziałem w niszy. Może nawet zasnąłem, ponieważ gdy Celiusz powrócił, wszystkie lampki i świece w pokoju, w tym moja, już się wypaliły. Celiusz odciągnął kobierzec na bok, a ja z radością wyskoczyłem z niszy. Bez słowa podał mi rękę i razem przekradliśmy się do magazynu. Wszyscy już spali. Z trudem poruszając zeszytowanymi kończynami, wspiąłem się do kłapy i wyszedłem na zewnątrz. Obróciłem się, żeby mu podziękować.

– Nie ma za co – odpowiedział. W świetle księżycy widziałem jego błyszczące, szeroko otwarte, pełne podniecenia oczy. – Świetnie się ubawiłem. – Wiedziałem, że to nie była brawura: ten młody głupiec naprawdę tak myślał.

Wróciłem do domu dobrze po północy. Wszyscy z wyjątkiem Cycerona już spali. Senator czekał na mnie w jadalni. Łatwo mogłem poznać, że siedział tam od dawna, bo na podłodze koło sofy leżały rozrzucone książki. Na mój widok zerwał się na równe nogi. „No i co?” – spytał, a gdy kiwnąłem głową na znak, że misja zakończyła się powodzeniem, uszczypnął mnie w policzek i powiedział, że żaden inny polityk nie miał takiego odważnego i sprytnego sekretarza jak ja. Wyciągnąłem z kieszeni notatniki, żeby mu pokazać. Cycero otworzył notatnik i przybliżył go do światła. „No tak, oczywiście, te twoje piekielne hieroglify – mruknął i puścił do mnie oko. – Siadaj. Przyniosę ci trochę wina i wszystko mi opowiesz. Chcesz coś zjeść?”. Rozejrzał się niepewnie dookoła, bo nie był przyzwyczajony do usługiwania.

Po chwili siedziałem naprzeciw niego z kubkiem wina, którego nawet nie dotknąłem, jabłkiem i rozłożonymi notatnikami, jak uczeń, który został wywołany do wyrecytowania lekcji.

Nie mam już tych woskowych tabliczek, ale później wykonałem transkrypcję zapisków, a Cycero przechowywał te zwoje wśród swych najbardziej tajnych dokumentów. Gdy teraz je przeglądam, nie dziwi mnie bynajmniej, że nie rozumiałem dyskusji podczas konferencji. Niewątpliwie nie było to pierwsze spotkanie konspiratorów i w dyskusji często przyjmowali za znane liczne fakty i ustalenia. Wiele mówiono o harmonogramie prac legislacyjnych, poprawkach do ustaw i podziale odpowiedzialności. Proszę nie wyobrażać sobie, że po prostu odczytałem swoje notatki i wszystko stało się jasne. Przez kilka godzin wspólnie rozszyfrowywaliśmy różne tajemnicze uwagi, aż wreszcie zrozumieliśmy cały plan. Od czasu do czasu Cycero wykrzykiwał coś w stylu „Spryciarze! A to sprytnie diabły!”, wstawał, przechadzał się po pokoju, po czym wracał do pracy. Mówiąc w skrócie i ograniczając się do sedna sprawy, okazało się, że spisek, który już od wielu miesięcy knuli Krassus i Cezar, przewidywał cztery etapy. Najpierw zamierzali przejąć kontrolę nad państwem, zwyciężając w wyborach: planowali zdobyć nie tylko stanowiska dwóch konsulów, ale również wszystkich dzieśięciu trybunów i kilku pretorów. Według pośredników w handlu głosami ta sprawa była już w zasadzie załatwiona, a poparcie dla Cycerona malało z każdym dniem. W drugiej fazie, w grudniu, trybuni mieli przedstawić ustawę o reformie rolnej, przewidującą parcelację wielkich państwowych majątków ziemskich, zwłaszcza w żyznej Kampanii, i natychmiastowe przyznanie działek pięciu tysiącom osób z miejskiego plebsu. W trzeciej fazie zamierzali wybrać w marcu komisję, liczącą dzieśięć osób, którą mieli kierować Krassus i Cezar. Komisja ta miałaby prawo sprzedawać zdobytą ziemię, a zebrane fundusze

posłużyłyby do przymusowego wykupu ziemi w Italii w celu rozszerzenia programu osiedlania plebsu na wsi. Wreszcie w czwartej fazie zamierzali zająć Egipt, wykorzystując jako pretekst wątpliwy testament króla Ptolemeusza, takiego czy innego, spisany siedemnaście lat wcześniej, który rzekomo zapisał w spadku swoje państwo ludowi rzymskiemu. Dochody z podboju miały zostać przeznaczone na dalszy wykup ziemi w Italii, co również byłoby zadaniem decemwirów.

– Bogowie, to przecież zamach stanu w przebraniu reformy agrarnej! – wykrzyknął Cyncero, gdy dobrnęliśmy do końca moich zapisków. – Prawdziwą władzę w kraju będzie miała komisja dziesięciu, kierowana przez Krassusa i Cezara. Konsulowie i inni urzędnicy staną się tylko pionkami. Dominacja decemwirów w kraju będzie stale podtrzymywana dochodami z grabieży za granicą. – Cyncero ciężko usiadł, skrzyżował ramiona, zwiesił głowę i długo się nie odzywał.

Byłem wyczerpany nerwowymi przeżyciami i pragnąłem tylko położyć się do łóżka, ale do pokoju przeniknęły pierwsze promienie letniego słońca, wskazując, że przepracowaliśmy całą noc. Zaczął się ostatni dzień przed wyborami. Z zewnątrz dochodziły nas odgłosy porannej krzątania. Niedługo potem usłyszeliśmy kroki na schodach. To była Terencja – w koszuli nocnej, z potarganymi włosami, nieumalowana i zaspana. Na wąskie ramiona zarzuciła szal. Wstałem z szacunkiem i zakłopotany odwróciłem wzrok.

– Cynceronie! – wykrzyknęła, nie zwracając na mnie uwagi. – Do licha, co ty tu robisz o tej porze?

Cyncero podniósł głowę i ze znużeniem wyjaśnił jej, co się stało. Terencja doskonale orientowała się we wszystkich sprawach politycznych i finansowych. Biorąc pod uwagę jej charakter, gdyby nie była kobietą, trudno sobie wyobrazić, czego mogłaby dokonać. Gdy tylko zrozumiała słowa męża, wpadła w

przerażenie, ponieważ była arystokratką do szpiku kości i pomysł rozdawania ziemi plebejuszom był dla niej krokiem na drodze do zniszczenia Rzymu.

– Musisz pokierować walką z nimi – zażądała od Cyncerona.  
– W ten sposób wygrasz wybory. Wszyscy przyzwoici ludzie staną po twojej stronie.

– Czy rzeczywiście? – Cyncero wziął do ręki jeden z moich notatników. – Wystąpienie przeciw temu spiskowi może się dla mnie źle skończyć. Znaczna frakcja senatu, w połowie złożona z patriotów, w połowie ze zwykłych chciwców, zawsze dążyła do zajęcia Egiptu. A gdy chodzi o plebs na ulicach, krzycząc „ziemia za darmo dla wszystkich”, Katylina i Hybryda raczej zdobędą dodatkowe głosy, niż je stracą. Nie, jestem w potrzasku. – Cyncero wbił wzrok w moje notatki i potrząsnął głową jak artysta, który ze smutkiem przygląda się dziełu swego utalentowanego rywala. – To naprawdę nadzwyczajny plan. Dzieło politycznego geniusza. Tylko Cezar mógł coś takiego wymyślić. A Krassus – wyłoży tylko dwadzieścia milionów, a może liczyć na opanowanie znacznej części Italii i całego Egiptu. Nawet ty przyznałabyś, że to dobra stopa zwrotu z dokonanej inwestycji.

– Musisz coś zrobić – nalegała Terencja. – Po prostu nie możesz pozwolić, żeby do tego doszło.

– Co właściwie chcesz, żebym zrobił?

– Przecież podobno jesteś najinteligentniejszym człowiekiem w Rzymie! – zniecierpliwiła się Terencja. – Czyż nie jest to oczywiste? Idź rano do senatu i ujawnij ich spisek. Oskarż ich!

– Co za błyskotliwa taktyka, Terencjo! – sarkastycznie odrzekł Cyncero. (Miałem coraz większą ochotę wyjść z jadalni). – Mam równocześnie ujawnić i potępić popularny plan. Nie słuchasz, co do ciebie mówię: to moi zwolennicy mogą najwięcej skorzystać, jeśli plan Krassusa i Cezara zostanie zrealizowany.

– Jeśli tak, to możesz winić wyłącznie siebie za to, że uzależniłeś się od takiego motłochu! Na tym polega problem z twoją demagogią. Wydaje ci się, że kontrolujesz tłum, ale ostatecznie to tłum zawsze cię poźre. Czy poważnie myślałeś, że możesz wygrać z takimi jak Krassus i Cezar, gdy chodzi o publiczną wyprzedaż zasad? – Cycero mruknął coś z irytacją, ale nie podjął sporu. – Powiedz mi – kontynuowała Terencja – jeśli ten „nadzwyczajny plan”, jak go nazwałeś, czy też raczej „kryminalne przedsięwzięcie”, jak wolałabym go nazwać, jest rzeczywiście taki popularny, to dlaczego oni spiskują po nocach? Dlaczego nie wystąpili z nim otwarcie?

– Ponieważ, droga Terencjo, arystokraci myślą tak jak ty. Nigdy się na to nie zgodzą. Najpierw zostaną rozparcelowane wielkie majątki państwowe, a później ich latyfundia. Za każdym razem gdy Cezar i Krassus dadzą komuś gospodarstwo, zdobędą nowego klienta. A gdy patrycjusze zaczną tracić kontrolę nad ziemią, będą skończeni. Poza tym, jak według ciebie zareagują Katulus i Hortensjusz, gdy zacznie nimi pomiatać komisja wybrana przez lud? Lud! Dla nich to będzie rewolucja, powtórka z Tyberiusza Grakchusa. – Cycero rzucił notatnik na stół. – Nie, oni będą spiskować, przekupywać i zabijać, byle tylko zachować status quo, tak jak zawsze czynili.

– I będą mieli rację! – warknęła Terencja, mierząc go gniewnym spojrzeniem. Zacisnęła pięści. Przez chwilę myślałem, że go uderzy. – Mieli rację, gdy odebrali władzę trybunom, tak samo jak wtedy, gdy próbowali powstrzymać tego prowincjonalnego parweniusza, Pompejusza! A gdybyś ty miał odrobinę oleju w głowie, poszedłbyś teraz z tym do nich i powiedział: „Panowie, oto co zamierzają Krassus i Cezar. Jeśli mnie poprzecie, spróbuję ich powstrzymać!”.

Cycero niecierpliwie westchnął i opadł na sofę. Przez chwilę nic nie mówił. Nagle spojrzał na żonę.

– Na bogów, Terencjo – powiedział spokojnie – jaka ty jesteś przebiegła! – Zerwał się z sofy i pocałował ją w policzek. – Moja błyskotliwa, sprytna sekutnica! Masz rację. A raczej masz częściowo rację, ponieważ nie ma powodu, żebym ja robił coś w tej sprawie. Po prostu przekażę to zadanie Hortensjuszowi. Tironie, ile potrzebujesz czasu, żeby przygotować normalną wersję tych notatek? Nie musisz przepisywać wszystkiego, wystarczy tyle, żeby pobudzić apetyt Hortensjusza.

– Kilka godzin – odpowiedziałem, oszołomiony nagłą zmianą jego nastroju.

– Pośpiesz się! – nakazał. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział go tak ożywionego i podnieconego. – Przynieś mi pióro i papirus!

Wykonałem jego polecenie. Zanurzył pióro w kałamarzu, przez chwilę się zastanawiał, po czym zaczął pisać. Terencja i ja patrzyliśmy na papirus ponad jego ramieniem.

*Od Marka Tulliusza Cyncerona*

*Do Kwintusa Hortensjusza Hortalsusa*

*Pozdrowienia!*

*Uważam za swój patriotyczny obowiązek podzielić się z tobą w zaufaniu tym zapisem przebiegu spotkania, jakie odbyło się ostatniego wieczoru w domu M. Krassusa, z udziałem G. Cezara, L. Katyliny, G. Hybrydy, P. Sury i różnych kandydatów na trybunów, których nazwiska niewątpliwie są ci znane. Zamierzam zaatakować niektórych z tych panów w mowie, jaką wygłoszę dziś w senacie, a jeśli masz ochotę omówić tę sprawę, będę później w domu naszego szanownego, wspólnego przyjaciela T. Attykusa.*

– To powinno zadziałać – powiedział, dmuchając na atrament, żeby szybciej wysychł. – Teraz, Tironie, zrób na tyle kompletną kopię notatek, na ile to możliwe, koniecznie uwzględniając wszystkie fragmenty, które zmrozą ich błękitną krew, i zanieś ją Hortensjuszowi razem z moim listem. Masz ją wręczyć osobiście Hortensjuszowi, nie żadnemu asystentowi. Zrób to na godzinę przed rozpoczęciem sesji senatu. Wyślij również kogoś do Attykusa z prośbą, żeby wpadł do mnie, nim wyjdę do senatu. – Cyncero podał mi list i szybkim krokiem skierował się do drzwi.

– Czy mam powiedzieć Sositeuszowi lub Laurei, żeby wprowadzili klientów? – zdążyłem jeszcze spytać, bo już słyszałem, jak na zewnątrz ustawia się kolejka.

– Dziś rano nikogo nie przyjmuję! – odrzyknął, już wchodząc po schodach. – Jak chcą, mogą mi towarzyszyć w drodze do senatu. Ty masz robotę do wykonania, a ja muszę ułożyć mowę.

Zostałem sam z Terencją. Słyszeliśmy, jak nad naszymi głowami zaskrzypiały deski podłogi, gdy Cyncero szedł do gabinetu. Terencja dotknęła palcami miejsca, gdzie mąż ją pocałował i spojrzała na mnie pytającym wzrokiem.

– Mowę? – powiedziała. – O jakim przemówieniu on teraz mówi?

Musiałem przyznać, że nie mam pojęcia, a zatem nie mogę rościć sobie żadnych pretensji do współautorstwa, a nawet wcześniejszej wiedzy o tym niezwykłym potoku inwektyw, znanym całemu światu jako *in toga candida*.

Pisałem tak szybko i porządnie, jak na to pozwalało mi zmęczenie. Ułożyłem dokument jak tekst sztuki, najpierw podając nazwisko mówcy, potem jego wypowiedź. Wykreśliłem dużo



materiału, który uznałem za nieistotny, ale później nabrałem wątpliwości, czy jestem dostatecznie kompetentnym sędzią. Z tego względu postanowiłem zabrać ze sobą notatniki, na wypadek gdybym musiał do nich zajrzeć w ciągu dnia. Gdy skończyłem, umieściłem transkrypcję w tubie, zamknąłem ją i ruszyłem do Hortensjusza. Musiałem przepychać się przez tłum klientów i stronników blokujących ulicę, którzy łapali mnie za tunikę i pytali, kiedy pojawi się senator.

Dom Hortensjusza na Palatynie wiele lat później kupił nasz drogi i ukochany Cezar, co daje pewne wyobrażenie, jaki był wspaniały. Nigdy przedtem tam nie byłem, dlatego musiałem kilka razy pytać o drogę. Dom stał na samym szczycie, po południowo-zachodniej stronie, skąd roztaczał się widok na Tyber. Ten pejzaż zielonych drzew, srebrzystej rzeki i pól sprawiał, że dom robił wrażenie wiejskiej rezydencji, nie zaś willi miejskiej. Jak już wspomniałem, sąsiadem Hortensjusza był jego szwagier, Katulus. Całe to miejsce – pachnące kapryfolium i mirtem, z ćwierkającymi ptakami – świadczyło o dobrym smaku rodu, od wielu pokoleń cieszącego się wielką fortuną. Nawet główny służący wyglądał tu jak arystokrata, a gdy powiedziałem, że przyniosłem wiadomość dla jego pana od senatora Cycerona, można by pomyśleć, że pierdnąłem, ponieważ na dźwięk tego nazwiska na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia. Chciał wziąć ode mnie tubę, ale się nie zgodziłem, dlatego polecił mi czekać w atrium, gdzie maski wszystkich konsulów z rodu Hortensjusza patrzyły na mnie swymi martwymi oczami. W rogu na trójnogu stał sfinks wyrzeźbiony z jednego kawałka kości słoniowej; zdałem sobie sprawę, że to właśnie musi być prezent od Werresa, na którego temat Cycero żartował wiele lat temu. Pochyliłem się, żeby mu się przyjrzeć, ale w tym momencie do atrium wszedł Hortensjusz.

– No, no – powiedział. Wyprostowałem się natychmiast, z

poczuciem winy. – Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę przedstawiciela Marka Cyncerona pod dachem moich przodków. O co chodzi?

Hortensjusz miał na sobie senatorską togę, ale zamiast butów chodził w pantoflach. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie przygotowywał się do wyjścia na posiedzenie senatu. Dziwnie się poczułem widząc starego wroga jakby bez zbroi, poza areną. Podąłem mu list Cyncerona. Otworzył go i przeczytał w mojej obecności. Gdy zobaczył listę nazwisk, rzucił mi ostre spojrzenie. Łatwo zgadłem, że to go zaciekawiło, ale był zbyt dobrze wychowany, by to okazać.

– Powiedz swemu panu, że przyjrę się temu w wolnej chwili – powiedział, biorąc ode mnie dokument, i odszedł w głąb domu, tak jakby w jego wypielęgnowane palce nie trafiło nic interesującego. Jestem pewny, że gdy tylko zniknął z widoku, pobiegł do biblioteki i odpieczętował tubę. Wyszedłem na dwór i skierowałem się do miasta schodami Caci, częściowo dlatego, że do rozpoczęcia posiedzenia senatu miałem trochę czasu i mogłem sobie pozwolić na spacer, częściowo dlatego, że inaczej musiałbym przejść bliżej domu Krassusa, niż miałem na to ochotę. Gdy znalazłem się na ulicy Etruskiej, gdzie znajdują się wszystkie sklepy z perfumami i kadzidłami, pod wpływem zapachów i zmęczenia poczułem się tak, jakbym czymś się odurzył. Miałem wrażenie, że jestem oddzielony od rzeczywistego świata ze wszystkimi jego problemami. Jutro o tej porze rozpocznie się już głosowanie na Polu Marsowym, zapewne będziemy już wiedzieć, czy Cyncero zostanie konsulem, ale niezależnie od wyniku, słońce nie przestanie świecić, a jesienią nadciągną deszcze.

Pokręciłem się po Forum Boarium, przyglądając się, jak ludzie kupują kwiaty, owoce i jedzenie. Zastanawiałem się, jak by wyglądało życie, gdybym nie interesował się polityką, lecz –

zgodnie ze słowami poety – wybrał *vita umbratilis*, życie w cieniu. To właśnie planowałem zrobić, gdy Cycero już podaruje mi wolność i niewielkie gospodarstwo. Będę jadł owoce z własnego ogrodu i pił mleko od hodowanych przez siebie kóz. W nocy będę zamykał furtkę i gwizdał na wszystkie wybory. Nigdy nie zbliżyłem się do mądrości bardziej, niż gdy snułem te plany.

Kiedy wreszcie dotarłem na forum, przed senatem stało już ponad dwustu senatorów, którym przyglądali się liczni gapie – sądząc po ubraniach, przyjechali ze wsi na wybory. Figulus siedział na krześle konsula przy wejściu, w otoczeniu augurów, czekając na quorum. Od czasu do czasu podnosił się gwar, gdy na forum pokazywał się któryś z kandydatów w orszaku swych zwolenników. Widziałem, jak przybył Katyliną w osobliwym towarzystwie młodych arystokratów i ulicznych mętów. Później pojawił się Hybryda – jego ekipa, złożona z podejrzanego mieszaniny dłużników i hazardzistów, takich jak Sabidiusz i Pantera, w porównaniu z ludźmi Katyliny wydawała się niemal szacowna. Już zacząłem się martwić, czy Cyceronowi nie przytrafiło się coś złego, gdy od strony Argilerum dosłyszałem werble i pisk fletów. Na forum weszła podwójna kolumna młodych ludzi, niosących nad głowami świeżo ścięte gałązki. Wokół nich biegały podniecone dzieciaki. Za nimi szedł tłum znanych rzymskich ekwitów, którym przewodził Attykus, a po nich Kwintus z liczną grupą senatorów z tylnych ław. Kilka dziewczyn rozrzuciło dookoła płatki róż. Żaden inny kandydat nie miał tak wspańskiego wejścia. Ludzie bili brawo. W samym środku kolumny szedł sam kandydat, ubrany w *toga candida*, w której występował już w trzech zwycięskich wyborach. Rzadko miałem okazję przyglądać mu się z daleka – zwykle szedłem tuż za nim – i chyba po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że był urodzonym aktorem. Gdy wkładał kostium, wcielał się w graną postać. Jego mocna postać i poważne spojrzenie przywodziły na myśl wszystkie

cechy, które miała symbolizować biel – jasność, uczciwość, czystość. Przeszedł blisko, ale mnie nie zauważył. Jego sposób poruszania się i wyraźne zdystansowanie od otoczenia sugerowały, że zamierzał wygłosić mowę. Dołączyłem do pochodu. Gdy wszedł do izby, powitały go pozdrowienia zwolenników i kocia muzyka przeciwników.

Strażnicy zatrzymali tłum, dopóki nie weszli wszyscy senatorowie, a potem pozwolili ludziom podejść do drzwi. Udało mi się zająć moje zwykłe miejsce przy futrynie, skąd nieźle widziałem, co dzieje się w środku. Chwilę później poczułem, że ktoś przepchał się przez tłum i stanął tuż za mną. To był Attykus, błądy ze zdenerwowania. „Skąd on ma siły na coś takiego?” – spytał, ale nim zdążyłem odpowiedzieć, wstał Figulus, żeby poinformować senat o odrzuceniu projektu ustawy przez zgromadzenie ludowe. Gadał o tym przez dłuższą chwilę, po czym wezwał Mucjusza, żeby wyjaśnił, dlaczego zawetował ustawę przyjętą przez senat. W sali panowała potworna duchota. Wśród arystokratów dostrzegłem Katylinę i Hybrydę. Katulus siedział tuż przed nimi, na ławce byłych konsulów, a Krassus kilka miejsc dalej. Cezar zajął miejsce po tej samej stronie izby, na ławce zarezerwowanej dla byłych edylów. Mucjusz wstał i z wielką godnością wyjaśnił, że jego święty urząd nakazywał mu działać w interesie ludu. *Lex Marcia Figula* była sprzeczna z tym interesem, stanowiła zagrożenie dla bezpieczeństwa ludu i godziła w jego honor.

– Bzdura! – krzyknął ktoś z drugiej strony sali. Poznałem głos Cyclerona. – Kto cię kupił?!

– Zaczyna się! – szepnął Attykus, ściskając moje ramię.

– Moje sumienie – ciągnął Mucjusz.

– Twoje sumienie nie ma z tym nic wspólnego, łgarzu! Sprzedałeś się jak dziwka!

Rozległ się szmer, jak zawsze, gdy kilkuset mężczyzn

równocześnie coś szepcze. Cycero nagle zerwał się z miejsca, podniósł rękę i zażądał głosu. W tej samej chwili usłyszałem, jak ktoś za nami domaga się, żeby go przepuścić. Zrobiliśmy przejście dla spóźnionego senatora, którym okazał się Hortensjusz. Pośpiesznie przeszedł centralną alejką, uklonił się konsulowi i usiadł koło Katulusa. Zwolennicy Cycerona wśród *pedarii* głośno domagali się, żeby mu dać głos. Cycero miał status pretora, a Mucjusz trybuna, zatem niewątpliwie miał pierwszeństwo. Mucjusz bardzo niechętnie uległ otaczającym go senatorom, którzy nakazali mu usiąść. Cycero wskazał go palcem – w białej todze udrapowanej na sztywno wyprostowanym ramieniu wyglądał jak posąg sprawiedliwości – i oświadczył: „Jesteś dziwką, Mucjuszu, i to dziwką zdradziecką, ponieważ zaledwie wczoraj podczas zgromadzenia ludowego uznałeś mnie za człowieka niegodnego sprawowania urzędu konsula, mnie, pierwszego człowieka, do którego udałeś się po pomoc, gdy oskarżono cię o kradzież! Jestem dostatecznie dobry, żeby bronić ciebie Mucjuszu, ale nie rzymskiego ludu, tak? Czemuż jednak miałbym przejmować się tym, co o mnie opowiadasz, skoro cały świat wie, że płacą ci za rzucanie na mnie oszczerstw?”

Mucjusz poczerwieniał, zaczął wymachiwać pięściami i wykrzykiwać obelgi, ale w ogólnym tumultie nikt ich nie słyszał. Cycero zmierzył go pogardliwym wzrokiem, potem podniósł dłoń, żeby uciszyć senatorów. „Zresztą, kim jest Mucjusz? – rzucił, wypluwając jego imię i robiąc lekceważący gest. – Mucjusz to tylko jedna dziwka w całej wynajętej trupie prostytutek. Ich panem jest człowiek szlachetnie urodzony, a jego ulubionym instrumentem jest łapówka – a wierzcie mi panowie, że gra na nim jak na flecie! Przekupuje sędziów, przekupuje wyborców, przekupuje trybunów. Nie ma co się dziwić, że nienawistna mu była nasza ustawa przeciw korupcji i zablokował ją swoją metodą – przekupstwem! – Cycero na chwilę przerwał i zniżył głos.

– Chciałbym podzielić się z tą izbą pewnymi informacjami. – W senacie nagle zrobiło się zupełnie cicho. – Wczoraj wieczorem Antoniusz Hybryda i Sergiusz Katylina mieli schadzkę w domu tego nobila...”.

„Podaj nazwisko!” – ktoś krzyknął. Przez chwilę myślałem, że Cycero to zrobi. Wpatrywał się w Krassusa z wyrachowaną intensywnością. Dla wszystkich stało się równie jasne, o kim mówi, jak gdyby podszedł do niego i pokazał go palcem. Krassus uniósł się nieco na ławie i pochylił do przodu. Nie spuszczał wzroku z Cyclerona; z pewnością się zastanawiał, co zdarzy się za chwilę. Wszyscy wstrzymali oddech. Cycero miał jednak na oku inną zwierzynę, dlatego z wyraźnym wysiłkiem oderwał spojrzenie od Krassusa.

„Ten człowiek, jak wspomniałem, dobrze urodzony, po tym jak przekupstwem spowodował odrzucenie ustawy przeciw przekupstwu, ma teraz nowy plan. Zamierza kupić konsulat, nie dla siebie, lecz dla swych dwóch kreatur – Katyliny i Hybrydy”.

Obaj oczywiście natychmiast zerwali się z ław, żeby zaprotestować, na co zapewne liczył Cycero. Nie mieli wyższego statusu od niego, dlatego nie musiał im ustępować. „Patrzcie, oto oni – powiedział, zwracając się do senatorów na tylnych ławach. – Najlepsi, jakich można kupić! – Poczekał chwilę, aż śmiech przybierze na sile, po czym w doskonale wybranym momencie dodał: Ale jak mówią prawnicy – *caveat emptor!*”.

Wyśmianie jest najgorszą rzeczą, jaka może się zdarzyć politykowi, i najbardziej szkodzi jego godności i autorytetowi. Gdy coś takiego się zdarzy, należy koniecznie zachować całkowitą obojętność. Jednak Hybryda i Katylina, słysząc salwy śmiechu ze wszystkich stron, nie mogli się zdecydować, czy uparcie stać, czy usiąść, udając obojętność. W końcu spróbowali zrobić jedno i drugie równocześnie – wyglądali przy tym jak dwaj robotnicy przy pompie, co tylko powiększyło powszechne rozbawienie.

Zwłaszcza Katylina wyraźnie tracił panowanie nad sobą, gdyż jak wielu arogantów nie potrafił znieść kpin. Cezar spróbował im pomóc – wstał, żeby spytać, co właściwie Cyncero twierdzi, ale ten zignorował jego interwencję, a konsul, który bawił się nie gorzej od wszystkich, nie przywołał go do porządku.

– Zajmijmy się najpierw tym mniej ważnym – ciągnął Cyncero, gdy dwie jego ofiary w końcu usiadły. – Ty, Hybrydo, nigdy nie powinieneś być zostać pretorem i nigdy też byś nim nie był, gdybym nie ulitował się nad tobą i nie polecił cię centurionom. Otwarcie żyjesz z kurtyzaną, nie potrafisz odezwać się publicznie, a bez podpowiedzi *nomenclatora* nie wiesz, jak się nazywasz. Za Sulli byłeś złodziejem, później pijakiem. Twoje życie, krótko mówiąc, to żart, ale żart najgorszego rodzaju – żart, który ciągnie się zbyt długo.

W senacie zrobiło się cicho, ponieważ takie obelgi powodują, że rywale stają się zażartymi wrogami do końca życia. Teraz Cyncero przeszedł do Katyliny.

– A jeśli chodzi o ciebie, Katyline, czyż nie jest zapowiedzią złych czasów, iż ty nie tylko pomyślałeś o konsulacie, ale nawet żywisz nadzieję na zwycięstwo? Od kogo oczekujesz poparcia? Od najwyższych urzędników państwa, którzy dwa lata temu nawet nie pozwolili ci kandydować? Od rzymskich ekwitów, których tyłu wymordowałeś? Od ludu, który wciąż pamięta monstrualne okrucieństwo, z jakim zameczyłeś jego przywódcę, mojego krewnego, Gratidianusa, a potem zaniósłeś jego parującą głowę przez ulice Rzymu do świątyni Apolla? Chcesz go od senatorów, którzy na mocy swej władzy niemal pozbawili cię wszelkich godności i oddali zakutego w łańcuchy Afrykanom?

– Zostałem uniewinniony! – ryknął Katylina, znowu zrywając się z ławy.

– Uniewinniony! – szyderczo powtórzył Cyncero. – Ty? Ty

uniewinniony? Ty, który zhańbiłeś się wszelkimi seksualnymi perwersjami, który maczałeś palce w najgorszych morderstwach, który złupiłeś naszych sojuszników i złamałeś wszystkie prawa? Ty, co ożeniłeś się z matką córki, którą wcześniej uwiodłeś? Uniewinniony? Musiałbym najpierw wyobrazić sobie, że rzymscy ekwici kłamali, że dokumenty przedstawione jako dowody przez najbardziej szacowne władze miejskie były fałszywe, że Kwintus Metellus Pius łgał, że Afrykanie kłamali. Uniewinniony! Ty nędzniku, czy nie rozumiesz, że na mocy tej decyzji nie zostałeś uniewinniony, a tylko przekazany do osądzenia wyższemu trybunałowi, który wymierzy ci surowszą karę!

Nawet zrównoważony człowiek nie mógłby spokojnie znieść takiego ataku, natomiast Katyliną wpadł w morderczy szał. Ryknął jak rozwścieczone zwierzę i przeskoczył przez ławę przed nim, popychając Katulusa i Hortensjusza, po czym przebiegł przez środkową alejkę i chciał rzucić się na swojego prześladowcę. Oczywiście Cyncero chciał go do tego sprowokować. Drgnął nerwowo, ale twardo stał na swoim miejscu.

Kwintus i kilku byłych żołnierzy utworzyli wokół niego kordon. Nie było to wcale potrzebne, ponieważ liktorzy konsula obezwładnili Katylinę. Mimo potężnej budowy nie dał im rady. Jego przyjaciele, między innymi Krassus i Cezar, schwycili go za ramiona i spróbowali odprowadzić na miejsce, ale Katyliną krzyczał, wrywał się i kopał. Wszyscy wstali, żeby widzieć, co się dzieje. Figulus musiał zawiesić sesję, dopóki nie zostanie przywrócony porządek.

Gdy wznowiono obrady, zgodnie ze zwyczajem Hybryda i Katyliną mieli okazję odpowiedzieć. Obaj, dygocąc z wściekłości, wylali na głowę Cyncerona wiadro zwykłych pomyj – ambitny, niegodny zaufania, intrygant, „nowy człowiek”, obcy, unikał służby wojskowej, tchórz – a ich zwolennicy energicznie klaskali. Jednak żaden z nich nie miał talentu Cyncerona do rzucania



inwektyw, a nawet ich najbardziej zdeklarowani zwolennicy musieli przyznać, że nie odpowiedzieli na główny zarzut: że ich kandydatury opierały się na łapówkach płaconych przez tajemniczą trzecią osobę. Godne uwagi było również to, że Hortensjusz i Katulus ograniczyli się do zdawkowych oklasków. Cyce-ro wysłuchiwał ich tyrad z uśmiechem i profesjonalnym spokojem, tak jakby ich obelgi spływały po nim niczym woda po gęsi. Dopiero później – gdy Kwintus i jego przyjaciele z wojska wyprowadzili go szybko z izby, żeby uniknąć kolejnego ataku Katyliny, i gdy już znaleźliśmy się w bezpiecznym domu Attykusa na Kwirynale i zamknęliśmy drzwi na zasuwę – dopiero wtedy zdał sobie w pełni sprawę ze wszystkich konsekwencji tego, co uczynił.

## XVIII

Cyconowi nie pozostało teraz nic innego do zrobienia, jak tylko czekać na reakcję Hortensjusza. Siedzieliśmy kilka godzin w ciszy biblioteki Attykusa, otoczeni starożytną mądrością, pod bacznym spojrzeniem wielkich filozofów. Dzień najpierw dojrzał, później zaczął przygasać, a w lipcowym upale miasto wydawało się bardziej żółte i zakurzone niż zwykle. Chciałbym móc napisać, że rozważaliśmy poglądy Epikura, Zenona i Arystotelesa lub że Cycono wygłaszał jakieś głębokie refleksje na temat demokracji, ale w rzeczywistości nikt nie był w nastroju do toczenia teoretycznych dyskusji, a zwłaszcza Kwintus, który zaplanował na to popołudnie spotkanie wyborcze w ruchliwym Portyku Emiliańskim i denerwował się, że brat traci czas, zamiast prowadzić kampanię. Wciąż przeżywaliśmy przemówienie Cyconera – „Żałuj, że nie widziałeś twarzy Krassusa, gdy myślał, że za chwilę go wskażę!” – i snuliśmy przypuszczenia, jak zareagują arystokraci. Gdyby nie połknęli przynęty, Cycono znalazłby się w bardzo trudnej i niebezpiecznej sytuacji. Co jakiś czas pytał mnie, czy Hortensjusz na pewno przeczytał jego list, a ja zapewniałem go, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości,

ponieważ zrobił to na moich oczach. „Damy mu zatem jeszcze godzinę” – odpowiadał i znowu niespokojnie krążył po bibliotece, od czasu do czasu wygłaszając do Attykusa jakąś cierpką uwagę: „Czy ci twoi znakomici przyjaciele zawsze są tacy punktualni?” lub „Powiedz mi, czy wśród dobrze urodzonych spojrzeń na zegar jest uważane za zbrodnię?”.

Wspaniały zegar słoneczny Attykusa wskazywał już dziesiątą, gdy w końcu do biblioteki przyszedł niewolnik z wiadomością, że przybył sługa Hortensjusza.

– Czy teraz mamy negocjować ze służącymi? – mruknął Cycero, ale tak mu zależało na wieściach, że sam poszedł do atrium. Wszyscy ruszyliśmy za nim. Czekał tam ten sam kościasty, wyniosły typ, który przyjął mnie u Hortensjusza dziś rano. Teraz nie był wiele uprzejmiejszy. Oświadczył, że przyjechał dwuosobowym powozem Hortensjusza, żeby zabrać Cyclerona na spotkanie ze swoim panem.

– Ja muszę mu towarzyszyć – zaprotestował Kwintus.

– Otrzymałem rozkaz, żebym przywiózł senatora Cyclerona – odrzekł służący. – Spotkanie dotyczy ściśle poufnych i ważnych spraw. Ma mu towarzyszyć tylko jedna osoba, jego sekretarz, znany z szybkości, z jaką potrafi notować.

Nie byłem z tego szczególnie zadowolony, podobnie zresztą jak Kwintus. Ja lękałem się, że Hortensjusz spróbuje mnie przesłuchać, Kwintus z powodu zlekceważenia lub (przyjmując łaskawszą interpretację) z lęku o bezpieczeństwo brata.

– A jeśli to pułapka? – spytał. – Co będzie, jeśli na miejscu zastaniesz Katylinę lub on zaatakuje cię po drodze?

– Senator Hortensjusz zapewni panu całkowite bezpieczeństwo – sztywno wtrącił służący. – W obecności tych świadków przekazuję panu jego słowo honoru.

– Wszystko będzie w porządku, Kwintusie – powiedział Cycero, uspokajającym gestem kładąc dłoń na ramieniu brata. –

Hortensjusz nie ma żadnego interesu w tym, żeby coś mi się stało. Poza tym – uśmiechnął się – jestem przyjacielem Attykusa. Czy można sobie wyobrazić lepszą gwarancję bezpieczeństwa? Chodź, Tironie. Dowiedzmy się, co on ma do powiedzenia.

Wyszliśmy z biblioteki, gdzie byliśmy stosunkowo bezpieczni. Na ulicy czekał na nas elegancki *carpentum* z godłem Hortensjusza wymalowanym na bokach. Służący usiadł na koźle obok woźnicy, a Cycero i ja wsiedliśmy do powozu. Zjechaliśmy szybko ze wzgórza, ale zamiast skręcić na południe, jak oczekiwaliśmy, woźnica skierował się na północ, w kierunku Bramy Fontinalińskiej, przyłączając się do strumienia wozów wyjeżdżających z miasta pod koniec dnia. Cycero zarzucił na głowę skraj togi, rzekomo po to, aby nie wdychać tumanów kurzu, jakie wzbijały koła i kopyta, ale w rzeczywistości dlatego, aby żaden wyborca nie zauważył go w powozie Hortensjusza. Gdy już wyjechaliśmy z miasta, odsłonił głowę. Niewątpliwie nie był zadowolony z tego, że znaleźliśmy się poza murami miasta, ponieważ mimo dzielnych słów świetnie wiedział, że łatwo jest zaaranżować śmiertelny wypadek. Wielkie słońce wisiało nisko nad potężnymi, rodzinnymi grobowcami przy drodze. Wysokie topole rzucały ciemne, wąskie cienie w poprzek naszej drogi, wyglądające jak niebezpieczne szczeliny. Przez pewien czas nie mogliśmy wyprzedzić powolnego wozu ciągniętego przez woły. W końcu woźnica trzasnął z bata i jakoś go wymiął, z trudem unikając zderzenia z jadącym z naprzeciwka rydwanem. Przypuszczam, że obaj już odgadliśmy, dokąd jedziemy. Cycero znowu zasłonił głowę i skrzyżował ramiona.

Jakież myśli musiały kłębić się w jego głowie! Zjechaliśmy z głównej drogi i ruszyliśmy stromo pod górę podjazdem, niedawno posypanym białym żwirem. Przejechaliśmy przez kilka potoków. Kręta droga prowadziła przez sosnowe zagajniki,

gdzie słyhać było gruchające gołębie. W końcu przejechaliśmy przez podwójną bramę i znaleźliśmy się przed ogromną willą otoczoną parkiem. Widziałem model, który Gabiniusz pokazał zazdrosnemu tłumowi na forum, dlatego od razu poznałem, że to pałac Lukullusa.

Jeszcze wiele lat później, ilekroć czułem zapach świeżej farby i cementu, myślałem o Lukullusie i tym ogromnym mauzoleum, jakie zbudował sobie poza murami Rzymu. Cóż to była za wspaniała i melancholijna postać – zapewne najlepszy wódz, jakiego wydała arystokracja od pięćdziesięciu lat, okradziony z ostatecznego zwycięstwa przez Pompejusza i skazany przez polityczne intrygi wrogów, między innymi Cyncerona, na wieloletnią bezczynność pod miastem, bez zaszczytów i nawet możliwości wzięcia udziału w obradach senatu, gdyby bowiem przekroczył mury Rzymu, straciłby prawo do triumfu. Lukullus zachował wojskowe *imperium*, dlatego wokół willi krążyły wojskowe patrole, a w westybulu czekali liktorzy z różgami i toporami. Było ich tylu, że jak szybko policzył Cyncero, w pałacu musiał przebywać jeszcze jeden wódz w czynnej służbie.

– Jak myślisz, czy to możliwe, że jest tu również Kwintus Metellus? – szepnął, gdy szliśmy za służącym przez rozległe sale. – Bogowie, na pewno tak!

Pokoje były wypełnione łupami wojennymi. W końcu trafiliśmy do wielkiej Sali Apolla, gdzie pod malowidłem ściennym przedstawiającym boga wypuszczającego ognistą strzałę ze złotego łuku stało sześciu mężczyzn. Na nasz widok przerwali rozmowę i w głuchoj ciszy słyhać było tylko stukot naszych butów na marmurowej posadzce. Rzeczywiście był wśród nich Kwintus Metellus – w czasie służby na Krecie utył, posiwał i widać było po nim, że dużo przebywał na dworze, ale łatwo rozpoznałem człowieka, który próbował zastraszyć Sycylińczyków

i zmusić ich do zrezygnowania z oskarżenia Werresa. Obok niego stali jego dawny sojusznik sądowy Hortensjusz, którego przystojna twarz nie zdradzała żadnych uczuć, a po drugiej stronie Katulus, szczupły i ostry jak klinga. Obecny był również Publiusz Watia Izaurykus, weteran senatu – musiał mieć wtedy z siedemdziesiąt lat, ale nie wyglądał na tyle. Nigdy nie wyglądał na swój wiek: dożył dziewięćdziesiątki i był na pogrzebach niemal wszystkich obecnych. Zauważyłem, że trzymał w ręku mój zapis konferencji u Krassusa. Sekstet dopełniali dwaj bracia Lukullusowie. Młodsze Marka widywałem wielokrotnie w senacie, natomiast Lucjusza, słynnego wodza, w ogóle nie poznałem, bo z ostatnich dwudziestu trzech lat osiemnaście wojskował. Miał wtedy pięćdziesiąt kilka lat. Szybko zrozumiałem, dlaczego Pompejusz tak bardzo mu zazdrościł – dlaczego dosłownie pobili się podczas spotkania w Galacie, gdy Lukullus przekazywał mu dowództwo – był on człowiekiem tak lodowato wyniosłym, że przy nim nawet Katulus wydawał się plebejuszem.

Hortensjusz przerwał niezręczne milczenie, przedstawiając Cyncerona Lukullusowi. Cyncero wyciągnął rękę do gospodarza. Przez chwilę wydawało się, że Lukullus odmówi podania mu ręki, ponieważ znał Cyncerona tylko jako sojusznika Pompejusza i jednego z populistycznych polityków, którzy przyczynili się do jego dymisji. W końcu jednak uścisnął dłoń Cyncerona, tak ostrożnie, jakby brał do ręki brudną gąbkę w latrynie. „Imperatorze” – powiedział Cyncero i uprzejmie się skłonił. Tak samo przywitał Metellusa.

– A ten to kto? – spytał Izaurykus, wskazując na mnie palcem.

– To mój sekretarz Tiron – przedstawił mnie Cyncero – który spisał przebieg konferencji w domu Krassusa.

– Nie wierzę w to ani trochę – odpowiedział Izaurykus,

wymachując zapisem w moim kierunku. – Nikt nie mógłby zapisać przebiegu całej konferencji. To przekracza ludzkie zdolności.

– Tiron opracował własny system stenografii – wyjaśnił Cyncero. – Pozwólcie, że pokażę wam oryginalne zapiski z ubiegłej nocy.

Wyciągnąłem z kieszeni notesy i rozdałem je obecnym.

– Interesujące – powiedział Hortensjusz, uważnie przypatrując się zapisowi. – Czy symbole reprezentują dźwięki? Czy też całe słowa?

– Na ogół słowa i całe powszechnie używane zwroty – wyjaśniłem.

– Udowodnij mi, że to potrafisz – agresywnie zażądał Katulus. – Zannotuj, co powiem. – Dał mi zaledwie chwilę na wyciągnięcie nowego notatnika i rylca. – Jeśli to, co przeczytałem, jest prawdą, w wyniku zbrodniczego spisku państwu zagraża wojna domowa. Jeśli to, co przeczytałem, jest nieprawdą, stanowi to najgorsze fałszerstwo w naszej historii. Osobiście nie wierzę, żeby to była prawda, ponieważ nie wierzę, żeby ktokolwiek potrafił sporządzić taki zapis rozmowy. Wszyscy wiemy, że Katyliną jest w gorącej wodzie kąpany, ale jest prawdziwym Rzymianinem szlachetnego pochodzenia, nie zaś przebiegłym i ambitnym parweniuszem. Zawsze będę bardziej ufał jemu niż jakiemuś nowemu człowiekowi! Zawsze! Czego od nas chcesz, Cynceronie? Chyba nie myślisz poważnie, że po tym wszystkim, co między nami się stało, mógłbym poprzeć cię w wyborach konsularnych? Czego więc chcesz?

– Niczego – spokojnie odpowiedział Cyncero. – Dotarły do mnie pewne informacje, które – jak sądziłem – mogły was zainteresować. Przekazałem je Hortensjuszowi, to wszystko. To wy sprowadziliście mnie tutaj, nieprawdaz? To chyba ja miałbym prawo zapytać, panowie, czego wy chcecie? Chcecie znaleźć się

w pułapce między Pompejuszem i jego armią na wschodzie a Krassusem, Cezarem i miejskim motłochem w Italii? Razem stopniowo was zduszą. Czy chcecie, żeby wasze bezpieczeństwo zależało od dwóch ludzi, których popieracie w wyborach – durnia i szaleńca – którzy nie potrafią nawet zarządzać własnymi sprawami, a co dopiero rządzić całym państwem? Czy tego chcecie? Jeśli tak, w porządku. Ja przynajmniej mam czyste sumienie. Spełniłem swój patriotyczny obowiązek, informując was, co się dzieje, choć nigdy nie byliście moimi przyjaciółmi. Wierzę również, że dziś zademonstrowałem w senacie, iż nie boję się tych przestępców. Żaden inny kandydat na konsula tego nie uczynił i nie uczyni w przyszłości. Stali się moimi wrogami, ale pokazałem wam, jacy są naprawdę. Jednak od ciebie, Katulusie, i od was wszystkich, niczego nie chcę. Jeśli tylko zamierzacie mnie obrażać, to życzę wam dobrej nocy.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Poszedłem za nim. To musiał być najdłuższy marsz jego życia, bo już niemal doszliśmy do ciemnego przedpokoju – oraz niewątpliwie czarnej przepaści politycznego niebytu – gdy dobiegł nas krzyk (pamiętam, że to zawołał sam Lukullus): „Odczytaj zapis!”. Cyncero zatrzymał się i obaj się odwróciliśmy. „Odczytaj zapis – powtórzył Lukullus. – Przeczytaj, co przed chwilą powiedział Katulus”.

Cyncero kiwnął głową. Wyciągnąłem z kieszeni notatnik.

– Jeśli to, co przeczytałem jest prawdą – zacząłem monotonicznie recytować, jak zawsze, gdy odczytuje się zapis stenograficzny – w wyniku zbrodniczego spisku państwu zagraża wojna domowa jeśli to co przeczytałem jest nieprawdą stanowi to najgorsze fałszerstwo w naszej historii osobiście nie wierzę żeby to była prawda ponieważ nie wierzę żeby ktokolwiek był w stanie sporządzić taki zapis rozmowy...



– Mógł się tego nauczyć na pamięć. – Katulus nie dał się przekonać. – To jakaś tania sztuczka, jaką można zobaczyć na forum.

– Jeszcze koniec – nalegał Lukullus. – Przeczytaj, co pod koniec powiedział twój pan.

Przesunąłem palcem wzdłuż notesu, szukając tego miejsca.

...nigdy nie byliście moimi przyjaciółmi wierzę również że dziś zademonstrowałem w senacie iż nie boję się tych przestępców żaden inny kandydat na konsula tego nie uczynił i nie uczyni w przyszłości stali się moimi wrogami ale pokazałem wam jacy są naprawdę jednak od ciebie Katulusie i od was wszystkich niczego nie chcę jeśli tylko zamierzacie mnie obrażać to życzę wam dobrej nocy.

Izaurykus gwizdnął. Hortensjusz pokiwał głową i powiedział coś w rodzaju: „Mówiłem wam” lub „Ostrzegałem was” – nie pamiętam dokładnie. „Tak, muszę przyznać, że dla mnie to dostateczny dowód” – zgodził się z nim Metellus.

Katulus tylko mierzył mnie gniewnym wzrokiem.

– Wracaj, Cynceronie – powiedział Lukullus, wzywając go skinieniem ręki. – Jestem przekonany. Zapis jest autentyczny. Zostawmy na razie na boku kwestię, kto kogo bardziej potrzebuje, i zacznijmy od założenia, że nawzajem się potrzebujemy.

– Ja nadal nie jestem przekonany – mruknął Katulus.

– Zatem przekonam cię jednym słowem – zniecierpliwiał się Hortensjusz. – Cezar. Cezar – ze złotem Krassusa, dwoma konsulami i dziesięcioma trybunami na swe rozkazy!

– Zatem naprawdę musimy rozmawiać z takimi ludźmi? – westchnął Katulus. – No, może z Cynceronem – ustąpił – ale z pewnością nie potrzebujemy ciebie – warknął, wskazując na mnie, gdy jak zwykle stanąłem za plecami pana. – Nie chcę, żeby ta kreatura zbliżała się do mnie nawet na milę, podsłuchiwała, co mówimy, i zapisywała to w swój niegodny zaufania

sposób. Jeśli mamy rozmawiać, ma to pozostać w tajemnicy.

– Dobrze – zgodził się Cycero po chwili wahania. Spojrzał na mnie tak, jakby mnie przeproszał. – Poczekaj na zewnątrz, Tironie.

Nie miałem powodu mieć pretensji. Byłem tylko niewolnikiem, dodatkową ręką, narzędziem – „kreaturą”, jak powiedział Katulus. Mimo to poczułem się upokorzony. Złożyłem notatnik i wyszedłem do przedpokoju, a potem szedłem dalej przez te wszystkie oficjalne, niedawno ozdobione stiukami sale – Wenus, Merkurego, Marsa, Jowisza. Niewolnicy w miękkich pantoflach bezszelestnie poruszali się między bogami, zapalając lampki i kandelabry. Wyszedłem do ciepłego parku, gdzie słychać było cykady i z jakiegoś powodu, którego nigdy nie potrafiłem jasno wyartykułować, rozplakałem się. Przypuszczalnie byłem bardzo zmęczony.

Już świtało, gdy się obudziłem, cały sztywny, zziębnięty i mokry z powodu porannej rosy. Przez chwilę nie mogłem zrozumieć, gdzie jestem i jak się tu znalazłem. Leżałem na kamiennej ławce przed willą, a obok stał Cycero. To on mnie zbudził. Patrzył na mnie z poważną miną. „Tu już skończyliśmy – powiedział. – Musimy szybko wracać do miasta”. Spojrzał na oczekujący na nas powóz i przyłożył palec do ust, ostrzegając, bym nic nie mówił w obecności głównego sługi Hortensjusza. W milczeniu wsiedliśmy do *carpentum*. Gdy wyjeżdżaliśmy z parku, raz jeszcze spojrzałem na wspaniałą willę. Na tarasach nadal płonęły pochodnie, ale w bladym świetle poranka nie wydawały się już tak jaskrawe. Nigdzie nie zauważyłem pozostałych uczestników spotkania.

Cycero pamiętał, że za nieco ponad dwie godziny będzie musiał wyjść z domu na Pole Marsowe na wybory, dlatego wciąż

upominał woźnicę, żeby przyspieszył. Biedne konie otrzymały takie ciągi, że ich boki krwawiły. Na szczęście droga była niemal pusta, tylko nieliczni wyborcy lubiący wcześniej wstawać szli już do miasta głosować. Dotarliśmy do Bramy Fontinalińskiej akurat w chwili, gdy strażnicy miejscy ją otwierali. Popędziliśmy z głośnym turkotem po brukowanych ulicach na Eskwilin. Cycero kazał woźnicy, żeby zatrzymał się niedaleko świątyni Tellus, gdzie wysiedliśmy, i dalej ruszyliśmy pieszo. Dopiero po chwili zrozumiałem, że Cycero nie chciał, aby go zobaczyli liczni zwolennicy, którzy już gromadzili się na ulicy przed naszym domem. Szedł przede mną, jak zwykle z rękami splecionymi na plecach, pogrążony w rozmyśleniach. Zauważyłem, że jego toga była bardzo poplamiona. Weszliśmy do domu tylnymi drzwiami, używanymi przez służbę. Wpadliśmy tam na zarządcę Terencji, tego ohydneho Filotimusa, który z pewnością wracał z nocnej wizyty u jakiejś niewolnicy. Cycero nawet go nie zauważył, tak był zaaferowany niedawnymi wydarzeniami i rozmyślaniami o tym, co przyniesie przyszłość. Miał czerwone oczy, a jego twarz i włosy były brązowe od pyłu. Kazał mi otworzyć drzwi frontowe i wypuścić ludzi. Sam poszedł na górę.

Jednym z pierwszych, którzy przekroczyli próg, był Kwintus, który oczywiście chciał wiedzieć, co się zdarzyło. On i pozostali czekali na nasz powrót w bibliotece Attykusa niemal do północy. Kwintus był w równej mierze wściekły, jak niespokojny. Znalazłem się w niezręcznej sytuacji. Mogłem tylko wyjąkać, że wolałbym, aby zwrócił się z tym pytaniem bezpośrednio do brata. Uczciwie mówiąc, widok Cycerona w towarzystwie jego najbardziej zaciętych wrogów wydawał mi się teraz czymś tak nierzeczywistym, że niemal skłonny byłem uwierzyć, iż wszystko to mi się śniło. Kwintus nie był zadowolony, ale na szczęście do środka weszli liczni goście, co mnie uratowało z opresji. Uciekłem pod pretekstem, że muszę sprawdzić, czy wszystko

jest przygotowane w tablinum. Stamtąd prześlizgnąłem się do mojego pokoiku. Umyłem twarz i szyję letnią wodą z miski.

Gdy godzinę później znowu zobaczyłem Cyncerona, mogłem obserwować jego niezwykłą zdolność regeneracji sił, która, jak zauważyłem, jest cechą wszystkich polityków odnoszących sukcesy. Obserwując go, jak idzie po schodach w czystej todze, umyty, ogolony, uczesany i uperfumowany, nikt nie mógłby zgadnąć, że nie spał przez dwie noce z rzędu. W domu tłoczyli się jego zwolennicy. To były pierwsze urodziny małego Marka. Cyncero posadził go sobie uważnie na ramieniu; gdy pojawił się z nim na dole, wybuchła taka wrzawa, że chyba spadło kilka dachówek; nic dziwnego, że biedne dziecko się rozpląkało. Cyncero szybko go opuścił, żeby nikt nie uznał tego za zły omen. Podał synka Terencji, która stała za nim na schodach. Uśmiechnął się i coś powiedział. W tym momencie uświadomiłem sobie, jak z biegiem lat stali się sobie bliscy. To, co początkowo było małżeństwem z rozsądku, zmieniło w ściśle partnerstwo. Nie słyszałem, co mówili; chwilę później Cyncero wmieszał się w tłum.

Przyszło tak wielu ludzi, że Cyncero z trudem przecisnął się z tablinum do atrium, gdzie czekali na niego Kwintus, Frugi i Attykus, otoczeni robiącą wrażenie grupą senatorów. Zauważyłem wśród nich starego przyjaciela Cyncerona, Serwiusza Sulpicjusza, Gallusa, sławnego uczonego prawnika, który sam nie zgodził się kandydować, Frugi Starszego, z którym Cyncero zamierzał się spowinowacić, Marcellinusa, jego wiernego sojusznika od czasu procesu Werresa, oraz wszystkich senatorów, których reprezentował w sądzie, takich jak Korneliusz, Fundaniusz, Orchiwiusz oraz Fontejuś, skorumpowany namiestnik Galii. Gdy przepychałem się przez tłum za Cyncerem, miałem wrażenie, że przed moimi oczami przemknęły wszystkie wydarzenia

ostatnich dziesięciu lat, gdyż twarze obecnych przypomniały mi wszystkie, niemal już zapomniane sądowe boje. Przeszedł nawet Popiliusz Laenas, którego bratanka Cyncero uratował przed skazaniem za ojcoobójstwo w dniu, gdy przyszedł do nas Steniusz. W domu panowała atmosfera rodzinnego święta, nie zaś wyborczego zebrania. Cyncero, jak zwykle przy takich okazjach, był w swoim żywiole. Wątpię, czy znalazłby się choć jeden gość, którego ręki nie uściskał, nie nawiązał z nim choć na chwilę osobistego kontaktu, tak aby ten poczuł się szczególnie wyróżniony.

Tuż przed wyjściem Kwintus odciągnął go na stronę i, jak pamiętam, gniewnie spytał, gdzie do diabła podziewał się całą noc – on już zamierzał wysłać ludzi na poszukiwania. Cyncero, pamiętając o otaczającym ich tłumie, spokojnie odpowiedział, że później wszystko mu opowie. To jeszcze bardziej zdenerwowało Kwintusa. „Co ty sobie wyobrażasz? Że kim jestem? – wybuchł. – Twoją służącą? Powiedz mi teraz!”. Cyncero bardzo szybko opowiedział mu o wizycie w pałacu Lukullusa i spotkaniu z gospodarzem, jego bratem, Metellusem, Hortensjuszem, Katulusem i Publiuszem Izaurykusem.

– Cała banda patrycjuszów! – szepnął z podnieceniem Kwintus. Natychmiast zapomniał o gniewie. – Bogowie, kto by pomyślał? Czy zamierzają nas poprzeć?

– Rozmawialiśmy wiele godzin, ale nie chcieli się zadeklarować, dopóki nie skonsultują się z innymi wielkimi rodzinami – odpowiedział Cyncero, nerwowo rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje. Na szczęście zgiełk to całkowicie wykluczał. – Myślę, że Hortensjusz był skłonny zgodzić się na poczekaniu. Katulus instynktownie był przeciw. Inni postąpią tak, jak im podyktuje własny interes. Zobaczymy, na co się zdecydują.

– Ale czy uwierzyli w dowody, które im pokazałeś? – spytał Attykus, który przysłuchiwał się rozmowie braci.

– Myślę, że tak. Dzięki Tironowi. Później będzie pora, żeby o tym porozmawiać. Teraz, panowie, zbierzmy siły i odwagę – powiedział, po kolei ściskając nasze dłonie – mamy wybory do wygrania!

Niewielu kandydatów w całej historii republiki urządziło lepsze widowisko niż Cycero podczas przemarszu na Pole Marsove, co było przede wszystkim zasługą Kwintusa. Towarzyszyło mu jakieś trzysta czy czterysta osób. W pochodzie szli chłopcy z zielonymi gałęziami z wplecionymi wstążkami, dziewczęta rzucające płatki różane, muzycy, aktorzy znający Cycerona z teatru, senatorzy, ekwici, kupcy, straganiarze, regularni kibice sądowi, urzędnicy gildii, prawnicy, przedstawiciele rzymskich społeczności na Sycylii i w Galii Przedalpejskiej. Wkroczyliśmy na pole z wielkim hałasem, a wyborcy powitali nas oklaskami i gwizdami. Od razu podbiegli do nas liczni zwolennicy. Z doświadczenia wiem, że każde wybory, jakie się właśnie odbywają, są najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przeprowadzono. Tego dnia można było stwierdzić, że to prawda. Tym razem wybory budziły wyjątkowe podniecenie, ponieważ nikt nie wiedział na pewno, jaki będzie wynik. Wszelkie prognozowanie sprawiało trudność ze względu na korupcję, dużą liczbę kandydatów i wielką wrogość między nimi, wywołaną atakiem Cycerona na Katylinę i Hybrydę.

Obawialiśmy się, że może dojść do burd i przemocy, dlatego Kwintus dopilnował, żeby w otoczeniu brata zawsze stało kilku mocnych ludzi. Gdy zbliżaliśmy się do zagród wyborczych, niepokoiłem się coraz bardziej, ponieważ zauważyłem przed nami Katylinę ze swymi zwolennikami. Czekał przed namiotem urzędnika prowadzącego wybory. Na nasz widok ci łajdacy zaczęli miotać obelgi, ale Katylinę tylko spojrzął z pogardą na Cycerona, po czym wrócił do rozmowy z Hybrydą. Mruknąłem

do Pizona Frugi, że dziwi mnie, iż nawet nie próbuje swej zwykłej taktyki zastraszania, choćby tylko na pokaz. „Nie czuje takiej potrzeby, bo jest pewny zwycięstwa” – odrzekł Frugi, który nie był głupcem. Te słowa tylko zwiększyły moje zdenerwowanie.

W tym momencie zdarzyło się coś niezwykłego. Cycero i inni senatorzy ubiegający się o stanowiska konsulów i pretorów – było ich ze dwudziestu – stali w niewielkiej zagrodzie, odseparowani od swych zwolenników. Konsul przewodniczący wyborom, Marcjusz Figulus, rozmawiał z augurem, żeby upewnić się, że to sprzyjająca chwila na rozpoczęcie wyborów. Nagle na Polu Marsowym pojawił się Hortensjusz w orszaku około dwudziestu osób. Tłum rozdzielił się, żeby zrobić im przejście. Hortensjusz podszedł do ogrodzenia i zawołał Cycerona. Mój pan przerwał rozmowę z innym kandydatem – był nim chyba Kornificjusz – i podszedł do niego. Już to wywołało zdziwienie, wszyscy bowiem wiedzieli, że dwaj starzy rywale nie pałają do siebie wielką miłością. Katylina i Hybryda z pewnością spojrzeli, co spowodowało takie poruszenie wśród wyborców. Cycero i Hortensjusz przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym równocześnie kiwnęli głowami i wyciągnęli do siebie ręce. Nie powiedzieli ani słowa. Hortensjusz uniósł rękę Cycerona wysoko nad głowę. Rozległy się gromkie brawa, zmieszane z kocią muzyką i jękami. Nikt nie miał wątpliwości, co oznacza ten gest. *Arystokracja poparła Cycerona!* Ludzie Hortensjusza natychmiast rozbiegli się po całym polu zapewne po to, żeby poinformować agentów wyborczych nobilew o zmianie decyzji. Odważyłem się spojrzeć na Katylinę: na jego twarzy dostrzegłem raczej zdziwienie niż jakiegokolwiek inne uczucia, ponieważ incydent ten, choć oczywiście ważny – ludzie wciąż go komentowali – trwał bardzo krótko. Hortensjusz już się oddalał. Chwilę później

Figulus wezwał kandydatów, żeby weszli z nim na platformę, tak aby głosowanie mogło się rozpocząć.

Zawsze można łatwo wskazać głupca – to człowiek, który twierdzi, że wie, kto wygra wybory. Wybory to żywe zwierzę – można nawet powiedzieć, najbardziej żywa istota na świecie – z tysiącami mózgów, kończyn, oczu, pragnień i myśli, które wywija się i pędzi w kierunku zupełnie nieprzewidzianym, niekiedy tylko po to, żeby wykazać, jak bardzo mylili się różni mądrale. Przekonałem się o tym tego dnia na Polu Marsowym, gdy augurowie zbadali już wnętrzności zwierząt ofiarnych, sprawdzili, czy na niebie nie krążą złowróźbne ptaki, kapłani poprosili bogów o błogosławieństwo, poproszono wszystkich epileptyków o opuszczenie pola (w tamtych czasach atak epilepsji lub *morbus comitalis* powodował automatyczne unieważnienie wyborów), wokół Rzymu rozstawiono legion, żeby zapobiec niespodziewanemu atakowi, odczytano listę kandydatów, rozległy się fanfary, na maszt na Janiculum wciągnięto czerwoną flagę i Rzymianie zaczęli głosować.

Losowanie rozstrzygnęło, której ze stu dziewięćdziesięciu trzech centurii przypadnie zaszczyt rozpoczęcia głosowania. Przynależność do tej *centuria praerogativa* uważano za wyjątkowe wyróżnienie, ponieważ od jej decyzji często zależał przebieg całych wyborów. Tylko najbogatsze centurie miały prawo wziąć udział w losowaniu. Dobrze pamiętam, jak szczęśliwi zwycięzcy, solidni kupcy i bankierzy, wchodzili z ważnymi mianami po drewnianym pomoście i znikali za zasłoną. Szybko policzono głosy. Figulus wyszedł przed trybunę i ogłosił, że pierwsze miejsce zajął Cycero, a drugie Katylina. Rozległo się chóralne westchnienie, bo wszyscy głupcy, z którymi rozmawiałem, przewidywali, iż wygra Katylina, a drugi będzie Hybryda.



Chwilę później zwolennicy Cyncerona zaczęli bić brawo i radośnie krzyżeć. Zdali sobie szybko sprawę, co się stało, i radosna demonstracja rozszerzyła się na całe Pole Marsowe. Cyncero stał pod baldachimem za platformą konsula. Pozwolił sobie tylko na przelotny uśmiech, po czym – urodzony aktor – przybrał minę wyrażającą godność i autorytet, stosowną dla rzymskiego konsula. Katylina – który stał najdalej od Cyncerona, jak to tylko było możliwe, oddzielony od niego przez wszystkich pozostałych kandydatów – wyglądał, jakby został spoliczkowany. Tylko Hybryda nie zareagował – albo był pijany, albo zbyt głupi, żeby zrozumieć, co się dzieje. Krassus i Cezar gawędzili i stali niedaleko miejsca, gdzie wyłaniali się wyborcy po oddaniu głosu. Niewiele brakowało, a wybuchłbym głośnym śmiechem, gdy zobaczyłem, jak patrzą jeden na drugiego z osłupieniem i niedowierzaniem. Pośpiesznie się naradzili i ruszyli w przeciwnych kierunkach, niewątpliwie chcąc sprawdzić, dlaczego dwadzieścia milionów sestercji nie zapewniło im poparcia *centuria praerogativa*.

Jeśli Krassus rzeczywiście kupił osiem tysięcy głosów, to zgodnie z opinią Ranunkulusa powinno to wystarczyć do zapewnienia sobie zwycięstwa w wyborach. Jednak tym razem frekwencja była wyjątkowo duża, ponieważ wybory wzbudziły zainteresowanie w całej Italii. W miarę jak głosowały kolejne centurie, stało się jasne, że głównemu łapówkarzowi nieco zabrakło do osiągnięcia celu. Cyncero już wcześniej mógł liczyć na poparcie ekwitów, pompejańczyków i niższych klas. Teraz, gdy Hortensjusz, Katulus, Metellus, Izaurykus i bracia Lukullusowie zapewnili mu głosy całych grup wyborców kontrolowanych przez arystokratów, wygrywał w głosowaniu każdej centurii lub co najmniej był drugi. Już wkrótce jedyną niewiadomą było, kto zostanie jego kolegą. Początkowo wyglądało na to, że drugim konsulem zostanie Katylina. Niedawno znalazłem notatki z

wynikami głosowania. W południe wyglądały one następująco:

Cycero	81 centurii
Katylina	34 centurie
Hybryda	29 centurii
Sacerdos	9 centurii
Longinus	5 centurii
Kornificjusz	2 centurie

Później jednak zagłosowało sześć centurii złożonych wyłącznie z arystokratów, *sex suffragia*, i to oni wbili gwóźdź do trumny Katyliny. Gdybym miał wybrać najbardziej pamiętny obraz z tego niezwyklego dnia, byłby to widok nobilów, którzy po oddaniu głosów defilowali przed kandydatami. Pole Marsowe leży poza granicami miasta, dlatego Lucjusz Lukullus i Kwintus Metellus mogli wziąć udział w głosowaniu. Obaj przybyli w swych czerwonych płaszczach dowódców armii. Ich obecność stanowiła wielką sensację, ale jeszcze głośniejszą wrzawą przyjęto wynik głosowania ich centurii – pierwszy Cycero, drugi Hybryda. Po nich przeszli Publiusz Watia Izaurykus, Kurion Starszy, Emiliusz Alba, Klaudiusz Pulcher, Juniusz Serwiliusz – mąż siostry Katona, Serwili – stary Metellus Pius, najwyższy kapłan, zbyt chory, żeby iść, przybył w lektyce, jego adoptowany syn Scypion Nasica... Za każdym razem wynik głosowania był taki sam: pierwszy Cycero, drugi Hybryda, pierwszy Cycero, drugi Hybryda... Wreszcie pojawili się Hortensjusz i Katulus. Zauważyłem, że ani jeden, ani drugi nie zdobył się na spojrzenie Katylinie w oczy. Gdy ogłoszono, że ich centuria również zagłosowała na Cyclerona i Hybrydę, Katylina musiał zrozumieć, że przegrał. W tym momencie Cycero miał poparcie osiemdziesięciu siedmiu centurii, Hybryda trzydziestu pięciu, a Katylina trzydziestu

czterech. Po raz pierwszy Hybryda wysunął się przed swego partnera, ale co ważniejsze, arystokraci publicznie zwrócili się przeciw jednemu ze swoich, i to wyjątkowo brutalnie. Kandydatura Katyliny była już praktycznie skończona, ale trzeba wysoko ocenić jego zachowanie. Spodziewałem się, że wściekły opuści Pole Marsowe lub rzuci się na Cyncerona, by go zamordować gołymi rękami, ale on wytrwał do końca upalnego dnia, przyglądając się, jak obok przechodzą obywatele, a jego szanse na konsulat nikną wraz ze słońcem zbliżającym się do horyzontu. Zachował niezachwiany spokój, nawet gdy Figulus po raz ostatni wystąpił, żeby odczytać wyniki końcowe:

Cyncero	193 centurie
Hybryda	102 centurie
Katylinia	65 centurii
Sacerdos	12 centurii
Longinus	9 centurii
Kornificjusz	5 centurii

Krzyczeliśmy tak długo, aż nas rozboleły gardła, choć Cyncero wydawał się wyjątkowo poważny jak na człowieka, który właśnie zrealizował największą ambicję swojego życia, a ja czułem się dziwnie nieswojo. Teraz przybrał minę, którą później nazywałem „konsularną”: nieco uniesiona broda, usta zaciśnięte w grymasie determinacji, wzrok wbity w jakiś pełen chwały punkt na horyzoncie. Hybryda podał rękę Katylinie, który jednak go zignorował i zszedł z platformy jak w transie. Był teraz bankrutem – nie miałem wątpliwości, że za rok lub dwa zostanie wyrzucony z senatu. Rozejrzałem się, co robią Krassus i Cezar, ale oni opuścili Pole Marsowe już kilka godzin wcześniej, gdy Cyncero osiągnął poparcie dostatecznej liczby centurii, żeby mieć pewność zwycięstwa. Podobnie zrobili arystokraci. Gdy tylko

pozbyli się Katyliny, wszyscy wrócili do swych domów jak ludzie, którzy musieli wykonać jakieś ohydne zadanie – na przykład zabić swego ulubionego psa do polowania, gdyż zachorował na wściekliznę. Teraz nie pragnęli niczego innego, jak tylko zamknąć się w swych wygodnych domach.

Tak oto Marek Tulliusz Cyncero, w wieku czterdziestu dwóch lat, minimalnym wymaganym przez prawo, osiągnął najwyższe *imperium* rzymskiego konsula, i to zdobywając jednomyślne poparcie wszystkich centurii. Był przy tym „nowym człowiekiem”, bez rodziny, fortuny i armii. Nigdy przedtem lub potem nikomu się to nie udało. Gdy wieczorem wróciliśmy do jego skromnego domu, Cyncero podziękował wszystkim zwolennikom, przyjął gratulacje od swych niewolników, a potem polecił, żeby przestawiono sofy z jadalni na dach, chciał bowiem zjeść kolację pod gołym niebem, tak jak tego wieczoru – teraz wydawał się tak odległy – gdy po raz pierwszy zdradził swe pragnienie zostania konsulem. Spotkał mnie zaszczyt – zostałem zaproszony na rodzinną kolację, ponieważ Cyncero twierdził, że bez mojej pomocy nigdy nie osiągnąłby swojego celu. Przez chwilę pod wpływem radosnego oszołomienia sądziłem, że da mi wolność i wymarzone gospodarstwo, ale nie wspomniał o tym ani słowem, ja zaś uznałem, że nie wypada poruszać tej kwestii. Cyncero siedział na sofie z Terencją, Kwintus z Pomponią, Tulia ze swoim narzeczoną, a ja z Attykusem. W moim podeszłym wieku nie pamiętam już, co jedliśmy i piliśmy, ani żadnych podobnych szczegółów. Wszyscy wspominaliśmy najważniejsze wydarzenia tego dnia, a zwłaszcza niezwykły spektakl, jaki urządzili arystokraci, głosując masowo na Cyncerona.

– Powiedz mi, Marku – spytał Attykus swym tonem światowca, gdy już wypiliśmy sporo wina – jak zdołałeś ich przekonać? Wiem wprawdzie, że jesteś geniuszem słowa, ale ci ludzie

tobą gardzili – nienawidzili wszystkiego, co mówiłeś i czyniłeś. Co im zaferowałeś poza powstrzymaniem Katyliny?

– Oczywiście – odrzekł Cyncero – musiałem im obiecać, że wystąpię przeciw Krassusowi, Cezarowi i trybunom, gdy ogłoszą tę swoją ustawę o reformie rolnej.

– Pokonanie ich nie będzie łatwe – wtrącił Kwintus.

– Czy to wszystko? – nalegał Attykus. (Gdy to wspominam, myślę, że zachowywał się jak dobry adwokat podczas przesłuchania świadka: znał odpowiedź na pytanie, jakie zadawał, prawdopodobnie od swego przyjaciela Hortensjusza). – Naprawdę niczego więcej im nie obiecałeś? Nie było cię tyle godzin.

– Cóż, musiałem również się zobowiązać – Cyncero się skrzywił – że jako konsul zaproponuję senatorom, aby zgodzili się przyznać Lukullusowi i Kwintusowi Metellusowi prawo do odbycia triumfu.

Teraz zrozumiałem, dlaczego po spotkaniu z arystokratami Cyncero był taki ponury i poważny. Kwintus odsunął talerz i spojrział na niego z nieukrywanym przerażeniem.

– Oni chcą zatem, żebyś najpierw zniechęcił do siebie lud, blokując reformę rolną, a później naraził się na gniew Pompejusza, przyznając prawo do triumfu jego największym rywalom?

– Obawiam się, mój bracie – odrzekł Cyncero znużonym głosem – że arystokraci nie zdobyliby swego bogactwa, gdyby nie umieli się targować. Opierałem się, póki mogłem.

– Dlaczego jednak się zgodziłeś?

– Ponieważ musiałem wygrać.

– Co właściwie wygrałeś?

Cyncero nic nie odpowiedział.

– Bardzo dobrze. – Terencja poklepała męża po kolanie. – Moim zdaniem to dobry program.

– Może twoim zdaniem! – zaprotestował Kwintus. – Ale już po kilku tygodniach od objęcia urzędu Marek straci wszystkich zwolenników. Lud będzie mu zarzucał zdradę. Pompejańczycy również. A arystokraci wyrzucą go na śmietnik, gdy tylko przestanie być przydatny. Kto wtedy będzie go bronił?

– Ja – zgłosiła się Tulia, ale tym razem jej dziecinna lojalność nie wywołała śmiechu. Nawet Cycero zdobył się tylko na słaby uśmiech, ale po chwili wziął się w garść.

– Doprawdy, Kwintusie, psujesz radosny wieczór – powiedział. – Między dwiema skrajnościami zawsze jest trzecia droga. Trzeba koniecznie powstrzymać Krassusa i Cezara, tego mogę dowodzić. Jeśli chodzi o Lukullusa, wszyscy są zdania, że zasłużył na triumf sto razy swymi zwycięstwami w wojnie z Mitydatesem.

– A Metellus? – wtrącił Kwintus.

– Jeśli dasz mi trochę czasu, jestem pewny, że znajdę coś, za co mógłbym pochwalić nawet Metellusa.

– Co z Pompejuszem?

– Pompejusz, jak wszyscy wiemy, jest tylko pokornym sługą republiki – odparł Cycero, machając ręką. – Co ważniejsze – dodał ze śmiertelną powagą – jego tu nie ma.

Po chwili, dość niechętnie, Kwintus się uśmiechnął.

– Jego tu nie ma – powtórzył. – Cóż, to niewątpliwie prawda.

Wszyscy wybuchliśmy śmiechem; doprawdy, nic innego nie pozostało.

– Tak już lepiej! – ucieszył się Cycero. – Sztuka życia polega na tym, żeby rozwiązywać problemy, gdy się pojawiają, nie zaś martwić się nimi zawczasu, bo to tylko może złamać ducha w człowieku. Zwłaszcza dziś wieczór. – W jego oczach zalśniły łzy. – Wiecie, za co powinniśmy wypić? Moim zdaniem powinniśmy uczcić toastem pamięć naszego drogiego kuzyna Lucjusza,

który był pod tym dachem, gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy o konsulacie i który tak bardzo pragnąłby zobaczyć ten dzień. – Podniósł kubek, a my wszyscy przyłączyliśmy się do toastu, choć sam nie mogłem pozbyć się myśli o ostatnich słowach, jakie Lucjusz skierował do Cyncerona: „Słowa, słowa, słowa. Czy nigdy nie skończysz z tymi słownymi sztuczkami?”.

Później, gdy wszyscy się rozeszli do domów lub łóżek, Cyncero leżał na wznak na sofie, z rękami splecionymi pod głową, i wpatrywał się w gwiazdy. Siedziałem w milczeniu na sąsiedniej sofie, z notatnikiem pod ręką, na wypadek gdyby chciał coś poddyktować. Starłem się nie usnąć, ale noc była ciepła, a ja ślałem się ze zmęczenia. Gdy głowa opadła mi po raz czwarty lub piąty, Cyncero spojrzął na mnie i powiedział, żebym poszedł spać. „Teraz jesteś prywatnym sekretarzem konsula-elekta. Twój umysł musi być tak szybki jak pióro”. Wstałem, a on wrócił do kontemplowania nieba. „Jak nas osądzi potomność, Tironie? – powiedział jeszcze. – To jedyne pytanie godne męża stanu. Nim jednak potomność nas osądzi, musi najpierw zapamiętać, kim jesteśmy”. Poczekałem chwilę, czy nie zechce czegoś dodać, ale on najwyraźniej zapomniał o moim istnieniu, zatem odszedłem, a on dalej rozważał ten problem.

## Nota autora

Wprawdzie *Cycero* jest powieścią, ale większość faktów tu opisanych wydarzyła się naprawdę, a pozostałe przynajmniej mogły się zdarzyć. Mam nadzieję – choć jestem tu zakładnikiem losu – że o żadnym nie da się powiedzieć, iż z pewnością się nie wydarzył. Plutarch i Askoniusz odnotowali, że Tiron napisał biografię Cyclerona, ale zaginęła ona w okresie upadku Cesarstwa Rzymskiego.

Wiadomości o Cyceronie zaczerpnąłem głównie z dwudziestu dziewięciu tomów jego listów i przemówień, zebranych w Loeb Classical Library i wydanych przez Harvard University Press. Cenną pomocą była dla mnie również praca *The Magistrates of the Roman Republic, Volume II, 99 B.C.-31 B.C.* Roberta S. Broughtona, opublikowana przez American Philological Association. Chciałbym również oddać cześć sir Williamowi Smithowi (1813–1893), redaktorowi *Dictionary of Greek and Roman Antiquities* i *Dictionary of Greek and Roman Geography* – trzech ogromnych i niezrównanych pomników wiktoriańskiego klasycyzmu. Korzystałem oczywiście również z nowszych prac wielu innych autorów, których wymienię w stosownym czasie.

R.H.  
16 maja 2006